

Brian W.

ALDISS

LATO HELIKONII

TOM II KULTOWEJ TRYLOGII HELIKONII



Brian W. Aldis

Lato Helikonii

Spis treści

<u>STRONA TYTUŁOWA</u>	
<u>I. WYBRZEŻE BORLIEN</u>	
<u>II. GOŚCIE W PAŁACU</u>	
<u>III. PRZEDWCZESNY ROZWÓD</u>	
<u>IV. KOSGATCKI WYNALAZEK</u>	
<u>V. MADISKIE DROGI</u>	
<u>VI. DYPLOMACI NIOSĄ DARY</u>	
<u>VII. KRÓLOWA ODWIEDZA ŻYWYCH I UMARŁYCH</u>	
<u>VIII. OKO W OKO Z MITOLOGIA</u>	
<u>IX. KANCLERSKIE KŁOPOTY</u>	
<u>X. BIŁO ZMIENIA ANIOŁA STRÓŻA</u>	
<u>XI. WYPRAWA NA PÓŁNOCNY KONTYNENT</u>	
<u>XII. PASAŻERSKI REJS Z PRĄDEM RZEKI</u>	
<u>XIII. ZA LEPSZYM OREŻEM</u>	
<u>XIV. TAM, GDZIE ŻYJĄ FLAMBURY</u>	
<u>XV. WIĘŹNIOWIE KAMIENIOŁOMU</u>	
<u>XVI. PAN NA LODOWCU</u>	
<u>XVII. ŚMIERTELNY GON</u>	
<u>XVIII. GOŚCIE Z OTCHŁANI</u>	
<u>XIX. OLDORANDO</u>	
<u>XX. JAK TO ZE SPRAWIEDLIWOŚCIĄ BYŁO</u>	
<u>XXI. ZABÓJSTWO AKHANABY</u>	
<u>ENVOI</u>	

*W człowieku jest symetria świetna, Proporcje wiążą jego członki, podobieństwem Kojarzą
wszechświat z pojedynczym życiem;
Najdalsze części ciała są rodzeństwem:
Głowa jest siostrą stopy i nic jej sekretne Łączy z przyływem i księżycem.
Człowiek na każdej swojej drodze Spotkać może liczniejsze, niż spostrzega, sługi:
Depcze je, choć mu niosą pocieszenie, Kiedy choroba umęczy go srodze. O, potężna Miłości. Być
światem i drugi Świat mieć na każde swe skinienie'*

George Herbert
Człowiek

I. WYBRZEŻE BORLIEN

Fale szły ukosem plaży, cofały się i podchodziły od nowa. Pochód fal rozbijał się o masyw zwieńczonej zielenią skały przybrzeżnej. Niby gład graniczny dzieliła płycizny od otchłani. Niegdyś była częścią góry w głębi lądu, nim wulkaniczne spazmy cisnęły ją w wody zatoki. Teraz nosiła własne imię. Nazywano ją Skałą Linien. Od niej wziął nazwę ten skrawek ziemi i zatoka Grawabagalinien. Za skałą po horyzont rozpostarło migotliwe lazury Morze Orłów. Fale, mętne od zebranego po płyciznach piachu, biły z pluskiem o brzeg i rozpuszczały zagony białej piany, które zapędzały się na plażę i lubieżnie tonęły w piasku.

Opłynawszy bastion Skały Linien fale z różnych stron schodziły się przy plaży, zalewając ją ze zdwojonym rozmachem i kipiąc wokół nóg złoczonego tronu i nóg czterech fagorów stawiających tron w piasku. W kipieli nurzało się dziesięć różanych palców stóp królowej Borlien.

Pozbawieni rogów ancipici zastygli w bezruchu. Mimo panicznej obawy przed wodą trwali w mlecznej powodzi, co najwyżej strzepując uchem. I mimo że nieśli swój królewski ciężar przez pół mili od pałacu Grawabagalinien, nie było po nich widać zmęczenia. Niczym nie okazywali, że dokucza im skwar. Nie okazali też zainteresowania, gdy królowa nago zstąpiła z tronu w morze.

Na wydmie za plecami fagorów dwaj niewolnicy z rasy ludzkiej rozpięli namiot pod okiem pałacowego majordoma, który własnoręcznie rozkładał barwne madiskie kobierce.

Drobne fale lizały kostki królowej Myrdeminggali. Ją to borlieński lud nazywał królową królowych. Myrdeminggali towarzyszyła córka poczęta z królem, księżniczka Tatra, i kilka przybocznych dam dworu. Księżniczka skakała przez fale, piszcząc z radości. W wieku dwóch lat i trzech tennerów uważa się morze za ogromne, nierozumne, przyjazne stworzenie.

– Och, jaka wielka fala, patrz, mamó! Największa ze wszystkich! I druga... idzie tutaj... ooch! Jaki potwór, wysoki do nieba! Och, one są coraz większe! Coraz większe i coraz większe, mamó, mamó, zobacz! Zobacz tylko tę teraz, zobacz, zaraz buchnie i... ooch, już idzie druga, jeszcze większa! Zobacz, zobacz, mamó!

Słyszcząc zachwyty córki nad drobnymi łagodnymi falami, królowa z powagą kiwała głową, lecz spojrzeniem tonęła w dali. Na południowym widnokregu zbierały się ołowiane chmury, zwiastuny bliskiej już pory monsunów. Morskie tonie syciły barwę, dla której określenie "lazurowa" było zbyt ubogie. Obok lazurów widziała królowa akwamaryny, turkusy i szmaragdy. Na palcu nosiła kupiony od domokrażcy w Oldorando pierścień z kamieniem – rzadkim i nieznanego pochodzenia – harmonizującym z kolorami morza o poranku. Miała uczucie, że jej los, i los córki, jest wobec życia tym, czym ten kamyk wobec oceanu. Z owej kolebki bytu przychodziły fale, budzące zachwyty Tatry. Dla dziecka każda fala stanowiła osobne wydarzenie, niepowtarzalne przeżycie oderwane od tego, co minęło i musiało nadejść. Każda fala była jedyną falą. Tatra żyła jeszcze w wiecznej terażniejszości dzieciństwa.

Królowej fale mówiły o ciągłym przemijaniu, wspólnym zarówno dla oceanu, jak i dla losów świata. W tych losach było i odtrącenie przez męża, i armie maszerujące za widnokregiem, coraz większy skwar i żagiel codziennie z nadzieją wypatrywany na horyzoncie. Nie było dla niej ucieczki od żadnej z tych spraw. Przeszłość i przyszłość, obie współistniały w jej groźnej terażniejszości.

Krzyknawszy Tatrze na do widzenia, pobiegła przed siebie i zanurkowała w fale. Brała rozbrat z maleńkim wylęknionym dziecięciem płycizn, aby poślubić ocean. Pierścień błysnął jej na palcu, gdy przecięła dłońmi toń. Woda lubieżnie pieściła członki i chłodziła rozkosznie. Moc oceanu przenikała ciało. Na wprost bieliła się linia przyboju, wytyczając granicę między wodami zatoki a pełnym

morzem, gdzie wielki prąd wschodni, oddzieliwszy skwarny kontynent Kam-panniat od mroźnego Hespagoratu, toczył wody dookoła świata. Poza tę granicę Myrdeminggala nigdy nie wypływała bez wodnych przyjaciół u boku. Wodni wasale już przybywali, zwabieni intensywną aurą jej kobiecości. Otoczyli królową zwartym kołem. Nurkując z nimi słuchała muzyki głosów przemawiających w tonalnym, wciąż jeszcze niezbyt zrozumiałym języku. Ostrzegali królową, że zaraz się coś wydarzy – coś nieprzyjemnego wychynie z morskiej toni.

Królowa była w Grawabagalinien wygnanką, zesłaną w zapadły kąt na samym południu Borlien, do starożytnej krainy, nawiedzanej przez upiory wojsk poległych tu dawno temu. Tyle jej się ostało z całego królestwa. Ale odkryła inne – wśród fal. Dokonała odkrycia przypadkiem, wypłynawszy kiedyś w morze podczas menstruacji. Swoim zapachem zwabiła wodnych przyjaciół. Od tego spotkania zawsze towarzyszyli królowej, która w ich kompanii zapominała o wszystkim, co utraciła i co jej zagrażało.

Pośród orszaku wodnych wasali Myrdeminggala obróciła się na wznak, wystawiając delikatności ciała na żar wysoko stojącej Bataliksy. Szum wody wypełnił uszy królowej. Miała drobne piersi o cynamonowych sutkach, szerokie usta, cienką kibić. Jej skóra lśniła w promieniach słońca. Opodal swawoliły damy z ludzkiej świty. Niektóre wypłynęły aż pod Skałę Lmien, inne hasały po plaży, wszystkie podświadomie przyjmując królową za punkt odniesienia. Ich okrzyki tłumił łoskot fal. Za plażą w oddali, poza wodorostami wyrzuconymi przez fale na brzeg, ponad urwistym brzegiem wznosił się białozłoty pałac Grawabagali-men, przytułek dla wygnanej królowej, oczekującej rozrodu – lub śmierci z ręki mordercy. Pływakom jawił się pałac jako malowane cacko.

Fagory stały nieruchomo na plaży. Hen na morzu tkwił nieruchomy żagiel. Południowe chmury jak gdyby stanęły w miejscu. Wszystko stanęło. Tylko czas płynął. Mijał połdzień – nikt z wyższych sfer nie przebywałby pod gołym niebem po wschodzie obu słońc na tych szerokościach geograficznych. U schyłku połdnia chmury spiętrzyły się groźniej, żagiel odszedł pomyślnym halsem na wschód, dążąc do portu w Ottassolu.

W wybranej przez siebie porze fale przyniosły ludzkie zwłoki. To była owa nieprzyjemność, przed którą ostrzegali królową. Wodni wasale. Pisnęli ze wstrętem. Kołysząc się jak żywy i jak gdyby z własnej woli, topielec opłynął ostrogę Skały Limen i utknął w płytkim rozlewisku. Leżał tam niedbale na brzuchu. Mewa przysiadła mu na łopatkę. Myrdeminggala dostrzegła błysk bieli i popłynęła to cos obejrzeć. Jedna z dam dworu z odrazą w oczach JUŻ oglądała tę niezwykłą rybę. Gęste czarne włosy były zjezione pod wpływem słonej wody. Wywichnięte ramię obejmowało szyję. Wzdęte ciało zdążyło JUŻ podeschnąć w słońcu zanim na me padł cień królowej.

Zwłoki spuchły od rozkładu. Chmara maleńkich krewetek kłębiła się w rozlewisku, objadając złamaną w kolanie nogę. Dama dworu przewróciła trupa końcem stopy na plecy. Wiaące się rybkosmoczki zwisały gęstwiną z twarzy, chciwie wyżerając usta i oczodoły. Nawet blask Batahksy nie przerwał im biesiady.

Usłyszawszy dreptanie małych nóżek królowa obróciła się z gracją. Schwyciła Tatrę, podrzuciła ponad głowę, wycalowała, uspokoiła ciepłym uśmiechem i z dziewczynką w ramionach wybiegła na piasek. Biegając wezwała majordoma.

– SkufBar' Zabierz to z naszej plaży. Zakop czym prędzej. Za starymi wałami.

Sługa powstał z cienia namiotu, otrzepał czarfral z piasku.

– Tak jest o Pani – rzekł.

W środku dnia targana niepokojami królowa wpadła na lepszy sposób pozbycia się trupa.

– Zabierzesz zwłoki do pewnego człowieka w Ottassolu – poleciła swemu maleńkiemu majordomowi utkwivszy w nim baczne spojrzenie. – Ten człowiek kupuje trupy. Weźmiesz też list, ale nie

do anatoma. Anatomowi nie waży się zdradzić, od kogo przychodzisz, rozumiesz?

– Co to za jeden, o Pani?

SkufBar wyglądał jak chodząca niemoc.

– Nazywa się KaraBansita. Tylko nie wymawiaj przy nim mego imienia. Podobno jest kuty na cztery nogi.

Starając się ukrywać swoje niewesołe myśli przed służbą nigdy nie przypuszczała, że nadejdzie dzień, w którym jej dobre imię będzie zależało od dyskrekcji KaraBansity.

Drewniane, skrzypiące ściany pałacu stały na labiryncie chłodnych podziemi. Kilka piwnic zapełniały sterty lodowych bloków, wyrąbanych z lodowca w dalekim Hespagoracie. O zachodzie obojga słońc majordom SkufBar zszedł do lodowni, trzymając tranową latarnię ponad głową. Za SkufBarem dreptał mały niewolnik, dla pewności uczepiwszy się rąbka jego czarfrala. W swoistej samoobronie SkufBar wyrobił sobie zapadłą pierś, pękaty brzuch i przygarbione plecy, by tym wyraźniej objawiać znikomość własnej osoby i unikać wszelkich możliwych obowiązków. Obrona okazała się nieskuteczna. Królowa wyznaczyła mu robotę. Założył skórzane rękawice i skórzany fartuch. Ściągnął rogożę ze sterty lodu, oddał latarnię chłopcu i chwycił czekan. Dwoma ciosami oddzielił jeden blok od sąsiednich. Taszcząc złom lodu i postękiwaniem okazując, jakie to strasznie ciężkie, wdrapał się pomalutku na schody i dopilnował, by chłopiec zamknął drzwi. Na powitanie wybiegły olbrzymie ogary, patrolujące mroczne korytarze. Nie czekały poznawszy SkufBara. Z blokiem lodu wyszedł tylnymi drzwiami na dziedziniec. Stał i nasłuchiwał, jak chłopiec niewolnik mocno rygluje drzwi od wewnątrz. Dopiero wówczas ruszył przez dziedziniec. Świeciły gwiazdy i niekiedy zamigotała na niebie zorza, oświetlając mu drogę pod drewnianym łukiem nad wrotami stajni. Owionął go zapach łajna mustangów. W mroku czekał rozdygotany stajenny. W Grawabagalinien każdy był niespokojny po zmierzchu, wieść bowiem niosła, że wojownicy poległej armii wyruszają wtedy na poszukiwanie przyjaznych oktaw śródziemnych. Ciemności kryły szereg prze-stępujących z nogi na nogę mustangów.

– Czy gotowy mój wierzchowiec, chłopcze?

– Tak, panie.

Stajenny przysposobił mu jucznego mustanga do drogi. Na grzbiecie zwierzęcia umocował podłużny wiklinowy kosz, używany do przewozu produktów wymagających lodu dla zachowania świeżości. Z ostatnim sieknięciem SkufBar spuścił lodowy blok do kosza, na podściółkę z trocin.

– Teraz bierzmy razem topielca, chłopcze, tylko żebyś mi się nie zerzygał. Wyłowione w zatoce zwłoki leżały w kałuży morskiej wody pod ścianą stajni.

Przywlekli je wspólnie, dźwignęli i ułożyli na lodzie. Z niejaką ulgą domknął wyścielane wieko kosza.

– Ależ toto wstrętnie zimne – rzekł stajenny, wycierając dłonie w czarfral.

– Mało kto lubi ludzkie zwłoki – powiedział SkufBar, ściągając rękawice i fartuch. – Na szczęście lubi je ten astrolog z Ottassolu.

Wyprowadził mustanga ze stajni, mijając przy wale barak kordegardy, z której okien wyglądały zaniepokojone twarze pałacowych gwardzistów. Król przydzielił swej odtrąconej królowej jedynie starych lub tchórzem podszytych ludzi do obrony. SkufBar sam był niespokojny i wciąż strzygł oczyma na wszystkie strony. Niepokoił go nawet odległy huk morza. Przystanął dopiero za obwałowaniem, odetchnął i spojrzął za siebie. Bryła pałacu rysowała się łamanymi konturami na tle mrowia gwiazd. Tylko w jednym jej miejscu jaśniało światółko. Tam stała na balkonie kobieca postać, zwrócona twarzą ku krainie w głębi ładu. SkufBar kiwnął głową, jakby przytakując własnym myślom, skręcił na nadmorską drogę i skierował łeb mustanga ku wschodowi, w kierunku Ottassolu.

Królowa Myrdeminggala dość wcześnie wezwała majordoma. Mimo głębokiej wiary była po kobiecemu przesądna i znaleziony w morzu topielec wzbudził w niej strach. Dopatrzyła się w nim zapowiedzi własnej śmierci. Ucałowawszy księżniczkę TatramanAdalę na dobranoc, odeszła pomodlić się w swej sypialni. Dzisiejszego wieczoru Akhanaba nie natchnął królowej nadzieją, chociaż obmyśliła maleńki plan wykorzystania trupa do złośliwych celów. Żyła w strachu, przeczuwając, co król uczyni z nią – i z jej córką. Dobrze wiedziała, że dopóki żyje, zagraża królowi swoją popularnością, a przed królewskim gniewem nic jej nie obroni. Istniał ktoś, kto może by ją obronił, pewien młody generał, ale akurat walczył w Zachodnich Wojnach i nie odpowiadał na wysłany list. Za pośrednictwem SkufBara wysłała drugi list.

Niebawem do odległego o sto mil Ottassolu miał z jej małżonkiem zawitać poseł Świętego Cesarstwa Pannowalu. Nazywał się Alam Esomberr i przywoził królowej do podpisu akt jednostronnego zerwania małżeństwa. Na myśl o tym przechodził ją zimny dreszcz. Wyprawiła do Alama Esomberra list z prośbą o obronę przed małżonkiem. Umyślnego posłańca zatrzymałby byle patrol królewski, natomiast niepozorny człowieczek z jucznym zwierzakiem przemknął się niepostrzeżenie. Przy kim znajdują trupa, przy tym nie będą szukać listu. List nie był zaadresowany do posła Esomberra, tylko do Jego Świątobliwości CSarra we własnej osobie. C'Sarr miał powody, aby darzyć niechęcią króla, więc chyba przyjmie pobożną królową pod swoje skrzydła i ocali jej życie.

Stojąc bosko na balkonie zapatrzyła się w mrok nocy. W duchu ubawiło ją to, że pokłada tyle wiary w jakimś liście, kiedy cały świat może właśnie zmierza ku śmierci w płomieniach. Spojrzenie królowej powędrowało w stronę północnego horyzontu. Płonęła tam kometa YrapRombra – symbol zagłady dla jednych, zbawienia dla drugich. Krzyknął nocny ptak. Wsłuchiwała się w krzyk jeszcze długo potem, gdy ucichł, tak jak śledzimy nóż bezpowrotnie idący na dno w przezroczyściej toni. Naocznie stwierdziwszy, że jej majordom jest w drodze, wróciła do łóżka i zaciągnęła jedwabne zasłony. Długo leżała z otwartymi oczyma.

Pył nadmorskiej drogi białął w mroku. Krocząc przy swym ładunku SkufBar z obawą zerkał na wszystkie strony. Mimo to aż podskoczył, gdy jakiś człowiek wyszedł z ciemności i kazał mu stanąć. Nieznajomy nosił broń i z postawy wyglądał na żołnierza. Był jednym z ludzi opłacanych przez króla JandolAn-ganola, aby mieli oko na wszystkich, którzy opuszczali pałac bądź przybywali do królowej. Powąchał kosz. SkufBar wyjaśnił, że wiezie zwłoki na sprzedaż.

– Czyżby królowa aż tak cienko przedła? – spytał strażnik, po czym SkufBar ruszył w swoją stronę.

Szedł równym krokiem, czujnie nasłuchując dźwięków innych niż skrzypienie kosza. Na wybrzeżu grasowali przemytnicy i jeszcze gorsze typy. Borlien toczyło Zachodnie Wojny z Randonanem i Kace, toteż bandy żołnierzy, piratów lub dezertersów często plądrowały okolicę. Po dwóch godzinach marszu SkufBar powiódł musłanga do drzewa, które rozpościerało konary ponad drogą. Stąd droga prowadziła stromo pod górę, dalej łącząc się z południowym gościńcem biegnącym z Ottassolu na zachód, do samej granicy z Randonanem. Podróż do Ottassolu zajęłaby całą dobę, bite dwadzieścia pięć godzin, lecz istniały sposoby podróżowania wygodniejsze niż dreptanie u boku objuczonego bydła. Uwiązawszy je pod drzewem SkufBar wlaźł po pniu i zasiadł w niskim rozgałęzieniu. Czekać trochę przysypiał. Obudzony turkotem wozu zsunął się na ziemię i przycupnął na poboczu. W błyskach zorzy na niebie rozpoznał woźnicę. Gwizdnął, usłyszał gwizdnięcie w odpowiedzi, i wóz przystanął pomalutku.

Powozil FloerKraak, jego ziomek z tych samych stron Borlien. Całe lato małego roku wozil raz w tygodniu płody okolicznych gospodarstw na targ. Nie był uczynny, ale nie miał nic przeciwko podwiezieniu SkufBara do Ottassolu, skoro zyskiwał drugie zwierzę na zmianę między dyszle. Stał tylko tyle, by SkufBar uwiązał swą juczną chabetę z tyłu do drabiny i wsiadł na wóz. FloerKraak

strzelił z bata i pojechali. Ciągnął ich płowobrazowy, wytrzymały mustang. Mimo ciepłej nocy FloerKraK wdział na drogę gruby płaszcz i kapelusz z szerokim rondem. Przy koźle sterczał miecz w żelaznym uchwycie. Ładunek stanowiły cztery czarne prosiaki, daktyle, gwing-gwinki i sterta warzyw. Prosiaki huśtały się bezradnie w siatkach za burtami wozu. SkufBar wcisnął plecy w deski oparcia i zasnął z czapką na oczach.

Obudziło go podskakiwanie kół na wyschniętych koleinach. Brzask bielił gwiazdy na powitanie Freyra. Łagodny powiew przynosił zapachy ludzkich siedzib. Pomimo ciemności, które wciąż kryły ziemię, chłopci już byli na nogach, w drodze na pola. Szli cicho jak duchy, czasami tylko pobrzękując niesionymi narzędziami. W swym niespiesznym kroku i pochyleniu głów ku ziemi zachowali pamięć o zmęczeniu, z jakim wczoraj wieczorem wracali do domów. Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, wieśniacy sunęli na różnych poziomach, jedni powyżej gościńca, inni poniżej. Wyłaniający się z wolna pejzaż powstawał z klinów, ukosów, ścian i spłowiełej brązowej barwy, jak maść mustanga. Wieśniacy też należeli do pejzażu tej wielkiej lessowej niziny, zajmującej całą południową część tropikalnego kontynentu Kampaniat. Sięgała prawie granic Oldorando na północy, a na wschodzie rzeki Takissy, nad którą leżał Ottassol. Niezliczone rzesze wieśniaków ryły w tym ile przez niezliczone lata. Kolejne pokolenia wznosiły, rozgrzebywały i na nowo wznosiły te same nasypy, ściany i groble. Nawet w porach takiej suszy, jak obecna, musieli uprawiać lessy ci, których przeznaczeniem było zmuszanie ziemi do rodzenia plonów.

– Prrr... – zawołał FloerKraK, dojeżdżając do przydrożnej wioski.

Grube lessowe wały strzegły skupiska chat przed rozbójnikami. Wyłamane przez zeszłoroczny monsun wrota leżały nie naprawione do tej pory. W ani jednym oknie nie paliło się światło, choć mrok wciąż był gęsty. Kury i gęsi żerowały pod glinianymi ścianami lepianek, na których wymalowano apo-tropaiczne symbole religijne. Trochę wesela miał w sobie jedynie ogień rozpalony w piecyku przed wrotami. Dogładający ognia stary kramarz nie musiał głośno zachwalać swych wypieków – zapach rozchodził się wokoło. Staruch sprzedawał placki. Wychodzący nieprzerwanym sznurem wieśniacy kupowali placki i jedli idąc do roboty.

FloerKraK szturchnął SkufBara pod żebra i wskazał batem sprzedawcę. Zrozumieli się bez słów. SkufBar zlął z wozu i na zeszywniałych nogach poszedł kupić śniadanie dla nich obu. Placki z rozżarzonych szczęk żelaznej formy trafiały wprost do rąk nabywców. Łapczywie pochłonawszy swój placek, FloerKraK przeszedł na tył wozu, gdzie legł do snu. SkufBar zmienił mustangi w zaprzęg, ujął lejce i strzelił z bata.

Dzień się dłużył. Przybyło wozów na gościńcu. Odmienił się krajobraz. W pewnych miejscach gościniec schodził poniżej poziomu terenu, tak że nie było widać nic prócz brunatnych skarp uprawnych pól. W innych biegł szczytem grobli i wtedy mogli podziwiać szeroką panoramę rolniczej krainy. We wszystkich kierunkach ciągnęła się płaska jak stół równina, usiana przecinkami pochyłonych sylwetek. Przeważały linie proste. Pola i dachy były kwadratowe. Drzewa rosły w szpalerach. Rzeki rozprowadzono kanałami i nawet łodzie na kanałach miały prostokątne żagle. Pejzaż pejzażem, upał upałem – tego dnia temperatura przekraczała pięćdziesiąt stopni – a chłopci harowali od świtu do nocy. Warzywa, owoce i przetacznik, główne uprawy rynkowe, wymagały troskliwej pielęgnacji. Zgiętym grzbietom było obojętne, czy pali je jedno słońce, czy oba. Freyr jaśniał okrutnie, w przeciwieństwie do matowoczerwonej tarczy Batahksy Nikt me miał wątpliwości, które z nich panuje w niebiosach Podro/m wracający z położonego bliżej równika Oldorando opowiadali, jak lasy stają w ogniu za sprawą Freyra Mimo powszechnej wiary żeżuz wkrótce Freyr strawi cały świat w požodze, trzeba było nadal okopywać zagony, a delikatne sadzonki zraszać wodą

Wóz zbliżał się do Ottassolu Wioski zmknęły z oczu Jedynie pola sięgały po widnokrąg,

zwodniczo falujący w upale Gościńiec zszedł w wąwóz, pomiędzy dwie ziemne ściany wysokie na trzydzieści stop Wioska zwała się Mordki Zlezli z wozu i wyprzęgli mustanga, który legł między dyszlami dopóki mu nie przyniesiono wody Oba drobne, ciemnej maści zwierzaki padały z nóg ze zmęczenia

Po obu stronach gościńca widniały wyloty wąskich tuneli Promienie słoneczne wpadały do nich równiutko wyciętymi prostokątami światła Z tunelu wyszli na otwarty dziedziniec, głęboki niczym studnia Wydrążona w ziemi karczma zajmowała jedną jego stronę Światło z dziedzińca rozjaśniało wnętrze karczmy Po przeciwnej stronie mieściły się malutkie izby mieszkalne, podobnie wygrzebane w lessie Kwiaty w doniczkach ożywiały ich ochrowe fasady Wieś tworzyła rozciągnięty labirynt podziemnych tuneli i dziedzińców jak odkryte studnie, z których wiele miało schody wiodące na powierzchnię, gdzie teraz pracowała większość mieszkańców Mordek Dachami domostw były pola

Pojedli i popili wina

– On trochę podsmiarduje – zauważył FloerKrak

– Nie żyje JUŻ od jakiegoś czasu Morze go wyrzuciło, a królowa znalazła na plaży Moim zdaniem, został zamordowany najprawdopodobniej w Ottassolu i wrzucony z mola do morza Prąd zniósł trupa do Grawabagahmen

Wracali z karczmy

– Ani chybi zły to znak dla królowej królowych – rzekł FloerKrak Długi kosz leżał z tyłu wozu, przy warzywach Woda z topniejącego lodu ściekała na ziemię, gdzie leniwe spirale pyłu zdobiły marmurkowym wzorem powierzchnię kałuży Muchy brzęczały wokół wozu Wyjechali z wioski, mając JUŻ tylko ostatnie parę mil do Ottassolu

– Kiedy kroi JandolAnganol zechce wyprawić kogoś na tamten świat, to wyprawi

SkufBar aż podskoczył

– Królowa zbyt jest kochana Wszędzie ma przyjaciół Pomacał list w wewnętrznej kieszeni na piersi, znajdując poparcie dla swoich słów Królowa ma potężnych przyjaciół

– A ten woli się zemścić z jedenastoletnią smarkulą

– Jedenaście lat i pięć tennerów

– Co za różnica Obrzydliwość.

– Pewnie, że obrzydliwość – przytaknął SkufBar. – Jedenaście i pół, też coś!

Cmoknął wargami i gwizdnął. Popatrzyli na siebie, wyszczerzywszy zęby w uśmiechu. Wóz ciągnął w stronę Ottassolu, a za wozem ciągnęły muchy.

Wielkie miasto Ottassol było niewidoczne. W chłodniejszych czasach leżało na równinie, dziś równina leżała na nim. Ludzie i fagory mieszkali w podziemnym labiryncie. Na wypalonych słońcami powierzchni pozostały po Ottassolu jedynie drogi i pola, podziurawione prostokątnymi szybami w ziemi. Na dnie tych szybów kryły się miejskie place otoczone fasadami domów, które z zewnętrznych kształtów ocalały tylko te fasady. Miasto było z ziemi i z jej odwrotności, podziemnej pustki, było negatywem i pozytywem gleby, jak gdyby przeżartej przez dżdżownice geometrii.

Ottassol liczył sześćset dziewięćdziesiąt pięć tysięcy mieszkańców. Obszaru portu nie dało się zmierzyć okiem i nawet sami ottassolczycy nie zdawali sobie sprawy z jego ogromu. Łaskawa gleba, klimat i położenie geograficzne sprawiły, że przerósł borlieńską stolicę Matrassyl. Stałą rozbudowę podziemi, często na wielu poziomach, zatrzymała dopiero rzeka Takissa. Pod ziemią biegły brukowane ulice, niejedna dostatecznie szeroka, by pomieścić dwa mijające się wozy.

Taką ulicą SkufBar prowadził objuczonego koszem mustanga. FloerKraka pożegnał na targowisku przy wjeździe do miasta. Za sobą wlokł taki smród, że przechodnie oglądali się, zatykając nosy. Z lodowej bryły została ledwie odrobina wody na dnie kosza.

– Anatom i astrolog – zagadnął przechodnia – Bardol KaraBansita?

– Zaułek Straży.

Przed licznymi tu kościołami nagabywali o jałmużnę wszelkiej maści żebracy, żołnierze ranni w niegdysiejszych bitwach, kaleki, mężczyźni i kobiety o straszliwie spotworniałej skórze. Mijał ich obojętnie.

Pikubiki zanosily się śpiewem w klatkach na każdym rogu i na każdym placu. Nie było dwóch pikubików o podobnych trelach, toteż ptaki służyły jako swoiste drogowskazy nawet dla ślepeca.

SkufBar przewędrował kawałek miejskiego labiryntu, pokonał kilka szerokich stopni w dół do Zaułka Straży, aż dotarł pod drzwi z tabliczką, na której wypisano imię Bardola KaraBansity. Pociągnął za dzwonek. Szczęknął odsuwany rygiel, drzwi stanęły otworem. Na progu stanął fagor w zgrzebnej konopnej szacie. Obojętne spojrzenie wiśniowych oczu uzupełnił pytaniem:

– Czego chcesz?

– Anatomia.

Uwiązawszy mustanga do słupka SkufBar wszedł do małej sklepionej komory. Była tu lada, a za nią drugi fagor. Pierwszy odmaszerował korytarzem, muskając szerokimi barami ściany. Przepchnął się przez kotarę do mieszkalnej izby, której kąt zajmowało łóże. Na łóżu anatom zażywał rozkoszy z małżonką. Znieruchomiał, słuchając tego, co miał do przekazania nieczłowieczy sługa człowieka, po czym westchnął.

– Pies z wami tańcował, zaraz przyjdę. Dźwignął się na nogi i opierając plecy o ścianę podciągnął spodnie oraz wolno i starannie obciągnął czarfral. Małżonka cisnęła w niego poduszką.

– Może choć raz byś zapomniał o innych rzeczach, ośle? I dokończył to, co zacząłeś? Wyrzuć tych głupków.

Pokręcił głową, aż mu się zatrzęsyły pyzate policzki.

– Zegar świata ma swój własny chód, moje śliczności. Pochuchaj, żeby ci nie ostygła do mojego powrotu. Ja nie kieruję krokami ludzi.

Minąwszy korytarz przystanął w progu swej pracowni, by rzucić okiem na przybysza. Z Bardola KaraBansity był potężny chłop, nie tyle wysoki, co zwalisty, o władczyim głosie i masywnej czaszce, może nie mniejszej niż fagorza. Na czarfralu nosił szeroki skórzany pas, a przy nim nóż. Mimo że wyglądał jak zwykły rzeźnik, KaraBansita słusznie uchodził za człowieka kutego na cztery nogi. SkufBar nie mógł zachwycać swym sterczącym brzuszyskiem i zapadłą piersią, i KaraBansita nie krył, że nie jest zachwycony.

– Mam zwłoki do sprzedania, panie. Ludzkie zwłoki. KaraBansita bez słowa skinął na fagory. Poszły po zwłoki, wspólnie je

przyniosły i złożyły na ladzie. Trociny i okruchy lodu obklejały trupa. Anatom i astrolog zbliżył się o krok.

– Trochę skruszał. Skąd to wytrzasnąłeś, człowiecze?

– Z rzeki, panie. Łowiłem ryby.

Gazy tak rozděły ciało od wewnątrz, że wylazło z odzieży. KaraBansita przewrócił trupa na plecy i zza koszuli wyciągnął mu jakąś martwą rybkę. Cisnął ją SkufBarowi pod nogi.

– To jest tak zwany rybkosmoczek. Dla tych spośród nas, którzy kochają prawdę, to w ogóle nie jest ryba, tylko morska larwa wiją wutry. Morska. Słonowodna, nie słodkowodna. Dlaczego łzesz? Czyżbyś zamordował biedaka? Wyglądasz mi na mordercę. Znam się na frenologii.

– Zgoda, panie, jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, znalazłem topielca w morzu, tak jak mówisz. Nie chciałem, żeby to się rozniosło, ponieważ służę królowej. KaraBansita nie spuszczał z niego oczu.

– Więc powiadasz, że służysz Myrdeminggali, królowej królowych, tak, oszuście? Zasluguje na

dobrych pacholków i dobry los, taka piękna pani. Wskazał tanią reprodukcję portretu królowej w kącie pracowni.

– Służę jej chyba nie najgorzej. Ile dostanę za zwłoki?

– Ten szmat drogi przewędrowałeś za dziesięć roonów. ani roona więcej.

W dzisiejszych grzesznych czasach mogę mieć truposza do krajania na każdy dzień tygodnia. I to świeższego niż twój.

– Powiedziano mi, że dostanę pięćdziesiąt, panie. Pięćdziesiąt roonów, panie.

Z chytrym spojrzeniem SkufBar zatarł dłonie.

– Jak to się stało, że zawitałeś tu ze swym cuchnącym przyjacielem w chwili, gdy sam król z posłem Świętego CSarra przybywają do Ottassolu? Masz jakieś powiązania z królem?

SkufBar rozłożył ręce, kuląc się nieco.

– Mam powiązania jedynie z mustangiem przed domem. Zapłać mi, panie, dwadzieścia pięć, a natychmiast wracam do królowej.

– Wy, psiekrwie, wszyscy jesteście chciwi. Nie dziwota, że świat schodzi na psy.

– Skoro tak, panie, to wezmę dwadzieścia. Dwadzieścia roonów. KaraBansita zwrócił się do bliższego z pary fagorów, który stał w pogotowiu, omiatając białawym mleczem nozdrza.

– Zapłać człowiekowi i wyrzuć go za drzwi.

– Ile zzzapłać?

– Dziesięć roonów. SkufBar podniósł lament.

– No dobrze. Piętnaście. A ty, mój dobrodzieju, przekaż swej królowej wyrazy szacunku od KaraBansity.

Pogrzebawszy w konopnej siermiędze fagor dobył chudej sakiewki. SkufBar porwał trzy złote monety z wyciągniętej ku niemu sękatej dłoni o trzech palcach. Z markotną miną pośpieszył do drzwi.

KaraBansita z miejsca polecił jednemu ze swych nie ludzi zarzucić trupa na ramię – co zostało spełnione bez widocznej odrazy – i podążył za nim przez mroczny korytarz, pełen osobliwych woni. Anatom równie dobrze znał się na gwiazdach, jak i na jelitach, a jego domostwo, z kształtu podobne trochę do kiszki i wijące się daleko w głąb lessu, miało osobne wejścia do pracowni tak licznych, jak liczne były zainteresowania gospodarza. Wkroczyli do prosektorium. Promienie słońca wpadały ukośnie przez dwa kwadratowe okienka w ziemnych ścianach, grubych jak wał forteczny. Fagor stawiał swe płaskie stopy wśród roziskrzonych drobin światła. Do złudzenia przypominały brylanty. Były to szklane okruchy rozsiane przez astrologa w trakcie obróbki soczewek.

Panował tu naukowy bałagan. Na jednej ścianie wymalowano dziesięć domów zodiaku. Na JiBAY trzy ciała – wielkiej ryby, mustanga i fagora, w różnych stadiach dysekcji. dyslanga otworzono niczym księgę, usunąwszy

miękkie części dla(r)iażenią^ebeŁ ^kręgosłupa. Na pobliskim stole leżały karty •aa ^ ag papieru, na których KaraBansita wykonał szczegółowe rysunki anatomiczne martwego zwierzęcia, kolorowymi tuszami barwiąc różne części.

Fagor zrzucił grawabagalinięskie zwłoki z barków i zaczepił je do góry nogami na drążku, wbijając dwa haki pomiędzy ścięgna piętowe a kości. Wywichnięte ramiona zwisły, dłonie jak kraby spoczęły na posadzce. KaraBansita odprawił kuksańcem pomocnika. Nie znosił ancypitów, którzy byli jednak tańsi niż służba, a nawet niż niewolni ludzie.

Krytycznie przyjrząwszy się zwłokom KaraBansita wyciągnął nóż i rozciął ubranie trupa. Nie zważał na smród rozkładu. Nieboszczyk był młody, miał dwanaście lat, może dwanaście i pół, najwyżej dwanaście i dziewięć tennerów. Ubrany był prosto i z cudzoziemska, ostrzyżony na marynarską modłę.

– Z Borlien to ty chyba nie jesteś, mój przystojniaku – powiedział KaraBansita do trupa. – Pewnikiem z Dimariammu – ubranko modne w Hes-pagoracie.

Fałda wzdętego brzucha nakrywała pas zapięty na gołym ciele. KaraBansita odpiął pas. Brzuch nagle oklapł, odsłaniając ranę. Anatom naciągnął rękawiczkę i wraził w ranę palec. Napotkał przeszkodę. Po kilku próbach wyszarpnął zakrzywiony, szary róg ancipicki, który przebiwszy śledzionę utknął głęboko w trzewiach. Zaciekawiony obejrzał róg. Para ostrych krawędzi czyniła z rogu poręczną broń. Brakowało rękojeści, w jakiej był kiedyś osadzony – zapewne zabrało ją morze. Z nowym zainteresowaniem popatrzył na topielca. Zagadka zawsze sprawiała mu przyjemność. Odłożywszy róg zajął się pasem. Przedniej roboty, ale pospolity, do nabycia wszędzie, na przykład w Osoilimie, gdzie pielgrzymi na pęczki sprzedawali takie wyroby. Po wewnętrznej stronie była mała kieszonka zapinana na zatrzask. KaraBansita odpiął zatrzask. Z kieszonki wyjął przedmiot niepojęty. Marszcząc czoło położył to coś na swej dużej, upapranej dłoni i podszedł do światła. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Nawet nie potrafił rozpoznać metalu, z jakiego zostało to wykonane. Zabobonny lęk targnął trzeźwą duszą anatoma. Mył przedmiot pod pompą, usuwając resztki krwi i piasku, gdy do pracowni zajrzała jego żona, Bindla.

– Bardol? Co ty tu jeszcze robisz? Myślałam, że wracasz do łóżka. Wiesz, czego pilnowałam dla ciebie, żeby nie ostygło?

– Rozkosznej rzeczy, ale mam coś do roboty.

Posłał jej jeden ze swych poważnych uśmiechów. Była w średnim wieku – dwadzieścia osiem lat i jeden tenner, prawie o dwa lata młodsza od małżonka – i trochę już siwiały jej bujne kasztanowe włosy, ale wciąż go zachwycała pozą kobiety świadomej swych dojrzałych wdzięków. Właśnie uroczym marszczyła nos z przesadną odrazą do zapachów w pracowni.

– Żebyś chociaż pisał swój traktat o religii, czym się zwykle wykręcasz.

– Wolę te smrody – mruknął.

– Zboczeniec. Religia jest wieczna, a smrody nie.

– Wręcz przeciwnie, moje ty długopięknonogie slichności religie zmienia się bez przerwy Tylko smrody są wiecznie te same

I to cię raduje? Nie odpowiedział, wycierając szmatką do sucha swe cudowne znalezisko

– Popatrz na to

Zbliżywszy się położyła mu dłoń na ramieniu

– Na Patrzyćielkę' – wykrzyknął w nabożnym podziwieniu Bindli zapało dech, gdy podsunął jej cudo przed oczy Pasek misternej metalowej plecionki niby bransoleta, a w mej przezroczysta płytki, w której świeciły trzy grupy cyfr Wodząc palcem odczytał cyfry na głos razem T Bmdlą

06 16 ^5 12 37 76 19 20 14

Cyfry migają i zmieniały się na ich oczach Oniemieli ze zdumienia małżonkowie spojrzeli na siebie I ponownie na c\terki

– Nigdy me widziałam takiego amuletu – ze strachem powiedziała Bmdla

Znów się zagapili jak urzeczeni Cyferki były czarne na złotym tle KaraBansita odczytał je głośno

06 20 25 13 00 00 19 23 44

Przytknął urządzenie do ucha, nasłuchując, czy wydaje jakiś dźwięk, ale w tej samej chwili wahadłowy zegar na ścianie za jego plecami zaczął wybijać trzynastą Ten zegar o skomplikowanym mechanizmie zbudował KaraBansita za swych młodych lat W pogładowy sposób zegar KaraBansity wskazywał pory wschodów i zachodów obu słoń, Batahksy i Freyra, oraz jednostki rachuby czasu – sto sekund w minucie, czterdzieści minut w godzinie, dwadzieścia pięć godzin w dobie, osiem dni w tygodniu, sześć tygodni w tennerze i dziesięć tennerów w roku mającym czterysta osiemdziesiąt dni

Osobny wskaźnik tysiąca ośmuset dwudziestu pięciu małych lat w Wielkim Roku akurat zatrzymał się na cyfrze 381, aktualnym roku według borlienooldorandzkiego kalendarza

Bmdla też przyłożyła ucho do bransolety i też nic nie usłyszała

– Czy to jakiś zegar?

– Chyba tak Środkowe cyfry wskazują godzinę trzynastą czasu borhen-skiego

Zawsze potrafiła poznać, kiedy był zbity z tropu Teraz też gryzł kostkę palca jak małe dziecko

Zobaczyła rząd guziczków na powierzchni bransolety Przycisnęła jeden Trzy grupy innych cyfr pojawiły się w okienkach

6877 828 3269 (1177)

– Pośrodku jest rok według któregoś ze starych kalendarzy. Jak to działa? Wcisnął guziczek i wróciły poprzednie cyfry. Umieścił bransoletę na stole i pożerał ją oczyma, dopóki Bindla nie wsunęła jej sobie na rękę. Dopasowując się, bransoleta natychmiast opięła pulchny nadgarstek. Bindla pisnęła.

KaraBansita podszedł do półki, na której stały sfatygowane uczone księgi. OmiJając starożytny fblidl Testament RayniLayana. wyciągnął oprawne w cielejącą skórę Tablice kalendarzowe wieszczków i astrologów'. Przerzuciwszy kilka stron, zairzy[^]ał s'e na jednej i zaczął jechać palcem w dół kolumny. Mieli, co prawda, rok 381 zgodnie z kalendarzem boriienooldorandzkim, jednak nie była to powszechnie przyjęta rachuba. Inne nacje stosowały inne rachuby, wymienione w Tubfc[^]ch; data 828 była wymieniona. Znalazł ją w zarzuconym dennisarzu, obecnie związanym z magią i okultyzmem. Imię Denniss nosił legendarny król, rzekomo panujący nad całym Kampaniatem.

– Środkowe okienko bransolety podaje czas miejscowy... – ponownie wsunął kostkę palca między zęby. – Pomyśleć, że toto wytrzymało pobyt w morzu. Gdzież są dziś mistrzowie, którzy by potrafili zrobić taki klejnot? Musiał jakimś cudem przetrwać od czasów Denmssa...

Ujął żonę za nadgarstek i razem śledzili ruchliwe cyferki. Oto znaleźli czasomierz nie mający sobie równego pod względem konstrukcji mechanizmu, pewnie i pod względem wartości, na pewno najbardziej zagadkowy przedmiot na świecie. Gdziekolwiek byli mistrzowie – twórcy tej bransolety, musiało to być daleko od Borlien w tym stanie upadku, do którego doprowadził je król JandolAnganol. Jeszcze Ottassol trzymał się jako tako, gdyż port prowadził handel z innymi krajami. Gdzie indziej panowały gorsze warunki – susza, głód i bezprawie. Wojny i utarczki wykrwawiały kraj. Jakiś polityk zręczniejszy od króia, wspierany radami mniej skorumpowanej skritiny, czyli parlamentu. zawarłby pokój z wrogami Borlien i zapewnił dobrobyt ludności własnego kraju. A przecież nie sposób było – choć KaraBansita wciąż nie dawał za wygraną – nienawidzić JandolAnganola, skoro król nie zawahał się zrezygnować ze swojej pięknej żony, królowej królowych, aby poślubić głupiutką smarkulę– półmadiskę. Po cóż Orzeł by miał tak postępować, jeśli nie w celu przypieczętowania sojuszu Borlien z jej odwiecznym wrogiem, Oldorando, dla dobra kraju? JandolAnganol to człowiek niebezpieczny, bez dwóch zdań, lecz tak samo obrywa od losu, jak najpokorniejszy wieśniak. Wiele zawinił pogarszający się klimat. Furia żaru rosła z pokolenia na pokolenie, aż nawet drzewa zaczęły płonąć...

– Nie śnij na jciwie – krzyknęła Bindla. – Weź mi zdejmij tę dziwną rzecz z ręki.

II. GOŚCIE W PAŁACU

Prolog wydarzenia, które budziło lęk w królowej, już się rozegrał. Król

JandolAnganol wyruszył do Grawabagalinien, aby wziąć rozwód z małżonką. Od Matrassyłu, stolicy Borlien, miał pożeglować w dół rzeki Takissy do Ottassolu, a dalej przybrzeżną galerą na zachód, do wąskiej zatoki Grawabagalinien. W obecności świadków król wręczy królowej dispensę rozwodową, wydaną przez Świętego C'Sarra. Po czym się pożegnają, pewnie na zawsze. Od kiedy powziął ten plan, wzbierała w nim złość na cały świat.

Straż pałacowa we wspaniałym ordynku oraz napastliwe dźwięki trąb towarzyszyły paradnej karocy królewskiej przez całą drogę w dół od pałacu na wzgórzu i przez kręte uliczki Matrassyłu aż do nabrzeża. W karocy dotrzymywał królowi kompanii jedynie ulubiony faworyt Juli. Ten pozbawiony rogów fagorzy miodek jeszcze miał ciemne włosy w białym futrze. Siedział naprzeciwko swego pana, wierząc się niespokojnie na myśl o rzecznej podróży. Kapitan przycumowanej galery wystąpił i dziarsko zasalutował królowi wysiadającemu z karocy.

– Odbijamy jak najszybciej – rzekł JandolAnganol.

Królowa popłynęła na wygnanie z tej samej przystani kilka tennerów temu. Na brzegu rzeki stały gromadki matrassyliczków ciekawych widoku króla o tak dwuznacznej reputacji. Swego władcę przyszedł pożegnać burmistrz. Ani się to umywało do wiwatów tłumu i pożegnalnej owacji na cześć odpływającej królowej Myrdeminggali.

Król wkroczył na pokład. Suchy stukot drewnianej kołatki zabrzmiał jak kłaśnięcia kopyt na bruku. Wioślarze uderzyli wiosłami. Zluzowano żagle. Podczas odbijania galery od przystani JandolAnganol obejrzał się gwałtownie i utkwiał wzrok w burmistrzu Matrassyłu stojącym na moło wśród grona rajców wyprężonych sztywno, jakby połknęli kije. Pochwyciwszy królewskie spojrzenie burmistrz kornie schylił głowę, lecz JandolAnganol wiedział, że dostojnika dusi wściekłość. Burmistrz miał władcy za złe wyjazd ze stolicy w chwili, gdy grozi jej niebezpieczeństwo z zewnątrz. Wykorzystując wojnę Borlien przeciwko Randonanowi na zachodzie, dzikie ludy Mordriatu chwyciły za broń na północnym wschodzie. Zasepione oblicze burmistrza przesłoniła rufa galery i król odwrócił spojrzenie od przystani. Poniekąd przyznawał w duchu rację burmistrzowi. Z niespokojnych górskich hal i połonin Mordriatu dochodziły wieści, że wódz Unndreid Młot znowu wstąpił na wojenną ścieżkę. Dla podniesienia ducha bojowego Północnym Korpusem Borlieńskim powinien dowodzić królewski syn RobaydayAnganol. Lecz RobaydayAnganol zniknął w dniu, w którym usłyszał o planowanym rozwodzie ojca z matką.

– I ufaj tu synowi... – rzucił JandolAnganol na wiatr. Winił syna również za konieczność podjęcia tej swojej podróży. Z nieruchomą twarzą spoglądał na południe, jak gdyby wypatrując tam dowodu wierności. Cienie takielunku zdobiły deski pokładu misterną siecią. Freyr podwoił cienie, wstając w pełnym blasku. Wówczas Orzeł udał się na spoczynek.

Schronienie zapewniał mu jedwabny baldachim nad rufówką galery. Tutaj król z towarzyszami u boku spędził większość tej trzydniowej podróży. Kilka stóp poniżej tego miejsca dla uprzywilejowanych siedzieli przy wiosłach na wpół nadzy niewolnicy, ludzie i przeważnie Randonañczy, gotowi wspomóc żagle, gdy zawiedzie wiatr. Ich fetor niekiedy zalatywał pod baldachim, mieszając się z wonią smoły, drewna i smrodu z zęzy.

– Zatrzymamy się w Osoilimie – zarządził król.

W Osoilimie, miejscu rzecznych pielgrzymek, zamierzał udać się do świątyni na biczowanie. Jako człowiek religijny pragnął, by Wszechmocny Akhanaba stanął przy nim w mającej nadejść godzinie

próby.

JandolAnganol był postaci wyniosłej i posępnej. W wieku dwudziestu pięciu lat i paru tennerów wciąż był młodym mężczyzną, choć bruzdy zryły jego władcze oblicze, nadając mu wyraz mądrości, której, zdaniem wrogów, wcale nie posiadał. Głowę nosił dumnie, na podobieństwo swoich łownych sokołów. Właśnie głowa króla ściągała powszechną uwagę, stanowiąc jakby ucieleśnienie głowy państwa. Ostra krawędź nosa, srogie czarne brwi oraz przyszczyżona broda i wąsy, nieco przysłaniające zmysłowe usta, wszystko to podkreślało orli wyraz twarzy JandolAnganola. Oczy miał czarne i bystre; od przenikliwości spojrzenia tych oczu, przed którymi nic się nie ukryło, otrzymał zrodzony po jarmarkach przydomek – Orzeł Borlien. Ludzie z najbliższego otoczenia króla, znawcy charakteru człowieka, twierdzili, że ten orzeł jest zawsze zamknięty w klatce i że królowa królowych nadal ma kluczyk do tej klatki. Na JandolA nganolu ciążyło przekleństwo khmiru, co najlepiej się wykłada jako bezosobowa чуć. całkiem zrozumiała w tak upalnych porach. Częste i szybkie ruchy głową, wyraźnie nieprzystające do spiętego w bezruchu ciała, wyrażały nerwowy tik człowieka, który łudził się, że widzi wyjście z każdej sytuacji.

Obrzęd w czeluściach wysokiej skały Osoilimy trwał krótko. JandolAnganol w przesiąkniętym krwią kaftanie wrócił na pokład i galera pożeglowała dalej. Nie wytrzymując okretowych smrodów król spał nocą na odkrytym pokładzie, na materacu z łabędziego puchu. U nóg króla spał fagorzy miodek Juli.

W dyskretnej odległości za królewską galera żeglował drugi statek, przerobiony z bydłowca. Płynęli nim najwierniejsi królewscy żołnierze z Pierwszej Gwardii Fagorzej. Po południu trzeciego dnia podróży transportowiec zbliżył się do galery, osłaniając ją przy wchodzeniu do wewnętrznego portu w Ottassolu. Bandery oklapły na masztach w dusznej ottassolskiej spiekocie. Tłum zebrał się u nabrzeży. Wśród flag i rozmaitych patriotycznych transparentów widniały też bardziej ponure hasła: IDZIE POŻAR – SPŁONĄ MORZA albo NIE ŻYJESZ Z AKHĄ – UMRZESZ Z FREYREM. Korzystając z okresu powszechnego niepokoju Kościół próbował skruszyć zatwardziały grzeszników.

Spomiędzy portowych magazynów dumnie wymaszerowała orkiestra i rozpoczęła hymn królewski. Jego Królewska Mość zszedł po trapie przy akompaniamencie skąpych oklasków. Komitet powitalny tworzyli członkowie skritiny i miejscy notable. Znając charakter Orła, jak mogli skracali swoje przemówienia, a i mowa króla była krótka.

– Zawsze jesteście szczęśliwi odwiedzając Ottassol i widząc, jak rozkwita nasz największy port. Nie mogę tu długo zabawić. Wiecie, że czekają nas wielkie wydarzenia. Mam niezłomną wolę wziąć rozwód z królową Myrdeminggalą na mocy rozwodowej dyspensy Wielkiego C'Sarra Kilandera IX, Głowy Świętego Cesarstwa Pannowalu i Świętego Ojca Kościoła Akhanaby, któremu wszyscy służyliśmy w Bogu. Po okazaniu dyspensy królowej w obecności, jak nakazuje mi prawo, pełnomocnych świadków Świętego C"Sarra i po oddaniu dyspensy Świętemu C'Sarrowi będę mógł pojąć i pojmę za prawowitą małżonkę Simodę Tal, córę Oldorando. W ten sposób małżeńskim związkiem potwierdzę związek naszego kraju z Oldorando, ożywię nasze starożytne przymierze i utrwale wspólne przynależność do Świętego Cesarstwa. Zjednoczeni pobijemy naszych wspólnych wrogów i Borlien będzie wielkie, jak za dni naszych praocjów.

Rozległy się niemrawe wiwaty i brawa. Większość słuchaczy pośpieszyła obejrzeć wyładunek fagorzeckiego wojska ze statku. Król zrezygnował ze zwyczajowej keedrany na rzecz czarno-żółtego kaftana bez rękawów, wystawiając na pokaz muskularne ramiona. Spodnie z żółtego jedwabiu ciasno opinały mu nogi. Miał juchtowe buty z wywinętymi cholewami. U pasa krótki miecz. W czarnych włosach nosił wplecione złote koło Akhanaby, z którego łaski władał królestwem. Mierzył komitet

powitalny wzrokiem bazyliuszka. Pewnie spodziewali się usłyszeć coś konkretniejszego. Sęk w tym, że królowa Myrdeminggala budziła w Ottassolu miłość równie wielką, jak w Matrassylu. Rzuciwszy krótkie spojrzenie swojej świcie JandolAnganol obrócił się na pięcie i odszedł dumnym krokiem. Przed nim leżały lessowe klify, niskie i szkaradne. Na nabrzeżu rozpostarto pas żółtej tkaniny pod królewskie stopy. Wyminął ją i na przełaj doszedł do podstawionej karocy. Forys zamknął za nim drzwi pojazdu, który natychmiast odjechał. Przebył sklepioną bramę i z miejsca zatonął w labiryncie Ottassolu. Za karetą podążyła fagorza gwardia.

Do wielu rzeczy, których nienawidził, JandolAnganol zaliczał swój ottassol-ski pałac. Humoru nie poprawił mu witający go w progu królewski wikariusz, układny AbstrogAthenat o gębie eunucha.

– Wielki Akhanaba z Wami, Panie, szczęście to dla nas ujrzeć oblicze Waszej Królewskiej Mości i gościć Waszą Królewską Osobę wśród nas w chwili, gdy z Randonanu doszły złe wieści o Drugim Korpusie.

– O wojskowych sprawach opowiedzą mi wojskowi – rzekł król, wkraczając do westybulu.

W środku panował chłód, wciąż ten sam miły chłód, mimo coraz gorętszych pór roku, jednak podziemny charakter budowli przygnębiał króla. Przypominał mu dwa lata zakonnej młodości, spędzone w Pannowalu. Jego ojciec, YarpalAn-ganol, ogromnie tu wszystko rozbudował. Chcąc usłyszeć pochwałę z ust syna, zapytał go, jak mu się nowa siedziba podoba.

– Zimna, przeogromna, źle zaplanowana – brzmiała odpowiedź księcia. Zupełny nieuk w sprawach sztuki wojennej, YarpalAnganol, jak zwykle, nie dostrzegął, że podziemnego dworzyszczka nigdy się nie da skutecznie bronić. Dzień napadu na pałac utkwiał w pamięci JandolAnganola. Miał wtedy trzy lata i jeden tenner. Z drewnianym mieczykiem hasał po podziemnym dziedzińcu. Naraz jedna z gładkich lessowych ścian poszła w rozsypkę. Wyskoczyło z niej kilkunastu zbrojnych buntowników. Niepostrzeżenie dokonali podkopu. JandolAnganol najchętniej by zapomniał, że wrzasnął ze strachu, nim zaatakował ich swym drewnianym mieczykiem. Szczęśliwym trafem na dziedzińcu odbywała się odprawa wart pod bronią. W zażartej potyczce wybito napastników do nogi. Było to podczas jednej z licznych wówczas rebelii, które YarpalAnganol tłumił bez zbytej surowości. Nielegalny tunel włączono później do pałacowej zabudowy.

Dzisiaj stary król siedział zamknięty w lochu matrassylskiej twierdzy, a warty złożone z ludzi i ancipitów pilnowały korytarzy i dziedzińców ottassol-skiej rezydencji. JandolAnganol mijał kręte korytarze zerkając na niemych wartowników tak, jak gdyby chciał zabić każdego przy najmniejszym poruszeniu.

Wiść o złym humorze władcy rozeszła się wśród dworzan. Przygotowano bal, aby go rozweselić. Najpierw jednak musiał wysłuchać raportu o sytuacji na zachodniej rubieży. W górach Chwartu kompania Drugiego Korpusu wpadła w zasadzkę przeważających sił przeciwnika. Walczyła do zmierzchu, a jej niedobitki, ratując się ucieczką, ostrzegły główne siły. Ranny żołnierz przekazał do Ottassolu meldunek semaforowym telegrafem wzdłuż Południowego Gościńca

– Co z generałem TolramKetmetem?

– Walczy, Panie – odparł kurier

JandolAnganol wysłuchał raportu niemalże bez uwagi, po czym zszedł do prywatnej kaplicy na modlitwę i biczowanie Cięgi z rąk lubieżnego Abstrog-Athenata sprawiały prawdziwy boi

Dwór mało się przejmował losami wojsk, odległych o niemal trzy tysiące mil – ważniejsze były humory króla, które mogły zwarzyć nastrój wieczornej zabawy Chłosta Orła służyła więc wspólnemu dobru

Spiralne schody wiodły w dół do królewskiej prywatnej kaplicy Ten ponury, na pannowalską modłę zaprojektowany przybytek, został wyżłobiony w podles-sowej glinie, do wysokości pasa

wyłożonej ołowiową blachą, a od pasa wzwyż – kamieniem Wilgoć łączyła się w krople wody i miniaturowe kaskady Pod witrażowymi kloszami płonęły lampy Snopy światła rozwiesiły prostokąty barw w zawiłgłym powietrzu Przy dźwiękach żałobnej muzyki królewski wikariusz wyjął zza bocznej ściany ołtarza dziesięciorzemienną dyscyplinę Na ołtarzu stało Koło Akhanaby o dwóch falistych promieniach łączących zewnętrzny krąg z wewnętrznym Nad ołtarzem czerwienił się i złocił gobelin przedstawiający Wielkiego Akhanabę w chwale przeciwstawnych bytów Jednego-w-Dwojcy człowieka i boga, dzieciątka i bestii, tego, co doczesne, i tego, co wiekuiste, ducha i kamienia

JandolAnganol utkwiał spojrzenie w zwierzęcym obliczu bóstwa Czczył je całym sercem Przez całe życie, od młodzieńczych lat spędzanych w pannowal-skim monastyrze, rządziła nim religia Z kolei on sam miał dzięki mej władzę nad poddanymi Niewoliła dworzan i lud To właśnie powszechna wiara w Akhanabę jednoczyła Borlien, Oldorando i Pannowal w chwiejnym przymierzu Bez Akhanaby wszędzie by zapanował chaos i wrogowie cywilizacji wzięliby górę

AbstrogAthenat skinieniem nakazał przyklęknąć królewskiemu grzesznikowi i wygłosił krótką modlitwę nad jego głową

– Przychodzimy do Ciebie, Wielki Akhanabo, błagając o grzechów odpuszczenie i brocząc krwią winy Wszystkie występki człowieka są Tobie ranami, Wielki Uzdrowicielu, i czynią Ciebie słabym, o Wszehmocny Przeto wodzisz nas pomiędzy Ogniem i Lodem, aby nasze cielesne powłoki tu na Helikonn doświadczyły wiecznych mąk Żaru i Mrozu, jakich Ty gdzie indziej doświadczasz za nas Przyjmij nasze cierpienie, o Wielki Boże, jako i my przyjmujemy Twoje

Rzemienie smagały królewskie plecy AbstrogAthenat był młodzieńcem zmewieszciałej natury, ale rękę miał ciężką i sumiennie wypełniał wolę Akhanaby.

Po obrzędku pokutnym nastąpił obrządek kąpieli i powrót na górę, na hulankę. Tu miast bata fruwały w tańcu spódnice. Muzyka była skoczna, muzykanci tłuści i roześmiani. Król też przybrał twarz uśmiechem i nosił go niby zbroję, nie mogąc zapomnieć, jak obecność królowej Myrdeminggali rozjaśniała niedawno tę salę. Ściany przybrano półdniowymi kwiatami, idrydami i pachnącym gradowinem. Piętrzyły się sterty owoców, połyskiwały dzbany z czarnym winem. Głód kochał wieśniaków, omijał pałace.

JandolAnganol siadł i raczył się orzeźwić czarnym winem, własną ręką dodając soku i lodu z Lordrardry do pucharu. Będzie, rzecz jasna, musiał żyć ze smarkatą księżniczką Simodą Tal pod jednym dachem pałacu w Matrassyłu, ale któż mu ją każe odwiedzać w łóżku. Doprowadzi swój plan do końca. O niczym innym nie myślał. Wzrokiem szukał na sali posła C'Sarra, dwornego Alama Esomberra. Poznał Alama podczas dwóch lat pobytu w pannowalskim monastyrze i przyjaźnili się od tamtej pory. Ten potężny dostojnik był Jandol-Anganolowi potrzebny do unieważnienia małżeństwa, prawo wymagało bowiem, aby osobisty wysłannik Kilandera IX został świadkiem składania przez króla i królową podpisów na rozwodowej dyspensie i dostarczył C'Sarrowi podpisany dokument. Esomberr powinien już siedzieć obok króla.

Posel Esomberr został jednak zatrzymany niemalże w progu swojej komnaty. Jakiś brzuchaty niechlujny człowieczek o rzadkich tłustych włosach i w zabrudzonym stroju podróżnym wygadał sobie dostęp do jego wypudrowanej poselskości.

– O ile dobrze zrozumiałem, nie przynosisz mi rachunku od krawca? Zaprzeczając, niechlujny człowieczek wyjął z wewnętrznej kieszeni list.

Wręczył go posłowi. Wiercąc się stał i patrzył, jak Esomberr eleganckim ruchem łamie pieczęć.

– List ma być, panie, przekazany... dalej przekazany. Do rąk własnych CSarra we własnej osobie, za przeproszeniem jaśnie pana.

– Ja zastępuję C'Sarra w Borlien, mój łaskawco – rzekł Esomberr. Przeczytał list, kiwnął głową i dał doręczycielowi srebrniaka. Człowieczek odszedł mruczając coś pod nosem. Opuściwszy podziemny dwór skierował się ku uwiązanemu musłangowi i ruszył w drogę powrotną do Grawabagalinien, aby donieść królowej o swym sukcesie.

Uśmiechając się do siebie nuncjusz potarł koniuszek nosa. Był smukłym, przystojnym mężczyzną w wieku dwudziestu czterech i pół roku, wystrojonym w bogatą, powłóczystą keedrantę. Powachlował listem. Kazał słudze przynieść portret królowej Myrdeminggali i długo wlepiał oczy w podobiznę. Z każdej nowej sytuacji, zarówno prywatnej, jak i politycznej, należało wyciągać korzyści osobiste. Grawabagalinińska wycieczka może mu dostarczyć przyjemności, jeśli potrafi z niej skorzystać. Obiecywał sobie, że w Grawabagalinien zastąpi przykazania religijne nakazami rozkoszy.

Z chwilą wejścia królewskiej galery do portu mężczyźni i kobiety jęli się gromadzić na zewnętrznym dziedzińcu pałacowym, szukając posłuchania u króla. Zgodnie z prawem wszelkie suppliki musiały przechodzić przez skritinę, lecz trudno było wykorzenić starodawny zwyczaj wnoszenia prośb bezpośrednio przed oblicze władcy. Król przedkładał pracę nad bezczynność. Dość mając czekania i patrzenia, jak dworacy wirują w tańcu do utraty tchu, rozpoczął audiencję w sąsiedniej komnacie. Od czasu do czasu głąskał Juliego, który przycupnął pod niewielkim tronem.

Jako trzeci suplikant stanął przed królem KaraBansita. Na swój czarfral narzucił wyszywany kaftan. JandolAnganol rozpoznał anatoma po dumnym kroku i ze zmarszczonym czołem odebrał ceremonialny ukłon złożony w stronę tronu.

– To jest KaraBansita, Panie – ogłosił kanclerz nowicjusz, stojący po prawicy króla. – Masz jego anatomiczne atlasy w bibliotece królewskiej.

– Pamiętam ciebie – rzekł król. – Jesteś przyjacielem mojego byłego kanclerza Sartoriirwrasza.

KaraBansita przymrużył nabiegłe krwią oczy.

– Tuszę, że Sartoriirwrasz cieszy się życiem, pomimo że jest byłym kanclerzem.

– Jeśli ucieczkę do Sibornalu można nazwać radością życia. Czego żadasz ode mnie?

– Najsamprzód krzesła, Panie, nogi mnie bolą od stania. Mierzyli się wzrokiem. Wreszcie król skinął na pazia, by przysunął krzesło pod tronowe podwyższenie. Usadowiwszy się niespiesznie KaraBansita powiedział:

– Znając Waszą Królewską Mość jako człowieka uczonego, chciałbym Wam pokazać pewien, moim zdaniem, bezcenny drobiazg.

– Jako człowiek to ja jestem głupi i nie znam się na pochlebstwach. Jako król Borlien interesuję się wyłącznie polityką i trwałością granic mojego królestwa.

– Cokolwiek robimy, tym lepiej nam idzie, im więcej wiemy. Łacniej złamię człowiekowi rękę, jeśli wiem, jak działają jej stawy.

JandolAnganol roześmiał się. Nieczęsto można było usłyszeć ten chrapliwy śmiech z jego ust. Pochylił się w przód.

– Cóż pomoże nauka na rosnące szaleństwo Freyra? Nawet Wszechmocny Akhanaba jak gdyby nie miał władzy nad Freyrem. KaraBansita przeniósł spojrzenie na podłogę.

– Nie znam się na Wszechmocnym, Wasza Królewska Mość. On się do mnie nie odzywa. W zeszłym tygodniu jakiś dobroczyńca ludzkości wysmarował mi na drzwiach hasło "bezbożnik" i mam teraz wizytówkę.

– Zadbaj więc o swoją duszę. – Król spuścił z tonu, mówił ciszej i mniej napastliwie. – Jako astrolog co powiesz o zalewającym nas skwarze? Czy rodzaj ludzki zgrzeszył tak ciężko, że wszyscy musimy zginąć w ogniu Freyra? Czy kometa na północnym nieboskłonie jest zwiastunem bliskiej zagłady, jak głosi lud?

– Ta kometa, Wasza Królewska Mość, Kometa YrapRombra, jest zwiastunem nadziei. Mógłbym rzecz dokładnie wyłożyć, lecz nie chcę nadużywać Waszej cierpliwości astronomicznymi kalkulacjami. Kometa nosi imię mędrca – kartografa i astronoma – YrapRombra z Kiwazji. On sporządził pierwszą mapę helikońskiego globu, umieściwszy Ottassaal, jak wówczas zwano nasze miasto, w środku mapy, on też nazwał kometa. Było to tysiąc osiemset dwadzieścia pięć lat temu – jeden Wielki Rok. Powrót komety dowodzi, że my krążymy wokół Freyra tak samo, jak kometa, i że z tego zbliżenia wyjdziemy najwyżej leciusieńko osmaleni!

Król ważył coś w myślach.

– Dajesz mi odpowiedź nauki, tak jak Sartoriirwrasz. Musi być również jakaś odpowiedź religii na moje pytanie. KaraBansita przygryzł kostkę palca.

– Co ma Święte Cesarstwo Pannowalu do powiedzenia na temat Freyra? Ze względu na Akhę Pannowal boi się wszelkich zjawisk niebieskich, dlatego uczynił z komety po prostu straszaka na ludzi. Znow ogłasza święte halali, żeby usunąć fagorów spośród nas. Kościół argumentuje, że jeśli wyrzniemy te pozbawione duszy istoty, to zaraz klimat się ochłodzi. Jednak, o ile dobrze rozumiem, w latach lodu Kościół utrzymywał, że też same bezbożne fagory sprowadziły mróz. Więc w tej koncepcji buakuje logiki, jak w każdej koncepcji religijnej.

– Nie nadużywaj mojej cierpliwości. Kościół w Borlien – to ja.

– Wybacz, Wasza Królewska Mość. Po prostu mówię prawdę. Jeśli ona Was obraża, odpraw mnie, tak jak odprawiłeś Sartoriirwrasza.

– Wspomniany twój przyjaciel był za wybiciem fagorów do nogi.

– I ja, Panie, jestem za tym, chociaż sam się nimi wysługuję. Jeśli mi wolno znow powiedzieć prawdę, to niepokoi mnie Wasza słabość do ancipitów. Ale ja bym ich nie zabijał z jakichś głupich religijnych powodów. Zabijałbym, bo one są odwiecznym wrogiem ludzkiej rasy.

Orzeł Borlien walnął dłonią w poręcz tronu, aż kanclerz nowicjusz podskoczył.

– Dość tego. Gadasz od rzeczy, zuchwały gęgaczu. KaraBansita skłonił głowę.

– Wasza wola, Panie. Władza poraża głuchotą tych, którzy nie chcą słuchać. To nie ja, Panie, lecz Wy sami nazwaliście siebie głupcem. Dlatego że możecie spiorunować wzrokiem, nie potraficie się uczyć. Na tym polega Wasze nieszczęście.

Król powstał. Kanclerz nowicjusz skulił się za tronem. KaraBansita tkwił nieporuszony, tylko na twarz wystąpiły mu białe plamy. Wiedział, że przebrał miarkę. Lecz JandolAnganol wskazał na skurczonego kandydata na kanclerza.

– Dość mam ludzi, którzy płaszcą się ze strachu przede mną, jak len tutaj. Doradz mi lepiej niż mój doradca, a zostaniesz kanclerzem – z pewnością równie irytującym, jak twój przyjaciel i poprzednik. Żeniąc się powtórnie, poślubiając córkę Sayrena Stunda, władcy Oldorando, umocnię więzy mojego królestwa ze Świętym Cesarstwem Pannowalu, co będzie źródłem naszej siły. Za to CSarr będzie ode mnie wymagał, abyśmy się pozbyli rasy ancipitalnej, tak jak to czyni Pannowal. Borlien cierpi na brak żołnierzy, więc potrzebujemy fagorów. Czy twoja nauka znajdzie sposób na podważenie edyktu C'Sarra?

– Hm. – KaraBansita uszczypnął się w puciołowaty policzek. – W przeciwieństwie do Borlien, Pannowal i Oldorando zawsze nienawidziły fugasów. Oldorando leży na szlaku ancipickich migracji, omijających Borlien. Kapłani toczą stare wojny, tyle że pod nowym pretekstem... Moglibyście, Panie, stanąć na gruncie nauki. Nauki gromiącej ciemnotę Kościoła, za przeproszeniem.

– Więc mów, a mój śliczny miodek i ja posłuchamy.

– Wy, Panie, zrozumiecie. Wasz miodek – nie. Znacie na pewno ze słyszenia historyczny traktat pod tytułem Testament RayniLayana. W owej księdze czytamy o świątobliwej damie VryDen, żonie

mędrca RayniLayana. VryDen zgłębiła kilka tajemnic nieba, które, tak jak i ja, uważała nie za królestwo zła, lecz prawdy. VryDen zginęła podczas wielkiego pożaru Oldorando w dwudziestym szóstym roku. To znaczy, trzysta pięćdziesiąt pięć lat temu – piętnaście pokoleń, aczkolwiek dziś żyjemy dłużej niż w tamtych czasach. Jestem przekonany, że VryDen była osobą z krwi i kości, że nie jest fikcyjną postacią z sagi Lodowych Lat, w co każe nam wierzyć Kościół.

– Coś kręcisz – powiedział król. Zaczął się przechadzać wielkimi krokami, a Juli biegał za nim w podskokach. JandolAnganol przypomniał sobie, że królowa wielce ceniła księgę RayniLayana i urywki z niej czytywała Tatrze.

– Nie kręcę, wyjaśniam. Taż sama panna VryDen była bezbożniczką, a zatem widziała świat takim, jakim jest, nie zaćmiony urojonymi bóstwami. Do jej dni wierzono, że Freyr i Bataliksa to dwoje żywych strażników, chroniących naszą planetę od wojny w niebiosach. Ta znakomita dama potrafiła za pomocą geometrii przepowiedzieć szereg zaćmień, które zamknęły jej epokę. Krąg wiedzy można poszerzyć tylko o nową wiedzę, ale nigdy nie wiadomo, dokąd prowadzą takie kroki w nieznanie. Symbolem Kościoła jest podobny, lecz zamknięty krąg.

– Który wolę od twych nieporadnych kroków w ciemność.

– Znalazłem sposób, by przeniknąć ciemności i zobaczyć światło. Z pomocą naszego wspólnego znajomego Sartoriirwrasza wyszlifowałem kilka szklanych soczewek, na kształt soczewki oka.

Opisał, jak złożyli lunetę. Jak przez lunetę obserwowali fazy Ipokreny i pozostałych planet na niebie. Jak milczeli o swoich odkryciach, niebo bowiem nie cieszyło się najlepszą reputacją wśród narodów w religijnym kręgu Pan-nowalu.

– Wędrowcy po kolei ujawniali nam swoje fazy. Niebawem mogliśmy dokładnie przepowiadać zmiany tych faz. To dopiero jest astrologia! Następnie dokonaliśmy z Sartoriirwraszem obliczeń na poparcie naszych obserwacji. W ten sposób odkryliśmy prawa niebieskiej geometrii, które, naszym zdaniem, musiały być znane YrapRombrowi – za co poniósł on męczeńską śmierć z wyroku Kościoła. Zgodnie z tymi prawami planety obiegają słońce Bataliksę po elipsach, a Bataliksa w ten sam sposób obiega Freyra. Promień wodzący czy to planety, czy Bataliksy zakreśla równe pola w równych odstępach czasu. Ponadto odkryliśmy, że szybka planeta, przez VryDen zwana Kaidawem, obiega nie Bataliksę, lecz Helikonię, a zatem jest jej satelitą lub księżycem.

Król przystanął jak wryty.

– Czy podobni do nas ludzie mogliby żyć na tym Kaidawie? – spytał gwałtownie.

Nagły przejaw zainteresowania i niecodzienne pytanie stropiły KaraBansitę.

– To ledwie srebrna kulka, Panie, a nie prawdziwa planeta, jak Helikonja czy Ipokrena.

Król klasnął w dłonie.

– Wystarczy. Dość wyjaśnień. Mógłbyś skończyć jak YrapRombr. Nic z tego nie rozumiem.

– Gdyby nam się udało zrozumiale wyjaśnić Pannowalczykom tę mechanikę nieba, to może by zmienili swe przestarzałe poglądy. Gdyby nam się udało przekonać C'Sarra do niebieskiej geometrii, to miast wszczynać święte halali, które burzy ład życia, może by uznał geometrię ludzką i pozwolił ludziom i ancipitom kręcić się wokół siebie na podobieństwo Freyra i Bataliksy.

Dalsze rozważania król przerwał mu niecierpliwym gestem.

– Nie dzisiaj. Nie mogę wysłuchiwać zbyt dużo herezji naraz, aczkolwiek doceniam chytryść twego umysłu. Lubisz pływać z prądem, tak jak i ja. Po to tu przyszedłeś?

KaraBansita wytrzymał ostre spojrzenie króla.

– Nie, Wasza Królewska Mość – rzekł po chwili. – Tak jak Wasi liczni wierni poddani przyszedłem mając nadzieję, że Warn coś sprzedam. – Dobył zza pasa znaną przy trupie bransoletę z potrójnym układem cyfr i wręczył ją królowi. – Czy Wasza Królewska Mość widział już

kiedyś podobne cudo?

Jego Królewska Mość obrócił cudo w dłoni, wlepiając w nie zdumiony wzrok.

– Tak – rzekł. – Tak, już to widziałem w Matrassyłu. Zaiste dziwna rzecz i pochodzi od dziwnego człowieka, który twierdził, że przybywa z innej planety. Z twojego Kaidawa.

Po tej zagadkowej wypowiedzi zamknął usta, jak gdyby żałując, że je otwierał. Jakiś czas spoglądał na cyfry znikające i pojawiające się w kunsztownej bransoletce.

– Może w wolniejszej chwili mi opowiesz, jak to trafiło do twych rąk. Audiencja skończona. Czekają mnie pilniejsze sprawy.

Zamknął bransoletę w dłoni. Na nic się nie zdał rozpaczliwy protest KaraBansity. W postawie króla zaszła nagła zmiana. Gniew płonął mu w oczach, bił z całej twarzy. Wychylony w przód monarcha upodobił się do drapieżnego ptaka.

– Do was, bezbożnicy, nigdy nie dotrze, że Borlien żyje albo umiera ze swoją religią. Czyż zewsząd nie zagrażają nam barbarzyńcy, nie zagrażają niewierni? Imperium nie może istnieć bez wiary. Twoja bransoleta niesie zagrożenie dla imperium, zagrożenie dla samej wiary. Te skaczące cyferki pochodzą ze świata, który może nas zniszczyć... Jestem o tym przekonany – dodał mniej wzburzonym głosem – a człowiek musi żyć i umierać razem ze swymi przekonaniem.

Astrolog gryzł kostkę palca, nie mówiąc słowa. JandolAnganol spoglądał nań chwilę w milczeniu, po czym rzekł:

– Wróc jutro, jeśli postanowisz zostać moim kanclerzem. Wtedy porozmawiamy dłużej. Tymczasem zatrzymam sobie tę bezbożną błyskotkę. Jak myślisz, co mi odpowiesz? Czy zostaniesz moim głównym doradcą?

Widząc, że bransoleta znika w kieszeni króla, KaraBansita dał za wygraną.

– Dziękuję Waszej Królewskiej Mości. Co do pytania, będę musiał zasięgnąć rady własnego głównego doradcy, mojej żony...

Mijając się z królem, złożył mu niski ukłon na odchodne.

O kilka pałacowych komnat dalej poseł C'Sarra gotowi! się do spotkania z królem. Właśnie podziwiał owalną miniaturę królowej Myrdeminggali na kościanej płytce, wyciętej z kła jakiejś morskiej bestii. Miniatura pokazywała nieziemskiej urody twarz o nieskazitelnym czole i w koronie wysoko upiętych włosów. Spod ciężkich powiek spoglądały szafirowe oczy, a kształtna broda łagodziła wyniosłość dumnych rysów. Alam Esomberr widywał je wcześniej na portretach w Pannowalu, gdyż piękność królowej była znana jak świat długi i szeroki. Jej widok podsuwał posłowi Świętego C'Sarra szeregi lubieżnych obrazów. Zaświtała mu też myśl, że niebawem znajdzie się twarzą w twarz z oryginalnym arcydziełem.

Przed Esomberrrem stali dwaj pannowalscy szpiedzy C'Sarra. Nie odrywając oczu od portretu królowej słuchał ottassolskich pogłosek w ich relacji. Jeden przez drugiego roztrząsali niebezpieczną sytuację królowej po zalegalizowaniu jej rozwodu z JandolAnganolem. Król będzie ją chciał usunąć ze sceny na dobre. Na dobre.

Z kolei lud kocha swą królową bardziej niż króla. Kto, jak nie król, wtrącił własnego ojca do lochu i doprowadził własny kraj do ruiny? Lud ma wszelkie powody, aby podnieść bunt, zabić króla i osadzić Myrdeminggale na tronie. Wszelkie powody.

Esomberr spojrzał z politowaniem.

– Gnidy – rzekł. – Gęgacze. Babskie języki. Jaki król nie doprowadza własnego kraju do ruiny? Jaki król nie zamknie tatusia w lochu, jeśli tylko zdoła? Jaka królowa nie jest w niebezpieczeństwie? Gdzież jest lud, któremu nie marzy się bunt i obalenie tego czy owego? Gaworzycie sobie o scenie życia, co z tego, że wielkiej, skoro sztuka na niej wciąż ta sama, a role zwykle obsadzone przez

naturzczyków – króla gra kroi, a głupek gra głupka. Przelewacie z pustego w próżne. Oldorandzki szpieg dostałby kije za taki raport.

Dwaj agenci pospuszczali głowy.

– Mieliśmy właśnie zameldować, że oldorandzkie szpicle dwoją się tu i troją.

– Miejmy nadzieję, że w przeciwieństwie do was nie spędzają dni i nocy na zalewaniu pały z portowymi dziewczkami. Następnym razem oczekuję od was wieści, nie plotek.

Szpiedzy z jeszcze niższymi ukłonami odeszli, uśmiechając się szeroko, jakby dostali podwójną zapłatę. Alam Esomberr z westchnieniem popatrzył raz jeszcze na miniaturę królowej.

– Jest tak piękna, że musi być głupia albo ma jakąś ukrytą wadę dla równowagi – powiedział na głos. Wsunął miniaturę do kieszeni sakwojaża.

Posel C'Sarra pochodził z arystokratycznego i nader świątobliwego klanu poborców, mających koneksje w podziemnej Świętej Stolicy. Gardził swym ascetycznym ojcem, który jako sędzia Najwyższego Trybunału zapewnił synowi błyskawiczną karierę. Mianowany świadkiem rozwodu przyjaciela, traktował Esomberr tę misję jak wycieczkę. Na wycieczce można sobie trochę pofiglować. Miał coraz większą nadzieję, że pofigluje z królową Myrdeminggala.

Był gotów do spotkania z JandolAnganolem. Wezwał pokojowca. Pokojowiec zaprowadził go prosto do króla i JandolAnganol z Esomberrem uściskali się na powitanie jak przyjaciele. Esomberr spostrzegł większą niż dawniej nerwowość w zachowaniu władcy Borlien. Ukradkiem i z boku zerkając na jego brodate wychudłe oblicze, podążył za nim do sali, w której nadal trwała zabawa. Miodek Juli deptał im po piętach. Esomberr obejrzał się ze wstrętem, ale bez słowa.

– Tak więc, Janie, obu nam się udało bez przeszkód dotrzeć do Ottassolu. Grabieżcy twoich ziem nie zatrzymali nas w drodze.

O ile istniała przyjaźń w ich sferach, o tyle byli przyjaciółmi. Król dobrze pamiętał cynizm Esomberra i nawyk przekrzywania głowy lekko na bok, jakby w geście naigrawania się ze świata.

– Dotychczas omijają nas rozboje Unndreida Młota. Opowiem ci o mej potyczce z Darwłiszem Trupią Czaszką.

– Nie wątpię, że wymienieni przez ciebie hultaje to naprawdę straszne łotry. Ciekawe, czy nie byłiby nieco sympatyczniejsi, gdyby nosili mniej nieokrzese imiona?

– Mam nadzieję, że niczego ci nie brakuje w komnatach?

– Szczerze mówiąc, Janie, twój podziemny pałac budzi we mnie strach. Co będzie, gdy ta wasza Takissa wyleje?

– Chłopi postawią tamę z własnych ciał. Jeżeli ci odpowiada dzienna pora, jutro popłyniemy do Grawabagalinien. Dość już zwłoki, no i nadchodzi monsun. Im szybciej uwiniemy się z rozwodem, tym lepiej.

– Uwielbiam morskie podróże, pod warunkiem, że są krótkie, a w uszach stale słyszeć plusk fal na plaży.

Podano im wino z kruszonym lodem.

– Gryziesz się czymś, kuzynie.

– Wszystkim się gryzę, Alam. Wszystkim i niczym. Kiedy jestem bezbronny, bezbronne jest Borlien. Twój pan, C'Sarr, nasz Święty Cesarz, chyba to rozumie. Musimy żyć zgodnie z wiarą. Dla wiary wyrzekłem się Myrdeminggali.

– Tak między nami, kuzynie, możemy przyznać, że wiara jest cokolwiek bezcielesna. Natomiast twoja piękna królowa...

JandolAnganol bawił się w kieszeni bransoletą odebraną KaraBansicie. Wyczuwał w niej nadmiar "cielesności". Intuicja mówiła królowi, że ten wrogi zdradziecki przedmiot może sprowadzić

nieszczęście na kraj. Zacisnął pięść na metalu.

Esomberr gestykulował. W przeciwieństwie do królewskich, gesty Esomber-ra były powolne, wystudiowane.

– Świat spada na patelnię, o ile nie do pieca Freyra. Jednak skłamałbym mówiąc, że religijne objawienia kiedykolwiek spędziły mi sen z powiek. W rzeczy samej nabożeństwa często kołysały mnie do snu. Każdy kraj ma swoje własne kłopoty. Randonan i ów straszny Młot to twoja działka. Oldorando ma właśnie zatarg z Kace. W Pannowalu znowu nas atakują Sibornalczycy. Wędrują na południe przez Chalce, nie mogąc wytrzymać ani chwili dłużej w swej upiornej ojczyźnie. Silna oś Pannowal – Oldorando – Borlien umocni cały Kampaniat. Pozostałe narody to zwyczajni barbarzyńcy.

– Alam, masz mnie pocieszać, a nie przygnębiać w przededniu mego rozvodu z Myrdeminggala.

Posel wychylił puchar do dna.

– Jedna kobieta niewiele się różni od drugiej. Jestem pewny, że znajdziesz upojne szczęście u boku Simody Tal.

Nie przeoczył bóleści na obliczu króla. JandolAnganol odwrócił wzrok w stronę tancerzy.

– Z Simodą Tal powinien się ożenić mój syn – rzekł – ale do niego nic nie trafia. Myrdeminggala rozumie, że podejmuję ten krok dla dobra Borlien.

– Czyżby, na Patrzycielkę? – Sięgnawszy za pazuchę jedwabnego kaftana Esomberr wyjął list. – Lepiej przeczytaj coś, co właśnie wpadło mi w ręce.

Poznając zamaszyste pismo Myrdeminggali, król wziął list drżącą ręką i przeczytał:

Do Świętego Cesarza, C'Sarra Kilandera IX

Głowy Świętego Cesarstwa Pannowalu

w Mieście Pannowal, w kraju tegoż imienia

Wasza Świątobliwość – której wiarę gorliwie wyznaje niżej podpisana – wysłuchaj łaskawie niniejszej prośby jednej z Twoich najniezwyklejszych córek.

Mnie, królową Myrdeminggale, karze się za nie popełnione zbrodnie. Znajduję się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, oskarżona przez króla, mego małżonka, i teścia o udział w spisku przeciwko Sibornaldowi.

Wasza Świątobliwość, pan mój, król JandolAnganol wyrządza mi okrutną krzywdę, odprowadzając od swego boku do tej opuszczonej przez Boga i ludzi nadmorskiej miejscowości. Tutaj mam czekać, aż wedle swej woli król rozprawi się ze mną, ofiarą jego khmiru. Byłam mu wierną żoną przez trzynaście lat i zrodziłam mu syna i córkę. Córka jest jeszcze malutka i została przy mnie. Syn zbuntował się po wygnaniu mnie z dworu i nie wiem, gdzie przebywa.

Od kiedy pan mój król uzurpował sobie tron ojcowski, źle dzieje się w naszym królestwie. Król zrobił sobie wrogów z wszystkich dokoła. Usiłując rozerwać ich karzący krąg, planuje dynastyczne małżeństwo z Simodą Tal, córką Sayrena Stunda, władcy Oldorando. Wasza Świątobliwość, jak rozumiem, pochwała ten krok. Sądzę, że Waszemu muszę przyjaść w pokorze. Jednak JandolAnganolowi nie dość będzie usunąć mnie za pomocą prawnych kruczków i zechce usunąć mnie na zawsze z doczesnego świata.

Przeto błagam Świątobliwego Cesarza, by czym prędzej i na piśmie zakazał królowi wyrządzania jakiegokolwiek krzywdy mnie i moim dzieciom, pod groźbą ekskomuniki. Król przynajmniej wyznaje religijną wiarę; taka groźba wywrze na nim odpowiedni skutek.

Wasza zrozpaczona córka w bogu KunegUndunora Myrdeminggala

– Cóż, będziemy więc mieli orzech do zgryzienia – z ponurą miną powiedział król, ściskając list królowej.

– Ja będę miał orzech do zgryzienia – sprostował Esomberr, odbierając list.

Nazajutrz pożeglowali na zachód wzdłuż wybrzeża Borlien. Z królem popłynął nowy kanclerz, KaraBansita.

W tym okresie król popadł w nerwową skłonność do oglądania się przez ramię, jak gdyby czuł, że obserwuje go Akhanaba, wielki Bóg Świętego Cesarstwa Pannowalu. Ci jednak, którzy obserwowali albo mieli obserwować króla, istnieli \v odleglejszej przestrzeni i czasie, niż JandolAnganol mógł sobie wyobrazić. Należało ich liczyć na miliony. Planeta Helikonია miała wówczas dziewięćdziesiąt sześć milionów ludzi i jedną trzecią tej liczby fagorów. Odlegli obserwatorzy byli jeszcze liczniejsi.

Mieszkańcy Ziemi śledzili kiedyś bieg wydarzeń na Helikonii bez większego zaangażowania. W helikońskich przekazach, nadchodzących z Ziemskiej Stacji Obserwacyjnej, widziano zrazu niewiele więcej niż źródło rozrywki. Wszystko to się zmieniało w ciągu stuleci, wraz z przemijaniem Wielkiej Wiosny Helikonii i nadejściem Lata. Obserwacja wciągała jak nałóg. Pod wpływem tego, co widzieli, zmieniali się sami widzowie; powstawała empatyczna więź, mimo znanego faktu, że Teraźniejszość na jednej planecie zawsze była Przeszłością na drugiej. Żywe były koncepcje pogłębiania tej więzi. Coraz większa dojrzałość, coraz większe zrozumienie tego, co winno być sensem istnienia – to wszystko Ziemianie zawdzięczali Helikonii.

Odplynięcie króla z Ottassolu widzieli teraz inaczej niż Tatra swą falę na plaży: nie jako odrębne zjawisko, ale raczej jako kroplę w niepowstrzymanej rzece kosmologii, kultury i historii. Nikt z obserwatorów nie wątpił, że król ma wolną wolę, lecz w którąkolwiek stronę ta nieokiełznana wola by go wiodła, zawsze zamykały się za JandolAnganolem nieskończone fale kontinuum, na których pozostawiał ślad niewiele większy niż kil jego okrętu na toni Morza Orłów.

Mimo że Ziemianie patrzyli na ten rozwód ze współczuciem, widzieli w nim nie tyle jednostkowy czyn, co okrutny przykład rozdarcia natury ludzkiej przez błędne romantyczne pojmowanie miłości i obowiązku. Byli do tego zdolni, Ziemia bowiem miała już za sobą spory szmat własnej drogi krzyżowej.

Historyczny rozwód JandolAnganola odbył się w roku 381 według miejscowego kalendarza borlienooldorandzkiego. Tajemniczy chronometr wskazywał, że na Ziemi upłynęło właśnie 6877 lat od narodzenia Chrystusa, lecz tego rodzaju zbieżność czasów była pozorna, a rozwodowe wypadki miały się dla Ziemian dopiero urzeczywistnić za następne tysiąc lat. Miejscowe kalendarze nic nie znaczyły wobec kalendarzy kosmicznych.

Czas astronomiczny dla układu helikońskiego biegł bez wytchnienia. Planeta ze swymi siostrzycami zbliżała się do periastronu, punktu orbity położonego najbliżej jasnej gwiazdy nazywanej Freyrem. Jeden Wielki Rok obiegu Helikonii wokół Freyra trwał 2952 ziemskie lata – w tym czasie planeta znosiła skrajności żaru i mrozu. Wiosna minęła. Nastąpiło Lato – paraliżujące Lato Wielkiego Roku. Lato długie na dwa i jedną trzecią stulecia Ziemi. Dla żyjących w tej porze na Helikonii Zima i jej pustkowia należały do świata co prawda żywych, ale tylko legend. Pamięć ludzka miała je przechować do czasu, gdy znów staną się faktem.

Ponad Helikonią świeciło jej własne, miejscowe słońce, Bataliksa. Ponad Bataliksą płonął olbrzymi Freyr, towarzysz z układu podwójnego, obecnie wyraźnie od niej jaśniejszy o trzydzieści procent, choć w dwieście trzydzieści sześć razy większej odległości.

Nie zapominając o własnej historii obserwatorzy z Ziemi bacznie śledzili bieg wydarzeń na Helikonii. Widzieli, jak dawno temu utkane nici – \v tym najcieńsza nić religii – splotły się, w której teraz szamotał się król Borlien.

III. PRZEDWCZESNY ROZWÓD

Pomimo długiej linii brzegowej kraju Borlieńczycy nie byli narodem żeglarzy. Co za tym idzie, nie byli mistrzami w budowie okrętów, jak Sibornalczycy, a nawet niektóre ludy Hespagoratu. Po rozwód do Grawabagalinien król płynął małym pękatym brygiem. Okręt żeglował według lądowych znaków, które na ogół pozostawały w zasięgu wzroku, oraz według tabliczki kursowej, na której kolejne wachty zliczały średni kurs rzeczywisty, zaznaczając pozycje statku kółeczkami.

Za królewskim brygiem podążał drugi, jeszcze bardziej podobny do barki, pełen ancypitów z Pierwszej Gwardii Fagorzej.

Od chwili wyjścia na pełne morze JandolAnganol odsunął się od towarzyszy podróży i stanąwszy przy relingu nieruchomo spoglądał przed siebie, jakby pragnąc pierwszy wypatrzeć królową. Kołysanie fal załamało Juliego i miodek legł pod kabestanem. Przynajmniej raz pan nie okazał współczucia swemu ulubieńcowi. Bryg ciężko pracował na spokojnej toni, skrzypiąc linami takielunku.

Nieoczekiwanie król runął na pokład. Dworzanie podbiegli i dźwignęli go, zanieśli do kabiny i złożyli na koi. Był śmiertelnie blady i kryjąc twarz w dłoniach wił się niczym w bólu. Zbadawszy władczę, medyk kazał opuścićabinę wszystkim, oprócz KaraBansity.

– Zostań przy Jego Królewskiej Mości. To jedynie lekki atak choroby morskiej, nic więcej. Minie, gdy tylko dobijemy do lądu.

– O ile wiem, objawami choroby morskiej są wymioty.

– Errr... no tak, u niektórych ludzi. Z gminu. Osoby królewskiej krwi reagują inaczej.

Medyk wyszedł, pokłoniwszy się uniznienie. Po pewnym czasie mamrotanie króla przeszło w wyraźną skargę.

– Straszną rzecz muszę zrobić. Błagam Akhanabę, żeby już było po wszystkim...

– Wasza Królewska Mość, porozmawiajmy na jakiś rozsądny, ważny temat, co uspokoi Wasz umysł Moja niezwykła bransoleta, będąca w Waszym posiadaniu.

Król uniósł głowę, przeszywając kanclerza stalowym spojrzeniem.

– Wynoś się, kretynie Każę rzucić cię rybom na pożarcie. Nic me jest ważne, nic me na tym świecie

– Obyś, Wasza Królewska Mość, szybko wrócił do zdrowia – rzekł KaraBansita, tyłem wycofując swe masywne cielsko z kabiny

Okręt żeglował z pomyślnym wiatrem na zachód i rankiem drugiego dnia podróży zawinął do maleńkiej zatoki Grawabagalinien. Nagle odzyskawszy siły JandolAnganol zszedł po trapie w fale przyboju – Grawabagalmien me miało mola – a tuz za królem zszedł Alam Esomberr, podwinąwszy poły płaszcz Towarzyszyło mu dziesięciu dostojników wysokiej rangi kościelnej, których Esomberr nazywał swoją watahą wikarych Orszak króla tworzyli dowódcy wojskowi i zbrojmistrze

Stojący w głębi lądu pałac królowej wyglądał jak wymarły. Do połowy opuszczona czarna flaga powiewała na wieżycze Zwrócona ku fladze twarz króla była nieprzenikniona, jak okno za zamkniętą okiennicą. Nikt nie zatrzymywał na tej twarzy spojrzenia, aby nie zwrócić na siebie uwagi Orła

Drugi bryg ociężale wchodził do zatoki. Wystawiając cierpliwość Esomberra na ciężką próbę, JandolAnganol uparł się i zaczekał, aż bryg podszedł pod plażę i spuścił schodnię, po której jego meczłowicze wojsko suchą nogą zeszło na ląd Jak gdyby od tego zależał los królestwa, jął wówczas formować i musztrować oddział gwardii, i wygłosił do niej odezwę w archaiku Wreszcie pozostał

mu JUŻ tylko półmilowy marsz do pałacu Szczęśliwy, ze znów ma twardą ziemię pod stopami, Juli harcował na czele kolumny, wzbijając tumany piasku.

Powitała ich zgrzybiała starucha w czarnej keedrancie i białym fartuchu. Siwe włosy wyrastały jej z myszki na policzku. Wyszła o lasce Dwaj me uzbrojeni strażnicy przystanęli w tyle

Z bliska widać było nędzę wzierającą spod bieli i pozłoty budowli W dachu, werandach i balustradach ziały nie załatane dziury po wypadłych dachówkach, deskach i tralkach Wszystko zamarło w bezruchu, prócz stada jeleni szczypiących trawę na odległym stoku Morze z odwiecznym łoskotem biło w brzeg Coś z wszechobecnego tutaj smętku było nawet w stroju królewskim Gładka bluza i spodnie JandolAnganola miały kolor granatowy, bliski czerni Jedynie Esomberr obnosił swoje wesolutkie najjaśniejsze modrości, spowite w róż krótkiej pelerynki. Tego ranka zlał się perfumą, by zagłuszyć smród wyniesiony z okrętu

Kapitan piechurów zadał w róg na znak przybycia królewskiej kompanii Zaparte drzwi pałacu ani drgnęły. Starucha mamrotała sama do siebie, załamując ręce. Dłużej nie myśląc czekać JandolAnganol podszedł do drzwi i załomotał w nie rękojeścią miecza. Z rozdudnionej sieni odpowiedziało psie ujadanie. Szczęknął klucz w zamku. Druga stara wiedźma rozwarła drzwi na oścież i złożony królowi sztywny ukłon mrugała oczyma, nie ruszając się z miejsca.

W środku panował mrok. Psy, które podniosły taki harmider przed otwarciem drzwi, teraz chowały się po ciemnych kątach.

– Może Akhanaba w swej cokolwiek pochopnej łasce zesłał tu pomór – zauważył Esomberr – tym sposobem wybawiając mieszkańców od ziemskich trosk i czyniąc nasz wojaż nadaremny.

Król krzyknął na powitanie. W ciemności u szczytu schodów zapłonął ogień. Podniósłszy wzrok zobaczyli kobietę z cienką świecą. Niosła ją nad głową, sama pozostając w cieniu. Zaczęła schodzić na dół po niemiłosiernie skrzypiących schodach. Im niżej schodziła, tym więcej światła padało na nią z dworu. Ale i tak od początku postawą swą zdradzała, kim jest. Na dole pełniejszy blask ukazał Myrdeminggale w całej krasie. Stanąwszy o parę kroków przed gośćmi królowa złożyła głęboki ukłon JandolAnganolowi, potem Esomberrowi.

Ujrzeni śmiertelnie bladą piękną o niemal bezbarwnych wargach i oczach ciemnych niby węgle na tle białej cery. Włosy opływały jej twarz czarną kaskadą. Długa do ziemi, jasnoszara suknia była zapięta na piersiach pod samą szyję.

Na jedno słowo królowej starucha zamknęła drzwi, pogrążając w mroku Esomberra i JandolAnganola z nieodłącznym miódkiem fagorzem za plecami. Mrok był poprządkany nitkami jasności. Słońce przenikało do środka drewnianej budy pałacu dziurawej jak rzeszoto. Smugi światła raz po raz ukazywały królową, która szła przodem, wiodąc przybyszów w głąb bocznego skrzydła. Zaczekała na nich pośrodku komnaty o konturach zarysowanych nikłymi liniami jasności, sączącej się zza obrzeży zamkniętych okiennic.

– W pałacu chwilowo nie ma nikogo – powiedziała Myrdeminggala – oprócz mnie i księżniczki TatramanAdali. Możecie nas teraz zabić bez żadnych świadków, z wyjątkiem Wszechmocnego.

– Nie zamierzamy skrzywdzić was, o Pani – rzekł Esomberr. Podszedł do najbliższego okna i pchnął okiennicę. W przymglonym blasku obrócił się i patrzył na małżeńską parę stojącą pośrodku niemal pustej komnaty.

– Jak już ci mówiłem. Kuno – z dziwną pokorą rzekł JandolAnganol – ten rozwód to sprawa racji stanu.

– Możesz mnie zmusić, abym się na to zgodziła. Ale nigdy się z tym nie pogodzę.

Esomberr otworzył okno i przywołał swoją świtę.

– Formalności zajmą Warn, Pani, jedną chwilkę – rzekł. Pomaszerował na środek komnaty i

ukłonił się królowej. – Esomberr jestem, z rodu Esomberrów. Poseł i ambasador w Borlien wielkiego CSarra Kilandera IX, Najwyższego Ojca Kościoła Akhanaby i Cesarza Świętego Pannowalu. W tej krótkiej ceremonii mam obowiązek wystąpić jako świadek z ramienia Najwyższego Ojca. Urzędowy obowiązek. A nieurzędowo mam obowiązek oświadczyć, że żaden portret nie unywa się do Waszej piękności, o Pani.

– Po tym wszystkim, czym byliśmy dla siebie – szepnęła królowa do JandolAnganola.

– Ceremonia – nie zająknął się nawet Esomberr – zwolni króla JandolAnganola od wszelkich dalszych zobowiązań małżeńskich. Najwyższy Ojciec we własnej osobie wydał dyspensę rozwodową, z mocy której oboje przestaniecie być mężem i żoną, wasze śluby zostaną unieważnione, a Wy, Pani, straciecie tytuł królowej.

– Z jakiego powodu zrywa się moje małżeństwo? Pod jakim pretekstem? O co zostałam oskarżona przed czcigodnym C'Sarrem, by zasłużyć na takie potraktowanie?

Ze spojrzeniem utkwionym gdzieś przed siebie król stał w dziwnym odrętwieniu, gdy Alam Esomberr sięgał do kieszeni, wyjmował i szerokim gestem rozkładał dokument rozwodowy.

– Mamy zeznania świadków, że wypoczywając tu, w Grawabagalinien – obrazowo powiódł ręką wokoło – wypływałaś, Pani, nago w morze. Że w wodzie zadawałaś się cielesnie z delfinami. Że ów przeciwny naturze stosunek, zakazany przez Kościół, odbywałaś wielokrotnie, często na oczach córki.

– Dobrze wiesz, że to wszystko wyssane z palca – powiedziała beznamiętnym głosem. – Czy nie ma – zwróciła się do JandolAnganola – innego ratunku dla państwa, jak tylko zbrukać moje imię, okryć mnie hańbą, a siebie poniżyć podłej niż niewolnika?

– Oto i nadchodzi królewski wikariusz, który odprawi naszą ceremonię – rzekł Esomberr. – Wystarczy, że wysłuchasz go w milczeniu. Więcej nie będziesz, Pani, narażona na żaden wstyd.

Chłód bijący od AbstrogAthenata wypełnił całą komnatę. Wikariusz uniósł rękę i wyrecytował słowa błogosławieństwa. Dwaj mali chłopcy za jego plecami przygrywali na dudach.

– Skoro już musimy odprawić to święte pośmiewisko – wyniośle rzekła królowa – to żądam usunięcia stąd Juliego.

Wyrwany z letargu JandolAnganol kazał Juliemu wyjść z komnaty. Miodek wyszedł po krótkich przekomarzeniach. AbstrogAthenat zbliżył się z zapisem ślubnej przysięgi. Ujmując ręce króla i królowej wetknął w nie końce dokumentu, który przytrzymali jak zahipnotyzowani. Po czym odczytał rozwodową dyspensę wysokim i czystym głosem. Spojrzenie Esomberra wędrowało od króla do królowej, tam i z powrotem. Para królewska wbiła wzrok w posadzkę. Kapłan wysoko wznosił ceremonialny miecz. Mamrocząc modlitwę spuścił ostrze. Przecięło papier na pół. Królowa wypuściła swoją połówkę z palców, pozwalając jej sfrunąć na deski podłogi.

JandolAnganol i Esomberr jako świadek podpisali rozwodową dyspensę przedłożoną im przez wikariusza. Ostatni złożył podpis sam wikariusz, pozostawiając dokument w pieczy Esomberra. Pokłoniwszy się królowi odszedł ze swoją parą małych dudziarzy, depczących mu po piętach.

– Już po wszystkim – rzekł Esomberr.

Nikt się nie poruszył. Spadły pierwsze krople ulewy. Marynarze i żołnierze z okrętów, zebrani pod otwartym oknem, by spojrzeć choć przez chwilę na ceremonię i móc opowiadać o niej do końca życia, wnet rozbiegli się w poszukiwaniu schronienia, gonieni krzykami swoich oficerów. Ulewa przybrała na sile. Na niebie zajaśniała błyskawica, a po chwili zahuczał grzmot. Zwiastował porę monsunów.

– No tak, wypada się rozgościć – Esomberr usiłował zachować swój zwykły beztroski ton. – Może by królowa – przepraszam, eks-królowa – nakazała damom podać nam coś na przepłukanie gardeł.

Zajrzyj no który na dół, do piwnic – polecił swoim ludziom. – Znajdziesz pochowane szafareczki, a nawet jeśli nie ma tam szafareczek, to jest wino.

W otwartym oknie trzaskała okiennica i do środka wpadały krople deszczu.

– Te burze przychodzą nie wiadomo skąd i szybko przemijają – powiedział JandolAnganol.

– Tak trzeba na to patrzeć, Janie; nie mam na myśli burzy – wesoło rzucił Esomberr.

Poklepał króla po ramieniu. Królowa bez słowa odłożyła zgaszoną świecę, odwróciła się i wyszła z komnaty. Przysunawszy dwa miękkie fotele Esomberr ustawił jeden przy drugim i odemknął sąsiednie okiennice, by mieli widok na furie żywiołów. Obaj usiedli, król ujmując głowę w dłonie.

– Zapewniam cię, Janie, że po ślubie z Simodą Tal twoje sprawy przyjmą lepszy obrót. W Pannowalu jesteśmy uwikłani w wojnę z Sibornalczykami na północnej rubieży. Walki są, jak wiesz, szczególnie zacięte ze względu na tradycyjne waśnie religijne. Inaczej jest w Oldorando. Po twym rychłym małżeństwie zobaczysz, że Oldorando stanie po waszej stronie. Oni też potrzebują sojusznika. Jest nadto wysoce prawdopodobne, że Kace zaproponuje rozejm po twoim ślubie. Ostatecznie Kace i Oldorando są złączone więzami krwi. Oldorandzkie ziemie ze wschodu na zachód przecina wędrowny szlak fagorów i takich podludzkich ras, jak Madisi. Jak wiesz, mamusia słodkiej Simody Tal, królowa Rrrhm, sama się wywodzi z pod... no, powiedzmy, że z Pragnostyków. Słowo „podczłowiek” ma niemiłe zabarwienie. Kaceńczycy zaś... no cóż, to dzika kraina. Więc gdyby zawarli rozejm z Borlien, to kto wie, czy nie dałoby się ich nawet napuścić na Randonan. A ty byś spokojnie zakrzętnął się wokół Mordriatu i załatwił tych dwóch facetów o śmiesznych imionach.

– Czym bardzo ucieszyłbym Pannowal – rzekł JandolAnganol.

Esomberr przytaknął.

– Wszystkich byś bardzo ucieszył. Uwielbiani wszelkie uciechy, a ty nie? Sługa Esomberra powrócił z piwnic wśród huku gromów i w towarzystwie pięciu struchlałych dam, dźwigających dzbany z winem i pędzonych przez fagory. Wejście kobiet zmieniło obraz sytuacji nawet w oczach JandolAnganola, który powstał i zaczął chodzić po komnacie tak, jakby dopiero uczył się stawiania kroków. Stwierdziwszy, że nie będą ich tu od razu krzywdzić, damy z uśmiechem i ochotą przystąpiły do pełnienia zwykłych im obowiązków zabawiania i upijania gości płci męskiej na umór i na wyścigi. Do popijawy dołączyli liczni dowódcy wojskowi z królewskim zbrojmistrem na czele. Niebo pociemniało, więc zapalono lampy. Żołnierze przynieśli pod płóciennym baldachimem frykasy z okrętu. Król pił daktylowe wino pod srebrnołuskiego karpia i ryż z szafranem. Sufit przeciekał.

– Przemówię do Myrdeminggali i rzucę okiem na moją córeczkę Tatrę – oznajmił król po jakimś czasie.

– Nie. Tego bym nie radził. Kobieta potrafi poniżyć mężczyznę. Tyś jest królem, ona nikim. Odplywając zabierzemy małą. Niech tylko morze się uspokoi. Jestem za spędzeniem nocy w tym twoim gościnnym rzeszocie. – Chcąc rozruszać króla, dodał po chwili: – Mam coś dla ciebie. Dobry moment, żeby ci to pokazać, zanim się tak ululamy, że nie będziemy widzieć na oczy. – Otarł palce w aksamitny kubrak i pogrzebawszy w kieszeni wyciągnął śliczne płaskie puzderko z haftowanym wieczkiem. – Podarunek Bathkaarnetki, królowej Oldorando, z której córką staniesz na ślubnym kobiercu. Królowa własnoręcznie to wyszywała.

JandolAnganol otworzył puzderko. W środku leżał miniaturowy portret Simony Tal, namalowany w dniu jej jedenastych urodzin. Wstążka we włosach, twarz na w pół odwrócona, jakby wstydliwie, a może kokieteryjnie. Bujne, kręcone włosy, papuzie rysy, których artysta nie tuszował. Śmiało zarysował wydatny nos i madiskie oczy. JandolAnganol odsunął miniaturkę na długość wyciągniętej ręki, usiłując odczytać, co było do odczytania. Simoda Tal trzymała w dłoni model zamku będącego częścią jej wiana – zamku nad Valvorałem.

– Piękna dziewczyna, jak marzenie – powiedział Esomberr z zapalem. – Nie oszukujmy się, te jedenastoipółletnie dziewczuszki są najgorętsze. Szczerze zazdroszczę ci, Janie. Co prawda jej młodsza siostrzyczka, Milua Tal, jest jeszcze piękniejsza.

– Czy Simoda jest wykształcona?

– Czy ktokolwiek jest wykształcony w Oldorando? Nikt, sądząc po ich królu.

Parsknąwszy śmiechem przepili do siebie winem daktylowym za przyszłe rozkosze.

Burza ustała o zachodzie Bataliksy. Drewniany pałac tętnił gwarem i skrzypiał niczym okręt przed zawinięciem do cichej przystani. Królewskie wojsko biwakowało po piwnicach, wśród złomów lodu i beczek wina. Żołnierze, a nawet i fagory, zapadali w pijacki sen. Nie wystawiono wart. Pałac zdawał się leżeć z dala od wszelkich niepokojów, nadto ponura sława Grawabagalinien odstraszała nieproszonych gości.

Gwar cichł z upływającym wieczorem. Po głośnych wymiotach, śmiechach i przekleństwach na koniec zaległa cisza. JandolAnganol spał z głową na łonie pokojówki. Dziewczyna niebawem uwolniła się, zostawiając króla leżącego w kącie jak prosty żołnierz.

Królowa królowych liczyła te długie godziny, czuwając na piętrze. Obawiała się o życie maleńkiej córki. Ale miejsce wygnania zostało dobrze wybrane – uciekać nie było dokąd. Wreszcie odesłała swoje damy dworu. Mimo uspokajającej ciszy na dole, królowa nadal trzymała straż w komnacie przed sypialnią księżniczki Tatry. Dobiegło ją stukanie. Podniosła się i podeszła do drzwi.

– Kto tam?

– Królewski wikariusz prosi panią o posłuchanie. Westchnęła w rozterce. Odsunęła zasuwę. Alma Esomberr przestąpił próg, szczerząc zęby w uśmiechu od ucha do ucha.

– Ano, niezupełnie wikariusz, o Pani, tylko bliski sąsiad, który przychodzi z lepszą pociechą od tej, jaką mógłby przynieść ten biedak wikariusz.

– Proszę odejść. Nie chcę z panem rozmawiać. Źle się czuję. Zawołam straż.

Krew odpłynęła jej z twarzy. Drżącą dłonią oparła się o ścianę. Nie ufała jego uśmiechowi.

– Wszyscy pijani. Nawet ja – taka chodząca doskonałość, syn tak zacnego ojca, nawet ja co nieco się ululałem.

Kopniakiem zamknął za sobą drzwi i chwyciwszy królową za ramię popchnął ją w głąb komnaty i siłą usadził na kanapie.

– Nuże, trochę więcej gościnności, moja Pani, bo jestem po twojej stronie. Przychodzę z ostrzeżeniem, że pani eks-małżonek zamierza was zabić. W tym trudnym położeniu ty i twoja córka potrzebujecie ochrony. Mogę zapewnić wam ochronę, jeśli będziesz dla mnie uprzejmniejsza.

– Nie jestem nieuprzejma, panie. Po prostu jestem w strachu, ale nie uczynię ze strachu nic, czego miałabym żałować później. Wyrwijając się wziął w ramiona.

– Później! Kobiety różnią się od mężczyzn również i tym, że dla nich zawsze istnieje jakieś „później”. A później po tych swoich „później” noszą brzemiennie brzuchy. Wpuść mnie tej nocy do swej upojnej dziurki, a klnę się, że nie będzie ci żal żadnych „późniejów”. Tymczasem zakosztujesz mojego „teraz”.

Myrdeminggala trzasnęła go w twarz. Oblizła wargi.

– Posłuchaj, Pani, wysłałaś na moje ręce list do C'Sarra, nieprawdaż, śliczna eks-królowo? Napisalaś w liście, że król Jan zamierza was zabić. Twój posłaniec cię zdradził. Sprzedał list twemu byłemu małżonkowi, który przeczytał wszystko do ostatniej złośliwości.

– SkufBar zdradził? Nie, on zawsze mi wiernie służył. Esomberr złapał ją za ramiona.

– W tej sytuacji nie możesz już liczyć na nikogo. Na nikogo, oprócz mnie. Ja wezmę cię w obronę, jeśli będziesz grzeczna. Rozplakała się.

– Jan wciąż mnie kocha, wiem o tym. Ja go rozumiem.

– On ciebie nienawidzi, a pożąda ciała Simony Tal.

Rozpiął ubranie.

Przez pchnięte w tej samej chwili drzwi wtoczył się Bardol KaraBansita i wmaszerował na środek komnaty. Stał wzięwszy się pod boki, palcami prawej dłoni dotykając rękojeści noża.

Esomberr skoczył na równe nogi i podciągając spodnie kazał mu się wynosić. Astrolog nawet nie drgnął. Ponura twarz nabiegła KaraBansicie krwią. Wyglądał na człowieka otrząskanego z rzezią.

– Muszę prosić, aby pan natychmiast przerwał pocieszanie tej nieszczęsnej damy. Ośmielam się was niepokoić, ponieważ pałac jest bez straży, a z północy nadciąga jakieś wojsko.

– Idź z tym do kogoś innego.

– Czas nagli. Lada chwila mogą nas wyróżnąć. Chodźmy. Ruszył pierwszy korytarzem. Esomberr obejrzał się na Myrdeminggale, która dumnie wyprostowana mierzyła go nienawistnym wzrokiem. Zaklął i pośpieszył za KaraBansita.

Korytarz kończył się balkonem wychodzącym na tyły pałacu. Dogoniwszy astrologa na balkonie Esomberr zatopił spojrzenie w ciemnościach nocy. Ciepłe i parne powietrze zdawało się opuchłe od szumu morza. Olbrzymie niebiosy przygniatały horyzont. W pobliżu mrugały maleńkie ogniki, to znikając, to pojawiając się coraz bliżej i bliżej. Wciąż na wpół pijany Esomberr wybałuszał na nie ogłupiałe oczy.

– Ludzie skradają się między drzewami – oznajmił KaraBansita u jego boku. – Dwóch ludzi, wedle mojej rachuby. Musiałem ze strachu przesadzić ich liczebność.

– Czego oni chcą?

– Bystre pytanie, ekscelencjo. Zejdę na dół po odpowiedź, jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, żeby tu zaczekać. Proszę stąd nie odchodzić, to wrócę z wieściami. – Z ukosa obrzucił współtowarzysza chytrym spojrzeniem.

Uczepionemu balkonowej poręczy Esomberrowi zakręciło się w głowie od patrzenia w dół i aby nie zlecieć, przyłgął plecami do ściany. Usłyszał okrzyk KaraBansity i odzew ze strony przybyszów. Zamknął oczy, łowiąc uchem słowa. Słów było wiele, – niektóre pełne gniewu, kierowane z jakimś oskarżeniem, ale nie chwycił wątku. Ziemia umykała mu spod nóg. Zrozumiał, że KaraBansita woła z dołu.

– O co chodzi?

– Złe wieści, ekscelencjo, nie będziemy trąbić o tym na całą okolicę.

– Jakie wieści?

Lecz KaraBansita nie odpowiadał, pogrążony w cichej rozmowie z nowo przybyłymi. Esomberr zdecydował się więc na wędrówkę korytarzem i schodami, o mało z nich nie zlatując.

– Jesteś bardziej wstawiony, niż ci się zdawało, ty cymbale – powiedział na głos.

Cudem trafiwszy w otwarte drzwi prawie wpadł na KaraBansitę i okrytego kurzem, zdrożonego człowieka z pochodnią w dłoni. Za nimi równie osypany kurzem mężczyzna, obrócony tyłem, świdrował ciemności wzrokiem jakby w obawie przed pogonią.

– Co to za jedni?

Zdrożony człowiek obrzucił Esomberra nieufnym spojrzeniem.

– Przybywamy z Oldorando, Wasza Miłość, z pałacu Jego Królewskiej Mości Sayrena Stunda, a nie było tu łatwo dotrzeć, bo na drogach teraz niespokojnie. Mam wiadomość dla króla JandolAnganola, we własnej osobie.

– Król śpi. Czego chcesz od króla?

– Powierzono mi złe wieści, panie, abym przekazał je królowi osobiście.

Coraz bardziej zły Esomberr oznajmił, kim jest. Wysłannik nawet nie mrugnął okiem.'

– Skoro jesteś tym, za kogo się podajesz, panie, to jesteś władny dopuścić mnie przed oblicze króla.

– Mogę go zaprowadzić – zaproponował KaraBansita. Przed wejściem w pałacowe progi goście zgasili swoje pochodnie o ziemię. KaraBansita powiodł wszystkich do głównej sali, w której ludzie spali pokotem na podłodze. Podszedł do śpiącego w kącie JandolAnganola i bez ceregieli potrząsnął go za ramię. Król otworzył oczy i w jednej chwili zerwał się na nogi, sięgając do rękojeści miecza. Zdrożony przybysz zgiął się w ukłonie.

– Przepraszam, że Was obudziłem. Panie, i żałuję, że przychodzę o tak późnej porze. Wasi żołnierze zabili dwóch ludzi z mojej eskorty, ja ledwo uszedłem z życiem.

Sięgnął po dokumenty na potwierdzenie swej tożsamości. Wyraźnie dygotał, znając los posłańców przynoszących złe wiadomości. Król ledwo rzucił okiem na glejty

– Mów, co masz do powiedzenia, człowiecze

– Chodzi o Madisów, Wasza Królewska Mość

– Co z nimi?

Kurier przestąpił z nogi na nogę i złapał się za brodę, by powstrzymać szczykowanie zębami

– Księżniczka Simoda Tal me żyje. Panie Madisi ją zabili Zapadła cisza Wtem Alam Esomberr wybuchnął śmiechem.

IV. KOSGATCKI WYNALAZEK

Pusty śmiech Alama Esomberra w końcu dotarł do uszu mieszkańców Ziemi. Taka reakcja na figle losu spotkała się z natychmiastowym zrozumieniem, pomimo ogromnej przepaści dzielącej Helikonię od Ziemi.

Między Helikonią a Ziemią znajdował się pewnego rodzaju przekaźnik – Ziemska Stacja Obserwacyjna zwana Avernusem. Avernus krążył po orbicie wokół Helikonii, tak jak Helikonią krążyła wokół Bataliksy i jak Bataliksa krążyła wokół Freyra. Avernus był czymś na kształt soczewki ogniskującej helikońskie wydarzenia dla oczu ziemskich obserwatorów.

Ludzie pracujący na Avernuse poświęcili swoje życie wszechstronnym badaniom Helikonii. Ich poświęcenie nie było dobrowolne. Nie mieli alternatywy. W okowach tej nadrzędnej niesprawiedliwości na Avernuse panowała powszechna sprawiedliwość. Avernus nie znał biedy ani głodu. Ale domem był ciasnym. Większość ludzi żyła w pobliżu zewnętrznej powłoki kulistej stacji, mającej zaledwie tysiąc metrów średnicy, i swoisty niedosyt panujący w tym sferycznym zamknięciu gasił radość życia.

Bilo Xiao Pin był typowym przedstawicielem avernusjańskiej społeczności. Z pozoru potwierdzał wszystkie reguły: niezbyt oddany pracy, zaręczony z ładną dziewczyną, regularnie uprawiał przepisaną gimnastykę, miał swojego guru, który wpajał weń wiarę w wyższe wartości. Jednak w głębi ducha Bilo pragnął tylko jednej rzeczy. Pragnął się znaleźć tysiąc pięćset kilometrów niżej, na powierzchni Helikonii, aby tam spotkać się, pomówić i pokochać z królową Myrdeminggalą. W snach Bila królowa brała go w swe ramiona.

Inne sprawy zaprzętały umysły obserwatorów na odległej Ziemi. Widzieli we wszystkim ciągłość, z której Bilo i jemu podobni nie zdawali sobie sprawy. Początki smutnego rozvodu w Grawabagalinien umieli wywieść od bitwy stoczonej na wschód od Matrassyłu, w krainie zwanej Kosgatem. Kosgatckie wypadki miały wpływ na dalsze kroki JandolAnganola i jeśliby je prześledzić, to wydaje się, że nieuchronnie zmierzały do rozvodu.

Starcie znane później jako Bitwa Kosgatcka rozegrało się pięć tennerów – dwieście czterdzieści dni, czyli pół małego roku – przed dniem zerwania małżeńskich ślubów króla i Myrdeminggali nad brzegiem morza. Król otrzymał w Kosgatcie ranę, która doprowadziła do duchowego rozdarcia.

W bitwie ucierpiało nie tylko zdrowie, ale i sława króla. A nadszarpnęła je, wstyd powiedzieć, najzwyczajsza tłuszczka, horda dr ajackich plemion. Czy też – jak orzekli pewni ziemscy obserwatorzy o historycznym podejściu – wynalazek. Wynalazek odmieniający życie i króla, i królowej, i wszystkich poddanych. Strzelba.

Król odczuwał upokorzenie tym boleśniej, że Drajatami gardził, jak każdy wyznawca Akhanaby w Boriien i Oldorando. Drajatom bowiem przyznawano jedynie ułamek człowieczeństwa. Granica dzieląca nie ludzi od ludzi jest niewyraźna. Po jednej stronie leży świat pełen urojonej wolności, po drugiej świat złudnej niewoli. Inni pozostali zwierzętami i nie wyszli z lasów. Madisi osiągnęli próg inteligencji, lecz przywiązani do koczowniczego życia pozostali Pragnostykami. Drajatowie przestąpili ów próg na krocze i tu tkwili od historycznych czasów, przysiadłszy jak ptak z odmrożonym skrzydłem. Nieprzyjazne środowisko naturalne, jałowość kawałka świata, który im przypadł w udziale, przyczyniły się do trwałego zacofania Drajatów. Zamieszkiwali suche trawiaste wyżyny Thrib-riatu, krainy na południowo-wschodniej rubieży Boriien, po drugiej stronie szerokiej Takissy. Żyli wśród stad jajaków i bijajaków, wypasających się na owych wyżynach przez całe lato Wielkiego Roku. Obyczaje, które świat zewnętrzny uznawał za okropne, ułatwiały Drajatom

przetrwanie. Praktykowali swoisty mord rytualny, zabijając bezużytecznych członków wspólnoty, niezdolnych podjąć określonych prób. Rzeź starców w obliczu klęski głodu często ratowała życie młodych. Temu zwyczajowi zawdzięczali Drajatowie złą sławę wśród istot bytujących na bogatszych pastwiskach. W gruncie rzeczy był to lud spokojny, za głupi na uprawianie skutecznej wojaczki.

Wędrowni przerożnych ludów na południe wzdłuż górskich łańcuchów Nktryhku – zwłaszcza bitnych plemion przejściowo zjednoczonych pod wodzą Unndreida Młota – zmieniły tę sytuację. Pod ich naporem Drajatowie opuścili swe obozowiska i zaczęli najeżdżać niższe doliny Thribriatu, położone w deszczowym cieniu Niskiego Nktryhku.

Pewien nie w ciemną bitwę herszt zwany Darwiiszem Trupią Czaszką zaprowadził ład w szeregach oberwańców. Przekonawszy się, że prosty drajacki umysł ulega rygorom dyscypliny, sformował Drajatów w trzy regimenty i zajął Kosgatt. Zamierzał uderzyć na Matrassyl, stolicę JandolAnganola.

Borrien było uwikłane w niepopularne Wojny Zachodnie. Żadnemu bortieńskiemu władcy, a tym bardziej Orłowi, nie śniło się ostateczne zwycięstwo nad Randonanem czy Kace, bo choćby i pobił te górskie krainy, nie mógłby nimi ani zawładnąć, ani rządzić. Ściągnięto więc Piątą Armię z Kace i wyprawiono do Kosgattu. Kampania przeciwko Darwiiszowi nie została nawet zaszczycona mianem wojny. Ale żołnierzy kosiła tyle samo, co wojna, tyle samo kosztowała i toczyła się z taką samą zaciętością. Thribriat i bezdroża Kosgattu były bliżej Matrassylu niż Wojny Zachodnie. Z JandolAnganolem i jego rodem miał Darwiisz na pieńku. Był synem barona z Borlien. Walczył u boku ojca, gdy YarpalAnganol, ojciec Jandola, najechał ziemie baronii. Widział, jak młody JandolAnganol ścinał barona. Śmierć wodza w bitwie oznaczała kres walki. Nikt nie miał ochoty bić się dalej. Wojsko barona pierzchnęło w rozsypce. Darwiisz z garstką ludzi uszedł na wschód. YarpalAnganol z synem ścigali ich, polując jak na jaszczurki wśród skalnych wąwozów Kosgattu – dopóki borlieńscy żołnierze nie odmówili dalszej pogoni z braku widoków na dodatkowe łupy. Po prawie jedenastu latach spędzonych wśród pustkowi Darwiisz chwycił się nowej szansy, której postanowił nie zmarnować. "Niech sępy sławią moje imię!" – brzmiało jego bojowe zawołanie.

Pół małego roku przed rozwodem, jeszcze zanim ów pomysł zaświtał królowi w głowie, JandolAnganol musiał zebrać nowe oddziały i pomaszerować na ich czele. Ludzi brakowało, poza tym żądali zapłaty lub łupów, których w Kosgacie nie było ani na lekarstwo. Pozostawały fagory.

Fagorzym ochotnikom obiecano wolność i ziemię w zamian za służbę. Utworzono z nich Pierwszy i Drugi Regiment Królewskiej Gwardii Fagorzej w składzie Piątej Armii. Fagory były idealne pod jeszcze jednym względem:

walczyły zarówno samce, jak i samice, a z nimi szły w bój ich młode. Przed JandolAnganolem jego ojciec też nagradzał ancypickie oddziały ziemią. W wyniku tej właśnie polityki – wymuszonej na królach brakiem ludzi – fagorom żyło się w Borlien lepiej niż w Oldorando i podlegały mniejszym prześladowaniom.

Piąta Armia maszerowała na wschód przez skalne wertepy. Przeciwnik ustępował pola. Do utarczek dochodziło przeważnie półdnem – żadna ze stron nie chciała walczyć w ciemnościach ani w skwarze dwojga słońc na niebie. Piąta Armia pod wodzą KolobEktofera musiała jednak maszerować również pełnym dniem. Posuwała się w terenie nawiedzonym przez trzęsienia ziemi, obfitującym w wąwozy, które zakosami przecinały jej drogę. Okolica była uboga. Jeśli gdziekolwiek, to jedynie wśród płataniny chaszczy na dnie wąwozów trafiała się woda, jak również węże, lwy i trochę pomniejszych stworzeń. Wyżej rosły tylko pojedyncze kaktusy i karłowate drzewiny. Teren opóźniał pochód. Trudno też było się wyżywić na tej ziemi. Na płaskowyżu królowały dwa rodzaje zwierząt:

chmary mrówek i ziemne leniwce żywiące się mrówkami. Piątacy chwytali i piekli leniwce, ale mięso miało gorzki smak.

Chytry Darwiisz wciąż ustępował bez walki, wciągając JandolAnganola w głąb pustkowi. Na skałach zostawiał niekiedy za sobą dymiące ogniska albo atrapy fortów. Wówczas armia traciła cały dzień na podchodach. Regimentarz KolobEktofer, za młodu wielki podróżnik, znał thribriackie pustkowia i góry powyżej Thribriatu, gdzie kończyło się powietrze.

– Staną, już wkrótce staną – pocieszył króla pewnego wieczoru, kiedy Orzeł kłął w bezsilnej pasji.
– Trupia Czaszka musi wkrótce przyjąć walkę, jeżeli nie chce mieć plemion przeciwko sobie. Wie o tym doskonale. Stanie do boju, gdy się upewni, że zabrnęliśmy dość daleko od Matrassyłu i naszych taborów. Musimy tylko uważać na jego sztuczki.

– Jakie sztuczki? KolobEktofer pokręcił głową.

– Czaszka jest chytry, ale nie grzeszy inteligencją. Powtórzy którąś z wypróbowanych sztuczek swego ojca, tak jakby one staremu dużo pomogły. Będziemy uważać.

Nazajutrz Darwiisz stawiał im czoło.

Zbliżając się do głębokiego wąwozu zwiadowcy Piątej Armii dostrzegli drajackie zastępy rozciągnięte w bojowym szyku po drugiej stronie. Wąwóz był zarośnięty nieprzebytym gąszczem i szeroki na ponad cztery długości rzutu oszczepem.

Król za pomocą ręcznych sygnałów rozwinął kolumnę wzdłuż krawędzi wąwozu, frontem do nieprzyjaciela na drugim brzegu. W pierwszej linii ustawił fagorzą gwardię, aby stojące nieruchomo stwory budziły lęk w ciemnych umysłach ludzi gór. Sami ludzie gór mieli wygląd upiórów.

Był wczesny ranek, godzina szósta dwadzieścia. Freyr wstał w chmurach. Kiedy wyjrzał zza nich, stało się jasne, że przeciwnik i część wąwozu jeszcze przez jakieś dwie godziny pozostaną w cieniu; Piąta Armia będzie się smażyła w upale.

Drajackie szeregi miały za plecami spękane urwiska wyższego masywu. Na lewym skrzydle królewskim wznosiła się samotna góra, której ostrogi sięgały gardzieli wąwozu. Między urwiskami a samotną górą sterczało okrągłe płasko-wzgórze, jakby postawione przez geologiczne siły na straży flanki Trupiej Czaszki. Szczyt płaskowzgórza wieńczyły obwałowania prymitywnego fortu; nad glinianymi murami to tu, to tam pokazywały się proporce.

Orzeł Borlien wspólnie z regimentarzem rozglądali się w sytuacji. Za regimentarzem stał jego wierny namiestnik, małomówny olbrzym zwany Bykiem.

– Musimy wybadać, ilu ludzi siedzi w forcie – powiedział JandolAnganol.

– To właśnie jedna ze sztuczek, jakich się nauczył od ojca. Liczy, że stracimy czas atakując tę pozycję. Idę o zakład, że tam nie ma Drajatów. Widzimy w ruchu proporce poprzywiązywane do kóz albo asokinów.

Zamilkli na dłuższą chwilę. W cieniu pod urwiskami na wrażym brzegu wąwozu wzbijał się w powietrze dym i przynosił na drugą stronę zapachy gotowanego jada, przypominając im o własnych pustych żołądkach. Byk wziął na stronę swego dowódcę i coś mu szeptał do ucha.

– Posłuchajmy, namiestniku, co masz do powiedzenia – rzekł król.

– Nic takiego. Parne.

– Więc posłuchajmy tego nic – zezłościł ->iC kiól. Namiestnik spojrzał na króla, mrużąc jedno oko.

– Mówiłem tylko. Najjaśniejszy Panie, że nasi ludzie będą ruzezałOAani. Prosty człowiek – myślę tu o -sobie – ma tylko jedną drogę do popraw\ losu:

zaciągnąć się do wojska i grabić, co w ręce wpadnie. A z tymi golcami gra r' c warta świeczki. Co więcej, jakoś nie widać u nich bab – in\się o kobielads Najjaśniejszy Panie w związku z czym

duch.i bojowego nam... jakoa-Najjaśniejszy Panie, nie staje,

Król tak długo mierzył go spojrzeniem, aż Lv k się cofn.i? o kiok.

– O kobiety, Byku, zatroszczymy się po rozgromieniu Darwhs/a Mógł je ukryć w sąsiedniej kotlinie. KolobEktofer odchrząknął.

– O ile nie masz, Panie, jakiegoś planu, rzekłbym, że tu nas c^eka prawse niewykonalne zadanie. Po ich stronie jest przewaga liczebna dwu oo jednego. a chociaż mamy szybsze wierzchowce, to w zwarcu mustangi nie spsoMaj.t jajakom i bijajakom.

– Nie może być mowy o odwrocie teraz, kiedyśmy ich wreszcie dopadli.

– Możemy nie przyjąć walki i poszukać korzystniejszej pozycji do ataku. Gdybyśmy zajmowali urwiska nad nimi, na przykład...

– Albo wciągnęli ich w zasadzkę. Najjaśniejszy Panie, myślę tu o... JandolAnganol uniósł się gniewem.

– Oficerowie z was czy kozy? Tu my, tam nasz śmiertelny wróg. (zego więcej trzeba? Skąd to wahanie, skoro do zachodu słońca wszyscy możemy zostać bohaterami?!

KolobEktofer wyprężył się na baczność.

– Mam obowiązek zwrócić Waszą uwagę na słabość naszej pozycji. Najjaśniejszy Panie. Okazja do zgwałcenia paru kobiet podniosłaby ducha bojowego żołnierzy.

– Nie widzę powodu, by się lękać jakiejś podludzkiej hałastry – wybuchnął JandolAnganol – którą nasi kusznicy zmiotą w godzinę.

– Tak jest. Panie. Może gdybyś na oczach wojska zmieszał Darwłisza z błotem, dodałoby to ludziom ochoty do walki.

– Zmieszam go z błotem.

Nie próbując dalej króla przekonywać, KolobEktofer wymienił z Bykiem ponure spojrzenie i pośpiesznie sprawił swoje oddziały. Główne siły zostały rozciągnięte wzdłuż poszarpanej krawędzi wąwozu. Druga Gwardia Eagorza wzmocniła lewą flankę. Ciężka droga zmordowała mustangi, których wszystkiego było pięćdziesiąt sztuk. W większości służyły za juczne zwierzęta. Uwolnione od juków stały się wierzchowcami kawalerii, mającej wyrzucić wrażenie na wojownikach Darwłisza. Juki złożono na kupę w płytkiej jaskini na zboczu samotnej góry, pod mieszaną strażą ludzi i fagorow W razie klęski padłyby łupem Drajatow Z postępem tych przygotowań skrzydło cienia zwieszane z Gawędzi przeciwległych urwisk cofało się jak na olbrzymim zegarze słonecznym zbudowanym dla przypomnienia każdemu człowiekowi o jego śmiertelności

Spowite dotąd sinym cieniem hordy Trupie) Czaszki okazały się nie mniej malownicze w promieniach słońca Dzikusy nosiły obszalpane koce i skon i siedziały na swych jajakach równie niedbale jak owe łachy na ich grzbietach Niektórzy zrolowali sobie na ramionach koce w p'.tiokc^c pas\ by się poszeizyc w barach Część miała buty z cholewami do kolan, wielu było na bosaka Wśród nakryć głowy największym wzięciem cieszyły się wielkie kołpaki z futra bujaków, często z rogami tych zwierząt albo porożem jelenim na znak wyższej pozycji właściciela Wymalowany lub wyszyty członek w niebotyczne] erekcji stanowił pospolitą ozdobę rozporzków spodni, [jako iozpoznd\\c/\ ziiuk /dgor/ałych gwałcicieli

Trupia Czaszka z daleka rzucał się w oczy Jego futrzano-skorzany kołpak był ufarbowany na kolor pomarańczowy Nad kołpakiem sterczał jeleni wieniec a pod kołpakiem straszyla wąsata twarz Darwhsza C lecie mieczem otrzymane w dawniejszych bojach z JandolAnganolem, zdarło z niej lewy policzek i obrało żuchwę z ciała, pozostawiając gołą kość i zęby wyszczeizone w zastygłym uśmiechu trupiej czaszki Dzięki temu Darwhsz nie musiał się wysilać by wyglądać równie okrutnie, jak jego sprzymierzeńcy którym wysunięte szczęki i futrzane czapy nad oczyma w sposób naturalny

zapewniały dzikość oblicza Trupia Czaszka siedział na potężnym bijajaku Wzniósł oszczep nad głowę

– Niech sępy sławią moje imię! zawołał

Urwiska odbiły okrzyk, nierówno powtórzony przez drajackie gardła JandolAnganol wskoczył na mustanga i stanął w strzemionach Odpowiedział gromkim głosem, wyraźnie docierającym do wrażeń szeregów

– Darwysz, tak długo się bałeś stanąć do walki że aż ci gęba zgniła do reszty! – krzyknął w łamanym olonecie

Wrzawa doleciała od obu wrogich wojsk Trupia Czaszka pchnął bijajaka na sam skraj wąwozu i ryknął do przeciwnika

– Słyszysz mnie, Jandol, ty głuchy gnojarku! Jeszcze masz czelność rzucać wyzwania prawdziwym mężczyznom, ty nie dorobiony wypierdku swego ojca! A/ tu słysząc, że ci jaja dzwonią ze strachu jak kastaniety Zmiataj gnojku, zmiatał razem z tą swoją armią wyczesków ze świerzbijącej dupy!

Ryk Darwysza odbijał się od urwisk wielokrotnym echem Gdy ucichły echa, JandolAnganol odpowiedział w podobnym duchu

– Owszem, słyszę twe babskie popiskiwanie, Darwyszu z Gór Gnoju Słyszę, że tych przeżartych wiewiorem, trojnogich Inmaków wokół siebie uważasz za prawdziwych mężczyzn Sam wiesz, że prawdziwy mężczyzna nie zadawałby się z kimś takim jak ty. Smród twej gnijącej gęby mogą wytrzymać tylko te pierwotne małpy zrodzone z fagorzeżego łajna.

Pomarańczowy kołpak zatrzęsł się w blasku słońca.

– Pagórze łajno, powiadasz, ty półdniowy półdupie. Wiesz, co mówisz, skoro codziennie zżerasz miche fagorzeżego łajna, z wielkiego uwielbienia dla tych rogatych bydłojebców Bataliksi. Strać ich do wąwozu i stań do uczciwej walki, ty w koronę kakany karakanie.

Drajacka horda gruchnęła dzikim śmiechem.

– Skoro tak mało szanujesz tych, którzy są szczytem stworzenia pizy twoich jajakopasach, to wytrząchnij smród, brud i robactwo z portek, i ruszaj na nas, ty podszyta tchórzem, złamana drajacka protezo krótkiego kutaska!

Wymiana zdań ciągnęła się przez jakiś czas. JandolAnganol wychodził z niej coraz bardziej przegrany, nie dorównując wulgarnemu umysłowi i niewyczerpanej inwencji Darwysza. Podczas tych słownych harców KolobEktofer wyprawił Byka z niewielkim oddziałem żołnierzy do samodzielnej akcji dywersyjnej na tyłach wroga. Upał wzmógł się. Plaga kąśliwych insektów nękała obie armie. Fagory opadały z sił w promieniach Freyra i lada chwila mogły złamać szeregi. Leciały ostatnie obelgi.

– Pomnik fagorzeż latryny!

– Ofiara kosgatckiego mrówkojada pederasty!

Pokrzykując i potrząsając bronią borlieńska armia zaczęła się posuwać skrajem wąwozu, podobnie jak drajacka horda po drugiej stronie. KolobEktofer zwrócił się do króla:

– Co robimy z fortem na płaskowzgórzu. Panie?

– Jestem przekonany, że miałeś rację. To fort pozorny. Zapomnijmy o nim. Na czele kawalerii poprowadzisz piechotę i Pierwszą Fagorzę. Ja z Drugą Fagorzę pod osłoną płaskowzgórza zajdę Drajatów od skrzydła. Gdy nawiążecie walkę, uderzę z ukrycia, rozbiję ich prawą flankę i wyjdę na tyły. Wtedy, biorąc Darwysza w kleszcze, zepchniemy ich do wąwozu.

– Jak rozkazałeś. Panie.

– Ahkanaba z wami, regimentarzu.

Spiąwszy mustanga król podjechał do fagorzeż gwardii. Użalających się nad sobą ancypitów trzeba

było słowem zagrzać do boju. Nie znając pojęcia śmierci po prostu twierdzili, że oktawy śródpowietrzne tej doliny nie sprzyjają ich sprawie; w przypadku klęski nie odnajdą tu uwięzi.

Król przemówił do nich w hurdhu. Gardłowy ów język nie miał nic wspólnego z łamaną olonetczyną, jaką rasy porozumiewały się ze sobą, lecz – jak wiele innowacji – podobno narodził się w dalekim Sibornalu i stanowił najprawdziwszy pomost między człowieczymi i nieczłowieczymi pojęciami. Rojny od rzeczowników, gęsty od rzeczowników odsłownych. trafiał hurdhu na równi do umysłów ludzi i do bladych szlei ancipitów. Ancipicki archaizm znał tylko jeden czas – terażniejszy ciągle. Nie był to język przystosowany do myślowej abstrakcji; nawet system liczenia był ograniczony trójkową podstawą. Natomiast ancipitalna matematyka, zajmująca się rachunkiem zbiorów lat, wypracowała niezwykle tryb archajowy. Archaj jako święty język wyrażał sprawy wieczności i ponoć był mową uwięzi. Nie mając pojęcia śmierci naturalnej, miały fagory swój własny umwelt, zgoła niedostępny dla rozumu istot ludzkich. Sami ancipici niełatwo przechodzili z archaizmu na archaj. Hurdhu, wymyślony jako rozwiązanie tych problemów, wykorzystywał tryb wspólny wszystkim rasom. Mimo to zdanie w hurdhu nastęrczało rozmówcom sporo trudności, każdemu odpowiednio innych. Ludzie wymagali od hurdhu sztywnej konstrukcji zdania, odpowiadającej porządkowi w olonecie. Fagory wymagały ustalonego języka, w którym prawie niemożliwe były zarówno abstrakcyjne pojęcia, jak neologizmy. Na przykład "ludzkości" odpowiadało w hurdhu określenie "Synowie Freyra", "cywilizacji" – "dużo dachów", "formacji wojskowej" – „włócznie bijące na rozkaz”, i tak dalej.

Przeto wyjaśnienie Drugiej Gwardii Fagorzej rozkazów zajęło JandolAn-ganolowi trochę czasu. Kiedy fagory w pełni pojęły, że stojący naprzeciwko wróg plugawi ich pastwiska, a fagorze miodki nadziewa niczym mleczne prosięta na rożen, bykuny i gildy ruszyły naprzód. Strach prawie nie miał przystępu do fagorów, jednak upał wyraźnie odbierał im werwę. Idące z nimi miodki piszczały, by je wziąć na barana.

Widząc, że Druga Fagorza ruszyła, KolobEktofer krzyknął na pozostałe oddziały. Ruszyły i one. Podniósł się kurz. Te posunięcia sprowokowały drajacką horde do działania. Nierówne szeregi zrobiły w prawo zwrot i w kolumnie pomaszerowały na wroga. Przeciwnicy zamierzali się zetrzeć u podnóża urwisk, pomiędzy wylotem wąwozu a płaskowzgórzem.

Żwawe początkowo po obu stronach tempo spadło, gdy bój stał się już nieunikniony. Frontalny atak nie wchodził tu w rachubę – wybrane pole bitwy zawałały złomy skalne, pomniki podziemnych mocy, które wciąż wstrząsały tą krainą. Tutaj szło o dobrnięcie do nieprzyjaciela. Gdy przeciwnicy wreszcie się zesłi ze sobą, bezosobowe wrzaski ustąpiły miejsca osobistym wyzwiskom. Tupano w miejscu. Wojownicy stanęli oko w oko, nie kwapiąc się z pokonaniem paru ostatnich stóp dzielącej ich odległości. Drajacką starszyzna w tylnych szeregach bezskutecznie ponaglała krzykiem współplemieńców. Darwiisz galopował tam i z powrotem za liniami swych ludzi, wymyślając im na całe gardło od tchórzliwych parchojadów, lecz górale byli niezwyčajni tego rodzaju wojaczki, przedkładając nad nią szybką napaść i szybki odwrót.

Z obu stron leciały oszczepy. Wreszcie miecz spotkał się z mieczem i ostrze z ciałem. Wyzwiska zwały się w jeden wrzask. Wysoko na niebie zbierały się sępy. Darwiisz galopował jak szalony. Zza płaskowzgorza wyłonił się oddział Jan-dolAnganola i zgodnie z planem ruszył niespiesznym krokiem na prawe skrzydło Drajatów. A wtedy ze zboczy górujących nad polem walki podniosło się tryumfalne wycie. Drajackie kobiety – markietanki, ladacznice, dzikuski – tam właśnie przykucnęły w zasadzce pod osłoną cienia wysokich urwisk. Tylko czekały, żeby wróg wykonał przewidywany manewr i obszedł płaskowzgorze. Zerwawszy się na nogi i spychając głazy ze stoku, wywołały kamienną lawinę, która z hukiem runęła w dół na Drugą Gwardię Fagorzą. Oślupiałe fagory padały

ścięte niczym kręgle. Wiele młodków legio w tym wspólnym grobie.

Wierny namiestnik Byk pierwszy nabrał podejrzania, że drajackie kobiety muszą być w pobliżu. Baby stanowiły jego specjalność. W samym środku turnieju obelg odszedł z maleńkim oddziałkiem. Skradając się wśród kaktusów oddział Byka zlął na dno wąwozu, przebył kolczasty gąszcz i wspiął się na drugi brzeg, a tam udało mu się niepostrzeżenie obejść hordę Drajatów i dotrzeć do urwisk. Prawdziwej sztuki dokonali wchodząc na urwiska. Byk nigdy nie dawał za wygraną. Wspięli się wysoko ponad hordę, gdzie natrafili na wąską ścieżynę usianą świeżymi odchodami ludzi. Ponurym uśmiechem skwitowali odkrycie, zdające się potwierdzać ich podejrzania. Wspięli się jeszcze wyżej. Po odkryciu drugiej ścieżki poczuli, że są w domu. Podążyli tą ścieżką na czworakach, by z dołu nie dostrzegli ich ani swoi, ani obcy. Za wszystkie trudy wynagrodził ich widok ponad czterdziestu drajackich jędz, które okutane w koce i cuchnące kiecki przykucnęły nieco poniżej na zboczu. Sterty kamieni przed jędzami mówiły same za siebie.

Wspinacze wybrali się bez włóczni. Mieli tylko krótkie miecze. Zbocze było zbyt urwiste, aby uderzyć z góry. Nie pozostawało nic innego, jak unieszkodliwić babska ich własną bronią – zbombardować kamieniami. Oddziałek Byka musiał 'gromadzić kamienie po cichutku, nie zdradzając swej pozycji jakimś spuszczonej odłamkiem. Jeszcze zbierali pociski, gdy Druga Gwardia Fagorz [wypadła zza płaskowzgórza i wiedźmy przystąpiły do działania. i – Walić w nie, chłopaki – krzyknął namiestnik. | Sypnęli gradem kamieni. Kobiety rozbiegły się z piskiem, lecz spowodowana przez nie lawina już szła zboczem jak burza. Na dole zmiotła fagory. Ośmielone tym drajackie szeregi – przednie tnąc długimi mieczami, tylne miotając i oszczepy – tym zajadłej natarły na główne siły borlieńskie. Szyki przemieszały się i rozpadły na grupki walczących. Wszystko przesłonił kurz. Słyszeć było głuche odgłosy, nawoływania i wrzaski.

Niczym z orlego gniazda Byk oglądał bijatykę. Pragnął znajdować się na dole, w wirze walki. Niekiedy dostrzegał olbrzymią postać swojego regimentarza, jak przebiega od jednej grupy walczących do drugiej i dodaje ducha, niezmordowanie robiąc skrwawionym mieczem. Widział też wnętrze glinianego fortu na szczycie płaskowzgórza. Król był w błędzie. Wśród asokinów kryli się wojownicy.

Fala walczących okoliła podstawę płaskowzgórza, z wyjątkiem osuwiska, pod którym leżały trupy fagorów z Drugiej Gwardii. Byk krzyknął, by ostrzec KolobEktofera przed niebezpieczeństwem grożącym mu ze strony fortu, lecz ostrzegawczy krzyk utonął w bitewnym zgiełku. Namiestnik rozkazał swoim ludziom zejść północno-wschodnią ścianą urwisk i wrócić do walki. Sam to zsuwając się, to zlatując w dół zbocza, zjechał do ścieżki drajackich wiedźm i zatrzymał się tam na czworakach. W pobliżu leżała dziewczyna, trafiona kamieniem w kolano. Zaatakowała Byka sztyletem. Wykręcił jej rękę, aż chrupnęło, wgniótł dziewczynę twarzą w ziemię, a sztylet kopniakiem strącił ze skał.

– Później cię załatwię, suko – rzekł.

Zbiegłe kobiety pozostawiły tu oszczepy. Podniósł jeden i wyważył w dłoni, patrząc w stronę fortu. Z tej niższej półki ledwo dostrzegał plecy ludzi klęczących za obwałowaniem. Któryś z nich zauważył Byka przez szczelinę. I wstał. Na wysokość piersi podniósł zagadkowy oręż, którego drugi koniec oparł na ramieniu towarzysza.

Zebrawszy się w sobie Byk cisnął z całej siły oszczepem. Rzut był pewny, lecz niecelny, i oszczep uderzył w obwałowanie fortu. Rozczarowany Byk ujrzał, jak obłoczek dymu wylatuje z broni, którą wyrzuciło w niego dwóch ludzi. Coś bzyknęło mu, jak szerszeń, koło ucha.

Pośród garów i kobiecych łachów znalazł inne oszczepy. Znow wybrał jeden i złożył się do rzutu. Tamci dwaj w forcie również nie próżnowali, napychając czymś swój oręż z jednego końca. Przyjęli

uprzednią postawę, a Byk, ciskając oszczepem, ponownie ujrzał obłoczek dymu i usłyszał huk. W tejże chwili coś zadało mu tak potworny cios w lewy bark, że aż się zatoczył. Runął jak długi plecami na ścianę. Ranna dziewczyna dźwignęła się z ziemi, złapała najbliższy oszczep i zamierzyła się na jego odsłonięty brzuch. Byk podciął ją kopniakiem, opasał prawym ramieniem jej szyję i razem stoczyli się z urwiska.

Tymczasem strzelcy ze szczytu płaskowzgórza, już się nie kryjąc, zaczęli ze swej osobliwej broni razić żołnierzy KolobEktofera. Darwiisz z okrzykiem radości runął na swym bijajaku w wir walki. Zwiertzył wygraną. Zgnębiony losem królewskiej gwardii KolobEktofer dotrzymywał pola nieprzyjacielowi, ale palba z samopałów siała straszliwy zamęt wśród jego żołnierzy. Kilku poległo. Nikomu nie przypadł do gustu ten tchórzliwy wynalazek, który zabijał z daleka. KolobEktofer dałby głowę, że ta ręczna broń miotająca została Drajatom sprzedana przez Sibornalczyków lub inne plemiona prowadzące handel z Sibor-nalczykami.

Chwiały się szeregi piątaków. Żeby nie przegrać tej bitwy, musiał KolobEktofer natychmiast zmusić fort do milczenia. Skrzyknąwszy sześciu zahartowanych weteranów dawnych kampanii, nie dając nikomu nawet chwili do namysłu – szala zwycięstwa już przechylała się na niekorzyść resztek królewskiej armii – regimentarz z dobytym mieczem poprowadził ich na wspinaczkę po rumoszewym skłonie, jedynej dostępnej drodze na szczyt płaskowzgórza. Fort owiła drużynę KolobEktofera hukiem eksplozji. Jedna z sibornalskich rusznic zerwała się, zabijając strzelca. Jednocześnie pozostałe rusznice – razem denaście – pozacinały się bądź zabrakło do nich prochu. Drajaci nie byli •yćwiczeni w obsłudze broni palnej. Zdemoralizowani strzelcy dali się wyrznąć ez oporu. Żaden nie oczekiwał i też nie zaznał litości ze strony KolobEktofera. tłoczeni pod płaskowzgórzem Drajaci zauważyli tę rzeź swoich.

Armia królewska, a właściwie jej niedobitki, zauważywszy odejście swoich ajlepszycy dowódców, podjęły decyzję odwrotu, mimo że nie wszystko było już tracone. Garstka dziesiętników KolobEktofera próbowała jeszcze przebić się do rola, lecz z braku wsparcia wycięto ją w pień. Cała reszta uciekła na łeb na szyję rzed Drajatami, którzy w pościgu miotali groźby mrozące krew w żyłach.

KolobEktoferowi i jego przybocznym przyszło stoczyć mężny bój i ulec rzewadze. Ich zwłoki zostały rozsiekane na kawałki, a ich kawałki strącone opniakami do wąwozu. Darwhszowa horda rozdzieliła się na grupki i upojona wycięstwem, mimo dużych strat własnych, polowała na niedobitki. Pod wieczór tdko sępy i różne cichociemne stwory jeszcze krążyły po polu bitwy. Był to ierwszy przypadek użycia broni palnej przeciwko Borlien.

W pewnym wiadomej sławy domu na skraju Matrassyłu pewien handlarz)dem obudził się ze snu. Kurwa, z którą spędził noc, ziewając kręciła się już po okoku. Handlarz lodem wsparł się na łokciu, podrapał w pierś i odkaszlnął. Do rechodu Freyra było niedaleko.

– Napijemy się górokrotki, Metto? – spytał.

– Nastawiłam wodę – odparła szeptem.

Od kiedy ją znał, Metta zawsze pijała wczesnym rankiem górokrotkę. V mętnej pomroce usiadł na brzegu łóżka, wodząc za nią oczyma. Wciągnął podnie. Teraz, gdy minęło pożądanie, trochę go krępowała własna tusza. Uszedł za Mettą do połączonej z pokoikiem maleńkiej kuchenki i zarazem nnywalni.

Kociołek szumiał nad rynienką z węglem drzewnym, ożywionym tchnieniem niecna. Jedyne żar drzewnego węgla rozjaśniał tę kajutkę, jeśliby pominąć »osiew brzasku z pęknięcia w okiennicy. Obserwując, jak w tym skąpym świetle tioletta krząta się i przygotowuje górokrotkę, miał wrażenie, że patrzy na swojąone. Tak, przybywa latek – pomyślał licząc zmarszczki na jej szczupłej twa-zy –

pewnie dwadzieścia dziewięć, a może już trzydzieści. Tylko pięć lat młodsza ode mnie. Już nie taka śliczna, ale dobra w łóżku. Już nie kurwa. Kurwa la emeryturze. Westchnął. Teraz przyjmowała tylko starych przyjaciół, i to ^ drodze łaski. Wystrojona elegancko, acz bez ekstrawagancji, Metta wybierała ię do kościoła.

– Co powiedziałaś?

– Nie chciałam cię obudzić, Krillio.

– Nic nie szkodzi. – W przyływie uczucia dodał z ociąganiem: – Nie chciałbym tak odejść bez słowa podzięk i pożegnania.

– Teraz wracasz do żony i rodziny.

Kiwnęła głową nie patrząc na niego, zaprzętnięta rozkładaniem listków górokrotki do dwóch filiżanek. Usta Metty były zaciśnięte. Ruchy metodyczne, jak wszystkie jej ruchy – pomyślał.

Statek handlarza lodem zacumował wczoraj pod wieczór. Przybył z Lordrar-dry, żeglując ze zwykłym ładunkiem przez całe Morze Orłów do Ottassolu, a stamtąd w górę kapryśnej Takissy do Matrassylu. W ten rejs, oprócz lodu, handlarz zabrał swego syna Diwa, by zapoznać młodzieńca z klientami i placówkami na handlowym szlaku. I aby go zaznajomić z domem Metty, w którym bywał od pierwszej dostawy do pałacu, czyli od bardzo dawna. Chłopak był we wszystkim zapóźniony. Kochana Metta załatwiła dla Diwa dziewczynę, sierotę z Zachodnich Wojen, smukłą i śliczną, o kuszących ustach i czystych włosach. Na pierwszy rzut oka rzekłbyś, że tak samo niewinną, jak Diw. Obejrzał sobie dziewczynę i z pomocą monety wetkniętej w jej kunie sprawdził, czy nie ma chorób. Był zadowolony, bo miedziak nie pozieleniał. Był zadowolony, ale nie dc końca. Dla syna chciał najlepszego towaru, choć chłopak nie grzeszył rozumem.

– Metto, ty chyba masz córkę mniej więcej w wieku Diwa? Metta nie była gadułą.

– Nie odpowiada ci dziewczyna?

Pilnuj swego lodu – zdawało się mówić jej spojrzenie – mnie zostam dziewczyny. Po chwili spojrzenie Metty złagodniało, być może dlatego, że mógłb) się więcej nie pokazać, a nigdy nie skąpił pieniędzy.

– Moja córka Abatha – powiedziała – chce się dorobić i przenieść dc Ottassolu. Mówiłam jej i mówię, że w Ottassolu nie ma nic, czego nie byłob) tutaj. Ale ona chce zobaczyć morze. I mów tu jej, że zobaczy co najwyżej marynarzy.

– A teraz gdzie jest Abatha?

– Och, radzi sobie niezgorzej. Ma pokoik, firanki, suknie... Zarobi trochę i popłyynie na południe. Taka młoda i piękna, od razu znalazła sobie możnegc opiekuna.

Dostrzegł skrytą zawiść w oczach Metty i domyślnie pokiwał głową. Tyn" bardziej nie mógł powstrzymać ciekawości i spytał, co to za jeden. MettE spojrzała zezem na młodego Diwa i dziewczynę, którzy stali przy łóżku, ni(mogąc się doczekać, kiedy zostaną sami. Skrzywiła się i nie wiedząc, czy dobrz< robi, wyszeptala mu do ucha czyjeś imię. Przesadnie wciągnął powietrze.

– No, no!

Ale i on, i Metta byli zbyt starzy i zbyt zepsuci, aby cokolwiek ich poruszyło

– Tata już wychodzi? – spytał Diw.

Więc tata wyszedł, wreszcie pozwalając Diwowi zabrać się do rzeczy najlepiej jak umie.

Ach, mężczyźni, mężczyźni... Głupcy za młodu, wypalone wraki na stare lata! Teraz, gdy świt się wkłada na niebo, Diw pewnie śpi z dziewczyną, głowa przy głowie, w którymś z pokoików na parterze. Za to ojcu nic nie zostało z przyjemności, jaką odczuwał poprzedniego wieczoru, spełniwszy wobec syna swój ojcowski obowiązek. Czuł głód, jednak nie zgłupiał na tyle, by poprosić Mettę o coś do jedzenia. Nogi miał zeszywniałe – łóżka kurew nigdy nie były przeznaczone

do spania.

W tym filozoficznym nastroju uświadomił sobie, że zeszłej nocy bezwiednie dopełnił pewnej ceremonii. Oddając syna w ręce młodzianki kurwy, w rzeczy samej zegnał własne dawne żądze. Gdy już umrą żądze, co z nim będzie dalej? Raz już kobiety uczyniły go żebrakiem; zajął się intratnym handlem – nigdy nie przestając pożądać kobiet. Lecz jeśli ta życiowa pasja przeminie... coś musi wypełnić powstałą pustkę. Pomyślał o swym ojczystym kontynencie. Tak, Hespagorat potrzebował boga, choć z pewnością nie boga tego zakaznego religią Kampanniatu. Westchnął, zastanawiając się, dlaczego to, co Metta ma między szczupłymi udami, wydaje się o wiele, wiele potężniejsze od boga.

– Płyniesz do kościoła? Strata czasu.

Kiwnęła głową. Klient zawsze ma rację.

Tuląc w dłoni ciepłą filiżankę, którą mu podała, doszedł do bezdrzwiowego otworu pomiędzy kuchnią a pokoikiem. W progu obejrzał się, przystając. Metta zdążyła już wypić duszkiem swoją górokrotkę, ostudziwszy ją kapką zimnej wody. Wkładała długie do łokcia, czarne rękawiczki, obciążając koronkę na podwiedłej skórze. Pochwyciła jego spojrzenie.

– Możesz wracać do łóżka. W tym domu nikt nie wstaje o tej porze.

– Było nam zawsze dobrze ze sobą, tobie i mnie, Metto. – Rozpaczliwie pragnąc usłyszeć, że i ona ma dla niego odrobinę uczucia, dodał: – Jesteś mi bliższa niż własna żona i córka.

Codziennie wysłuchiwała takich wyznań.

– No to do następnego rejsu, Krillio. Mam nadzieję, że znów zobaczę Diwa. Do widzenia.

Mówiła prędko, idąc do wyjścia i zmuszając go, by zszedł jej z drogi. Cofnął się do pokoju. Przepłynęła obok, jeszcze poprawiając ściągacz drugiej rękawiczki. Wyraźnie dała do zrozumienia, że istnienie jakiegokolwiek uczucia między nimi po prostu mu się ubrdało. W jej sercu nie było dla niego miejsca.

Wracając z filiżanką do łóżka, popijał gorącą górokrotkę. Otworzył okiennicę, by z przyjemnością i z bólem, i lichy wie z czym jeszcze popatrzeć za nią, jak idzie pustą ulicą. Stłoczone domy stały zamknięte i szare, swoim wyglądem budząc w nim dziwny niepokój. W bocznych zaułkach wciąż czaił się mrok.

Widać było tylko jednego przechodnia – mężczyznę, który sunął jak lunatyk, trzymając się ręką ścian. Za nim kwiląc podążał mały fagor, miodek.

Z bramy akurat pod oknem wyszła Metta, zrobiła jeden krok ulicą. Stała na widok nadchodzącego przechodnia. Jak nikt zna się na pijakach – pomyślał handlarz lodem. Trunek i ladacznice idą w parze, na każdym kontynencie. Ten mężczyzna jednak nie był pijany. Krew mu spływała z nogi na kocie łby.

– Schodzę do ciebie, Metto! – zawołał handlarz. Po chwili, wciąż bez koszuli, był przy niej na widmowej ulicy. Nie poruszyła się.

– Zostaw go, jest ranny. Nie chcę go u siebie. Narobi kłopotów. Ranny mężczyzna z jękiem zatoczył się na mur. Przystanął, podniósł głowę i utkwiał wzrok w handlarzu lodem. Temu dech zaparło ze zdumienia.

– Metto, na Patrycielkę! To król we własnej osobie... król JandolAnganol! Podbiegli i wprowadzili króla pod bezpieczny dach burdelu.

Niewielu królewskich żołnierzy powróciło do Matrassyłu. Bitwa Kosgatcka, jak ją zaczęto nazywać, przyniosła straszliwą klęskę. Sępy sławiły imię Darwłisza w owym dniu.

Odzyskawszy siły pod opieką oddanej mu królowej Myrdeminggali, król oświadczył skritinie, że rozgromił ogromną armię wroga. Ale kupowane u domokrażców ballady głosiły co innego. Opłakiwana była zwłaszcza śmierć Kolob-Ektofera. W ubogich dzielnicach Matrassyłu z

uwielbieniem wspominał Byka. Ani jeden, ani drugi nie wrócił do domu.

W dniach, kiedy osłabły od ran leżał w swej komnacie, JandolAnganol doszedł do wniosku, że musi dla ocalenia Borlien zawrzeć bliższe przymierze z ościennymi krajami Świętego Cesarstwa Pannowalu, zwłaszcza z Oldorando i Pannowalem. I za wszelką cenę musi zdobyć tę ręczną broń miotającą, jakiej pograniczni rabusie użyli z tak zgubnym dlań skutkiem.

Wyłożył sprawę swoim doradcom. Przy ich udziale zrodził się ów plan rozwodu i dynastycznego małżeństwa, który pół roku później miał sprowadzić JandolAnganola do Grawabagalinien; który miał króla oderwać od pięknej królowej; który miał króla oderwać od syna; i który, jeszcze dziwniejszym zrzędzeniem losu, miał władcę Borlien postawić w obliczu innej śmierci – śmierci przypisywanej pragnącej rasy Madisów.

V. MADISKIE DROGI

Madim Kampanniatu tworzyli odrębną rasę. Ich obyczaje były odrębne od ob)c/.Jjów zarówno rasy łódzkiej, jak ancipitalnej. I plemiona ich były odrębne jedno od długiego

O parę dni diogi od Matrassylu plemię Madisów z wolna przemierzało ze \ schodu •ia /achod krainę Hazziz, która już dawno stała się pustynią.

Plemię b>ło w drodze dłużej, niż ktokolwiek mógł obliczyć. Ani sami Praenosr\c\ am żadne ludy oglądające ich przejście nie mogły powiedzieć, kiedy dii' fd/ie rozpoczęli Madisi swą wędrówkę. Byli wędrowcami. Rodzili dzieci \v pochodzie, dorastali i pobierali się w pochodzie i w pochodzie na koniec 2^ ai. A^ 7 /^ciem

Zy-.^ n&z)v,dii słowem ..Ahd\ oznaczającym Podróż. Niektórzy ludzie interesując) ^ię Madisami – a takich było niewiele – twierdzili, że to właśnie Aiid je^i /rodłem odiebności Madisów. Inni uważali, że ich mowa. Madiską ITK »^ b\ •,piev> n\łd pieśń, w której melodia zdawała się brać górę nad słowem \ .nadiskim j^ ku b>lc> "JŚ pogmatwanego i nie dokończonego, co jak gdyby \s , -dn Yladiio^ z ich drogą i co niewątpliwie mdliło człowieka, który b) probował op^nu^^ć rei. jęzk

Mn^d'. człowiek właśnie pioDował go opanować. Kiedyś, będąc jeszcze dzieckiem L*siło\wał trochę liznąć hi'madi'h. Teraz, już jako młodzieniec, był \ powa/iieJ^ej ?>y'tJdCj'i i odpowiednio poważniej traktował naukę języka. Stał pr/\ kdrnk"nvm shipie z wyr\tym symbolem boga. Słup wytyczał granicę oktawy śródziemnej czy też linię zdrowia, zresztą chłopaka mało obchodziły owe stare zabobony.

Mddi-;i ncidciągali w bezładnych gromadkach lub gęsiego. Cichy zaśpiew /\i4-'tował ich nadci^cie Pszechodzili pod słupem, wielu nawet głaskało mijany kdmien, ale nikt nie spojrzął na chłopaka. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, mieli takie same workowate opończe, luźno przewiązane w pasie. W razie niepogody stapiali sztywne wysokie kaptury opończy, co nadawało im niesamowity wygląd.

Drewniane chodaki wędrowców były tak topornie wycięte, jakby się w ogóle nie liczyły stopy, które przecież ich niosły w Ahd.

Chłopak widział szlak wijący się jak nitka w dalach półpustyni, bez końca. Nad szlakiem wisiał lotny welon kurzu i s/mer pragmatycznej mowy. Coraz to któryś z Madisów śpiewał do po/ostałych, tony przepływały wzdłuż szlaku niczym krew w arterii. Kiedyś chłopak brał te tony za luźną rozmowę podczas drogi. Obecnie skłaniał się ku pogładowi, że to rodzaj przypowieści, ale czego dotyczącej. Nie miał pou.-i.iri, dia M fdisów bowiem nie istniała ani przeszłość, ani piższłość

Wyczekiwał swojej chwili. Oczyma pożerał zbliżające się ku niemu twarze. Iak gdyby wypatrując utraconej miłości, i czekał na znak. Mimo że Madisi otrzymali cielesną powłokę człowieka, z ich twarzy wyzierała jakaś niespełniona tęsknota, jakaś pi.ignostyczna niewinność, która ludziom przywodziła na myśl wi/erunki zwierząt i kwiatów.

Była \o jakb\ wciąż Jedn;) i la sama tw^arz madiska. Miała wypukłe gałki oczne o 'agodn^ch piwnych tęczówkach w oprawie długich i gęstych rzęs. Wydatny orli nos przypominał dziób papugi. Czoło lekko cofnięte, szczeka nieco wysunięta. Całość jawiła się oczom chłopca nad podziw piękna. Jak rozkos7ny szczeniak, którego ubóstwiał w dzieciństwie, albo białe-brązowe kwiaty krzewu psiajucln.

Pewna dostrzegalna cecha pozwalała odróżnić twarz męską od żeńskiej. Mężczyźni mieli pod skroniami i na brodzie po parze drobnych guzków. Na niektórych ""sh kępk; vJoso\\. Chłopak zauważył męczyznę, któremu \ niK|see gu^ów wyrosły krótkie różki.

/ uwielbieniem patrzył chłopak na procesje tych twarzy Był urzeczony madiska mcvMnnoścą. 'Me w jego szlaciach gorzał płomień nienawiści. Pr.lgnął zabić swojego ojca. JandolAnganola. króla Borlien.

Snu.;^ "io-t.i!iec/n\ i^.irowód wciąż/ płynął I 010 nagle jest Jego znak! Ocb. d/ieK"";e ci! – za\oi^ł. rus/aiąc naprzód.

M.ii.iM-a g-Lihii:l pizcd sol^; ar.iTi\ oderwała oczy od ,zlaku i podniosła je na chłopaka rzucając mu Prz<,h\lne Spojrzenie. Bezosobowe spojrzenie, w którym inteligencja 'edwr hiy snęła, a już zgashjaK maleńka iskierka, zbyt słaba, by strzelił z niej płomień

Zrównał krok z kobietą, która już nie zwracała na niego uwagi; otrzymał spojrzenie, należał d '» Ahd. Do Ahd należały też idące z nomadami zwierzęta, 'ii^/nc dzikie jajaM. ^h\ytane na pasiwi^kach Wielkiego Lata, oraz na poły udomowione arangi \ kilku gatunkach, owce i fhlebihty, wszystko kopytne, a ponadto psy i asokmy, wyglądające na tak samo rozkochane w koczowniczym życiu, jak ich panowie.

Chłopak nazywający siebie tylko Robą i gardzący tytułem księcia, z politowaniem wspomniął, jak znudzone damy na ojcowskim dworze, ziewając powiadały, że chciałyby być "tak wolne, jak wieczny tułacz Madis". Madisi, którym pod względem świadomości mógłby dorównać inteligentny pies, byli niewolnikami swego trybu życia. Codziennie przed świtaniem zwijali obóz. O wschodzie słońca już byli w drodze, bez ustalonego porządku marszu. W ciągu dnia zdarzały się na trasie postoje dla odpoczynku, jednak odpoczynki były krótkie, a postoje nie związane z liczbą słońc na niebie. Roba nabrał przekonania, że takie rzeczy nie miały przystępu do madiskich umysłów, na wieki przypisanych do szlaku. Czasami przychodziło im pokonywać przeszkody na drodze – przebyć rzekę albo wspiąć się na urwisko. Cokolwiek by to było, plemię najspokojniej brało przeszkodę. Często utonęło dziecko, zabił się ktoś ze starszyny, zaginęła owca. Lecz Ahd toczyła się dalej, a muzyczna rozmowa nigdy nie cichła.

O zachodzie Bataliksy zarządzono postój. Dwa słowa, oznaczające "wodę" i "wełnę", zaczęły się powtarzać w śpiewie najczęściej. Gdyby istniał madiski bóg, to składałby się z wody i wełny. Mężczyźni najpierw dopilnowali, by każde zwierzę w stadzie napiło się wody do syta, po czym jęli przygotowywać główny posiłek dnia. Matki i córki tymczasem uwolniły juczne zwierzęta od prymitywnych krosien i zabrały się do tkania kobierców i opończy z farbowanej wełny.

Woda stanowiła artykuł pierwszej potrzeby, wełna artykuł handlu. "Woda jest Ahd, wełna jest Ahd". Piosnka mijiała się z rzeczywistością, ale brzmiała prawdziwie. Mężczyźni strzygli i farbowali wełnę zwierząt na biwakach, a kobiety od czwartego roku życia czesały w drodze wełnę na kądziele. Wszystkie wytwory madiskich rąk były wytworami z wełny. Długonoga fhlebiht dostarczała najdelikatniejszej wełny, przeznaczonej do wyrobu godnych królowej sukien satara. Tkane z wełny wyroby podróżowały na grzbietach jucznych zwierząt albo pod burymi opończami mężczyzn i kobiet. Później wymieniano je w miastach na szlaku, w Distejkju, Yicch, Oldorando, Akace...

Wieczorny posiłek był spożywany z nastaniem zmierzchu, po czym całe plemię kładło się spać, mężczyźni, kobiety i zwierzęta pospołu. Co pewien czas Madiska dostawały miłosnej gorączki. Gdy przysła jej pora, kobieta Roby poszukała u niego zaspokojenia, dając mu nadspodziewaną rozkosz w swych trzepotliwych objęciach. Orgazmy dobywały z jej gardła głośnie trele pieśni.

Trasa madiskiej wędrowki biegła koleinami równie utartymi, jak madiskie dni. Wędrowali na wschód szlakiem wschodnim albo na zachód szlakiem zachodnim, dwoma osobnymi szlakami, które to się krzyżowały, to rozchodziły na setki mil. Wędrowali w jednym kierunku przez okrągły mały rok, toteż ich nikła świadomość upływu czasu wyrażała się w pojęciu odległości – zrozumienie tego stanowiło pierwszy krok Roby do zrozumienia hr'Madi'h.

O tym, że Podróż trwa od stuleci, że przed tymi stuleciami już trwała od stuleci, świadczył świat roślinny na madiskim szlaku. Te kwiatolice istoty nie miały niczego prócz zwierząt, jednak gubiły coś niecoś po drodze. Gubiły odchody i nasiona. Kobiety miały zwyczaj zbierania przydrożnych ziół i takich roślin, jak afram, henna, ciemiernik szarłatny i opończyk. Otrzymywano z nich barwniki do tkanin. Madisi rozsiewali nasiona roślin, w tym i zbożowych, jak jęczmień. Zwierzęta roznosiły na kudłach rzepy i zarodniki. Podróż na całej długości szlaku przejściowo ogołacała ziemię z roślinności. Ale też dzięki Podróży ziemia kwitła. Nawet w półpustyni Madisi wędrowali szpalerem drzew, krzewów i traw, które sami niechcący powysiewali. Nawet na stokach gołogór kwitły kwiaty, skądinąd widywane jedynie na nizinach. Szlak wschodni i szlak zachodni – przez Madisów zwane uktami – biegły jak dwie wstążki, niekiedy splatając się, na przełaj przez tropikalny kontynent Helikonii, znacząc starożytny szlak łajna.

W nieskończonej wędrówce Roba zapomniał o swych związkach ludzkością i o swej nienawiści do ojca. Podróż uktami stała się jego życiem, jego Ahd. Bywało, że potrafił zwieść sam siebie i wierzył, że rozumie opowieść nuconą w krwiobiegu dnia. Przeniósł życie tułacza nad życie wśród intryg dworu, ale nie mógł jakoś nabrać przekonania do madiskiej strawy. W Madisach pokutował utajony lęk przed ogniem, toteż kuchnię mieli prymitywną i piekli tylko podpłomyki na gorących kamieniach, nazywając ten swój chleb, płaski i praśny, la'hrap. Jedli la'hrap na ciepło i w postaci sucharów. Pili krew i mleko zwierząt. Od wielkiego święta raczyli się miazgą z surowego mięsa.

Krew miała dla nich wyjątkowe znaczenie. Roba zmagął się z całą litanią słów i zwrotów niejasno dotyczących wędrówek, krwi, jądła i boga-we-krwi. Wielokrotnie zamierzał przemyśleć w nocy te zawile kwestie, w spokoju i ciszy spisać zdobyte wiadomości, jednak po spożyciu skromnego posiłku wszyscy zapadali w sen, i Roba z nimi. Oczy same mu się zamykały.

Przypuszczał, że jego towarzysze podróży nie miewają marzeń sennych, bo sam ich nie miewał. Gdyby tylko nauczyli się śnić – myślał – być może minęliby ów sekretny zakręt, za którym leży człowieczeństwo. Chwilę przed zaśnięciem popatrzył na swoją kobietę, gdy już wypuściła go z objęć po krótkiej rozkoszy, i zastanowił się, czy Madiska jest szczęśliwa. Nie było sposobu, aby o to zapytać ani na to odpowiedzieć. A on, czy jest szczęśliwy? Chociaż wychowany przez kochającą matkę, królową królowych, Roba wiedział, że we wszelkim człowieczym szczęściu tkwi wieczna rozpacz. Być może Madisi uszli tej rozpacz, przystając na progę człowieczeństwa.

Mgła zasnuła Takisę i Matrasyl, mimo że nad miastem płonęły dwa słońca. Duchota wyгнаła królową z pałacu na hamak. Cały ranek upłynął Myrdem-Inggali na wysłuchiwanie próśb poddanych. Wielu z nich było jej znanych z imienia.

W cieniu marmurowej altany oddawała się teraz snom na jawie. Jej fantazje dotyczyły króla, który, ozdrowiawszy z ran, nagle i bez słowa wyjaśnienia wybrał się w podróż – mówiono, że w górę rzeki do Oldorando. Nie zabrał królowej ze sobą. Za to wziął fagorze młodka, sierotę, który ocalał, podobnie jak i król, z Bitwy Kosgatckiej.

Meja TolramKetinet, pierwsza dama dworu Myrdeminggali, przysiadła z księżniczką Tatrą w cieniu pod altaną. Meja zabawiała Tatrę malowanym ptakiem z drewna, poruszającym skrzydłami. Zabawki i książki dla dzieci walały się na mozaikowym tarasie.

W królestwie wyobraźni królowej, dokąd ledwo docierała paplanina córki, drewniany ptak wzbił się w powietrze. Z łopotem siadł wśród gałęzi drzewa gwing-gwinki, obwieszonych kiśćmi dojrzałych owoców. Czarodziejską mocą swej myśli królowa przemieniła Freyra w niewinną gwing-gwinkę. Jego groźny dla świata żar jawił się jako najzwyklejsza pod słońcem, brzemienna dojrzałość. Mocą tej samej magii, drzemiącej pod powiekami królowej, całe jej ciało było i zarazem nie było miękkim miąższem owoców gwing-gwinki. Mięciutkie owoce pospadały na twardą ziemię. Dojrzałe,

brzemienne kule okryte były meszkiem. Potoczyły się pod żywopłoty, rozłożyły się na pluszowej pościeli mchów, wtuliły policzkami w ich zielony aksamit. A wtedy zjawił się dzik odyniec. Bo to był odyniec, chociaż był to jej mąż, jej pan i władca. Odyniec rzucił się na gwing-gwinkę, zmiądzzył, wżarł w nią, aż mu soki pocięły po brodzie.

Zapełniając ogród lepkiemi od słodczy marzeniami, królowa jednocześnie wznosiła modły do Akhanaby, by ją wybawił od gwałtu – a może raczej pozwolił na rozkosz i nie karał za rozpustę. Komety goniły się po niebie, mgły gęstniały nad miastem. Freyr zalewał je żarem, wszystko dlatego, że sobie roiła o wielkim odyńcu.

Król już się do niej dobrał w tych rojeniach. Odyniec wygiął nad nią ogromny szczeciniasty grzbiet. Bywały noce, bywały takie letnie noce, gdy wzywał ją do swej łóżnicy. Szła bosa, namaszczona olejkami. Za nią Meja niosła tranową lampę, której płomień w szklanym kloszu wyglądał jak gorejące wino. Stawała przed królem świadoma, że oto jest królową królowych. Jej oczy były szeroko otwarte i tajemnicze, sutki już rozpalone, uda ociążałe dojrzałością sadu gwing-gwinek czekających na kiel odyńca. Za każdym razem z nową namiętnością rzucali się sobie w objęcia. Pieszczotliwie wymawiał jej imię, jak dziecko wołające przez sen. Zdawało się, że dwa ciała, że obie dusze kotłują się niczym para z dwóch połączonych gorących strumieni. Meja TolramKinet pełniła swą powinność, stojąc z lampą przy łożu i przyświecając ich uniesieniom. Nie potrafili sobie odmówić widoku wzajemnej nagości. Niekiedy dworka, za dnia tak zrównoważona z natury, dłużej nie wytrzymując brała własną kunie do drugiej garści. Bezwzględny w swym khmirze JandolAnganol kładł ją wówczas obok królowej i brał dworkę, jakby nie widział różnicy między dwiema kobietami. O tym królowa milczała w dzień jak zaklęta. Jednak instynkt kobiecy podszeptował jej, że Meja wygadała się ze wszystkiego przed bratem, generałem Drugiej Armii; królowa wyczuła to w spojrzeniu młodego generała. Śniąc na jawie zastanawiała się, jak by to było, gdyby młody Hanra TolramKinet został uczestnikiem zmagañ w królewskiej łóżnicy.

Bywało, że khmir zawodził. Bywało, że JandolAnganol przybywał do niej sekretnym korytarzem, kiedy nocne ómy zlatywały się do jej znowu gorejącej lampki. Słyszała kroki króla, jakże różne od wszystkich innych. Prędkie i zarazem niepewne, wyrażające, jak myślała, jego naturę. Przychodził i rzucał się na nią. Gwing-gwinki były na miejscu, lecz nie było kła. Zdradzony przez własne ciało, wpadał w szał. Dla kogoś, kto prawie nikomu nie ufał na własnym dworze, była to najwyższa zdrada. Wówczas w napadzie duchowego khmiru biczował się z nienawiścią równie głęboką, jak uprzednie pożądanie. Królowa głośno szlochała. Rankiem niewolnice, krzywiąc usta i rzucając kosę spojrzenia, na klęczkach ścierały krew króla z posadzki przy łożku królowej.

Ani Meja TolramKinet, ani pozostałe damy dworu nigdy nie usłyszały od niej o tym dziwactwie małżonka. Zdradzało jego naturę, tak jak chód. Królowi brakło cierpliwości do pragnień nie tylko cudzych, ale również własnych. Niecierpliwość nie pozwalała mu spojrzeć na siebie chłodnym okiem, a kurując się z ran musiał przebywać sam z sobą i własnymi myślami.

Ukoiwszy gorycz widokiem obwieszonych gwing-gwinkami gałęzi, królowa już łagodniej przyznawała w duchu, że rysa słabości przysparza mu siły. Że z nią jest mocniejszy. Nie potrafiła jednak wyznać królowi, że ona to rozumie. Potrafiła tylko szlochać. Nazajutrz zaś odyniec z postawionym chybem znów rył pod żywopłotami. Czasami w środku dnia, gdy wydawało się, że gwing-gwinki aż pałają, by trafić na kiel, nurkowała w basenie i pogrążona w objęciach wody patrzyła w górę, na ognistą pożogę Freyra rozlaną po powierzchni. Pewnego dnia – och, czuła to w swej łoni – płomienisty Freyr runie w głąb basenu, aby spalić ją za rozpasane żądze. Dobry Akhanabo, bądź miłościw. Ja, królowa królowych, ja też miewam khmir.

Naturalnie, obserwowwała króla również w ciągu dnia. Bywało, że w trakcie rozmów z

dworzanami, z mędrkami czy głupcami, czy nawet z owym ambasadorem sibornalskim, którego świdrujący wzrok napawał ją takim lękiem, król sięgał ręką do misy po jabłko. Chwytał pierwsze, które mu się nawinęło. Mogło to być jedno z tych cynobryjskich jabłek, jakie rzeką przywożono z Ottassolu. Wbijał zęby w jabłko. Jadł je inaczej niż jego dworzanie, z których każdy delikatnie ogryzał miąższ, a gruby ogryzek rzucał na podłogę. Król Borlien jadł łapczywie, lecz jakby bez przyjemności, i zżerał cały owoc, skórę, mięksiz, ogryzek i krągłe pestki. Łykał wszystko, jak leci, nie przerywając rozmowy. Na koniec ocierał sobie brodę, najwyraźniej nie poświęciwszy owocowi ani odrobiny uwagi. A Myrdeminggala skrycie myślała o odyńcu pośród żywoptotów. Akhanaba ukarał ją za lubieżne myśli. Ukarał ją świadomością, że nigdy nie pozna Jana, mimo że są sobie tak bliscy. A tym samym – co sprawiało większy ból – on nigdy nie pozna jej tak, jak tego pragnęła. Jak potajemnie poznał ją Hanra TolramKetinet, nie zamieniwszy z nią ani słowa.

Odgłos kroków wyrwał królową z zadumy. Otworzyła jedno oko, ale zamknęła je ponownie, gdy ujrzała nadchodzącego kanclerza. Sartoriirwrasz jako jedyny mężczyzna na dworze miał prawo wstępu do jej prywatnych ogrodów, który to przywilej nadała mu po śmierci jego żony. W oczach dwudziestocztero-ipółletniej królowej Sartoniirwrasz w wieku trzydziestu siedmiu lat i paru tennerów był już stary. Za stary, by dobierać się do jej dworek.

O tej porze dnia kanclerz wracał z pobliskich kamieniołomów. JandolAn-ganol opowiedział królowej o doświadczeniach, które Sartoriirwrasz przeprowadzał tam z uwięzionymi w klatkach nieszczęśnikami. Te doświadczenia zabiły mu żonę.

Sartoriirwrasz zdjął kapelusz przed Tatrą i Meją, świecąc łysiną w słońcu. Dziewczynka lubiła kanclerza. Królowa nie miała nic przeciw temu. Sartoriirwrasz złożył ukłon najpierw spoczywającej królowej, potem jej córce. Traktował dziewczynkę jak dorosłą osobę, zapewne zjednawszy tym sobie przyjaźń małej. W całym Matrassylu nie znalazłby więcej niż kilku przyjaciół.

Ten niepozorny człowieczek, niewysoki i skromnie odziany, od dawna był pierwszą po królu osobistością w Borlien. Przeto gdy król zaniemógł od kosgackich ran, Sartoriirwrasz rządził w jego imieniu, kierując sprawami państwa zza zawalonego papierzyskami biurka. O ile nikt nie darzył kanclerza przyjaźnią, o tyle szanowali go wszyscy. Za bezstronność. Za to, że nie protegował swoich faworytów.

Sartoriirwrasz był zbyt samotny, by mieć faworytów. Okazało się, że nawet śmierć żony w najmniejszym stopniu nie wpłynęła na jego rządy. Nie polował i nie pił. Rzadko się uśmiechał. Był zbyt ostrożny, by się potknąć na jakimś błędzie. Nie posiadał nawet tradycyjnej chmary krewnych do protegowania. Bracia nie żyli, siostra mieszkała gdzieś daleko. Sartoriirwrasz jawił się jako niesłychany osobnik, jako człowiek bez wad na służbie u króla, który wad miał bez liku. Bogoboyny dwór tylko jedno miał mu do zarzucenia: że jest uczonym i ateistą. Ale i na ateizm Sartoriirwrasza musiano patrzeć przez palce. Nie próbował nikogo nawracać na swoje przekonania. W chwilach wolnych od spraw państwowych pracował nad książką, mozolnie wyłuskując prawdę z kłamstw i starych legend. To jednak nie pozbawiło go bardziej ludzkich odruchów i od czasu do czasu czytywał księżniczce bajki. Wrogowie Sartoriirwrasza w skritinie często nie mogli się nadziwić, że on, tak zimnej krwi, i król JandolAnganol, krwi tak gorącej, nie skaczą sobie do oczu. Zapominali, że kanclerz jest człowiekiem skromnym i umie puszczać zniewagi mimo uszu, przynajmniej do pewnego momentu. Moment taki miał nadejść, ale jeszcze nie teraz.

– Myślałam, że już nie przyjdiesz, Ruszwen – powiedziała Tatra.

– Powinnaś mieć do mnie więcej zaufania Ja zawsze pizychodzę, kiedy jestem potrzebny

Niebawem Tatra z Sartoniirwraszem zasiedli w altanie, gdzie księżniczka wcisnęła mu do rąk jedną ze swych książek domagając się bajki Kanclerz wybrał tę która zawsze budziła niepokój

królowej, baśń o siebrnym oku

.Dawno dawno temu na Zachodzie gdzie wszystkie zachodzą słońca, w królestwie Ponptpandumy iżądził pewien kroi Ponieważ gnębił poddanych wszyscy pragnęli się go pozbyć, lecz nikt me wiedział, JBK lego dokonać Ludzie i fagory bali się króla, uważając go za czarownika Cokolwiek by wymyślili, kroi zawsze się o tym dowiedział Był tak potężnym czarownikiem, że wyczarował wielkie srebrne oko To oko szybowało nocami na niebie widząc wszystko, co się wydarzyło w nieszczęsnym królestwie Otwierało się i zamykało Szeroko otwarte było dziesięć razy do roku, o czym każdy wiedział Wówczas widziało najwięcej Kiedy wypatrzyło spisek, dawało znać królowi Kroi ścinał głowy wszystkim spiskowcom, czy to ludziom, czy fagorom, przed boczną bramą pałacu Królową smuciło takie okrucieństwo, ale me mogła temu zaradzić Kroi poprzysiągł, że nigdy w życiu nie skrzywdzi swej ukochanej królowej Kiedy go błagała o okazanie litości nawet jej nie uderzył, jakby postąpił z każdym mn\m, również ze swymi doradcami

W najgłębszym lochu pod pałacem znajdowała się cela, które] strzegło siedem ślepych fagorow Nie mieli logów, albowiem wszystkie fagor\ gdy dorosły, odpiłowywały sobie rogi na dorocznym jarmarku w Ponptpandumie aby jak najbardziej upodobnić się do ludzi Strażnicy wpuszczali do celi tylko króla W tym lochu mieszkała gilda sędziwa fagorzycy, jedyny logaty fagor w całym królestwie I jedyne źródło czai odziej skiej mocy króla Bez niej kroi byłby niczym Każdej nocy kroi błagał gildę by w\ siała siebrne oko w niebiosa Każdej nocy gilda spełniała piosbę króla Wtedy kroi widział wszystko, co się działo w jego królestwie Zadawał również sęd/iwej gildzie wiele ważkich p\tan o istotę natury na które gilda nieomylnie odpowiada ła Pewnej nocy sama zadała pytanie

– O królu dlaczego pragniesz zdobyć tak wielką wied/ę^

– Dlatego że wiedza daje władzę odparł kroi Wiedza daje ludziom wolność

Usłyszawszy to, gilda zamilkła Była czarodziejką, a mimo to więźniem króla Wreszcie odezwała się sliaszny glosem

– Zatem już czas, aby i mnie dała wolność

Kroi zemdłał, słysząc te słowa Gilda opuściła loch i zaczęła się wspinać po schodach

Tymczasem królową od dawna trawiła ciekawość, po co jej małżoneki każdego wieczora schodzi do lochów Tej nocy me mogła dłużej pohamować swej ciekawości Właśnie schodziła schodami, aby podpatrzeć króla, gdy w ciemnościach natknęła się na fagorzycę. Królowa krzyknęła z przerażenia. Aby nie krzyknęła po raz drugi, fagorzycyca z wielką siłą uderzyła królową, zabijając ją na miejscu.

Król przebudził się, usłyszawszy jakże mu drogi głos, i pobiegł na górę. Na widok martwej królowej dobył miecza i przebił fagorzycę. W chwili gdy runęła martwa na ziemię, srebrne oko zaczęło się kręcić w niebiosach. Odchodziło coraz dalej i dalej, coraz bardziej małało i małało, aż zniknęło na dobre. Wtedy ludzie pojęli, że nareszcie są wolni, i że już nigdy więcej nie zobaczą srebrnego oka".

– Prawda, że straszne jest to o śmierci gildy? – powiedziała Tatra po chwili milczenia. – Mógłbyś przeczytać mi jeszcze raz? Królowa wsparła się na łokciu.

– I po co czytujesz Tatrze te głupoty, Ruszwen? – spytała z irytacją. – To przecież wierutna bajka.

– Czytam ją, bo podoba się Tatrze, o Pani – odparł z uśmiechem gładząc swoim zwyczajem bokobrody.

– Znajac twój sąd o ancipitalnej rasie nie wyobrażam sobie, aby podobała ci się myśl o ludziach chylących kiedyś czoło przed mądrością fagorów.

– O Pani, co mi się podoba w tej bajce, to myśl, że król chylił kiedyś czoło przed mądrością innych.

Myrdeminggala klasnęła w dłonie, zachwycona odpowiedzią.

– Miejmy nadzieję, że to przynajmniej nie jest bajką...

W trakcie swojej Ahd Madisi po raz kolejny zawitali do Oldorando i do miasta tej samej nazwy. Podmiejskie błonia, zwane Przystanią, były wyznaczone dla koczowników. Tu zatrzymali się na jeden z rzadkich kilkudniowych postojów. Urządzili sobie skromne święto. Jedli aranga z ostrymi przyprawami, tańczyli skomplikowaną zygankę.

Woda i wełna.

Utkane w Podróży szaty i kobierce były w Oldorando wymieniane na artykuły pierwszej potrzeby. Madisi mieli zaufanie do kilku miejscowych kupców. Tutaj plemiona nie znające sztuki obróbki metali zawsze zaopatrywały się w garnki i dzwoneczki dla kóz. Przy tej okazji paru Madisom zwykle udawało się zaczepić w Oldorando, czy to do następnej wizyty plemienia, czy też na stałe. Chromi lub chorzy mieli powody, by opuścić Ahd.

Kilka lat wcześniej kulawa madiska dziewczyna porzuciła Ahd i znalazła zajęcie jako zamiataczka w pałacu króla Sayrena Stunda. Na imię jej było Bathkaarnetka. Miała typową madiska twarzyczkę, trochę ptasią, trochę jak kwiat, i potrafiła niezmordowanie zamiatać tam, gdzie ją postawiono, czym różniła się od leniwych Oldorandek. A kiedy machała miotłą, małe ptaszki bez lęku wzbijały się nad nią w stado, by słuchać jej śpiewu. Taką ujrzał ją król ze swego' balkonu.

W owych dniach Sayren Stund nic sobie nie robił z dworskiej etykiety i religijnych doradców. Kazał przyprowadzić Bathaarnetkę przed swe oblicze. W przeciwieństwie do większości jej rodaków dziewczyna miała żywe spojrzenie, które potrafiła skupić jak ludzie. Była krucha jak kwiat, czym podbiła serce szorstkiego Sayrena Stunda. Kazał najlepszemu nauczycielowi uczyć Madiskę olonetu. Wszystko na nic, dopóki król nie wpadł na pomysł, by dziewczynie zaśpiewać. Odśpiewała. Nauczyła się języka nie tyle w mowie, co w śpiewie. Takie dziwactwo doprowadziłoby wielu mężczyzn do szaleństwa. Królowi sprawiało przyjemność. Odkrył, że ojcem dziewczyny był człowiek, który za młodu szukał w Podróży ucieczki przed niewolą. Wbrew radom król poślubił Bathkaarnetkę, nawróciwszy ją na swoją wiarę. Wkrótce powiła mu martwego syna o dwóch głowach. Po nim dwie normalne i żywe córki. Najpierw Simodę Tal, a po niej żywą jak srebro Miluę Tal.

Księżę RobaydayAnganol znał tę historię od dziecka. Dziś w madiskim przebraniu jako Roba przybył z Przystani pod jedną z tylnych bram pałacu. Wręczył odźwiernemu liścik do Bathkaarnetki. Stał i cierpliwie czekał w skwarze, przed pnącą się wzwyż i wszecz oszpilnią, która kwitnie tylko nocą.

Oldorando wywarło na nim dziwne wrażenie. Nigdzie nie było widać fagorów. Od madiskiej królowej chciał się dowiedzieć jak najwięcej o Madisach i znów dołączyć do Ahd. Postanowił, że będzie pierwszym człowiekiem biegle śpiewającym po madisku. Częste rozmowy z kanclerzem Sartoriirwraszem na ojcowskim dworze obudziły w nim miłość do wiedzy – dodatkowy powód opuszczenia dworu i zerwania z ojcem i królem.

Czekał pod bramą. Swą Madiskę ucałował w szorstki policzek, upudrowany kurzem z poboczy gościńca, wiedząc, że już jej nie odnajdzie, gdy za drugim razem dołączy do Podróży. Albowiem Przychylne Spojrzenie może mu wtedy rzucić jakaś inna kobieta – a gdyby nawet ta sama, to i tak by jej nie rozpoznał na pewno. Był mocno przekonany, że rys indywidualności to rzecz cenna, dana jedynie ludziom i – w mniejszym stopniu – fagorom.

Po godzinie czekania zobaczył, jak odźwierny wraca, i śledził jego wyniosły chód, pełen poczucia ważności własnej osoby, jakże niepodobny powłóczystym krokom, jakimi Madisi niestrudzenie przemierzali życie. Odźwierny obszedł dwie strony dziedzińca pod cienistymi krużgankami, nie

przecinając otwartej przestrzeni, aby się nie wystawiać na ognisty dech Freyra.

– No dobra, królowa udzieli ci posłuchania, pięć minut. Nie zapomnij uderzyć przed nią czołem, łaziku.

Wśliznąwszy się boczną furtą Roba ruszył na przełaj przez dziedziniec madiskim powłóczystym krokiem, wyrabiającym giętkość kręgosłupa. Z naprzeciwnika szedł mu na spotkanie mężczyzna jak gdyby niepewny własnej buty, której przecież nie musiał okazywać. To był jego ojciec, król JandolAnganol. 'Roba zdjął wysłużony kaptur, pochylił się i miękkimi, lecz miarowymi ruchami omiatał nim ziemię. Zwyczajem Madisów. Nawet nie rzuciwszy na syna okiem JandolAnganol przeszedł mówiąc coś z ożywieniem do towarzyszącej mu osoby. Roba wyprostował grzbiet i podążył w swoją stronę, do królowej.

Kulawa królowa przysiadła na srebrnej huśtawce. Pierścionki migotały na brązowych palcach jej stóp. Paż w zielonym stroju huśtał swą panią. Przyjęła Robę w pomieszczeniu pełnym bujnej roślinności, śmigających wśród zieleni pikubików i wywodzących trele rajów. Odkrywszy jego pochodzenie, co nie zajęło jej dużo czasu, królowa nie chciała śpiewać o swym wcześniejszym życiu, w zamian wyśpiewując przesadne peany na cześć JandolAnganola. Nie w smak było to Robię. Jak gdyby czymś opętany oświadczył królowej:

– Chcę śpiewać pieśń o mowie twojej krwi. Lecz twoja pieśń mówi o przekleństwie mojej krwi. By coś wiedzieć o tym sławionym przez ciebie człowieku, trzeba być jego synem. W sercu tego człowieka nie ma miejsca na żywe istoty, tam są tylko martwe pojęcia. Religia i państwo. Religia i państwo są w jego szlejach, nie ma Tatry i Roby.

– Królowie wierzą w takie rzeczy. To wiem. Wiem, że są ustanowieni nad nami, by śnili o wielkich rzeczach, nam niedostępnych – zaśpiewała królowa. – Pusto jest tam, gdzie żyją królowie.

– Wielkość to kamień – stwierdził z naciskiem. – Pod owym kamieniem on uwięził własnego ojca. A mnie, własnego syna – on chciał mnie uwięzić na dwa lata w klasztorze. Dwa lata, by nauczyć mnie wielkości! Ślub milczenia w matrassyłskim klasztorze, by postawić mnie przed tym swoim kamiennym Akhanabą... Jak mogłem to znieść? Czy jestem kupolkiem albo nagim ślimakiem, bym miał pełzać pod kamieniem? Och, z kamienia jest serce ojca, toteż uciekłem, pogałem jak bezstopy wiatr, by dołączyć do Ahd twoich braci i sióstr, łaskawa królowo.

– Lecz moi bracia i siostry – odśpiewała Bathkaarnetka – są prochem ziemi. Nie mamy inteligencji, jeno ukty, więc nie mamy i poczucia winy. Jak wy to nazywacie? Brak świadomości. Umieją tylko wędrować, wędrować, przewędrować całe życie – beze mnie, -bo na szczęście jestem kulawa. Mój ukochany małżonek Sayren ukazał mi wartość religii, której nie znają nieszczęśni nieświadomi Madisi. Nie do wiary, by żyć przez stulecia i nie wiedzieć, że istniejemy jedynie z łaski Wszechmocnego! Szanuję zatem wszelkie religijne uczucia, jakie żywi twój ojciec. On biczuje się u nas dzień w dzień.

Gdy śpiewny głos ucichł, Roba zapytał z goryczą:

– A co on poza tym u was robi? Szuka syna, zbłąkanej owieczki ze swego królestwa?

– Ach, nie, ach, nie. – Jej śmiech popłynął jak tony fletu. – Prowadzi tu rozmowy z Sayrenem i kościelnymi dostojnikami z dalekiego Pannowalu. Tak, widziałam ich i słyszałam.

Stała przed nią tak blisko, że paż musiał wyhamować huśtawkę.

– Kto radzi – nie mówiąc słowa? Kto wziął – a bierze od nowa?

– Kto wie, o czym radzą królowie? – zaśpiewała.

Opędził się od kolorowego ptaszka, który zatrzepotał mu przed oczyma.

– Wasza Królewska Mość musi wiedzieć, co oni planują.

– Twój ojciec nosi w sobie ranę. Czytam to z jego twarzy – zaśpiewała. – Chce być potężny i

zetrzeć wrogów w pył. W zamian gotów jest złożyć w ofierze nawet królową, twoją matkę.

– Jak to, złożyć w ofierze?

– On ją złoży w ofierze historii. Czy życie kobiety nie jest warte mniej niż przeznaczenie mężczyzny? My wszystkie co do jednej jesteśmy kulawymi stworzonkami w rękach mężczyzn...

Poruszał się jak we mgle. Miał złe przeczucia. Stracił zdrowy rozsądek. Próbował powrócić do Madisów i zapomnieć o ludzkiej podłości. Lecz Ahd wymagała spokoju lub przynajmniej nieobecności ducha. Po paru dniach wędrówki porzucił ukt i błąkał się po bezdrożach, gdzie domem mu były leśne ostępy albo opuszczone legowiska lwów. Mówił sam do siebie w języku, który tylko on jeden rozumiał. Jadał owoce, grzyby i to, co pełzało pod kamieniami.

Wśród tego, co pełzało pod kamieniami, był mały skorupiak – kupolek. Wyglądał jak chitynowy pagóreczek na dwudziestu cienkich łapkach i z tycim pyszczkiem. Kupolki gromadziły się tłumnie pod kłodami i kamieniami, jeden przy drugim.

Leżąc na boku z głową wspartą na łokciu Roba obserwował stworki i bawił się, delikatnie przewracając je palcem na grzbiety. Zdziwiła go brakiem strachu i powolnością. Jaki mogły mieć cel w życiu? Jak mogły żyć czyniąc tak niewiele? A jednak te małe stworzonka przetrwały wieki. Czy żar nie do zniesienia panował na Helikonii, czy też nie do zniesienia mróz – powiedział mu o tym Sartori-Irwrasz – kupolki trzymały się blisko ziemi, kryjąc się i pewnie nic więcej nie robiąc od zarania świata. Zachwycał się nimi, gdy przewrócone na plecy bezradnie wierzgały nóżkami, daremnie usiłując z powrotem stanąć na ziemi. Zachwyty ustąpiły miejsca rozterce. Skąd one, nieboraki, by się tu wzięły, gdyby to nie Wszechmocny rzucił je na ten padół? Wspartemu na łokciu Robię przyszła do głowy myśl tak nieodparta, jak gdyby ktoś wypowiadał ją słowami, że być może on, Roba, myli się, a rację ma ojciec; być może Wszechmocny istnieje i kieruje sprawami ludzi. W takim razie to, co uważał za niegodziwe, było w większości godziwe, on zaś pobłądził srodze. Wstał drżąc i zapominając o marnych stworzonkach u swych stóp. Podniósł spojrzenie ku nieprzeniknionym chmurom na niebie. Czy ktoś przemówił?

Jeśli Akhanaba istnieje, trzeba go słuchać. Cokolwiek by Wszechmocny zarządził, musi się stać jego wola. Nawet mord jest usprawiedliwiony, jeśli był zgodny z wolą Akhanaby. Wierzył przynajmniej w istnienie Pierwszej Patrzycielki, opiekuńczej istoty doglądającej ziemi i wszelkich ziemskich spraw, owej nieuchwytej istoty będącej jakby duszą świata i stojącej ponad Akhanaba.

Dni płynęły, słońca przetaczały się po niebie, paląc go okrutnymi promieniami. Zagubił się na bezdrożach, sam o tym nie wiedząc, z nikim nie rozmawiając, nikogo nie widząc. Wokół kręcili się nieuchwytni jak myśl Nondadowie, ale nie miał z Nondadami nic wspólnego. Nasłuchiwał głosu Akhanaby, a może Patrzycielki. W trakcie tej włóczęgi ogarnął go pożar lasu. Zanurzony po uszy w strumieniu patrzył, jak demony płomieni gnają w górę po stoku wzgórza, a potem w dół ze szczytu, ziejąc mocą. W żywiolu ognia zobaczył oblicze, a w rozsnutym ogonie dymu brodę i włosy boga, posiwiałe od kosmicznej mądrości. Zjawa pozostawiała za sobą zgliszcza, tak jak jego ojciec. Leżąc z twarzą zanurzoną do połowy Roba dwojgiem oczu – jednym spod wody – oglądał dwa światy w łunie demonów. Po ich przejściu wstał i pośród tłących się krzaków podążył chwiejnym krokiem na szczyt wzgórza, jak gdyby ciągnięty na sznurku. Czarny szlak znaczył przejście boga pożogi. Roba widział go przed sobą, jak sunie wciąż naprzód, niczym huragan pomsty. Książę Robayday-Anganol popędził za nim, śmiejąc się w biegu. Doszedł do przekonania, że nie można zabić ojca, który jest na to zbyt potężny. Można jednak zabić tych, którzy są przy nim, których śmierć go osłabi. Myśl tę, huczącą mu w głowie jak pożar, uznał za głos Wszechmocnego. Już nie odczuwał bólu; zatracił osobowość, jak prawdziwy Madis.

Usidlony w ukcie własnego życia RobaydayAnganol widział nocami gwiazdy wędrujące po

niebie. Zасыpiając, widział ognistą kometa YrapRombra na północy. Widział przelot chyżej gwiazdy Kaidaw a ponad głową. Bystryimi oczyma rozróżniał jej fazy w zenicie. Mknęła szybko, przecinając nieboskłon z południa na północ. Gdy uchodziła w stronę horyzontu, gonił ją wzrokiem, patrząc, jak z dysku Kaidawa robi się coraz mniejsza, jasna iskierka, która niebawem gaśnie.

Dla swych mieszkańców Kaidaw był znany jako Avernus od nazwy Ziemskiej Stacji Obserwacyjnej. Podówczas stanowił dom dla sześciu tysięcy mieszkańców – mężczyzn, kobiet, dzieci i androidów. Ludzie byli podzieleni na sześć uczonych rodów czy też klanów. Każdy klan zajmował się innym aspektem zjawisk na obieganej przez Avernusa planecie i jej planetach siostrzanych. Wszelkie zebrane informacje przekazywano na Ziemię.

Cztery planety obiegające gwiazdę typu G, zwaną Batalikszą, stanowiły wielkie odkrycie międzygwiazdnej ery Ziemi. Badania kosmosu – „podbój”, jak to określali ludzie owej butnej epoki – wymagały olbrzymich wydatków. Wydatków coraz bardziej rujnujących. Wreszcie zaniechano lotów międzygwiazdnych. Jednak to dzięki tym lotom nastąpił renesans ducha człowieka. Szersze spojrzenie na życie oznaczało, że ludzie przestali myśleć o wyrwaniu więcej, niż im się ucziwie należy, z systemu globalnej produkcji, który teraz rozumie i kontrolowali o wiele lepiej. A stosunki międzyludzkie w rzeczy samej stały się pewnego rodzaju świętością od chwili, gdy sobie uświadomiono, że z milionów planet w bliższym i dalszym sąsiedztwie ani jedna nie nadaje się do życia dla istot ludzkich i nie dorównuje cudownej różnorodności Ziemi. Pustką wszechświat szafował nad podziw, hojnie. Za to strasznie skąpił życia organicznego. Właśnie rozmiary tej pustki wszechświata bardziej niż wszystko inne sprawiły, że rodzaj ludzki ze wstrętem odwrócił się od podróży międzygwiazdnych. Najpierw jednak odkrył planety układu Freyra-Bataliksy.

„Bóg stworzył Ziemię w siedem dni. Resztę życia spędzał na zbijaniu bąków. Dopiero na stare lata ruszył się i stworzył Helikonię”. Tak to ujął pewien ziemski dowcipniś. A zatem planety układu Freyra-Bataliksy miały podstawowe znaczenie dla duchowego życia Ziemi. A spośród tych planet najważniejsza była Helikononia.

Helikononia była nawet podobna do Ziemi. Podobne istoty ludzkie żyły na niej, oddychały jej powietrzem, cieszyły się i umierały. Podobne były systemy ontologiczne obu planet. Helikonię dzieliło od Ziemi tysiąc lat świetlnych. Podróż z jednej planety na drugą w najbardziej zaawansowanym technicznie statku kosmicznym trwała ponad tysiąc pięćset lat. Żywot ludzki był zbyt ulotny na taką podróż. Jednak z głębokiej potrzeby duszy ludzkiej, z tęsknoty do poczucia wspólnoty z czymś poza samym sobą zrodziło się w człowieku pragnienie stałego kontaktu Ziemi z Helikononia. Na przekór wszelkim trudnościom, wynikającym z przeogromnych otchłani czasu i przestrzeni, założono na orbicie wokół Helikononii stałą placówkę. Ziemska Stacja Obserwacyjna. Miała prowadzić badania Helikononii i przekazywać zebrane informacje z powrotem na Ziemię.

Tak oto nawiązał się długotrwały jednostronny romans. Romans ów wyrażał chyba najpiękniejszy z przyrodzonych darów rodzaju ludzkiego – zdolność empatii. Zwykli Ziemianie codziennie się dowiadywali – to znaczy mieli się dowiadywać długo potem – co było słychać u ich przyjaciół i bohaterów na powierzchni odległej planety. Czuli strach przed /agorami. Śledzili rozwój wydarzeń na dworze JandolAnganola. Używali oloneckiego alfabetu; wielu Ziemian mówiło którymś z języków Helikononii. W pewnym sensie Helikononia bezwiednie skolonizowała Ziemię.

Te więzi nie uległy zerwaniu, choć już dawno nastąpił koniec wielkiej międzygwiazdnej ery Ziemi. Prawdę mówiąc, to Helikononia, perła owej ery, była zarazem jeszcze jedną przyczyną jej końca. Oto bowiem jest świat w zasięgu ręki, świat wspaniały i straszny, piękny jak najpiękniejsze sny – a na nim śmierć czekająca każdego człowieka, który postawi tam stopę. Śmierć nie natychmiastowa, ale niechybna.

W wyniku długotrwałych procesów adaptacyjnych wirusy przenikające atmosferę Helikonii nie szkodziły tubylcom. Przynajmniej nie szkodziły im przez prawie cały Wielki Rok. Lecz gościom z Ziemi owe nieodsączalne wirusy wzbraniały wstępu niby miecz archanioła ze starożytnego mitu Ziemi, strzegący Bram Raju.

A dla wielu ludzi z Avernusa rajem jawiła się ta planeta pod nimi, zwłaszcza gdy pożegnała długie srogie śmiecia zimy Wielkiego Roku. Na Avernusic istniały parki pełne stawów i strumyków, a młodzi ludzie mogli się wyhasać, korzystając z tysiąca elektronicznych symulacji. Ale był to świat sztuczny. I wielu mieszkańców Avernusa miało świadomość, że równie sztuczne jest ich życie, bez prawdziwego smaku. Świadomość tej sztuczności szczególnie doskwierała Finom. Pewnie dlatego, że Finowie zajmowali się naturalną ciągłością gatunku. W aspekcie przede wszystkim socjologicznym. Ich głównym zadaniem był nadzór nad liniami genealogicznymi kilku rodzin przez kolejne pokolenia w ciągu dwóch tysięcy pięciuset dziewięćdziesięciu dwóch ziemskich lat Wielkiego Roku i dłużej. Takie dane, niemożliwe do zebrania na Ziemi, miały wielką wartość naukową. Wielki też miały wpływ na samych Finów, budząc w całym klanie uczucie bliskiego powinowactwa z obiektami badań. To uczucie bliskiego powinowactwa potęgowała w Finach świadomość mrocząca im wszystkie dni – świadomość, że Ziemia leży nieosiągalnie daleko. Urodzić się na pokładzie stacji to urodzić się na nieodwołalnym wygnaniu. Naczelna zasada życia na Avernusic głosiła, że nie ma powrotu do domu. Skomputercyborgizowane statki rzadko przybywały z Ziemi. W tych, jak je nazywano, macierzystych statkach zawsze znajdowało się rezerwowe pomieszczenie podróżne dla człowieka. Być może, Ziemia jeszcze nie traciła nikłej nadziei, że nowe odkrycia umożliwią jakiemuś Avernusjaninowi powrót; najprawdopodobniej jednak starego typu statki nigdy nie zostały zmodernizowane. Bezmiary czasu i przestrzeni sprawiły, że na kpinę zakrawała myśl o takiej podróży; nawet dala głęboko pogrążone w kriogenicznym śnie ulegały rozkładowi w ciągu tysiąca pięciuset lat. Helikonii leżała nieporównanie bliżej niż Ziemia. Lecz wirusy czyniły z Helikonii nietykalną świętość.

Na Avernusic życie płynęło jak w bajce – to znaczy miło, spokojnie i nudnie. Bez straszących upiorów, bez niesprawiedliwości, bez niedostatków i niemal bez niespodziewanych wstrząsów. I bez religijnych objawień; religijna wiara nijak nie przystawała do społeczności, której głównym celem była obserwacja dziejowych burz na planecie pod Avernusem. Metafizyczne udręki i ekstazy człowieczej jaźni uznawano za niestosowne. Jednak w każdym pokoleniu avernusjańskim znalazło się trochę takich, którzy swój świat uważali za więzienie, jego orbitę za ukt prowadzący donikąd. Patrząc z góry, jak oszalały z rozpacz Roba błądzi po manowcach, niektórzy członkowie klanu Pinów zazdrościli mu wolności. Sporadyczne przyloty macierzystych statków jedynie potęgowały ich udrękę.

Dawnymi czasy pewien macierzysty statek stał się przyczyną buntu. Przywiózł mnóstwo kronik/Urnowych – starych kronik pokazujących kartele, sporty, narody, wytwory cywilizacji, sławnych ludzi, wszystko to, czego tu nie znano. Przywódcę buntu ujęto i w bezprecedensowy sposób skazano na śmierć przez zesłanie na powierzchnię Helikonii. Z pokładu stacji obserwacyjnej wszyscy chciwie oglądali jego niezwykle przygody, zanim padł ofiarą wirusa. Za pośrednictwem skazańca żyli na oddalonej o miedzę planecie. Od tamtej pory Avernus już nie mógł się obejść bez klapy bezpieczeństwa w postaci tradycyjnego rytuału ofiary i wyzwolenia. Tak powstała loteria ironicznie nazwana Helikońską Loterią Wczasową. Losowanie odbywało się raz na dziesięć lat przez stulecia helikońskiego lata. Wybrańcowi fortuny pozwalano wybrać miejsce lądowania i odlecieć na spotkanie niechybnej śmierci. Jeden wołał odludzie, drugi miasto, inny góry, jeszcze inny równiny. Nikt nigdy się nie cofał, nie zrezygnował ze sławy i swobody.

Kolejne losowanie wypadło tysiąc sto siedemdziesiąt siedem ziemskich lat po apastronie – w nadirze Wielkiego Roku. W trzech poprzednich wygrały kobiety. Tym razem wygrana przypadła Bilowi Xiao Finowi. Nie miał trudności z dokonaniem wyboru. Udawał się do Matrassylu, stolicy Borlien. Spojrzy w oblicze królowej królowych, nim go zmoże helikoidalny wirus. Śmierć była główną nagrodą Bila – śmierć, w której się całkowicie zjednoczy z trwającą stulecia muzyką Wielkiego Lata Helikonii.

VI. DYPLOMACI NIOSĄ DARY

Król JandolAnganol nareszcie powrócił z Oldorando do królowej. Minęły cztery tygodnie. Przestał kuleć. Jednak dalej nosił zadrę spod Kosgattu. Był dzień zimowego przesilenia i Matrassyl oczekiwał wizyty dyplomatów z Pannowalu.

Morderczy skwar wisiał nad borlieńską stolicą i zalewał górujący ponad miastem pałac na wzgórzu. Zdawało się, że pałacowe mury falują i przy zbliżeniu znikną jak fatamorgana. Wieki temu, w zimie Wielkiego Roku, dzień przesilenia obchodzono uroczyście – dziś już nie. Ludziom było zbyt gorąco i wszystko jedno. Matrassylscy dworacy gnuśnieli w swych komnatach. Sibornalski ambasador co i rusz dokładał lodu do wina i śnił o chłodzie kobiecych ciał we własnym kraju. Przybywający dyplomaci, objuczeni bagażami i podarunkami, zalewali się potem w swych uroczystych szatach, czekając tylko, by zaraz po oficjalnym powitaniu klapnąć gdzieś na kanapie.

Kanclerz Borlien, Sartoriirwrasz zamknął się we własnej dusznej pracowni i palił trędowniczkę, tając swój gniew przed królem. Po tej imprezie spodziewał się samych nieszczęść. Nie przyłożył do niej palca. Król nie pytał kanclerza o radę. Sartoriirwrasz był samotnikiem zarówno w życiu osobistym, jak i w dyplomacji. Żywił wewnętrzne przekonanie, że nie należy dalej wciągać Borlien w orbitę wpływów potężnego Pannowalu za cenę sojuszu z cesarstwem lub z Oldorando. Te trzy kraje już łączyła wspólna religia, której Sartoriirwrasz, jako uczonec, nie wyznawał. W minionych stuleciach Borlien znajdowało się pod panowaniem Oldorando. Kanclerz nie chciał dożyć powrotu tamtych czasów. Lepiej niż wszyscy widział zacofanie Borlien, lecz zależność od Pannowalu nie przyspieszyłaby rozwoju. Innego zdania był król i trzymający stronę króla duchowni doradcy.

Kanclerz wprowadził surowe ograniczenia ruchu cudzoziemców w Matras-sylu. Za samotnictwem Sartoriirwrasza chyba się kryła szczypta ksenofobii, zabronił bowiem Madisom wstępu do miasta, a obcym dyplomatom zakazał stosunków seksualnych z matrassylkami pod karą śmierci. Ustanowiłby prawa przeciwko fagorom, gdyby król się kategorycznie nie sprzeciwił.

Sartoriirwrasz westchnął. Jedyne, czego pragnął, to poświęcić swój czas! pracy naukowej. Nienawidził brzemienia władzy, którą został obarczony, i z tej nienawiści stał się tyranem w sprawach drobnych, zapewne licząc, że to go natchnie śmiałością, gdy przyjdzie grać o wysokie stawki. Z duszą na ramieniu sprawował daną mu władzę, marząc o władzy absolutnej. Wtedy by nie doszło do takiej, jak dzisiejsza, groźnej sytuacji, gdy z górą pięćdziesięciu cudzoziemców szarogęsi się w pałacu niczym u siebie. Miał ponurą pewność, że nowa polityka królewska sprowadzi same nieszczęścia, które zburzą spokojny bieg jego życia. Kiedyś żona wytknęła mu brak serca. Sartoriirwrasz uważał za bliższy prawdy zarzut, że ma serce tylko do swojej pracy. W charakterystyczny sposób pochylił ramiona; może to przez ten swój nawyk wyglądał na groźniejszego, niż był naprawdę. Liczył trzydzieści siedem lat – trzydzieści siedem lat i pięć tennerów, wedle skrupulatnych w sprawach wieku Kampanniatczyków – i wszystkie te lata wryły mu się na twarzy bruzdami wokół nosa i przy bokobrodach, upodabniając kanclerza do mądrej myszy. Kochaj króla i bliźnich – pouczył sam siebie, opuszczając mysią dziurę swych apartamentów.

Wzorem wielu podobnych warowni pałac stanowił zlepek starego z nowym, Forty w skalnych grotach pod Matrassylem istniały już w czasach zeszłej Wielkiej Zimy. To rozrastając się, to kurcząc, tworzyły na przemian fortecę bądź rezydencję, w zależności od losów Borlien. Pannowalscy dostojnicy czuli się nieswojo w Matrassylu, gdzie fagory nie zaczepiane chodziły sobie ulicami – i nie prowokowały zaczepek. W rezultacie nie przypadła dostojnikom do gustu JandolAnganolowa siedziba. Nazywali ją prowincjonalną.

W latach, kiedy los był mu mniej nieprzychylny, a dzień ślubu z Myrdeming-galą świeżo w pamięci, JandolAnganol zatrudnił najlepszych w kraju architektów, budowniczych i artystów do naprawienia szkód wyrządzonych przez czas. Szczególną troską otoczył komnaty królowej. Mimo że w starych murach do dziś pokutował wojskowy duch, nie czuło się tutaj nic z dławiącej etykiety panującej na oldorandzkim i pannowalskim dworze. Znalazło się miejsce nawet na życie kulturalne. Zwłaszcza apartamenty kanclerza Sartoriirwrasza stanowiły prawdziwy przybytek nauki i sztuki.

Kanclerz bez zapału podążył na zebranie królewskiej rady. Myślał o rzeczach przyjemniejszych niż sprawy państwowe. Nie dalej jak wczoraj znalazł wyjaśnienie zagadki, nad którą głowił się od dawna. Starożytniej zagadki. Łatwiej było odróżnić prawdę od fałszu w przeszłości niż w dniu dzisiejszym.

Z naprzeciwwka zbliżała się królowa w jednej ze swych ognistoczerwonych sukni, razem z bratem i księżniczką Tatrą, która podbiegła i obłapiła kanclerza za nogę. Sartoriirwrasz skłonił się. Własne zaaferowanie nie przeszkodziło mu wyczytać niepokoju w twarzy królowej, jej lęku przed wizytą dyplomatów.

– Będiesz dziś miał Pannowal na głowie – powiedziała.

– Będę marnował czas w towarzystwie nadętych durniów, miast go poświęcić na pisanie mojej historii. – Nagle się zreflektował i roześmiał. – Wybacz, o Pani, chciałem tylko powiedzieć, że nie uważam Tayntha Indredda, księcia Pannowalu, za wielkiego przyjaciela Borlien...

Umiała niekiedy się uśmiechać dziwnie z daleka, jak gdyby niechętna rozbawieniu, które wzięwszy początek w jej oczach obejmowało nos, by wreszcie dotrzeć do kącików ust.

– Tu się zgadzamy. Dziś Borlien nie ma wielkich przyjaciół.

– Przyznaj się, Ruszwen, ty nigdy nie skończysz tej swojej historii – rzekł brat królowej, JeferalOboral, po dawnemu zdrabiając jego imię. – Dzięki niej masz tylko pretekst, żeby przesypiać całe popołudnie.

Kanclerz westchnął; bratu królowej brakowało rozumu siostry. Powiedział szorstko:

– Zamiast zbijać baki na dworze, zorganizowałbyś wyprawę i popłynął dookoła świata. O ile byś wzbogacił swą wiedzę!

– Chciałabym, aby Robayday zrobił coś podobnego – rzekła Myrdeming-gala. – Kto wie, gdzie chłopak się teraz podziewa?

Sartoriirwrasz ani myślał litować się nad synem królowej nadaremnie.

– Dokonałem wczoraj nowego odkrycia – rzekł. – Chcecie poznać je, czy nie? Może was zanudzę? Może na samą wzmiankę o takich uprzykrzeniach wiedzy macie ochotę skoczyć z murów?

Królowa ujęła jego dłoń, śmiejąc się srebrzystym śmiechem.

– Daj spokój, Jef i ja nie jesteśmy głuptasami. Co to za odkrycie? Że robi się zimniej na świecie?

Nie bacząc na jej żartobliwy ton Sartoriirwrasz zapytał, zmarszczywszy brew:

– Jakiego koloru jest mustang?

– Ja wiem – zawołała mała księżniczka. – One są brązowe. Każdy wie, że mustangi są brązowe.

Chrząknął, biorąc małą na rękę.

– A jakiego koloru były mustangi wczoraj?

– Brązowe, oczywiście.

– A przedwczoraj?

– Brązowe, głupi Ruszwenie.

– Zgadza się, mądralińska księżniczko. Ale skoro tak, to dlaczego na iluminacjach w starodawnych kronikach przedstawiono mustangi w dwubarwne pasy jaskrawej barwy? – Sam musiał odpowiedzieć na swoje pytanie. – O to właśnie zapytałem mego przyjaciela Bardola KaraBansitę z

Ottassolu. Zbadał on skórę zdartą z mustanga. I co się okazało? Ano to, że mustang wcale nie jest brązowym zwierzakiem, jak się nam wszystkim wydaje. Ma brązowe pasy. brązowe pasy na brązowym tle. Tatra parsknęła śmiechem.

– Nabijasz się z nas. Skoro jest brązowo-brązowy, to jest brązowy, no nie?

– I tak, i nie. Skręty włosa wskazują, że sierść nie jest jednolicie brązowa. Składa się z brązowych pasów. O czym to może świadczyć? Otóż rozwiązałem tę zagadkę i zobaczycie, jaki jestem sprytny. Kiedyś mustangi miały jaskrawe pręgi, tak jak je widzimy w kronikach. Kiedy to było? Otóż było to wiosną Wielkiego Roku, gdy pastwiska znów porosły trawą. Mustang musiał się wówczas mnożyć na potęgę. Dlatego wdział najbarwniejsze szaty godowe. Dziś, wieki później, wszędzie ich pełno. Nie jest już potrzebna taka płodność, więc i niepotrzebne im szaty godowe. Pręgi wyblakły na bezpłciowe brązy – do wiosny w następnym Wielkim Roku, która okraśli je na nowo.

Królowa miała nieco zasepioną minę.

– Jeśli w ogóle nadejdzie wiosna Wielkiego Roku, a my wszyscy nie walniemy we Freyra.

Sartoriirwrasz z irytacją klasnął w dłoń.

– Czyż nie widzicie, że właśnie ten... ten adaptacyjny przekładaniec mustangowy daje nam gwarancję, że nie walniemy we Freyra... że każdego wielkiego lata Freyr zbliża się, po czym znów oddala?

– Nie jesteśmy mustangami – JeferałOboral zbył sprawę machnięciem ręki.

– Wasza Królewska Mość – z żarem zwrócił się kanclerz do królowej – moje odkrycie również dowodzi, że starym manuskryptom często można wierzyć bardziej, niż przypuszczamy. Jak wam wiadomo, król, wasz małżonek, i ja żyjemy w niezgodzie. Proszę, wstaw się za mną. Żeby dał zgodę na przysposobienie statku do drogi. Na uwolnienie mnie na dwa lata od obowiązków, na moją wyprawę dookoła świata w poszukiwaniu rękopisów. Na uczynienie z Borlien kolebki wiedzy, jaką było niegdyś, w czasach kiwazjeńczyka Yarap-Rombra. Oprócz Waszej piękności niewiele mnie tu zatrzymuje od śmierci mojej żony.

Cień przemknął po jej czole.

– Król przeżywa jakieś załamanie. Czuję to. Zagoiła się rana na jego ciele, ale nie na duszy. Możesz na mnie liczyć, Ruszwen, tylko odczekajmy z tym pomysłem do zakończenia tych złowróbnych rozmów z Pannowalczykami. Przeczuwam, że zwiastują jakieś nieszczęście.

Uśmiech królowej wyrażał niemałą sympatię do kanclerza. Pobłażliwie znosiła jego humory, dobrze znając starego człowieka. Nie był chodzącą dobrocią – prawdę powiedziawszy uważała niektóre jego eksperymenty za czystą nikczemność, zwłaszcza ten jeden, w którym zabił swoją żonę. Ale któż jest chodzącą dobrocią? Stosunki kanclerza z królem układały się nie najlepiej i królowa często próbowała, tak jak i teraz, osłaniać Sartoriirwrasza przed gmewem JandolAnganola. Usiłując otworzyć kanclerzowi oczy, dodała łagodnie:

– Od zajścia w Kosgatie muszę się obchodzić z Jego Królewską Mością jak z jajkiem.

Tatra pociągnęła Sartoriirwrasza za bokobrody.

– Nie wolno ci wypuszczać się na morze, Ruszwen, w twoim wieku. Postawił ją na ziemi i złożył ukłon.

– Dopóki żyjemy, nikt z nas nie zna dnia ani godziny swojej niespodziewanej podróży, moja malutka.

Jak prawie każdego ranka Myrdeminggala wyszła z bratem na koronę zachodnich murów obronnych, skąd mogła popatrzeć z góry na miasto. Dziś wyjątkowo nie było mgły, zwykłej w porze małej zimy. Miasto leżało u ich stóp, widoczne jak na dłoni. Pradawna warownia stała na szczycie górującej nad miastem skały w głębokim zakolu Takissy. Nieco bardziej na północy błyszczał

Valvoral, mający tam ujście do większej rzeki.

Tatra bez końca mogła z góry oglądać ludzi na ulicach i statki na rzece.

– Patrz, mamó, łód przyjechał! – wykrzyknęła mała księżniczka, wskazując palcem w stronę nabrzeży.

U nabrzeża cumował dwumasztowy siup. Z niedawno otwartych luków jeszcze buchała para. Bloki najczystsze lordrardryjskiego lodu, błysnąwszy w słońcu, wędrowały z ładowni na oczekujące furgony, które ustawiły się przy burcie słupa. Jak zawsze dostarczono łód na czas, a pałac i goście jak zawsze byli gotowi na jego przyjęcie. Po cztery woły w dyszlach mozolnie pociągną lodowe furgony, pnąc się krętym węzłem po równie krętej drodze zamkowej do fortecy przypominającej kamienny okręt, który wypłynął na urwiska.

Tatra uparła się, żeby obejrzeć wspinaczkę furgonów z lodem na sam szczyt, chociaż królowej brakowało cierpliwości tego ranka. Stała w pewnym oddaleniu od córki, wodząc nieobecny spojrzeniem dokoła. JandolAnganol przyszedł i uściśnął ją o świecie. Wyczuła w królu niepokój. Pannował kładł się groźnym cieniem na wszystko. Na domiar złego z Randonanu dochodziły niedobre wieści od Drugiej Armii.

– Możesz się przysłuchiwać dzisiejszym obradom z ukrytej galerii – rzekł – jeśli cię nie zanudzą. Módl się za mnie, Kuno.

– Stale się modlę za ciebie. Wszechmocny będzie z tobą. Apatycznie pokręcił głową.

– Dlaczego życie nie jest proste? Dlaczego wiara nie czyni życia prostym? Dotknął długiej blizny na nodze.

– Dopóki jesteśmy tu razem, nic nam nie grozi, Janie. Pocałował ją.

– Winienem być z moją armią. Wtedy mieliśmy jakieś zwycięstwa. TolramKetinet jako generał jest do niczego.

Nic nie ma między mną a generałem – pomyślała – ty jednak masz pewność, że jest...

Król odszedł. Gdy tylko została sama, ogarnęło ją przygnębienie. Ostatnio bił od niego jakiś chłód. Jej własna pozycja była zagrożona.

Stojąc na koronie muru, królowa machinalnie wzięła brata pod rękę. Księżniczka Tatra wskazywała palcem i nawoływała po imieniu rozpoznanych ludzi wśród ciągnącej pod górę karawany.

Niecałe dwadzieścia lat temu w górę zbocza poprowadzono kryte dachem przejście do samych murów. Pod osłoną dachu żołnierze przypuścili szturm do obleżonej fortecy. Za pomocą prochowych ładunków dokonali wyłomu w murze i wdarli się na teren pałacu. Rozgorzała krwawa bitwa. Obrońcy zostali pokonani. Wszyscy poszli pod miecz, mężczyźni i kobiety, fagory i wieśniacy. Wszyscy z wyjątkiem barona władającego zamkiem. Powiązawszy żonę, dzieci i pokojową służbę, baron przebrał się i przez wyłom wyprowadził ich z rzezi. Krzykiem i błagą torując sobie i swym fałszywym jeńcom drogę wśród wrażeń zastępów, wyrwał się z nimi na wolność. W ten sposób ocalił też córkę od śmierci.

Baronem był RantanOboral, ojciec królowej. Wyczyn przysporzył mu wielkiej sławy. Ale nie mógł mu przywrócić dawnej potęgi.

Zdobywcą fortecy – jak wszystkie twierdze przed swoim upadkiem uważanej za nie do zdobycia – był bitny dziad JandolAnganola. Krwawy ów staruch skrzętnie natenczas jednoczył wschodnie prowincje Borlien, ustanawiając bezpieczne granice królestwa. RantanOboral uległ jego armiom jako ostatni feudał w tym regionie. Armie w wielkiej mierze należały do przeszłości, a Myrdeminggala, poślubiwszy JandolAnganola i zapewniwszy swej rodzinie jako taką przyszłość, zamieszkała w starej ojcowskiej warowni. Część cytadeli wciąż leżała w ruinie. Pewne jej

fragmenty przebudowano za panowania ojca JandolAnganola. Inne beztrąsko rozpoczęte wielkie projekty przebudowy powoli rozsypywały się w upale. Sterty kamienia stanowiły dominujący akcent w obrazie fortecy. Myrdeminggala kochała te zwariowane półruiny, lecz przeszłość mroczyła ich blanki.

Kurczowo trzymając Tatrę za rączkę, królowa dotarła pod stojący w głębi budynek z niewielką kolumnadą. Tu miała swą rezydencję. Bajkowe pawilony z białego marmuru wieńczyły surowy mur z czerwonych piaskowców. Za murem ciągnęły się jej ogrody z prywatną sadzawką, w której lubiła pływać. Na środku sadzawki zbudowano sztuczną wysepkę, a na niej wysmukłą świątynię poświęconą Akhanabie. Tam król i królowa często się kochali w pierwszych dniach po ślubie.

Pożegnawszy brata królowa weszła po schodkach na odkrytą galerię. Pod galerią leżał ogród, w którym YarpalAnganol, ojciec JandolAnganola, urządzał kiedyś wyścigi psów i układał wielobarwne ptaki. Trochę tych ptaków pozostało w wolierach – Roba zawsze je karmił rankiem, nim uciekł. Teraz karmiła je Meja TolramKetinet.

Dławiący strach ścisnął serce Myrdeminggali. Widok ptaków jeszcze bardziej wytrącił ją z równowagi. Zostawiła Tatrę pod opieką dworki i udała się na drugi koniec galerii, do drzwi, które otworzyła kluczem dobytym z fałd sukni. Minęła wyprężonego na baczność gwardzistę. Chociaż tak lekkie, jej kroki głośno rozbrzmiewały na kamiennej posadzce. Dotarła do alkowy przy zasłoniętym draperią oknie i usiadła na kanapie pod treliżową ścianką. Mogła przez nią widzieć nie będąc widzianą z drugiej strony. Dogodny punkt obserwacyjny pozwalał objąć spojrzeniem wielką salę audiencjonalną. Promienie słońca wpadały do sali przez okienne kraty. Nikt z dygnitarzy jeszcze się nie pojawił. Był tam jedynie król i jego fagorzy miodek, nieodłączny królewski towarzysz od czasu Bitwy Kosgatckiej. Juli ledwo sięgał królowi do piersi. W białym futrze nadal mu sterczały rude kitki ze szczenięcych tygodni. Brykał i kręcił się jak fryga, kłapiąc szkaradną paszczą ku wyciągniętej ręce króla. Król śmiał się i pstrykał palcami.

– Grzeczny chłopiec, grzeczny chłopiec – powtarzał.

– Teek, ja grzeczny głópiec – powiedział Juli.

Król ze śmiechem porwał go na ręce.

Królowa odchyliła się w tył na oparcie. Poczwała skurcz strachu. Usłyszała skrzypnięcie wiklinowej plecionki pod plecami. Spuściła wzrok. Jeśli wiedział o jej obecności, to nie chciał z nią rozmawiać. Mój ty odyńcu, mój kochany odyńcu – przyzywała go w milczeniu. – Co cię opętało? Moja matka posiadała dziwną moc. Ja mam przecucie, że coś strasznego spadnie na ten dwór, na nasze życie...

Ośmieliła się ponownie spojrzeć, gdy dostojni goście gwarząc wchodzili i wygodnie zasiadali. Wszędzie rozłożono poduszki i kobierce. Skąpo odziane niewolnice żwawo roznosiły kolorowe napoje. JandolAnganol przeszedł wśród gości i niewolnic swym królewskim krokiem i rzucił się na sofę pod baldachimem. Z powagą odpowiadając na ukłony Sartoriirwrasz zajął miejsce za królewską sofą i zapalił trędowniczkę. Miodek Juli rozsiadł się na poduszce, ziejąc i ziewając.

– Jesteście obcymi ludźmi na naszym dworze – na głos powiedziała królowa, spoglądając przez kratę. – Jesteście obcymi ludźmi w naszym życiu.

Przy JandolAnganolu skupili się miejscowi dygnitarze, wśród nich burmistrz Matrassyłu i jednocześnie przewodniczący skritiny, wikariusz JandolAnganola, jego zbrojmistrz królewski i paru wojskowych. Jeden z nich nosił insygnia kapitana fagorzej gwardii, ale ze względu na gości nie było żadnego fagora poza królewskim ulubieńcem.

W grupie cudzoziemców najbardziej się wyróżniali Sibornalczycy. Io Pasza-ratid, ambasador w Borlien, pochodził z Uskutu. On i małżonka, wysocy i w szarych strojach oboje, siedzieli z dala od

siebie. Różnie mówiono, a to, że nie żyją w zgodzie, to znów, że tacy już są Sibornalczycy. Jakkolwiek było, para ta, przebywająca na dworze ponad dziewięć tennerów – za trzy tygodnie miał im upłynąć pierwszy rok pobytu – rzadko wymieniała uśmiech czy chociażby spojrzenie.

– To ciebie się boję, Paszaratidzie, ty zły duchu – szepnęła królowa. Pannował przysłał księcia. Wybór został dokładnie przemyślany. Pannowa! był najpotężniejszym państwem spośród siedemnastu krajów Kampanniatu, hamowanym w swych zakusach jedynie przez wojnę, jaką musiał nieustannie toczyć na swej pomocnej granicy z Sibornalem. Pannowska religia podbiła kontynent. Teraz Pannował flirtował z Borlien, które już płaciło daniny w zbożu i pieniądzu na kościół, lecz przypominało to flirt podstarzałej wdowy z jurnym parobkiem, przysłanym tu w osobie pomniejszego księcia. Pośledni mógł sobie być książę Taynth Indredd, jednak prezentował się okazale, brak znaczenia nadrabiając tuszą. Dalekie pokrewieństwo łączyło księcia z oldorandzkim domem panującym. Taynth Indredd nie cieszył się wielką sympatią, więc jakiś pannowski dyplomata zarządził, by jako główny doradca towarzyszył mu sędziwy kapłan Guaddl Ulbobeg, uchodzący za przyjaciela JandolAnganol z czasów, gdy król odbywał nowicjat w pannowskim klasztorze.

– Och, wy, mężczyźni, mądrzy w gębie J– trwożliwie westchnęła królowa za swą krata.

JandolAnganol przemawiał wyważonym tonem. Nie wstał z sofy. Słowa rzucał szybko, tak jak spojrzenia. W rzeczy samej składał gościom raport o stanie królestwa.

– Dziś pokój panuje w granicach Borlien. Mamy trochę bandytów, lecz gdzie ich nie ma. To Wojny Zachodnie nie dają wytchnienia naszym armiom. To one toczą z nas krew. Na wschodnich rubieżach też czyhają groźni rabusie. Unndreid Młot i okrutny Darwiisz Trupia Czaszka.

Powiódł wyzywającym spojrzeniem wokoło. Wstyd mu przynosiła rana z rąk tak niegodnego przeciwnika, jak Darwiisz.

– Zbliżanie się Freyra sprowadza na nas suszę. Panuje powszechny głód. Nie można wymagać od Borlien, by jeszcze gdzieś wojowało. Jesteśmy krajem wielkim pod względem obszaru, biednym pod względem plonów.

– Daruj sobie, kuzynie, tę zbytnią skromność – powiedział Taynth Indredd. – Każde dziecko wie, że wasza południowa nizina lessowa to najżyźniejsze ziemie na całym kontynencie.

– Żyzność nie jest sprawą samej ziemi, tylko jej właściwej uprawy – odparł JandolAnganol. – Napór na nasze granice jest taki, że musimy siłą wcielać chłopów do wojska, kobietom i dzieciom zostawiając pracę na roli.

– W takim razie niewątpliwie potrzebujesz naszej pomocy, kuzynie – rzekł Taynth Indredd, szukając wzrokiem ogólnej aprobaty, na jaką w jego mniemaniu zasługiwała ta odżywka.

– Jeśli chłopu okuleje mustang – odezwał się lo Paszaratid – czy pomoże mu dziki kaidaw?

Uwagę pominięto milczeniem. Byli tacy, którzy uważali, że Sibornalczyk nie powinien uczestniczyć w tym zebraniu. Tonem mędrca, który wszystko wyjaśnia, Taynth Indredd rzekł:

– Żądasz od nas, kuzynie, pomocy w czasach, gdy wszystkie kraje są w tarapatkach. Bogactwa radujące naszych ojców przeminęły, nasze pola płoną. nasze owoce usychają. I prosto w oczy muszę ci powiedzieć, że nie wygasła zadawniona waśń między nami. Mamy wielką nadzieję na położenie jej kresu. musimy położyć jej kres, jeśli chcemy żyć ze sobą w zgodzie.

Zapadła cisza. Taynth Indredd chyba bał się mówić dalej. JandolAnganol skoczył na równe nogi, a ciemna twarz jeszcze bardziej mu pociemniała od gniewu. Czujny miodek Juli też się poderwał, jak gdyby gotów na każde skinienie swego pana.

– Udałem się do Oldorando, by prosić Sayrena Stunda o pomoc jedynie przeciwko wspólnym wrogom. A wy tu ściągacie jak sępy! Występujecie przeciwko mnie na moim własnym dworze. Co to za waśń między nami? No. powiedz.

Taynth Indredd naradzał się ze swym doradcą Guaddłem Ulbobegiem. Odpowiedzi udzielił ten drugi, przyjaciel króla. Wstał, złożył ukłon i wskazał na Juliego.

– To nie sen. Wasza Królewska Mość, to jawa, i ten nasz niepokój, i to stworzenie, które sprowadziłeś na nasze spotkanie. Od najdawniejszych czasów rodzaj ludzki i rodzaj fagorzy są śmiertelnymi wrogami. Nie może być zawieszenia broni między tak odmiennymi istotami. Święte Cesarstwo Pan-nowalu ogłasza święte wojny i halali przeciwko tym ohydnyim stworom, pragnąc zetrzeć je z powierzchni ziemi. A Wasza Królewska Mość udziela im azylu w waszych granicach.

Mówił niemal błagalnie, wzrok utkwivszy w podłodze, aby pozbawić słowa swoje siły. Siłę przywrócił im Taynth Indredd, krzycząc:

– Chcesz od nas pomocy za przygarnianie tabunów tego robactwa? Raz już zalało Kampanniat i zaleje po raz drugi, dzięki twej łaskawości. Wziąwszy się pod boki, JandolAnganol stawil im czoło.

– Nikt spoza granic mojego królestwa nie będzie mi się wtrącał do polityki wewnętrznej. Słucham głosów skritiny, a moja skritina się nie skarży. Owszem, chętnie przyjmuję ancipitów w Borlien. Rozejm z nimi jest możliwy. Uprawiają nieużytki, których nie tkną nasi ludzie. Wykonują ponizające prace, przed którymi wzdragają się niewolnicy. Wojują bez żołdu. Ja w skarbcu mam pustki – jeżeli pannotalskie kutwy nie wiedzą, co oznacza pusty skarbiec, to wyjaśniam, że nie stać mnie na wojsko inne niż fagorze. W nagrodę fagory dostają skrawki ziemi. Co więcej, one nie wieją na widok wroga! Możecie sobie gadać, że wszystko dlatego, że są zbyt głupie. Na co odpowiadam, że zawsze wolę fagora od wieśniaka. Dopóki ja jestem królem Borlien, dopóty fagory mają we mnie obrońcę.

– Wasza Królewska Mość chciał, jak sadzimy, powiedzieć, że fagory mają w was obrońcę, dopóki Myrdeminggala jest królową Borlien.

Słowa te wypowiedział jeden z wikariuszy Taynta Indredda, wychudły człowieczek, który swoje gnaty udrapował czarfralem z czarnej wełny. Sala ponownie zastygła w -napięciu. Idąc za ciosem, wikariusz ciągnął dalej:

– To królowa z jej dobrze znanym czułym sercem dla wszystkiego, co żywe, królowa i jej ojciec, rycerz RantanOboral, przez dziada Waszej Królewskiej Mości wyzuty z tego tutaj pałacu nie dalej niż dwadzieścia lat temu – to oni zapoczątkowali ów hańbiący sojusz z ancipitami, trwający po dziś dzień.

Guaddl Ulbobeg wstał i pochylił się przed Tayntem Indreddem w ukłonie.

– Panie – rzekł – protestuję przeciwko obrotowi, jaki przybiera ta narada. Nie jesteśmy tu po to, by oczerniać królową Borlien, tylko by ofiarować pomoc królowi.

Lecz JandolAnganol usiadł, jakby ze znużenia. Wikariusz obnażył jego słabe miejsca: że prawo króla do tronu jest świeżej daty, a królowa jest córką jakiegoś baronka. Ze współczuciem zerknąwszy na władcę, głos zabrał Sartoriirwrasz, zwracając się do pannotalskich delegatów.

– Życie mnie nauczyło nie dziwić się niczemu, ale jako kanclerz Jego Królewskiej Mości ze zdziwieniem zauważam takie uprzedzenia, nawet powiedziałbym, że wzajemną wrogość wśród członków jednego i wielkiego. Świętego Cesarstwa Pannotalu. Jak zapewne wiadomo, jestem ateistą, zatem bezstronnie patrzę na brewerie waszego Kościoła. A gdzie głoszone przez was miłosierdzie? I czy kopiąc dołki pod królową pomagacie Jego Królewskiej Mości? Jestem już w zgrzybiałym wieku, jednak powiadam ci, prześwietny książę Indreddzie, że w pełni podzielam twą wielką nienawiść do fagorów. Lecz fagory stanowią element naszego bytu i musimy żyć z nimi, tak jak wy, Pannotalczycy, żyjecie w ciągłej wojnie z Sibornalczykami. Czyżbyście chcieli zetrzeć Sibornalczyków z powierzchni ziemi, tak jak chcecie zmieść z niej wszystkie fagory? Czyż zabijanie samo w sobie nie jest właśnie grzechem? Chyba tak właśnie naucza wasz Akhanaba? A skoro mówimy bez ogródek, to my, Borlieńczycy, od dawna już jesteśmy przekonani, że gdyby Pannotal

nie toczył na szerokim froncie bojów z sibornalskimi kolonistami z północy, wówczas najeżdżałby nasze ziemie, prac na południe, czego dowodem jest również wasza obecna próba narzucenia nam zasad pannowalskiej ideologii. I za to jesteśmy wdzięczni Sibornalczykom.

Kanclerz nachylił się, by coś uzgodnić z JandolAnganolem, na co powstał sibornalski ambasador i rzekł:

– Jako że postępowe narody Sibornalu tak rzadko spotykają się ze strony Cesarstwa z czymś innym niż potępienie, niniejszym pragnę wyrazić nasze zdziwienie i wdzięczność za te słowa.

Puściwszy ironiczną uwagę Sibornalczyka mimo uszu, Taynth Indredd powiedział, pijąc wprost do Sartoriirwrasza:

– Tak bardzo zgrzybiałeś, że na opak pojmujesz sytuację. Pannowal niczym bastion osłania was od północy przed najazdami wojowniczych Sibornal-czyków. Jako samowładny badacz dziejów powinieneś wiedzieć, że ciż sami Sibornalczyki od lat – pokolenia za pokoleniami – nie ustają w wysiłkach, by porzucić własny obmierzły kontynent północny i zająć nasz.

Bez względu na to, ile było prawdy w tym ostatnim oskarżeniu, Pannowal-czyki istotnie czuli się w równej mierze obrażeni widokiem Sibornalczyków, co i fagorów w sali audiencjonalnej. Nawet Taynth Indredd jednak zdawał sobie sprawę, że ten prawdziwy szaniec pomiędzy Sibornalem a Borlien był natury geograficznej: strome grzbiety Gór Quzint i wielki korytarz od quzinckich łańcuchów aż do Modriatu, o tej porze zmieniony w ognistą pustynię Hazziz.

JandolAnganol naradził się z Sartoriirwraszem. Kanclerz ponownie zabrał głos.

– Nasi mili goście napomknęli tu o wojowniczości Sibornalczyków. Darowując sobie dalsze złośliwości i zniewagi, winniśmy przejść do sedna sprawy. Pan mój król JandolAnganol niedawno został ranny w obronie swego królestwa, ranny tak ciężko, że jego życie wisiało na włosku. Za swe ozdrowienie król sławi Akhanabę, podczas gdy ja sławię zioła, którymi mój medyk opatrywał ranę. Mam tu przedmiot, który ranę zadał.

Na wezwanie kanclerza zbrojmistrz królewski, drobny człowieczek z sumias-tymi wąsiskami, odziany w strój ze skóry, sztywno wystąpił na środek sali i pokazał ołowianą kulę, którą trzymał kciukiem i wskazującym palcem dłoni w rękawicy.

– To jest kula – oznajmił uroczystym głosem. – Za pomocą noża chirurgicznego wyjęto tę kulę z nogi Jego Królewskiej Mości. Straszliwie uszkodziła ciało. Została wystrzelona z ręcznej broni miotającej zwanej rusznicą.

– Dziękuję wam – Sartoriirwrasz odprawił zbrojmistrza. – Dobrze wiemy, że narody Sibornalu są niezwykle postępowe. Rusznica świadczy o tej ich postępowości. Wiadomo też nam, że obecnie Sibornalczyki wyrabiają rusznice w wielkich ilościach, ostatnio zaś wprowadzili nowość pod nazwą zamka kołowego, który będzie siał jeszcze większe zniszczenie. Radziłbym Świętemu Cesarstwu Pannowalu wykazać prawdziwą jedność w obliczu tej ostatniej nowinki. Proszę mi wierzyć, że tego wynalazku trzeba się bać bardziej niż Unndreida Młota we własnej osobie. Ponadto muszę was wszystkich poinformować, że zajmujące Kosgatt plemiona zaopatrują się w tę broń nie -jak byśmy oczekiwali – w samym Sibornalu, lecz otrzymały ją z sibornalskiego źródła w samym Matrassylu, o czym donoszą nasi szpiedzy.

Na te słowa oczy wszystkich obecnych w sali zwróciły się ku sibornalskiemu ambasadorowi. Io Paszaratid akurat zamierzał przepłukać sobie gardło jakimś zimnym napojem. Zastygł ze zmartwiałą twarzą i ze szklanicą w pół drogi do ust. Za to podniosła się opodal spoczywająca na poduszkach Diena Paszaratid, jego małżonka. Wysoka i zgrabna kobieta, szczupła, bladolica, surowej postaci.

– Gdybyście chcieli wiedzieć, szanowni mężowie stanu, dlaczego w mojej ojczyźnie wasz Kampaniat nazywamy Dzikim Kontynentem, to takie jedno wierutne kłamstwo winno już wystarczyć

za całą odpowiedź. Któż zostanie oskarżony o ten handel bronią? Któż, jak nie mój małżonek, który jest zawsze pierwszy na liście podejrzanych?

Sartoriirwrasz pociągnął się za bokobrody, wykrzywiając sobie twarz w mimowolnym uśmiechu.

– Pani Dieno, niepotrzebnie wymienia pani swego małżonka w związku z tą historią. Nikt tego nie czyni. Ja nie. Wstał JandolAnganol.

– Dwaj nasi agenci, upozorowani na drajackich współplemieńców, udali się na podziemny bazar i zakupili jedną z takich rusznic. Zapraszam na pokaz skuteczności tej nowej broni, by nikt nie wątpił, że wkroczyliśmy w nową erę sztuki wojennej. Może to wam unaoczni konieczność utrzymania fagorów w mojej armii i w moim królestwie. Jeśli tylko wasza delikatność – zwrócił się bezpośrednio do pannowalskiego księcia – zniesie obecność ancipitów w sali...

Dyplomaci wyprostowali się na siedziskach, bojaźliwie wlepiając oczy w króla. Ten klasnął w dłonie. Obleczony w skórzany strój kapitan z królewskiej świty podszedł do drzwi i głośno rzucił rozkaz. Dwa pozbawione rogów fagory żwawo wkroczyły na salę. Do tej pory nieruchome czekały pośród cieni. Przechodząc w smugach światła pod oknami mignęły białą futer. Jeden niósł przed sobą długą rusznicę. Usunięto mu się z drogi przez cały środek sali, fagor zaś wsparł rusznicę na posadzce i pochyliwszy się sposobił ją do strzału. Owa ręczna broń palna miała żelazną lufę długości sześciu stóp i łożę z polerowanego drewna. Bączki ze srebrnego drutu łączyły w pewnych odstępach lufę z łożem. Za podpórkę służyła mocna soszka na trzech składanych, ostro okutych nóżkach.

Fagor wyjął zza pasa róg z prochem, wsypał proch do lufy, po czym do samego jej dna wepchnął okrągłą ołowianą kulę, posługując się stemplem. Przyjął postawę strzelecką i oddmuchał lont. Kapitan gwardii fagorzej czuwał nad prawidłowym przygotowaniem rusznicy do strzału.

Drugi fagor, który tymczasem odszedł w przeciwny koniec sali, stał tam pod ścianą i patrzył prosto przed siebie, strzepując uchem. Ludzie poprzesiadali się jak najdalej od niego. Pierwszy fagor przymrużył oko, celując wzdłuż lufy, podpartej soszką przy wylocie. Zaskwierczał lont. Rozległ się potworny huk i buchnął dym. Drugi fagor zachwiał się na nogach. Żółta plama wykwitła mu wysoko na piersi kryjącej fagorze wnętrzości. Coś powiedział, przyciskając dłoń do miejsca, w którym kula przebiła pierś. Po chwili z głuchym stuknięciem padł martwy na posadzkę.

Dym i swąd wypełniły salę audiencjonalną, przyprawiając dyplomatów o kaszel. Wpadli w panikę. Zerwali się jak oparzeni i obciążnawszy czarfrale uciekli na dwór. W środku pozostał JandolAnganol i jego kanclerz.

Obejrzawszy sobie z ukrycia poranny pokaz siły ognia, królowa zamknęła się w swoich komnatach. Wiązane z tą siłą nadzieje napawały ją wstrętem. Dla królowej było jasne, że pannowalska delegacja, z odpychającym księciem Taynthem Indreddem na czele, nie występuje przeciwko Sibornalczykom, których wrogość nie od dziś i nie od wczoraj uznawano za rzecz zrozumiałą samą przez się, więc i wrogiego stosunek do nich nie podlegał dyskusji. Za cel swych napaści Pannowalczycy obrali JandolAnganola, pragnąc go bardziej uzależnić od siebie. A zatem i ona, która miała nad nim władzę, też stanowiła cel ich ataków.

Myrdeminggala zjadła obiad w towarzystwie dam dworu. JandolAnganol jako gospodarz podejmował obiadem gości. Guaddl Ulbobeg dograł się piorunujących spojrzeń swego księcia pana. przystając przy królu i szepcząc mu do ucha:

– Twój pokaz był efektowny, lecz mało skuteczny. Wszakże nasze wojska na północy muszą coraz częściej walczyć przeciwko Sibornalczykom uzbrojonym w takie właśnie rusznice. Jutro zobaczysz, że sztuki ich wyrobu można się jednak nauczyć. Uważaj, przyjacielu, księżę bowiem postawi ci twarde warunki.

Ledwo tknąwszy jedzenie królowa wróciła samotnie do siebie i w wykuszu siadła na wyściełanej

ławie pod ulubionym oknem. Przyszedł jej na myśl odpychający Taynth Indredd, podobny do ropuchy. Wiedziała, że księżę jest spokrewniony z równie obrzydliwym Sayrenem Stundem, królem Oldorando, który pojął Madiskę za żonę. Nawet fagory były chyba miłsze niż ci intryganci królewskiego rodu.

Z okna widziała swój ogród, a dalej wyłożoną kafelkami sadzawkę, w której lubiła pływać. Na drugim brzegu sadzawki wznosił się wysoki mur, zasłaniający jej wdzięki przed niepowołanymi oczyma, u podstawy zaś muru, tuż nad lustrem wody, widniała niewielka żelazna krata. Krata tkwiła w okienku lochu. W lochu siedział ojciec JandolAnganol, zdetronizowany król VarpalAnganol, zamknięty tam wkrótce po weselu królowej. W sadzawce pływały złote karasie, widoczne nawet z tej odległości. Były więźniami, tak jak ona, jak VarpalAnganol.

Rozległo się pukanie do drzwi. Pokojówka oznajmiła, że na zewnątrz czeka na królową jej brat. YeferalOboral opierał się o balustradę balkonu. I brat, i siostra zdawali sobie sprawę, że JandolAnganol już dawno by go zabił, gdyby nie królowa. Nie był przystojnym mężczyzną; Myrdeminggala w dwójnasób odziedziczyła całą urodę po przodkach. Brat rysy miał nijakie, wyraz twarzy zgorzkniały. Był odważny, posłuszny, cierpliwy, poza tym niewiele znalazłoby się w nim zalet. W przeciwieństwie do JandolAnganola nigdy nie dbał o szyk, jak gdyby dla podkreślenia, że nie zamierza odgrywać żadnej roli w życiu. Bez sprzeciwu jednak służył JandolAnganolowi i kochał siostrę, której życie było mu o wiele droższe niż własne. Myrdeminggala lubiła w bracie tę jego zwyczajność.

– Nie wzięłaś udziału w naradzie.

– Za wysokie progi.

– Nic nie straciłaś.

– Tak słyszałem. Coś zdenerwowało lo Paszaratida. Na ogół jest zimny jak złom lodu z Lordrardry. A tu strażę gadają, że on ma kochankę na mieście – coś takiego! Jeśli to prawda, dużo ryzykuje.

Myrdeminggala pokazała zęby w uśmiechu.

– Nie cierpię, jak się gapi na mnie. Jeśli ma kochankę, tym lepiej! Wybuchnęli śmiechem. Wesoło gwarzyli, na krótką chwilę zapominając o świecie. Ich ojciec, stary baron, zbyt stary, by widziano w nim zagrożenie dla tronu, bawił teraz na wsi, klnąc upał. Ostatnio wziął się za łowienie ryb, bardziej dla ochłody.

Uderzył dziedziczny dzwon. Spojrzawszy w dół zobaczyli, jak na dziedziniec wkracza JandolAnganol, a tuż za nim gwardzista z czerwonym jedwabnym parasolem, rozpiętym nad królewską głową. Fagorzy młodek jak zawsze nie odstępował króla.

– Zechcesz łaskawie zejść na dół, Kuno? Trzeba zabawić naszych gości podczas przerwy w rozmowach. Sprawisz im o niebo więcej radości niż moja skromna osoba.

Zostawiła brata i zeszła do króla na dziedziniec, pod parasol. Z dworną kurtuazją JandolAnganol podał jej ramię. Wyglądał na znużonego, chociaż w odbłasku pod tkaniną parasola miał na policzkach rumieńce, jak od gorączki.

– Czekają nas ugody z Pannowalem i Oldorando, a z nią koniec wojennych kłopotów? – spytała nieśmiało.

– Jedna Patrzycielka wie, co nas czeka – wybuchnął. – Musimy wyciągnąć przyjazną rękę i ugłaskać wściekłe psy, w przeciwnym razie wykorzystają chwilę naszej słabości i rozszarpią ten kraj. Nie wiadomo, czy większe z nich chytrusy, czy obłudne świętoszki – westchnął.

– Przyjdzie czas, gdy będziemy polować we dwoje, ty i ja. i cieszyć się życiem, jak dawniej – odparła, ścisnąwszy go za ramię.

Nie chciała czynić mu wyrzutów za zaproszenie takich gości. Puszczając jej pobożne życzenia mimo uszu, powiedział ze złością:

– Sartoriirwrasz niemądrze zrobił rano, przyznając się do ateizmu. Muszę się go pozbyć. Taynth ma mi za złe kanclerza, który jest wrogiem Kościoła.

– Książę Taynth występował też przeciwko mojej osobie. Czy mnie również odprawisz, bo mu się nie podobam?

Gniewny błysk w oku towarzyszył jej słowom, mimo że siliła się na żartobliwy ton. Lecz król odparł markotnie:

– Dobrze wiesz, i skritina wie, że skarbiec świeci pustką. Możemy być zmuszeni do wielu rzeczy, przed którymi wzdraga nam się serce.

Wyszarpnęła rękę spod jego ramienia.

Goście z konkubinami i służbą pospołu zebrali się na parterowym krużganku w ogrodowym dziedzińcu. Ku ich uciesze wodzone dzikie zwierzęta, a trupa kuglarzy popisywała się lichymi sztuczkami. JandolAnganol ze swą królową obchodził postów. Mężczyźni witali ją z widocznym ozywieniem na twarzy. Wciąż jestem coś warta dla Jana – pomyślała.

Jakiś stary Thribriatańczyk w cudacznym kapeluszu na głowie prowadził parę gorylokształtnych Innych na łańcuchu. Stworzenia przyciągały uwagę wielu widzów. Przywykłe do nadrzewnego trybu życia poruszały się wyjątkowo niezdarnie. Ktoś orzekł, że jak para pijanych dworaków.

Pod żółtym parasolem stał zabiasty książę Taynth Indredd i pałac trędow-niczkę przyglądał się prostackim figlom dwojga Innych. Przy nim napuszona dziewczynka w wieku około jedenastu lat i sześciu tennerów zaśmiewała się z jeńców do rozpuku.

– Czyż nie są śmieszni, wujciu? – rzekła do księcia. – Zupełnie jak ludzie, gdyby nie to gęste futro.

Usłyszawszy ją Thribriatańczyk uchylił kapelusza i spytał:

– Chcecie, panie, to ich nakłonię, by walczyli ze sobą. Rozbawiony książę pokazał mu srebrnika na dłoni.

– Będzie twój, jeśli ich nakłonicz, by ze sobą zrobili fiki-miki. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Dziewczynka pisnęła z radości.

– Ale świntuch z ciebie, wujaszku! Naprawdę zrobią fiki-miki?

– Te potwory nie mają takiego khmiru jak ludzie – z ponurą uprzejmością rzekł Thribriatańczyk. – Tylko raz w miesiącu zbiera im się na miłość, na fiki-miki. Łatwiej mi zmusić je do walki.

Książę schował srebrnika, śmiejąc się i kręcąc głową. W chwili gdy obrócił się do odejścia, powitała go Myrdeminggala. Mała towarzyszka księcia ulotniła się, nagle znudzona. Nosila suknie dorosłej kobiety i róż na policzkach.

Uczyniwszy konwenansom zadość królowa zostawiła pograżonych w rozmowie JandolAnganola i Taynth Indredda i podeszła do stojącej nad źródłem dziewczynki, by z nią pogawędzić. Mała markotnie patrzyła się w wodę.

– Wypatrujesz rybek?

– Nie, niby po co. U nas w Oldorando mamy dużo większe ryby. – Pokazała wielkość oldorandzkich ryb dziecinnym gestem, rozkładając ręce.

– Ho, ho. Właśnie rozmawiałam z księciem, twoim ojcem. Dziewczynka po raz pierwszy podniosła pełen lekceważenia wzrok na swą rozmówczynię. Myrdeminggalę zdumiał widok jej buzi, jakże odmiennej, o wielkich oczach ocienionych przez nienormalnie długie rzęsy i nosie niczym dziób długoogoniastej papuzki. Na Patrzycielkę -- myślała królowa – toż to dziecko jest półmadiską! Jaka śmieszna mała! Muszę być miła dla niej. Dziewczynka mówiła:

– Zyganka! Taynth moim ojcem! On nie jest moim ojcem. Skąd ci to przyszło do głowy? To tylko

bardzo daleki powinowaty. Nie chciałabym mieć takiego ojca, jest za gruby. – I jak gdyby dla zatarcia niemilego wrażenia dodała: – To prawda, że pierwszy raz pozwolono mi wyruszyć z Oldorando w podróż bez ojca. Mam ze sobą moje kobiety, oczywiście, ale tu jest strasznie nudno, co nie? Musisz tu mieszkać? – Spojrzała z ukosa na królową. Osobliwe rysy twarzy sprawiały, że wyglądała na śliczną i głupiutką zarazem. – Wiesz co? Wyglądasz całkiem ładnie jak na starą kobietę.

– Mam piękny chłodny basen, ukryty przed wzrokiem ludzi – powiedziała królowa z poważną miną. – Chcesz sobie popływać? Pozwolą ci? Dziewczynka zastanowiła się.

– Mogę robić, co mi się podoba, oczywiście, ale myślę, że pływanie akurat w tej chwili nie byłoby w stylu damy. W końcu jestem księżniczką. To zobowiązuje.

– Ach tak? Czy możesz mi zdradzić swoje imię?

– Zyganka, ależ to Borlien prymitywne! Myślałam, że każdy zna moje imię. Jestem księżniczka Simoda Tal, a mój ojciec jest królem Oldorando. Chyba słyszałeś o Oldorando?

Królowa nie kryła uśmiechu. Zrobiło jej się żal dziewczynki.

– No cóż, skoro przebyłaś tak daleką drogę z Oldorando, sądzę, że zasługujesz, by sobie popływać.

– Popływam, kiedy uznam za stosowne, dziękuję – odparła mała dama.

A za stosowne uznała mała dama nazajutrz, skoro świt. Trafiała do sypialni królowej i wyrwała ją ze snu, bardziej rozbawiając Myrdeminggale, niż złościąc. Królowa obudziła Tatrę i we trzy zeszły nad basen, w towarzystwie pokojówek niosących ręczniki i fagorzej straży. Dziewczynka odprawiła fagory, twierdząc, że budzą w niej wstręt.

Zimny brzask kładł się na lustrze basenu, ale woda była bardziej niż letnia. Kiedyś, za czasów ojca JandołAnganola, furgonami zwożono śnieg i lód z gór dla chłodzenia wody, lecz brak rąk do pracy i burzenie się mordriackich plemion położyły kres takim luksusom.

Królowa pływała zawsze w cieniutkiej koszulce, okrywając swą białą nagość, mimo że na basen wychodziły tylko okna jej własnych komnat. Simoda Tal nie miała podobnych zahamowań. Zrzuciła ubranie ukazując pełne ciało i kępkę czarnych włosów, które sterczały niczym sosny na ośnieżonych stokach.

— Och, kocham cię, jesteś prześliczna! – wykrzyknęła i w te pędy podleciawszy nago do królowej uściskała starszą kobietę.

Reakcją Myrdeminggali było zażenowanie. Czowała coś niewłaściwego w tych objęciach. Tatra podniosła wrzask.

Dziewczynka pływała i nurkowała tuż przy królowej i popisując się w wodzie co chwila szeroko rozkładała przed nią nogi, jak gdyby pragnęła pokazać, że jest w pełni dorosła tam, gdzie to się najbardziej liczy.

W tym samym czasie oficer gwardii pałacowej zerwał Sartoriirwrasza z łóżka. Straże zameldowały, że sibornalski ambasador, lo Paszaratid, samopas wyjechał na musłangu godzinę przed wschodem Freyra.

– A Diena, jego małżonka?

– Nadal u siebie, panie. Donoszą, że jest wytrącona z równowagi.

– Wytrącona z równowagi? Co to znaczy? Taka mądra kobieta. Skłamałbym mówiąc, że ją lubię, ale to mądra kobieta. Ot przykrość... A tyłu jest głupców... Pomóż mi wstać, proszę.

Zarzucił szlafrok na ramiona i obudził niewolnicę, która od śmierci jego żony pełniła obowiązki domowej gospodyni. Podziwiał Sibornalczyków.

Oceniał, że otej porze Wielkiego Roku jakieś pięćdziesiąt milionów ludzi żyło w siedemnastu

krajach Kampaniatu; kraje te nie potrafiły wytrwać ze sobą w zgodzie. Wojny miały charakter endemiczny. Mocarstwa rozkwitały i upadały. Nigdy nie było pokoju. W Sibomalu, w zimnym Sibomalu wszystko wyglądało inaczej. W przybliżeniu dwadzieścia pięć milionów ludzi i siedem państw. Siedem państw związanych wieczystym przymierzem. A wieczyste właśnie między państwami Kampaniatu sprawiły, że ten kontynent, choć nieporównywalnie bogatszy od północnego, miał niewielkie osiągnięcia – z wyjątkiem religii, która wyrasta z rozpacz.

Dlatego Sartoriirwrasz nienawidził kanclerskiego stołka. Gardził tymi, którym służył. Dzięki płaconym łapówkom kanclerz wiedział, że księżę Taynth Indredd sprowadził do pałacu skrzynię broni – takiej samej broni, o jakiej mówiono wczoraj. Najwyraźniej miała stanowić siłę przetargową, lecz co będzie przedmiotem targu, to się dopiero okaże. Niewykluczone, że sibornalski ambasador również zdobył wiadomość o rusznicach w skrzyni. To by wyjaśniało jego pośpieszny wyjazd. Będzie się kierował na północ, w stronę Hazzizu i najbliższej osady sibornalskiej. Trzeba sściągnać uciekiniera z powrotem.

Popijając z kubka podany przez niewolnicę napar górokrotki, Sartoriirwrasz mówił do oficera:

– Wczoraj dokonałem niezwykłego odkrycia o wielkim znaczeniu dla historii świata, wręcz niewiarygodnego odkrycia! A kto zwrócił na nie uwagę? – Potrząsnął łysą głową. – Wiedza jest tu niczym, intryga wszystkim. Zatem muszę się zrywać o świcie, aby łapać galopującego na północ głupca... Ot i przykrość! Ale do rzeczy. Jest jakiś dobry jeździec pod ręką? Ktoś zaufany, o ile taki istnieje. Mam. Brat królowej, JeferalOboral. Wezwij JeferalOboralą, dobrze? W butach do jazdy.

Przybyłemu JeferalOboralowi wyjaśnił sytuację.

– Przeprowadź tego szaleńca Paszaratida z powrotem. Dogonisz zbiega, jeśli będziesz jechał ostro. Powiedz mu... chwileczkę. Niech pomyśle. Tak, powiedz mu, że król postanowił nie wiązać się z Oldorando i Pannowalem. Przeciwnie, chce przymierza z Sibornalczykami. Sibornal ma liczną flotę. Powiedz, że otworzymy dla niej port w Ottassolu.

– Co sibornalskie okręty robiłyby taki kawał drogi od domu? – spytał JeferalOboral.

– Już on będzie wiedział. Tylko go namów, by tu wrócił.

– Dlaczego ci tak zależy na jego powrocie? Sartoriirwrasz splótł dłonie.

– Dlatego, że ta gnida tak nagle wyjechała. Ma poczucie winy. Zamierzam dokładnie się wywiedzieć, co on nabroił. Sibornalczyk i z próżnego zawsze coś naleje. Jedź już bez zbędnych pytań.

JeferalOboral jechał na północ przez miasto, przez ulice nawet o tej porze pełne wczesnych przechodniów i przez podmiejskie pola. Jechał wytrwale, na przemian kłusem i stępa. Dotarł do mostu na Marze, u jej ujścia do Takissy. Niewielki fort bronił mostu. Tu się JeferalOboral zatrzymał i zmienił mustanga. Po kolejnej godzinie jazdy w coraz większym upale zatrzymał się nad potokiem i ugasił pragnienie. Na brzegu dostrzegł świeże ślady podków, miał nadzieję, że mustanga Paszaratida.

Wciąż jechał na północ. Okolica stała się mniej urodzajna. Rzadziej zamieszкана. Wiał torakorkan, wysuszający gardło, przypiekający skórę. Olbrzymie głazy narzutowe zaśmiecały krajobraz. Jakies sto lat temu upodobali sobie ten region pustelnicy, którzy wzniesli małe kapliczki w cieniu lub na szczytach tych głazów. Widywało się tu jeszcze paru starców, jednak dotkliwy upał przegnał większość pustelników. Jaskrawo ubarwione motyle trzepotały wokół Tióg fagorów uprawiających poletka u podnóża skalnych bloków.

Za jednym z głazów narzutowych stał lo Paszaratid, czatując na swego prześladowcę. Sibornalczyk zajeździł wierzchowca. Oczekiwał pogoni, lecz ze zdumieniem zorientował się, że ściga go samotny jeździec. Głupota Kampaniat-czyków nie miała granic. Paszaratid nabił rusznicę, zajął pozycję i czekał na właściwy moment oddania strzału. Samotny jeździec nadjeżdżał stępa, wymijając głazy bez

szczególnej ostrożności. Paszaratid oddmuchał lont, przycisnął kolbę do ramienia i wycelował. Nie lubił posługiwać się tą okrutną bronią. Była przeznaczona dla dzikusów. I nie każdy strzał był celny. Ten był. Z dziurą w piersi JeferałOborał runął na ziemię. Doczołgał się do głazu i w cieniu wyzionął ducha. Sibornalski ambasador wskoczył na grzbiet jego mustanga i odjechał na północ.

Trzeba powiedzieć, że dwór króla JandolAnganola pod względem bogactwa nie dorównywał zaprzyjaźnionym dworom w Oldorando i Mieście Pannowalu. Owe cieszące się większą łaską losu ośrodki cywilizacji nagromadziły skarby wszelkiego rodzaju; wzięły uczonych pod opiekę, a sam Kościół – w tym przypadku dotyczyło to bardziej Pannowalu – wspierał nauki i sztuki w pewnym ograniczonym zakresie. Pannowalowi jednak zapewniła przewagę dynastia panująca, która ostoje ładu widziała w apostołskiej religii.

Nieomal co tydzień statki wyładowywały w Matrassylu ładunki przypraw, barwników, skór, kłów, lapis-lazuli, balsamicznego drewna i egzotycznych ptaków. Ale z tych skarbów niewiele docierało do pałacu. Albowiem król JandolAnganol był parweniuszem w oczach świata, a pewnie i w swoich własnych oczach. Chętnie się oświeconym panowaniem swojego dziada, lecz tak naprawdę dziad nie stał wiele wyżej niż lokalny możnowładca, jeden z wielu wadzących się o borlieńskie terytoria, tyle że jemu się akurat poszczęściło, gdyż miał dość oleju w głowie, by zebrać fagory w potężne armie pod wodzą człowieka i z ich pomocą pobić innych.

Wszystkich przeciwników nie pozabijał. Jedną z najbardziej zaskakujących reform sprawowania władzy wprowadził ojciec JandolAnganola, powołując parlament, czyli skritinę; skritina była przedstawicielstwem poddanych i zarazem radą królewską. YarpalAnganol wzorował się na monarchii oldorandzkiej. Członków skritiny powoływał spośród dwóch rodzajów ludzi, spośród przywódców gildii i cechów, takich jak Cech Hutników, tradycyjnie stanowiący siłę w kraju, oraz spośród pobitych możnowładców lub ich rodów, w ten sposób dając pokonanym okazję do wnoszenia skarg, sobie zaś sposobność, by rozwiać ich gniew. Znaczna część towarów wyładowywanych w Matrassylu szła na opłacenie tej niezadowolonej gromady.

Kiedy młody JandolAnganol obalił i zamknął ojca w lochu, miał zamiar rozwiązać również i skritinę. Skritina ani myślała dać się rozwiązać. Jej członkowie zbierali się regularnie, by dalej nękać króla i dalej przysparzać sobie bogactw. Przewodniczący skritiny, BudadRembitim był jednocześnie burmistrzem Matrassylu.

Parlamentarzyści zwołali nadzwyczajne posiedzenie. Nie ulegało wątpliwości, że zażądają nowej próby ujarznienia Randonanu i skuteczniejszej obrony przed wojowniczymi plemionami Mordriatu, które panoszyły się o dwa czy trzy dni galopu od matrassyjskich domów. Król będzie musiał udzielić wyjaśnień i zobowiązać się do podjęcia określonych kroków.

Tego popołudnia król stanął przed skritiną w porze sjeisty swoich dostojnych gości. Pozostawiwszy młodka przed salą opadł w ponurym milczeniu na tron. Rano kłopoty, po południu kłopoty. Powiódł spojrzeniem po drewnianej sali audiencjonalnej, jak gdyby wypatrując tych kłopotów. Kilku przedstawicieli starych rodów kolejno zabierało głos. Na ogół poruszali dwa tematy: najnowszy i najstarszy. Najstarszy dotyczył pustki w skarbie państwa. Najnowszy – nieprzyjemnego raportu z Wojen Zachodnich, że pograniczne miasto Kiwazja zostało złupione. Randonkańskie oddziały przeszły w bród rzekę Kacol i zdobyły miasto szturmem. Stąd był już tylko krok do zarzutów, że generał Hanra TolramKetinet jest zbyt młody i zbyt niedoświadczony, by dowodzić armią. Każdy zarzut pośrednio uderzał w króla. JandolAnganol słuchał z niecierpliwością, bębniąc palcami po poręczy tronu. Żałosne po śmierci matki dzieciństwo znów ożyło w jego pamięci. Ojciec bił i zaniedbywał syna. Chłopiec krył się przed służbą ojca po piwnicach, przysięgając sobie, że gdy dorośnie, nikomu nie pozwoli stanąć na swej drodze do szczęścia.

Kiedy został ranny w Kosgatie, kiedy z trudem dowlókl się do stolicy i zaległ bez sił, wtedy też nachodziły go wspomnienia przeszłości, którą pragnął wymazać z pamięci. I znów był bezsilny. Wówczas to zauważył, jak przystojny młody kapitan TolramKinet uśmiecha się do Myrdeminggali, a ona odpowiada mu uśmiechem. Ledwo podniósł się z łoża, natychmiast awansował kapitana na generała i wyprawił TolramKinet na Wojny Zachodnie.

W skritinie nie brakowało ludzi przekonanych – nie bez racji – że ich synowie dużo bardziej zasługiwali na ten awans. Najmniejsze niepowodzenia w nieprzebytych dżunglach Zachodu umacniały ich w tym przekonaniu i w złości na króla. JandolAnganol na gwałt potrzebował jakiegoś zwycięstwa. Żeby odnieść jakieś zwycięstwo, musiał zwrócić się do Pannowalu o pomoc.

Nazajutrz rano JandolAnganol przed ponownym oficjalnym spotkaniem z dyplomatami zaszedł do komnaty Taynth Indredda, by najpierw porozmawiać z księciem. Pozostawiony na korytarzu Juli wyciągnął się wygodnie, niczym pies, przed progiem. Ze strony króla było to ustępstwo na rzecz człowieka, którego nie znosił.

Księżę Taynth Indredd właśnie dojadł śniadanie – guta w owsiance i sałatkę z tropikalnych owoców. Potakując głową wysłuchał JandolAnganola.

– Podobno syn ci się zawieruszył – zauważył pozornie bez związku.

– Robay uwielbia pustynię. Odpowiada mu jej klimat. Często znika. niekiedy nawet na parę tygodni.

– Nie jest to odpowiednia szkoła dla króla. Królowie muszą być wykształceni. RobaydayAnganol powinien wstąpić do klasztoru, tak jak ty i tak jak ja. A on, jak słyszę, przystał do pragnostyków.

– Potrafię sam upilnować własnego syna. Nie trzeba mi rad.

– Klasztor służy człowiekowi. Wpaja weń wiarę, że istnieją uczynki, które musi popełnić, choćby mu się nie podobały. Idą złe czasy. Pannowal przetrwał długie zimy. Długie lata są trudniejsze... Moi astrologowie i astronomowie przepowiadają czarną przyszłość. Można by, oczywiście, rzec, że taki mają fach. – Umilkł, by zapalić trędowniczkę, czyniąc z tego całe przedstawienie iż rozkoszą wypuszczając kłęb dymu, który rozpędził leniwymi ruchami dłoni. – Tak, dawne religie Pannowalu głosiły prawdę, ostrzegając, że nieszczęścia płyną z nieba. Akhanaba zaczynał jako kamień. Wiedziałeś o tym?

Wstał i kolebiącym się krokiem podszedł do okna, wlażł na parapet i wyjrzał na dwór. Wypiął wielki tyłek na JandolAnganola. Król milczał, czekając, aż Taynth Indredd wyłoży karty.

– Astrologowie twierdzą, że z każdym małym rokiem Helikonii i Bataliksa coraz bardziej się zbliżają do Freyra. Jeszcze przez kilka pokoleń – dokładnie przez osiemdziesiąt trzy lata – mamy się tak zbliżać do niego. Potem, jeśli konfiguracje ciał niebieskich ułożą się prawidłowo, mamy pomalutku odstępować. Więc dla najbliższych pokoleń bije godzina próby. Polarne kontynenty Hespagorat i Sibornal będą w coraz korzystniejszym położeniu. Dla nas, w tropiku, warunki będą coraz gorsze. Borlien może przetrwać. Na południowym wybrzeżu jest chłodniej. Ottassol jest chłodnym miastem – pod ziemią, poniekąd jak Pannowal. – Taynth Indredd obejrzał się przez ramię na JandolAnganola, ukazując mu swe żabie oblicze. – Otóż mamy plan, kuzynie... Wiem, że nie darzysz mnie wielką sympatią, jednak wolę, abyś to usłyszał ode mnie, niż żeby ci o tym opowiedział twój przyjaciel, a mój świątobliwy doradca, Guaddl Ulbobeg. Borlien przetrwa największe zbliżenie, jak powiadam. Pannowal też, bezpieczny w swych górach. Najbardziej ucierpi Oldorando. A zarówno twój kraj, jak i mój musi dopilnować, aby Oldorando przetrwało w nienaruszonym stanie, bo inaczej wpadnie w łapy barbarzyńców. Myślisz, że dałoby się zakwaterować dwór oldorandzki, Sayrena Stunda i następców, w Ottassolu?

Pytanie było tak zaskakujące, że JandolAnganolowi po raz pierwszy zabrakło słów.

– O tym zdecydowałby mój następca... Pannowalski ksiązę zmienił ton głosu i temat.

– Łyknij ze mną trochę świeżego powietrza w oknie, kuzynie. Spójrz, tam w dole jest moja podopieczna, Simoda Tal, licząca jedenaście lat i sześć tennerów, córka oldorandzkiej rodziny królewskiej, wywodzącej się w prostej linii od Lordów Den, którzy władali Starym Embruddockiem w latach zimna.

Mysząc, że nikt jej nie widzi, dziewczynka na dziedzińcu wywijiała w podskokach ręcznikiem nad głową, przy okazji susząc sobie włosy.

– Po co ona przyjechała z tobą, Taynth?

– Bo chciałem ci ją pokazać. Miła dziewczuszka, nieprawdaż?

– Dość miła.

– Młodziutka, to prawda, lecz z pewnych moich obserwacji wynika, że całkiem zmysłowej natury.

JandolAnganol wyczuwał, że pułapka się zatrzaśnie lada chwila. Cofnął głowę i zaczął chodzić po komnacie. Taynth Indredd obrócił się i rozsiadł wygodnie na parapecie, wydmuchując dym.

– Kuzynie, pragniemy dopilnować, by kraje świętego Cesarstwa Pan-nowalu jeszcze bardziej zacieśniły więzy. Musimy razem stawić czoło złym czasom nie tylko dzisiejszym, ale i tym, które mają nadejść. My, Pannowalczyki, otrzymaliśmy od Akhanaby dar przewidywania. Właśnie dlatego pragniemy, abyś poślubił tę śliczną młodziutką księżniczkę, Simodę Tal.

JandolAnganolowi krew odpłynęła z twarzy.

– Wiesz, że jestem żonaty – rzekł prostując się – i wiesz z kim.

– Spójrz niemiłej prawdzie w oczy, kuzynie. Obecna królowa jest córką łotrzyka. Dla ciebie to mezalians. Twoje małżeństwo przynosi ujmę tobie i twojemu królestwu, które zasługuje na wyższą pozycję. Wszelako poślubiwszy Simodę Tal zyskasz potęgę, z jaką wszyscy będą się musieli liczyć.

– Nic z tego. Cokolwiek by mówić, matka tej małej jest Madiską, czyż nie tak?

Taynth Indredd wzruszył ramionami.

– Czy Madisi są gorsi od twoich ukochanych fagorów? Posłuchaj, kuzynie, chcemy załatwić twój nowy ożenek możliwie bez zgrzytów. Żegnaj wrogości, witaj, wzajemna pomocy. Za osiemdziesiąt trzy lata Oldorando jak długie i szerokie stanie w ogniu, gdyż przewiduje się temperatury powyżej osiemdziesięciu stopni. Oldorandczycy będą musieli uchodzić na południe. Zawrzyj teraz to dynastyczne małżeństwo, a masz ich natenczas w garści. Niczym ubodzy krewni zastukają do twych drzwi. Całe to Borliendorando będzie twoje – a przynajmniej twego wnuka. Skosztujmy teraz jeszcze trochę owoców. Anejki są pyszne.

– Tego się nie da załatwić.

– Da się. Święty C'Sarr gotów jest unieważnić twoje terażniejsze małżeństwo, udzielając specjalnej dyspensy.

JandolAnganol uniósł rękę, jak gdyby zamierzał trzasnąć księcia w gębę. Powściągnął dłoń na wysokości oczu.

– Moja żona była wczoraj, jest dzisiaj i jutro też będzie moją żoną. Skoro potrzebujemy małżeństwa dynastycznego, ożenię Robaydaya z twoją Simodą. Dobrana z nich para.

Ksiązę pochylił się do przodu, celując palcem w JandolAnganola.

– Na pewno nie. Wybij to sobie z głowy. Chłopak jest obłąkany. Jego babką była szalona Szannana.

W oczach Orła zapaliły się błyskawice.

– Roba nie jest obłąkany. Trochę szalony.

– Powinien był uczęszczać do klasztoru, jak ty i ja. Chyba ci religia podpowiada, że twój syn nie nadaje się na pana młodego. Sam musisz się poświęcić, jeśli wolisz to traktować jako poświęcenie.

Z naszą pomocą zapomnisz o jakiegokolwiek stracie. Po wyrażeniu zgody dostajesz od nas w prezencie skrzynię pełną nowej broni wraz z wszelkim niezbędnym oporządzeniem strzeleckim. Pierwszą, lecz nie ostatnią. Wyszkolisz sobie strzelców do walki z Darwiiszem Trupią Czaszką i plemionami Randonanu. Nic nie stracisz, wszystko zyskasz.

– A co zyska Pannowal? – cierpko spytał JandolAnganol.

– Pannowal zyska spokój, kuzynie, spokój. A czasy idą niespokojne. Sibornalska potęga nie skurczy się w promieniach Freyra.

Ugryzł kawałek fioletowej anejki. JandolAnganol stał jak wrośnięty w ziemię, nie patrząc na księcia.

– Wybrałem sobie kobietę z miłości. Nie rozwiodę się z Myrdeminggalą. Księżę parsknął śmiechem.

– Miłość! Zyganka, jak powiedziałaaby Simoda Tal! Królowie nie mogą sobie pozwolić na myślenie w kategoriach miłości. Na pierwszym miejscu muszą stawiać królestwo. Dla dobra Borlien ożeń się z Simoda Tal, zjednocz, umocnij...

– A jeśli nie?

Pomaleńku Taynth Indredd wybrał z misy drugą anejkę.

– W takim razie wypadniesz z gry, nie wydaje ci się?

JandolAnganol wytrącił mu owoc z dłoni. Anejka poturlała się pod ścianę.

– Wyznaję zasady Kościoła. Rozwód z królową byłby sprzeczny z tymi zasadami. Znajdą się w waszym Kościele tacy, którzy staną po mojej stronie.

– Chyba nie masz na myśli biednego piernika Ulbobega? – Mimo że dłoń mu drżała, nachylił się i wyszukał nowy owoc. – Przede wszystkim wypraw ją gdzieś pod byle pretekstem. Spław z dworu. Wyślij nad morze. A potem wyobrażaj sobie ten deszcz korzyści obsypujący cię za to, że postąpisz zgodnie z naszą wolą. Muszę wrócić do Pannowalu pod koniec tygodnia – z wiadomością, że zawrzesz dynastyczne małżeństwo, które pobłogosławi sam Święty C'Sarr we własnej osobie.

Dzień ten był dla JandolAnganola jednym pasmem udręki. W trakcie porannych negocjacji Taynth Indredd milczał, rozsiadłszy się jak ropucha na kamieniu, podczas gdy Guaddi Ulbobeg przedstawił plany nowego małżeństwa. Tym razem zostało to wyłożone językiem dyplomacji. Podjęcie wzmiankowanych kroków przyniesie wzmiankowane korzyści. Wielki C'Sarr Kilander IX, Ojciec Święty Kościoła Akhanaby, zatwierdzi zarówno akt rozwodu jak i powtórny ożenek. Przezornie nie powiedziano ani słowa o tym co mogą przynieść najbliższe osiemdziesiąt trzy lata. Cała polityka przeżycia właściwie nie wybiegała w przyszłość dalej niż na pięć lat.

W południe królewski gospodarz wydał dla gości przyjęcie, na którym Myrdeminggala pełniła honory pani domu, a król ze swym fagorzem miodkiem za plecami siedział przy niej, nie tykając potraw. Byli również obecni najwyżsi dostojnicy z borlieóskiej skritiny. Spożyto wielką ilość pieczonych żurawi, ryb, prosiąt i łabędzi.

Po uczcie księżę Taynth Indredd przejął pałeczkę. Niby to w podzięcie za królewską biesiadę kazał swej straży przybocznej zademonstrować zalety nowych rusznic. Na jednym z wewnętrznych dziedzińców zabito trzy spętane kuguary. Jeszcze dym się nie rozwiał, gdy JandolAnganol już otrzymywał rusznice w podarunku. Wręczono mu je prawie urągliwie, jak gdyby uznawszy jego zgodę na pannowalskie żądania za rzecz oczywistą. Oczywisty był też powód widowiska. Skritina zażąda, by król sprowadził więcej rusznic z Pannowalu. I Pannowal dostarczy je – za odpowiednią cenę.

Zaraz po zakończeniu tej całej szopki w pałacowe progi zawitali dwaj handlarze wiodący stareńkiego kaidawa z przytroczonym na grzbiecie workiem, w którym były zaszyte zwłoki. Rozpruto

worek. Ze środka wypadł trup JeferałOborala z odstrzelonym kawałkiem piersi i łopatki.

Wkraczając do pracowni kanclerza pod koniec dnia król przypominał zaszczute zwierzę. Bataliksa zachodziła przez kolejne pasma chmury od czasu do czasu odbijającej promienie Freyra. Ciepła mną zachodu rozjaśniała mroczne kąty komnaty. Sartoriirwrasz wstał zza długiego, zawalonego papierzyskami stołu i uklonił się królowi. Ślęczał nad swym Abecadłem historii naturalnej. Król nie widzącym spojrzeniem obrzucił walające się wokoło starożytne materiały źródłowe i współczesne opracowania.

– Jaką ostateczną odpowiedź powinienem dać Taynthowi Indreddowi?

– Czy mogę mówić bez ogródek, Wasza Królewska Mość?

– Mów.

Król klapnął na najbliższe krzesło, a miodek stanął za oparciem, żeby zejść kanclerzowi z oczu. Sartoriirwrasz spuścił głowę, prezentując królowi jedynie swą pozbawioną wyrazu łysinę.

– Na pierwszym miejscu musi Wasza Królewska Mość postawić obowiązek wobec kraju, nie wobec samego siebie. Tak rzecze starożytny Kodeks Królów. To ma ręce i nogi, ten pannowalski plan, żeby nasze obecnie dobre stosunki z Oldorando zacieśnić poprzez dynastyczne małżeństwo. Umocni tron i przypie-r czętuje Wasze prawo do korony. Ten ślub pozwoli wam w przyszłości zwracać się o pomoc do Pannowalu. Myślę o pomocy przede wszystkim w postaci zboża i broni. Mają tam wielkie obszary uprawne na swej bardziej umiarkowanej północy, nad Morzem Pannowalskim. Nasze tegoroczne zbiory są słabe, a będą tszcze słabsze z nastaniem większych upałów. Nasz królewski zbrojmistrz rzypuszczalnie zdoła skopiować sibornalskie rusznice – to jeśli chodzi o Sibor-lal. Za poślubieniem Simody Tal z Oldorando, mimo jej niepełnoletności, Mrzemawia więc wszystko, z jednym małym wyjątkiem. Z wyjątkiem królowej Słyrdeminggah. Nasza obecna królowa to dobra i święta niewiasta i miłość i witnie między Wami. Jeżeli zerwiesz tę miłość, Panie, skrzywdzisz sam siebie.

– Być może zdołam pokochać Simodę Tal. [– Być może zdołasz, Wasza Królewska Mość – Sartoriirwrasz odwrócił j^ę i wyjrzał przez małe okienko na zachodzące słońca. – Lecz miłością naprawioną gorzkim smakiem nienawiści. Nigdy nie znajdziesz drugiej takiej kobiety, jak królowa, a jeśli nawet, to nie będzie się ona nazywała Simoda Tal.

– Miłość nie jest ważna – rzekł JandolAnganol, rozpoczynając spacer po komnacie. – Ważniejsze jest przetrwanie. Tak twierdzi książę. Być może ma rację. Tak czy owak, co mi radzisz? Twoja odpowiedź brzmi tak czy nie?

Kanclerz pociągnął się za bokobrody.

– Jest jeszcze ten nieszczęsny problem fagorów. Czy książę poruszył tę kwestię dziś rano?

– Rano nie powiedział ani słowa na ten temat.

– Uczyni to. Ci, w imieniu których występuje, uczynią to. Zaraz po dobieciu targu.

– No więc co mi radzisz, mój kanclerzu? Powinienem odpowiedzieć Pannowalowi "tak" czy "nie"?

Kanclerz osunął się na ławę, nie odrywając oczu od sterty papierzysk na stole. Palcami bawił się jakimś pergaminem, który szeleścił jak martwe liście.

– Składasz na moje barki, Panie, sprawę życia i śmierci, sprawę, gdzie racje serca ścierają się z racjami stanu. Nie mnie tu rozstrzygać... Czy nie jest to sprawa religijna, z jaką winienes się zwrócić po radę do swego wikariusza?

– Wszystkie sprawy są religijne, ale w tej jednej właśnie muszę się zwrócić 30 radę do swego kanclerza. To bardzo ładnie z twoje} strony, że tak ubóstwiasz)becną królową, za to szanuję cię, Ruszwen. Jednakże odłóż uwielbienie na wtem i wyjaw swoje zdanie. Czy mam ją odprawić i

zawrzeć dynastyczne małżeństwo w celu zapewnienia bezpiecznej przyszłości naszemu krajowi? Od-
powiadaj.

W głębi duszy kanclerz wiedział, że nie wolno mu brać odpowiedzialności za iecyzję króla. Prędzej czy później stałby się kozłem ofiarnym; znał zmienność mórów królewskich, lękał się wybuchów królewskiego gniewu. Dostrzegał wiele argumentów na korzyść przymierza Borlien z Oldorando; pokój między Iwoma tradycyjnie zwaśnionymi sąsiadami byłby wszystkim na rękę; przymierze, jeśli nim mądrze sterować – tak jak on by potrafił nim sterować – stanowiłoby obronny mur przeciwko Pannowalowi, jak i przeciwko stałym zakusom Sibornalczyków z północnego kontynentu.

Z drugiej strony, był nie mniej oddany królowej aniżeli królowi. Na swój egocentryczny sposób kochał Myrdeminggalę jak córkę, zwłaszcza od kiedy żona mu zmarła w jakże strasznych okolicznościach. Codzienny widok pięknej królowej rozgrzewał jego uczone stare serce. Wystarczyło, by podniósł palec, by oświadczył z mocą: stać przy kobiecie, którą się kocha, to największe przymierze, jakie może zawrzeć mężczyzna... Zabrakło mu odwagi, gdy zerknął w krwią nabiegłe królewskie oblicze. Miał swoje wielkie dzieło całego życia, swoją księgę, miał czego bronić. Odpowiedź na pytanie przerastała możliwości wszystkich, z wyjątkiem króla.

– Wasza Królewska Mość dostanie krwotoku z nosa, jeśli nie zapanuje nad sobą. Napijcie się, proszę, trochę wina...

– Na Patrzycielkę, wszystko, co w ludziach najgorsze, to cały ty, istna mogiła pomocy!

Starzec jeszcze bardziej skurczył się w swym wzorzystym czarfralu i potrząsnął głową.

– Obowiązkiem moim, jako Waszego doradcy w tak trudnej osobistej kwestii, jest jasne postawienie sprawy. To Wy jedni spośród wszystkich ludzi, Wasza Królewska Mość, musicie wybrać najlepsze rozwiązanie, albowiem to Wy musicie żyć z tym wyborem. Stojący przed Wami problem ma dwa rozwiązania.

Idąc do drzwi JandolAnganol nagle przystanął. Mierzyli się spojrzeniem przez całą szerokość komnaty.

– Dlaczego miałbym cierpieć? Dlaczego królów by nie miał omijać los gminu? Jeśli uczynię to, czego się żąda ode mnie, będę świętym czy demonem zła?

– Tylko ty jeden będziesz to wiedział. Panie.

– Ciebie po prostu nic a nic nie obchodzi, ani ja, ani królestwo, nic, tylko ta twoja nędzna przeszłość, którą nicujesz po całych dniach. Kanclerz ścisnął rozdygotane dłonie między kolanami.

– Bywa, że nas coś obchodzi, Wasza Królewska Mość, a mimo to nie możemy nic zrobić. Powiadam wam, Panie, że stojący przed nami problem jest skutkiem pogarszania się klimatu. Przypadkiem studiuję teraz kronikę z czasów innego króla imieniem AozroOnden, który władał całkiem innym Oldorando prawie cztery stulecia temu. Kronika wspomina o tym, jak AozroOnden zabił dwóch braci, którzy pospołu panowali nad ówczesnym światem.

– Znam tę legendę. No i co z tego? Zapowiada się, że zabiję kogoś w tej chwili?

– Ta miła powiastka wpleciona w historyczne zapiski jest typowa dla sposobu myślenia w tamtych prymitywnych czasach. Chyba nie należy traktować tej historyjki dosłownie. Jest ona alegorią odpowiedzialności człowieka za śmierć dwóch dobrych pór roku, które ów człowiek zabił w osobach dwóch dobrych braci i sprowadził mroźne zimy i upalne lata, trapiące nas po dziś dzień. My wszyscy ponosimy karę za tamtą pierwotną zbrodnię. Wszystkiemu, co robimy, musi towarzyszyć poczucie winy. I tylko tyle chciałem powiedzieć.

– Ty stary molu książkowy – ryknął król – mnie miłość rozdziera, nie wina!

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Nie zamierzał się przyznawać przed swym kanclerzem, że ma

poczucie winy. Kochał królową; mimo to jakąś przewrotną cząstką duszy pożądał wolności i postrzegał w tym źródło swej udręki. Myrdeminggala była królową królowych. Całe Borlien, wszyscy ją kochali, jak nie kochali króla. I następny obrót tejże samej śruby tortur: wiedział, że królowa zasługuje na tę miłość. Może zanadto była pewna jego miłości... Może miała nad nim nazbyt dużą władzę... I jeszcze to jej ciało jak dumny bastion, dojrzałe jak pszenica w snopach, te fale jedwabistych włosów, wilgotność łona, omdlałość spojrzenia, ta pełnia szczęścia w jej uśmiechu... A jak by to było wdrzeć się w jeszcze niedojrzałe łono tej napuszonej półmadzkiej księżniczki? Zupełnie inaczej... Jego snujące się tam i z powrotem, skołowane myśli utknęły w zawiłym labiryncie pałacu. Pałac wyglądał tak, jak gdyby budowano go od przypadku do przypadku. Dziedzińce zostały zajęte pod budynki i prowizoryczne rudery dla służby. Świetność i nędza stały obok siebie. Mieszkający tu ponad miastem uprzywilejowani cierpieli prawie te same niewygody, co ludność miasta. Jedną z niewygód zdradzały dziwaczne sylwetki wyraźnie teraz zarysowane na tle ciemniejącej nad nimi chmury. Duchota doliny leżała na borlieńskiej stolicy jak apatycznie rozwalony kocur na zdychającej myszy. Z wysokich kominów wentylacyjnych sterczały płócienne skrzydła, drewniane łopaty i małe miedziane wiatraczki, wszystko, aby zassać łyk świeżego powietrza dla płuc, które dusiły się w komnatach na dole. Cały ten chór semaforowych błagań o pomoc skrzypiał nad głową króla, przemierzającego pałacowy labirynt. Raz jeden król podniósł wzrok, jak gdyby zafascynowany tą orkiestrą zagłady.

Dokoła nie było nikogo, prócz wartowników. Stali na każdym rogu, przeważnie fagory. Zbrojne, odmierzające kroki lub nieruchomo tkwiące na posterunku, mogłyby uchodzić za wyłącznych właścicieli zamku i jego sekretów. Machinalnie odbierając od nich wojskowe honory, JandolAnganol wędrował wśród coraz gęstszych cieni. Tylko jeden człowiek mógłby udzielić mu rady. Rady zapewne nikczemnej natury, ale zawsze rady. Ten chętny doradca był jednym z zamkowych sekretów. Był jego ojcem.

Im bliżej naj sekretniej szego miejsca pałacu, miejsca, gdzie ojciec przebywał w zamknięciu, tym więcej wartowników prężyło się na bacność przed nadchodzącym królem, jakby w swej osobie krył jakąś potężną moc, która zmieniała ich w kamień. Z kamiennych zakamarków pierzchały nietoperze, kury pierzchały przed krokami władcy; mimo to pałac był dziwnie milczący, pogrążony w zadumie nad królewskim dylematem.

JandolAnganol dotarł pod masywne drzwi prowadzące na tylne schody. Tu straż trzymał fagor z wysokiej kasty wojskowej, o czym świadczyły zachowane rogi.

– Wchodzę.

Fagor bez słowa dobył klucza, otworzył zamek i pchnął drzwi stopą na oścież. Król schodził powoli, trzymając się żelaznej poręczy. Kręcone schody zapuszczały się w coraz gęstszy mrok. W przedsionku na samym dole drugi wartownik pilnował drugich zamkniętych drzwi. I one zostały otwarte przed królem. JandolAnganol wszedł do wilgotnych ojcowskich apartamentów. Chłód i wilgoć wyrwały go z zadumy. Wyrzuty sumienia przemknęły mu cieniem przez szleje.

W ostatniej z trzech izb siedział owinięty kocem YarpalAnganol, wpatrzony w polano dogasające na ruszcie paleniska. Przez jedyne zakratowane okienko pod sufitem sączyły się resztki szarówki. Podnosząc i mrużąc oczy starzec mlasnął wargami, jak gdyby je zwilżał przed zabraniem głosu, jednak nie wyrzekł ani słowa.

– Ojcie. To ja. Nie masz lampy?

– Właśnie próbowałem się dorachować, który mamy rok.

– Trzysta osiemdziesiąty pierwszy, zima.

Nie widział ojca od dobrych paru tygodni. Starzec bardzo się posunął w latach i wkrótce miał

dołączyć do grona mamików. Wstał, opierając się o poręcz fotela.

– Chcesz usiąść, synku? Mam tylko jeden fotel. Te komnaty nie są najlepiej umeblowane. Dobrze mi zrobi, jak sobie trochę postoję.

– Siedź, ojcze. Chcę z tobą porozmawiać.

– Znaleźli twojego syna... jak mu tam? Roba? Znaleźli Robę?

– On jest zbzikowany, nawet cudzoziemcy już wiedzą o tym.

– Bo widzisz, on jako dziecko już lubił pustynię. Zabrałem go tam, i jego matkę. Bezczesne niebo...

– Ojcze, zamierzam się rozwieść z Kuną. Racja stanu.

– No i dobrze, mógłbyś ją zamknąć ze mną. Lubię Kunę, to miła kobieta. Oczywiście, będzie nam potrzebny drugi fotel...

– Ojcze, potrzebuję rady. Chcę z tobą porozmawiać. Starzec zatonął w swym fotelu. JandolAnganol zbliżył się i przykucnął przed nim, plecami do nikłego ognia.

– Chcę cię zapytać... zapytać o miłość, jakkolwiek by miłość pojmować. Podobno każdy coś kocha. Król i żebrak. Ja kocham Wszechmocnego Akhanabę i wznoszę modły do niego dzień w dzień; jestem namiestnikiem boga na ziemi. Kocham również Myrdeminggale nad wszystkie kobiety pod słońcami. Wiesz, że potrafiłem zabijać mężczyzn, gdy wydało mi się, że popatrzyli na nią pożądliwie.

Umilkł, dając ojcu chwilę na zebranie myśli.

– Dobrze robisz mieczem, zawsze to mówiłem. – Starzec zachichotał.

– Czyż poeta nie przyrównał Miłości do Śmierci? Kocham Akhanabę i kocham Kunę, zgoda. Ale czy pod tą miłością – nieraz zadaję sobie to pytanie – czy pod tą miłością nie bije źródło nienawiści? Czy powinno bić? Czy każdy człowiek odczuwa to tak jak ja?

Starzec milczał.

– Kiedy byłem dzieckiem, lałeś mnie, ile wlało. Za karę zamykałeś mnie w komnacie. Kiedyś zamknąłeś mnie tutaj, właśnie w tej piwnicy, pamiętasz? A mimo to kochałem cię, kochałem bez zastrzeżeń. Kochałem nieuchronną, niewinną miłością syna do ojca. Czemu więc nie potrafię kochać kogoś innego bez owej sączącej się podstępnie trucizny nienawiści?

Słuchając tyrady syna starzec wiercił się w fotelu, jak gdyby go dopadł nieuleczalny świerzb.

– Nie ma granicy – rzekł. – Nie ma żadnej granicy... Nie możemy odróżnić, gdzie się kończy jedno uczucie, a zaczyna drugie. Twoim problemem nie jest nienawiść, lecz poczucie winy. Do niej się właśnie poczuwasz, Janie – do winy. Ja się poczuwam do winy, wszyscy mężczyźni poczuwają się do winy. Tę schedę niedoli mamy przekazywaną we krwi i za to Akha karze nas zimnem i gorącem. Zdaje się, że kobiety nie mają tego męskiego poczucia winy. Kobiety słuchają się mężczyzn, ale kogo mają się słuchać mężczyźni? Nienawiść wcale nie jest zła. Lubię nienawiść, zawsze sprawiała mi przyjemność. Ona grzeje po nocach... Posłuchaj, chłopcze, kiedy ja byłem młody, nienawidziłem prawie wszystkich. Nienawidziłem ciebie, bo nie robiłeś tego, co ci kazano. Ale poczucie winy... poczucie winy to zupełnie inna sprawa, poczucie winy unieszczęśliwia człowieka. Nienawiść rozwesela, sprawia, że zapominasz o winie.

– A miłość?

Starzec westchnął, dmuchnąwszy zepsutym oddechem po wilgotnej izbie. Panował taki mrok, że syn nie dostrzegął twarzy ojca, tylko jej plamę w ciemnościach.

– Psy kochają swych panów, to wiem na pewno. Miałem kiedyś psa... Cudowny pies, biały z brązowym pyskiem, a oczy jak u Madiski. Przyzwyczyił się sypiać ze mną, na łóżku. Jak on się nazywał?

JandolAnganol wstał.

– Czy to jedyna miłość, jaką kiedykolwiek czułeś? Miłość do jakiegoś zasranego kundla?

– Nie przypominam sobie, żebym kochał jeszcze kogoś... Tak czy siak, ty się rozwodzisz z Myrdeminggalą i potrzebujesz tylko pretekstu, aby oszukać swoje poczucie winy, co nie?

– Tak powiedziałem? Kiedy?

– Nie przypominam sobie. Jak sądzisz, która to godzina? Musisz ogłosić, że ona i JeferalOboral, ten jej braciszek, zmówili się, by zamordować sibornal-skiego ambasadora, i że właśnie dlatego jej brat został zabity. Spisek. Oto idealny pretekst. A kiedy już ją przepędzisz, zadowolisz za jednym zamachem Sibornal, Pannowal i Oldorando.

JandolAnganol złapał się za głowę.

– Ojciec... Skąd wiesz o śmierci JeferalOborala? Trupa przywieziono zaledwie godzinę temu.

– Widzisz, synku, jeśli się bardzo mało ruszasz, jak ja z konieczności, bo mi stawy zeszywniały, to wtedy wszystko przychodzi samo do ciebie. Zaoszczędzam czas... Jest jeszcze inna możliwość...

– Jaka?

– Żeby ona po prostu zniknęła któreś ciemnej nocy. Przepadła jak kamień w wodę. Brat nie żyje, nikt się tym nie interesuje, nie aż tak, by podnosić wielki szum. Czy jej stary ojciec jeszcze żyje?

– Nie. Na to bym się nigdy nie odważył...

– Oczywiście, że byś się odważył... – Chwilę posapywał, co miało oznaczać śmiech. – Ale mój pomysł ze spiskiem to dobry sposób, co nie?

Król podszedł pod okno. Resztki jasności pełgały po ceglanych stropie więzienia. Za oknem znajdowała się sadzawka królowej. Rozpacz zalewała króla jak woda. Jakże podstępny wciąż jest ten staruch...

– Dobry? Chytry i wykorzystujący okoliczności, zgoda. Jasno widzę, po kim odziedziczyłem charakter.

Załomotał w drzwi, aby mu otworzono.

W porównaniu z piwnicami wieczorny świat jawił się skąpany w blasku. Król skręcił w boczną furtę i wyszedł nad sadzawkę, w miejscu, gdzie schodki zbiegały do wody. Kiedyś była tu zacumowana łódka, dziś zbutwiała i przytępiona; pamiętał, jak się bawił w niej jako chłopak. Kosmyki siwych chmur popstrzyły niebo o odcieniu zgliwiełego sera. Na drugim brzegu sadzawki, niczym urwisko, sterczały wdzięczne kontury siedziby królowej, czarne na tle nieba. W jednym oknie płonęła przyćmiona lampa. Tam jego piękna małżonka pewnie się gotowała do snu. Mógł pójść i poprosić o wybaczenie. Mógł się zatracić w jej urodzie. Jednak ni z tego, ni z owego skoczył prosto do sadzawki. Obie ręce złożył nad głową, jak gdyby spadał z dachu. Zabulgotało powietrze, uchodząc z ubrania. Toń gwałtownie pociemniała, zamknąwszy się nad nim.

– Obym nigdy nie wypłynął – zdążył rzec.

Woda była głęboka, zimna i czarna. Z radością witając strach, usiłował przycisnąć muliste dno do piersi. Wypuścił nosem bąbelki powietrza. Kierujący życiowym procesem Akha nie pozwolił mu uciec w zaułek śmierci. Poczul, że mimo oporu coś unosi go z powrotem na powierzchnię. Kiedy wypłynął, łapiąc oddech, zgasła lampka królowej.

VII. KRÓLOWA ODWIEDZA ŻYWYCH I UMARŁYCH

Nazajutrz dzień wstał duszny i gorący. Królowa królowych wzięła kąpiel, ! oddawszy się w ręce swych laziebniczek. Przez jakiś czas bawiła się z Tatrą, po czym wyznaczyła Sartoriirwraszowi spotkanie w rodowej krypcie. Tam oddała ostatnie honory bratu. Wkrótce miał być pogrzebany we właściwej oktawie śródziemnej. Spowite w złotogłów zwłoki spoczywały na bloku lordrardryjskiego lodu. Ze smutkiem spostrzegła, że nawet śmierć nie przyniosła odmiany rysom tej nieurodziwej twarzy. Oplakiwała to wszystko, co zwyczajne i niezwykle, wszystko, co spotkało i co minęło brata za życia.

Nad zwłokami zastał ją kanclerz. Chałat miał wysmarowany atramentem i powalane atramentem palce. Atrament miał też i na łysinie, którą nisko pochylał w ukłonie.

– Ruszwen, tutaj muszę się pożegnać z bratem, lecz pragnę również się z nim przywitać, skoro już duchem odszedł do świata dolnego. Bądź przy mnie, gdy zapadnę w pauk, i pilnuj, aby nikt mi nie przeszkadzał.

Zrobił nieszczęśliwą minę.

– Jaśnie Pani. Pozwólcie, że odświeżę dwie rzeczy w waszej stroskanej pamięci. Po pierwsze, owe pocieszanie przodków – pauk, jeśli wolisz, termin starej daty – jest potępione przez wasz Kościół. Po drugie, nie można wywołać mamików przed pogrzebaniem ich śmiertelnych ciał w odpowiednich oktavach śródziemnych.

– A po trzecie, to uważasz pauk za bajeczkę dla dzieci, tak czy owak – z bladziutkim uśmiechem podjęła ich dawny spór. Pokręcił głową.

– Dobrze wiem, co kiedyś mówiłem. Czasy się jednak zmieniają. Dziś wyznaję, że sam opanowałem sztukę pocieszania przodków, aby szukać ukojenia w wywoływaniu ducha mojej zmarłej żony. – Zagryzł wargi. – Tak – odparł na jej nieme pytanie – przebaczyła mi.

– Cieszę się.

Dotknęła go leciutko. W nim zaś ponownie obudził się uczony.

– Ale przecież. Wasza Królewska Mość, z filozoficznego punktu widzenia trudno jest uwierzyć, że rytuał pocieszania przodków jest czymś innym niż zjawiskiem subiektywnym. Nie może być pod ziemią mamików i mamunów, z którymi żywi ludzie prowadziliby rozmowy.

– Wiemy, że są. Ty, ja i miliony wieśniaków, wszyscy rozmawiamy z naszymi przodkami, ilekroć przyjdzie nam ochota. Co w tym trudnego?

– Historyczne zapiski, jakich mam mnóstwo, wszystkie podają, że mamiki i mamuny niegdyś były stworzeniami nienawiści, że oplakiwały swe nie spełnione żywoty i ziały pogardą dla żywych. Zmieniły się w ciągu pokoleń; dziś są pełne słodyczy i pociechy dla każdego. To budzi podejrzenie, że całe doznanie jest wytworem naszych nie spełnionych marzeń, czymś w rodzaju snu przez autosugestię. Co więcej, gwiazdna geometria usunęła do lamusa antyczną ideę, że nasza planeta spoczywa na prakamieniu, do którego schodzą mamuny.

Tupnęła nogą.

– Czy mam zawołać wikariusza? Czy nie dość jestem zasmucona i zdenerwowana, bym w takiej chwili musiała jeszcze wysłuchiwać twych bzdurnych wykładów z historii?

Natychmiast pożałował swego wybuchu, położyła mu dłoń na ramieniu, kiedy wchodzili na górę do jej komnaty.

– Cokolwiek by to było, przynosi pocieszenie – rzekła. – Wiedzy chwala za to, że poza nią istnieje królestwo ducha.

– Chociaż nienawidzę religii, moja wielce ukochana królowo, zawsze chylę czoło przed świętością.

Czując, jak uściśnieła mu ramię, ośmielił się dodać:

– Jednak Święty Kościół nigdy na dobre nie przyjął pocieszania przodków do swych rytuałów, czyż nie tak? Kościół nie wie, co sądzić o mamikach i mamunach. W rezultacie najchętniej by wszystkiego zakazał, lecz jeśli uczyni to, wtedy miliony wieśniaków odejdą od wiary. Więc Kościół pomija całą sprawę.

Spojrzała w dół, na swoje delikatne dłonie. Już sposobila się do transu.

Dusza nie ma oczu, a widzi dolny świat. Dusza królowej skierowała spojrzenie w dół, rozpoczynając długie zstępowanie. W dole rozpościerała się przestrzeń rozleglejsza od nocnego nieba, bogatsza, wspanialsza. I wcale nie była to przestrzeń: to było przeciwieństwo przestrzeni, a nawet świadomości – osobliwa szkliwna gęstość bez dnia jutrzejszego. Tak jak pełnomorski okręt jest symbolem wolności dla łądu, łąd zaś jest symbolem wolności dla marynarzy zamkniętych w ciasnocie okrętu, tak i królestwo zatracenia było przestrzenią i nieprzestrzenią zarazem. Dla świadomości zdawało się nie mieć końca. W kierunku ku dołowi kończyło się dopiero tam, gdzie człekokształtne rasy miały swój początek, w zielonym i niepoznanym, niepoznawalnym łonie, w łonie Pierwszej Patrzycielki. Pierwsza Patrzycielka – ów bierny pierwiastek macierzyński – z powrotem wchłaniała tonące w niej dusze zmarłych. Mogła być niczym więcej, jak skamieliną woni w kamieniu, jednak nie można jej się było oprzeć. Ponad Pierwszą Patrzycielką pływały mamiki i mamuny, tysiące tysięcy tysięcy mamików i mamunów, jak gdyby wszystkie gwiazdy nocy stanęły w ordynku, uszeregowane według starożytnej idei oktaw śródziemnych. Dusza królowej wędrowniczki opadała w dół, jak piórko szybując ku mamikom. Z bliska mniej przypominały gwiazdy, a bardziej zmumifikowane kurczaki o pustych żrenicach i brzuchach, o niezdarnie dyndających odnóżach. Czas je wytrawił. Wyprzezoczyścił. Wnętrznosci pływały w nich niby fosforyzujące ryby w misie. Mamiki po rybiemu otwierały usta, jak gdyby starając się wypuścić pęcherzyki powietrza na powierzchnię, której już nigdy nie miały zobaczyć. Tym mniej wiekowym, pływającym bliżej powierzchni, jeszcze się dobywały drobiny pyłu z widmowych krtani, niczym kropki nad "ż" pozostałe po słowie ŻYCIE. W niektórych zapuszczających się tutaj duszach szeregi zmarłych budziły grozę. Królowa znajdowała w nich pocieszenie. Widok owych zalanych obsydianem ust krzepił jej wiarę, że przynajmniej jakiś strzęp istnienia pozostaje i pozostanie na zawsze, aż ogień spopieli planetę. A kto wie, czy nawet nie dłużej...

Zdawało się, że żaden kompas nie wskaże wędrującej duszy kierunku. Ale kierunek istniał. Patrzycielka miała magnetyt w sercu. Wszystkich gromadziła tu według określonego porządku, tak jak morze gromadzi na plażach kamienie według ich rozmiaru. Szeregi mamików ciągnęły się pod całą powierzchnią ziemi, sięgając poza Borlien i Oldorando hen do Sibornalu, a nawet po najodleglejsze zakątki Hespagoratu, do mitycznego na poły Pegowinu za Morzem Zaświatów i do biegunów. Wiatr, który nie wiał, niósł żaglowiec duszy, aż w końcu dopłynęła do mamicy tej, która kiedyś była jej matką, do Szalonej Szannany, żony RantanOborala, władcy Matrassylu.

Żebra i kości miedniczne matczynej mamicy, przypominającej strzaskaną ptasią klatkę, tworzyły nieokreślone złotawe wzory na tle czerni, jak żyłki liścia dawno temu skruszonego pomiędzy stronicami dziecięcej książeczki. Lecz ostał się głos. Mamiki i mamuny miały w sobie coś z uprzykrzonych much. Istniejąc na przeciwnym biegunie życia, zachowały w pamięci tylko to, co w nim było miłe. Dobro wzięły ze sobą do grobu, zło i nikczemność zapodziawszy wraz ze swobodą

działania.

– Kochana mammo, oto znów chyłę przed tobą czoło i zapytuję, jak ci się powodzi.

Takie było rytualne powitanie.

– Kochana córko, tu nie ma kłopotów. Wszędzie spokój, którego nic nie może zmaćić. A widząc ciebie, mam wszystko. Mojaż ty radosna i śliczna, jakim cudem wycisnęłam taką córkę z mych niegodnych łądźwi⁹ Twoja babka też bawi tutaj, równie uszczęśliwiona twym widokiem

– Twój widok, mammo, też cieszy moje serce

Słowa te stanowiły jednak zakłęcie przeciwko nieokreslonosci

– Och, me, nawet me wolno ci tak mowie, bo cała przyjemność jest po naszej stronie, i często wspominam, jak w pospiesznych dniach mego życia nigdy cię nie hołubiłam, ile trzeba, na pewno me tyle, ileś warta Wciąż pełne ręce roboty, co i rusz jakaś nowa bitwa, i teraz mogę się tylko dziwować, dlaczego trwoniłam siły na błahostki, mając ciebie, prawdziwą radość życia tuz przy sobie, a kiedy patrzę, jak wyrosłaś

– Mammo ty byłaś dobrą matką, a ja niezbyt posłusznym dzieckiem Zawsze byłam uparta

– Uparta' – wykrzyknęła sędziwa mamica – Nie, o me, tyś w niczym mi me uchybiła' Na tym szczeblu istnienia człowiek widzi wszystko inaczej, widzi, co jest prawdziwe, co jest ważne Kilka drobnych psot się nie liczy i tylko żałuję, że się wówczas denerwowałam Ze zwykłej głupoty bo przez cały czas wiedziałam, żeś mym największym skarbem Nie dać życia to przegrać życie, o czym tu w dole świadczy nieustający lament tych, którzy nie mieli dzieci

Ciągnęła dalej w tym stylu, a królowa, pozwoiliwszy JCI przeskakiwać z tematu na temat, znajdowała pociechę w tych słowach, albowiem tak naprawdę to matka za życia, zajęta sobą, jeśli JUŻ okazywała dobre serce, to na odczepnego W tej strzaskanej klatce królowa z zachwytem odkrywała pamięć o wydarzeniach dzieciństwa, zatartych w jej własnej pamięci Ciało umarło, pamięć przetrwała W końcu królowa przerwała matce

– Mammo, schodziłam tu prawie pewna, że spotkam JefaralOborala, że JUŻ dołączył do ciebie i babki

– Ach więc mój ukochany syn dotarł do kresu swych naziemnych dni O, chwała mu to doprawdy cudowna wiadomość, jakaż to radość, że będziemy razem z mm, bo on nigdy nie opanował sztuki pocieszania przodków tak jak ty, mądra dziewczynko Wielką sprawiasz nam radość

– Kochana mammo, on padł od kuli z sibornalskiej rusznicy

– Cudownie' Cudownie' Im szybciej, tym lepiej, jeśli chodzi o nas To dopiero święto A kiedy możemy się go spodziewać?

– Jego śmiertelne szczątki znajdują się w ziemi za kilka godzin

– Będziemy go wyglądać i zgotujemy mu wspaniałe powitanie Pewnego dnia i ty zostaniesz tu z nami, me martw się

– Tęsknię do tego dnia, mammo Mam również prośbę, z którą musisz się zwrocie do swych druchen mamunek Sprawa jest trudna Na powierzchni przebywa ktoś, kto mnie kocha, mimo że nigdy nie wyznał mi swej miłości, wyczułam miłość w jego spojrzeniu Mam wrażenie, że mogę mu zaufać, jak mało któremu mężczyźnie. Został wyprawiony z Matrassyłu na wojnę w odległej krainie.

– My tu w dole nie znamy wojen, słodka dziecino.

– Ten mój zaufany przyjaciel często przebywa w pauk. Ma ojca tu w świecie dolnym. Mój przyjaciel nazywa się Hanra TolramKetinet. Chcę, abyście zapytały jego ojca o miejsce pobytu Hanry, bo muszę mu koniecznie przekazać wiadomość.

Sykliwa cisza wokół cienia Szannany ponownie rozpląnęła się w słowach.

– Moja słodka dziecino, w twoim świecie nikt się z nikiem nie porozumiewa w sposób ostateczny.

Tyle tam niewiadomego. Tutaj wszystko jest spełnione. Tajemnice umierają z ciałem.

– Wiem, mamo – rzekła dusza. Przejmował ją strach przed tego rodzaju spełnieniem. Wiele o nim słyszała. Jeszcze raz wyjaśniła, czego żąda od szacownej matczynej. Pośród licznych dygresji osiągnięto zgodę i prośba duszy wnet leciała przez oktawy, podawana z ust do ust, szeleszcząc jak tchnienie wiatru w martwych liściach drzew.

Trudno było duszy wytrwać na miejscu. Z górnego świata sączyły się zwiody i zgiełk niczym skwierczenie tłuszczu na patelni. Kruszył się mur, grzechotała jakaś upiorna orkiestra. Dusza poczęła dryfować, mimo przymilnych wezwań matczynej matczynej. Wreszcie odpowiedź nadeszła przez obsydian. Przyjaciel nadal przebywa z żywymi. Mamiki TolramKetinetów oznajmiały, że niedawno rozmawiał z nimi, swą cielesną powłoką znajdując się w pobliżu wioski zwanej Ut Pho, w dżungli Wysokiego Chwartu, na zachodnich rubieżach ziemi zwanej Randonanem.

– Dziękuję za dobrą wiadomość! – zawołała dusza. Słyszac ten wybuch wdzięczności matczyna matczyna dmuchnęła pyłem z gardła.

– My tutaj bolejemy nad waszym niespójnym życiem, nad waszym cielesnym wzrokiem, który zaślepia. Umiemy się porozumiewać wieloma głosami tworzącymi jeden głos, bogatszy ponad wasze zrozumienie. Przybądź co rychlej, to usłyszysz na własne uszy. Chodź do nas!

Lecz wąta dusza już słyszała tę starą śpiewkę. Umarli i żywi tworzyli dwie wrogie armie; pauk jedynie stanowił zawieszenie broni. Pożegnawszy czułymi słowy drobinę, która niegdyś była Szannaną, dusza uleciała ku widmom ruchu i oddechu.

Wróciwszy do sił Myrdeminggala odprawiła z komnat Sartoriirwrasza, pięknie mu dziękując, ale nie dzieląc się z nim wiadomością wyniesioną z pauk. Wezwała Meję TolramKetinet, siostrę poszukiwanego w świecie dolnym przyjaciela. Meja pomogła jej w rytualnej oczyszczającej kąpeli. Królowa nader | starannie obmyła swe ciało, jak gdyby zostało zbrukane w drodze ku śmierci.

– Mam ochotę przejść się do miasta, Mejo, w przebraniu. Pójdiesz ze mną. Księżniczka tu zostanie. Przygotuj dwa stroje wieśniaczek.

Po odejściu dworki napisała list do generała TolramKetineta, donosząc mu o złowróżbnych wydarzeniach na królewskim dworze. Złożyła podpis, odcisnęła swą pieczęć i wsunawszy list do skórzanej koperty opatrzyła ją trwalszą pieczęcią. Nie zważając na popaukowe zawroty głowy wdziała przyniesione przez Meję ubranie chłopki, ukrywając pod nim kopertę z listem.

– Wyjdziemy boczną furką.

Bocznej furcie poświęcano mniej uwagi. Przed głównymi wrotami bez przerwy kręcili się żebracy i przeróżni natręci. No i śmierzdały tam zatknięte na palach głowy przestępców.

Kobiety minęły obojętne straże i ruszyły w dół krętą drogą do miasta. JandolAnganol pewnie spał o tej porze. Podpatrzonym u ojca, a teraz swoim zwyczajem, wstawał skoro świt i wychodził na balkon, pokazując się w koronie. Taki widok budził w poddanych poczucie bezpieczeństwa i w ogóle wywierało to duże wrażenie, że król jest na nogach tyle godzin, że „haruje niczym jednonogi chłop”, jak głosiło porzekadło. Król zwykle wracał jednak do łóżka.

Ciężkie chmury sunęły po niebie. Gorący wiatr, torakorkan, dmuchał z południowego wschodu, szarpiąc kobietom suknie i zionąc w twarze ognistym oddechem, od którego wysychały gałki oczne. Lżej było w wąskich uliczkach u stóp wzgórze, gdzie tylko smagał pyłem po piętach.

– Zajdziemy po błogosławieństwo – rzekła Myrdeminggala.

Na końcu uliczki stał kościół zbudowany w tradycyjnym stylu staroborlień-skiej architektury sakralnej, ze spiralnymi schodami wewnątrz pierścienia kamiennych murów. Poza kopułą niemal cała budowla tkwiła pod powierzchnią ziemi. W ten sposób wielebni ojcowie wyrażali tęsknotę za podziemnym życiem, jaką byli opętani Poborcy, święci mężowie Pannowalu, którzy wieki temu

przynieśli Borlieńczykom wiarę.

Nie tylko dwie kobiety schodziły po spiralnych schodach. Przed nimi powłóczył nogami stary wieśniak, prowadzony przez chłopca. Staruch wyciągnął zebrzącą dłoń. Przyszedł zebrać w mieście, bo, jak powiadał, upał niszczy zbiory i trzeba było porzucić gospodarkę. Królowa dała mu srebrnika.

Wewnątrz domu bożego panował mrok. Wierni klęczeli w osadach ciemności, mającej im przypominać, że są śmiertelni. Górą sączyła się jasność. Świece oświetlały wizerunek Akhanaby namalowany za okrągłym ołtarzem. Długa wola twarzy w niebieskim kolorze, oczy łagodne, choć nieludzkie, wszystko to spowiły chwiejne cienie. Ten tradycyjny wystrój świątyni wzbogacono najnowocześniejszym akcentem. Przy drzwiach płonęła pojedyncza świeca przed stylizowanym obrazem matki, która ze smutnie spuszczonej oczyma rozkładała ręce. Wiele wchodzących do kruchty kobiet całowało mijany obraz Pierwszej Patrzycielki. O tej porze liturgia nie przewidywała nabożeństwa, lecz skoro nawa mimo to była w połowie pełna, kapłan głośno wyśpiewał modlitwę wysokim nosowym głosem:

Wielu przystając puka do twych drzwi, o Akhanabo,
a wielu odchodzi nie pukając.

I tym, co odchodzą, i tym, co nabożnie pukają, odpowiadasz:
przestańcie wołać "O, kiedyż nam otworzysz drzwi,
Wszechmocny?"

Albowiem drzwi, powiadam, zawsze stoją otworem,
a nigdy nie były zamknięte.

Trzeba tylko widzieć to, co widoczne,
a czego wy nie widzicie.

Myrdeminggala wróciła myślą do słów matczynej mamicy. Oni porozumiewają się bogatszym głosem. Jednak Szannana nawet nie napomknęła o Akha-nabie. To prawda, otacza nas tajemnica – pomyślała królowa, podnosząc wzrok na oblicze Wszechmocnego. – Ruszwen też jej nie potrafi zgłębić.

Wszystko, czego wam trzeba,
znajdziecie wszędzie wokół was,
jeśli zechcecie otrzymywać, a nie zabierać.

Wystarczy na chwilę schylić głowę,
by zobaczyć rzeczy większe od siebie samego.

Wszystkie rzeczy na świecie są sobie równe,
lecz są i większe.

Czym jestem, nie pytaj przeto: człowiekiem, zwierzęciem
czy kamieniem.

Tym wszystkim jestem i czymś więcej,
co musicie nauczyć się postrzegać.

Dalej zaśpiew popłynął już z towarzyszeniem chóru.

Jak cudownie współgrają altowe głosy z kamiennym sklepieniem kopuły – dumiała królowa. – Oto duch i kamień łączą się ze sobą.

Wsunęła za koszulę dłoń, kładąc ją sobie na piersi i próbując uspokoić kołatanie serca. Lęk nie dawał się uśmierzyć nawet tak cudownym śpiewem. Nie było czasu na dumanie o wieczności w natłoku okropnych wydarzeń. Kiedy kapłan udzielił wiernym błogosławieństwa, nie zwlekała ani chwili. Dwie kobiety w chustkach na głowach znów wyszły na wiatr i światło dnia.

Dotarły do nabrzeża, przy którym rzeka Takissa, ciemna i pełna stłoczonych fal, wyglądała jak

odnoga morza. Statek z Oldorando właśnie cumował nie bez trudności. Łodzie brały ładunki, lecz ruch panował mniejszy niż zwykle, ze względu na torakorkan. Całe nabrzeże było zastawione pustymi wozami, stertami tarcicy, baryłkami, windami ładunkowymi i przeróżnym sprzętem niezbędnym dla życia portu. Płachty brezentu łopotały na wietrze.

Królowa bez wahania szła naprzód, aż pod skład, na którym napis głosił:

LORDRARDRYJSKA KOMPANIA HANDLU LODEM. Tu była matrassył-ska kwatery główna sławnego kapitana polarnego Krillia Muntrasa z Lordrard-ry. Skład miał mnóstwo drzwi na każdym piętrze, wielkich i małych. Myrdeming-gala wybrała najmniejsze na parterze i weszła do środka. Meja za nią. Na brukowym dziedzińcu wewnętrznym grubi mężczyźni zataczali podobne im z kształtu beczki pod ciężki dwukołowy furgon.

– Chcę mówić z Krilliem Muntrasem – oznajmiła królowa najbliższemu z tragarzy.

– Jest zajęty. Z nikim nie będzie rozmawiał – odparł tragarz, mierząc ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Ze mną porozmawia. – Z palca lewej dłoni ściągnęła pierścień z kamieniem mieniącym się wszystkimi barwami morza. – Daj mu to.

Tragarz odszedł, mrużąc coś pod nosem. Wzrost i wymowa świadczyły, że pochodził z Dimariam, jednej z krain na południowym kontynencie Hes-pagoratu. Czekwała niecierpliwie stukając podszewką o bruk, lecz wysłannik wrócił piorunem i odmieniony w obejściu.

– Proszę łaskawie pozwolić za mną, zaprowadzę panią do kapitana Muntrasa.

Myrdeminggala zwróciła się do Mei:

– Zostań tutaj.

– Ależ, Jaśnie Pani...

– I nie płacz się robotnikom pod nogami.

Wprowadzono ją do warsztatu, w zapachy klejów i świeżo struganego drewna, między majstrów i czeladników, którzy piłowali tarcicę i robili z niej paki i skrzynie na lód. Ze stolarskich stołów zwisały długie, poskręcane brody strużyn. Ciekawskie spojrzenia stolarzy ścigały kobiecą postać w chuście osłaniającej głowę i twarz. Przewodnik otworzył przed nią drzwi zawieszane fartuchem. Po zakurzonych schodach wspięli się na piętro zajęte przez długą i niską salę, z której okien roztaczał się widok na rzekę. W jednym końcu sali pracowali pisarczykowie, pochyleni nad rejestrami. W drugim końcu stało biurko i fotel masywny niczym tron, z którego podniósł się tęgi ogorzały mężczyzna i z rozpromienionym obliczem ruszył jej naprzeciw. Złożył niski ukłon, odprawił przewodnika i otworzywszy drzwi za biurkiem wprowadził królową do prywatnego gabinetu. Okna wychodziły tu co prawda na podwórzec stajni, lecz wewnątrz było urządzone wygodnie, na ścianach wisały ryciny, przepych ścierał się z roboczym charakterem pozostałych pomieszczeń budynku. Jedna z rycin przedstawiała królową Myrdeminggalę.

– Zaszczycasz mnie swą wizytą, Najjaśniejsza Pani.

Kapitan polarny rozpromienił się ponownie i do oporu przekrzywił głowę na ramię, aby lepiej widzieć, jak Myrdeminggala zdejmuje chustę. Sam był odziany w prosty czarfral, luźną szatę z kieszeniami, noszoną przez większość mieszkańców okolic tropikalnych. Usadził królową wygodnie, poczęstował pucharem zimnego wina ze świeżym lordrardryjskim lodem, po czym wyciągnął do niej rękę. Na otwartej dłoni leżał pierścień, uroczyście zwracany teraz przez kapitana, który, uparłszy się, sam założył go na jej delikatny palec.

– Najlepszy pierścień, jaki kiedykolwiek sprzedałem.

– Byłeś wówczas bardzo skromnym domokrążcą.

– Gorzej, byłem żebrakiem, ale żebrakiem z silną wolą. Uderzył się w pierś.

– Teraz jesteś bardzo bogaty.

– A czy bogactwa to wszystko, o Pani? Czy dają szczęście? Cóż, jeśli mam być szczerzy, przynajmniej zapewniają człowiekowi okropnie beztroskie życie. Moja sytuacja, przyznaję, jest lepsza niż położenie większości zwykłych ludzi.

Jego śmiech był beztroski. Jedną grubą nogę swobodnie przełożył przez skraj stołu i wzniosł puchar, spełniając toast na cześć królowej, taksując ją oczyma.

Królowa królowych spojrzała mu prosto w oczy. Kapitan polarny spuścił wzrok w obronie przed wstrząsem bardzo zbliżonym do osłupienia z zachwytu. Przez jego ręce przewinęło się nieomal tyle dziewcząt, co lodu; lecz wobec piękności królowej czuł się bezbronny.

Rozmawiali o rodzinie kapitana. Myrdeminggala wiedziała, że ma on mądrą córkę oraz głupiego syna i że Diw, ów głupi syn, przejmuje handel lodem z dniem przejścia ojca w stan spoczynku. Ten dzień uległ odroczeniu. Wprawdzie Muntras odbył swój pożegnalny rejs już półtora tennera temu, w czasie Bitwy Kosgatckiej, jednak pożegnalny rejs nie okazał się pożegnalny – Diw potrzebował dalszych nauk. Wiedziała, że polarny kapitan ma miękkie serce dla głuptasa. A przecież sam Muntras jako chłopak został wyrzucony z domu i musiał zarabiać pieniądze żebranią i domokrażstwem, aby jego własny surowy ojciec przekonał się, że może spokojnie przekazać jednookrętowy handel lodem w godne synowskie ręce. Nie nudziły jej te poznane już kiedyś historie.

– Miałaś ciekawe życie – zauważyła.

Musiało mu się przywidzieć, że usłyszał w tym ukrytą jakby przyganę, zrobił bowiem niewyraźną minę. Pokrywając zakłopotanie klepnął się po nodze.

– Przyznaję bez wstydu, że fortuna mi sprzyja w czasach, gdy odwróciła się od większości ludzi.

Patrzyła w jego szczerze oblicze, jak gdyby rozważając, czy kapitan zdaje sobie sprawę, że i ona należy do owej większości, ale tylko zapytała ze zwykłym sobie spokojem:

– Kiedyś słyszałam od ciebie, że zaczynałeś interes z jednym okrętem. Ile masz ich teraz, kapitanie?

– Tak, Najjaśniejsza Królowo, mój stary ojciec zaczął od zaledwie jednej starej krypy, którą dostałem w spadku. Dziś ja przekazuję mojemu synowi flotę dwudziestu pięciu okrętów. Szybkie pełnomorskie kutry, kecze, hukery i dogery, doskonałe w lawirowaniu po rzekach i w żegludze przybrzeżnej, wszystkie przystosowane do transportu. Widać tu korzyści z handlu lodem. Im goręcej, tym na rynku wyższa cena za świeżutki blok lordrardryjskiego lodu. Im gorsza koniunktura dla innych, tym lepsza dla mnie.

– Lecz twój lód topnieje, kapitanie.

– Nie da się ukryć, a ludzie dowcipkują sobie na ten temat, ile wlezie. Ale lód lordrardryjski, najczystszy lód z żywego lodowca, topnieje wolniej niż inne lody innym handlarzom.

Cieszył się z jej obecności, lecz jego uwagi nie umknął jakiś utajony w królowej smutek, jakże obcy usposobieniu Myrdeminggali.

– Ujmę to inaczej. Jesteście, Najjaśniejsza Pani, gorliwą wyznawczynią wiary Waszego kraju, więc nie muszę Warn przypominać o zbawieniu. Otóż mój lód jest jak zbawienie. Im go mniej, im bardziej go brakuje, a lodu brakuje coraz bardziej, tym wyższą ma cenę. Moje statki żeglują teraz z Dimariamem hen przez Morze Orłów, Takissą i Valvorałem w górę do Matrassyłu i Miasta Oldorando, jak również wzdłuż wybrzeży do Kiwazji i portów strasznych assatanów.

Uśmiechnęła się, chyba bez nadmiernej przyjemności słuchając, jak miesza religię z handlem.

– Cóż, miło mi usłyszeć, że komuś się dobrze wiecie w złych czasach. Nie zapomniała chwili, kiedy będąc jeszcze małą dziewczynką bawiła po raz pierwszy w Oldorando i zeszła się z Dimariamczykiem na bazarze. Był w łachmanach, lecz z uśmiechem na twarzy, i z wewnętrznej

kieszeni dobył najpiękniejszy pierścień, jaki kiedykolwiek oglądały dziewczęce oczy. Od swej matki, Szannany, wzięła pieniądze. Nazajutrz wróciła na bazar, by kupić klejnot, i nie rozstawała się z nim od tamtej pory.

– Przeplaciłaś, Pani, ten pierścionek – rzekł Krillio Muntras – a ja, z zyskiem wróciwszy do domu, kupiłem lodowiec. Odtąd wciąż jestem Waszym dłużnikiem. – Roześmiał się i ona też się roześmiała. – Mówiąc o długu, Najjaśniejsza Królowo, nie przybywasz tutaj potargować się o cenę lodu, jako że lód dostarczam za pośrednictwem marszałka dworu. Czy mogę Warn oddać jakąś przysługę?

– Jestem w kłopotliwym położeniu, kapitanie Muntras, i potrzebuję pomocy.

Nagle stał się ostrożny.

– Nie chciałbym jedynie, jako cudzoziemiec, utracić królewskiego przywileju na prowadzenie tu handlu. Wszystko inne...

– To zrozumiałe. Proszę tylko o uczciwość, a tej mi z pewnością nie odmówisz. Chciałabym, abyś doręczył mój list – potajemnie. Wymieniłeś Kiwazję na granicy z Randonanem. Czy możesz mi uczciwie obiecać, że dowieziesz mój list pewnemu oficerowi, który z naszą Drugą Armią walczy w Randonanie?

Wyraził oblicze Muntrasa tak sposępniało, że aż policzki mu stężyły wokół ust.

– Na wojnie wszystko jeàci niepewne. Dochodzą wieści, że borlieńska armia cienko przędzie, Kiwazjaci też. Lecz... Lecz... dla Was, Pani Królowo... Moje okręty chodzą w górę rzeki Kacol, za Kiwazję, aż po Ordeleję. Tak, mógłbym stamtąd pchnąć gońca. Pod warunkiem, że to nie będzie zbyt niebezpieczne. Trzeba mu zapłacić, rzecz jasna.

– Ile? Zastanowił się.

– Mam chłopaka, który by to zrobił. Młodość nie boi się śmierci. Wymienił cenę. Zapłaciwszy bez targów wręczyła mu kopertę z listem do generała TolramKetineta. Muntras raz jeszcze pokłonił się nisko.

– Będę zaszczycony czyniąc to dla ciebie, Pani. Najpierw muszę dostarczyć ładunek do Oldorando. Cztery dni w górę rzeki, dwa postoju i dwa na powrót. Razem tydzień. Za tydzień wracam tutaj, a stąd już na południe prosto do Ottassolu.

– Taka zwłoka! Czy musisz najpierw popłynąć do Oldorando?

– Muszę, Pani. Handel to handel.

– Trudno, zrobisz, jak musisz, kapitanie Muntras. Ale nie zapomnisz, że to sprawa najwyższej wagi i ściśle tajna, tylko między nami? Wywiąż się sumiennie z tej misji, a dopilnuję, by nie ominęła cię nagroda.

– Nagrodą jest możliwość służenia tobie. Pani Królowo. Już po rozstaniu i po jeszcze jednym kielichu orzeźwiającego wina nabrała otuchy i niemal radośnie przebyła drogę powrotną do pałacu, w towarzystwie swej damy dworu, siostry generała, do którego podążył list. Mogła mieć nadzieję, cokolwiek by król postanowił.

Wiatr trząskając drzwiami i rozwiewał zasłony w całym pałacu. Z pobladałą twarzą JandolAnganol wysłuchiwał swych kościelnych doradców. Na koniec jeden z nich rzekł:

– Wasza Królewska Mość, to jest święta sprawa i my wierzymy, że w głębi serca już podjęliście decyzję. Zawrzecie to nowe przymierze ze zbożnych pobudek, a my Was za to będziemy błogosławić.

– Jeśli zawrę to nowe przymierze, to postąpię nikczemnie i z nikczemnych pobudek.

– Nic podobnego, Wasza Królewska Mość! Królowa spiskowała ze swoim bratem przeciwko Sibornalowi i musi ponieść karę.

Jeszcze trochę, a i on uwierzy w kłamstwa, które sam puścił w obieg; wymysł jego starego ojca obecnie stał się wspólnym dobrem, niczym puchar trucizny krążący wśród nich z rąk do rąk.

Przybyli z obcych stron mężowie stanu wyczekiwali oświadczenia króla w gościnnych komnatach, narzekając na niewygody nędznego pałacyku i na nędzną gościnę. Doradcy wiedli spory między sobą, zawistni o własne korzyści, lecz w jednej kwestii zgodni: że jeśli weźmie król rozwód z królową i pojmie Simodę Tal za żonę, należy wrócić do problemu wielkiej populacji fagorzej w Borlien. W starych annałach przetrwała wieść o tym, jak hordy ancipitów kiedyś spadły na Oldorando, pałac je ze szczętem. Dawna nienawiść nigdy nie wygasła. Rok za rokiem zmniejszano liczebność fagorów. Trzeba, żeby Borlien obrało tę samą linię postępowania. Z Simodą Tal i jej ministrami u boku JandolAnganola można by wywierać większy nacisk w tej sprawie. A zniknięcie Myrdeminggali z jej miękkim sercem ułatwi organizowanie halali. Jednak był jeszcze król, a jaka będzie decyzja króla?

Parę minut po godzinie czternastej król stał nagi w górnej komnacie. Ogromne cynowe wahadło dostojnie kołysało się na ścianie, odmierzając tykaniem sekundy. Na przeciwległej ścianie wisiało ogromne zwierciadło z polerowanego srebra. Po kątach dziewczki służebne kryły się w cieniu, czekając z królewskimi szatami, w które miały ubrać władcę. Pomiedzy wahadłem a zwierciadłem JandolAnganol stał albo chodził tam i z powrotem. Bijąc się z myślami to wodził palcem po długiej bliźnie na udzie, to chwycił się za długi, jaśniejszej barwy członek, to oglądał w lustrze swoje krwawe nabożne pręgi, biegnące mu w dół od łopatek po szczupłe pośladki. Zmełł w ustach przekleństwo na widok owych chudych, oćwiczonych pleców. W każdej chwili mógł kazać dyplomatom pakować manatki; wściekłość i khmir w pełni dojrzały w nim do takiego kroku. W każdej chwili mógł porwać w objęcia najdroższą mu istotę – królową – i wycisnąć gorące pocałunki na jej wargach, i ślubować, że nic ich nigdy nie rozłączy. Albo mógł uczynić coś wręcz przeciwnego – i zostać nikczemnikiem we własnym sumieniu, a świętym w oczach tłumu, świętym, który bez wahania rzuca wszystko dla dobra kraju.

Wśród tych, co obserwowali króla z daleka, byli i tacy, jak Finowie – znawcy drzewa genealogicznego rodziny królewskiej, którzy utrzymywali, że decyzja zapadła poza królem i w zamierzchłej przeszłości. Mieli zapisaną historię królewskiej rodziny od jej początków szesnaście pokoleń wstecz, od czasów, kiedy Kampaniat prawie w całości leżał pod śniegiem, od dalekiego przodka króla, AozroOna, lorda osady zwanej Oldorando. W tym rodzie występował nieuchwytny dla potomków wątek waśni pomiędzy ojcem a synem, w pewnych pokoleniach utajonej, ale nigdy nie wygasłej. Zarzewie owej waśni tliło się w głębi duszy JandolAnganola tak głęboko, że on sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Pychą maskował jeszcze starszą pogardę dla samego siebie. Z pogardy dla siebie obrócił się przeciwko najbliższym przyjaciółom i przestawał z fagorami; to wyobcowanie sięgało korzeniami dziecięcych lat, ukryte, ale nie martwe, i właśnie miało dojść do głosu. Król gwałtownie odwrócił się od lustra, od widmowej postaci zaklętej w srebrze, i przywołał dziewczki. Dał się ubrać, wzniosłszy ramiona.

– Moją koronę – rzekł, gdy szcztokowały jego faliste włosy.

Ukarze czekających dygnitarzy, kopiąc między sobą a nimi jeszcze większą przepaść.

Kilka minut później wyrwani z nudy dygnitarze rzucili się do okien na odgłos maszerujących kroków. Wytrzeszczyli z góry oczy na wielkie kudłate łby zwieńczone połyskującymi rogami, na krzepkie ramiona i potężne torsy, na kopyta, które głośno dudniły, i na rynsztunki, które skrzypiały przy każdym kroku. Defiladowy krok Królewskiej Pierwszej Gwardii Fagorzej stanowił widok przyprawiający większości ludzi o dreszcz, ze względu na osobliwą wieloosiowość ancipitalnych stawów łokciowych i kolanowych, która umożliwiała ruch przedramion i goleni w dowolnej płaszczyźnie. Marsz był niesamowity, z nieprawdopodobnym złożeniem w przód nogi do wykroku. Padła komenda sierżanta. Plutony zatrzymały się, przechodząc z marszu w natychmiastowy stan bezruchu, charakterystyczny dla fagorów. Skwarny wiatr mierzwił kosmyki fagorzej sierści.

Wystąpiwszy z szyku król wmaszerował do pałacu. Dostojni goście niespokojnie zerkali po sobie, podejrzewając zamach na swe życie. JandolAnganol wkroczył na salę. Przystanął, mierząc wszystkich spojrzeniem. Jeden za drugim zrywali się na nogi. Król przedłużał milczenie, jak gdyby słowa uwięzły mu w gardle. Wreszcie przemówił.

– Stawiacie mnie przed trudnym wyborem. A niby czemu miałbym się wahać? Ślubowałem uroczyście służyć nade wszystko memu krajowi. Postanowiłem odłożyć moje prywatne uczucia na bok. Odprawię królową Myrdeminggalę. Królowa uda się dzisiaj na wygnanie do nadmorskiego pałacu. Jeśli Święty Kościół Pannowalski, któremu służę, udzieli mi rozwodowej dyspensy, rozwiodę się z królową. I poślubię Simodę Tal z dynastii oldorandzkiej.

Rozległy się oklaski i pomruki uznania. Twarz JandolAnganola pozostała bez wyrazu. Kiedy ruszyli z gratulacjami, obrócił się na pięcie i wyszedł, zanim do niego podeszli. Torakorkan zatrzasnął za królem drzwi.

VIII. OKO W OKO Z MITOLOGIA

Bilo Xiao Pin miał okrągłe oblicze i także, z grubsza biorąc, oczy i nos. Nawet usta miał okrągłe niby pączek róży. I żółtą, gładką skórę. Dotychczas tylko raz opuścił Avernusa, kiedy to w gronie najbliższych krewnych z rodu Pinów wybrał się na oblot Hipokreny. Był z Bila skromny, lecz stanowczy młodzieniec, dobrze ułożony, jak wszyscy członkowie jego rodu, i jak powszechnie sądzono, można mu było zaufać, że swoją śmierć przyjmie ze spokojem. Liczył dwadzieścia jeden ziemskich lat, czyli nieco ponad czternaście według helikońskiej rachuby czasu.

Mimo że Helikońską Loterią Wczasową rządził przypadek, to panowała ogólna zgoda – przynajmniej w tysiącosobowym klanie Pinów – że Bilo jest idealnym kandydatem do nagrody. Po ogłoszeniu wygranej Bila kochający klan zafundował mu wycieczkę po Avernusię. Bilowi towarzyszyła jego aktualna przyjaciółka, Róża Yi Pin.

Ruchome korytarze satelity były dla podróżnych drogą w nieznane, na której często dopadały ich tajfuny lub inne ożywione kreacje komputera, nierzadko złośliwej natury. Avernus krążył po swej orbicie od trzech tysięcy dwustu sześćdziesięciu dziewięciu lat; wszelkie dostępne środki wprzęgnięto do walki z zagrażającą jego mieszkańcom śmiertelną chorobą – letargiem.

Bilo z grupą przyjaciół wypoczywał w górskim kurorcie. Sypiali w drewnianym szałasie powyżej narciarskich szlaków. Ludzie kiedyś zakładali takie sztuczne ośrodki rekreacyjne w prawdziwych ziemskich miejscowościach wypoczynkowych; tutaj, poddane metamorfozie, imitowały one tereny helikońskie. Gromadka Bila czuła się tak, jakby wyjechała na narty w Wysoki Nktryhk.

Potem żeglowali po Morzu Gorejącym, na wschód od Kampanniatu. Wypływając z jedynej przystani na tysiąc milowym brzegu morskim, widzieli za sobą odwieczne klify Mordriatu, które z pian strzelały na wysokość prawie sześciu tysięcy stóp i tonęły koroną w chmurach. Z góry wodospad Bułata spadał, zawisał i znów spadał w ponad milowym locie ku rozhukanej toni.

I choć doznania były przyjemne, w umyśle zawsze pozostała świadomość, że wszelkie niebezpieczeństwo, każdy najodleglejszy horyzont, wszystko uwięzione jest w wymiarach lustrzanej sali, najwyżej osiemnaście stóp na dwanaście.

Bilo Xiao Pin samotnie udał się do swego guru, siadając przed nim w pozycji Pokory.

– Milczenie streszcza długie rozmowy – rzekł guru. – Szukając życia znajdujesz śmierć. Jedno i drugie jest iluzją.

Bilo wiedział, że guru nie pochwała jego odejścia z Avernusa, nie pochwała z tej głębokiej przyczyny, że boi się widma dynamizmu. Tkwił po uszy w nieprzejednanym iluzjonizmie, wyniesionym do rangi obowiązującej filozofii. W młodości napisał stuzgłoskową rozprawkę wierszem, pod tytułem O trwaniu jednej helikońskiej pory roku ponad długość jednego życia ludzkiego. Ta rozprawka zrodziła się z ducha iluzjonizmu i ugruntowała jego panowanie na Avernusię. Bilo nie był intelektualnie przygotowany do walki z tą filozofią, ale żywił do niej nienawiść, którą teraz, tuż przed porzuceniem stacji, ośmielił się wyrazić w słowach.

– Ja muszę pożyć w prawdziwym świecie, zaznać prawdziwej radości, odczuć prawdziwy ból. Choćby przez krótką chwilę muszę powspinać się na prawdziwe góry i deptać bruk prawdziwych ulic. Muszę spotkać ludzi, których losy są prawdziwe.

– Wciąż nadużywasz tego zdraдлиwego słówka "prawdziwy". Świadectwo naszych zmysłów jest świadectwem jedynie dla naszych zmysłów. Rozum kieruje się gdzie indziej.

– Tak. No właśnie. Ja też kieruję się gdzie indziej.

Lecz chorobliwy umysł nie wie, gdzie się zatrzymać. Starzec dalej głosił swoje nauki. Bilo dalej

słuchał z pokorą. Starowina był przekonany, że za tym wszystkim stoi seks. Że Bilo ma zmysłową naturę, której trzeba wędziła. Bilo wyrzeka się Róży, aby uganiać się za królową Myrdeminggala – owszem, guru wie o tych jego skrytych pragnieniach. Bilo pragnie stanąć twarzą w twarz z królową królowych. Czcza idea. Róża nie jest czczą ideą. To, co prawdziwe – by użyć tego słowa – należy znajdować nie na zewnątrz, ale wewnątrz tajemnicy osobowości: w przypadku Bila, w osobowości Róży, być może. Istnieją też inne względy.

– Mamy pewną misję do spełnienia, misję, z jaką nas wysłała Ziemia Wierzycielka. Z pełnienia tej misji czerpiemy najgłębszą satysfakcję. Na Helikonii zatracisz misję i miejsce w społeczeństwie.

Bilo Xiao Pin ważył się podnieść i utkwić wzrok w starym guru. Skurczona postać zastygła w swej pozie, każdym wydechem oddając brzemień ciała podłódze, każdym wdechem unosząc głowę ku sufitowi. Nic jej nie mogło poruszyć, nawet strata ulubionego ucznia. Niestrudzone kamery rejestrowały obraz i słowo, przekazując wszystko dla tych z sześciu tysięcy Avernusjan, którym przysłała ochota przełączyć programy na tę scenę. Odosobnienie nie istniało.

Zaglądając w małpio rozumne oczy. Bilo rozumiał, że jego guru stracił wiarę w istnienie Ziemi.

Ziemia! – temat nie kończących się rozmów Bila z rówieśnikami, przedmiot nigdy nie zaspokojonej ciekawości. Jednak dla guru i setek jemu podobnych Ziemia stała się pewnym ideałem – projekcją jaźni ludzi żyjących na pokładzie stacji. Głos guru formułował swoje puste prawdy, a Bilowi zdawało się, że słyszy w nim również niewiarę w obiektywną prawdziwość Helikonii. Starcowi w kokonie sofistycznej argumentacji, która ukształtowała jakże istotne zręby życia intelektualnego stacji, Helikonია jawiła się jako projekcja, czysta hipoteza.

Główna wygrana loterii miała przeciwdziałać temu uwiądowi mózgow. Początkowe nadzieje avernusjańskie, magicznymi drózkami ześrodkowane wokół ogromnego obiektu obserwacji, który odkrywał w dole swoje pory roku – te nadzieje umierały w pokoleniach za pokoleniami, dopóki przymusowe więzienie nie stało się więzieniem dobrowolnym. Bilo musi odejść i umrzeć, aby inni mogli żyć. Musi odejść tam, gdzie owa krowiooka królowa stawiała swym ciałem opór podmuchom torakorkanu, wspinając się do pałacu.

Wreszcie guru zrobił przerwę w wykładzie. Bilo skorzystał z okazji.

– Dzięki stokrotne za tyle troski, mistrzu.

Ukłon. Wyjście. Głębszy oddech.

Pożegnanie Bila z Avernusem zostało wyreżyserowane jako wielkie wydarzenie. Każdy głęboko przeżywał jego odlot. To był bezsporny dowód, że Helikonია istnieje naprawdę. Sześciu tysiącom ludzi coraz trudniej przychodziło żyć w wyobraźni poza stacją, mimo tych wszystkich urządzeń, jakie wymyślono dla podtrzymania w ludziach owej zdolności. Wygrana stanowiła wartość najwyższą nawet dla przegranych.

Róża Yi Pin podniosła wdzięczną twarzyczkę ku twarzy Bila i po raz ostatni oplótła go ramionami.

– Wierzę, że będziesz wiecznie żył tam w dole, Bilo. Starzejąc się i brzydząc będę patrzeć na ciebie. Tylko się trzymaj z daleka od ich głupich religii. Tu wszyscy jesteśmy przy zdrowych zmysłach. Tam w dole wszyscy mają kuku na muniu na punkcie religijnych fantazji – nawet ta twoja przepiękna królowa.

Pocałował ją w usta.

– Ciesz się swoim uporządkowanym życiem. Głowa do góry. Nagle porwała ją złość.

– Dlaczego niszczysz moje życie? Co to za porządek, w którym ciebie nie będzie?

Pokręcił głową.

– To już musisz sobie sama wykoncypować.

Zautomatyzowany statek czekał, aby go zabrać z czyścica do raj. Bilo przełazi służą do maleńkiej

kapsuły, której drzwi zamknęły się za nim z sykiem. Poczował strach; zapiął się w fotelu pasami i rozkoszował tym uczuciem. Miał wybór, czy lecieć z osłonami na oknach, czy bez. Wcisnął guzik. Osłony poszły w górę i ukazał mu się czarodziejski wieloryb w całej krasie, w chwili gdy odtrącał go od swej piersi. Pasma przedziwnych gwiazd biegło w dal, jak odkos warkocza komety. Baraniejąc Bilo uprzytomnił sobie, że widzi wyrzucone z Avernusa nie przerobione odpadki, które w charakterze gwiazd weszły na orbitę stacji. Jej ogrom, jej osiemnaście milionów ton na chwilę przesłoniło mu pole widzenia; w następnej chwili Avernus ją się kurczył w oczach i Bilo zapomniał o jego istnieniu. Wszystko wypełnił obraz Helikonii, znajomy jak odbicie własnej twarzy w lustrze, lecz oglądany bardziej bez osłonek; chmury płynęły po oświetlonym sierpie planety, a półwysep Pegewin przypominał maczugę ciśniętą w centralne morze. Ogromna południowa czapa lodowa lśniła oślepiająco.

Kiedy okna pociemniały dla ochrony przed blaskiem, poszukał wzrokiem pary słońc z układu podwójnego. Bataliksa, bliższy składnik gwiazdy podwójnej, schowała się za Helikonią, w odległości zaledwie 1,26 jednostki astronomicznej od planety. Za zmatowiałym szkłem okna Freyr jawił się jako szara kula, potwornie jasna, choć oddalona o 240 jednostek astronomicznych. W odległości 236 jednostek astronomicznych Helikonią przejdzie przez peryhelium, punkt przysłoneczny orbity, położony najbliżej Freyra; od tego wydarzenia dzieli planetę tylko sto osiemnaście ziemskich lat. Po czym Bataliksa wraz z planetami odpłynie po swej orbicie, by przez następne dwa tysiące pięćset dziewięćdziesiąt dwa ziemskie lata nie pojawić się tak blisko głównego składnika układu.

Te astronomiczne wielkości poznał Bilo Xiao Pin w wieku trzech lat wraz z abecedą i traktował je jako uporządkowany diagram. Teraz miał wylądować w tym punkcie diagramu, który był pogrążony w chaosie biegu wydarzeń, przełomów i prób sił. Krągłe oblicze Bila wydłużyło się na tę myśl. Pod wieloma względami Helikonią pozostawała zagadką, mimo stałej obserwacji w tak drugim okresie. Bilo wiedział, że planeta przeżyje peryhelium, że temperatury na równiku podskoczą do osiemdziesięciu czterech stopni, lecz nie więcej, że Helikonią ma nadzwyczajny, przynajmniej tak sprawny jak Ziemia, system homeostatyczny, utrzymujący możliwie trwałe stan homeostatycznej równowagi. Nie podzielał zabobonnych lęków chłopstwa przed pożarciem przez Freyra, aczkolwiek rozumiał źródło takiej trwogi. Jednego nie wiedział: które z licznych narodów przeżyją próbę upału. Najbardziej zagrożone były tropikalne krainy, jak Borlien i Oldorando.

Avernus krążył po orbicie i prowadził obserwacje od zimy ubiegłego Wielkiego Roku. Raz już oglądano z góry powolny pochód Wielkiej Zimy przez planetę, oglądano śmierć milionów i upadek narodów. Przyszłość pokaże, czy to wszystko dokładnie się powtórzy w odległej na razie jeszcze zimie. Ziemska Stacja Obserwacyjna i jej sześć rodów miały przed sobą następne długie czternaście ziemskich stuleci do rozwikłania tajemnicy.

Tej budzącej nabożny lęk planecie zaprzedał Bilo swoją duszę. Zadrżał na całym ciele. Miał przyjąć ten świat za swój, miał się na nim narodzić.

Dwukrotnie okrążywszy planetę statek wytracił prędkość i wylądował na płaskowyżu, na wschód od Matrassylu. Bilo wstał z fotela i zamienił się w słuch. Brak tchu w piersi wreszcie mu przypomniawszy, że trzeba oddychać. Wraz z Bilem wylądował jego anioł stróż, obronny android. Avernusjanie mieli świadomość własnej słabości. Uznano, że Bilo, owoc pokoleń miękkich ludzi, musi mieć ochronę. Android był zaprogramowany do walki. Nosił broń do odparcia ataku. Wymodelowany był na kształt człowieka, a nawet przypominał Bila z twarzy, całkiem wiernie, jeśli pominąć jej mimikę: zmieniała swój wyraz ospale, sprawiając wrażenie wiecznie nachmurzonej. Bilo go nie lubił. Spojrzał na androida, który wyczekująco stał wpasowany we wnękę.

– Zostań na miejscu – rzekł Bilo. – Wracaj ze statkiem na Avernusa.

– Potrzebujesz mojej ochrony – rzekł android.

– Jakoś poradzę sobie. To już moje życie.

Wydusiwszy przycisk opóźniacza włączył automatyczny start po upływie godziny. Po czym uruchomił drzwi i wygramolił się z pojazdu. Stojąc na powierzchni upragnionej planety wdychał jej wonie, chłonał jej muzykę obcych mu dźwięków. W płucach czuł ciężar nie przefiltrowanego powietrza. W głowie mu się kręciło. Podniósł wzrok. W górze jak okiem sięgnąć rozpościerał się najpiękniejszy z błękitów, głęboki, nieskazitelny błękit nieba. Bilo był przyzwyczajony do spoglądania w przestrzeń kosmosu; niebiosa paradoksalnie wyglądały na rozleglejsze. Spojrzenie tonęło w nich bez końca. Niebieski parasol przykrywał żywy świat, będąc jego największym cudem. Na zachodzie, w aureolach z brązu i złota schodziła z nieboskłonu Bataliksa. Trzykrotnie od niej mniejszy Freyr płonął oślepiającym blaskiem niemal w zenicie. Ze wszystkich stron oblewał Freyra bezkresny ocean błękitu, pierwszy obraz Helikonii oglądanej z kosmosu i nieomylny zwiastun zyciorodności planety. Nie zrodzona na niej żywa istota spuściła głowę i przetarła dłonią oczy.

Opodal rośło w kępie pięć drzew, obwieszonych grubymi lianami. Bilo dobrnął do nich idąc tak, jak gdyby siłę ciężenia wymyślono przed chwilą i ku jego utrapieniu. Wpadł na pierwsze z brzegu drzewo, obejmując pień i cierniami klując sobie dłonie. Nie bacząc na nic przywarł do pnia z całej siły i zamknął oczy, i tylko się wzdrygał przy każdym podejrzanym odgłosie. Nie mógł zrobić ani kroku. Łzy popłynęły mu z oczu, gdy usłyszał, jak statek odlatuje w drogę powrotną do macierzystej stacji. Ten świat był aż za bardzo prawdziwy. Przenikał wszystkie zmysły. Kurczowo obejmując drzewo, a potem leżąc na ziemi, w ukryciu za obalonym pniem, Bilo oswajał się z doznaniem obecności na przeogromnej planecie. Odległe obiekty, zwłaszcza obłoki i pasma wzgórz, przerażały go zapowiedzią dali i – nie da się zaprzeczyć – prawdziwości. Równie zatrwające były te wszystkie drobne, nieobliczalne w swych upodobaniach stworzonka, te całe gromady istot nie istniejących na pokładzie Avernusa. Z udręką spoglądał, jak mały skrzydlatek siadał mu na wierzchu lewej dłoni, skąd już pieszą wspinaczką zalał na rękaw. Co najbardziej niepokoiło, to świadomość, że ta cała czereda jest poza wszelką kontrolą; nie istniał guzik, za którego pociśnięciem można by ją okiełznać. I jeszcze problem słońce – coś, o czym nigdy by nie pomyślał. Światło i ciemność na Avernusię były sprawą przede wszystkim nastroju; tutaj nie miało się wyboru. Półdzień ustępował miejsca nocy i Bila po raz pierwszy obleciał pierwotny strach rodzaju ludzkiego. Dawno, dawno temu ludzie ze strachu przed ciemnością zbijali się w gromady. Powstały miasta, z miast powstały metropolie, wreszcie ludzie sięgnęli kosmosu;

teraz Bilo miał wrażenie, że stoi na początku tej drogi.

Przeżył noc. Mimo woli zapadł w sen i obudził się cały i zdrowy. W trakcie swej codziennej zaprawy porannej powoli odzyskiwał równowagę ducha. Przyszedł do siebie na tyle, by opuścić kryjówkę w kępie drzew i radować się porankiem. Zaspokoivszy głód i pragnienie zabranym na drogę prowiantem, pomaszerował w kierunku Matrassylu.

Z uszami pełnymi ptasich treli szedł leśną ścieżką, gdy nagle pochwycił odgłos stąpania za sobą. Obrócił się. Fagor stanął na ścieżce jak wryty, o parę kroków od niego. Fagory stanowiły częśćkę avemusjańskiej mitologii. W stacji wszędzie spotykało się ich podobizny i modele. Ten był jednak żywy, z krwi i kości. Żuł coś, gapiąc się na Bila, z grubej dolnej wargi ściekała mu ślina. Masywne cielsko okrywał jednocześnie przyrodziewek, tu i ówdzie w żółtych plamach. Podobnie zażółcone kępy długiej sierści nadawały ancypicie chorobliwy wygląd. Na ramieniu zawiązał sobie martwego węża – zapewne świeżą zdobycz. W dłoni trzymał zakrzywiony nóż. Nie był ani stylizowaną repliką muzealną, ani misiaczką dla dziecka. Podeszedł bliżej roztaczając zjełczały zapach, od którego kręciło się w głowie. Bilo spojrział Pagórowi prosto w oczy.

– Przepraszam – rzekł powoli w hurdhu – któreśy się idzie do Matrassylu?

Fagor żuł zapamiętałe. Chyba żuł jakiś szkarłatny orzech; sok tej właśnie barwy pryskał mu z ust.

Kropła spadła na Bila Xiao Pina. Otarł ją z policzka.

– Matrassyl – powtórzył fagor, wymawiając to słowo twardo, jak Madrazzyl.

– Tak. W której stronie jest Matrassyl?

– Tak.

Nie można było określić, co czaiło się w spojrzeniu wiśniowych oczu – potulność czy żądza mordy. Odrywając od nich wzrok Bilo odkrył, że w pobliżu stoją dalsze fagory, niczym krzaki w ulistnionym cieniu.

–, Czy rozumiesz to, co mówię?

Mówił zdania żywcem wzięte z rozmówek. Oszłamiała go nierealność tej sytuacji.

– Zabranie na miejsce jest w mocy.

Trudno oczekiwać sensownej odżywki od istoty obdarzonej naturalną siłą ekspresji głazu, lecz Bilowi nie pozostał nawet cień wątpliwości co do zamiarów rozmówcy. Fagor posuwicie ruszył naprzód, popychając Bila przed sobą. Bilo podążył ścieżką. Reszta kompanii dotrzymywała im kroku, tratując zarośla. Wyszli na pofałdowany stok. Tu dżungla została przerzedzona, trochę drzew zrąbano, a wałęsające się wokoło świnię zadbały już o to, by nic nie wybujało zbyt wysoko. Wśród byle jak rozgrzebanych zagonów stały chaty, a właściwie strzechy na drągach. Masywne osobniki leżały pokotem, jak bydło, w cieniu tych strzech. Popodnosiły się i wyszły na spotkanie nowo przybyłych, z których jeden zadał w rożek, oznajmiając powrót furazerów. Bila obiegły samce i samice ancipitów, bykuny, czabany, gildy i młodki pożerały go oczyma. Niejeden miodek biegał na czworakach. Bilo przyjął pozycję Pokory.

– Jestem w drodze do Matrassylu – rzekł.

Absurdalność własnych słów rozśmieszyła Bila; musiał zapanować nad sobą, by nie dostać ataku hysterii, lecz głośny wybuch śmiechu sprawił, że fagory się cofnęły.

– Kzahn niższy ma bliskość do inspekcji – powiedziała gilda, dotykając ramienia Bila i ruchem głowy wskazując kierunek.

Poszedł za nią przez kamienistą kotlinkę, a cała banda pociągnęła za nimi. Wszystko, co mijał – od delikatnych pędów roślin po krągłe głazy – było twardsze, niż sobie kiedyś wyobrażał. Pod daszkiem przy niskiej ścianie kotliny spoczywał stary fagor, złożywszy w nieprawdopodobny sposób ramiona. Płynnym ruchem siadł prosto i okazał się sędziwą gildą o sterczących zwiędłych wymionach i sierści przetykanej czarnym włosem. Z jej szyi zwisał sznur wypolerowanych pestek gwing-gwinek. Miała naczółek jako oznakę rangi. To ona była kzahnem niższym. Nie wstając podniosła na Bila spojrzenie. Rzuciła jakieś pytanie, jedno, drugie.

Bilo terminował w wielkim socjologicznym klanie Pinów, i to nie najpilniej. Pracował w zespole badającym ród Anganolów, pokolenie po pokoleniu. Wśród uczeńszej starszyny Bila byli tacy, którzy na wylot znali żywoty antenatów obecnego króla, począwszy od poprzedniej wiosny, czyli jakieś szesnaście pokoleń temu. Bilo Xiao Pin władał olonetem, głównym językiem Kampanniatu i Hespagoratu, a także paroma jego dialektami, łącznie z praolonetem. Lecz nawet nie liznął języka ancipickiego, archaika, ani dostatecznie nie opanował hurdhu, którym mówił kzhan niższy i którym w owych czasach porozumiewali się ze sobą człowiek i fagory.

– Nie rozumiem – odparł w hurdhu, a kiedy został przez nią zrozumiany, poczuł się tak dziwnie, jak gdyby z prawdziwego świata wkroczył w jakiś niezwykły świat baśni.

– Ja mam zrozumienie o twoim przybyciu z dalekiej okolicy – powiedziała, tłumacząc z własnej, przeładowanej rzeczownikami mowy na hurdhu. – Gdzie położenie tej dalekiej okolicy?

Kto wie, czy nie widzieli lądowania kapsuły. Czyniąc nieokreślony ruch ręką, wyrecytował wcześniej przygotowaną formułkę:

– Przybywam z dalekiego Morstrualu, z miasta, w którym jestem kzhnem. – Niczym nie ryzykowałam, Morstrual bowiem leżał jeszcze dalej niż Mordriat. – Wynagrodzę twych poddanych, jeśli– mnie zaprowadzą do króla JandolAnganola w Matrassylu.

– Król JandolAnganol?

– Tak.

Znieruchomiła, ze spojrzeniem utkwionym w dal. Siedzący przy niej bykun podał gildzie skórzany bukłak, z którego pociągnęła, śliniąc się i rozlewając płyn po brodzie. Napój miał ostrą alkoholową woń. Aha – pomyślał Bilo – fuzela, niezdrowy trunek destylowany przez ancipitów. Natknął się więc na biedny szczep fagorów. I oto tu jest, wspaniale sobie radząc z tymi zagadkowymi stworzeniami, a z Avernusa wszyscy jak jeden patrzą na niego przez układy optyczne. Nawet stary guru. Nawet Róża.

Upał i krótki marsz w nierównym terenie wyczerpały Bila. Jednak nie tyle ze zmęczenia, co z wyrachowania przysiadł na płaskim kamieniu, szeroko rozstawił nogi, oparł się łokciami na kolanach i nonszalanckim spojrzeniem mierzył rozmówczynię. Naj niezwykłej sze wydarzenie staje się najzwyczajszym, jeśli nie ma alternatywy.

– Ancipitalna rasa nosi mnóstwo włóczni na świętą wojnę króla JandolAnganola.

Umilkła. Za jej plecami ział wylot jaskini. W ciemnej czeluści żarzyły się bladoróżowe oczy. Bilo odgadł, że tam są składani plemienni przodkowie. poprzez uwięź zapadający się w stan czystej keratyny. Będąc przodkiem i bożkiem zarazem, każdy taki żywy trup fagora służył swym potomkom radą w ciężkich stuleciach panowania Freyra.

– Synowie Freyra o każdej porze roku biją innych Synów Freyra i my pożyczamy włócznie.

Rozpoznał tradycyjne fagorze określenie rodzaju ludzkiego. Nie umiejąc tworzyć nowych, ancipici najzwyczajniej używali starych nazw.

– Każ dwójce swych współplemieńców zaprowadzić mnie do króla JandolAnganola.

Znów jej milczenie i bezruch – a także wszystkich pozostałych fagorów, którym, jak Bilo dostrzegł, udzieliła się ta sama martwota. Tylko świni i kundele niezmordowanie buszowały wokoło, rozgrzebując śmiecie w poszukiwaniu smakołyków. Stara gilda nieoczekiwanie rozpoczęła długą, dla Bila niezrozumiałą przemowę. Musiał przerwać jej potok słów w połowie, prosząc, by powtórzyła wszystko od początku. Hurdhu niczym kozi ser drażnił mu podniebienie. Fagory cisnęły się ze wszystkich stron, otaczając go ciężką wonią – wcale nie tak nieprzyjemną, przyszło mu na myśl, jak oczekiwał – i dopomagając swej przywódczyni w wyjaśnieniach. Skutek był taki, że niczego nie wyjaśniono. Pokazywały mu zablźnione rany, plecy odarte z sierści i skóry, połamane nogi, pogruchothane ramiona, podtykając mu je pod nos ze spokojnym uporem. Odczuwał wstręt i fascynację. Z jaskini fagory wyniosły proporce i miecz. Stopniowo połapał się w ich opowieści. Większość służyła pod królem JandolAn-ganolem, w Piątej Armii. Kilka tygodni temu wyruszyli przeciwko plemionom Drajatów. Ponieśli klęskę tu, w Kosgacie. Plemiona drajackie użyły nowej broni, która czekała niczym wielki pies. Obecni tu biedacy uszli cało. Ale nie śmieli wrócić do króla na służbę, żeby znowu nie usłyszeć szczekania wielkiego psa. Żyli z dnia na dzień. Marzył im się powrót do chłodnych okolic Nktryhku.

Opowieść była długa. Bilo miał już jej dość, jej i much. Łyknął trochę fuzeli. Rzeczywiście szkodziła zdrowiu, jak mówiły podręczniki. Ogarnęła go senność i przestał słuchać, gdy usiłowały mu opisać Bitwę K-osgatką. Dla nich odbyła się jakby wczoraj.

– Czy dwoje spośród was zechce mnie łaskawie odprowadzić do króla, czy nie?

Zamilkły, a potem pomruczały w ancipickim archaiku między sobą. Wreszcie gilda zapytała go w

hurdu:

– Jaki twoja dłoń ma dar za taką eskortę?

Na rękę nosił płaski srebrzysty zegarek z potrójnym układem cyfr wskazujących czas ziemski, środkowokampanniacki i avernusjański. Wszyscy takie nosili na Avernusie. Wskazania czasu nie zainteresowałyby fagorów, do ich pra-czasowych szlei bowiem docierały jedynie sporadyczne wydarzenia z mijającej doczesności, jednak sam zegarek mógł im się podobać jako ozdoba. Plamista twarz przywódczyni zawisła nad podsuniętą jej przed oczy ręką Bila. Z pary rogów kzhana niższego jeden był odłamany w połowie, a koniec miał z drewnianego kołka. Prostując się, lecz nie wstając z ziemi, gilda wezwała dwa z młodszych bykunów.

– Spełnijcie żądanie stworzenia – rzekła.

Eskorta przystanęła na widok pierwszej pary domów w oddali. Bliżej nie chciała podejść ani na krok. Bilo Xiao Pin zdjął z ręki i podał fagorom zegarek. Chwilkę pomedytowały i odmówiły przyjęcia. Nie potrafił zrozumieć ich wyjaśnień. Miał wrażenie, że uciekają od hurdu w archaik. Zmiarkował, że chodzi o cyfry. Może czuły lęk przed stale zmieniającymi się cyferkami. Może przed nieznanym metalem. Odmowa była beznamiętna; po prostu nie chciały wziąć zegarka, niczego nie chciały.

– JandolAnganol – rzekły.

Najwyraźniej imię króla nadal budziło w nich szacunek. Odchodząc Bilo obejrzał się na fagory, częściowo ukryte za zwisłym z drzewa, ukwieconym pnączem. Stały nieruchome. Budziły w nim lęk i jakby zdumienie, że choć przebywał w ich towarzystwie, pozostał przy zdrowych zmysłach.

Niebawem wędrował wąskimi uliczkami Matrassyłu, czując, jak z jednego snu wkracza w drugi, równie cudowny. Kręta droga zawiodła go do stóp olbrzymiej skały, na której stał pałac. Bilo zaczynał rozpoznawać znajome miejsca. Oglądał je przez przyrządy Avernusa. Pierwszych napotkanych Helikoń-czykówomal nie wyściskał.

W skałę wbudowane były kościoły. Surowsze wspólnoty religijne powielaly reguły swych pannańskich nauczycieli, odcinając się od światła. Do skalnej ściany tuliły się klasztory, wysokie na trzy piętra, bogatsze z kamienia, biedniejsze z drewna. Mimo woli Bilo przystanął, by pogłaskać słoje, by przejechać paznokciem po szczelinach w drewnie. Pochodził ze świata, gdzie natychmiast odnawiano – albo niszczone i odtwarzano – wszystko, co tylko się zestarzało. To stare drewno o wypukłych słojach – cóż za przepiękna przypadkowość wzoru! Bilowi nigdy się nawet nie śniło, że świat jest aż tak zapchany szczegółami. Klasztory były pomalowane na wesołe kolory, czerwony i żółty albo czerwony i fioletowy, i przystrojone kołami Akhanaby w tych samych barwach. Na klasztornych wrotach widniały wizerunki boga zstępującego w ogniu. Z węzła włosów na czubku głowy wymykały się bogu czarne kędziory. Brwi miał wywinięte do góry. Na pół człowiecza twarz ukazywała w uśmiechu białe ostre zęby. W obu rękach trzymał bóg zapalone żagwie. Tkanina szaty jak wąż owinęła się wokół sinego ciała. Swoje wizerunki na chorągwiach mieli również święci, opiekuńcze duchy i demony: Juli Kapłan, Król Denniss, Wiszrama, Wutra i cała procesja Innych, wielkich i czarnych, małych i zielonych, z pazurami w miejsce paznokci i z pierścieniami na palcach u nóg. Tym wszystkim nadprzyrodzonym istotom – grubym i łysym bądź kudłatym – towarzyszyły podobizny istot ludzkich, zazwyczaj w błagalnej pozie. Ludzi przedstawiono malutkich. Tam, skąd pochodzę – pomyślał Bilo – namalowano by ludzi wielkich. Ci tutaj w swych błagalnych pozach mieli jedynie ginąć skoszeni przez bogów nie w ten, to w inny sposób. Od ognia, od lodu, od miecza. Obrazy te przypominały Bilowi szkolne wykłady. W szkole dowiedział się, jak ważne są religie na zacofanej Helikonii. Niekiedy kraje bywały nawracane na odmienną wiarę w jeden dzień – co, jak pamiętał, spotkało Oldorando. Równie szybko inne kraje, wyparłszy się swej religii, upadły i

zniknęły bez śladu. Tu Bilo oglądał główny bastion borlieńskiej wiary. Jak ateista odczuwał zarazem pociąg i wstręt do niesamowitych twarzy patrzących ze wszystkich stron. Mnisi nie wyglądali na zbyt przejętych okropnym stanem świata; zgliszcza stanowiły jedynie ogniwo dłuższego łańcucha, tło dla ich spokojnej egzystencji.

– Kolory – głośno powiedział Bilo.

Zgliszcza miały barwy rajy. Tu nie ma zła – pomyślał urzeczony. Zło jest chore. Tu wszystko jest zdrowe. Zło było tam, skąd przybyłem, gdzie wszystko było chore. A tu samo zdrowie. Tak, zdrowie. Wybuchnął śmiechem.

Z otwartymi ustami, rozpostarłszy ręce, stanął na środku ulicy. Wstrzymały go zapachy płynące niczym kolory powietrza. Osaczając Bila na każdym kroku, tworzyły wymiar życia nie istniejący na Avernusia. Nie opodal w cieniu skały znajdowała się studnia otoczona wianuszkami kramów. Z klasztorów gromadnie ciągnęli tam mnisi, aby kupić sobie w kramach coś do jedzenia. Bilo upajał się złudzeniem, że oni dają przedstawienie wyłącznie dla niego. Bywaj, śmierci. Warto zapłacić życiem za to tylko, żeby tutaj postać, połowić smakowite wonie i popatrzeć, jak mnisi podnoszą zatłuszczone bułki do ust. Z klasztorowego balkonu powiewała nad nimi żółto-czerwona chorągiew z napisem: WSZYSTKA MĄDROŚĆ POWSTAŁA NA POCZĄTKU ŚWIATA. Uśmieł się w duchu z tej antynaukowej sentencji – mądrość trzeba wykuwać w pocie czoła, w przeciwnym razie nie byłoby go tutaj. Dopiero tutaj, na tej rojnej uliczce, zrozumiał ogrom zakłamania społeczeństwa Helikonii i wpływu akhanabiej religii na bieg wydarzeń. Żywił głęboko zakorzenioną niechęć do religii, a oto znalazł się w na wskroś religijnej cywilizacji.

Kramarka w podniszczonej sukni, wysoka, o szerokiej rumianej twarzy, zapraszała Bila na swoje wypieki. Pochyliła się nad węglarką, w której jasno płonął ogień. Piekła placki. Bilo został wyposażony na tę wyprawę między innymi w podrobione pieniądze. Wyjąwszy z kieszeni parę drobnych monet zapłacił kobiecie za aromatyczny placek. Forma do wypieku odcisnęła w cieście religijny znak Akhanaby, koło w kole, i łączące je wygięte promienie. Wbił w nie zęby i pierwszy raz przyszło mu na myśl, że ten symbol może być prymitywnym przedstawieniem orbity mniejszej Bataliksy wokół większego Freyra.

– Jedz, placek cię nie ugryzie – parsknęła śmiechem kramarka.

Odszedł z uczuciem tryumfu, że poradził sobie z handlową operacją. Jadł mniej zachłannie niż mnisi, świadom oczu Avernusa. Pogryzając placek maszerował ulicą krokiem zdobywcy. Wkrótce piał się zakosami drogi do matrassyłskiego pałacu. To było cudowne. Prawdziwe jedzenie było cudowne. Helikonie była cudowna. Droga coraz bardziej znajoma. Zajmując się trzema pokoleniami rodu obecnie zwanego królewskim. Bilo z grubsza poznał układ sytuacyjny budowli i otoczenia pałacu. Na archiwalnych taśmach wielokrotnie oglądał, jak wojska dziada dzisiejszego króla zdobywają matrassyłską warownię.

U głównych wrót poprosił o posłuchanie u JandolAnganola, okazując fałszywe dokumenty, z których wynikało, że jest wysłannikiem z dalekiej krainy Morstrualu. Po przesłuchaniu w kordegardzie odstawiono Bila pod strażą do innego budynku. Długo się tam przesiedział, nim trafił do komnaty w kanclerskim, jak się zorientował, skrzydle pałacu.

Czekał, pożerając wszystko rozgorączkowanym wzrokiem – kobierce, rzeźbione meble, piec, zasłony w oknie, plamy na suficie. Od placka dostał czkawki. Świat oszałamiał chaosem szczegółów, każda zaś nitka w kobiercu pod nogami – na oko madiskiej roboty – kryła przesłanie, sięgające początków historii planety. W tej tutaj komnacie przebywała Myrdeminggala, królowa królowych, ten tkany kobierzec deptały jej obute w sandały stopy, a przedstawione na kobiercu zwierzęta i ptaki były wdzięczne, że mogą nosić jej ciężar.

Spoglądając na kobierzec Bilo dostał zawrotu głowy. Nie, śmierć nie mogła nadejść tak wcześnie. Złapał się za brzuch. Jeśli nie śmierć, to może placek? Klapnął na fotel. Za oknem leżał świat, w którym wszystko miało dwa cienie. Świat, który roztaczał żar i moc. Prawdziwy świat królowej, a nie sztuczny świat Bila i Róży. Lecz Bilo mógł do niego nie dorastać...

Czknął głośno. Już wiedział, co guru miał na myśli, mówiąc o możliwej pełni szczęścia z Różą. Żadna pełnia nie była możliwa, dopóki królowa jego marzeń stała mu na drodze. A teraz prawdziwa królowa była tu gdzieś blisko, tuż, tuż.

Otworzyły się drzwi, też cud same w sobie – drzwi z drewna. Otworzył je stary i chudy sekretarz, za którym Bilo podążył do komnat kanclerza. W antykamerze siadł na fotelu i czekał. Czkałka mu szczęśliwie minęła i poczuł się lepiej.

Kanclerz Sartoriirwrasz wszedł zmęczonym krokiem. Był przygarbiony i przybity, choć nienagannie uprzejmy w obejściu. Bez zainteresowania wprowadził Bila do wielkiego gabinetu, w którym większość przestrzeni wypełniały księgi i dokumenty. Bilo z głęboką czcią spoglądał na kanclerza. Sartoriirwrasz był postacią historyczną. Jako młody jastrzębi doradca dopomógł dziadowi i ojcu JandolAnganola założyć królestwo Borlien.

Usiedli, gość i gospodarz. Kanclerz nerwowo szarpał bokobrody i mruczał coś pod nosem. Zdawał się nie słuchać, jak Bilo wywodził, że przybywa z miasta nad Zatoką Chalcejską w Morstrualu. Wziął swe chude ciało w ramiona, jak gdyby szukając w nich pociechy. Powiedziawszy, co miał do powiedzenia, Bilo siedział zakłopotany głuchą ciszą. Czyżby kanclerz nie rozumiał jego olonetu? Wreszcie Sartoriirwrasz przerwał milczenie.

– Uczynimy dla was, panie, wszystko, co w naszej mocy, aczkolwiek chwila nie jest bynajmniej najlepsza.

– Chciałbym odbyć rozmowę z panem, jeśli można, a także z Jego Królewską Mością i królową. Chciałbym służyć swą wiedzą, jak również skorzystać z waszej. – Wyrwała mu się czkałka. – Przepraszam.

– Tak, tak. Proszę mi wybaczyć. Sam jestem, jak to ktoś kiedyś nazwał, znawcą wiedzy, ale akurat dzisiaj spotyka nas najgłębsza... najgłębsza przykrość.

Wstał, zebrawszy wokół siebie poplamiony czarfral i potrząsając głową wpatrywał się w Bila, jak gdyby po raz pierwszy go widział na oczy.

– Cóż jest przykrego w dzisiejszym dniu? – zapytał strwożony Bilo.

– Królowa, mój panie, królowa Myrdeminggala... – dramatycznie zastukał pięścią w stół. – Naszą królową usuwa się z dworu, wypędza, mój panie. W dniu dzisiejszym królowa odpływa do miejsca wygnania. Do starego Grawabagalinien.

Ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

IX. KANCLERSKIE KŁOPOTY

Mieszkańcy krainy nadal znanej wśród miejscowych wieśniaków jako Embruddock ukuli sobie porzekadło dotyczące kontynentu, na którym im przyszło zamieszkiwać: "Najwięcej ludzi spotkasz na bezludziu". W porzekadle kryło się jakieś ziarno prawdy. Nawet obecnie, gdy miliony ludzi wierzyły, że świat zmierza ku zagładzie w płomieniach, wędrownicy wszelkiej maści przemierzali Kampanniat wzdłuż i wszerz. Począwszy od całych plemion, jak tułacze Madisi i koczownicze ludy Mordriatu, przez pątników, mierzących swoje pielgrzymki liczbą nie mil, lecz odwiedzonych świątyń, przez bandy rabusiów, którzy za miarę obszaru przyjęli liczbę poderżniętych gardeł i sakiewek, aż po samotnych domokrażców, którzy wyruszyli w dalszą drogę, aby sprzedać balladę czy szlachetny kamień z zyskiem większym niż w rodzinnych stronach – wszyscy oni szukali swego szczęścia w życiu. Nie straszne im były nawet trawiące serce kontynentu pożary, zatrzymywane jedynie przez rzeki i pustynie. Pożary jeszcze pomnażały szeregi wędrowców o pogorzalców zmuszonych do szukania nowych siedzib. Jedna taka gromadka przyplłynęła Valvorałem do Matrassylu w samą porę, by zobaczyć, jak królowa Myrdeminggala odchodzi na wygnanie. Królewska służba werbunkowa nie pozwoliła im się gapić zbyt długo. Werbownicy dopadli przybyłych w dziurawej krypie gości i pognali ich w rekruta, na Zachodnie Wojny.

Owego popołudnia Matrassylczycy na krótki czas zapomnieli – czy tylko przestali myśleć – o Zachodnich Wojnach, całą uwagę poświęcając tej najnowszej tragedii. Oto dla wielu z nich nadeszła najdramatyczniej sza chwila szarego żywota – biedak mógł tylko klepać biedę, namiastki życia szukając u możnych. Wyolbrzymiał i hołubił wady swych królów i królowych, bez których sam nie ujrzałby ani dna rozpaczy, ani szczytu szczęścia.

Całun dymu spowijał miasto i oniemiałe tłumy na nabrzeżu. Królowa jechała w karecie. Powiewały flagi. I transparenty, głoszące: "Kajaj się za grzechy!" oraz "Niebiosa dają znaki". Królowa patrzyła prosto przed siebie.

Kareta stanęła nad rzeką. Forys zeskoczył i otworzył drzwiczki przed Jej Królewską Mością. Wysunąwszy zgrabną stopkę zeszła na bruk. Za nią Tatra i przyboczna dama dworu.

Myrdeminggala przystanąła, rozglądając się dokoła. Mimo zasłony na twarzy blask urody otaczał ją niczym woń perfum. Przy nabrzeżu stał ługier, który miał zabrać królową i jej świtę z biegiem rzeki do Ottassolu, a stamtąd do Grawabagalinien. Na pokładzie czekał z powitaniem kapłan w liturgicznych szatach.

Królowa wkroczyła na kładkę. Tej chwili rozstania z matrassylską ziemią towarzyszyło westchnienie tłumy. Szła ze spuszczoną głową. Wstąpiwszy na pokład przyjęła ukłon kapłana, po czym odrzucając zasłonę wysoko uniosła głowę i dłoń w pożegnalnym geście. Na widok tej bosko pięknej twarzy szmer poszedł po pirsach, nabrzeżach i pobliskich dachach, szmer, który się rozluczał w okrzyk. Tym nieartykułowanym okrzykiem Matrassyl żegnał swoją królową królowych. Zasłona opadła, Myrdeminggala obróciła się na pięcie i zeszła pod pokład, znikając z oczu.

Kiedy okręt podnosił kotwicę, młody paź wybiegł na skraj nabrzeża, recytując popularną odę Tys panią pełni lata. Nie było muzyki, nie było więcej okrzyków. Nikt ze stojących w pożegnalnym milczeniu nie wiedział, co zaszło tego popołudnia na dworze, aczkolwiek wieści o strasznych wydarzeniach miały się rozejść, i to dość szybko.

Postawiono żagle. Wygnańczy statek, z wolna odbiwszy od nabrzeża, pożeglował z prądem rzeki. Wikariusz królowej stał i modlił się na pokładzie. Z tłumy gapiów na ulicy, na skarpach czy usadowionych na dachach nikt się nie poruszył. Drewniany kadłub małał, aż zniknął w oddali. Ludzie

w milczeniu rozeszli się do domów, zabierając flagi ze sobą.

Na matrassyjskim dworze roiło się od koterii. Jedne nie przekraczały murów pałacu, inne miały poparcie w całym kraju. Wśród tych drugich niewątpliwie najszerszym poparciem cieszyli się myrdolatorzy. Ta szydercza nazwa przylgnęła do nich dlatego, że w większości spraw byli przeciwko królowi, a za królową królowych – we wszystkich.

Koterie dzieliły się na kotereryjki. Koteryjki na ludzi, którzy dla własnej korzyści utopiliby rodzony brata w łyżce wody. W nieustannych podchodach o pozycję na dworze wymyślano wiele racji za i przeciw bliższemu sojusznikowi z Oldorando. Jedni – być może przeciwnicy kobiet – żyli nadzieją, że Myrdeminggala popadnie w niełaskę. Drudzy – być może pragnący ją posiadać – żyli nadzieją, że królowa pozostanie w łaskach. Spośród marzących o jej pozostaniu część najzagorzalszych myrdolatorów uważała, że to ona powinna królować, a król odejść. W końcu – dowodzili – z prawnego punktu widzenia i pomijając jej wdzięki, królowa miała takie same prawa do borlieńskiego tronu, jak Orzeł. Zawiść spędzała sen z powiek wrogom zarówno króla, jak i królowej. W dniu odejścia Myrdeminggali wielu było gotowych chwycić za broń. Rankiem tegoż dnia JandolAnganol wszczął kroki przeciwko malkontentom. Król w znowie z Sartoriirwraszem podstępem zwabił myrdolatorów do pałacowej komnaty, niby to na naradę. Zebrało się ich sześćdziesięciu jeden, w tym również siwowłosi starcy, którzy ślubowali wierność jeszcze rodzicom królowej, RantalOboralowi i Szalonej Szannanie. Przylecieli na naradę kipiąc oburzeniem. Straż pałacowa zaparła za nimi drzwi i zaciągnęła przed komnatą warty. Myrdolatorzy podnieśli krzyk, mdlejąc z duchoty, a tymczasem Orzeł ze złośliwym uśmiechem na twarzy oddalił się, myśląc o pożegnalnym spotkaniu ze swą prześliczną królową.

Myrdeminggala wciąż była zdruzgotana nagłą odmianą losu. Blandość powlekła jej policzki. Oczy płonęły gorączkowym blaskiem. Nic nie jadła. Płoszył ją byle szmer. Król zastał królową na przechadzce w towarzystwie Mei TolramKetinet, z którą prowadziła rozmowę o niepewnej przyszłości swych dzieci. Skoro nad nią zawisła groźba, to nad nimi też. Tatra jest malutka, no i jest dziewczynką. Zatem to na Robaydaya może spaść cała zemsta króla. Robayday przepadł na jednej ze swych szalonych wypraw. Czują, że nawet się nie będzie mogła z nim pożegnać. I już nie będzie tu jej brata, który by jakoś temperował upartego siostrzeńca.

Obie kobiety spacerowały po półdziennym ogrodzie Myrdeminggali. Tatra bawiła się z księżniczką Simodą Tal – ironia losu nie do zniesienia, gdyby wnikać w to bliżej. Ogród założyła sama królowa, dyrygując ogrodnikami. Rozłożyste drzewa i sztuczne skarpy osłaniały alejki przed okiem Freyra. Starczyło cienia dla bujnego wzrostu roślin, ich genowych mutacji i form melanistycznych. Półdienne rośliny kwitły pospołu z dziennymi. Powilec, dzieńne pnącze o białych różowopomarańczowych kwiatach, przybrał postać albika pełzającego po ziemi. Albik z rzadka wypuszczał cudaczne pąsowopoma-rańczowe pąki z mięsistej łodygi, aby zwabić półdienne ćmy. W sąsiedztwie rosły olwiki, jarpele, idrysy i kolczaste wrzasty, wszystkie ceniolubne. Przygruntowy gradowin wydał kapturzaste kwiaty. Był mutacją gatunku nocnych krzewów ospilni i bardziej skłaniał się ku jaśniejszym warunkom niż ciemniejszym. Poddani poznosili królowej sadzonki tych roślin z różnych zakątków królestwa. Nie miała wielkiego pojęcia o astronomii ani o niespiesznych, przewlekłych manewrach Freyra na niebie, za to obserwacja tych roślin obudziła w niej świadomość instynktownej reakcji przyrody na owe nieuchwytnie i abstrakcyjne elipsy, którymi Sartoriirwrasz próbował zamącić jej w głowie i o których mógł rozprawiać bez końca. I oto już więcej nie będzie spacerować po swych ulubionych alejkach.

U furtki dostrzegła króla z kanclerzem. Z daleka wyczuła ich urzędowy chłód. Widziała napięcie w postawie króla. Zaciśnęła palce na nadgarstku swej damy dworu.

Sartoriirwrasz podszedł i złożył ceremonialny ukłon. Po czym oddalił się, uprowadzając damę dworu, aby nikt nie zakłócał spokoju królewskiej pary. Pełna obaw Meja gwałtownie protestowała.

– Król zabije Kunę. Podejrzewa, że ona się kocha w moim bracie Hanrze, a to nieprawda. Przysięgam. Królowa nie zrobiła nic złego. Jest niewinna.

– Inne są przesłanki jego planów i król jej nie zabije – rzekł Sartoriirwrasz.

Nie wyglądał na najlepszego pocieszyciela. Skurczony pod czarfralem, szary na twarzy.

– Pozbywa się królowej z przyczyn politycznych. Nie on pierwszy i nie ostatni.

Poirytowany strącił motyla z rękawa.

– To dlaczego kazał zabić Jeferala?

– Za ten kłopot nie należy winić króla, a prędzej mnie. Przestań pleść bzdury, kobieto. Jedź z Kuną na wygnanie i dbaj o nią. Mam nadzieję, że nie stracę z wami kontaktu, jeśli moja sytuacja nie ulegnie zmianie. W Grawabagali-nien da się żyć.

Minąwszy sklepione wejście natychmiast utonęli w dusznym labiryncie budowli. Meja TolramKetinet zapytała spokojniejszym głosem:

– Co padło królowi na umysł?

– Nie poznałem jego umysłu, poznałem jaźń. Ostra jak diament. Potnie wszystkie inne jaźnie. Nie może spokojnie znieść łagodności królowej.

Po rozstaniu z młodą damą przystanął u stóp schodów, usiłując odzyskać spokój. Z góry dolatywały skądś głosy bawiących w gościnie dyplomatów. Z zimną krwią wyczekiwali wieści o rozstrzygnięciu spornych kwestii, a niebawem będą się rozjeżdżać, cokolwiek usłyszą. W końcu każdy odchodzi – pomyślał. W owej chwili tęsknił za zmarłą żoną.

Królowa tymczasem stała w swym ogrodzie, zasłuchana w ściszony, porywczy głos JandolAnganola, który usiłował zrobić z niej powierniczkę swych uczuć. Cofnęła się, niczym przed wysoką falą.

– Kuno, ja jestem zmuszony do rozstania z tobą, dla ocalenia królestwa. Wiesz, co czuję, i wiesz, że mam również obowiązek i że muszę słuchać głosu obowiązku...

– Dość, nie chcę tego słuchać. Ty spełniasz swoją zachciankę, nie obowiązek. To głos khmiru, nie obowiązku.

Pokręcił głową, jakby się chciał otrząsnąć z bóleści, wypisanej na jego twarzy.

– Czynię, co muszę czynić, choć mnie to zabija. Tylko ciebie jednej pragnę u mego boku, żadnej innej. Rzeknij mi na rozstanie, że choć tyle rozumiesz.

Rysy jej stężały.

– Zniestawiłeś dobre imię mego zmarłego brata i moje. Kto kazał rozsiewać te kłamstwa, jak nie ty?

– Zrozum, proszę, że muszę tak czynić dla dobra królestwa. To nie ja pragnę naszego rozstania.

– Kto zdecydował o naszym rozstaniu, jak nie ty? Kto tu rządzi, jak nie ty? Jeśli nie ty, to rządzi anarchia i królestwo niewarte jest zachodu. Spojrzał zezem. Orzeł z podciętymi skrzydłami.

– Muszę przyjąć taką linię postępowania. Nie wtrącam cię do więzienia, tylko wysyłam daleko do pięknej rezydencji w Grawabagalinien, gdzie Freyr nie panuje z tak wysoka na niebie. Baw się tam dobrze i nie spiskuj przeciwko mnie, bo za wszystko odpowie twój ojciec. A gdy nadejdą lepsze wieści z wojny, może znów będziemy razem, kto wie.

Napadła na niego z taką gwałtownością, że zaskoczony nie odrywał spojrzenia od jej wzburzonej twarzy.

– Czy to znaczy, że zamierzasz w jednym roku wziąć ślub z tym lubieżnym dzieckiem Oldorando, a w drugim rozwód, jak dziś ze mną? Myślisz, że uratujesz Borlien, żeniąc się tak i rozwodząc bez

końca? Mówisz, że wysyłasz mnie daleko. Zatem uprzedzam cię, że raz wysłana daleko, zawsze będę się trzymać od ciebie z daleka.

JandolAnganol wyciągnął rękę, lecz powstrzymał się od dotknięcia królowej.

– Mówię ci z głębi serca – jeśli wierzysz, że je posiadam – to nie ja ciebie wysyłam daleko. Potrafisz to zrozumieć? Ty wyznajesz tylko zasady religii i moralności. Choć na chwilę uświadom sobie, co to znaczy być królem.

Cisnęła zerwaną dopiero co gałązkę idrysa na ziemię.

– Och, ty mnie nauczyłeś, co to znaczy być królem. Zamknąć rodzzonego ojca w ciemnicy, wygnąć rodzzonego syna, znieśliwić własnego szwagra, zesłać żonę na krańce królestwa – oto co znaczy być królem! Nauka nie poszła w las. Zatem odpowiem ci, Janie, twoim własnym językiem. Nie mogę zapobiec mojemu wygnaniu, nie zdołam. Lecz wyganiając mnie ponosisz wszelkie następstwa własnego czynu. Z tą świadomością musisz żyć aż do śmierci. To nie ja ci mówię, tylko religia. Nie spodziewaj się po mnie, że zmienię niezmiennalność.

– Tego się właśnie spodziewam.

Przełknął ślinę. Złapał ją mocno za ramię i nie puszczał, mimo że się szarpała. Powiódł ją alejką, płosząc motyle.

– Tego się właśnie spodziewam. Że nadal będziesz mnie kochała i nie przestaniesz kochać po prostu z wyrachowania. Że będąc ponad ludzką naturę i własne cierpienie, zobaczysz cierpienia innych. Twoja uroda uchroniła cię, jak dotąd, od cierpienia w tym okrutnym świecie. Ja cię strzegłem. Przyznasz, Kuno, że strzegłem cię przez owe straszne lata. Wróciłem z Kosgattu tylko dlatego, że tutaj czekałaś na mnie. Siłą woli wróciłem.. Czy twoja uroda nie stanie się twym przekleństwem, gdy mnie zabraknie jako tarczy? A mężczyźni, jakich nigdy nie znałaś, czy nie zaczną na ciebie polować niczym na łanię w lesie? Jak skończysz beze mnie? Przysięgam, że nie przestanę cię kochać na przekór tysiącom Simod Tal, jeśli teraz powiesz... tylko powiesz, całując mnie na pożegnanie, że wciąż jestem ci drogi bez względu na to, co muszę uczynić.

Wyrwała mu się i przyłgnęła do skały, kryjąc twarz w cieniu. Oboje byli bladzi i złani potem.

– Chciałeś mnie przerazić, no i przeraziłeś. Sęk w tym, że wypędzasz mnie dlatego, że nie rozumiesz sam siebie. Podświadomie zdajesz sobie sprawę, że ja ciebie i twoje słabości znam jak nikt inny – może z wyjątkiem twojego ojca. I to jest dla ciebie nie do zniesienia. Nie możesz znieść, że ja się lituję nad tobą. No więc tak, ciesz się i bądź przeklęty, że wyrwałeś to ze mnie, tak, Kocham cię i będę kochała, dopóki Patrzycielka nie przytuli mnie do swego łona. Ale tobie to wcale nie w smak, nieprawdaż? Ty tego nie pragniesz.

– No i proszę! – wybuchnął. – Nienawidzisz mnie, ot co! Twe słowa kłamią!

– Och! Och! Och! – Krzycząc jak oszalała rzuciła się do ucieczki. – Idź precz! Precz! Zwañowałeś do reszty. Wyznaję to, o co prosisz, a ty się wściekasz. Ty chcesz mojej nienawiści. Idź precz – nienawidzę cię, skoro nienawiści łaknie twoja dusza.

JandolAnganol nie próbował jej ścigać.

T– No więc rozpętała się burza – rzekł.

I oto dym zaczął spływać wypełniając kotlinę Matrassyłu. Król po rozstaniu z Myrdeminggalą zdawał się jak opętany. Zażądał ze stajni słomy i kazał ją złożyć na stertę pod drzwiami komnaty, w której wciąż przebywali uwięzieni myrdolatorzy. Kazał przynieść stągwie z tranem. Wyrwał niewolnikowi i własnoręcznie cisnął płonąca żagiew na stos podpałki. Płomienie buchnęły z hukiem.

Pożar szalał, gdy królowa wsiadała na okręt. Walka z żywiołem była zabroniona. Szalał z nie słabnącą siłą. Dopiero wieczorem, gdy król siedział ze swym miodkiem zapijając się do nieprzytomności, służba mogła podejść z pompami i ugasić ogień.

Nazajutrz o wschodzie bladej Bataliksy król wstał i, jak to miał w zwyczaju, ukazał się poddanym w świetle poranka. Oczekujący go tłum był liczniejszy niż zwykle. Na widok JandolAnganola rozległ się niski, nieartykułowany pomruk, jak warczenie zranionego psa. Ze strachu przed tym wielogłowym potworem król uciekł do sypialni, gdzie padł na łożo. Tak spędził cały dzień, bez jedzenia, bez słowa. Nazajutrz sprawiał już wrażenie, że doszedł do siebie. Wzywał ministrów, wydawał rozporządzenia, pożegnał Tayntha Indredda i Simodę Tal. A nawet pojawił się na krótko przed skritiną. Miał powody do działania. Szpiedzy przynieśli wiadomość, że Unndreid Młot, Bicz Mordriatu, nie tylko ruszył znowu na południowy wschód, ale również zawarł przymierze ze swoim wrogiem Darwiiszem.

Skritinie król wyjaśnił, jak to królowa Myrdeminggala planowała z bratem JeferalOboralem skrytobójczo zgładzić ambasadora Sibornalu i jak ambasadorowi udało się zbiec. Z tego właśnie powodu królowa odchodzi na wygnanie; nie można tolerować jej mieszania się w sprawy państwa. Brat królowej został zabity. Niech to będzie nauczka dla wszystkich, co spiskują w chwili zagrożenia kraju. On, król, przygotowuje plany połączenia Boriien bliższym sojuszem z tradycyjnymi przyjaciółmi, Oldorandczykami i Pannowalczykami. Szczegóły planów przedstawi we właściwym czasie. Tu potoczył wyzywającym spojrzeniem po skritinie. Po czym wstał Sartoriirwrasz z żądaniem, by skritina spojrzała na nowe wydarzenia z perspektywy historycznej.

– Mając świeżo w pamięci Bitwę Kosgatcką wiemy, że jest dostępna nowa zaczepna broń miotająca. Nawet barbarzyńskie plemiona Drajatów mają te nowe... strzelby, jak je się nazywa. Człowiek ze strzelbą może zabić wroga, skoro go tylko dostrzeże. W starych kronikach znajdujemy wzmianki o takich przedmiotach, chociaż nie zawsze można wierzyć w to, co mówią stare kromki. Ale do rzeczy. Chodzi nam o strzelby. Widzieliście je na pokazie. Są wyrabiane na wielkim kontynencie północnym, w krajach Sibornalu, które wiodą prym w sztukach wyrobniczych. Posiadają złoża węgla brunatnego i rud metali, których nie ma u nas. Musimy zachować przyjazne stosunki z tak potężnymi krajami, dlatego ostro stłumiliśmy próbę zamachu na życie ambasadora.

– Gadaj prawdę – zawołał jakiś baron z głębi sali. – Czy Paszaratid nie był sprzedawczykiem? Czy nie miał romansu z młodą Borlienką z dolnego miasta, wbrew prawom swoim i naszym?

– Nasi agenci badają tę sprawę – rzekł Sartoriirwrasz i pośpiesznie podjął przerwany wątek. – Wyprawimy poselstwo do Askitoszu, stolicy kraju Usku-toszk, licząc na większą niż dotąd życzliwość Sibornalczyków i otwarcie handlowego szlaku. Tymczasem odbyliśmy uwieńczone sukcesem spotkanie z wybitnymi dyplomatami Oldorando i Pannowalu. Otrzymaliśmy kilka strzelb, jak wiadomo. Jeśli zdołamy zaopatrzyć walecznego generała TolramKetineta w dostateczną liczbę strzelb, to wojna z Randonanem nie potrwa długo.

Zarówno mowa króla, jak i wystąpienie Sartoriirwrasza spotkały się z chłodnym przyjęciem. W skritinie zasiadali stronnicy barona RantanOborala, ojca Myrdeminggali. Jeden z nich powstał i zapytał:

– Czy mamy rozumieć, że właśnie ta nowa broń spowodowała śmierć sześćdziesięciu jeden myrdolatorów? Skoro tak, oręż to zaiste potężny. Odpowiedź kanclerza nie budziła zaufania.

– W pałacu wybuchł fatalny pożar, wzniecony przez stronników byłej królowej, i wielu z nich zginęło w podłożonym przez siebie ogniu.

Wyjściu króla i kanclerza z sali towarzyszyła wrzawa. – Dajcie im wesele – rzekł Sartoriirwrasz. – Zapomną o gniewie, piejąc z zachwytem nad dziecinną urodą panny młodej. Jak najprędzej dajcie im weselisko. Wasza Królewska Mość. Podsuń głupcowi drugie szalbierstwo, a zapomni o pierwszym.

Odwrócił wzrok, by ukryć, że się brzydzi swego udziału w szalbierstwie.

Atmosfera niepewności ciążyła wszystkim mieszkańcom matrassyjskiego pałacu, z wyjątkiem

fagorów, których układ nerwowy był odporny na wyczekiwanie. Jednak i fagory czuły się nieswojo, gdyż wszystko jeszcze załatywało swądem spalenizny.

Nachmurzony król odszedł do swych apartamentów. Straż u drzwi trzymała drużyna Pierwszej Gwardii Fagorzej, i z nią pozostał Juli, podczas gdy JandolAnganol w prywatnej kaplicy wznosił modły z królewskim wikariuszem. Wyraziwszy skruchę, wychłostał sobie plecy. W kąpielni polecił dziewczkom zawiadzać kanclerza. Dopiero na trzecie wezwanie stawił się Sartoriirwrasz w poplamionym tuszem, kwiecistym czarfralu i w wyplatanych łapciach. Starzec wyglądał na urażonego i stanąwszy przed królem milczał, gładząc brodę.

– Zły jesteś? – spytał JandolAnganol z wanny. Opodał siedział miodek z rozdziawioną gębą.

– Stary jestem. Wasza Królewska Mość, a spotykały mnie dzisiaj same kłopoty. Właśnie spoczywałem.

– Raczej gryzmoliłeś swą przekłętą historię.

– Spoczywałem, oplakując sześćdziesięciu jeden zamordowanych, jeśli mam powiedzieć prawdę.

Król plasnął dłonią w wodę.

– Jesteś ateistą. Nie masz sumienia, które by trzeba uspokajać. Nie musisz się biczować. Zostaw to mnie.

Sartoriirwrasz skrył złośliwość pod maską służalczej pokory:

– Czym mogę teraz służyć Waszej Królewskiej Mości? JandolAnganol wstał i zaczął, aż łaźiebne owiną go ręcznikiem. Wyszedł z wanny.

– Ty już mi się dostatecznie przysłużyłeś. – Rzucił kanclerzowi jedno ze swych złowieszczo płonących spojrzeń. – Pora, żebym cię odstawił na zieloną trawkę, jak stare musłangi, które tak ubóstwiasz. Na doradcę znajdę sobie kogoś innego, o bliższym mi sposobie myślenia.

Łaziebne skupiły się przy glinianych dzbanach do noszenia królewskiej wody kąpielowej, obojętnie słuchając dramatycznej rozmowy.

– Wielu się znajdzie takich, którzy będą udawać, że myślą to, co Wasza Królewska Mość chce, aby myśleli. Jeśli w takich zechcecie pokładać zaufanie, to już Wasza wola. Może się tylko dowiem, czym sobie zasłużyłem na niełaskę. Czyż nie popierałem waszych wszystkich machinacji?

Odrzuciwszy ręcznik król przemierzał łaźnię, nagi i niebezpieczny. Jakby krokami gonił własne rozbiegane spojrzenie. Juli wyraził skomleniem swoje współczucie.

– Zważ kłopoty na mojej głowie. Bankrut. Brak królowej. Brak popularności. Brak zaufania. Opór w skritinie. Nie wmawiaj mi, że zostanę bożyszczem tłumów, gdy poślubię tę oldorandzką sikszę. Tyś mi to wszystko doradził uczynić i dość mi już twoich rad.

Sartoriirwrasz cofnął się pod samą ścianę, na względnie bezpieczną odległość od biegającego po łaźni króla. Nerwowo załamywał ręce.

– Jeśli wolno mi coś powiedzieć... Wiernie służyłem Warn, a przed Wami – Waszemu ojcu. Kłamałem dla Was. Skłamałem dzisiaj. Wplątałem się w tę okropną zbrodnię na myrdolatorach dla Waszego dobra. W przeciwieństwie do innych kanclerzy, jakich moglibyście sobie obrać, nie mam żadnych politycznych ambicji, jedynie Wasza łaskawość stawia mnie na świeczniku. Wasza Królewska Mość!

– Zbrodnia! Więc twój władca jest zbrodniarzem, czyż nie tak? A niby jak inaczej miałem stłumić bunt?

– Służyłem radą, mając Wasze, Panie, dobro na względzie, nie własną karierę. A już najbardziej w tej przykrej sprawie rozvodu. Przypomnijcie sobie, jak mówiłem, że nigdy nie znajdziecie takiej drugiej kobiety, jak królowa, i...

Chwyciwszy ręcznik król przewiązał się nim w wąskiej talii. Wokół stóp zrobiła mu się kałuża.

– Mówiłeś mi, że mam obowiązek przede wszystkim wobec kraju. No to się poświęciłem, poświęciłem się za twą namową...

– O nie. Wasza Królewska Mość, nie, ja bez niejasności...

– Bezzz niejazznoździ – Juli pochwycił nowe wyrażenie.

– Po prostu szukasz. Panie, ofiarnego kozła, na którym chcesz wyrzucić swój gniew. Nie wolno odprawiać mnie w taki sposób. To zbrodnia.

Słowa rozeszły się echem po łaźni. Dziewki, już biorące nogi za pas, przezornie zamarły w pół kroku niby posągi, żeby na nich nie skrupił się gniew króla. Skrupił się na kanclerzu. Z wściekłości krew nabiegła królowi do twarzy, spływając rumieńcem na szczęki i szyję.

– Znów zbrodnia! Czy ja jestem zbrodniarzem? Ty szcurzy pomioście, ty śmiesz mi rzucać rozkazy i obelgi! Zapłacisz mi za to.

Pomaszerował prosto do rozłożonej dla niego odzieży. W strachu, że posunął się za daleko, Sartoriirwrasz powiedział drżącym głosem.

– Wasza Królewska Mość daruje mi, ale ja przejrzałem Wasz plan. Po mojej dymisji możecie bez przeszkód złożyć na mnie przed skritiną winę za to, co się wydarzyło, i tym samym unaocznicie własną niewinność. Jak gdyby prawda dała się lepić niczym glina... To stara dobra taktyka, bardzo dobra taktyka, również przejrzysta... ale chyba możemy dokładnie uzgodnić... – zająknął się i umilkł.

Mdle światło wieczoru wypełniało łaźnię. Migotliwe nitki zorzy przebijały się wśród chmur za oknem. Król dobył miecza z leżącej na stole pochwy. Wywinął młyńca. Sartoriirwrasz cofając się wywrócił dzban pełen perfumowanej wody, która szeroką strugą zalała posadzkę z kafelków. JandolAnganol rozpoczął ćwiczenie układu szermierczej walki z urojonym przeciwnikiem, stosując zwody i wypady, to broniąc się rozpaczliwie, to znów nacierając jak burza. Szalał po całej łaźni. Stłoczone pod ścianami dziewczki chichotały nerwowo.

– Hej! Jo! Ho! Hej!

Zmienił kierunek natarcia i nagle ostrze śmignęło w stronę kanclerza. Znieruchomiał na cal od jego obojczyka.

– No to gdzie jest mój synalek – rzekł król – gdzież zatem jest Robayday, ty stary łotrze? Wiesz, że on czyha na moje życie?

– Dobrze znam historię Waszego rodu. Panie – powiedział Sartoriirwrasz, nieporadnie osłaniając pierś rękoma.

– Muszę się rozprawić z moim synem. Ukrywasz go w jakimś zakamarku swych apartamentów.

– Nie, Panie, nie ukrywam.

– A mnie doniesiono, panie, że ukrywasz, doniósł mi fagor. I na odchodne szepnął, że zostało ci, panie, jeszcze trochę krwi w łoni.

– Panie, jesteście wyczerpani ciężkimi przejściami. Pozwólcie, że dam...

– Nic nie dasz mi, mój panie, z wyjątkiem gardła pod miecz. Fagory nie kłamią! Masz gościa w swych komnatach.

– Z Morstrualu, Panie, jakiś chłopiec przybłąda.

– Ach tak, teraz mieszasz chłopców...

Ale jakby przestał go interesować ten temat. Podrzucony z okrzykiem miecz utkwiał w belce powały. Król sięgnął do rękojeści, gubiąc ręcznik z bioder. Sartoriirwrasz podniósł i podał ręcznik Jego Królewskiej Mości, mówiąc niepewnym głosem:

– Wiem, skąd się bierze Wasze szaleństwo, i rozumiem... Zamiast za ręcznik król schwycił starca za czarfral i okręcił nim dokoła. Ręcznik poleciał w kąt. Kanclerz krzyknął z przerażenia. Posadzka uciekła mu spod nóg i runął w kałużę razem z królem. Król, zwinny jak kot, w mig stanąwszy na nogi,

kiwnął na dziewczki, żeby podniosły Sartoriirwrasza. Wspierany przez dwie kobiety kanclerz jęczał, trzymając się za plecy.

– A teraz won – rzekł król. – Pakuj manatki, mój panie, zanim ci zademonstruję, jak bardzo jestem szalony. Nie zapominaj, że dla mnie jesteś ateistą i myrdolatorem.

We własnych komnatach Sartoriirwrasz polecił niewolnicy wysmarować sobie plecy maściami i jakiś czas leżał, stękając z rozkosznej ulgi. Wkrótce zażądał anejkowego soku z lordrardryjskim lodem, po czym z mozołem napisał list do króla, łapiąc się za plecy między jednym zdaniem a drugim..

Najjaśniejszy Panie!

Wiernie służyłem i wielce się przysłużyłem Rodowi Anganolów. Jestem gotów służyć mu nadal, pomimo napaści na moją osobę, ponieważ wiem, jak okrutnie jest obecnie rozdarta dusza Waszej Królewskiej Mości.

Co się tyczy mojego ateizmu i mojej wiedzy, które jakże często macie mi za złe, to niech mi będzie wolno zauważyć, że ateizm i wiedza są jednym i tym samym, a moje oczy są otwarte na prawdziwą naturę świata. Nie zamierzam odwozić Was od religii, a jedynie wyjaśnić, że to właśnie religii zawdzięczacie swoje obecne tragiczne położenie.

Postrzegam świat jako harmonijną całość. Przypomnę tu o mym odkryciu, że mustang, wbrew temu, co widzimy, jest pręgowany. Te pręgi mają dla nas doniosłe znaczenie, niejako wiążąc i na nowo objaśniając pory Wielkiego Roku. Liczne rośliny i zwierzęta zapewne wytworzyły podobne mechanizmy, dzięki którym zachowują ciągłość gatunków w przeciwstawnych klimatach Wielkiego Roku.

Czyżby ludzkość znalazła w religii podobny sposób na przetrwanie? Tyle że odmienny, tak jak ludzie są odmienni od zwierząt? Religia to społeczna siła wiązania, która może jednoczyć ludzi w porze skrajnego zimna lub, tak jak dzisiaj, skrajnego gorąca. Jako społeczna siła wiązania, jako rodzaj więzi ma swoją wartość, zapewniając ludziom duchowe przetrwanie w narodowych bądź plemiennych ciałach. Czego religii nie wolno czynić, to rządzić naszym indywidualnym ciałem i duchem. Jeśli zbyt wiele z siebie poświęcimy religii, to stajemy się jej niewolnikami, tak jak Madisi są niewolnikami uktu.

Musicie mi. Panie, wybaczyć ten mój wywód, który, obawiam się, nie przypadnie Wam do gustu, jednakże Wy sami okazujecie Akhanabie taką niewolniczą uległość...

Urwał. Nie, jak zwykle posuwa się za daleko. Król mógłby go zabić w gniewie po przeczytaniu tego zdania. Wziął świeży arkusz pergaminu i pracowicie wykaligrafował zmienioną wersję pierwotnego listu. Dostarczenie pisma zlecił Leksowi. Po czym siadł i zapłakał. I zapadł w drzemkę.

Kiedy się ocknął, nad nim stał Leks, omiatając mleczem szczeliny nozdrzy. Do fagorzej niemoty przywykł kanclerz od dawna i mimo że nienawidził tych stworzeń, to we własnych komnatach większą przykrość sprawiałby mu widok niewolników rasy ludzkiej. Zobaczył na zegarze stołowym, że zbliża się dwudziesta piąta godzina doby. Ziewnął, przeciągnął się i wdział cieplejsze szaty. Zorza za oknem migotała ponad opustoszałym dziedzińcem. Pałac spał – może z wyjątkiem króla...

– Leks, pójdziemy porozmawiać z naszym więźniem. Dałeś mu jeść?

– Więzień mieć jedzenie, panie -- odrzekł nieruchomy fagor. Kaleczył olonet, ale Sartoriirwrasz ze wstrętem nie chciał opanować hurdu. Prawie całą długość jednej ściany zajmowały półki i wbudowana w nie, pojedyncza szafka. Leks uchylił ją, odsłaniając żelazną płytę. Niezdarnie włożył do zamka i przekręcił klucz. Otworzył żelazne drzwi i człowiek z fagorem weszli do sekretnej celi. Niegdyś była to oddzielna komnata. Za panowania YarpalAn-ganola kanclerz polecił zamurować w niej wejście. Teraz jedyna droga wiodła przez jego pracownię. W okno wstawiono grube pręty. Z

dworu nikt by nie wypatrzył okna pośród załomów fasady.

W środku bzykały muchy, ospale snując się w gęstym jak smoła powietrzu. Łaziły po stole i po rękach Bila Xiao Pina. Bilo siedział na krześle. Był przykuty łańcuchem do mocnej zwory zakotwionej w posadzce. Ubranie miał w plamach potu. Smród aż dusił w izbie. Przytknąwszy sobie do nosa saszetkę z bikinką, górokrotką i innymi ziołami, Sartoriirwrasz wskazał latrynowe wiadro w kącie izby.

– Wylej to.

Leks wyniósł wiadro. Kanclerz wziął drugie krzesło i ustawił je poza zasięgiem więźnia, to znaczy poza zasięgiem łańcucha. Siadł pomaleńku, masując plecy i postępując. Zanim przemówił, zapalił długą trędowniczkę.

– No tak, BiloszUopinie, to już dwa dni. Porozmawiajmy sobie jeszcze raz. Jako kanclerz Borlien mam dość władzy, by za kłamstwa wydać cię na tortury. Przedstawiłeś mi się jako burmistrz miasta nad Zatoką Chalcejską. A kiedy wsadziłem cię pod klucz, podałeś się za osobistość znacznie ważniejszą, za przybysza z planety nad naszymi głowami. Kim jesteś dzisiaj? Tym razem naprawdę!

Bilo otarł twarz rękawem.

– Panie – rzekł – wierz mi, że wiedziałem o tej sekretnej izbie, zanim się w niej znalazłem. Jednak o wielu aspektach waszych obyczajów nie mam pojęcia. Pierwszy mój błąd to udawanie kogoś innego, niż jestem – ponieważ miałem wątpliwości, czy dacie wiarę prawdzie.

– Nie chwając się mogę rzec, że na moje szczęście czy nieszczęście, jestem jednym z najpierwszych poszukiwaczy prawdy w naszych czasach.

– Wiem o tym, panie. Przeto uwolnij mnie. Pozwól mi podążyć za królową. Po cóż mnie więzić, skoro nie mam złych zamiarów?

– Uwięziłem cię, bo możesz mi się na coś przydać. Wstań. Zmierzył więźnia spojrzeniem. Niewątpliwie było w nim coś dziwnego. Anatomii więźnia obca była zarówno wiotkość Kampanniatczyka, jak beczkowata postura owych czasami oprowadzanych po jarmarkach ludzkich odmieńców, których przodkowie (zdaniem medycznych autorytetów) uniknęli niemal powszechnej gorączki kości. Przyjaciel kanclerza, KaraBansita z Ottassolu, powiedziała, że cechująca więźnia zewnętrzna krągłość wynika z wewnętrznej struktury jego kośćca. Cera gładka, uderzająco blada, tylko płaski nos opalony na słońcu. Włosy jedwabiste. Były też różnice mniej uchwytnie, jak sposób patrzenia więźnia. Zdawało się, że słuchając odwracał wzrok, a na Sartori-Irwrasza spoglądał tylko wtedy, gdy sam mówił – chociaż to akurat mogło wynikać ze strachu. Częściej rzucał spojrzenia do góry niż w dół. A nade wszystko mówił olonetem z dziwnie obcą manierą. Wszystko to sobie odnotowawszy, kanclerz rzekł:

– Opowiedz mi o tym górnym świecie, z którego rzekomo pochodzisz. Jestem rozsądnym człowiekiem i bez uprzedzeń wysłucham, co masz do powiedzenia.

Zaciągnął się tutką i rozkaszał. Leks wrócił z opróżnionym wiadrem i nieruchomo stanąwszy pod ścianą, wlepił swoje czerwone oczy w nieokreślony punkt przestrzeni. Bilo siadł ze szczękiem łańcuchów. Położył skute nadgarstki na stole przed sobą.

– Łaskawy panie – rzekł. – Pochodzę, jak już mówiłem, ze świata o wiele mniejszego od waszej planety. Ze świata o rozmiarach może tej wielkiej góry, na której stoi Zamek Matrassylski. Ten świat nosi nazwę Avernus, lecz waszym astronomom jest od dawna znany jako Kaidaw. Avernus znajduje się około tysiąca pięciuset kilometrów ponad Helikonią, jego czas obiegu orbity wynosi siedem tysięcy siedemset siedemdziesiąt sekund, a jego...

– Chwileczkę! Na czym ta twoja góra stoi? Na powietrzu?

– Wokół Avernusa nie ma powietrza. Ściśle biorąc, Avernus to metalowy księżyc. Nie, panie, nie

ma słowa "księżyc" w olonecie, gdyż Helikonią nie posiada naturalnego księżyca. Avernus bezustannie krąży wokół Helikonii, tak jak Helikonią wokół Bataliksy. Wędruje w przestrzeni kosmicznej, tak jak Helikonią, i jest w ciągłym ruchu, tak jak Helikonią. Inaczej spadłby, ściągnięty siłą powszechnego ciężenia. Przypuszczam, że rozumiecie, panie, tę zasadę? Znacnie fizyczne zależności między Helikonią z jednej a Bataliksą i Freyrem z drugiej strony?

– Znam doskonale. – Pacnął muchę, łązącą mu po łysinie. – Masz przed sobą autora Abecadła historii naturalnej, w którym dążę do syntezy całej wiedzy. Przypadkiem trafiłeś na jednego z kilku może ludzi orientujących się, że Bataliksą z Freyrem krążą wokół wspólnego ogniska, podczas gdy Asjopeja, Pogan i Hipokrena wraz z Helikonią krążą wokół Bataliksy. Prędkość naszych siostrzanych planet na orbitach jest wprost proporcjonalna do ich masy i odległości od macierzystego ciała Bataliksy. Kosmologia informuje nas ponadto, że te siostrzane planety zrodziły się z Bataliksy, tak jak ludzie się rodzą z matek, a Bataliksa z Freyra, który jest jej matką. Pochlebiam sobie, że o sferze niebios okażę się należycie poinformowany.

Spojrząwszy w sufit dmuchnął dymem pomiędzy muchy. Bilo odchrząknął.

– Otóż... to zgoła nie tak. Bataliksa ze swymi planetami tworzy stosunkowo stary układ słoneczny, który jakieś osiem milionów lat temu, według naszej rachuby czasu, został przechwycony przez dużo większe słońce – waszego Freyra.

Kanclerz wiercił się nerwowo, to zakładając nogę na nogę, to je prostując z wyrazem irytacji na twarzy.

– Przeszkodami na drodze do wiedzy są prześladowania uczonych dążących do władzy, trudności z przeprowadzeniem badań oraz – a to w sposób szczególny – brak rozeznania w tym, co należy badać. Wszystko to wyłożyłem w moim pierwszym rozdziale. Najwyraźniej posiadasz pewną wiedzę, jednak dla jakichś sobie znanych pobudek odstępujesz od niej na rzecz mieszanki prawdy i fałszu. Nie zapominaj, że kat jest przyjacielem prawdy, Biloszu. Jestem wyrozumiałym człowiekiem, ale takie koszałki-opałki o milionach wyprowadzają mnie z równowagi. Nie zaimponujesz mi samymi liczbami. Każdy potrafi brać liczby z sufitu.

– Nie biorę liczb z sufitu, panie. Ilu ludzi mieszka w całym Kam-panniacie?

Kanclerz wyglądał na zbitego z tropu.

– No, jakieś pięćdziesiąt milionów, według najwiarygodniej szych szacunków.

– Mylisz się, panie. Sześćdziesiąt cztery miliony ludzi i trzydzieści pięć milionów fagorów. W czasach YryDen, na którą tak chętnie się powołujesz, liczby wynosiły osiem milionów ludzi i dwadzieścia trzy miliony fagorów. Biomasa ma bezpośredni związek z ilością energii docierającej na powierzchnię planety. W Sibornalu żyje...

Sartoriirwrasz zamachał rękoma.

– Dość... Próbujesz mi zamącić w głowie... Wróćmy do geometrii słońc. Czy masz czelność twierdzić, że między Freyrem i Bataliksą nie istnieje żadne pokrewieństwo?

Oderwawszy wzrok od swych dłoni Bilo zerknął spode łba na starucha, który siedział poza zasięgiem jego rąk.

– Jeżeli powiem, co się naprawdę zdarzyło, czcigodny panie kanclerzu, czy mi uwierzysz?

– To zależy, czy twoja opowieść jest wiarygodna. Wydmuchnął kłęb dymu.

– Wasza piękna królowa przelotnie tylko mignęła mi przed oczyma – rzekł BiloXiao Pin. – Jakież więc sens ma mój pobyt tutaj i śmierć, jeśli nie wyjawię wam tej wielkiej i jedynej prawdy?

Cudowna postać Myrdeminggali w zwiewnych muślinach na krótko stanęła mu w pamięci jak żywa. I zaczął opowieść. Fagor tkwił przy poplamionej ścianie, pod starym kanclerzem skrzypiało krzesło. Bzykały muchy. Z dworu nie dochodził żaden dźwięk.

– Idąc tutaj zobaczyłem sztandar, na którym było wypisane w olonecie:

"Wszystka wiedza istnieje od początku świata". Tak nie jest. Może to i prawda dla wierzących, ale kłamstwo dla uczonych. Prawda tkwi w faktach, a fakty trzeba wciąż sprawdzać – bo mogą przesłonić prawdę, jak to się stało tam, skąd pochodzę. Zgadzam się z panem, że wiele jest przeszkód na drodze do wiedzy, a także do metasystemu wiedzy, który zwiemy nauką. Avernus jest sztucznym światem. Jest wytworem nauki i jej zastosowania, które – u was nie ma takiego słowa – nazywamy techniką. Może się zdziwisz, słysząc, że rasa, z której pochodzę, która się rozwinęła na dalekiej planecie zwanej Ziemią, jest młodsza od was, Helikończyków.

Urwał, jak gdyby porażony wymówieniem tak brzemiennego słowa Ziemia w tym otoczeniu.

– Nie będę więc kłamał, chociaż ostrzegam, że to, co mam do powiedzenia, może się nie zgadzać z pańskim obrazem świata, panie kanclerzu. I może przyprawić pana o wstrząs, chociaż jest pan najświatlejszym umysłem swojej rasy.

Kanclerz zgniótł trędowniczkę o blat stołu i przycisnął dłoń do czoła. Bolała go głowa. W więziennej izbie nie było czym oddychać. Nie nadażał za wywodami młodego przybysza, a przed oczyma jawił mu się król, nagi, i miecz groźnie wbity w belkę powały. Więzień wciąż mówił. Tam, skąd pochodził, kosmos był znajomy jak ogródek przed domem. Beznamiętnym głosem Bilo opowiadał o żółtej gwiazdzie typu G4, charakteryzującej się małą jasnością i liczącej około pięciu tysięcy milionów lat. Temperatura powierzchniowa gwiazdy wynosiła tylko 5600 kelwinów. To było słońce obecnie zwane Bataliksą. Przeszedł do opisu jej jedynej zamieszkanego planety, Helikonii, bardzo podobnej do dalekiej Ziemi, ale chłodniejszej, posępniejszej, starszej, o wolniejszych procesach życiowych. Przez wiele milionów lat na jej powierzchni rozwinęły się gatunki istot żywych od zwierzęcia po istotę rozumną. Osiem milionów lat temu, według ziemskiej rachuby, Bataliksą ze swym układem weszła w zatłoczony obszar gwiazdny. Dwie gwiazdy, które Bilo nazwał gwiazdą A i gwiazdą C, obiegały wspólny środek masy, tworząc gwiazdę podwójną. Bataliksą dostała się w potężne pole grawitacyjne gwiazdy A. Po licznych wywołanych tym perturbacjach zgubiła się gwiazda C, gwiazda A zaś na nową towarzyszkę wzięła sobie Bataliksę. Gwiazda A była słońcem krańcowo odmiennym od Bataliksy. Wprawdzie miała zaledwie dziesięć do jedenastu milionów lat, jednak w swej ewolucji opuściła ciąg główny gwiazd, wkraczając w gwiazdną starość. Średnicę miała ponad siedemdziesiąt razy dłuższą, a temperaturę dwakroć wyższą niż Bataliksą. Była nadolbrzymem typu A.

Mimo najszczerzej chęci kanclerz nie mógł się skupić na tym, co słyszał. Ogarnęło go przecucie klęski. W oczach mu się ćmiło, zdawało mu się, że kołatanie jego serca wypełnia całą izbę. Przytknął saszetkę z bikinkami do nosa, by zwalczyć duszności.

– Wystarczy – przerwał Bilowi w pół słowa. – Historia zna takich jak ty dziwaków, co mają usta pełne niezrozumiałych wyrażen i kpią z mądrości mędrców. Może to skutek trapiących nas urojeń... I nic dziwnego, że nas trapią. Nie dalej jak dwa dni temu – nie dalej jak pięćdziesiąt godzin temu – nasza królowa królowych została oskarżona o udział w spisku i wygnana z Matrassylu. a sześćdziesięciu jeden myrdolatorów padło ofiarą okrutnego mordu... A ty mi pleciesz o słońcach latających to tu, to tam, jak im się podoba...

Bilo opędził się od much jedną ręką, palcami drugiej bębniąc po stole. Leks z przymkniętymi oczami stał w pobliżu, nieruchomy jak sprzęty.

– Ja też jestem myrdolatorem. Ja też ponoszę znaczną winę za tę zbrodnię. Służba królowi weszła mi za bardzo w krew... jak jemu za bardzo weszła w krew służba religii. Życie było takie spokojne... Teraz kto wie, jakie nowe kłopoty przyniesie jutro?

– Za bardzo się zamknęłaś we własnych drobnych sprawach – rzekł Bilo. – Z tobą jest tak samo

złe, jak z moim avernusjańskim guru. On w ogóle nie wierzy w prawdziwość wszechświata. Twój umwelt jest nie większy niż ten pałac.

– Co to jest umwelt?

– Świat postrzegany.

– Zachowujesz się, jakbyś zjadł wszystkie rozumy. Czy to prawda, że musłang, jak spostrzegłem, nosi brązowe pręgi, a wiosną Wielkiego Roku nosił kolorowe?

– To prawda. Zwierzęta i rośliny obierają różne strategie przetrwania ogromnych zmian Wielkiego Roku. Istnieją podwójne biologie i botaniki, jedne podległe pierwszemu słońcu, jak niegdyś, inne nowemu.

– Znów wracasz do swych wędrownych słońc. W ciągu trzydziestu siedmiu lat życia doszedłem do przekonania, że po to mamy dwa słońca, by nam stale przypominały o dwoistości naszej natury, o duchu i o ciele, życiu i śmierci, i po dualizmach ogólniejszych, władających ludzkim życiem, jak ciepło i zimno, światło i ciemność, dobro i zło.

– Mówisz, kanclerzu, że historia zna takich jak ja. Może to byli inni przybysze z Avernusa, tak jak ja usiłujący objawić prawdę i tak jak ja zignorowani.

– Objawienia poprzez zwariowane geometrie? Nie warte funta kłaków! Sartoriirwrasz wstał i marszcząc czoło oparł się palcami na stole. Bilo również się dźwignął z trudem na nogi, dzwoniąc łańcuchami.

– Prawda by was wyzwoliła, kanclerzu. Cokolwiek pan myśli, te "zwariowane geometrie" rządzą wszechświatem. Pański umysł to na wpół rozumie. Niech pan nie obraża własnego rozumu. Czemu nie pójść dalej, czemu nie wyrwać się ze swego u m w e 11 u? Kwitnące na Helikonii życie jest dziełem owych "zwariowanych geometrii", którymi pan tak pomiata. Wspomniane słońce A, tutaj nazywane Freyrem, to gigantyczny termojądrowy reaktor wodorowy, buchający wysokoenergetycznym promieniowaniem. Bataliksa i jej planety, wchodząc osiem milionów lat temu na orbity wokół Freyry, skąpały się w rentgenowskim i nadfioletowym promieniowaniu. Ta kąpiel miała dalekosiężne skutki dla niemrawej natenczas biosfery helikońskiej. Nastąpiła rewolucja genetyczna. Pojawiły się zadziwiające mutacje. Niektóre już na stałe. Pewien szczególny gatunek zwierząt powstał do walki o dominację należną przedtem znacznie starszemu gatunkowi...

– Ani słowa więcej! – krzyknął Sartoriirwrasz, zamykając dyskusję machnięciem ręki. – Co to za bzdury o zmianie jednego gatunku w drugi? Czy pies może się zmienić w aranga albo musłang w kaidawa? Nawet dziecku tyle przynajmniej wiadomo, że każde zwierzę ma swoje miejsce, a ludzie – swoje. Tak zrządził Wszechmocny.

– Pan jest ateistą! Pan nie wierzy we Wszechmocnego! Skonfundowany kanclerz potrząsnął głową.

– Wolę, by mną rządził Wszechmocny niż twoje zwariowane geometrie... Zamierzałem ofiarować cię królowi w podarunku, ale ty byś go rozjuszył jeszcze bardziej.

Sartoriirwrasz z rezygnacją uświadomił sobie, że już się nie da ułagodzić króla głosem rozumu. Sam zresztą czuł się głuchy na głos rozumu. Gdy słuchał Bila, przyszedł mu na myśl drugi młody szaleniec – Robayday. Kiedyś urocze dziecko, nagle opętany jakimś bzikiem, Ignący do pustyni niczym do gorącego łona matki, niekiedy ledwie zrozumiwały... zmora królewskich rodziców. Kanclerz zważył w myślach własną walkę o zrozumienie świata. Jak to się dzieje, że tak wszechobecny problem dręczy tak niewielu? Bilo mógł być majakiem zmęczonej wyobraźni, dzieckiem głępszej połówki rozumu, zrodzonym na zmoreę kanclerza.

– Trzymaj straż, Leks – rzekł do fagora. – Jutro zadecyduję, co zrobić z nim i z jego ..umweltami".

W sypialni przytłoczyła kanclerza samotność. I wspomnienie, jak go król ucapił i cisnął o posadzkę. Czuł, jak mu puchną obtłuczone plecy, jak ciało mu brzydnie i schnie z upływem lat. Ileż

poniżenia przynosił każdy nowy dzień. Na wezwanie Sartoriirwrasza stawiała się niewolnica, nie wyglądająca na zachwyconą, tak jak on sam nie wyglądał na zachwyconego stawiając się na wezwanie króla.

– Wymasuj mi plecy – rozkazał. Oparła na nim mocne, lecz łagodne dłonie, wodząc nimi od karku do bioder kanclerza. Pachniał trędowniczką, fagorami i moczem. Niewolnica była Randonanką, z bliznami plemiennych tatuaży na policzkach. Pachniała owocami. Po jakimś czasie przekreślił się z rozbudzoną kuśką do góry. Oto najlepsza pociecha dla wierzących i ateistów pospołu, najlepsza ucieczka od abstrakcji. Włożył jedną rękę między ciemnoskóre tułaczce uda, drugą złapał niewolnicę za piersi, sięgnawszy jej pod koszulę. Przyciągnęła go do siebie.

Na Ayernusie podpisywano petycje żądające wysiania wyprawy na Helikonię i uwolnienia Bila Xiao Pina. Petycje przeszły bez większego echa. Kontrakt Bila stwierdzał bez niedomówień, że w jakichkolwiek by się Bilo znalazł opałach, żadna pomoc nie nadejdzie. Co nie przeszkodziło wielu młodym damom z rodu Finów zagrozić popełnieniem samobójstwa, jeśli władze natychmiast nie przystąpią do działania. Stacja jednak pracowała jak zawsze, jak przez minione trzydzieści dwa stulecia. Niewielkie mieli Avernusjanie pojęcie o kunszcie technokratów Ziemi, którzy ich zaprogramowali do posłuszeństwa. Wielkie rody jak zwykle analizowały przychodzące dane, a system układów samoczynnych przekazywał je na daleką Ziemię. Tam wszędzie, jak Ziemia długa i szeroka, wznosiły się konchy olbrzymich audytoriów. Co było wydarzeniem na Helikonii, stawało się informacją na Ziemi. Wpierw odbierał sygnały Charon u samych krańców układu słonecznego. Tam były poddawane ponownej analizie, klasyfikacji, zapisowi w pamięci i retransmisji. Najpopularniejszy program docierał na Ziemię przez Kanał Kinoedukacyjny, który przedstawiał najróżniejsze nie kończące się seriale z układu gwiazdy podwójnej. Wydarzenia na dworze króla JandolAnganola obecnie szły jako wiadomość z ostatniej chwili. A wiadomość ta liczyła sobie tysiąc lat. Odbierający ją widzowie stanowili część ogólnoziemskiej społeczności, która podlegała zmianom równie głębokim, jak zmiany na Helikonii.

Schyłek Ery Nowożytnej został przyśpieszony przez wielki wzrost zlodowacenia na ziemskich biegunach, prowadzący do Wielkiej Epoki Lodowcowej. W dziewiątym wieku szóstego tysiąclecia od narodzenia Chrystusa lodowce znów były w odwrocie, a mieszkańcy Ziemi przemieszczali się ich śladem na północ. Dawne rasowe i narodowe uprzedzenia poszły w niepamięć. Jak na Ziemi, tak i wśród ludzi zapanował życzliwy klimat, w którym światłe świadomości otworzyły się na poznawanie więzi biosfery, powinowactw jej żywych organizmów z Panią Kulą Ziemską. Raz przynajmniej nastali przywódcy i politycy godni swego ludu. Apostołowie prawdziwej idei, będący natchnieniem dla ludzi. To oni sprawili, że w odysei planety Helikonii ludzie ujrzeni nie tylko nieskończoność biegu wydarzeń, ale odbierali ją również jako pogładową lekcję szaleństwa. Pod wielkimi konchami zebrały się miliony Ziemian, aby popatrzeć na odjazd królowej, spalenie myrdolatorów, kłótnię króla z kanclerzem. Były to wydarzenia współczesne w tym sensie, że wywoływały żywe emocje wśród oglądających owe gigantyczne obrazy. I były to wydarzenia prehistoryczne, sprasowane w pokładach światła, które je przyniosło. Zdawało się, że w zetknięciu ze świadomością ziemskich istot ludzkich tryskały odrodzonym ogniem życia, tak jak dawno pogrzebane drzewa karbońskiego okresu Ziemi oddają energię słońca, kiedy węgle płoną w piecyku. Nie każdego wzruszał ten ogień. W pewnych kręgach uważano Helikonię za relikwiarz dawno przebrzmiałej, burzliwej epoki historii, jak na słusznie puszczonej w niepamięć czasów, gdy ludzkie sprawy na Ziemi miały się niewiele lepiej niż na Helikonii. Nowi ludzie obrócili oczy ku nowym horyzontom życia, bez człowieka z machinami w roli najwyższego sędziego. Część z podążających tą drogą mimo wszystko znajdowała czas na oklaskiwanie kostycznego Sartoriirwrasza

albo myrdolatorów. Królowa miała na Ziemi wielu stronników, nawet na nowych terenach. Dzień i noc wyczekiwali oni owych przebrzmiałych wieści.

X. BILO ZMIENIA ANIOŁA STRÓŻA

Czy wydarzenia w Matrassylu toczyły się pod dyktando Akhanaby, czy też "zwarionych geometrii", czy były z góry przesądzone, czy też zależne od ślepego zbiegu okoliczności, czy rozstrzygała o nich wolna wola, czy też determinizm – tak czy siak najbliższe dwadzieścia pięć godzin stanowiły dla Bila Xiao Pina jeden wielki koszmar.

Owego dnia zimy Wielkiego Lata, w którym kanclerz Sartoriirwrasz przesłuchiwał Bila nie słuchając jak należy, niemal pięć godzin trwały ciemności nocy, kiedy to na niebie nie było ani Freyra, ani Bataliksy. Nisko nad północnym horyzontem pojawiła się kometa YaraPombra. Wkrótce zniknęła w osobliwej mgle. Nie powiał spodziewany torakorkan, przysyłając tę mgłę w swoim zastępstwie. Mgła przyplęnęła drogą, którą odpłynęła królowa – rzeką. Wpierw jako zimny dreszcz odczuli ją na gołych plecach dokerzy, przewoźnicy i inni ludzie rzeki znad połączonych wód Valvoralu i Takissy. Podstępny żywioł towarzyszył części wodnego bractwa w powrocie do domu i wkradał się za powracającymi w progi budynków przy biednych uliczkach portowych – przez co wyglądały na jeszcze biedniejsze. Ich żony wyglądając przez okno podczas domykania okiennic widziały, jak portowe magazyny rozpływają się w powodzi smolistej sepia. Wezbrawszy, sepia przelała się ponad urwiska i niepostrzeżenie jak choroba przeniknęła w mury zamku. Patrolujący tam żołnierze w mundurach z cienkiej tkaniny i fagory we własnych kudłatych futrach włączyli plugastwo za sobą, pokastywali w nim, aż wreszcie potonęli w czarnej zupie. Sam pałac krótko opierał się inwazji, niebawem przybierając postać pałacu widma. Cicha i żałobna mgła błędziła po opuszczonych komnatach Myrdeminggali. Intruzka znalazła również dostęp do świata pod górą. Wionęła wśród mrowia owych gongów i głosów, i pacierzy, i prostracji, i procesji, i opresji, gdzie były lepiące świętości i gdzie swoje upiorne tchnienie swobodnie mieszała z tchnieniem nabożeństw i wiernych, opasując płomyki poświęconych świec siną aureolą, jak gdyby tutaj, i tylko tutaj, czekał ją przytulny kąt i bratnie dusze. Pełgając wśród bosych stóp na posadzkach, odkryła sekretne kryjówki w sercu góry. Do tych kryjówek prowadzono Bila Xiao Pina.

Ledwie Sartoriirwrasz wyszedł z izby, Bilu złożył skołataną głowę na stole, puszczając skonanym myślom wodze. Spróbował opanować swoje myśli, lecz pierzchały przed świadomością, niczym więźniowie przez mur. Czy nie nazwał kiedyś Helikonii "formą sporu"? No cóż, z prawdą nie ma sporu. W pamięci stanęły mu wszystkie jego elokwentne spory o prawdę z guru, jeszcze na Avernusie. Teraz otarł się o prawdę, a ona go zabije. Złoczyńcze myśli od nowa podjęły swą krecią robotę, ponownie przerwana przez Leksa, który z psią pokorą postawił przed Bilem miskę z jedzeniem.

– Jedz jeść – odparł na nieprzytomne spojrzenie Bila.

W misce była owsianka z wkrojonym jakimś owocem o intensywnej barwie. Bilu ujął srebrną łyżkę i zaczął jeść. Nie miało to smaku. Po kilku łyżkach zrobił się senny. Z jękiem odsunawszy miskę znów wsparł głowę na stole. Muchy obsiadły owsiankę i jego odsłonięty policzek.

Leks podszedł do ściany naprzeciwko tajnych drzwi kanclerza i zapukał w jedną z drewnianych płyt. Na odstuknięcie z drugiej strony odpowiedział dwoma puknięciami, rozdzielonymi dłuższą przerwą. Segment boazerii odjechał od ściany, siejąc pył na izbę. Posuwistym krokiem ancipitów weszła do izby fagorka. Bez namysłu dźwignęła bezwładne ciało Bila i z pomocą Leksa wniosła je do stojącego teraz otworem wąskiego korytarza. Zamknawszy płytynowe drzwi, zasunęła rygle. Wiele pałacowych korytarzy ziało pustką; ten, nawet nie otynkowany, sprawiał wrażenie opuszczonego od wieków. Dwoje wielkich ancipitów wypełniło całe przejście. Fagorki niewolnicy

stanowili, obok gwardzistów, dość powszedni widok w Pałacu Matrassylskim. Zatrudnieni przy robotach kamieniarskich, do których mieli odrobinę smykałki, obudowali wykrojoną wewnątrz grubych murów pustą przestrzeń, czyniąc z niej własne dogodne ciągi komunikacyjne po całym zamczysku.

Wciąż sparaliżowany, choć przytomny, Bilo zorientował się, że znoszą go w dół schodami biegnącymi tam i z powrotem, jak gdyby nie mogły znaleźć wyjścia. Przewieszona przez fagorze ramię głowa dyndała mu, na każdym stopniu waląc gildę w łopatkę. Przystanęli u podnóża schodów. Gdzieś poza zasięgiem wzroku kopciała pochodnia. Zapiszczały zawiasy. Spuszczano go przez właz w głąb ziemi. Za cały krzyk trwogi dobył z siebie jedynie cichutkie westchnienie. Z opadłą w tył głową przez chwilę widział pochodnię, zanim ją przesłonił kudłaty łeb. Znalazł się gdzieś pod ziemią, w kleszczach trzypalcych dłoni. Fioletowawo-czerwone tęczówki płonęły w ciemności. Ze wszystkich stron dolatywały odgłosy szurania i mdlące zapachy. Trzasnęła kłapa włazu, a wielokrotne echa kolejno marły w dali. Znów widział niewiele więcej niż kawałek włochatych pleców. Jeszcze jeden właz, jeszcze jeden postój, jeszcze jedne schody i znów te niesamowite szmery. Omdlał, zachowując w świadomości jedynie wstrząsy przy schodzeniu, które trwało w nieskończoność.

Był zmuszony iść podtrzymywany niczym pijak. Nie czuł własnych stóp. Oczywiście – dostał narkotyk w owsiance. Głowa mu opadała, lecz już się orientował, że idą drewnianą emporą pod stropem dużej podziemnej sali. Z empory zwieszono były proporce. W dole siedzieli bosy ludzie w długich szatach. Po chwili przypomniał sobie, co to za ludzie: mnisi. Siedzieli za długimi stołami, a usługiwały im fagory również w długich szatach. Bilowi Xiao Pinowi wróciła pamięć i z nią wspomnienie podziemnych klasztorów u stóp góry, gdzie kupował placek. Prowadzono go labiryntem świętych korytarzy wydrążonych w skale pod pałacem JandolAnganola. W marszu wracał do przytomności. Towarzyszyły mu dwie gildy. Najwidoczniej Leks musiał zostać przy pewnie już śpiącym kanclerzu. Wśród gwaru rozmów w dole nikt nie usłyszał słabiutkiego wołania Bilo o pomoc.

Minęli oświetloną salę. Wracali do korytarzy. Usiłował się opierać, lecz fagorki popychały go naprzód. Na skalnej ścianie biegł wąski rzeźbiony ornament. Próbował czepiać się tych rzeźb, lecz odrywano mu od nich ręce.

Znów w dół.

Grobową ciemność, zapachy rzeki i rzeczy zrodzonych bez poczęcia.

– Proszę mnie puścić.

Jego pierwsze słowa.

Otwarte wrota.

Znalazł się w innym świecie, w podziemnym królestwie ancipitów. Inne było powietrze, obce były dźwięki i zapachy.

Pluskała woda.

Zaszła zmiana proporcji: sklepienia stały się niższe, chodniki szersze, na kształt pieczar. Droga wyboista i pod górę. Jakby włąził w paszczę martwej bestii.

Na Avernusie nie przygotowano Bilo na taką przygodę. Hordy fagorów tłoczyły się, by obejrzeć go z bliska, podtykały mu pod twarz swoje wole oblicza. W tym ścisku został przepchnięty na środek zgromadzenia ancipitów, bykunów i gild. W ściennych niszach dookoła stały ich totemy – wiekowe fagory coraz bardziej i bardziej pogrążające się w uwięzi; najstarszy totem wyglądał jak malutka czarna laleczka, niemal w całości złożona z keratyny. Zgromadzeniu przewodził młody kzahhn Ghht-Yronz Thari, czaban jeszcze. Świadczyły o tym rude końce włosów w jego białym gęstym futrze na ramionach. Długie zakrzywione rogi miał pomalowane w spiralny ornament, głowę nisko pochylił w

bojowej postawie, aby nie zawadzić końcami tych rogów o strop komory. Strop był chropowaty i zupełnie nie obrobiony, lecz sama komora miała kształt prawie idealnego koła. Audytorium – o ile taka nazwa była odpowiednia dla nieczłowieczej publiczności – w istocie zbudowano na planie koła. Ghht-Yronz Thari, sztywno wyprostowany, nadawszy pierś, stał w jego osi. Niskie przegrody dla publiczności rozchodziły się jak szprychy od osi, dzieląc podłogę na niskie kojce. Członkowie zgromadzenia stali w nich nieruchomo, co najwyżej poruszając ramieniem albo uchem. W każdym kojcu znajdowało się koryto i długi łańcuch osadzony w kamiennym murku. Wycięte w podłodze rynny na wodę czy może urynę biegły do rowów na obwodzie koła. I tu musiała dotrzeć mgła, bo chyba nie od mdlących oddechów ancipitalnej rasy zsiniały pochodnie. O ile Bilu, obmacywany przez szorstkie dłonie, mógł objąć to miejsce wzrokiem, wiodły stąd sztolnie, jedne w górę, inne, o nie zachęcających wejściach, jeszcze dalej w głąb ziemi. Zaświtało mu w głowie: w tych pieczarach o tej porze fagory zbierały się w poszukiwaniu ucieczki przed upałem; nadejdzie czas, gdy zgromadzą się w nich ludzie, szukający ucieczki przed mrozem. A wtedy świat będzie należał do fagorów.

Na jakiś znak rozpoczęło się przesłuchanie. Nie ulegało wątpliwości, że Leks przekazał Ghht-Yronzowi Tharlowi treść rozmowy Bila z Sartoriirwraszem. W zgrzebnej wełnianej sukni siedziała obok kzahhna przedstawicielka rasy ludzkiej, kobieta w nieokreślonym wieku i nieokreślonych kształtów, która tłumaczyła kolejne pytania na olonet. Pytania skupiały się wokół przybycia Bila z Freyra – fagory nie chciały nawet słyszeć o Avernusie. Skoro ten Syn Freyra przybył skądinąd, to siłą rzeczy przybył z Freyra, skąd, w oczach ancipitów, pochodzi wszelkie zło.

Nie rozumiał ich pytań. Ani fagory nie rozumiały jego odpowiedzi. Nie znalazł wspólnego języka z borlieńskim kanclerzem; a tu przepaść kulturowa była o wiele głębsza – rzekłby, nie do przezwyciężenia, gdyby nie to, że od czasu do czasu porozumiewał się z nimi bez trudności. Te niesamowite stworzenia w lot pojęły na przykład, że pora wzrostu temperatury na Helikonii przeminie za trzy lub cztery ludzkie pokolenia, ustępując miejsca długotrwałemu pochodowi ku zimie.

W tym momencie ustały pytania, a kzahhn zapadł w trans, porozumiewając się z przodkami zebranego komponentu. Niewolnica podała Bilowi zaprawioną czymś wodę do picia. Poprosił, aby mu pozwolono wrócić do pałacu, wkrótce jednak podjęto przesłuchanie.

Przedziwnym trafem fagory pojęły to, czego nie mógł pojąć Sartoriirwrasz, że Bilu podróżował w przestrzeni kosmicznej, aczkolwiek w archaiku ancipickim określenie "przestrzeń kosmiczna" było niemal nieprzetłumaczalnym zlepkiem oznaczającym "bezkresny szlak oktafów śródpowietrznych i wielkorocznych kanonów". Zdarzało im się określać to krócej, jako "szlak Pogana". Obejrzały zegarek, w ogóle go nie dotykając. Bilu był popychany wśród zebranych, od jednego do drugiego, wzdłuż szprych koła zgromadzenia, ażeby każdy obejrzał niezwykley czasomierz. Wyjaśnienia Bila, że trzy wskazania podają czas na Ziemi, Helikonii i Avernusie, nic fagorom nie mówiły. Podobnie jak w spotkaniu pod Matrassylem, tak i tutaj nie usiłowały zabrać cacka i niebawem przeszły do innych kwestii. Musiał się ocierać o gęste futra, na które miał uczulenie – łzy ciekły mu z oczu, kapało z nosa. Między jednym kichnięciem a drugim dzielił się z fagorami swą wiedzą o sytuacji na Helikonii. Mówił im wszystko, co wiedział, ze strachu nie ukrywając niczego. Ilekroć usłyszały coś, co mogły ogarnąć rozumem, lub coś, co je zaciekało, kzahhn przekazywał tę informację swemu keratynowemu przodkowi, do zapamiętania lub do wiadomości – Bilu nie był pewny, czy chodziło o pierwsze czy o drugie; na Avernusie nie prowadził badań nad ancipitami. W pewnej chwili, gdy biedził się chyba niepotrzebnie objaśniając, jak przychodzą i odchodzą pory roku, fagory powiedziały mu, że podgórskie mnisie groty w jednych porach należą do nich, w innych do Synów Freyra. Kiedyś, w innym życiu, chełpił się, że Avernus ma dla niego zbyt mało odmienności; teraz, w

oparach odmienności, osobliwa nić porozumienia przędła się między hurdu, archaikiem i archajem, między nauką i metaforą. Słuchał ich niczym dziecko, które odkrywa, że zwierzęta mówią.

– Możliwość zemsty na Synach Freyra w nieharmonijnej porze Wielkiego Roku nie ma bytu. Tylko przetrwanie przy życiu musi być za nasz cały obowiązek. Czuwanie wypełnia nam szleje. Cały czas ma przeżywanie do śmierci Freyra. Ramię Kzahnna JandolAnganola broni przetrwania ancipitów na ziemi jego komponentu. Dlatego nasze legiony mają nakaz formowania posiłków dla Kzahnna JandolAnganola. Taki jest nasz obecny kanon nieharmonijnej pory roku. Ty, Bilo, masz nakaz uważalności na niesprawianie dodatkowych kłopotów temu kzahhnowi niemocy zwanemu JandolAnganol. Masz zrozumienie?

Z zamętem w głowie od zdań wyładowanych rzeczownikami odsłownymi próbował dowodzić swej niewinności. Ale fagorzy Umwelt nie obejmował kwestii win i ich odpuszczania. Zakłopotanie słowami Bila podsycalo atmosferę wrogości. Pod nią czaiła się jakaś trwoga, jakiś bezosobowy lęk. Uważając JandolAnganola za słabego fagory lękały się, że gdy król swoim dynastycznym małżeństwem przypieczętuje sojusz między dwiema stolicami, fagorzy ród w Borlien padnie ofiarą takich samych prześladowań, jak w Oldorando. Żywiły wyraźną nienawiść do Oldorando, zwłaszcza do oldorandzkiej stolicy, którą nazywały jej archajowym imieniem Hrrm-Bhhrd Ydohk.

Podczas gdy sprawy ancipitów stanowiły dla ludzi tajemnicę – białą plamę, to ancipici nieźle się orientowali w sprawach ludzi. Rodzaj ludzki z wielkopańska miał ich w takiej pogardzie, że fagory często były obecne, acz nie zauważane, przy omawianiu najżywotniejszych interesów państwa. Byłe miodek mógł się wykazać w roli szpiega.

Stojąc naprzeciw tych nieporuszonych postaci Bilo wyobraził sobie, że został porwany w celu wymuszenia na królu rezygnacji z poślubienia oldorandzkiej oblubienicy; zaczął niemrawo wyjaśniać, że król nawet nie słyszał o jego istnieniu. Za późno ugryzł się w język, pojawiwszy, że wpada z deszczu pod rynnę. Gdyby uwierzyły w konspiracyjną obecność Bila w pałacu, mogłyby go tutaj zatrzymać w więzieniu gorszym niż dotychczasowe. Lecz kudłate zgromadzenie, zupełnie tym nie zainteresowane, po raz kolejny wróciło do porwania Bataliksy przez Freyra, przykuwającego uwagę fagorów z niepojętą magnetyczną siłą.

Jeżeli nie z Freyra, to czy on przybywa z TSehn-Hrr? Nie rozumiał tego pytania. Czy TSehn-Hrr oznacza Avernusa, Kaidawa? Zdecydowanie nie. Usiłowaly wyjaśnić, usiłowal i on. TSehn-Hrr pozostawal zagadką. Bilo miał wrażenie, że dołączył do podpierających ściany keratynowych figurek, skazany na mówienie w kółko tych samych rzeczy, wiele razy, coraz cichszym głosem. Rozmowa z fagorami przypominała zapasy z wiecznością. Przechodził z rąk do rąk w kręgu zgromadzenia, tu popchnięty, ówdzie zawracany. Ponowne zainteresowanie wzbudził jego trzywskaźnikowy zegarek. Żywe cyferki hipnotyzowały fagory. Żaden jednak nie zechciał zdjąć Bilowi z nadgarstka ani choćby dotknąć zegarka, jak gdyby wyczuwając w nim jakąś zgubną moc.

Wciąż jeszcze szukając słów Bilo zorientował się, że kzahn odchodzi ze swą starszyzną. Znów poczuł zamęt w głowie. Miał świadomość, że chwiejnie opada na znajome krzesło i kładzie czoło na znajomym stole. Gildy odprowadziły go do znajomej celi. Świt już się stroił w bładny całun. W celi czekał Leks, bezrogi, wykastrowany i niemalże wierny.

– Konieczność jest kroków do łóżka na porę spania – doradził.

Bilo rozplakał się. Usnął płacząc.

Mgła rozlażyła się na wszystkie strony, minawszy zakole szła w górę rzeki i myszkowała po gęstych zaroślach na obu brzegach Walvoralu. Za nic sobie mając granice państw, przeniknęła daleko w głąb Oldorando. Tam wśród wielu łodzi na zatłoczonej rzece spotkała "Polarną Pannę", zdążającą na południowy wschód, w kierunku Matrassylu i dalekiego morza.

Z zyskiem sprzedawszy w Ołdorando resztę ładunku lodu, płaskodenny żaglowiec wiózł teraz towary do borlieńskiej stolicy lub Ottassolu: sól, jedwabie, wszelkiego rodzaju kobierce, gobeliny, niebieskie guty z jeziora Dorzin, pakowane w skrzynki z kruszonym lodem, rzeźby, zegary, rozmaitość kłów, rogów i futer. Małe kabiny pokładowe zajmowali kupcy podróżujący z własnymi towarami. Jeden z kupców wiózł papugę, inny nową kochankę.

Najlepszą kabinę na pokładzie zajmował właściciel żaglowca, Krillio Munt-ras, sławny kapitan polarny z Dimariam, ze swym synem Diwem. Gapowaty Diw, który mimo wszelkich starań ojca nie miał co marzyć, że mu dorówna w życiowej karierze, wpatrywał się w krajobraz o mglistych konturach. Siedział wprost na deskach pokładu, od czasu do czasu spluwając w toń za burtę.

Ojciec Diwa wygodnie rozparty w brezentowym leżaku trącał struny podwójnej ćwierki – na świadomie chyba sentymentalną nutę, gdyż był to jego ostatni rejs, po którym przechodził w stan spoczynku. Muntras dostroił swój przyjemny tenor do melodii:

Choćbyś jej oddał życie i kochanie, rzeka dla ciebie płynąć nie przestanie...

Po pokładzie spacerowali pasażerowie, wśród nich arang przeznaczony na kolację dla żeglarzy. Widać było, że kapitan polarny ma wielkie poważanie u pasażerów, pominawszy aranga. Tumany mgły snuły się jak kłęby pary nad powierzchnią Walvoralu. Toń jeszcze bardziej pociemniała, gdy podeszli pod klify Kahchazzerhu, których strome zbocza górowały nad rzeką. Pofałdowane niczym stare prześcieradło wznosiły na kilkaset stóp głowy w koronie gęstej roślinności, tak bujnej, że zdawała się zlać z nadwiśniętej skały za pomocą lian i pnączy. Na rozległej połaci urwiska było widać kolonię jaskółek i żałobników. Te ostatnie wleciały w powietrze i zaciekawione krążyły ze swym żalobnym kwileniem nad „Polarną Panną”, która się szykowała do rzucenia cum.

Jeśli Kahchazzerh przyciągał czymś uwagę, to chyba tylko swym położeniem między klifową ścianą a rzeką oraz manifestacyjną obojętnością na obrywanie się pierwszej lub przybór drugiej. Miejsca na samym skraju wody starczyło na niewiele więcej niż kawałek nabrzeża i kilka portowych magazynów, a wśród nich skład ozdobiony przerdzewiałym szyldem: LORDRARDRYJSKA KOMPANIA HANDLU LODEM. Od portu biegła droga ku domostwom i polom rozrzuconym na szczycie klifów. Idący w dół rzeki statek miał tutaj ostatni postój przed Matrassylem.

Do cumującej „Polarnej Panny” wyszło kilku robotników portowych i nadbiegły półnagie wyrostki, bez których się nigdy nie obeszło w takich miejscach. Muntras odłożył swój muzyczny instrument i stanąwszy w wielkopańskiej postawie na dziobie odbierał powitania od ludzi na brzegu, znanych mu 7 imienia bez wyjątku. Spuszczono kładkę. Kto żyw zszedł ze statku, by rozruszać nogi i kupić trochę owoców. Dwaj kupcy, tutaj zakończywszy podróż, patrzyli na ręce marynarzom wyładowującym ich dobytek. Wyrostki nurkowały za rzucanymi do rzeki monetami. Zgrzytem w tym sennym pejzażu był stół rozstawiony przed magazynem Lordrardryjskiej Kompanii, nakryty barwnym obrusem i pod opieką posługacza w bieli. Nieco w tyle stali czterej muzykanci, którzy, gdy tylko burta statku musnęła nabrzeże, ciachnęli skoczny utwór Nie masz pana nad kapitana. To przyjęcie miało stanowić pożegnalny gest personelu miejscowej kompanii lodowej dla jej szefa. Personel liczył trzech ludzi. Tak jak witali statek idący w górę rzeki, tak po raz drugi zbliżyli się uśmiechnięci, aby usadzić kapitana Krillia i Diwa za stołem. W trójce pracowników był jeden kanciastej budowy młodzik, speszony tym całym przedsięwzięciem; pozostali dwaj byli siwowłosi i starsi od człowieka, któremu służyli przez tyle lat. Starsi panowie potrafiли uronić okolicznościową łzę, jednocześnie taksując ukradkiem młodego kapitana Diwa, oceniając, o ile zmiana kierownictwa zagraża ich posadom. Każdemu z tej trójki Muntras uściśnął dłoń, po czym opadł na przygotowany fotel. Przyjął kielich wina, w którym iskrzyły się okruchy jego własnego lodu. Zapatrzył się na leniwą rzekę. Drugi brzeg ledwo majaczył we mgle. Posługacz serwował placuszki, a panowie

toczyli rozmowę, poprzedzając zdania wyrażeniem "A pamiętacie, jak..." i wieńcząc je śmiechami. Niemordowanie kołujące nad nimi ptaki zagłuszały czyjeś krzyki i szczekanie psów. Kiedy te hałasy przybrały na sile, kapitan polarny spytał, co się dzieje. Obaj starsi panowie zrobili niewyraźne miny, tylko młodzik parsknął śmiechem.

– Halali we wsi, kapitanie. – Wskazał kciukiem w kierunku klifów. – Mordują fugasów.

– W Oldorando pasjami lubią halali – zauważył kapitan polarny. – I nierzadko wszczynają je kapłani, by przy okazji mordowania fagorów mordować rzekomych heretyków. Religia! Tfu!

Podjęli wspominki o czasach, gdy wspólnie organizowali śródlądowy handel lodem, i o despotycznym ojcu kapitana polarnego.

– Twoje szczęście, że masz innego ojca, kapitanie Diw – powiedział jeden ze starych pracowników.

Jakoś bez przekonania kiwnąwszy głową Diw wstał z fotela. Zaszedł nad samą wodę, by stamtąd popatrzeć na szczyt klifu.

– To halali! – zawołał po chwili do ojca. Nie zwracano na niego uwagi, dalej rozmawiając, dopóki nie zawołał po raz drugi:

– Halali, tato. Zaraz będą spuszczać fugasy z urwiska. Wskazał do góry.

Inni pasażerowie statku też tam wskazywali, wyciągając szyje i gapiąc się na szczyt urwiska. Róg zagrał halali i wzmoгло się ujadanie psów.

– W Oldorando pasjami lubią halali – powtórzył kapitan, wstając ociężale i kierując kroki do miejsca, gdzie jego syn stał z rozdziawionymi ustami.

– Bo widzicie, panie, to wszystko na polecenie władz – wyjaśnił jeden ze starych pracowników, zerkając w oblicze kapitana polarnego i nie odstępując jego boku. – Mordują fagory i zabierają ich ziemię.

– Po czym nie uprawiają jej jak należy – dodał kapitan polarny. – Powinni dać tym biednym choleroom spokój. Są całkiem pożyteczne.

Słychać było chrapliwe wrzaski fagorze, lecz niewiele się dało wypatrzeć. Niebawem jednak buchnęły tryumfalne okrzyki ludzi i ożyła gęstwa chaszczy na urwiskach. Leciały obłamane gałęzie, toczyły się kamienie, a z tym wszystkim wyleciał z ukrycia jeden osobnik i szusnął w dół, to spadając, to objając się i budząc olbrzymie zamieszanie wśród żałobników. Gruchnął na splechetek brzegu pod urwiskiem, na wpół dźwignął się na nogi i zwałił do rzeki. Wzniesiona trójpalca dłoń powoli zniknęła w toni razem z jej porwanym przez nurt właścicielem. Diw zaśmiał się jak głupi.

– Widziałeś to?! – zawołał.

Drugi fagor, próbując ujść swym ludzkim dręczycielom, zaczął z powodzeniem sadzić w dół zbocza. Wtem potknął się, runął na łeb, odbił się od skalnej ostrogi i przekoziółkował w wodę. Za nim poszły inne osobniki, małe i duże. Przez jakiś czas staczały się po urwisku. Para fagorów, trzymając się za ręce, skoczyła prosto na dół ze szczytu klifu, gdzie była większa stromizna. Przerwała najdalej wysunięte gałęzie w przewieszanej koronie drzewa i ominąwszy skalną ostrogę chlupnęła do rzeki. Zbyttno rozgrzany pościgiem pies skręcił sobie na brzegu kark, skacząc za nimi.

– Zabierajmy się stąd – rzekł Muntras. – Nie lubię takich rzeczy. Żywo, załoga, wciągając kładkę. Wszyscy na pokład, komu pokład pisany. Pośpieszyć się!

Czym prędzej wymienił uścisk dłoni ze swym starym personelem i wielkimi krokami ruszył ku "Polarnej Pannie", by dopilnować wykonania rozkazów.

– Z przyjemnością zauważam – zagadnął go któryś z oldorandzkich kupców – że nawet w tych zabitych deskami stronach próbują nas uwolnić od tej kudłatej zarazy.

– Nic nam nie zrobiły – szorstko odparł Muntras, a jego masywna postać nawet nie zwolniła kroku.

– Przeciwnie, panie kapitanie, są najstarszym wrogiem człowieka, a w czasie Ery Lodowej wymordowały nas prawie do nogi.

– Zamierzchła przeszłość. Życie trzeba w teraźniejszości. Na pokład, wszyscy. Jak najszybciej odbijać mi z tej barbarzyńskiej dziury.

Marynarze pochodzili z Hespagoratu, tak jak kapitan. Wciągnąwszy kładkę bez szemrania wyszli statkiem na rzekę. Pasażerowie znoszonej ku nurtowi "Panny" zobaczyli fagorze trupy pływające w smugach złotawej posoki. Któryś z marynarzy podniósł alarm. Na kursie był żywy fagor, nieudolnie walczący o utrzymanie się na powierzchni wody. Szybko przyniesiono i wysunięto bosak za burtę. Przy braku wiatru nie stawiano żagli, lecz statek nabierał szybkości z prądem. Fagor i tak pojał, w czym rzecz. Zawzięcie młóćąc wodę dopadł tyki i oburącz chwycił za jej koniec. Rzeka przyniosła fagora do nadburcia, a marynarze wyłowili go.

– Trzeba mu było dać się utopić. Fagory nie cierpią wody – powiedział kupiec.

– To mój okręt i tu moje słowo jest prawem – złowrogo odparł Muntras. – Jeśli się panu nie podoba na moim okręcie, mogę zaraz pana wysadzić.

Bykun leżał na deskach w coraz większej kałuży wody, łapiąc oddech. Broczył posoką z rozciętej głowy.

– Dajcie mu łyk egzageratu – rzekł kapitan. – Wyliże się.

Nie czekając, aż przyniosą ów mocny dimariamski trunek, zniknął w swojej kabynie. Lata życia przekonały kapitana, że jego bliźni stają się coraz wstrętniejsi, coraz bardziej krwiożerczy, coraz mniej litościwi. Być może to sprawka pogody. Być może świat szeźnie w ogniu. Tak czy siak, on osobiście osiadzie w swej rodzinnej Lordrardrze, w swym wygodnym domu z widokiem na morze. W Dimariamie zawsze było chłodniej niż w przeklętym Kampaniacie. Ludzie tam byli przyzwoitsi. Bawiąc w Matrassyłu złoży wizytę JandolAnganolowi, w myśl zasady, że mądry człowiek zawsze odwiedza znajomych sobie królów. Nie odwiedzi królowej, która odeszła razem z kupionym kiedyś od niego pierścieniem, ale będzie się musiał zająć wysyłką listu Myrdeminggali, gdy tylko dopłyną do Ottassolu. Przy okazji wysłucha najnowszych wieści o królowej królowych. Może też wpadnie do Metty; w przeciwnym razie już by jej nigdy nie zobaczył. Czule wspominał jej świetnie prowadzony burdel, o niebo lepszy od wszystkich brudnych spelunek Ottassolu; chociaż sama Metta porosła w piórka, od kiedy król nagroził ją za pomoc po Bitwie Kosgatckiej, i codziennie chodzi do kościoła. A co on będzie robił w Dimariamie, kiedy przejdzie w stan spoczynku? Wymagało to głębokiego namysłu; jakoś nie widział w rodzinie źródła nieustannej radości. Chyba wymyśli sobie jakiś intratny ciemny interesik na pocieszenie. Z ręką na swym muzycznym instrumencie zapadł w sen.

Tęgi kapitan polarny zawinął do stolicy przycichłej po ostatnich wydarzeniach, jakie w niej się rozegrały. Królowi przybywało kłopotów. Meldunki z Randonanu mówiły o dezercji całych kompanii wojska. Mimo nieustannych modłów po kościołach zbiory nadal nie dopisywały. Zbrojmistrzowi królewskiemu marnie szło wytwarzanie kopii sibornalskich rusznic. I Robayday wrócił.

JandolAnganol wiódł swego mustanga. Czajkę, przez zagajnik wśród wzgórz. Juli truchtał za swym panem, zachwycając się dziką okolicą. Dwaj gwardziści jechali za nimi w pewnej odległości. Robayday zeskoczył z drzewa i zastąpił ojcu drogę. Złożył niski ukłon.

– I co my widzimy, toż to król we własnej osobie, pan mój, spaceruje po lesie ze swą nową oblubienicą. Z włosów opadły mu liście.

– Roba, jesteś mi potrzebny w Matrassyłu. Dlaczego stale uciekasz? Król nie był pewny, czy go cieszy, czy gniewa to niespodziewane spotkanie.

– Stale uciekać to nigdy nie uciec. Chociaż co mnie trzyma w niewoli, sam nie wiem. Chyba inaczej jest na wolnym powietrzu niż w lochu dziadka... Gdybym nie miał rodziców, wtedy bym był

wolny.

Mówiąc, ani przez chwilę nie zatrzymywał rozbieganych oczu na jednym punkcie. Jego włosy były rozwichrzone, tak jak i mowa. Był nagi, tylko czymś w rodzaju futrzanej spódniczki zakrył genitalia. Żebra mu sterczały, a spod blizn i zadrapań nie było widać ciała. W rękę trzymał oszczep. Nagle wetknął swą broń grotem w ziemię, podbiegł do Juliego i porwał młodka w ramiona, wykrzykując z uwielbieniem:

– Moja najukochańsza królowo, jakaś ty zachwycająca, jak pięknie wystrojona, jak ci ślicznie w tym futerku z rudymi kitkami! Chronisz przed słońcem, ukrywasz swe rozkoszne wdzięki przed każdym, tylko nie przed tym sprośnym Innym, który z pewnością bamba się na tobie, jak na gałęzi. Albo na losze. Albo na złamanym ślubie.

– Robisz mi ból! – krzyknął fagorek, próbując się wyrwać. JandolAnganol wyciągnął rękę, aby złapać syna za ramię, jednak Robayday uskoczył w bok. Zerwał ukwiecone pnącze z kaspia i prędkim ruchem owinął je Juliemu na szyi. Juli z ochryplym wrzaskiem biegał wokoło, ze strachu obnażywszy dziąsła, podczas gdy JandolAnganol mocno przytrzymał syna.

– Nie zamierzam cię skrzywdzić, skończ tylko te wygłupy i zwracaj się do mnie z należyтым szacunkiem.

– A niech mnie, a niech mnie! Mów do mnie z szacunkiem dla mej biednej matki. Posadziłeś rogi na jej głowie, rolniku – sralniku! Dostał od ojca w gębę i z krzykiem zatoczył się w tył.

– W tej chwili skończ te chamskie wygłupy. Zamilcz. Gdybyś pozostał przy zdrowych zmysłach i był dobrze widziany w Pannowalu, nie ja, a ty byś poślubił Simodę Tal. Wtedy uniknęlibyśmy wielu cierpień. Czy ty, chłopaku, myślisz tylko o sobie?

– Tak, i sram swoim własnym gównem! Wypluł te słowa jak przekleństwo.

– Jesteś coś niecoś winien temu, kto uczynił cię księciem – z goryczą powiedział król. -, A może zapomniałeś, że jesteś księciem? Zamknę cię i nie wypuszczę z pałacu, dopóki nie wyzdrowiejesz na umyśle.

Przycisnąwszy dłoń do krwawiących warg, Robayday wymamrotał:

– Wygodniej mi z chorym umysłem. Wolę już zapomnieć o mych prawach. Właśnie nadjechali obaj gwardziści z dobytymi mieczami. Król obejrzał się, polecając im schować broń, zsiąść i pojmać syna. Korzystając z chwili nieuwagi ojca Robayday wyrwał mu się i z wielkim krzykiem pognął ogromnymi susami w las. Gwardzista nałożył bełt na kuszę, lecz król go powstrzymał.

– Juli nie lubi Robaya – pisnął fagorek.

– Nie zważając nań JandolAnganol dosiadł Czajki i wyciągniętym kłusem wrócił do pałacu. Ze ściągniętymi brwiami bardziej niż zwykle przypominał orła, czemu zawdzięczał swój przydomek. W ustroniu swej komnaty pograżył się w pauk, co rzadko czynił. Jego duch zstąpił do królestwa Pierwszej Patrzycielki i rozmawiał z mamcią matki. Zdjęła mu cały ciężar z serca. Przypomniała, że drugą babką Robaydaya była Szalona Szannana, więc nie ma się czym martwić. Orzekła, że nie powinien poczuwać się do winy za śmierć myrdolatorów, ponieważ oni planowali zdradę stanu. Kruchy kształt z pyłu nie skąpił JandolAnganolowi słów pocieszenia. Mimo to duch króla powrócił markotny do ciała. Stary nikczemny ojciec, jeszcze żywy w mrocznych lochach, był praktyczniejszy.

– Rozdmuchaj aferę Paszaratida. Zagoń szpiegów do szerzenia pogłosek. We wszystko wplącz żonę Paszaratida, która nieopatrznie tu została, zastępując męża na placówce. Ludzie uwierzą w każde kłamstwo wymierzone w Sibornal-czyków.

– A co mam zrobić z Robaydayem?

Staruch obrócił się nieco w fotelu i przymknął jedno oko.

– Skoro nie możesz nic zrobić, nic nie rób. Za to przydałoby się przyspieszyć twój rozwód i ślub.

JandolAnganol przemierzał loch tam i z powrotem.

– Jeśli o to chodzi, jestem teraz w rękach C'Sarra.

Staruch zakaszał. Ciężko łapał oddech, nim znowu przemówił.

– Czy gorąco na dworze? Dlaczego ludzie wciąż gadają, że jest gorąco? Posłuchaj, nasi pannowalscy przyjaciele chcą, abyś był w rękach C'Sarra. Im to odpowiada, ale nie odpowiada tobie. Przyspiesz sprawy, jeśli możesz. Co słysząc u Myrdeminggali?

Król posłuchał ojcowskiej rady. Do dalekiej stolicy pannowalskiej, hen za Quzints, wyprawiono posłów ze zbrojną eskortą i długą petycją, zawierającą prośbę do C'Sarra Świętego Cesarstwa Pannowalu o przyspieszenie dyspensy rozwodowej. Do petycji załączono ikony i inne dary, wśród nich sfabrykowane na tę okazję święte relikwie.

Jednak Masakra Myrdolatorów, jak zaczęto nazywać to wydarzenie, wciąż nie dawała spokoju ludowi i skritinie. Szpiedzy donosili o buntowniczych nastrojach w stolicy i większych miastach, takich jak Ottassol. Nie mogło się obejść bez kozła ofiarnego. Wybór musiał paść na kanclerza Sartoriirwrasza.

Sartoriirwrasz – do niedawna Ruszwen, ulubieniec rodziny królewskiej – wszystkim odpowiadał jako ofiara. Świat nie ufa mędrcom, a skritina miała szczególny powód do zniechęcenia kanclerza zarówno za jego despotyzm, jak i długie przemówienia. Rewizja w kanclerskich komnatach z pewnością ujawniłaby jakieś dowody winy. Znalazłyby się notatki z jego eksperymentalnych krzyżowań Innych, Madisów i ludzi, których trzymał zamkniętych w odległym kamieniołomie. Były też obszernie rozdziały jego Abecadła historii naturalnej. Te rozdziały to przecież istna kloaka herezji, fałszów i bluźnierstw przeciwko Wszechmocnemu. Jakże skritina i Kościół ostrzyły sobie zęby na taki kąsek!

JandolAnganol wysłał straż pod wodzą samego Arcykapłana Katedry Matrassyjskiej, BranzaBaginuta we własnej osobie. Rewizja przyniosła nadspodziewane rezultaty. Odkryto sekretną komnatę (choć bez sekretnego z niej wyjścia). W owej sekretnej komnacie odkryto sekretnego więźnia niezwyklej natury. Wywleczony stamtąd wrzeszczał w olonecie z obcym akcentem, że przyjechał z innego świata. Ogromne sterty obciążających dokumentów wyniesiono na dziedziniec. Więźnia zabrano przed oblicze króla.

Mimo że było już dwadzieścia po trzynastej, mgła nie ustąpiła; przeciwnie, zgęstniała, przybierając żółtawy odcień. Pałac zapadł się w swój własny świat, a urządzenia wentylacyjne na kominkach przypominały maszty tonącej flotyli. Być może klaustrofobia odgrywała jakąś rolę w huśtawce nastrojów króla, który popadł z jednej skrajności w drugą, od łagodności do gniewu, od spokoju do dzikiego szału. Włosy sterczały mu w nieładzie nad czołem. Nos co i rusz krwawił, jak gdyby zmuszony pełnić rolę wentyla bezpieczeństwa. Snuł się JandolAnganol po korytarzach, wlokąc za sobą ogon nieszczęsnych dworaków, których przymilne uśmiechy przyprawiały go o szewską pasję. Kiedy na konfrontację z trzęsącym się Biłem sprowadzono Sartoriirwrasza, król uderzył kanclerza w twarz. Po czym objął go niczym starą lalkę z gałganków, rozplakał się, błagał o przebaczenie i dostał kolejnego krwotoku z nosa. W takim właśnie nastroju skruchy był JandolAnganol, gdy do pałacu przybył kapitan polarny Muntras, by złożyć pokłon królowi.

– Później przyjmę kapitana – rzekł król. – Jako podróżnik może mi przynosić wieści o królowej. Niech czeka. Niech cały świat czeka. Burczał i ronił łzy. I zaraz zawrócił posłańca.

– Sprowadź kapitana polarnego. Niech na własne oczy zobaczy ten wybryk ludzkiej natury.

Mówiąc to, obchodził Bila Xiao Pina wokoło. Bilo przestępował z nogi na nogę, bliski płaczu, wytracony z równowagi śladami krwi na królewskim nosie. Takie manifestacje uczuć, jeśli już się zdarzały na Avernusie, to bez świadków. Rozprawka O trwaniu jednej helikońskiej pory roku nad

jedno życie ludzkie rozstrzygała sprawę emocji zdecydowanie, acz krótko. "Uczucie – rzecz zbędna" – głosiła. Pobudliwi Borlieńczycy mieli inne zdanie na ten temat. A ich król nie wyglądał na życzliwego słuchacza

– Ee... dzień dobry – wykrztusił Bilo z bolesnym uśmiechem. Kichnął potężnie.

Z niskim ukłonem wszedł do komnaty Muntras. W tej ciasnej i starej części pałacu czuć było woń zaprawy murarskiej, tyle że położonej czterysta lat temu. Przystanąwszy na swych płaskich stopach i z ciekawością rozglądając się dokoła, kapitan polarny pozdrowił króla. Król ledwo odpowiedział na dworne powitanie Muntrasa. Wskazując stos poduszek, rzekł:

– Siadaj tam i nic nie mów. Popatrz, co znaleźliśmy, co gniło w zakamarkach pałacu. Owoc zdrady! Ile lat – spytał nagle zwracając się do Bila – gnijesz w szponach Sartoriirwrasza, kreaturo?

Zbity z tropu wspaniałością monarszego olonetu, Bilo zaczął się jąkać:

– Tydzień... równe osiem dni... Nie pamiętam. Wasza Królewska Mość.

– Tydzień ma osiem dni, ochluj. Jesteś nieudanym wynikiem eksperymentu?

Król zaśmiał się, a za nim jak echo wszyscy obecni – mniej z rozbawienia niż z obawy o własną skórę. Nikt nie chciał uchodzić za myrdolatora.

– Śmierdzisz eksperymentem.

Nowy wybuch wesołości. Dwie niewolnice na rozkaz króla wykapały i przebrały Bila w nowe szaty. Wniesiono potrawy i wino. Pochyleni słudzy ganiłi jak ruchome kabłąki roznosząc odgrzane mięso koźlęcia z żółtym ryżem. Bilo jadł, podczas gdy JandolAnganol krążył po komnacie, wzgardziwszy potrawą. Od czasu do czasu przykładał jedwabną chusteczkę do nosa lub popatrywał na swój lewy nadgarstek ze śladami paznokci zostawionymi przez wrywającego mu się z rąk syna. U boku JandolAnganola nieco niezdarnie stąpał arcykapłan BranzaBaginut, mężczyzna olbrzymiej postury, który swym ogromem spowitym w szafranowo-purpurowe szaty liturgiczne przypominał sibomalski okręt wojenny pod pełnymi żaglami. Gdyby nie humor wyzierający mu z twarzy, to jego toporne rysy mogłyby należeć do wiejskiego osiłka. Był powszechnie szanowany za bystrość rozumu i poparcie dla króla jako dobroczyńcy Kościoła. Przyćmiewał władcę tym bardziej, że JandolAnganol w odróżnieniu od Bran-zaBaginuta nosił spodnie, był bez butów, a przez brudnawy i rozchełstany kaftan pokazywał suchą pierś. Komnata, w której podejmował gości, miała nieokreślony charakter, pośredni między salą przyjęć a składem. Pełno w niej było kobierców i poduszek, jakby już trochę nadbutwiałych, w jednym kącie zaś złożono stare belki. Okna wychodziły na wąski pasaż; co jakiś czas przechodził tamtędy żołnierz, wynosząc naręcza rękopisów Sartoriirwrasza na dziedziniec.

– Pozwól mi. Panie – rzekł BranzaBaginut – zadać temu osobnikowi kilka pytań religijnej natury.

Nie spotkawszy się z najmniejszym gestem sprzeciwu, kościelny dostojnik wziął kurs na Bila.

– Czy pochodzisz ze świata – zapytał – w którym panuje Wszechmocny Akhanaba?

Bilo otarł usta, niechętnie odrywając się od jedzenia.

– Pan rozumie, że mogę bez trudu dać odpowiedź, która pana zadowoli. Czy mam jej udzielić i skłamać tylko dlatego, aby nie wywoływać niezadowolenia u pana ani u Jego Królewskiej Mości?

– Wstań, kiedy do mnie mówisz, kreaturo. Daj mi odpowiedź na moje pytanie, to rychło ci pokażę, czy jestem nią zadowolony, czy nie.

Bilo stanął przed opasłym duchownym, wciąż ocierając usta nerwowym ruchem.

– Panie, bogowie są potrzebni ludziom na pewnych etapach rozwoju... to znaczy, kiedy jesteśmy dziećmi, każdemu z nas jest potrzebny kochający, surowy i sprawiedliwy ojciec, kierujący naszymi krokami na drodze do dojrzałości.

Dojrzałość zdaje się wymagać podobnego wizerunku ojca w zwielokrotnionej skali, aby mocniej

trzymał ją w ryzach. Ten wizerunek nosi imię Boga. Natomiast gdy jakaś część rasy ludzkiej osiągnie duchową dojrzałość, gdy potrafi kierować swym własnym postępowaniem, wtedy znika potrzeba bogów – tak jak i nam staje się niepotrzebny czuwający nad nami ojciec, kiedy już jesteśmy dorośli i zdolni sami troszczyć się o siebie.

Arcykapłan gładził dłonią policzek, jak gdyby dostał w twarz.

– A ty pochodzisz ze świata, gdzie sami się troszczycie o siebie, bez potrzeby bogów. To chcesz powiedzieć?

– Tak jest, panie.

Bilo z lękiem rozejrzał się dokoła. Spoczywający nie opodal kapitan polarny pchał w siebie królewskie jadło, lecz słuchał uważnie.

– Ten świat, z którego pochodzisz – Avernus, dobrze mówię? – czy to świat szczęśliwy?

Niewinne z pozoru pytanie kapłana stropiło Bila nie na żarty. Gdyby to samo pytanie zadał mu jego guru parę tygodni temu na Avernusie, odpowiedziałby bez żadnych kłopotów. Odparłby, że szczęście tkwi w wiedzy, nie w zabobonie, w pewności, nie w niepewności, w porządku, nie w przypadku. Święcie wierzyłby, że wiedza, pewność i porządek to nadzwyczajne dobrodziejstwa, które rodzi i którym podlega życie w stacji obserwacyjnej. Z pewnością by się uśmieł – a i guru by nie odmówił sobie zimnego uśmieszku – na myśl o Akhanabie jako dawcy szczęśliwości.

Inaczej to wyglądało na Helikonii. Nadal go śmieszył bałwochwalczy zabobon wiary w Akhanabę. A mimo to. Mimo to. Dostrzegał teraz znaczeniową głębię słowa "bezbożny". Wpadł z bezbożności w barbarzyństwo. I mimo własnych nieszczęść zdawał sobie sprawę, który z tych światów silniej podsycza nadzieje lepszego i szczęśliwszego życia. Nim zdążył coś wydukać, król zadał mu nowe pytanie. JandolAnganol ważył w myślach poprzednią wypowiedź Bila.

– A co – rzucił wyzywająco – jeśli nam zabraknie wizerunku idealnego ojca na przewodnika do dojrzałości? Co wtedy?

– Wtedy, panie, rzeczywiście Akhanaba może nam być podporą w naszych kłopotach. Albo możemy całkiem odrzucić Boga, jak odrzucamy rodzzonego ojca.

Ta odpowiedź przyprawiła króla o nowy krwotok z nosa. Bilo skorzystał z okazji wykpienia się od pytania BranzaBaginuta, przemawiając doń z pewnością siebie większą w minie niż w sercu:

– Jestem ważną osobistością, mój panie, a zostałem niegodnie potraktowany na waszym dworze. Zwróćcie mi wolność. Mogę się wam przysłużyć. Mogę wam udzielić szczegółowych informacji o naszej planecie, bardzo ważnych dla was. Nie pragnę żadnych korzyści.

Arcykapłan klasnął w wielkie dłonie, przerywając mu łagodnym głosem:

– Nie łudź się. Wcale nie jesteś ważny. Jesteś jedynie dodatkowym świadectwem spisku kanclerza Sartorii rwasza przeciwko Jego Królewskiej Mości.

– Nie uczyniliście nic, aby się przekonać o mojej ważności. A jeśli powiem, że tysiące ludzi patrzy na nas w tym momencie? Że tylko czekają, by zobaczyć, jak mnie przyjmiecie? Że poddają was próbie? Ich osąd wpłynie na to, jak przejdziecie do historii.

Twarc duchownego dygnitarza pokryła się purpurą.

– Tylko Wszechmocny na nas patrzy, nikt inny. Twe niebezpieczne kłamstwa o bezbożnym świecie zburzą nasz ład. Uważaj, co mówisz, żebyś nie wylądował ze śmieciami w ognisku.

W jakimś odruchu rozpaczy Bilo zbliżył się do króla, pokazując mu swój trójczasowy zegarek.

– Wasza Królewska Mość, uwolnijcie mnie, proszę. Spójrzcie na to, co noszę na ręku. Na Avernusie każdy to nosi. Ten przedmiot wskazuje czas helikoński, czas avernusjański i czas dalekiej, nadzorującej planety Ziemi. Jest symbolem ogromnego rozwoju, jaki osiągnęliśmy w dziedzinie opanowania środowiska. Przychylnym słuchaczom odkryłbym cuda dalece przewyższające wszystko,

co potrafi Borlien.

W oczach króla błysnęło zainteresowanie. Odjąwszy chusteczkę od nosa, zapytał:

– Potrafisz mi zrobić sprawną rusznicę z zamkiem lontowym, dorównującą sibornalskiej?

– Też coś, rusznice lontowe to głupstwo. Ja...

– No to z zamkiem kołowym. Potrafiłbyś wyrabiać rusznice z zamkiem kołowym?

– No więc, nie, ja... królu, to kwestia wytrzymałości materiału na rozciąganie. Chyba bym potrafił wymyślić... Takie rzeczy są przestarzałe tam, skąd pochodzę.

– Jaką broń umiesz robić?

– Najpierw się racz. Panie, zainteresować tym zegarkiem, który przyjmij w podarunku, na dowód mej szczerości. – Zwiesił w palcach zegarek, lecz król nie wykazywał najmniejszej ochoty na przyjęcie podarunku. – Potem zwróć mi wolność. Potem pozwól, bym garstkę waszych uczonych mężów, jak obecny tu arcykapłan, zapoznał z naukowymi zasadami, poczynając do podstawowych. Bardzo szybko moglibyśmy wspólnie opracować celny pistolet i radio, i silnik spalinowy.

Wyraz twarzy zarówno króla, jak i arcykapłana sprawił, że zamiast skończyć to, co chciał powiedzieć, błagalnym gestem ponownie wyciągnął rękę z zegarkiem. Cyferki mrugały i zmieniały się przed oczami króla. Wasza Królewska Mość schwycił zegarek; obaj wpatrywali się weń, król z BranzaBaginutem, poszeptując ze sobą. Prorocy zapowiedzieli wszak dzień nadejścia magicznych machin, upadku królestwa i zagłady Cesarstwa.

– Czy to cacko przepowie mi, jak długo będę panował? Czy może mi podać wiek mej córki?

– Panie, to tylko nauka, zwykła nauka, nie magia. Koperta jest z platyny, którą odłowiono z samej przestrzeni kosmicznej... Król zbył wyjaśnienie machnięciem ręki.

– W tym cacku siedzi zło. Czuję to. Królowie na podobieństwo astrologów przeczuwają przyszłość. Po co tu przybyłeś? Odrzucił Bilowi zegarek.

– Wasza Królewska Mość, przybyłem zobaczyć się z królową. Wstrząśnięty JandolAnganol cofnął się o krok, jakby ujrzał ducha.

– A więc nie tylko ateista, lecz i myrdolator? – zagrzmiął BranzaBagi-nut. – I oczekujesz, że cię przyjmimy z otwartymi ramionami? Z jakiej racji Jego Królewska Mość ma dalej znosić twoje zagadki? Nie jesteś ani szaleńcem, ani błaznem. Skąd się wzięłeś? Z kieszeni Sartoriirwrasza?

Groźnie ruszył naprzód, przypierając Bila do ściany. Inni dworzanie zaczęli go zachodzić ze wszystkich stron, chcąc pokazać swemu panu, jak traktują niedopieczonych myrdolatorów. Krillio Muntras podniósł się z poduszek i podszedł do króla, który stał rzucając gorączkowe i jakoś niezdecydowane spojrzenia po sali.

– Wasza Królewska Mość, może by tak zapytać więźnia, na jakim statku przybył z tej swojej innej planety?

Widać było, że królowi niewiele trzeba, żeby wybuchnąć gniewem. Ale zapytał, nie odejmując chustki od nosa:

– No więc, kreaturo, powiedz naszemu handlarzowi lodem, jakim pojazdem tu przyjechałeś.

– Statek był z metalu – rzekł Bilo, umknąwszy przed brzuchem Branza-Baginuta. – Szczelnie zamknięty, z własnym powietrzem w środku. Mogę to wszystko zrozumiale przedstawić za pomocą rysunków. Nasza nauka jest wysoko rozwinięta i mogłaby pomóc Borlien... Statek dowiózł mnie bezpiecznie na Helikonię i odleciał, samodzielnie powracając do mego świata.

– Czyżby miał rozum, ten statek?

– To trudno powiedzieć. Tak, ma rozum. Potrafi obliczać... sterować w przestrzeni kosmicznej, samodzielnie wykonywać tysiące czynności.

JandolAnganol niedbale schylił się i podniósł dzban z winem, powoli i coraz wyżej, wysoko nad

głowę.

– Który z nas jest szalony, kreaturo, ty czy ja? Ten statek też ma rozum – tak, tak, on również potrafi sam sterować, zupełnie sam. Patrz!

Dzban wystrzelił jak z procy. Przeleciał przez komnatę, wyrznął w ścianę i roztrzaskał się, wychlapując zawartość na wszystkie strony. Drobną pokaz siły sprawił, że wszyscy zamarli w bezruchu, niczym fagory.

– Wasza Królewska Mość, ja starałem się odpowiedzieć na Wasze... – Kichnął gwałtownie.

– Chyba tylko z poczucia winy i gniewu próbuję się dopatrzeć w tobie rozumu. I po co mi to zmartwienie? Jestem wydziedziczony, nie mam nic, jedynie pustą spiżarnię w miejsce pałacu i szczury zamiast dworzan. Wszystko mi zabrali, a chcą coraz więcej ode mnie. Ty też czegoś chcesz ode mnie... Na każdym kroku spotykam demony... Znowu muszę odprawić pokutę, a tobie, arcykapłanie, nie wolno mieć lekkiej ręki. Jestem pewny, że to demon Sartorii rwasza. Jutro postaram się przemówić do skritiny i wszystko ulegnie zmianie. Dziś jestem tylko ojcem, który bardzo krwawi... – Ściszył głos, mówiąc już sam do siebie: – Tak, otóż to, po prostu sam muszę się zmienić.

Spuścił wzrok i jak gdyby opadł z sił. Kropla krwi spadła na posadzkę. Kapitan polarny Krillio Muntras zakasłał. Jako człowiek praktyczny był zażenowany wybuchem króla.

– Jak widzę, nie w porę Was nachodzę. Panie. Prosty handlarz ze mnie i lepiej będzie, jak już sobie pójdę. Przez wiele minionych lat przywoziłem wam najlepszy lordrardryjski lód prosto z najlepszej warstwy naszych lodowców i po najlepszych cenach. Teraz pragnę gorąco podziękować za Wasze, Panie, stałe zamówienia i gościnność w pałacu, i pożegnać się z Wami na zawsze. Pomimo mgły czas mi wracać do domu.

Ta przemowa musiała w jakimś stopniu poruszyć króla, bo położył kapitanowi polarnemu dłoń na ramieniu. W szeroko otwartych oczach kapitana malowała się szczerłość.

– Chciałbym mieć przy sobie takich ludzi, jak pan, kapitanie, ludzi zawsze mówiących do rzeczy i bez ogródek. Wielce sobie cenię twoje usługi. I nie zapominam, że przyszedłeś mi z pomocą, gdy byłem ranny po strasznych przejściach w Kosgacie – tak jak jestem ranny obecnie. Prawdziwie kochasz swój kraj.

– Panie, prawdziwie kocham mój kraj, Dimariam. Mam właśnie osiąść w nim na stałe. To moja ostatnia wyprawa. Mój syn poprowadzi dalej handel lodem, z takim samym oddaniem, jakie okazywałem Warn i... hm... byłej królowej. A jako że robi się coraz cieplej. Wasza Królewska Mość, pewnie będziecie potrzebować dodatkowych dostaw lodu?

– Kapitanie, łaskawy szafarzu lepszej pogody, należy ci się nagroda za twe usługi. Nie bacząc na moje straszliwe ubóstwo i skąpstwo mojej skritiny, zapytuję: jestli coś, co mógłbym ci podarować w dowód naszego szacunku?

Muntras przestąpił z nogi na nogę.

– Niegodnym, Panie, nagrody i żadnej nie oczekuję, lecz co byście rzekli na propozycję wymiany? W drodze powrotnej z Oldorando wyratowałem, będąc człowiekiem litościwym, fagora od halali. Wrócił do zdrowia po wodnym szoku, często śmiertelnym dla jego gatunku, i musi sobie znaleźć jakiś kąć z dala od Kahchazzerhu, gdzie nań polowano. Ja podaruję Warn tego bykuna na niewolnika, a Wy mi podarujecie więźnia, demon to, czy nie demon. Umowa stoi?

– Daję ci tę kreaturę. Weź ją razem z jej mechanicznym cackiem. Nie musisz mi niczego dawać w zamian, kapitanie. Zostanę twym dłużnikiem, jeśli zabierzesz toto z mego królestwa.

– Zabiorę go w takim razie. A Wy przyjmijcie fagora, aby mój syn mógł z czystym sumieniem korzystać z Waszej przyjaznej gościnności, jaka mnie tu zawsze spotykała. Dobry to chłopak, Panie,

ten mój Diw, tylko ogłady ma nie więcej niż jego ojciec.

Tak oto Bilo Xiao Pin przeszedł na własność kapitana polarnego. A nazajutrz lekki wietrzyk rozwiął zarówno mgłę, jak i chmurę na królewskim czole. Król dotrzymał obietnicy, wygłaszając mowę do skritiny. Zebrani, którzy pokaszując zasiedli w swych ławach, ujrzeni odmienionego człowieka. Potwierdziwszy nikczemność Sartoriirwrasza i główną odpowiedzialność kanclerza za ostatnie niepowodzenia państwowe, JandolAnganol przystąpił do spowiedzi.

– Dostojni członkowie skritiny, którzyście zaprzysięgli mi hołd, gdy wstąpiłem na tron Borlien. Nie ukrywam, że nasze najukochańsze królestwo boryka się z niepowodzeniami. Żaden król, choćby i najpotężniejszy, i najłaskawszy, nie może nagle odmienić doli swych poddanych, jak to sobie teraz uświadamiam. Nie mogę rozkazywać posuchom ani słońcom, które zsyłają te plagi na nasze ziemie. Rozpacz popchnęła mnie do zbrodni. Za poduszczeniem kanclerza zgotowałem śmierć myrdolatorom. Przyznaję się i proszę o wybaczenie. Postąpiłem tak, aby uzdrowić królestwo, aby ukrócić dalsze waśnie. Wyrzekłem się mej królowej, a z nią wszelkiej żądy, wszelkich własnych przyjemności. Moje małżeństwo z oldorandzką księżniczką Simodą Tal będzie dynastyczne i cnotliwe, przysięgam, że cnotliwe. Tknę ją tylko w celu spłodzenia potomka. Uszanuję jej wiek. Od tej pory liczyć się dla mnie będzie jedynie mój kraj. Okażmy sobie posłuszeństwo, dostojni panowie, wy mnie, a ja wam.

Przemawiał powściągliwie i ze łzami w oczach. Słuchacze w milczeniu wpatrywali się w króla siedzącego na złoconym tronie skritiny. Niewielu mu współczuło; większość dostrzegała jedynie sposobność do wykorzystania tych najnowszych objawów królewskiej słabości.

Nie mając księżycy, miała Helikonია morskie przyływy i odpływy. W pobliżu Freyra skok pływu obszaru wód planety był o jakieś sześćdziesiąt procent większy niż w warunkach apastronu, kiedy Freyr był odległy o ponad siedemset astronomicznych jednostek długości.

W nowym miejscu pobytu Myrdeminggala lubiła samotnie spacerować brzegiem morza. Na krótki czas opuszczały ją czarne myśli. Tu było pogranicze, wąski skrawek pomiędzy królestwami morza a królestwami lądu. Tu czuła się jak w swym porzuconym ogrodzie półdziennym, zawieszonym pomiędzy nocą a dniem. Ledwie zdawała sobie sprawę z nieustannej walki toczonej u jej stóp, walki, która chyba nigdy nie miała się skończyć całkowitym zwycięstwem lub klęską.

Królowa objęła spojrzeniem horyzont, jak co dnia dumając, czy kapitan polarny przekazał jej list i czy ten list trafił do rąk generała na dalekich wojnach. Była w bladożółtej sukni. Kolor pasował do samotności. Kochała się w czerwieni, ale już czerwieni nie nosiła. Czerwień kłóciła się ze starożytnym Grawabagalinien i jego nawiedzaną przez duchy przeszłością. Królowa była zdania, że szum fal wymaga żółtej barwy. Po wyjściu z kąpieli zostawiła rozbawioną Tatrę na plaży i ruszyła na przechadzkę poniżej linii najwyższego stanu morza. Jej dama do towarzysztwa z ociąganiem wlokła się w tyle. Łykowate źdźbła trawy sterczały z piasku. Gdzieniegdzie tworzyły kępy. Jeden, dwa kroczki w głąb lądu i już pojawiali się inni śmiałkowie. Wśród najpierwszych – drobna biała stokrotka na mocnej łodyżce. I małe roślinki o mięsistych listkach, niemal jak u wodorostów. Myrdeminggala nie wiedziała, jak się nazywają, lecz lubiła je zrywać. Jeszcze jedna roślina o ciemnych liściach. Jej skąpe kępki były rozsiane wśród piasków i traw, ale od czasu do czasu, w odpowiednich warunkach, wyrastały na wspaniałe krzewy, olśniewające lustrzanym połyskiem. Za plecami tych harcowników rozciągało się śmietnisko znaczące zasięg przyływu. Potem ziemia niczyja upstrzona stokrotkami o grubych łodygach i wielkich kwiatach. Dalej plaża już ustępowała przed gromadą mniej śmiałych roślin, aczkolwiek zagony piachu zapuszczały się jeszcze na pewną odległość w głąb lądu.

– Nie smuć się. Mej o. Ja bardzo lubię to miejsce. Wlokąc się jak na ścięcie dama zrobiła markotną minę.

– Jesteś najpiękniejszą i najpierwszą damą Borlien. – Jeszcze nigdy nie przemówiła takim tonem do swej pani. – Dlaczego nie mogłaś utrzymać małżonka przy sobie?

Królowa nie odpowiedziała. Szły brzegiem morza przed siebie, jedna o parę kroków przed drugą. Myrdeminggala kroczyła wśród połyskliwych krzewów, muskając ich wierzchołki dłonią. Niekiedy coś syknęło przy krzewie, czmychając spod jej stóp. Była świadoma, że Meja TolramKetinet wlecze się za nią żałośnie, nienawidząc wygnania.

– Głowa do góry, Mejo – pocieszyła dziewczynę. Meja nie odpowiedziała.

XI. WYPRAWA NA PÓŁNOCNY KONTYNET

Sięgająca staremu człowiekowi do kostek długa keedranta pamiętała lepsze czasy. Kopulasty kapelusz na głowie chronił mu zarówno chudą szyję, jak i łysą czaszkę od słońca. Raz za razem stary człowiek podnosił drżącą rękę do ust, aby się zaciągnąć tutką trędowniczki. Stał sam jak palec, oczekując chwili, gdy na zawsze odejdzie z pałacu. Stał odwrócony tyłem do lekkiego powozu, na który załadowano jego niewielki dobytek. Dwa mustangi czekały zaprzęgnięte między dyszlami. Brakowało tylko woźnicy, by Sartoriirwrasz mógł odjechać w siną dal. Skracając sobie oczekiwanie spoglądał w drugi koniec dziedzińca, gdzie stary zgarbiony niewolnik rozgrzebywał kijem stertę papierów w ognisku, żeby się lepiej paliły. W ognisku były wszystkie foliały z przetrząśniętych komnat eks-kanclerza, łącznie z rękopisami składającymi się na Abecadło historii naturalnej. Dym szybował w niebiosa, z rzadka prosząc lotnymi popiołami. Ich siwy całun spowił wszystko prócz codziennego skwaru. Popioły przynosił wschodni prąd powietrza znad wulkanu, który właśnie ożył w sąsiedztwie Matrassyłu. Ale nie one obchodziły Sartoriirwrasza, jego uwagę przykuwały czarne sadze idące z ogniska do góry. Dłoń zdrząła mu jeszcze gwałtowniej, a koniec trędowniczki rozjarzył się jak malusieńki wulkan.

– Doniosłam jeszcze trochę waszej odzieży, panie – usłyszał za plecami. Zobaczył swą niewolnicę i starannie zawinięty tobolek w jej wyciągniętej ręce.

– To hańba, że musicie odejść, panie. Obdarzyła go pocieszającym uśmiechem.

Obrócił ku niej pobrużdżoną twarz, obrócił się cały i przystąpiwszy bliżej popatrzył niewolnicy w oczy.

– Żal ci, kobieto, że odchodzę? Przytaknęła, spuszczać wzrok.

No proszę – uświadomił sobie – te nasze drobne fiki-miki sprawiały jej przyjemność, a mnie nigdy przedtem nie wpadło do głowy, by ją o to prosić.

Nigdy nie pomyślałem o jej przyjemności. Jakże byłem zamknięty we własnych uczuciach. Niezły ze mnie uczony, ale człowiek nic niewart, bo nie miałem uczuć dla innych. Z wyjątkiem małej Tatry.

Nie wiedział, co powiedzieć niewolnicy. Zakaszła.

– Okropna dziś pogoda, kobieto. Zmykaj do komnat. Dziękuję ci za wszystko.

Odeszła, rzuciwszy mu wymowne spojrzenie na pożegnanie. Kto wie, co czują niewolne kobiety? – zadumał się Sartoriirwrasz. Przygarbił ramiona, zły na nią i zły na siebie za okazywanie uczucia. Prawie nie zauważył nadejścia woźnicy. Dostrzegł tylko młodzieńczą postać z głową osłoniętą od skwaru kapturem na madiską modłę, tak że ledwo było widać twarz.

– Jest pan gotów? – zawołała postać, wskakując na kozioł. Para mustangów przestępowała za nogi na nogę, biorąc ciężar na szory. Sartoriirwrasz zwlekał. Wskazał laską w kierunku ogniska.

– Tam ulatuje z dymem wiedza całego życia. – Właściwie to zwracał się sam do siebie. – Tego nie mogę wybaczyć. Tego nigdy nie wybaczę. Tyle pracy...

Z ciężkim westchnieniem wlaź do powozu, który natychmiast potoczył się w stronę pałacowych bram. Strach przed królewskim gniewem nie pozwolił ludziom oddanym kanclerzowi – a byli tacy w pałacu – wyjść i pomachać mu na pożegnanie. Gwałtownie mrugał oczyma, nie odwracając nieruchomej twarzy od kierunku jazdy. Czarno widział swoją przyszłość. Miał trzydzieści siedem lat i osiem tennerów – dawno przekroczył wiek średni. Ewentualnie mógł otrzymać stanowisko doradcy na dworze króla Sayrena Stunda, ale nie znosił i króla, i Oldorando, które było o wiele za gorące. W Matrassyłu zawsze stronił od krewnych własnych i ze strony zmarłej małżonki. Jego bracia nie żyli. Nic mu nie pozostawało, jak tylko poszukać schronienia u córki; mieszkała z mężem w cichym

miasteczku na południu przy thribriackiej granicy. Zniknąwszy ludziom z oczu mógłby tam od nowa pisać dzieło swego życia. Ale kto mu je wydrukuje, kiedy już nie ma żadnej władzy? Kto je przeczyta, jeśli nie zostanie wydrukowane? W przystępie rozpaczy napisawszy do córki, zamierzał teraz wsiąść na statek, który go zabierze na południe.

Powóz zwawo się toczył w dół stoku. U stóp góry, zamiast skręcić ku przystani, zarzucił w prawo i z turkotem piął się wążutką uliczką. Lewe ośki ze zgrzytem tarły o ściany domów.

Uważaj, głupcze, zmyliłeś drogę! – rzekł Sartoriirwrasz, ale rzekł w duchu. Kogo obchodzi, co się stanie?

Ekwipaż zaturkotał drogą biegnącą w dół za domami pod nawisem urwiska i wjechał na maleńki opuszczony dziedziniec. Woźnica dziarsko zeskoczył na ziemię i zamknął bramę wjazdową, aby nie było ich widać z ulicy. Zajrzał do eks-kanclerza.

– Zechciałbyś łaskawie wyleźć? Ktoś czeka na ciebie. Ściągnął swe kunsztowne nakrycie głowy w szyderyczym ukłonie.

– Kim jesteś? Po co mnie tu przywiozłeś? Chłopak zapraszającym gestem otworzył drzwiczki powozu.

– Nie poznajesz mnie, Ruszwen?

– Coś za jeden? Ależ... Roba, to ty! – powiedział z pewną ulgą, już bowiem przychodziło mu na myśl, że JandolAnganol mógł ukartować porwanie i morderstwo.

– To ja, czyli mustang, bo w tych dniach ganiam galopem. Tak to już jest z wszelką tajemnicą. Ja sam jestem tajemnicą, nawet przed sobą. Ponownie ślubowałem zemstę na mym przeklętym ojcu za wygnanie mej matki. I na matce za odejście bez pożegnania ze mną.

Przyjąwszy pomocną dłoń przy wysiadaniu, Sartoriirwrasz z niepokojem wlepiął w niego oczy, wypatrując, czy chłopak ma wygląd równie szalony, jak mowę. Teraz w wieku już dwunastu lat RobaydayAnganol był mniejszym i chudszy wizerunkiem ojca. Spalony przez słońce na Madisa, z czerwonymi bliznami na torsie. Z uśmiechem, który pojawiał się i znikał niczym drgawki twarzy, jak gdyby młokos sam nie wiedział, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Gdzie byłeś, Roba? Tęskniliśmy za tobą. Twój ojciec tęskni za tobą.

– Masz na myśli Orła? Toć prawie mnie złapał. Nigdy mi nie zależało na dworskim życiu, jeszcze mniej mi zależy teraz. Zbrodnia ojca dała mi wolność. Więc mogę być bratem mustanga. Druhem Madisa. Nigdy nie mogę być królem, on zaś nigdy nie może być znowu szczęśliwy. Nowe drogi życia, nowe drogi życia, jedna również dla ciebie, Ruszwen! Ty pierwszy zapoznałeś mnie z pustynią, więc i ja ciebie z kimś zapoznam. To będzie ktoś ważny, ktoś, człowiek, nie ojciec i nie mustang.

– Kto? O co tu chodzi? Zaczekaj!

Roba jednak oddalał się wielkimi krokami. Obrzuciwszy niepewnym spojrzeniem powóz załadowany jego dobytkiem, Sartoriirwrasz postanowił pójść w ślady Roby. Śpiesząc się wkroczył do mrocznej sieni tuż za synem króla. Dom, zbudowany w stylu odpowiednim do jego usytuowania w cieniu urwiska, sięgał w górę do światła, jak sadzonka wyrosła pomiędzy głazami. Starzec zdążył się zasapać na chybottliwych drewnianych schodach, nim dotarł za Roba do izby na trzecim piętrze, jedynej izby na tej kondygnacji. W ataku kaszlu Sartoriirwrasz klapnął na podsunięty mu czyjaś ręką stołek. Zauważył, że trzy oczekujące w izbie osoby skorzystały z okazji, żeby się również wykaszleć. Po kruchości i gracji w budowie ciał, po pewnej ostrości w budowie szkieletów rozpoznał Sibornalczyków. Jedną z tych osób była kobieta ubrana w wytworny chadżirak z delikatnego jedwabiu w wielkie czarno-białe, stylizowane kwiaty. Dwaj mężczyźni stali w cieniu za plecami kobiety. Sartoriirwrasz z miejsca rozpoznał w niej panią Dienę Paszaratid, małżonkę ambasadora,

który zniknął w dniu pojawienia się rusznic Taynthra Indreda w pałacu. Złożył jej ukłon, przepraszając, że tak kaszle.

– Wszyscy kaszlemy, kanclerzu. Od tego wulkanu bolą nas gardła.

– Mnie boli pewnie ze smutku. Proszę sobie darować mój stary tytuł. Nie śmiał jej zapytać, o jakim mówi wulkanie, lecz dostrzegła jego niepewną minę.

– To od wybuchu wulkanu w Górach Rudyjońskich. Popioły niesie w tę stronę.

Patrzyła ze współczuciem, pozwalając mu odsapnąć po wspinaczce. Twarz miała szeroką i niezbyt urodziwą. Niemila surowość w jej twarzy spowodowała, że aż nazbyt często unikał towarzystwa tej, jak uważał, inteligentnej kobiety. Rozejrzał się po izbie. Cienka tapeta na ścianach odłaziła tu i ówdzie. Jedyne wiszące tu obrazy, podbarwiony rysunek piórkiem, przedstawiał górski szczyt, w którym kanclerz rozpoznał Kharnabhar, świętą górę Sibornalu. Za jedynym oknem, oświetlającym z boku profil twarzy Dieny Paszaratid, widać było skalną ścianę i zwieszoną z niej pnącza; na roślinach leżała warstwa szarych popiołów. Roba siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, gryząc źdźbło trawy i uśmiechając się na prawo i lewo.

– Na cóż ci, pani, jestem potrzebny? Muszę się śpieszyć, by zdążyć na statek, zanim spotkają mnie gorsze nieszczęścia – rzekł Sartoriirwrasz.

Stała przed nim z rękami założonymi do tyłu, nieznacznie kiwając się na piętach.

– Proszę mi wybaczyć to dziwne porwanie, ale pragniemy pana zwerbować do nas na służbę – i hojnie za tę służbę zapłacimy.

W ogólnych zarysach przedłożyła mu propozycję, niekiedy szukając potwierdzenia u swych towarzyszy. Wszyscy Sibornalczyki są ludźmi głęboko religijnymi, wierzącymi – jak wiedział – w boga Azoikaksisa, który istniał, zanim istniało życie, i wokół którego obraca się wszelkie życie. Przedstawiciele ambasady mieli akhanabizm w niewielkim poważaniu, stawiając tę religię nieco wyżej niż zabobony. Dlatego decyzja JandolAnganola o zerwaniu jednego i zawarciu drugiego małżeństwa wcale ich nie zdumiała, tylko zgorszyła. Sibornalczyki – i Azoikaksis za ich pośrednictwem – uważają, że ślub pomiędzy kobietą a mężczyzną jest równoprawną decyzją obojga i wiąże ich na całe życie. Miłość jest kwestią chęci, nie chętki.

Roba, nawet nie słuchając, mrugnął do eks-kanclerza i rzekł konfidencyjnym tonem:

– To w tym domu ambasador Paszaratid spotykał swoją damę z półświatka. To jest historyczny dom kurew, ale ta twoja damulka chce tylko porozmawiać.

Sartoriirwrasz uciszył go. Puszczając uwagę mimo uszu pani Diena oświadczyła, że ich zdaniem na borlieńskim dworze jedynie on, kanclerz Sartoriirwrasz, kroczy ścieżką wiedzy. Że król, ich zdaniem, potraktował kanclerza niemal tak samo podle, jak królową, a może podlej. Taka niesprawiedliwość przejmuje ich smutkiem, jak przejęłaby wszystkich wiernych Kościoła Krwawego Pokoju. Ona właśnie wraca do domu. Zapraszają Sartoriirwrasza do siebie, gwarantując mu odpowiednie utrzymanie w Askitoszu i odpowiedni urząd doradcy w rządzie, jak również warunki do ukończenia dzieła jego życia.

Poczuł nawrót drżenia, które tak często go nachodziło. Grając na zwłokę, zapytał:

– Urząd doradcy w jakich sprawach?

Och, w sprawach borlieńskich, których jest tak wielkim znawcą. A sposobią się opuścić Matrassyl z wybiciem godziny.

Sartoriirwrasz był tak zaskoczony, że nawet nie zapytał, skąd ten nagły pośpiech. Z wdzięcznością przyjął propozycję.

– Wspaniale! – wykrzyknęła pani Diena.

Dwaj mężczyźni za jej plecami okazali teraz niemal ancipitalną umiejętność przejścia od bezruchu

do pełnego działania, bez stanów pośrednich. Wypadli z izby i w mig na wszystkich piętrach i na wszystkich schodach rozległy się nawoływania i tupot nóg ludzi spieszących w dół na dziedziniec. Powozy wyłoniły się z wozowni, musłangi ze stajni, stajenni z uprzężą z siodłami. Tabor zebrał się szybciej, niż Borlieńczyk wciągnąłby buty na nogi. Wszyscy stanęli kołem, pośpiesznie odmówiono modlitwę i wnet byli w drodze, zostawiając pusty dom za sobą. Pojechali na północ ciasnymi uliczkami starego miasta, okrążyli olbrzymią, na wpół podziemną świątynię Hartu Ducha i niebawem mieli już północny trakt pod kołami i migotliwą Takissę po lewej ręce. Roba jadąc pohukiwał i śpiewał.

Mijały tygodnie podróży.

Jej pierwszy etap upłynął pod znakiem wszechobecnej szarości wulkanicznych popiołów. Szczyt Rudyjonnik, źródło nieustannych pomruków i sporadycznych wycieków lawy, ział z całą mocą. Na obszarze opadów pyłu powstała kraina wymarłej ziemi. Pył zabił drzewa, pokrył pola, zamulił strumienie. Po deszczu zmieniał się w maź. Ptaki i zwierzęta zdechły lub uciekły z tych okolic. Rodziny ludzkie i fagorze wywędrowały z dotkniętych plagą siedzib. Trochę lepiej zrobiło się, gdy sibornalski tabor przebył rzekę Mar. Wkrótce ślad po popiołach zaginał. Wjechali do Mordriatu, którego sama nazwa budziła grozę w Matrassylu. Kraj okazał się spokojny. Plemiona witały podróżnych przeważnie uśmiechem spod wielkich turbanów, najważniejszej części ich przyodziewku. Bezpieczny przejazd zapewnili wynajęci przewodnicy, chudzi, wyglądający na łotrzyków, padający plackiem przed każdym wschodem i zachodem słońca. Nocą, przy obozowym ognisku, naczelny marszruter, jak sam siebie nazywał, wyjaśnił podróżnym, że kształt turbanu jest oznaką społecznej pozycji. Marszruter szczyił się mnogością kast niższych od własnej. Najchciwiej nadstawiał ucha Sartoriirwrasz.

– Dziwna rzecz ten ludzki pęd do tworzenia kast społecznych – podzielił się refleksją z towarzyszami podróży.

– Pęd tym wy raźniej szy, im bliżej podstawy takiej piramidy – rzekła pani Diena. – W moim kraju nie istnieją te szczeble poniżenia. Askitosz oczaruje pana. Jest wzorem dla wszystkich społeczeństw.

Sartoriirwrasz żywił niejaki wątpliwości. Lecz w niezłomnej postawie pani Dieny znajdował coś kojącego po latach obcowania z królem niestałym jak chorągiewka na wietrze. Serce w nim rosło w miarę, jak pustynniały bezdroża;

w równej mierze łagodniało szaleństwo Roby. Jednak Sartoriirwrasz źle sypiał, w przeciwieństwie do pozostałych. Kości przywykłe do materaców z gęsim puchem nie mogły się pogodzić z kocem na twardej ziemi. Leżąc i spoglądając na gwiazdy w migotliwej poświacie, przeżywał uniesienia, jakich nie zaznał od dni dzieciństwa z braćmi. Nawet żał do JandolAnganola nieco w nim przygasał.

Dopisywała bezdeszczowa pogoda. Wozy pokonywały niskie wzgórza w niezłym tempie. Przybyli do małej handlowej osady zwanej Ojszą.

– Najprawdopodobniej przekręcone w niskim olonecie słowo "osz", znaczące tyle co "miasto" – wyjaśnił Sartoriirwrasz współtowarzyszom.

Okazje do wyjaśniania różnych rzeczy czyniły podróż przyjemniejszą. W Ojszy, skądkolwiek by słowo pochodziło, płynąca ze wschodu Takissa spotykała się ze swym potężnym dopływem Madurą. Obie rzeki brały źródła w bezkresach Wysokiego Nktryhku. Za Ojszą na północy rozciągała się pustynia Madurą.

W Ojszy wymieniono powozy na kaidawie wałachy. Rude kaidawy były niezastąpione w wyprawach przez pustynię. Obojętne na toczony przy nich targi, stały w kurzu na ojszańskim rynku. Targu dobijał marszruter, mocny zarówno w gębie, jak w pukaniu się w czoło. Eks-kanclerz

przysiadł tymczasem na kufrze. Ocierał pot i kaszłał. Nie mógł wyzbyć się gorączki i bólu gardła, które trapiły go od wybuchu Rudyjonnika. Gapił się na harde pyski zwierzaków, jakby chciał wypatrzeć tamte niegdysiejsze kaidawy, owe legendarne rumaki fagorzyc wojowników z czasów Wielkiej Zimy. Trudno było sobie wyobrazić te osowiałe rudzielec z fagorami na grzbiecie, jak niczym trąba powietrzna obracają w perzynę Oldorando i inne kampanniackie miasta epoki mrozu. Z nastaniem Wielkiej Wiosny zwierzęta gromadziły wodę w swych pojedynczych garbach. Dlatego nadawały się do warunków pustyni. Teraz wyglądały całkiem potulnie, lecz w Sartoriirwaszu tręcały strunę przeszłości.

– Powiniennem kupić sobie miecz – rzekł do RobaydayAnganola. – Za młodu byłem niezłym szermierzem. Roba nawrócił powóz.

– Ledwo zrzuciłeś jarzmo Orła, a już wywracasz kalendarz do góry nogami. Masz prawo się bronić, rzecz jasna. Te wzgórza zamieszkuje przeklęty

Unndreid – nasze tutejsze pastuchy noc w noc dopieszczają unndreidowe córki. W tych stronach zabójstwo jest tak powszednie, jak skorpiony.

– Ludzie wydają się przyjaźni.

Roba kucnął przed Sartoriirwaszem, rzucając mu chytre spojrzenie z ukosa.

– Dlaczego są na pozór tak przyjaźni? Dlaczego Unndreid jest dziś po zęby uzbrojony w sibornalskie pif-pafy? Czy wykryłeś, dlaczego czarnolud lo Paszara-tid opuścił dwór w takim pośpiechu?

Wziąwszy Sartoriirwasza pod ramię, pociągnął go w ukrycie za jeden z wozów, gdzie obserwowały ich jedynie naiwne ślepia kaidawów.

– Nawet mój ojciec nie może kupić przyjaźni ani miłości. A nasi Sibornalczyki kupują przyjaźń. Tacy już są. Sprzedadzą rodzone matki za pokój. Bezpieczeństwo na borlieńskim szlaku okupili rozdając wozom na prawo i lewo te swoje, jak oni to mówią, muszkiety. Dobra nazwa, bo dla muszkietu każdy jest muszką. Nawet ulubieniec Akhanaby, król JandolAnganol, syn YarpalAnganola, ojciec miłośnika Madisów – ale sam już nie taki ich miłośnik – nawet ów monarcha Matrassyłu był muszką dla muszkietów. Załatwiły go w Bitwie Kosgatckiej. Czy ty kiedykolwiek widziałeś te rany na jego udzie?

– Twój ojciec był przykuty do łóżka z powodu tych ran. Widziałem jedynie skutki, nie rany.

– Chodzi też bez kuśtykania. Ma szczęście, że nie chodzi bez kuśki! Ta rana była całusem od Sibornalu.

– Dobrze wiesz – ściszył głos Sartoriirwasz – że ja nigdy nie ufałem Sibornalom. Radziłem, aby w trakcie pokazu strzelania z rusznic nie było na dworze żadnych Sibornali. Zlekceważono moje słowa. A wkrótce po tym pokazie zniknął lo Paszaratid.

Roba uniósł palec i pogroził nim powolutku.

– Zniknął, bo się wtedy zdradził ze swoimi machlojkami – zdradził się przed małżonką, naszą piękną towarzyszką podróży, i przed personelem własnej ambasady. Chodziło też o pewną miejscową piękność, która maczała w tym palce jako pośredniczka... a w której ja także maczałem palec, od czasu do czasu... stąd właśnie wiem wszystko o lo Paszaratidzie. – Zaśmiał się. – Strzelby, które miał Taynth Indredd, które tak wielkodusznie dał mojemu orłu-ojcu, które mój orzeł-ojciec wziął tak małodusznie, bo on wziąłby i smród od żebraka, gdyby mu dawano za darmo – owe strzelby Paszaratid sprzedał Taynthowi Indreddowi za półdarmo. Dlaczego za półdarmo? Dlatego, że nie były jego własnością, więc i tak nie mógł nie zarobić. Strzelby były własnością jego rządu i były przeznaczone na opłacenie przyjaźni z takimi, jakich tu widzisz, hultajami, z takimi, jak Darwiisz Trupia Czaszka, który tysiąc razy dowiódł swej przyjaźni.

– Niezwykły postępek jak na Sibornala. Zwłaszcza kogoś na wysokim urzędzie.

– Wysoki urząd, niski charakter. Wszystko przez tę młodą ślicznotkę.

Nigdy nie zauważyłeś, jak on patrzył na moją piękną matkę, to znaczy, na tę, która była moją piękną matką, zanim odeszła bez pożegnania?

– Paszaratid zapłaciłby głową, gdyby twój ojciec odkrył jego zbrodnię. Pewnie już wrócił do Sibornalu.

RobaydayAnganol wymownie wzruszył ramionami.

– Podążamy za nim. Pani Diena jest żądna jego krwi. Aby zrozumieć pociąg do innych pań, wystarczy pomyśleć o spółkowaniu z panią Dieną. Przeleciałbyś strzelbę?... Nieborak pewnie teraz siedzi i wymyśla jakieś bajeczki na swoją obronę. Ona przybędzie i postara się je obalić. Ach, Ruszwen, nie ma to jak tragedia rodzinna! Każą zamknąć pocziwca do Wielkim Kole Kharnabharu, wspomnisz moje słowa. Kiedyś trzymali tam religię, teraz trzymają tam przestępców. Cóż, mnisi to też więźniowie... ale się kroi tragedia. Znasz stare porzekadło: „Sibornalczyk i z próżnego zawsze coś naleje”. Niemal żałuję, że nie jadę z wami i nie zobaczę, co się stanie.

– No przecież jedziesz! Drogi chłopcze!

– Aj, wujciu, bez czułości! To nie dla Anganolów! Bez sprzeciwu. Tu cię zostawiam. Ty jedziesz z Piękną Panią na północ. Ja wracam z tym powozem na południe. Mam rodziców pod opieką... eks-rodziców...

Na twarzy Sartoriirwrasza malowała się rozpacz.

– Nie zostawiaj mnie, chłopcze, nie wśród tych zbójów. Ani się obejrzę, jak będę trupem.

– Roi ci się ucieczka od bycia człowiekiem, co nie? – powiedział książę, zabawnymi ruchami udając, że daje drapaka. – Ja ani się obejrzę, jak będę Madisem. Inna ucieczka, inna wycieczka. Mnie pisana Ahd. – Doskoczył i cmoknął Sartoriirwrasza w łysinę. – Szczęścia na nowej drodze życia, staruszk. Z obu nas wyrosną roślinki!

Wskoczył na kozioł, strzelił z bata nad musłangami i ruszył z kopyta. Spłoszeni tubylcy wiali mu z drogi, klnąc na wszystkie święte rzeki. Rozpędzony wóz zniknął w tumanie kurzu.

Pustynia Madura: jakże daleki wydawał się Matrassyl. Za to bliskie były gwiazdy na niebie, a w pogodne noce sierpowaty ogon komety YarapRombra płonął jak drogowskaz na szlaku.

Sartoriirwrasz stał dygocąc we wczesnych godzinach świtu, kiedy ognisko dogasło, a pozostali podróżni jeszcze spali. Myślał o BiloszUopinie. Jego opowieść o podróży z innej planety wydawała się tutaj prawdopodobniejsza niż w pałacu. Mijając spętane kaidawy doszedł do miejsca, w którym marszruter w milczeniu zaciągał się dymem. Półgłosem wszczęli rozmowę. Słysząc było stłumione prychnanie kaidawów.

– Dość spokojne zwierzaki – rzekł Sartoriirwrasz. – Historia przedstawia je jako prawie nieujarzmione dzikie bestie. Dające się dosiadać tylko fagorom. Nigdy nie widziałem fagora na kaidawie, tak samo jak nie widziałem kraka z fagorem. Być może historia myli się w obu tych kwestiach. Całe życie próbuję oddzielić historię od legend.

– Być może nie różnią się tak wiele – powiedział marszruter. – Nie umiem czytać ani jednej litery, więc nie mam wyrobionego zdania na ten temat. Ale my odurzamy je dymem, gdy są jeszcze cielakami; dmucha się im trędowniczką w nozdrza. To jakby je uspokaja. Opowiem panu pewną historię, skoro obaj nie możemy spać. – Westchnął ciężko, nim podjął wątek opowieści. – Otóż wiele lat temu zapuściłem się z moim kapitanem na wschód, za ziemie Unndreida. Wy soko w pustkowia Nktryhku. Tam w górze jest inny świat, bardzo surowy, i nie ma tam wiele powietrza do oddychania, jednak ludzie cieszą się doskonałym zdrowiem.

– Mniej zakażeń na dużych wysokościach – zauważył Sartoriirwrasz.

– Górale Nktryhku powiadają co innego. Powiadają tam, że baba Śmierć jest leniwa i niechętnie łązi w góry. I coś panu powiem. Ulubionym pożywieniem są ryby. Często bywa tak, że można je łowić w rzece odległej o sto i więcej mil. A jakoś się nie psują. Tutaj złowiona o świcie ryba jest zepsuta o zachodzie Freyra. W górach Nktryhku zachowuje świeżość przez okrągły mały rok. – Z uśmiechem nachylił się nad grzbietem jednego z potulnych kaidawów. – Przyjemnie jest tam w górach, jak już się do nich przywyknie. Zimno w nocy, rzecz jasna. Deszcz nigdy nie pada. I jest tam w szerokich dolinach ziemia, którą władają jedynie fugasy. Nie takie pokorne jak tutaj. Powiadam panu, to inny świat. Fugasy galopują na kaidawach, galopują jak wichery... o tak, i mają też swoje kraki, które szybują im przy ramieniu. Na mój rozum one zjadą na dół, pogalopują przez niziny, gdy tylko spadnie tu śnieg, kiedykolwiek to ma nastąpić. Kiedy Freyr przygaśnie.

Z zainteresowaniem i odrobiną niedowierzania Sartoriirwrasz pokiwał głową.

— Chyba tylko garstka fagorów może wyżyć na takich wysokościach? – rzekł. – Co mogą jeść, oprócz tych twoich wiecznie świeżych ryb? Tam nie ma pożywienia.

– Bynajmniej. Sieją jęczmień w dolinach – aż po ośnieżone krawędzie. Wymaga to jedynie nawadniania. Cenna jest każda kropla wody i uryny. Tamtejsze rozrzedzone powietrze ma swoje zalety – jęczmień dojrzewa im do zbioru w trzy tygodnie.

– Pół tennera od siewu? Niewiarygodne.

– Jednak prawdziwe. I fagory dzielą się ziarnem, bez swarów i bez pieniędzy. A białe kraki precz gonią wszystkie inne skrzydlate stworzenia, z wyjątkiem orłów. Widziałem IO na własne oczy, kiedy nie byłem wyższy niż grzbiet tego czworonoga. Zamierzam tam wrócić któregoś dnia – ani króla, ani praw nad głową.

– Pozwolisz, że zanotuję tę relację – rzekł Sartoriirwrasz. Pisząc wyobraził sobie JandolAnganola wśród opuszczonych przez ludzi murów.

Po Madurze – puste dale Hazzizu. Dwakroć na swej drodze napotkali pas zarośli biegnący od krańca do krańca jałowego widnokręgu, jak żywopłot sadzony ręką Boga. Wstęga drzew, krzewów i jaskrawych kwiatów przecinała trawiaste równiny. ^

– To jest będzie ukt – oznajmiła Diena Paszaratid, przełożywszy siboryjski czas terazniejszy ciągly. – Prowadzi przez kontynent ze wschodu na zachód, szlakiem madiskich wędrówek.

W ukcie ujrzeli Innych. Nie sami Madisi przemierzali ów zielony gościniec. Marszruter ustrzelił jedną z istot w koronie drzewa. Brwi jeszcze drgały jej w konwulsji, gdy runęła im niemal wprost pod nogi. Później upiekli zdobycz nad ogniskiem.

Pewnego dnia spadł deszcz, wężowymi zębami przeczesując połacie traw. Freyr wytaczał się na niebie wyżej niż nad Matrassylem. Sartoriirwrasz najchętniej odbywałby drogę wyłącznie półdnem, obyczajem borlińskiej arystokracji, ale pozostali współtowarzysze podróży nie chcieli o tym słyszeć. Dobiegły kresu noclegi na biwakach pod gołym niebem. Ku swemu zdumieniu nie mógł ich eks-kanclerz odżałować. Wyprawa stawała na noc w sibornalskich osadach, coraz częstszych na jej drodze. Każda osada była tak samo rozplanowana. Wzniesione w równych odstępach strażnice opasywały kręgiem uprawne pola. Drogi niby szprychy koła wiodły wśród pól do osi utworzonej przez jeden lub więcej pierścieni domostw. W geometrycznym środku tej kolistej formacji stał kościół pod wezwaniem Krwawego Pokoju, zwykle otoczony wieńcem stodół, składów i urzędów. Szaro odziani kapłani-wojownicy sprawowali rządy w tych osadach, nadzorując przyjazdy i odjazdy wyprawy, zawsze zapewniając jej darmowy posiłek i nocleg. Ci głosiciele chwały Boga Azolikaksisa nosili na szatach symbol koła, a w rękach rusznice z kołowym zamkiem. Nie zapominali, że żyją na terenach, do których tradycyjnie rościł sobie prawa Pannowal.

Niemal w ostatniej chwili Sartoriirwrasz zorientował się, że marszruter z jego ludźmi nie zamierzano wpuścić do sibornalskiej osady. Wziąwszy zapłatę z rąk kogoś z ambasadorskiej świty i salutując do swego turbanu, przewodnik odjeżdżał na południe.

– Muszę się z nim pożegnać – powiedział Sartoriirwrasz. Diena Paszaratid zagroziła mu ramieniem drogę.

– Nie trzeba. Dostał zapłatę i może wracać. Stąd droga jest prosta.

– Ale ja polubiłem tego człowieka.

– Ale ten człowiek jest nam już niepotrzebny. Droga jest już bezpieczna, od osady do osady. Ci barbarzyńcy wierzą w stare zabobony. Marszruter mógł nas doprowadzić tak daleko tylko dzięki temu, że jak mi wyznał, tędy biegnie oktawa śródziemna jego plemienia.

Sartoriirwrasz w rozterce targał bokobrody.

– Pani Dieno – rzekł – niekiedy w starych zwyczajach kryje się ziarno prawdy. Zamiłowanie człowieka do własnej oktawy śródziemnej zgoła nie wygasło. Ludziom najlepiej się wiedzie wówczas, gdy żyją w tej oktawie śródziemnej, w której poprzychodzili na świat. Takie wierzenia mają swe praktyczne uzasadnienie. Oktawy zazwyczaj wiodą przez warstwy geologiczne i złoża mineralne wpływające dobroczynnie na zdrowie mężczyzn i kobiet.

Uśmiech błysnął i zgasł na jej kościstej twarzy.

– Oczywiście, po prymitywnych ludziach spodziewamy się prymitywnych wierzeń. To przecież są korzenie ich prymitywizmu. Sprawy mają się nieustannie lepiej tam, dokąd zmierzamy.

Ostatnie zdanie najwyraźniej było dosłownym przekładem jednego z wielu siboryjskich czasów na olonet. Ze względu na swą jakże wysoką pozycję społeczną Diena Paszaratid zwracała się do Sartoriirwrasza w wysokim olonecie. W odróżnieniu od niskiego olonetu, wysokim olonetem na obszarze Kampannia-tu mówiły wyłącznie sfery wyższe oraz hierarchia kościelna, przede wszystkim w granicach Świętego Cesarstwa Pannowalu, gdzie Kościół coraz powszechniej wprowadzał wysoki olonet jako swój język liturgiczny. Na kontynencie północnym niepodzielnie królował siboryjski, zwarty język o własnym alfabecie. Olonet niewiele zwojował przeciwko siboryjskiemu, z wyjątkiem południowych wybrzeży, gdzie kwitł handel z wybrzeżami kampanniackimi. Siboryjski używał wielokrotnych czasów i trybów warunkowych. Nie miał głoski "j". Zastępujące ją "i" brzmiało twardo, "cz" i "sz" zaś niemalże jak świst. Efekt był taki, że cokolwiek by rodowity Askitoszanin powiedział do cudzoziemców w ich języku, ci odbierali to jako drwinę. Być może cała historia nieustannych wojen północnych miała swój początek w kaleczeniu siboryjską wymową takich słów, jak "Matrassyl". Lecz za owym siboryjskim sznurowaniem warg stała ślepa siła sprawcza klimatu Helikonii, przez połowę Wielkiego Roku zniechęcająca do zbędnego otwierania ust.

Zostawiwszy kaidawy w pierwszej napotkanej osadzie, spod której zawrócił marszruter, podróżni jechali rozstawnymi mustangami na północ, od osady do osady. Za dwunastą z kolei droga szła pod górę coraz stromiej z każdym krokiem. Grunt wznosił się na przestrzeni paru mil. Musieli zsiąść i prowadzić wierzchowce. Na szczycie tej pochyłości rosły rzędem młode radżababy, wysokie i smukłe, o selerowe półprzezroczyste korze. Dotarłszy do drzew, Sartoriirwrasz położył dłoń na najbliższym pniu. Miał wrażenie, że dotyka miękkiego i ciepłego boku mustanga. Podniósł wzrok ku pióropuszm liści wysoko w górze kołyszącym się na wietrze.

– Nie w niebo – spójrz prosto przed siebie! – usłyszał od któregoś ze współtowarzyszy.

Po drugiej stronie grani leżała mroczna dolina, pełna błękitnawych cieni. Za doliną ciemniejszy błękit – morze. Wiatr przynosił nowy zapach. Sartoriirwrasz odetchnął pełną piersią. Już dawno zapomniał o" gorączce.

Gdy dotarli do portu, nawet ludzi północy ogarnęło podniecenie. Port nosił dumną siboryjską

nazwę Rungobandraiaskosz. Był zbudowany na tym samym ogólnym planie, co mijane przez nich osiedla, z tą różnicą, że tworzył jedynie połówkę koła, a wielki kościół stojący pośrodku na nadbrzeżnej skale miał na wieży latarnię morską. Druga połowa koła leżała symbolicznie w Sibornalu, za Morzem Pannowalskim. Przy pirsach cumowały okręty. Wszędzie panował wzorowy ład i porządek. W odróżnieniu od większości narodów Kampanniatu Sibornalczycy byli urodzonymi żeglarzami.

Po nocy spędzonej w zajeździe wędrowcy wstali o wschodzie Freyra i z gromadą innych podróżnych wsiedli na oczekujący ich okręt. Sartoriirwrasz, który nigdy nie pływał w niczym większym od jednomasztowej łodzi, poszedł spać do malutkiej kajuty. Obudziły go przygotowania do wyjścia w morze. Wyrzał przez kwadratowy bulaj. Bataliksa wisiała nisko nad wodą, srebrząc szlak po horyzont. Pobliskie okręty jawiły się jako granatowe sylwetki, same kontury i maszty, niby bezlistny las. Tuż obok krzepki chłopak przepływał portowy basen w wiosłowej łodzi. Pod słońce wszystkie szczegóły się tak zacierały, że człowiek i łódź tworzyli jedną ciemną sylwetkę, w której wiosłarz i wiosła poruszali się w przeciwnie strony. Pomału, pociągnięcie za pociągnięciem, wiosłarz wrywał łódź ze ślepej jasności. Wiosła uderzały, grzbiet ciągnął, aż jasność pękła (by zaraz się scalić ponownie) i wiosłarz przedarł się do słupów mola. Sartoriirwrasz przypomniał sobie, jak będąc chłopakiem woził swych dwóch młodszych braci łódką po jeziorze. Ujrzał ich uśmiechy, ślady ich dłoni na wodzie. Tak wiele przepadło od tamtych dni. Nie ma nic za darmo. Drogo zapłacił za swe ukochane Abecadło. Z pokładu dochodził tupot bosych stóp, głośnie komendy, skrzyp talii przy stawianiu żagli. Nawet w kajucie dało się odczuć drzenie, gdy żagle zaczęły łapać wiatr. Okrzyki z mola, wąż cumy w skoku przez burtę. Płynęli na północny kontynent.

Płynęli siedem dni. Freyrowe dni stawały się coraz dłuższe, jako że płynęli na północno-północny zachód. Co wieczór ogniste słońce zachodziło im mniej więcej prosto przed dziobem, a wstawało mniej więcej na północ od północnego wschodu, coraz krócej przebywając za horyzontem. Widzialność słabła, wbrew słowom Dieny Paszaratid i jej przyjaciół, roztaczających przed Sartoriirwraszem świetlaną przyszłość. Wkrótce ogarnęło ich coś, co jeden z marynarzy w obecności eks-kanclerza nazwał "prawdziwą uskucką ciuciubabką". Napłynęła gęsta bura mgła, podobna do burzy piaskowej połączonej z ulewą. Wszystko nad i pod pokładem okryła lepka wilgocia, głusząc odgłosy żegluga. Jeden Sartoriirwrasz nie taił strachu. Kapitan okrętu zapewnił go, że nie widzi powodu do obaw.

– Z moimi przyrządami mogę żeglować w podziemnej jaskini – rzekł. – Choć nie przeczę, że nasze najnowsze statki badawcze są wyposażone jeszcze lepiej.

Zaprowadził Sartoriirwrasza do swej kabiny. Na stole leżały drukowane tablice dziennych wysokości słonecznych, pozwalające określić szerokość geograficzną, dalej mokry kompas, laska Jakuba oraz przyrząd nazywany przez kapitana nokturnałem, który mierzył wysokość najjaśniejszych gwiazd oraz wskazywał liczbę godzin przed i po północy w stosunku do obu słońc. Okręt mógł również żeglować na podstawie zliczeń nawigacyjnych i systematycznego pomiaru kierunku i odległości na mapie.

Donośny krzyk oka przerwał Sartoriirwraszowi spisywanie tych informacji, a kapitan wybiegł na pokład klnąc takimi słowami, jakich by Jedyny Azoikaxis raczej nie pochwalił. W mżawce majaczyły bure obłoki i gdzieś z tych obłoków dobiegały ryki ludzi. Z obłoków wyłoniły się wanty i żagle. Okręt tak wielki, jak ich własny, minął się z nimi w ostatniej chwili, ledwie o stopę między kadłubami. Ujrzeni latarnie, twarze – przeważnie rozwścieczone i wśród wygrażających pięści – i nagle wszystko zniknęło z powrotem w zawieszistej ciemności. Okręt idący do Sibornalu znów był sam w nieprzeniknionej burości.

Pasażerowie wytłumaczyli swemu cudzoziemcowi, że właśnie minęli się z jedną z uskuckich kog śledziowych, łowiących sieciami na pełnym morzu. Koga śledziowa była małą przetwórną, gdyż w załodze miała solarzy i bednarzy, którzy patroszyli i beczkowali złowione ryby na miejscu. Całkowicie wytracony z równowagi tym o włos unikniętym zderzeniem, Sartoriirwrasz nie był w nastroju do wysłuchiwanie hymnów na cześć sibomalskich dalekomorskich połowów śledzia. Wrócił na swą wilgotną koję, gdzie dopadły go dreszcze, mimo że się owinął płaszczem. Dopłynąwszy do Askitoszu – uświadomił sobie – znajdują się na trzydziestym stopniu szerokości geograficznej, zaledwie pięć stopni na południe od zwrotnika Karkampana.

Rankiem siódmego dnia podróży odeszły tumany mgły, lecz widzialność pozostała słaba. Morze było usiane śledziowymi kogami. Z mglistej smugi na horyzoncie wyłoniła się linia brzegowa północnego kontynentu. Nie więcej niż cienka kreska piaskowców pomiędzy lekko zmarszczonym morzem a sfalowanym lądem.

Pod wpływem jakiegoś uniesienia na widok ojczystej ziemi pani Diena Paszaratid udzieliła Sartoriirwraszowi krótkiej lekcji geografii. Jej wykład ilustrowała chmara stateczków na morzu. Uskutoszk stał się morską potęgą z konieczności, albowiem lód z Kręgu Polarnego idzie na południe – Krąg został wymieniony ściszoną głosem. Między lodem a morzem mało jest ziemi uprawnej. Trzeba było uprawiać morze i otworzyć szlaki żeglugowe do dwóch rozległych, żyznych, zbożowych krain kontynentu, leżących bardzo daleko – co podkreśliła zamaszystym ruchem ramienia.

Spytał jak daleko.

Wskazując na zachód, coraz dalej na zachód, wyliczyła krainy Sibornalu, każdą wymieniając z odmienną modulacją głosu, jak gdyby przedstawiała dobrych znajomych, którzy z plecami przemarzniętymi w lodowatych podmuchach od Kręgu Polarnego stali z oczyma skierowanymi na południe, wszyscy ogarnięci nieprzewartą chęcią wmaszerowania do Kampanniatu – pomyślał Sartoriirwrasz. Uskutoszk, Loradz, Sziwenink, gdzie znajdowało się Wielkie Koło, Bribhar, Karkampan. Zbożowe ziemie były w Bribharze i Karkampanie. Zamknęła swą listę obecności, skierowawszy palec na wschód.

– I tak okrążyliśmy glob. Prawie cały Sibornal, jak widać, jest skrajnie odizolowany, ściśnięty między oceanem a lodem. Za Karkampanem mamy górzysty Kudź-Dżuwek – prawie bezludny – a dalej niespokojny region Górnego Hazzizu i półwysep Chalce; i oto jesteśmy bezpiecznie z powrotem w Uskutoszku, kraju najwyższej cywilizacji. Przybywasz o tej porze roku, gdy mamy zarówno Bataliksę jak Freyra na niebie. Jednak Freyr przez ponad połowę Wielkiego Roku w ogóle nie wychodzi zza horyzontu, a wtedy klimat staje się surowy. Mamy wówczas legendarną Zimozimę. Lód wędruje na południe, a my, Uskuci, jak siebie nazywamy, też wędrujemy na południe, jeśli to możliwe. Lecz wielu Uskutów umiera. Wielu umiera.

Użyła czasu przyszłego ciągłego. Choć było ciepło, zadygotała pod wpływem swych myśli.

– Za życia jakichś innych ludzi – szepnęła. – Na szczęście ten okrutny czas wciąż jest odległy, jednak niełatwo o nim zapomnieć. Myślę, że to tkwi w pamięci zbiorowej... My wszyscy wiemy, że Zimozima znów nastanie.

Z mola zostali doprowadzeni do masywnego breku z brezentową budą. Zaczekali, aż niewolnicy załadują bagaże, po czym wsiedli na wóz. Cztery płowe jajaki szparko pociągnęły ich jedną z ulic promieniście odchodzących od basenu portowego.

Przejeżdżając w cieniu olbrzymiego kościoła Sartoriirwrasz spróbował uporządkować natłok wrażeń. Zdumienie budził fakt, że wiozący ich brek prawie w całości był z metalu, nie z drewna: osie, ściany, nawet ławki, na których siedzieli, wszystko było z metalu. Metalowe przedmioty rzucały się w oczy, gdziekolwiek by spojrzeć. W tłumie ulicznym – bez przepychanek i wrzaskliwo-ści

matrassylskiej ciżby – ludzie dźwigali metalowe wiadra, drabinki i rozmaite oprzyrządowanie okrętów; przechodzili mężczyźni w błyszczących karacenach. Co okazalsze budynki pyszniły się żelazem drzwi, często niezwykle ozdobnych, z wypukłymi reliefami imion, jak gdyby noszący je ludzie zamierzali mieszkać tu wiecznie i bez względu na to, co się stanie z Okolicami Okołopolarnymi. Mgiełka w niebiosach tłumiała żar Freyra, który w południe stał wysoko na nieboskłonie, nienaturalnie wysoko w oczach przybysza. W powietrzu nad miastem snuły się dymy. Sibornalskie lasy były skąpe w porównaniu z rozpasanymi dżunglami tropików, za to kontynent miał rozległe złoża węgla brunatnego i torfu, jak również rud metali. Rudy metali wytapiano w rozrzuconych po mieście niewielkich hutach. Każdemu metalowi wyznaczono ściśle określony teren. Każdy metal na swoim terenie skupiał własnych wytapiaczy i fryszerów, własne pomocnicze rzemiosła i własnych niewolników. W ciągu ostatniego pokolenia metale stały się tańsze od drewna.

– Piękne miasto. – Ktoś raczył się nachylić i zaszczyścić przybysza tą uwagą.

Poczuł się malutki, wydał malutkie chrząknięcie i nic nie odpowiedział. Z breku widział, jak funkcjonuje ta połówka askitoszowskiego koła. Olbrzymi kościół nad przystanią stanowił oś. Po półkolu miejskim szło półkole wiejskie z polami, potem następne półkole budynków i tak dalej, z tym że rozmaite wymogi życia w kilku miejscach naruszały tę w oczach Borlieńczyka nienaturalną symetrię.

Zawieszono ich pod wielki brzydki budynek, przypominający skrzynię z wyciętymi szczelinami okien. Podwójne drzwi wejściowe były z metalu;

wypukłym reliefem wypisano na nich słowa: "Pierwszy Konwent, Sektor Szósty". Konwent okazał się czymś pośrednim między zajazdem, klasztorem męskim, klasztorem żeńskim, szkołą i więzieniem, a przynajmniej takie wrażenie odniósł Sartoriirwrasz oglądając przydzielony mu podobny do celi pokój i czytając regulamin. Regulamin głosił, że dziennie podawane są dwa posiłki, o czwartej dwadzieścia i o dziewiętnastej, modlitwy są odprawiane co godzina (dobrowolnie) w kaplicy na piętrze, ogród w czasie półdnia jest dostępny dla spacerowiczów i medytacji, wskazówki (cokolwiek to znaczyło) mogą być udzielone o każdej porze, a gościom bez zezwolenia nie wolno opuścić tego przybytku. Z ciężkim westchnieniem zabrał się do mycia, po czym siadłszy na łóżku zatonął w ponurej zadumie. Lecz jak wszystko, co uskuckie, tak i gościnność uskucka była prędką, wnet usłyszał prędkie pukanie do drzwi i prędko poprowadzono go korytarzem na bankiet.

Światło do długiej wąskiej sali bankietowej wpadało przez okienne szczeliny, które cięły ruch uliczny na wąskie pionowe migawki. Przy braku dywanów na posadzce nieco przepychu, a nawet wspaniałości przydawał wnętrzu ogromny gobelin na ścianie w głębi sali, przedstawiający wielkie koło na purpurowym tle i odzianych w błękity wiosłarzy, jak błogo uśmiechnięci pchają koło wiosłami przez niebiosą w stronę niezwyklej macierzyńskiej postaci, która z ust, nozdrzy i piersi sypie gwiazdy na purpurowe niebo. Szczegóły tej sceny napawały Sartoriirwrasza takim zdumieniem, że aż dłoń go zaswędziała, by ją opisać czy wręcz naszkicować, ale został wysunięty naprzód i przedstawiony dwunastu osobistościom, w pozycji na baczność czekającym na prezentację. Z kolei pani Diena Paszaratid przedstawiła każdą osobistość z imienia. Nikt mu nie uściśnął wyciągniętej dłoni – w tej krainie nie było w zwyczaju dotykać ręki nikogo spoza własnej rodziny czy klanu. Usiłował spamiętać zawiłe imiona, lecz w głowie pozostało mu jedynie Odi Yeseratabhar, i to dlatego, że nosił je Kapłan--Wojownik Admirał, który miał mundur w granatowo-szare pasy i był kobietą. A co więcej, był kobietą na swój surowy sposób śliczną, o dwóch blond warkoczach tak zwiniętych na głowie, że końce sterczały w przód niby dwa złote różki, wzruszające i komiczne zarazem.

Uprzejmie uśmiechając się do gościa z Kampanniatu i głośno szurając metalowymi krzesłami po

gołej posadzce, zebrani zajęli miejsca za stołem. Gdy już zapadła cisza, osoba najstarsza z całej dwunastki wstała do odmówienia modlitwy. Reszta, przyłożywszy palce wskazujące do czoł, zastygła w modlitewnej pozie. Sartoriirwrasz też. Modlitwa popłynęła rzeką gęstej siboryjskiej składni, brawurowo zonglującej czasem terażniejszym ciągłym, wiecznym warunkowym, przeszłym doteraźniejszym, przechodnim i innymi czasami, aby dziękczynne słowo przebyło całą długą drogę do Jedynego Azoikaksisa. Długość modlitwy miała być chyba proporcjonalna do długości tej drogi. Wreszcie modlitwa dobiegła końca i służebne dziewczki podały do stołu posiłek złożony z mnóstwa maleńkich dań, poza rybą, przeważnie jarskich, których podstawę stanowiły rozmaite morskie wodorosty, surowe lub gotowane na parze. Do tego owocowe soki i pędzony z morskich wodorostów trunek zwany jodałką. Jako danie główne i jedyne, które Sartoriirwraszowi naprawdę smakowało, uroczyście podano pieczone na rożnie stworzenie, wyglądające kanclerzowi na prosiaka. Wniesiono je w całości, na szpikulcu i polaną zawieszistym sosem. Sartoriirwrasz dostał kawałek pierś z tego prosięcia. Powiedziano mu, że to drzewiatka. Dopiero wiele dni później dowiedział się, że drzewiatka to pieczony Nondad. Jako wielki przysmak uskucki był podawany w wyjątkowych okazjach i tylko dostojnym gościom.

Jeszcze przed końcem bankietu Diena Paszaratid przeszła za plecami siedzących i nachyliła się nad Sartoriirwraszem.

– Wkrótce Kapłan-Wojownik Admirał wygłosi mowę – oznajmiła. – To, co powie, może w panu obudzić niepokój. Proszę się nie niepokoić. Wiem, że pan nie należy do ludzi bojaźliwych. Ani też do ludzi, których łatwo urazić. Dlatego proszę nie żywić do mnie urazy za moją rolę w tym wszystkim.

Gwałtownie zaniepokojony eks-kanclerz wypuścił nóż z ręki.

– O czym ma mówić?

– Złoży ważne oświadczenie, dotyczące losów obu naszych krajów. Odi Yeseratabhar wyjaśni szczegóły. Proszę pamiętać, że ja musiałam tu pana sprowadzić, by odzyskać dobre imię, splamione działalnością mojego małżonka. Proszę pamiętać o swej nienawiści do JandolAnganola, a wszystko będzie dobrze.

Zostawiwszy kanclerza, powróciła na swoje miejsce. Sartoriirwrasz nie był już zdolny przełknąć ani kęsa więcej. Natychmiast po zakończeniu wystawnego posiłku i podaniu trunku rozpoczęły się przemówienia. Najpierw mowa powitalna miejscowej grubej ryby. Potem wstała pani Diena. Po krótkim zagajeniu szybko przeszła do rzeczy. Czyniąc niewyraźną aluzję przyznała się do poczucia winy za to, że jej małżonek złamał zasady dyplomatycznego protokołu. W związku z tym ona wyciągnęła kanclerza Sartoriirwrasza z beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znalazł, i sprowadziła go tutaj. Dostojny gość może im oddać przysługę, i nie tylko im, ale całemu Uskutoszkowi i doprawdy całemu północnemu kontynentowi, przysługę, która przejdzie do historii i zapewni kanclerzowi poczesne miejsce w uskuckich kronikach. Co to za przysługa, za chwilę nam wszystko wyjaśni droga i szanowana Kapłanka-Wojowniczką Admirał, pani Odi Yeseratabhar.

Od przecucia nieszczęścia zemdlilo Sartoriirwrasza jeszcze bardziej niż od jodałki. Miał wielką ochotę na trędowniczkę, ale widząc, że nikt z obecnych za stołem nie pali, nie palił i on, nie zabierał się do palenia ani nie użył chociażby czasu wiecznego warunkowego od „zapalić”. Zrezygnowany ścisnął tylko palcami krawędź stołu, gdy pani Admirał wstała z krzesła. Jako że jej wystąpienie miało charakter urzędowy, mówiła w specyficznym wysokim siboryjskim języku kapłanów-wojowników.

– K-apłani-wojownicy, członkowie Rady Wojennej, przyjaciele i nowy nasz przyjacielu – podniosłe zaczęła dama, potrząsając różkami blond warkoczyków – czas zawsze pogania, przeto będę się streszczać. Już za osiemdziesiąt trzy lata Freyr będzie jest w apogeum swej mocy, a w

rezultacie Dzikie Kontynent i jego barbarzyńskie narody sąwinnebyć w okropnym zamęcie, przewidując własną zagładę. Barbarzyńcy nie sąbyli w stanie stawiać czoła przyszłości, tak jak to my, Uskuci, nie ustajęcczynimyczyniliśmy, co daje nam prawo do usprawiedliwionej, moim zdaniem, dumy. Z głównych krain na owym nieszczęsnym kontynencie zwłaszcza Borlien jestbędzie w kłopotach. Nasz odwieczny rywal Pannowal, niestety, trwarośnie w siłę. Niedawno się teraz ujawnił nie uwzględniany w rachubach czynnik losowy związany z handlem naszą bronią, którego rozwój wymyka się spod kontroli za sprawą nieuczciwych ambasadorów. Nie będziemy roztrząsać tego przypadku. Wkrótce wojownicze narody Dzikiego Kontynentu zaczną wyrabiać imitacje naszej broni. Musimymozemy przystąpić do działania, zanim ten proceder rozwinie się na jakąś większą skalę, dopóki przewaga jest po naszej stronie. Jak już wiedzą moi przyjaciele z Rady Wojennej, planujemy, ni mniej, ni więcej, jak zająć Borlien.

Jej słowa odjęły biesiadnikom mowę. Po chwili zerwały się gromkie brawa.

Wiele par oczu kierowało się w tę stronę, gdzie siedział Sartoriirwrasz ze zbiałałą twarzą.

– Niemamyniebędziemymieć pod dostatkiem wojska na ujarzmienie siłą całego Borlien. Nasz plan przewiduje podbój i aneksję środkami, jakich nieświadomie dostarczy nam borlieński król JandolAnganol. Podbiwszy Borlien możemy uderzyć na Pannowal zarówno od południa jak i z północy.

Biesiadnicy przerwali pięknej pani Admirala oklaskami, uśmiechając się początkowo do siebie, potem i do Sartoriirwrasza, który nie odrywał wzroku od delikatnie zarysowanych admiralskich warg.

— Nasza flota jest gotowa do wyjścia w morze – mówiły te wargi. – Oczekujemy, że kanclerz Sartoriirwrasz wyruszy z nami, aby odegrać swą kluczową rolę. Otrzyma wielką nagrodę.

Znów owacja, ale ograniczona do paru oklasków.

– Flota popłynie na zachód. Ja będę nią dowodzić z pokładu „Złotej Przyjaźni”. Zamierzamy powinniśmybędziemy żeglować wzdłuż wybrzeży Kam-panniatu, w końcu podchodząc od strony zachodniej do Zatoki Grawabagali-nien, gdzie królowa Myrdeminggala jestbędzie na wygnaniu. Kanclerz i ja zawiniemy do Grawabagalinien, aby zabrać królową z wygnania, podczas gdy reszta floty zamierzapopłynie dalej i ostrzela z dział Ottassol, aż ten największy port borlieński skapitulowańskapituluje. Borlieńczycy sąbylibędą rozkochani w swej królowej. W Ottassol u Sartoriirwrasz proklamuje nowy rząd pod berłem królowej, sam się mianując premierem. Nie zachodzi potrzeba staczania bitwy. Będzieciepowinniście doceniać niezawodność tego planu. Nasz dostojny sprzymierzeniec i barbarzyńska królowa, potomkini Szannany z Thribriatu, oboje darzą króla JandolAnganola nienawiścią. Królowa będzie uszczęśliwiona odzyskaniem tronu. Rzecz jasna, pozostanie pod naszą kuratelą. Kiedy już Ottassol jestmożebyć w naszych rękach, okręty z żołnierzami wyruszą w górę rzeki, by zająć stolicę Matrassyl. Mam rozeznanie, oparte na raportach naszych agentów, że tam powinniśmymozemyznajdziemy poparcie, zwłaszcza ze strony starego ojca królowej i jego frakcji. Bez trudu przetniemy wątłą nić władzy króla. Podobnie jak nić królewskiego żywota. Zawładnąwszy Borlien, niczym szabłą przetniemy cały Dzikie Kontynent w kierunku północnym, prosto jak strzelił od Ottassolu na południu aż po Rungobandraiaskosz. Od teraz przyspieszamy bieg rzeczy, skoro tu wreszcie jesteście. Odpocznijcie, przyjaciele, nim przystąpimy do czynów, które okryją nas wielką chwałą. Zgodnie z naszym planem główne siły floty będąmogąpowinnywypłyną o zachodzie Freyra, za dwa dni od dziś, jeżeli taka będzie wola boska. Wielka przyszłość świtazaświta.

Tym razem owacjom nie było końca.

XII. PASAŻERSKI REJS Z PRĄDEM RZEKI

– Bezdenna, stara jak świat ludzka głupota... Ludziska harują i nic z tego nie mają. Albo nic nie robią i tyleż mają. Świata nie widzą poza swoją wiochą... gorzej, poza własnym pępkiem. Popatrzcie na tę bandę obiboków! Gdybym był taki głupi, do dziś byłbym obnośnym kramarzem w Miejskim Parku Oldorandzkim.

Wygłaszający te uwagi filozof leżał rozwalony na poduszkach, z poduszkami pod głową i z bosymi stopami na poduszce. Po prawicy miał szklanekę ulubionego egzageratu z dodatkiem kawałków lodu i cytryny, lewicą zaś obejmował młodą dziewczynę, machinalnie bawiąc się jej piersią. Wygłaszał swoje uwagi przed audytorium złożonym z dziewczyny, która zamknęła oczy, i jeszcze dwóch słuchaczy. O poręcz nadburcia opierał się jego syn z przymkniętymi na wpół oczyma i z ustami na wpół otwartymi. Młodzian miał u boku kiść gwing-gwinek i pojadając je, co jakiś czas pluł pestkami na mijanych użytkowników rzeki. Ukryty w cieniu forkasztela podpierał dziobówkę młody blade mężczyzna, który pocił się okrutnie i jeszcze okrutniej mamrotał. Pod pasiastym prześcieradłem jego nogi ani na chwilę nie przestawały podrygiwać; leżał w gorączce, a leżał w niej przez cały czas, od kiedy statek wyszedłszy z Matrassylu wziął kurs na południe. Chory rzadko odzyskiwał świadomość i nijak nie wyglądał na wdzięczniejszego niż zjadacz gwing-gwinek słuchacza mądrości, jakimi ich raczył starszy mężczyzna. Starszemu mężczyźnie to nie przeszkadzało.

– Na ostatnim postoju zagadnąłem jakiegoś starego, tkwiącego pod drzewem durnia, czy nie sądzi, że z roku na rok robi się coraz goręcej. A ten mi na to: "Zawsze było gorąco, panie szyper, od dnia, w którym powstał świat". A kiedy to mogło być? – zapytałem. „W Epoce Lodowej, jak powiadają". Taką mi dał odpowiedź. W Epoce Lodowej! Oni są niespełna rozumu. Nic do nich nie dociera. Weźmy taką religię. Żyję w religijnym kraju, ale nie wierzę w Akhanabę. Nie wierzę w Akhanabę, bo tak mi podyktował mój rozum. Mieszkańcy tutejszych wiosek nie wierzą w Akhanabę nie dlatego, że podyktował im to rozum, tak jak mnie, bo oni nie mają rozumu... – Urwał, aby mocniej ścisnąć pierś dziewczyny i pociągnąć zdrowy łyk egzageratu. – ...Oni nie wierzą w Akhanabę, bo są za głupi, aby wierzyć! Oddają cześć wszelkiego rodzaju demonom, Innym, Nondadom, smokom. Ciągłe wierzą w smoki... Oddają boską cześć Myrdeminggali. Poprosiłem zarządcę, aby oprowadził mnie po wiosce. W prawie każdej chałupie wisi tam podobizna Myrdeminggali. Podobizna nie bardziej podobna do niej niż ja, i to ma być jej portret... Ale, jak powiadam, oni świata nie widzą poza własnym pępkiem.

– Szczypiesz mi cycek – powiedziała młoda dama.

Ziewnął, przesłaniając prawą dłonią usta, i mimochodem się zastanowił, dlaczego w towarzystwie obcych ludzi jest mu o wiele przyjemniej niż w otoczeniu własnej rodziny – zarówno przygłupawego syna, jak również nudnej małżonki i hardej córki. Chciałby bez końca żeglować z prądem rzeki, z tą dziewczyną i z młodzieńcem, który twierdzi, że pochodzi z innego świata.

– Kojące są głosy rzeki. Lubię je. Będzie mi ich brakowało, gdy na dobre zakotwiczę w domu. A na to, że Akhanaba nie istnieje, mam dowód. Aby stworzyć świat tak skomplikowany, jak nasz, z ciągłą dostawą żywych ludzi, przychodzących i odchodzących – trochę na podobieństwo dostaw szlachetnych kamieni, które wydobywa się z ziemi, szlifuje i sprzedaje klientom – aby to stworzyć, trzeba by naprawdę mądrego jegomościa, boga czy nie boga, wszystko jedno. Czyż nie jest tak? No nie jest?

Kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki uszczypnął dziewczynę, aż pisnęła.

– Jest, skoro tak twierdzisz.

– Tak właśnie twierdzą. No a gdyby jegomość był taki mądry, to jakąż by miał przyjemność siedząc gdzieś ponad światem i patrząc z góry na tych wiejskich głupków? Zwariowałby od tej monotonii, pokolenie za pokoleniem i nic na lepsze. W Epoce Lodowej... Na Patrzycielkę...

Ziewnął, pozwalając opaść swym powiekom. Dziewczyna szturchnęła go pod żebra.

– No dobrze. Skoro taki mądry, to powiedz mi, kto stworzył ten świat. Jeśli nie Akhanaba, to kto?

Zadajesz za dużo pytań – rzekł.

Kapitan polarny Muntras zapadł w sen. Obudził się, gdy "Polarna Panna" rzuciła na noc cumy w Osoilimie, gdzie miał stanąć gością w miejscowej placówce Lordrardryjskiej Kompanii Handlu Lodem. Stawał gością kolejno w każdej ze swych handlowych faktorii, przeto rejs z Matrassyłu w dół rzeki trwał dłużej, niż zwykle bywało – nieomal tak długo, jak podróż w górę rzeki, kiedy to zaprzęgi mustangów holują statki jego lodowej floty pod prąd.

Placówkę w Osoilimie bystry kapitan polarny założył za młodych lat właściwie z jednego powodu, który to powód, rzec można, górował nad podającą cumy "Panną". Strzelał trzysta stóp wyżej niż korony wybijały tutaj brassim. Królował nad okoliczną dżunglą, wynosił się nad szeroką rzekę, zadumany nad własnym odbiciem w rzecznej toni. I z czternastu stron Kampanniate ściągał pielgrzymów złaknionych łaski bożej – i lodu. Tym powodem był Kamień Osoilimy.

Miejscowy zarządca, siwowłosy człowiek o ciężkim dimariamskim akcencie, niejaki Grengo Pallos wszedł na pokład i serdecznie uściśnął dłoń pryncypała. Pomógł Diwowi Muntrasowi dopilnować wyokrętowania pasażerów. Podczas gdy fagory wyładowały bele towarów ocechowane napisem OSOILIMA, Pallos wrócił do kapitana polarnego.

– Tylko trzech pasażerów?

– Pielgrzymi. Jak interesy?

– Marnie. Nie macie dla mnie nic więcej?

– Nic. W Matrassyłu zgnuśniali. Dwór się trzęsie. Handel podupada.

– Tak słyszałem. W szczęku włóczy ginie brzęk pieniądza. Szkoda królowej. Z kolei zjednoczenie z Oldorandem może tu napędzić więcej pielgrzymów. Ciężkie czasy, Krillio, skoro nawet dewoci powiadają, że im za gorąco na podróże. Do czego to wszystko doprowadzi, zadaję sobie pytanie. Wycofujesz się w samą porę.

Kapitan polarny wziął Pallosa na stronę.

– Mam na pokładzie szczególnego pasażera, o którym sam nie wiem, co sądzić. Jest chory, zowie się BiloszUopin. Twierdzi, że przybył z innego świata. Może jest obłąkany, lecz mówi bardzo ciekawe rzeczy, jeśli się w nie wsłuchać. Sądzi, że umiera. Ja nie sądzę. Czy twoja staruszka mogłaby zapewnić mu jakąś staranniejszą opiekę?

– Załatwione. Koszty noclegu uzgodnimy jutro rano. I tak Bilo Xiao Pin został sprowadzony na ląd. Na ląd zeszła również młoda dama imieniem AbathaYasidol, która korzystała z bezpłatnej przejażdżki do samego Ottassolu. Jej matka, MettaYasidol, bliska przyjaciółka kapitana, prowadziła dom publiczny na przedmieściach Matrassyłu.

Wypiwszy po kielichu obaj kupcy zajrzeli do Bila, już ulokowanego w skromnym królestwie żony Pallosa. Pacjent czuł się lepiej. Miał za sobą nacieranie kręgosłupa blokiem lordrardryjskiego lodu, który stanowił znakomite remedium na wszystkie dolegliwości. Gorączka ustąpiła, kasłać i kichać Bilo przestał już po wypłynięciu z Matrassyłu, rozstając się ze swą alergią. Kapitan orzekł, że Bilo nie umrze.

– Wkrótce umrę, kapitanie, niemniej jestem wdzięczny za pańskie dobre serce – powiedział Bilo. Uważał opiekę kapitana polarnego za szczęście po matrassylskich okropnościach.

– Nie umrzesz. To był wulkan, ten smrodliwy Rudyjonnik, wylewający swe jady. W Matrassyłu

wszyscy chorowali. Te same objawy, co u ciebie – łzawienie oczu, ból gardła, gorączka. Jesteś już zdrow jak mustang, nogi same będą cię niosły. Nigdy nie wolno się poddawać.

– Może ma pan rację. Pewnie choroba przedłużyła mi życie. Wirus helikoidalny zabije mnie nieuchronnie, ponieważ nie mam na niego odporności, jednak wulkan mógł odroczyć wyrok o tydzień lub dwa. Muszę więc korzystać z każdej chwili życia i wolności. Pomóżcie mi wstać.

Wnet chodził po izbie, śmiejąc się i rozprostowując ramiona. Muntras z żoną zarządcy przyglądali mu się z uśmiechem.

– Jak cudownie! Jak cudownie! – powtarzał Bilo. – Zaczynałem nienawidzić wasz świat, kapitanie. Sądziłem, że Matrassyl będzie moim grobem.

– Nie jest taki straszny przy bliższym poznaniu.

– Ale religijny!

– Dodaj rodzaj ludzki i fagorzy do siebie – rzekł Muntras – a otrzymasz religię. Zderzenie dwóch niewiadomych krzesze tego rodzaju iskrę.

Mądrość tej uwagi wywarła wrażenie na Bilu, lecz małżonka Pallosa puściła ją mimo uszu, mocno ujmując Bila za ramię.

– I proszę – rzekła – okaz zdrowia. Wykąpiemy go i będzie jak nowo narodzony. A potem napelnimy mu brzuch, bo bez tego ani rusz.

– Tak jest – wtrącił Muntras – a ja mam jeszcze lepsze lekarstwo dla ciebie, Bilosz. Przyślę tę figlarną młodą damę, Abathę, córkę mojej starej przyjaciółki. Bardzo miła, bardzo chętna dziewczyna. Pół godzinki z Abathą sprawi, że poczujesz się niczym młody bóg.

Bilo niepewnie łypnął okiem i spiekl raka.

– Mówiłem panu, że pochodzę z całkiem innej rasy, że nie urodziłem się na Helikonii... Czy coś z tego wyjdzie? Niby jesteśmy fizycznie tacy sami. A młoda dama, czy pozwoli?

Muntras parsknął szczerym śmiechem.

– Pewnie będzie wolala ciebie ode mnie. Wiem, Bilosz, jak jesteś napalony na królową, ale to nie powód, by zwijać żagle. Przy odrobinie wyobraźni Abathą będzie równa królowej pod każdym względem.

Oblicze Bila przypominało studium w czerwieni.

– Matko Ziemi, cóż za eksperyment... Co ja na to? Zgoda, przyślij ją, proszę, i zobaczymy, co z tego wyjdzie... Obaj kupcy oddalili się.

– Od razu widać, że to dzielny mały eksperymentator – Pallos ze śmiechem zatarł ręce. – Policzysz mu za dziewczynę?

Muntras zbył to pytanie milczeniem, dobrze znając pazerność Pallosa. Chyba zrozumiawszy reprimendę Pallos zapytał pośpiesznie:

– Tyle gada o śmierci – myślisz, że on pochodzi z innego świata? Czy to możliwe?

– Chodźmy się napić, to ci pokażę coś, co dostałem od niego. Wezwał Abathę, cmoknął w policzek i wyprawił dziewczynę na randkę z Biloszem. Wieczorne cienie nasycaly się aksamitem nocy. Na werandzie Pallosa dwaj mężczyźni zgodnie zasiedli za stołem, oddzieleni od siebie flaszką i lampą. Muntras położył na stole i rozwarł swą wielką garść. Leżał w niej zegarek Bila, pracowicie migający malutkimi cyferkami w trzech okienkach:

11:49:02 19:06:52 23:15:43

– Cudo. Ile warte? Czy on ci to sprzedał? – nagabywał Pallos.

– To unikat – powiedział Muntras. – Według Bilosza, pokazuje tutejszy czas w Borlien – w tym środkowym okienku – oraz czas świata, z którego pochodzi Bilosz, i czas jakiegoś świata, z którego nie pochodzi. Innymi słowy, można by to cacko uznać za dowód prawdziwości niesłychanej historii

Bilosza. Aby zrobić taki skomplikowany zegarek, trzeba naprawdę mądrego gościa. Nie szaleńca. Już prędzej Boga... Ale to wcale nie znaczy, że ani mi w głowie podejrzewać Bilosza o szaleństwo. On twierdzi, że świat, z którego przybył, świat, który stworzył ten czasomierz, szybuje nad nami, z góry spoglądając na naszych miejscowych głupków. A jest to świat w całości stworzony przez zwykłych ludzi, takich jak my. Bez udziału bogów.

Pallos pociągnął łyczek egzageratu i pokręcił głową.

– Mam nadzieję, że nie zaglądamy w moje księgi handlowe. Mgła ciągnęła od rzeki. Matka przyzywała malca do domu, strasząc, że gry baki wy leżą z wody i połkną dzieciaka jak muchę.

– Król JandolAnganol miał ten wspaniały chronometr w ręku. Wziął go za zły omen, to było jasne. Pannowal, Oldorando i Borlien muszą się zjednoczyć, a jedyne, co te kraje jednoczy, to ich zakichana religia. Król nie ma odwrotu z obranej drogi, a na obranej drodze nie ma miejsca na choćby ziarenko religijnego zwątpienia... – Stuknął grubym paluchem w zegarek. – To cudowne cacko jest ziarenkiem religijnego zwątpienia, nie da się ukryć. To przesłanie nadziei albo strachu, jak dla kogo... – klepnął się po kieszeni na piersi. – Jak inne przesłania powierzone mej pieczy. Świat się zmienia, Grengo, powiadam ci, lepiej późno niż wcale.

Westchnąwszy Pallos wychylił łyk z kubka.

– Chcesz obejrzeć moje księgi, Krillio? Ostrzegam, że dochody spadły w porównaniu z ubiegłym rokiem.

Kapitan polarny spojrzał ponad lampą na Pallosa, którego twarz przypominała trupa w tym oświetleniu.

– Zadam ci niedyskretne pytanie, Grengo. Czy niczego nie jesteś ciekawy? Pokazuję ci czasomierz, oznajmiając, że pochodzi z innego świata. Nasz niezwykle gość odstawia swoje pierwsze fiki-miki na tej ziemi – co też może mu chodzić po szlejach? Czy te wszystkie tajemnice nie budzą w tobie zwykłej ludzkiej ciekawości? Czy nie chcesz dowiedzieć się więcej? Czy dla ciebie nic nie istnieje oprócz twych ksiąg handlowych?

Pallos podrapał się w policzek z góry w dół, przekrzywiając głowę na bok, aby łatwiej sięgnąć podbródka.

– Wiele bajek opowiadano nam w dzieciństwie... Słyszałeś, jak tamta kobieta pokrzykiwała na syna, że grybak go pożre? W Osoilimie nikt nie widział grybaka, od kiedy tu nastąpiłem, będzie blisko osiem lat. Wszystkie wybito na futra. Sam chciałbym złapać choć jednego. Za takie futerko można dostać ładną cenę. Nie, szefie, Bilosz opowiada ci bajeczkę. Niby jak sobie wyobrażasz stworzenie świata przez ludzi? A nawet jeśli to prawda, no to co? Moje saldo pozostanie dalej marne, tak czy nie?

Muntras westchnął i okręciwszy się z fotelem utkwił spojrzenie w nadrzecznej mgle, być może z nadzieją, że wychynie z niej grybak, zadając kłam Pallosowi.

– Chyba zabiorę młodego Bilosza na szczyt Kamienia, jeśli zostanie mu dość sił po zlezeniu z kuni. Poproś swą staruszkę, żeby przygotowała nam kolację, dobrze?

Zarządca odszedł, zostawiwszy Muntrasa samego za stołem. Kapitan zapalił trędowniczkę i z przyjemnością zaciągnął się, nieobecny spojrzeniem patrząc, jak dym szybuje pod krokwie. Nawet się nie zastanawiał, gdzie jest jego syn, bo to wiedział: Diw musiał być na miejscowym bazarze. Muntras był myślami o wiele, wiele dalej.

W końcu nadeszli Bilo i Abatha, trzymając się za ręce. Mało brakowało, a chłopak miałby uśmiech szerszy od twarzy. Oboje bez słowa usiedli za stołem. Muntras bez słowa podsunął flaszkę egzageratu. Bilo pokręcił głową.

Nietrudno było zauważyć, że jeszcze przeżywał emocjonalne uniesienia. Abatha promieniowała

takim spokojem, jak gdyby spędziła te chwile z mamusią w kościele. Z rysów przypominała Mettę, ale bił od niej blask, który w Metcie zgasł wiele, bardzo wiele dni temu. Abatha patrzyła śmiało, podczas gdy Metta nieco ukradkiem, a jednak – myślał Muntras, który się uważał za znawcę natury ludzkiej – w córce był ten sam rodzaj utajonej rezerwy, co w matce. Abatha uciekała przed jakimiś kłopotami w Matrassylu i stąd mogła się brać jej nieufność. Muntrasowi do szczęścia wystarczał już sam widok kasztanowowłosej dziewczyny w cieniutkiej sukni tej samej barwy, podkreślającej pełne młode piersi. Może i jest Bóg. Może mimo idiotyzmu świata warto Mu dźwigać to wszystko na barkach dla takiej piękności, jak Abatha... W końcu wydmuchnąwszy dym Muntras przerwał milczenie.

– No, no, Bilosz, czyżby na twoim świecie mężczyźni nie uprawiali tryktraczka z kobietami?

– Uczą nas, jak ty to nazywasz, tryktraczyć od ósmego roku życia. Jako dziedziny wiedzy. Lecz tu na dole... to znaczy z Abathą... to jest... przeciwieństwo wiedzy... to jest prawdziwe... Och. Abatho...

Wydyszawszy imię dziewczyny tak, jak Muntras wydmuchiwał dym, porwał ją w objęcia i zaczął namiętnie całować, przerywając sobie tylko po to, aby zasypać Abathę czułymi słówkami. Oddawała pocałunek bez większego zapachu. Bilo potrzęsnał dłonią Muntrasa.

– Miałaś rację, mój przyjacielu, ona jest równa królowej pod każdym względem. Nawet lepsza.

– Może wszystkie kobiety – zauważył Muntras – są sobie równe, a wszelkie różnice między nimi są wytworem męskiej wyobraźni. Przypomina mi się stare porzekadło: „W każdym fiki-miki są te same tiki”... Ty masz bujną wyobraźnię, dzięki czemu, jak przypuszczam, odkryłeś w dziewczynie wspaniałą tryktraczkę... Czy kunie w naszym świecie są równie głębokie, jak u was? – Głębsze, delikatniejsze, pełniejsze...

Znów zabrał się do całowania dziewczyny. Kapitan westchnął.

– Dość. Cudze amory są równie nudne, jak cudze pijaństwo. Odejdź, Abatho. Pragnę wykrzesać odrobinę rozsądku z tego młodziana, o ile to możliwe... Jeśli od wylądowania udało ci się, Bilosz, choć raz spojrzeć dalej niż koniec własnej kuśki, to być może zauważyłeś Kamień Osoilimy. Czeka cię wspinaczka na jego szczyt. Wlezenie na Kamień mniej męczy od wlezenia na Abathę.

– Zgoda, jeśli Abathą pójdzie z nami.

Muntras wpatrywał się w niego z gniewną i zarazem rozbawioną miną.

— Powiedz mi, Bilosz... ty tak naprawdę to pochodzisz z Pegowinu w Hespagoracie, co nie? Wszyscy Pegowińczycy to wielcy kawalarze.

– Posłuchaj. – Bilo siadł naprzeciwko kapitana. – Tak jak mówię, pochodzę z innej planety, tam się urodziłem i wychowałem; tutaj przywiózł mnie niedawno pojazd kosmiczny, który ci opisałem między atakami gorączki. Nie okłamywałbym ciebie, Krillio, bo zbyt wiele ci zawdzięczam. Czuję, że zawdzięczam ci więcej niż życie.

Muntras z lekceważeniem machnął ręką.

– Niczego mi nie zawdzięczasz. Ludzie niczego nie powinni zawdzięczać innym. Nie zapominaj, że byłem żebrakiem. Nie przeceniaj mnie.

– Pracowałeś z poświęceniem i stworzyłeś wielkie przedsiębiorstwo. Dzisiaj jesteś przyjacielem królów...

Muntras wypuścił smuzkę dymu spomiędzy ściągniętych warg.

– Tak sądzisz?

– A król JandolAnganol? Chyba łączy was przyjaźń?

– Powiedzmy, że z Jego Królewską Mością łączy mnie mój łód. Bilo spojrzał na kapitana, uśmiechając się półgębkiem.

– Nie bardzo lubisz króla?

Kapitan polarny pokręcił głową i zaciągnął się dymem.

– Ty, Bilosz – rzekł – nie bardzo lubisz religię, nie bardziej niż ja. Ale muszę cię ostrzec przed potęgą religii w Kampanniacie. Weźmy na przykład sposób, w jaki Jego Królewska Mość pyrgnął ci ten twój zegarek. Jest niezwykle przesądny, a to przecież król tej krainy. Gdybyś w złą godzinę pokazał ten przedmiot wieśniakom osoilimskim, wszczęliby rozruchy. Albo żłobiliby cię świętym, albo nadziali na widły.

– Ale dlaczego?

--Z ciemnoty. Ludzie nienawidzą rzeczy, których nie rozumieją. Jeden szaleniec może zmienić świat. Mówię to jedynie dla twego własnego dobra. I tyle. Idziemy. – Wstał i kończąc swe wywody położył dłoń na ramieniu Bila. – Dziewczyna, kolacja, mój zarządca. Kamień. Samo życie.

Jego życzeniom stało się zadość i wkrótce mogli wyruszać na wspinaczkę. Muntras odkrył, że Pallos nigdy nie był na szczycie Kamienia, choć mieszkał pod nim od ośmiu lat. Kładąc kres kpinom zarządca dołączył do nich jako eskorta i maszerował z sibornalską rusznicą na ramieniu.

– Twoje saldo nie może być takie marne, skoro cię stać na taką armatę – podchwytliwie rzekł Muntras. Ufał swemu zarządcy równie mało, jak królowi.

– Kupiłem do ochrony twojej własności, Krillio, bo na każdego roona trzeba ciężko harować. Nawet jeśli obrót jest duży, to nie znaczy, że duży jest zysk.

Droga prowadziła ich od przystani przez maleńką Osoilimę. W miasteczku mgła była rzadsza, a parę lamp przy głównym placu stwarzało weselszy nastrój. Kręciło się sporo ludzi zwabionych chłodem wieczornej bryzy. Oblegali kramy sprzedające pamiątki, słodczyce i smakowite placki. Pallos wskazał kilka pąt-nicznych domów noclegowych, którym stale dostarczał lód z Lordrardry. Wśród wałęsających się i wyrzucających swoje pieniądze – wyjaśnił – większość stanowili pątnicy. Niektórzy przybyli tu, by zgodnie z miejscowym zwyczajem wyzwolić niewolników, ponieważ doszli do przekonania, że posiadanie cudzego życia na własność jest grzechem.

– Też coś, żeby pozbywać się drogich rzeczy w taki sposób! – Pallosa oburzała głupota ziomków.

Tuż przy placu stał Kamień Osoilimy – a właściwie to miasteczko ze swym placem leżało u stóp Kamienia. Najbliżej jego podnóży był zajazd „Wyzwoleniec”, gdzie kapitan polarny zakupił cztery świece dla swej wycieczki. Minawszy ogród „Wyzwoleńca” przystąpili do wspinaczki. U podnóża Kamienia rosły palmy; musieli torować sobie drogę, rozgarniając sztywne liście. Wokoło migotały letnie błyskawice.

Inni już się wspinali. Z góry dochodził gwar głosów. Skalne stopnie zostały wykute bardzo dawno temu. Owijały skałę niby zwoje spirali, bez żadnej zabezpieczającej poręczy. Mrugające w przodzie płomyki świec wskazywały drogę.

– Za stary jestem na takie rzeczy – mruknął Muntras. Mozolna wspinaczka jednak zawiodła ich w końcu na płaski taras i przez sklepiony łuk pod wydrążoną na szczycie kopułę. Oparłszy się łokciami o parapet mogli bezpiecznie spoglądać na spowite mgłą leśne kolisko. Dolatywały ich odgłosy życia miasteczka i jednostajny szmer Takissy. Skądś dobiegała muzyka – podwójna ćwiekra albo – co prawdopodobniej sze w tych stronach – binadura z towarzyszeniem bębenków. I mimo tumanów mgły wszędzie dokoła było widać nikle światełka wśród drzew.

– Właśnie tak, jak mówią – zaszczebiotała Abatha. – Najwięcej ludzi spotkasz na bezludziu.

– Prawdziwi pątnicy czekają tu przez całą noc, aby podziwiać wschody słońc – rzekł Muntras do Bila. – Na tych szerokościach nigdy nie ma takiego dnia w roku, żeby oba słońca nie stały o jakiejś godzinie razem na niebie. Inaczej niż w moich rodzinnych stronach.

– Avernusjanie są naukowcami, Krillio – powiedział Bilo, obściskując Abathę. – Znają metody imitowania rzeczywistości za pomocą trójwymiarowych wideo– i dotykogramów, podobnie jak

portret imituje rzeczywistą twarz. W rezultacie nasze pokolenie wątpi w rzeczywistość, wątpi w jej istnienie. My wątpimy nawet w rzeczywistość Helikonii. Przypuszczam, że mnie rozumiesz...

– Ja, Bilosz, przemierzyłem niemal cały Kampanniat jako kupiec, a wcześniej jako żebrak i domokrażca. Zanioło mnie 'aż na sam najdalszy zachód, do krainy zwanej Ponipotem, za Randonanem i Radadao, tam gdzie kończy się kontynent. Ponipot jest jak najbardziej rzeczywisty, nawet jeśli nikt z Osoilimian nie wierzy w jego istnienie.

– No to gdzie jest, Bilosz, ten twój Avernus? – spytała Abatha, zniecierpliwiona męskim gadaniem. – Gdzieś w górze nad nami?

– Mm... – Niebo nad nimi było prawie bezchmurne. – Tam jest Ipokrena, tamta jasna gwiazda. To gazowy olbrzym. Nie, Avernus jeszcze nie wzeszedł. Jest gdzieś w dole pod nami.

– Pod nami! – Dziewczyna stłumiła chichot. – Tyś zwariował, Bilosz. Powinieneś się trzymać własnej historyjki. Pod nami! Czy to coś w rodzaju mamuna?

– Gdzie jest owa druga planeta. Ziemia? Widzisz Ziemię, Bilosz?

– Jest za daleko, by ją zobaczyć. Poza tym Ziemia nie świeci własnym światłem, tak jak słońce.

– Ale Avernus świeci?

– Avernusa widzimy, ponieważ świeci odbitym światłem Bataliksy i Freyra.

Muntras zważył to w myśli.

– Więc dlaczego nie widzimy Ziemi w odbitym świetle Bataliksy i Freyra?

– Dlatego, że jesteśmy za daleko. Niełatwo wyjaśnić to wszystko. Byłoby łatwiej, gdyby Helikonია miała księżyc, ale wówczas helikońska astronomia byłaby zaawansowana o wiele bardziej, niż jest. Księżyce silniej niż słońce przyciągają ludzkie spojrzenia do nieba. Ziemia odbija światło własnego słońca, Soi.

– Pewnie Soi też jest za daleko, by je zobaczyć. Zresztą moje oczy nie są już takie jak dawniej.

Bilo pokręcił głową, rozglądając się po północnym nieboskłonie.

– To gdzieś tam... Soi i Ziemia, i pozostałe planety Soi. Jak się u was nazywa ta długa rozciągnięta konstelacja, mająca na górze same słabe gwiazdy?

– W Dimariamie nazywa się Wijem Nocy – rzekł Muntras. – A niech mnie, ledwo go widzę. W tych stronach nazywają ten gwiazdozbiór Wijem Wutry. Dobrze mówię, Grengo?

– Nie mnie pytać o nazwy gwiazd – odrzekł Pallos i zachichotał, jak gdyby chciał powiedzieć: "Ale pokażcie mi złotą dziesięcioroonówkę na niebie, a powiem wam, jak się nazywa".

– Soi to jedna ze słabszych gwiazd w Wiju Wutry, gdzieś na samym początku jego szyi.

Bilo przemawiał rozbawionym tonem, czując się trochę zażenowany rolą wykładowcy po latach w roli słuchacza. Towarzysząca tym wyjaśnieniom kolejna błyskawica wyraźnie oświetliła ich wszystkich. Śliczna dziewczyna z rozchyłonymi ustami tępo gapiała się we wskazanym kierunku. Znużony zarządca spoglądał w mrok, wygodnie ulokowawszy kciuk w wylocie lufy rusznicy. Stary zwalisty kapitan polarny przystawił dłoń do łysiejącego czoła i ze zdeterminowaną miną utkwiał spojrzenie w nieskończoności niebios. Wszyscy byli jak najbardziej prawdziwi – Bilo-przystawszy do Muntrasa i Abathy zaczynał się już oswajać z ideą rzeczywistości rzeczywistej, jakkolwiek by ona była nienawistna dla avernusjańskiego guru w matni nierzeczywistej rzeczywistości. Nowe doznania, przedmioty, zapachy, barwy i dźwięki wywołały życiodajny wstrząs w nerwowym układzie Bila. Po raz pierwszy żył pełnią życia. Patrzący nań z góry uznają, że trafił do piekła, lecz wolność rozpierająca mu ciało mówiła, że trafił do raj. Błyskawica zgasła, rozplynęła się w nicość, pozostawiwszy czarną dziurę, którą po chwili na nowo wypełnił świat łagodnej nocy. Czy oni mi uwierzą w mego Avernusa, w moją Ziemię? – pomyślał Bilo. – Przecież ja nigdy nie uwierzę w ich bogów. Zamieszkujemy dwa różne pojęciowe umwenty. Tu cisnęło się bardziej złowróżbne pytanie.

A jeśli Ziemia jest wytworem awernusjań-skiej wyobraźni, bogiem znanym na Avernusie pod jej postacią? Niszczycielskie wpływy Akhanaby i jego bojów z grzechami były wszędzie widoczne. Czy był jakiś dowód istnienia Ziemi – cokolwiek więcej niż owa niewyraźna mgławica i słabiutkie światełko Soi w Wiju na północno-wschodnim niebie? Odłożył kłopotliwe pytanie na potem, słuchając, co mówi Muntras.

– Skoro Ziemia jest tak daleko, Bilosz, jak tamtejsi ludzie mogą nas obserwować?

– To jeden z cudów nauki. Przesyłanie informacji na wielką odległość.

– Mógłbyś mi to prościej wyniszczyć po zawinięciu do Lordrardry?

– Chcesz powiedzieć – wtrąciła Abatha – że tamtejsi ludzie, tacy jak my prawdziwi ludzie oglądają nas nawet w tej chwili? Widzą nas w naturalnej wielkości, jakby podglądali przez dziurkę od klucza?

– Jak najbardziej, moja kochana.

Pallos ze śmiechem uszczypnął ją w tyłek.

– Za podglądanie liczysz sobie dodatkowo, co, moja panno?

– Pilnuj swego zasmarkanego nosa – zaperzył się Bilo. Muntras wydał wargi.

– Jaka, u licha, przyjemność sprawia im oglądanie nas w całej krasie wrodzonej nam głupoty?

– Tym, co wyróżnia Helikonię z tysięcy innych planet – Bilo znów przybrał jako tako beznamiętny ton wykładowcy – jest obecność żywych organizmów.

Nie zdążyli przetrwać jego słów, gdy jakiś dźwięk wzbił się ponad gąszcz i mgłę, przeciągłe chrapliwe trąbienie, odległe a wyraźne.

– Czy to było zwierzę? – spytała dziewczyna.

– Przypuszczam, że to była bazuna fagorów – powiedział Muntras. – Zazwyczaj dmie na trwogę. Dużo jest wolnych fagorów w tej okolicy, Grengo?

– Niemało. Wyzwolone z niewoli mają nawyki ludzi i pędzą całkiem wygodne życie we własnych leśnych osadach, jak słyszałem. Jednak zawsze brak im drugiej szlei – za kruszony lód są gotowe zapłacić każdą cenę.

– Fagory kupują u ciebie lód? – zdumiała się Abatha. – Myślałam, że tylko Gwardia Fagorza króla JandolAnganola dostaje lód!

– Przynoszą do Osoilimy różne rzeczy na sprzedaż, naszyjniki z pestek gwing-gwinek, skóry zwierząt i temu podobne, więc mają pieniądze i mają czym płacić. Chrupią lód na miejscu, nie wychodząc ze składu. Coś okropnego! Tak jak pijak wychyla kielicha.

Zapadło milczenie. Stali cisi, zapatrzeni w noc pod gwieździstym sklepieniem nieskończoności. Prawie tak samo nieskończona w wyobraźni jawiła im się dziewczina dzungla, z której co i rusz dobiegały jakieś odgłosy i lamenty, jak gdyby cierpieli nawet wyzwolenicy, radujący się nowo otrzymaną wolnością. Gwiazdy mrugały do nich bez przekonania, a od podnóża wielkiego Kamienia szła ciemność.

– W porządku, fagory nas nie zjedzą – szorstko rzekł Muntras, przerywając trwożne wizje. – Bilosz, tam gdzie jest Soi, gdzieś w tamtej stronie, znajduje się Wyżnia Wschodu, tak zwany Wysoki Nktryhk. Rzadko kto tam dociera. Jest omalże niedostępny i -jak głosi legenda – żyją tam tylko fagory. Podczas jazdy w tym swoim Avernusie widziałeś kiedykolwiek Wysoki Nktryhk?

– Tak, Krillio, wiele razy. A w naszych ośrodkach wypoczynkowych mamy odpowiednie symulacje. Szczyty Nktryhku na ogół toną w chmurach, więc obserwujemy je w podczerwieni. Najwyższy płaskowyż, niczym dach wieńczący ten masyw, ma ponad dziewięć mil wysokości i zahacza o stratosferę. Cudowny widok – i straszny, prawdę mówiąc. Nie, nawet fagory nie żyją na najwyższych stokach. Szkoda, że nie mam przy sobie fotogramów, ale nie bardzo możemy zabierać

tego rodzaju przedmioty.

– Możesz mi wyjaśnić, jak robicie te... fagogramy?

– Fotogramy. Spróbuję w Lordrardrze.

– Zgoda, no to schodzimy, nie będziemy tu sterczeć, aż nam się objawi Akhanaba. Zjedzmy coś, prześpijmy się i odbijamy z samego rana.

– Avernus wszędzie za godzinę. Przelot przez całe niebo zajmie mu około dwudziestu minut.

– Bilosz, ty byłeś ciężko chory. Za godzinę powinieneś leżeć w łóżku. Zjesz coś i do łóżeczka – sam. Muszę ci zastąpić ojca tu na Ziemi... chciałem powiedzieć, na Helikonii. Wtedy twoi rodzice, jeśli nas widzą, będą szczęśliwi.

– – Tak naprawdę to my nie mamy rodziców, tylko klany – wyjaśnił Bilo, gdy minawszy sklepiony łuk sposobili się do zejścia. – Stosujemy ciężę pozamaciczną.

– Z prawdziwą przyjemnością obejrzałbym na rysunku, jak wy sobie radzicie z czymś takim.

Wracając krętymi schodami na ziemię Bilo ścisnął dłoń Abathy.

W dolnym biegu rzeki zmienił się krajobraz. Intensywnie uprawiane pola utworzyły nowy pejzaż najpierw na jednym, a potem i na drugim brzegu. Dżungla została za rufą. Płynęli przez krainę lessu. "Polarna Panna" wśliznęła się do Ottassolu prawie niepostrzeżenie dla jej pasażerów, jako że nie byli przyzwyczajeni do miast kryjących swe istnienie pod ziemią. Diw doglądał wyładunku towarów na keję, podczas gdy kapitan polarny Muntras wziął Bila pod pokład do już opuszczonej kajuty.

– Dobrze się czujesz?

– Wspaniale. Ale to nie potrwa długo. Gdzie Abatha?

– Posłuchaj, Bilosz, chcę, abyś tu cicho przesiedział, dopóki nie załatwię małego interesu w Ottassolu. Muszę odwiedzić kilku znajomych. I przekazać ważny list. Tu nie ma wiejskich gamoni, tutaj są cwaniaki kute na cztery nogi. Nie chciałbym, aby któryś z nich dowiedział się o twoim istnieniu, rozumiesz?

– A to dlaczego?

Muntras spojrział mu prosto w oczy.

– A to dlatego, że jestem stary gamoń i wierzę w twoją opowieść. Bilo uśmiechnął się z radością.

– Dziękuję. Masz więcej rozumu od Sartoriirwrasza i króla. Uścisnęli sobie dłonie. Masywny kapitan polarny zdawał się wypełniać całą małą kajutę. Nachylił się poufale.

– Nie zapominaj, jak oni dwaj cię potraktowali, i zrób tak, jak mówię. Nie wychodź z kajuty. Nie pokazuj się nikomu na oczy.

– A tymczasem ty zszedłszy na ląd będziesz znowu zalewał robaka. Gdzie jest Abatha?

Wielka dłoń uniosła się w ostrzegawczym geście.

– Jestem za stary na jałowe dyskusje. Nie zaleję robaka. Wrócę jak najszybciej. Zamierzam cię dowieźć bezpiecznie do Lordrardry, gdzie będziecie pod dobrą opieką, ty i ten twój magiczny chronometr. Tam możesz mi do woli opowiadać o statku, którym tu przybyłeś, i o innych cudach. Ale najpierw muszę załatwić pewien interes, no i dostarczyć ten list.

Bilo ledwo panował nad sobą.

– Krillio, gdzie jest Abatha?

– Tylko mi się znowu nie rozchoruj. Abatha poszła sobie. Wiesz, że nie płynęła dalej, tylko do Ottassolu.

– Odeszła bez słowa pożegnania? Bez pocałunku?

– Diw był zazdrosny, więc ją trochę pogoniłem. Przykro mi. Kazała cię uściskać. Ona musi zarabiać na życie, jak każdy inny.

– Zarabiać na życie... – Słowa uwięzły mu w gardle. Korzystając z okazji Muntras zwinnie

wymknął się z kajuty i od zewnątrz zamknął drzwi na klucz. Z uśmiechem schował klucz do kieszeni.

– Zaraz wracam – pocieszył Bila, który zaczął łomotać do drzwi.

Muntras wspiał się na schodki zejściówki, przemierzył pokład i pomalutku zszedł po kładce. Przy drugim końcu kei widniał wylot tunelu wiodącego w głąb lessu. Napis nad tunelem głosił: LORDRARDRYJSKA KOMPANIA HANDLU LODEM. SKŁAD TRANZYTOWY.

Nabrzeże było tu skromne. Główne nabrzeże Lordrardryjskiej Kompanii leżało pół mili dalej w dół rzeki, było o wiele wspanialsze i cumowały przy nim pełnomorskie statki. Tu za to było bezpieczniej, bo nie czyhały wścibskie oczy.

Muntras doszedł tunelem do biura. Widząc właściciela dwaj wystraszeni pracownicy zerwali się na nogi, schowawszy karty do gry pod rejestry. Poza nimi w biurze przebywali Diw i Abatha.

– Dziękuję, Diw. Mógłbyś zabrać stąd ludzi i na chwilkę zostawić mnie z Abatha?

Diw swoim zwyczajem markotnie wykonał polecenie. Kiedy zamknęły się drzwi za trójką mężczyzn, Muntras przekręcił klucz w zamku i zwrócił się do dziewczyny:

– Siadaj, mała, jeśli masz ochotę.

– Czego chcesz? Podróż się nareszcie skończyła, więc nic ci do mnie. Sprawiała wrażenie zagniewanej i zarazem spłoszonej. Niepokoił ją widok

drzwi zamkniętych na klucz. W ściągniętych niezadowolonym ustach Muntras rozpoznał grymas jej matki.

– Nie bądź niegrzeczna, młoda damo. Dotychczas zachowywałaś się przyzwoicie i jestem z ciebie zadowolony. Może nie zdajesz sobie sprawy z tego, że kapitan Krillio Muntras, choć stary, jako sprzymierzeniec jest dużo wart dla takiej jak ty siusiumajtki. Jestem zadowolony z ciebie i zamierzam cię wynagrodzić za to, że byłaś bardzo miła dla mnie i Bilosza.

Nieco się uspokoiła.

– Przepraszam. To przez te wasze tajemnice. Chciałam powiedzieć Biloszo-wi do widzenia. Co mu odbiło w szlejach?

Słuchając jej dobywał srebrniki z sakiewki u pasa. Z uśmiechem wyciągnął do dziewczyny garść srebra. Abatha zbliżyła się i sięgnęła po pieniądze, a wówczas złapał ją drugą ręką za nadgarstek. Krzyknęła z bólu.

– Spokojnie, panienko, bierz te pieniądze, tylko przedtem uczynisz mi pewne wyznanie. Ottassol to wielki port, prawda? Ścisnął jej nadgarstek, aż syknęła:

– Tak.

– A w takim wielkim porcie jest mnóstwo cudzoziemców, prawda? Uścisk. Sykliwe "tak".

– Wiesz, że wśród tych cudzoziemców są ludzie z innych kontynentów? Kolejny uścisk. Kolejne syknięcie.

– Z Hespagoratu, na przykład? Uścisk i syknięcie.

– I nawet z dalekiego Sibornalu? Uścisk, syknięcie.

– Nie wyłączając Uskutów?

Uścisk... Chwila ciszy... Syk.

Chociaż jego zmarszczone czoło wskazywało, że ten katechizm nie dobiegł końca, Muntras puścił nadgarstek poczerwieniały w trakcie przesłuchania. Wziąwszy srebrniki Abatha wrzuciła je do kieszeni podróźnej torby u swych stóp, całą swą wypowiedź ograniczając do ponurej miny.

– Rozsądna dziewczynka. Nie będziesz brał, nie będziesz miał. I chyba się nie myłę uważając, że w Matrassyłu uprawiałaś z pewnym Uskudem dwustronny handel zwyczajowymi towarami? Czyż nie tak?

Ponownie zrobiła zawziętą minę, stając w takiej postawie, jakby zamierzała rzucić się na niego.

– Jakie by miały być te zwyczajowe towary?

– Takie, którymi handlujesz ty i twoja mamusia, ślicznotko -- pieniądz i kunia. Posłuchaj, przede mną nie masz co ukrywać prawdy, bo wiem wszystko od twojej mamusi, tylko trzymałem to w tajemnicy przez cały ten długi czas. Przez czas tak długi, że musisz mi teraz przypomnieć imię owego mężczyzny z uskuckiej rasy, któremu sprzedałaś swój towar.

Abatha pokręciła głową. Oczy miała pełne łez.

– I pomyśleć, że uważałam cię za przyjaciela. Daj mi spokój! Gość tak czy owak opuścił Matrassyl i wrócił do swego kraju. Groziły mu kłopoty... Właśnie dlatego przyplłynęłam na południe, jeśli już chcesz wiedzieć. Matka powinna trzymać swój ochlujowy jezor za zębami.

-- Rozumiem. Zamiast dawać pieniądze, dał drapaka... No dobrze, chcę tylko usłyszeć, jak wymawiasz jego imię, po czym jesteś wolna. Ukryła twarz w dłoniach.

– Io Paszaratid – powiedziała nie odejmując dłoni od twarzy. Zapadła krótka cisza.

– Wysoko mierzyłaś, moja fildko – rzekł po chwili. – Aż trudno uwierzyć. Ambasador Sibornalu we własnej osobie! W grę nie wchodziła sama kunia, lecz i strzelby. Czy małżonka go nakryła?

– A jak myślisz?

Znów pokazywała rogi. Córka prześcignęła matkę.

– No dobrze – ożywił się. – Dziękuję, Abatho. Teraz nie wątpisz, że mam cię w garści. A ty masz mnie w garści. Wiesz o Biloszu, Nikt więcej nie może o nim wiedzieć. Milcz i nigdy nie wymieniaj jego imienia, nawet przez sen. Ot, jeden z wielu klientów. Zapłacił i odszedł. Jeśli wspomnisz o nim komukolwiek, skreślę kilka słów do sibornalskiego rezydenta w tym mieście i popadniesz w tarapaty. W tym religijnym kraju stosunki płciowe borlieńskich dam z obcymi ambasadorami są surowo zakazane. Zawsze wiodą do szantażu – lub morderstwa. Gdy wiadomość o tobie i Paszaratidzie wyjdzie na jaw, przepadniesz jak kamień w wodę. Rozumiemy się?

– Och, tak, stary gęgaczu! Tak.

-- Świetnie. I rozsądnie. Radzę ci trzymać usta i uda mocno zaciśnięte. Zabiorę cię do przyjaciela, z którym muszę się zobaczyć. Mój przyjaciel jest uczonym. Potrzebuje pomocy domowej. Płaci regularnie i dobrze. Nie jestem urodzonym tyranem, Abatho, choć lubię stawiać na swoim. Wyświadczam ci przysługę – przez wzgląd na twoją matkę i na ciebie. O własnych siłach w Ottassolu wkrótce byś się stoczyła do rynsztoka.

Umilkł, by zobaczyć, co dziewczyna powie, ale widział tylko jej nieufne spojrzenie.

– Zostań z moim uczonym przyjacielem, w bogatym domu, a nie będziesz musiała robić z siebie kurwy. Na pewno znajdziesz dobrego męża --jesteś śliczna i niegłupia. To bezinteresowna propozycja.

– Żeby twój przyjaciel miał na mnie oko, jak sądzę. Odał wargi, mierząc ją wzrokiem.

– Niedawno się ożenił, więc da ci spokój. Chodź. Złożymy mu wizytę. Wytrzymaj nos.

Kapitan polarny Muntras przywołał jednokółkę. Wsiadł razem z Abathą i jednokółka ruszyła, zaprzężona w parę weteranów Zachodnich Wojen, którzy do spółki mieli dwie i pół ręki, trzy nogi i takąż mniej więcej liczbę oczu. Z fasonem i skrzypieniem dotoczyli się przez ottossolskie zaułki na Dziedziniec Straży, skąpany w jasności dnia lejącej się z prostokątu nieba nad ich głowami. Masywne drzwi w dole schodów miały szyld u nadproża. Wysiedli z ciasnego pojazdu. Muntras wręczył weteranom monetę i zadzwonił do drzwi.

Raczej nie należało się spodziewać, żeby człowiek takiej profesji, jak astrolog, okazywał zaskoczenie czyjąś wizytą, jednak ściskając dłoń starego przyjaciela Bardol KaraBansita uniósł brew na widok dziewczyny. Przy winie, które podawała jego kochająca małżonka, KaraBansita zapewnił, że z prawdziwą radością przyjmie pannę AbathaVasidol pod swój dach.

– Nie sędzę, abys pragneła sie babrac w scierwach mustangow, ale tu sa rowniez przyjemniejsze rzeczy do roboty. Załatwione. Witaj wśród domowników.

Jego małżonka wyglądała na mniej zachwyconą takim obrotem sprawy, lecz nic nie mówiła.

– Komu w drogę, temu czas, a zatem dziękuję i kłaniam się unizenie – rzekł Muntras wstając z fotela.

Wstał także KaraBansita, tym razem zdumiony nie na żarty. W ostatnich latach kapitan polarny nie miał zwyczaju spieszyć się nigdzie i nigdy. Dostarczywszy świeży lód, którego pokaźna ilość szła na potrzeby żywych i martwych domowników KaraBansity, zwykł był zasiadać do długiej i miłej pogawędki. Ten pośpiech musi coś oznaczać – pomyślał KaraBansita.

– Z wdzięczności za sprowadzenie tej młodej damy muszę cię chociaż odwieźć do statku – powiedział. – Nie, nie, ja nie ustąpię.

I nie ustąpił, w wyniku czego zbity z tropu Muntras ani się obejrzał, jak z kolanami wciśniętymi w kolana astrologa siedział z nim nos w nos i nie miał gdzie skierować spojrzenia, jak tylko w jego oczy naprzeciwko siebie, podczas gdy trzęsąca nimi dwoma jednokółka zmierzała pod SKŁAD TRANZYTOWY.

– Twój przyjaciel Sartoriirwrasz... -- zaczął kapitan polarny.

– Tuszę, że ma się dobrze?

– Nie. Został odprawiony przez króla i zniknął.

– Sartori zniknął. Gdzie?

– Gdyby ludzie wiedzieli gdzie, nie gadano by o zniknięciu – rzekł ironicznie Muntras, cofając jedno kolano.

– Co się stało, na miłość Patrzycielki?

– Słyszałeś o królowej królowych, rzecz jasna.

– Tędy przepływała w drodze do Grawabagalinien. Wedle doniesień, zaginęło pięć tysięcy kapeluszy, beztrosko rzuconych w powietrze, gdy przybiła do królewskiej przystani.

– JandolAnganol i twój przyjaciel poróżnili się o Masakrę Myrdolatorów.

– Po czym on wziął i zniknął?

Muntras bardzo ostrożnie kiwnął głową, ale i tak prawie zetknęli się nosami.

– W pałacowych lochach, jak wielu innych?

– Bardzo możliwe. Albo był na tyle sprytny, by zwiać ze stolicy.

– Muszę wybadać, co się stało z jego manuskryptami.

Obaj zamilkli. Pod składem Muntras dotknął rękawa towarzysza.

– Bardzo to uprzejmie z twojej strony, ale wysiadać już naprawdę nie musisz.

KaraBansita z najgłępszą miną wysiadł mimo wszystko.

– Daj spokój, przejrzałem twój podstęp. Bardzo sprytny. Moja żona bliżej się zapozna z tą twoją śliczną AbathaYasidol, a tymczasem my po cichutku wysuszemy pożegnalną flaszkę u ciebie na pokładzie, co nie? Myślałeś, że się nie połapałem w twojej grze?

– Nie, ale...

Podczas gdy Muntras gorączkowo płacił przewoźnikom, astrolog już kroczył dostojnie w stronę przycumowanej u nabrzeża "Polarnej Panny".

– Spodziewam się, że znajdziesz flaszkę egzageratu na pokładzie – weso-lutko rzucił KaraBansita, kiedy go Muntras dogonił. – A skądżeś wytrzasnął tę młodą ósóbkę, którą byłeś uprzejmy zostawić u mnie?

– To przyjaciółka przyjaciela. Ottassol nie jest bezpiecznym miejscem dla niewinnych młodych dziewcząt, takich jak Abatha.

„Polarna Panna” stała pod strażą dwóch fagorów, noszących na ramieniu opaskę z nazwą kompanii.

– Przykro mi, lecz nie mogę cię wpuścić na pokład, przyjacielu – Muntras zagroził KaraBansicie drogę, znów niemal się z nim zetknąwszy oczyma.

– Dlaczego, o co chodzi? To chyba twój ostatni rejs?

– Och, wrócę tu... Mieszkam o krok, zaraz po drugiej stronie morza...

– Ale zawsze się boisz piratów. Muntras wziął głęboki wdech.

– Powiem ci prawdę, tylko zachowaj ją dla siebie. Mam przypadek zarazy na pokładzie. Winienem zgłosić to w zarządzie portu, ale nie zgłosiłem, bo spieszno mi do domu. Nie możesz wejść na statek. Wykluczone. Naraziłbyś swoje życie.

– Mmm... – KaraBansita ukrył brodę w wielkiej łapie, patrząc na Muntrasa spod oka. – W moim fachu jestem za pan brat z chorobą i pewnie na nią odporny. Dla Wielkiego Egzageratu zaryzykuję nawet głowę.

– Przykro mi, ale nie. Nie będę ryzykował utraty najlepszego przyjaciela. Wkrótce znów tu zawitam, już nie w pośpiechu, i tak sobie popijemy, że obudzimy się pod stołem...

Gadając jak najęty uściśnął dłoń KaraBansity i uciekł niemalże klusem. Z tupotem wbiegłszy po okrętowej kładce krzyknął na syna i wszystkich marynarzy, że mają natychmiast odbijać. KaraBansita stał na nabrzeżu i patrzył, dopóki kapitan polarny nie zniknął pod pokładem. Wówczas astrolog z wolna obrócił się na pięcie i odszedł niespiesznym krokiem. W pewnym miejscu przystanął jak wryty pośród labiryntu uliczek i pstryknąwszy palcami wybuchnął śmiechem. Wydało mu się, że rozwiązał tę maleńką zagadkę. Aby uczcić kolejny tryumf astrologii, skręcił w najbliższy dziedziniec i wstąpił do tawerny, w której nikt go nie znał.

– Mały egzagerat – zamówił.

Sam sobie stawiał w nagrodę. Ludzie sami się sypią, sami się bezwiednie zdradzają w rozmowie z tego prostego powodu, że nienawidzą poczucia winy. Z tą świadomością wspomniawszy słowa swoje i Muntrasa podczas jazdy jednokółką. "W pałacowych lochach... Bardzo możliwe". "Bardzo możliwe" nie mówi ani tak, ani nie. Jasne. Kapitan polarny uchronił przed królem i teraz szmugłował Sartoriirwrasza do kryjówki w Dimariamie. Sprawa była zbyt niebezpieczna, żeby mógł zawierzyć nawet ottassolskiemu przyjacielowi kanclerza...

Sącząc ognisty trunek astrolog błędził myślami wokół szans, jakie się otwierały przed posiadaczem tej tajemnicy.

W swym długim i burzliwym życiu kapitan polarny Muntras musiał nabijać w butelkę zarówno przyjaciół, jak wrogów. Ludzie mu nie ufali, on jednak obdarzył Bila silnym ojcowskim uczuciem, zapewne spotęgowanym kłopotami, jakich mu przysparzał własny syn, słaby na umyśle Diw. Muntras lubił bezradność Bila i cenił jego zasób niezwyklej wiedzy, jak gdyby nierozzerwalnie z nim związanej. Bilosz rzeczywiście był heroldem innego świata – kapitan nie miał żadnych wątpliwości. Postanowił niezłomnie bronić tej wyjątkowej istoty przed własnymi pobratymcami.

Pozostała mu jeszcze drobna sprawa do załatwienia przed wzięciem kursu na ojczysty Dimariam. W trakcie ślimaczej żeglugi z prądem Takissy nie zapomniał o obietnicy, którą dał królowej. Do biura przy głównym nabrzeżu kompanii w Ottassolu wezwał jednego ze swych kapitanów, szypra na kabotażowcu "Polarna Pinda", i położył przed nim list Myrdeminggali.

– Płyniecie do Randonanu, zgadza się?

– Do samej Ordelei.

– W takim razie doręczysz ten oto dokument generałowi TolramKetine-towi, dowódcy Drugiej Borlieńskiej Armii. Osobiście odpowiadasz za oddanie dokumentu generałowi do rąk własnych.

Wszystko jasne?

Również przy głównym nabrzeżu przeokrętował Bila na pokład wspaniałej pełnomorskiej "Polarnej Pani", chluby swej floty. Okręt mógł przewieźć dwieście ton najczystszej lodu w blokach. W powrotny rejs zabierał ładunek drewna i zboża. Oraz podekscytowanego Bila i markotnego Diwa.

Pomyślna bryza wypełniła żagle, aż pracować zaczęły i śpiewać liny takielunku. Kadłub niczym magnetyczna igła obrócił się dziobem w kierunku południowym, prosto na daleki Hespagorot.

Wybrzeża Hespagoratu z ich melancholijnym światem fauny stanowiły powszedni widok z pokładu Avernusa. W centrum uwagi znalazły się dopiero wtedy, gdy dopływał do nich kruchy drewniany stateczek wiozący Bila Xiao Pina.

Życie na Ayernusie było pozbawione dramatycznego wymiaru. Stroniło od dramatu. „Emocje – rzecz zbędna” – napisano w rozprawce „O trwaniu jednej helikońskiej pory roku nad długość życia ludzkiego”. Jednak teraz uwidocznił się dramatyczny konflikt, zwłaszcza wśród młodzieży sześciu wielkich rodów. Sytuacja zmuszała każdego albo do aprobaty, albo dezaprobaty wobec postępowania Bila. Przeważała opinia o jego nieudolności. Trudniej było przyznać, że wykazuje odwagę i duże zdolności przystosowawcze do nowych warunków. Gwałtowność sporów syciła się tęskną nadzieją, że Bilu przekona ludzi na Helikonii i Helikończycy wreszcie uwierzą, że oni, Avernusjanie, też istnieją. Chyba przekonał Muntrasa, to fakt. Lecz Muntrasa uważano za mało ważną osobę. A wszystko wskazywało na to, że Bilu, przekonawszy Muntrasa, nie kiwnie już palcem w tej sprawie, tylko samolubnie będzie korzystał z pozostałych mu dni życia, zanim ulegnie wirusowi helikoidalnemu. Ogromnym rozczarowaniem było niepowodzenie Bila z Jandol-Anganolem i Sartoriirwraszem. Chociaż ci dwaj mieli pilniejsze sprawy na głowie, bez dwóch zdań. Mało kto na Avernusie stawiał sobie pytanie, co konkretnie król i kanclerz mogliby uczynić, gdyby zadali sobie trud zrozumienia Bila i uwierzyli H' istnienie jego „innego świata”. Albowiem takie pytanie budziło refleksję, że Ayernus o wiele mniej znaczy dla Helikonii niż Helikon dla Avernusa. Sukcesy i niepowodzenia Bila porównywano z dokonaniem poprzednich tryumfatorów Helikońskiej Loterii. Niewielu z nich spisało się lepiej od Bila, prawdę mówiąc. Niektórzy zostali zabici zaraz po wylądowaniu na planecie. Kobietom wiodło się gorzej niż mężczyznom; avernusjańskie życie bez atmosfery rywalizacji sprzyjało równouprawnieniu pici – inaczej się toczyło życie na powierzchni planety i większość tryumfatek loterii zmarła w niewoli. Kilku silnym osobowościom powierzono w ich historii, a w jednym przypadku powstał kult religijny wokół Zbawiciela z Zaświatów (by przytoczyć jeden z jego przydomków). Kult upadł po tym, jak legion Poborców obrócił zamieszkiwane przez wiernych wioski w perzynę. Najsilniejsze indywidualności nie przyznawały się do swego pochodzenia i żyły na własny rachunek. W jednym wszyscy wybrańcy losu wykazali zadziwiająco zgodność. Pomimo surowych przestróg ze strony swych guru, wszyscy miewali stosunki seksualne z Helikończykami. Cmy zawsze idą w najjaśniejszy płomień.

Przejścia Bila jedynie umocniły powszechną wśród Ayernusjan niechęć do helikońskich religii. Wyznawano jednomyślny pogląd, że owe religie stoją rozumnemu i rozsądnemu życiu na zawadzie. Mieszkańcy planety jawili się jako uwikłani w sidła kłamstwa. Bez śladu życiowej pogody, bez postrzegania własnego życia jako formy sztuki.

Odmienne wnioski formułowano na odległej Ziemi. Dotyczący JandolAn-ganola, Sartoriirwrasza i Bila Xiao Pina epizod z opasłej księgi dziejów był studiowany z wysublimowanym smutkiem niedostępnym dla nikogo na Ayernusie, ze smutkiem, w którym obojętność i współczucie osiągnęły stan idealnej równowagi. Ziemianie przeważnie mieli już za sobą etapy dławienia religijnej wiary, zastępowania jej ideologią, przekładania na modne kultury bądź sprowadzania religii do roli źródła odniesień do literatury i sztuki. Obywatele Ziemi potrafili zrozumieć, że religia zapewnia chwilę

wieczności nawet harującym chłopom. Rozumieli, że najslabsi mają najsilniejszą potrzebę bogów. Rozumieli, że nawet Akhanaba torował drogę religijnemu postrzeganiu życia, któremu niepotrzebny żaden Bóg. A już najdokładniej rozumieli przyczynę niewrażliwości ancipitalnej rasy na religijne porywy, przyczynę tkwiącą w praarchaizmie umysłów, niezdolnych wznieść się na takie szczyty niepokoju. Fagory nigdy nie zdołają osiągnąć moralnych wyżyn, gdzie by się mogły poniżyć przed fałszywymi bogami.

Avernusjańscy materialści, o tysiąc lat świetlnych dalecy od tej opinii, zachwycali się fagorami. Nie przeoczyli, że Bilo był lepiej przyjmowany pod pałacem niż w pałacu. Niektórzy głośno rozważali, czy następny wybraniec fortuny nie powinien związać swego losu z ancipitami w nadziei, że na ich czele obali bałwany ludzkości. Do takiej konkluzji przywiodły wielogodzinne, rzeczowe i logiczne dysputy. U jej podstaw legła zazdrość o swobodę helikońskich istot ludzkich, nawet w ich upadłym stanie – zazdrość zbyt niszczyielska, by jej stawić czoło w zamkniętej klatce Ziemskiej Stacji Obserwacyjnej.

XIII. ZA LEPSZYM OREŻEM

Przemijał mały rok, chociaż jego pory rozmyły się w wielkiej powodzi Freyrowe-go lata. Kościół święcił swoje dni święte. Wulkany wybuchały. Słońca toczyły się ponad zgiętymi grzbietami chłopów. Król JandolAnganol schudł od wyczekiwania na nadejście dyspensy rozwodowej. Snuł plany drugiej kampanii w Kosgacie, pobicia Darwiisza i odzyskania odrobiny popularności. Stała gorączkową aktywnością maskował wewnętrzne udręki. Gdziekolwiek by szedł, po piętach deptał mu fagorzy miodek Juli, razem z innymi cieniami, które znikwały, gdy król obrócił na nie swój orli wzrok.

JandolAnganol zmówił modlitwę, przyjął biczowanie z rąk wikariusza, wykąpał się, ubrał i wyszedł na pałacowy dziedziniec, przy którym trzymano mustangi w stajni. Nosił bogatą keedrantę haftowaną w wizerunki zwierząt, jedwabne spodnie i skórzane buty z cholewami. Na keedrancie zapiął skórzany półpancerz nabijany srebrnymi gwoździami. Ulubiona klacz króla czekała osiodłana. Dosiadł Czajki. Nadbiegł Juli piszcząc i nazywając króla ojcem. JandolAnganol wciągnął młodka za siebie na grzbiet mustanga. Truchtem zapuścili się w pagórkowate tereny parkowe na tyłach pałacu. W nakazanej szacunkiem odległości za królem podążył oddział Pierwszej Gwardii Fagorzej – której JandolAnganol ufał w tych niepewnych czasach bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Na policzku czuł ciepły powiew. Oddychał głęboko. Dokoła wszystko okryło się szarym pyłem na cześć dalekiego Rudyjonika.

– Dżiż zzdrzelanie – zawołał Juli.

– Tak, strzelanie.

Tarczę ustawiono w kotlinie, na której stokach brassimy wypuszczały swe skórzaste konary. Ludzie w czarnych ubiorach czynili gorączkowe przygotowania. Znieruchomieli na widok króla – w obliczu potęgi majestatu mrozącego krew w żyłach. Pierwsza Gwardia Fagorza, bezgłośnie uformowawszy szereg, zamknęła wylot kotliny. Juli zeskoczył z Czajki i uganiał się, nieświadom powagi chwili. Król z marsem na czole zastygł w siodle, jak gdyby był władny zmrozić krew również we własnych żyłach. Ze znieruchomiałej gromadki wystąpił jeden śmiałek, witając króla. Śmiałkiem był mały, chudy człowieczek o niezwyklej fizjonomii, noszący workowaty ubiór swej profesji. Nazywał się Ochlujolptrekira. Imię uchodziło za obraźliwe i ośmieszające. Możliwe, że z powodu tej życiowej niesprawiedliwości Ochlujolptrekira przyozdobił swój wiek średni w skrzydła ryżych bokobrodów i wąsiska na kształt fagorzyczych uszu. Łagodnemu skądinąd człowieczkowi nadawało to srogi wygląd, a wszelką pionowość rysów rozłożyło na boki. Pod jastrzębim spojrzeniem władcy nerwowo oblizywał wargi. Jego zdenerwowanie nie wzięło się z aluzyjności imienia, lecz z faktu, że był królewskim zbrojmistrem i mistrzem cechu hutników. I z faktu, że mieli właśnie wypróbować sześć strzelb wyrobionych pod jego nadzorem na wzór sibornalskich rusznic. Była to druga próba. Pół tennera temu poddano próbę pierwsze sześć strzelb i żadna nie wystrzeliła. Stąd oblizywanie warg. Stąd sztywność kolan Ochlujolptrekiry.

Król tkwił wyprężony w siodle. Dał znak ręką. Wszystkie postacie ożyły. Do wypróbowania strzelb wyznaczono sześciu fagorzyczych sierżantów. Wystąpili, prezentując wole twarze bez wyrazu, prężąc szerokie bary i potężne kudłate cielska, przy których rusznikarze sprawiali wrażenie chudych jak szkielety.

Nowa broń Ochlujolptrekiry na oko nie różniła się od pierwowzoru. Metalowa lufa miała cztery stopy długości. Osadzono ją w drewnianym łożu zakończonym wygiętą kolbą na dalsze dwie stopy. Lufa była połączona z łożem miedzianymi bączkami. Kurek zamka został wykuty z żelaza najwyższej jakości, jakie tylko piec cechu hutników mogły wytopić. Kolbę ozdobił srebrny ornament z wyrytymi

symbolami wiary. Jak w pierwowzorze, strzelbę ładowało się odprzodowo za pomocą pobojezyka.

Pierwszy fagor sierżant stanął z pierwszą strzelbą. Przytrzymał ją rusznikarzowi do załadowania. Przyklęknął w niedostępnej ludzom pozycji, zamiast do tyłu wyciągnawszy goleń w przód. Oparł koniec lufy na trójnożnej soszce, która przejęła część ciężaru strzelby. Wycelowął.

– Gotowe, Panie – zameldował Ochlujolptrekira, niespokojnie zerkając-to na broń, to na Jego Królewską Mość. Król ledwo dostrzegalnie skinął głową.

Opadł kurek. Zaskwierczała podsypka. Potężny wybuch rozerwał strzelbę na kawałki. Sierżant chrapliwie krzyknął i runął na wznak. Czajka stanęła dęba. Ptaki z wrzaskiem poderwały się z drzew. JandolAnganol opanował klacz.

– Próba numer dwa.

Sierżanta, który broczył posoką z twarzy i piersi, odprowadzono na bok. Cichutko rzeził. Drugi sierżant zajął stanowisko. Druga strzelba wybuchła z jeszcze większą siłą niż pierwsza. Drewniane drzazgi zagrzechotały na królewskim napierśniku. Sierżantowi urwało dolną szczękę.

Trzecia strzelba nie chciała wypalić. Wielokrotnie podsypywano proch na panewkę, aż kula wreszcie wypadła z lufy prosto na ziemię. Królewski zbrojmistrz parsknął nerwowym śmiechem, blednąc jak płótno.

– Z c/wartą pójdzie lepiej – rzekł.

Z czwartą poszło lepiej. Wypaliła bez niespodzianek, a kula ugrzęzła przy krawędzi tarczy. Tarcza była łucznicza, wielka i oddalona o zaledwie tuzin podwójnych kroków, jednak strzał uznano za celny.

Piątej rusznicy smętnie rozpękła się lufa na całej długości. Z szóstej oddano strzał, lecz kula chybiła tarczy. Zbici w gromadkę rusznikarze utkwili spojrzenia w ziemi. Ochlujolptrekira podszedł do królewskiego strzemienia. Ponownie złożył ukłon. Wąsy mu drżały.

– Czynimy postępy. Chyba nasze ładunki prochowe są trochę za silne. Panie.

– – Wręcz przeciwnie, to wasze metale są zbyt słabe. Za tydzień masz mi tu przynieść sześć doskonałych rusznic albo każę drzeć pasy z wszystkich twoich towarzyszy cechowych, poczynając od ciebie, i obdartych ze skóry pogonię do Kosgattu.

Chwyciwszy jedną z rozerwanych strzelb gwizdnął na Juliego i pogalopował po szarej murawie w kierunku pałacu.

W najskrytszej części pałacowej fortecy – w samym jej sercu, o ile pałacowe fortece mają serca – brakowało powietrza. Niebiosa się zasnuły, czego wierną namiastką było widać wszędzie na ziemi, w każdym kącie, na każdym parapecie, gzymsie, karniszu. w każdym zakątku i zakamarku, gdzie uparcie zalegały popioły Rudyjonnika. Dopiero minawszy grube drewniane drzwi, a potem drugie równie grube jak pierwsze, król uszedł popiołom. W miarę jak schodził krętymi schodkami w dół, ciemność i ziąb gęstniały wokoło i niby wilgotna szmata spowiły króla przy wkraczaniu w ciąg podziemnych komnat zarezerwowanych dla specjalnych gości. JandolAnganol przemierzył trzy połączone ze sobą izby. Pierwsza była najstraszniejsza; w przeszłości pełniła rolę wartowni, kuchni, kostnicy oraz izby tortur i wciąż straszły w niej sprzęty poświadczające każde z poprzednich wcieleń. Następna, z pojedynczym łóżkiem, służyła za sypialnię, tak jak dawniej służyła za kostnicę, do dziś bardziej przypominając tę drugą. W ostatniej przebywał YarpalAnganol.

Stary król siedział owinięty kocem, oparłszy stopy na kracie kominka, w którym tliła się kłoda. Przez okratowane okienko wysoko za plecami starca wpełzało światło, rysując jego kształt podobny do ciemnego kopczyka z małą czaszką na szczycie.

JandolAnganol oglądał to wszystko wiele razy. Kształt, koc, fotel, krata, posadzka, nawet kłoda, która nigdy się na dobre nie rozpałała w tym ociekającym wilgocią powietrzu – to wszystko nie

uległo zmianom przez długie lata. Zdawało się, że w całym królestwie tylko tutaj mógł zobaczyć coś trwałego.

Stary król na w pół obrócił się w fotelu, wydawszy dziwny bulgot z gardła, jak gdyby przygotowywał się do odchrząknięcia. Spojrzenie miał ni to nieprzytomne, ni to obłąkane.

– To ja... Jan.

– Wydawało mi się, że poznaję tamtą dróżkę... gdzie ryby wyskakują nad wodę... Ty... – Usiłował rozplatać sidła swych myśli. – Czy to ty, Janie? A gdzie ojciec? Która godzina?

– Dochodzi czternasta, jeśli to cię interesuje.

– Czas zawsze interesuje człowieka. – YarpalAnganol zaniósł się upiornym chichotem. Czy nie czas już, aby Borlien stuknęło we Freyra?

– Gadki starej babki. Chcę ci coś pokazać.

– Jakiej starej babki? Twoja babka nie żyje, chłopcze. Nie widziałem jej od... a może była tutaj? Nie pamiętam. Może by wniosła trochę ciepła do pałacu... Zdawało mi się, że czuję swąd spalenizny.

– To wulkan.

– Ach tak. Wulkan. Myślałem, że to może być Freyr. Czasami błędzą mi myśli... Chcesz usiąść, chłopcze? – Zaczął się dźwigać na nogi, lecz JandolAnganol usadził ojca z powrotem. – Znalazłeś już Robę? Już się urodził, nieprawdaż?

– Nie wiem, gdzie jest Roba... na pewno jest niespełna rozumu. Stary król zachichotał.

– Mały spryciarz. Od rozumu można dostać bzika, sam wiesz... przypominasz sobie, jak te ryby wyskakiwały z sadzawki? Tak, Roba zawsze miał w sobie szczyptę szaleństwa. To już prawie mężczyzna, jak sędzę. Jeśli go tu nie ma, to nie może cię zamknąć w lochu, nieprawdaż? Ani ty nie możesz go ożenić. Jak jej na imię? Kuna. Jej też nie ma.

– Jest w Grawabagalinien.

– Świetnie. Mam nadzieję, że on nie zabije Kuny. Jej matka była piękną kobietą. A mój stary druh Ruszwen? Czy Ruszwen nie żyje? Nie wiem, na co wy tam na górze tracie połowę czasu.

– Ruszwen zniknął. Moi szpiedzy meldują, że uciekł do Sibornalu, jakby mu to miało pomóc.

Obaj zamilkli. JandolAnganol stał z rusznicą w ręku, nie kwapiąc się do przerywania gonitwy ojcowskich myśli. Z ojcem było gorzej niż kiedykolwiek.

– Może zobaczy Wielkie Koło Kharnabharu. To ich święty symbol, jak wiesz. – Z wysiłkiem i dopiero gdy zsunął mu się koc, zdołał obrócić głowę na starej zeszywniałej szyi, aby spojrzeć na syna. – Powiedziałem, że to ich święty symbol.

– Wiem.

– No to staraj się odpowiadać, gdy do ciebie mówię... Co z tym drugim typem, Uskutem, tak, Paszaratidem? Złapali go?

– Nie. Jego żona też wyjechała, tenner temu. Starzec z westchnieniem ponownie zatonął w fotelu. Dłonie mu nerwowo drgały na kocu.

– Wygląda mi na to, że prawie nikt nie został w Matrassyłu. JandolAnganol odwrócił twarz w kierunku szarego prostokąta światła.

– Tylko ja i fagory.

– Czy ci mówiłem, Janie, co lo Paszaratid zwykł był robić? Ilekroć mu pozwolono zajrzeć do mnie? Dziwne zachowanie, jak na mężczyznę z północnego kontynentu. Oni są bardzo opanowani, beznamiętni, w przeciwieństwie do Borlieńczyków.

– Spiskowałeś z nim, jak mnie obalić?

– Ja siedziałem sobie w fotelu, kiedy on przeciągał stół, ciężki stół. Miał zwyczaj ustawiać go pod owym okienkiem. Słyszałeś w ogóle o czymś takim?

JandolAnganol zaczął chodzić tam i z powrotem po lochu, omiatając spojrzeniem kąty, jak gdyby szukał drogi ucieczki.

– Pewnie podziwiał widok z twych luksusowych apartamentów. Z fotela dobiegł śmiech, podobny meczeniu kozy.

– Dokładnie tak. Podziwiał widok. Święte słowa. Świetne określenie. A był to widok... no cóż, jeśli przysuniesz sobie stół, chłopcze, sam zobaczysz. Zobaczysz okna komnat Myrdeminggali i jej werandę... – Nie dokończył, gdyż suchy kaszel zagrzechotał mu w gardle. Król przyśpieszył kroku.

– Zobaczysz widok basenu, w którym Kuna zwykła się pluskać nago ze swymi damami. Tak było, zanim ją odprawiałeś, rzecz jasna...

– Co było, ojcze?

– To było, co było. Powiedziałem ci, tylko że ty nie słuchasz. Ambasador włąził na ten stół i podglądał twoją królową rozebraną do rosołu albo do skrawka muślinu... Bardzo... bardzo nieszablonowe zachowanie, jak na Sibornal-czyka. Uskuta. Albo na kogokolwiek, w rzeczy samej.

– Dlaczego mi wtedy nie powiedziałeś? Przystanął naprzeciwko zgrzybatej postaci ojca.

– Ha. Zabiłbyś człowieka.

– Powiniennem był go zabić. Tak. Nikt by mi nie miał za złe.

– Sibornalczycy by mieli. Borlien by popadło w gorsze tarapaty niż te obecne. Ty nigdy się nie nauczysz dyplomacji. Dlatego ci nie powiedziałem. JandolAnganol podjął swój obchód.

– Ty stary wyrachowany ochluj! Chyba nienawidziłeś Paszaratida za to, co robił?

– Nie... a niby po co są kobiety? Nie mam nic przeciwko nienawiści. Ona utrzymuje człowieka przy życiu, grzeje po nocach. To nienawiść cię tu sprowadziła na dół. Kiedyś, zapomniałem, w którym roku, przyszedłeś, aby porozmawiać o miłości, ale ja znam tylko...

– Dość! – krzyknął JandolAnganol, tupiąc butem w kamienne płyty. – Nigdy więcej nie będę rozmawiał o miłości, ani z tobą, ani z nikim. Dlaczego nigdy mi nie pomożesz? Dlaczego mi nie powiedziałeś, co kombinuje Paszaratid? Czy potajemnie spotkał się kiedyś z Kuną?

– Kiedy ty wreszcie dorośniesz? – Złośliwość zabrzmiała w starczym głosie. – Przypuszczam, że noc w noc włąził w jej ciepłe gniazdko...

Skulił się, oczekując, że spadnie nań uniesiona pięść syna. Lecz JandolAnganol, zamiast uderzyć ojca, kucnął przy jego fotelu.

– Chcę, abys coś obejrzał. I powiedział mi, co ty byś zrobił. Położył ojcu na kolanach krajową rusznicę, tę z lufą pękniętą na całej długości.

– Ciężkie. Zabierz to. Teraz jej ogrody są zapuszczone... Stary król zepchnął rusznicę na podłogę. JandolAnganol zostawił ją tam, gdzie spadła.

– Tę strzelbę wyrobił cech Ochlujolptrekiry. Lufa pękła przy strzale. Z szczęściu rusznic wykonanych na moje polecenie tylko jedna wystrzeliła jak należy. Z poprzednich szczęściu – ani jedna. Co się stało? Dlaczego nasz cech wyrobników broni, chlubiący się istnieniem podobno od wielu stuleci, nie umie zrobić prostej strzelby?

Wrak starca w fotelu milczał chwilę, bezradnie podciągając koc. Wreszcie przemówił.

– Od starości nic nie robi się lepsze. Spójrz na mnie. Spójrz na mój fotel... Być może zbyt wiele organizacji jest zbyt starych... Co to ja chciałem rzec? Ruszwen mi mówił, że na czas Wielkiej Zimy stworzono rozmaite cechy rzemieślnicze, po to, aby przekazywały swą wiedzę z pokolenia na pokolenie, przez wszystkie mroczne stulecia aż do wiosny.

– Mnie też mówił... I co z tego wynika? Dychawiczny głos YarpalAnganola nabrał mocy.

– No cóż, z wiosny to wynika lato. A z upływu pór roku wynika to, że cechy żyły wiecznie, z pokolenia na pokolenie tracąc, być może, coś ze swoich umiejętności, miast zdobywać nowe.

One się uwsteczniały. Spróbuj sobie wyobrazić, jak to było w owych stuleciach ciemności i mrozu – ja wyobrażam sobie, że prawie tak, jakby cię wsadzono tu do tej nory na wieki. Nie ma drzew. Nie ma drewna. Nie ma węgla drzewnego. Nie ma ognia do prawidłowego wytopu... Zapewne błąd tkwi w samym procesie wytopu, sądząc z wyglądu tej lufy. Piece... Może trzeba nowych pieców. Lepszych metod, stosowanych przez Sibornalczyków...

– Wychłostam ich wszystkich. Może wtedy przestaną gnić w lenistwie.

– Nie w lenistwie – w tradycji. Skróć Ochluja o głowę, a potem wyznacz nagrody. To zachęci do szukania nowych dróg.

– Tak. Może i tak.

Podniósłszy strzelbę skierował się do drzwi.

– Po co ci strzelby? – dogonił go omdlały głos starca.

– Kosgatt. Wojny Zachodnie. Po cóż innego?

– Najpierw powystrzelaj wrogów przed progiem domu. Daj nauczkę Unndreidowi. Potem załatw Darwiisza. Wówczas bezpieczniej ci będzie wojować gdzieś dalej.

– Nie potrzebuję twojej rady, jak prowadzić wojnę.

– Boisz się Darwiisza.

– Nikogo się nie boję. Siebie, czasami.

– Jan.

– Tak?

– Każ przynieść mi polan, które się palą, dobrze? Bolesny kaszel wstrząsnął starcem. JandolAnganol wiedział, że stary tylko udaje.

Aby okazać stosowną pokorę, król udał się do wielkiej katedry na głównym placu Matrassyłu. Arcykapłan BranzaBaginut powitał króla u Bramy Północnej. JandolAnganol modlił się na oczach poddanych. Lekkomyslnie wziął ze sobą ulubionego młodka, który przez godzinę sterczał przy swym panu, leżącym twarzą ku ziemi. Sprowadzeniem fagora przed oblicze Akhanaby król, zamiast zjednać, zraził do siebie poddanych. Wszechmocny jednak wysłuchał .modłów i umocnił wiarę króla w słuszność rady YarpalAnganola dotyczącej cechu hutników. Mimo to JandolAnganol jeszcze się wahał. Miał dość wrogów bez zadzierania z cechem, który stanowił tradycyjną potęgę w kraju i którego starszyzna zasiadała w skritinie. Po modłach w prywatnej kaplicy i biczowaniu król zapadł w pauk, by zasięgnąć rady dziadowego mamuna. Pływający w obsydianie szary szkielet dodał mu otuchy. I zachęcił do działania. Nie ma świętości bez niegodziwości – myślał król. Obiecał skritinie, że się całkowicie poświęci krajowi. Winien dotrzymać słowa. Rusznice są niezbędne. Zastąpią brakujących ludzi. Rusznice przywrócą wiek złoty.

Na czele szwadronu kawalerii Królewskiej Pierwszej Gwardii Fagorzej pokłusował JandolAnganol do siedziby Starożytnego Bractwa Wyrobników Metali, dziś Cechu Hutników i Mieczników, i zażądał wstępu. Rozległe mroczne tereny stanęły przed nim otworem. Wjechał do cechowego obejścia, ginącego w głębi skały. Wszystko tu mówiło o dawno wymarłych pokoleniach. Dym płynący jak czas okrył wszystko czarną sadzą.

Dziwacznie umundurowani ludzie usiłowali zagrozić królowi drogę starodawnymi halabardami. Cechmistrz hutników, OchlujoIptrekira nadbiegł ze zjeżonym ryżym wąsem – sumitując się, a jakże, bijąc pokłony, a jakże, ale stanowczo oświadczając, że nikt spoza bractwa (chyba tylko posługaczka) nigdy nie wkroczył w te progi i że oni mają wielowiekowe statuty potwierdzające ich cechowe przywileje.

– Z drogi! Jestem królem. Dokonam lustracji! – krzyknął Jandol-Anganol.

Wydawszy rozkaz fagorzej gwardii, ruszył naprzód. Nie zsiadając z okrytych kropierzami

mustangów wtargnęli na wewnętrzny podwórzec, gdzie powietrze przenikał smród siarki i grobów. Zeskoczywszy na ziemię król pomaszerował z silną eskortą, zostawiając resztę żołnierzy przy mustangach.

Zbiegający się towarzysze cechowi to przystawali jak wryci, to znów pędzili tam i z powrotem, przerażeni najściem. Poczerwieniały na twarzy Ochlujolptrekira ustępował przed królem, wciąż protestując. JandolAnganol dobył miecza, warcząc i szczerząc zęby w upiornym grymasie.

– Przebij mnie, jeśli chcesz – wołał zbrojmistrz. – Na wieki przeklętyś za to najście!

– Hrrr! Chowacie się pod ziemią jak ohydne mamuny! Z drogi, ochluj! – Król parł naprzód.

Horda intruzów zapuściła się pod szarą skałę, do wnętrza kuźnicy. Dotarła do pieców; sześć ich było – pękate, z cegieł i kamieni, łatanie i z łatanami na łatach, wznosiły się pod mroczny strop, w którym ziały poczerniałe szczeliny kanałów wentylacyjnych. Jeden piec był w ruchu. Młodzi chłopcy szuflami i nogami spychali wsad w rozpalone oko żaru, gdzie huczał i szalał ogień. Wytapiacze w skórzanych fartuchach zabrali spod otworu pieca formę z rozżarzonymi do czerwoności prętami i postawiwszy ją na pokiereszowanym stole, w milczeniu zawrócili sprawdzić, co to za zamieszanie. W głębi pomieszczenia kowale klęczeli przy kowadłach. Kuli żelazne pręty. Huk młotów ucichł, gdyż kujący powstali, by zobaczyć, co się dzieje. Twarze zastygły im w głębokim osłupieniu na widok króla.

Przez chwilę król też stał osłupiały. Zdumiała go ta straszna jaskinia. Ujęty w koryto strumień pędził wprawiając w ruch olbrzymie miechy ustawione przy piecu. W innym miejscu leżało drewno opałowe w stertach i narzędzia budzące taką grozę, jak wszystko, co służy do tortur. Z bocznej komory wytoczono wózki pełne rudy żelaza. Wpólnadzy kowale, wytapiacze, dozorczy zewsząd wlepiali w króla swe zaczerwienione oczy. Ochlujolptrekira podbiegł do niego wnosząc ręce, wymachując zaciśniętymi pięściami.

– Wasza Królewska Mość, właśnie węgiel drzewny wytapia żelazo z rudy. To święte misterium. Obcym – nawet osobom królewskiego rodu – nie wolno oglądać tych obrzędów.

– W moim królestwie nie ma dla mnie tajemnic.

– Bijcie, zabijcie go! – krzyknął zbrojmistrz królewski. Wytapiacze w grubych skórzanych rękawicach podnieśli rozżarzone do czerwoności pręty żelazne. Spojrzeli po sobie, po czym odłożyli pręty na miejsce. Osoba króla była święta. Nikt więcej nawet się nie poruszył. JandolAnganol przemówił z nienagannym opanowaniem:

– Wydałeś wiarołomny rozkaz przeciwko swojemu władcy, ochluj, co wszyscy tu obecni poświadczą. I wszyscy bez wyjątku zapłacą głową, jeśli choć jeden z was będzie miał śmiałość podnieść rękę na moją królewską osobę.

Minąwszy zbrojmistrza zwrócił się do pary wytapiaczy przy stole.

– Wy dwaj, jak stare są te wasze piece? Od ilu pokoleń trwa taki wytop? Wytapiaczom ze strachu odjęło mowę. Otarli osmalone twarze osmalonymi rękawicami, bynajmniej nie upiększając swego wyglądu. Cichym głosem odpowiedział Ochlujolptrekira:

– Cech powołano do uwiecznienia tego świętego obrządku. Wasza Królewska Mość. My tylko spełniamy nakaz naszych przodków.

– Odpowiadacie przede mną, nie przed swoimi przodkami. Nakazałem wam zrobić dobre strzelby, a wy nie spełniliście mego nakazu. – Powiódł spojrzeniem po cechowej braci, która w milczeniu zebrała się w komorze. – Wy wszyscy, towarzysze i terminatorzy. Stosujecie stare sposoby. Stare sposoby są przestarzałe. Nie macie oleju w głowach, żeby to zrozumieć? Pojawiła się nowa broń, lepsza niż wszystko, co potrafimy zrobić w Borlien. Potrzebujemy nowych metod, lepszych metali, lepszych sposobów. – Widział czarne od sadzy twarze i utkwione w nim łyskające czerwonymi

białkami oczy ludzi, którzy nie mogli pojąć, że ich świat dobiega końca. – Te dziadowskie piece zostaną wyburzone. W ich miejsce postawi się sprawniejsze. W Sibornalu, w kraju Uskutów, mają sprawniejsze piece. I my musimy mieć takie piece, jakie mają Uskuci. Żeby wyrabiać taką broń, jaką wyrabiają w Sibornalu.

Przywoławszy kilkunastu swoich nieczłowieczych wojaków, rozkazał zburzyć piece. Fagory chwyciły za łomy i bez wahania wzięły się do burzenia. Z będącego w ruchu pieca, po przebiciu mu trzona, rzygnął roztopiony metal. Chlusnął po podłodze. I po młodziutkim terminatorze, który padł z krzykiem. Od strug surówki zajęły się ogniem wióry i sterty drewna. Hutnicy odstępili ze zgrozą. Wszystkie piece legły w gruzach. Fagory znieruchomiały, czekając na dalsze rozkazy.

– Postawicie je na nowo według moich wskazówek. Koniec z nie strzelającymi strzelbami! – Z tymi słowy król odmaszerował.

Oprzytomniawszy hutnicy złapali za wiadra z wodą, ratując swoją siedzibę. Ochlujolptrekię arestowano i wtrącono do lochu.

Nazajutrz zbrojmistrz królewski i cechmistrz hutników był sądzony przed skritiną i uznany za winnego zdrady stanu. Nawet cechmistrzowie innych cechów nie mogli ocalić Ochlujolptrekię. Rozkazał swym ludziom zabić swego króla. Został publicznie stracony, a jego głowę wystawiono na widok gawiedzi.

Wrogowie króla w skritinie, i nie tylko w skritinie, i nie tylko wrogowie, byli mimo wszystko oburzeni jego wtargnięciem do miejsca w wielowiekowej tradycji uchodzącego za nietykalną świętość. Ot, jeszcze jeden szalony czyn, którym by się nie zhańbił, gdyby królowa Myrdeminggala stała przy nim, miarkując szaleństwo małżonka.

Tymczasem JandolAnganol wyprawił posłańca do Sayrena Stunda, króla Oldorando, swego przyszłego teścia. Wiedział, że zagłada stolicy zdobytej podczas najazdu fagorów spowodowała przeobrażenia rzemieślniczych cechów i odnowę ich warsztatów. Oldorandzkie kuźnice zatem powinny być nowocześniejsze od borlieńskich. W ostatniej chwili przypomniał sobie o przekazaniu królewskiemu sąsiadowi podarunku dla Simody Tal.

Król Sayren Stund przysłał JandolAnganolowi ciemnoskórego garbusa imieniem Fard Fantii. Gość przybył z listami polecającymi, z których wynikało, że jest specjalistą od pieców hutniczych i prekursorem nowych metod wytopu. JandolAnganol z miejsca zagonił go do pracy. I z miejsca stanęła przed królem cechowa delegacja hutników o twarzach bladych jak kreda, skarżąc się na bezwzględność i upór Farda Fantii.

– Lubię ludzi upartych! – ryknął JandolAnganol.

Fard Fantii zmusił gildię do przeprowadzki na stoki podmatrassylskich wzgórz. Tam nie brakowało drewna do mielerzy ani bieżącej wody. Woda była niezbędna do napędzania kruszarek. W Borlien nikt nawet nie słyszał o kruszarkach. Fard Fantii z wyniosłą miną wyjaśnił, że to jedyna metoda odpowiedniego kruszenia rudy. Towarzysze cechowi skrobali się w głowy i sarkali. Fard Fantii kłął towarzyszy cechowych. Wściekli za wyprowadzkę z miejskiej siedziby, cechowi hutnicy wyłazili ze skóry, by sabotować powstanie nowej kuźnicy i ściągnąć na cudzoziemca niełaskę. Król jak nie miał strzelb, tak nie miał.

Diena Paszaratid, która tak niespodziewanie zniknęła ze dworu śpiesząc za swym małżonkiem do Uskutoszku, pozostawiła kilku sibornalskich urzędników. Król kazał ich wówczas zamknąć w więzieniu. Teraz kazał przyprowadzić sobie Uskuta i zaproponował mu wolność w zamian za projekt dobrego pieca do wytopu rudy żelaza. Hardy młody człowiek był pewny siebie, tak pewny, że aż zadierał nosa, ilekroć się zwracał do króla.

– Jak Waszej Królewskiej Mości wiadomo, najlepsze wielkie piece pochodzą z Sibornalu, gdzie

sztuka hutnicza stoi na najwyższym poziomie. W Sibornalu stosujemy węgiel brunatny zamiast drzewnego do p-ieców i w naszych ogniskach kowalskich wykuwamy najlepszą stal.

– Ja właśnie chcę, abyś mi zaprojektował taki wielki piec tu w Borlien, i za to cię wynagrodzę.

– Wasza Królewska Mość wie, że koła, ten wielki podstawowy wynalazek, pochodzi z Sibornalu i dopiero od kilku stuleci jest znany w Kampanniacie. Również wiele z waszych zbóż pochodzi z Północy. Owe zniszczone przez was piece – nawet ta konstrukcja – przyszły z Sibornalu w poprzednim Wielkim Roku.

– Teraz życzymy sobie czegoś nowocześniejszego. JandolAnganol powściągnął gniew.

– Nawet po sprowadzeniu do Borlien koła, Wasza Królewska Mość, nigdy nie spożytkowano wynalazku w całej pełni, poza samym transportem, również w młynach, garncarstwie i do nawadniania pól. Nie macie wiatraków, które my mamy w Sibornalu. Wydaje nam się. Wasza Królewska Mość, że narodom Kampanniatu coś nieskoro idzie przyswajanie zdobyczy cywilizacji.

Widać było, jak jutrzeńka gniewu różowi oblicze króla.

– Nie żądam wiatraków. Chcę pieca dającego dobrą stal na moje strzelby.

– Wasza Królewska Mość zapewne chciał powiedzieć "strzelby na wzór sibornalskich".

– Nieważne, co chciałem powiedzieć, ważne, co mówię tobie, że masz mi wybudować dobry piec.

Zrozumiałeś czy może rozumiesz tylko po siboryjsku?

– Darujcie, Wasza Królewska Mość, ale myślałem, że obaj rozumiemy tę sytuację. Pozwólcie mi wyjaśnić, że nie jestem rzemieślnikiem, lecz kancelistą ambasady, że jestem biegły w rachunkach, a nie w kładzeniu cegieł i temu podobnych. A w ogóle to ja się mniej nadaję do postawienia pieca niż Wasza Królewska Mość.

Król jak nie miał strzelb, tak nie miał.

Coraz więcej czasu spędzał król wśród swej fagorzej gwardii. Wiedząc, że fagorom trzeba wszystko powtarzać po wiele razy, codziennie wbijał im do głów, że w pełnym składzie będą mu towarzyszyć do Oldorando, aby w obcej stolicy uświetnić wielką paradą uroczystość ślubu ich króla.

Na terenie pałacu były wyznaczone miejsca, w których król i ancypici spotykali się na równej stopie. Człowiek nie miał prawa wstępu do fagorzyc koszar. Król, a przed nim VarpalAnganol, przestrzegał tej reguły. Nie było mowy, by przekroczył wyznaczoną granicę, tak jak wtargnął do historycznej siedziby cechu hutników.

Funkcję naczelnego regimentarza fagorzej gwardii pełniła gilda imieniem Ghht-Mlark Chzarn, przez króla zwana Chzarną. Rozmawiali w hurdu. Znając niechęć ancypitów do Oldorando, JandolAnganol jeszcze raz wyjaśnił, dlaczego wymaga obecności Pierwszej Fagorzej na swym zbliżającym się weselu.

Chzama odrzekła:

– Mowa jest dokonana z naszymi przodkami w uwięzi. Dużo mowy powstaje w naszych szlejach. Jest powiedziane, że my dokonamy pójścia z waszą królewską osobą do Hrl-Drra Nhdo w krainie Hrrm-Bhhrd Ydohk. Tego pójścia my dokonamy na wasz rozkaz.

– Dobrze. Bardzo dobrze, że dokonamy pójścia razem. Cieszę się, że ci w uwięzi są zgodni. Masz coś jeszcze do powiedzenia?

Ghht-Mlark Chzarn stała przed nim jak posąg z ciemnoróżowymi oczyma niemal na poziomie jego wzroku. Czuł jej woń i słyszał ledwo uchwytny szmer oddechu. Od dawna zżyty z fagorami wyczuwał, że gilda ma jeszcze coś do powiedzenia. Żołnierze gwardii za jej plecami również stali jak posągi, ciasno stłoczeni, futro przy futrze. Odgłos puszcanych wiatrów co jakiś czas dolatywał z nieruchomych szeregów.

Mimo że był w gorącej wodzie kąpany, coś w powolności fagorów, jakieś nieodparte wrażenie, że

wszystko, co mówią, mniej płynie z nich samych, a bardziej z niezmiernych dali, z ukrytej krynicy dziedzicznej wiedzy, na zawsze przed nim zamkniętej, kojąco działało na JandolAnganola. Stał przed swą regimentarką prawie tak nieruchomy, jak ona przed nim.

– Więcej powiedzenia.

Ghht-Mlark Chzarn powtórzyła dobrze mu znaną formułkę. Przed poruszeniem nowego tematu należało wejść w zespolenie z tymi z uwięzi. W ten sposób zachowywano ciągłość myśli archalnej.

Zgodnie z wymogami tradycji, spotkanie odbywało się w kordegardzie zwanej Czyścćem; z jednej strony było wejście dla ludzi, z drugiej dla fagorów. Ancipici pomalowali ściany w kłęby szarości i zieleni. Belki niskiej powały nosiły niezliczone ślady pozostawione przez obosieczne rogi – może specjalnie tak niskiej, żeby podkreślała prawo Gwardii Fagorzej do noszenia rogów.

Tylko jeden bóg. Wszechmocny Akhanaba, samotnie strzegł króla przed wieloma dręczącymi go demonami. Fagory nie należały do nich; JandolAnganol przywykł do statecznej rozwagi fagorzej mowy i w przeciwieństwie do swych udzkich pobratymców nigdy nie uważał fagorów ani za prostych głupków, ani za pokrętnych mędrków. W tych zaś dniach swej wewnętrznej udręki odkrył z podziwem nowy rys u fagorzyc gwardzistów. Nie mieli seksualnych obsesji. Mniemał, że strumień lubieżnych myśli zaprzatających umysły mężczyzn i kobiet na jego dworze – i jego własny umysł mimo użytku z boga i bata – nie płynie przez ancipitalne szleje. W seksualnej aktywności fagorów występowała okresowość. Gilda przechodziła ruję co czterdzieści osiem dni, bykun odbywał akt płciowy co trzy tygodnie. Pary spółkowały bez ceregieli i nie zawsze w ukryciu. Z powodu tego braku wstydu przy czymś, co dla ludzi stanowiło akt intymniejszy niż modlitwa, ancipitalna rasa była symbolem chuci. A koźle kopyto czy sterczące rogi – godłami porubstwa. Nagminne pogłoski o bykunach gwałcących kobiety – i mężczyzn przy sposobności – podjudzały do halali i czystek, w których pomordowano wiele fagorów.

Fagorza regimentarka wreszcie skryształizowała swe myśli, wyrażając je krótko:

– Jest powiedziane, że w naszym pójściu do krainy Hrm-Bhhrd Ydohk twój ancipitalny komponent musi mieć wielką paradność. Aby twoja potęga jasno płonęła przed mieszkańcami Hrl-Drra Nhdo. Przychodzi polecenie, że ten komponent w paradzie musi mieć prezentowalność tej... – Długa przerwa, w której pojęcie przekuwało się w słowo. – ...Tej nowej broni.

– Potrzebujemy tej nowej broni palnej z Sibornalu – z niemałym bólem powiedział JandolAnganol. – Jak dotąd nie potrafimy jej wyprodukować w Borlien.

Para wodna skraplała się w paciorki na ścianach Czyścćca. Upał dławił. Chzarna uczyniła znajomy królowi gest oznaczający "stój". Powtórzył swą wypowiedź. Gilda powtórzyła gest "stój". Zasięgnawszy rady zarówno żywych, jak i tych w uwięzi, fagorza regimentarka oznajmiła, że dostaną potrzebną broń. I mimo że król zdawał sobie sprawę z ogromnego wysiłku, jaki fagory muszą włożyć w zwerbalizowanie tego, co archalne, jednak nie mógł się powstrzymać od zapytania ich, skąd dostaną tę broń.

– Wiele mowy ma kształt w naszych szlejach – rzekła Chzarna po kolejnej przerwie.

Więc była odpowiedź. Fagorka przeszła na archaj, by nie płać się w czasach. Odpowiedź będzie dana, nawet miała być dana właśnie w tej chwili, jednakże musi poczekać na inną porę, inny tenner. Będzie miał wielką potęgę w Hrl-Drra Nhdo. Rogi do góry.

Tyle musiało mu wystarczyć. Na pożegnanie JandolAnganol z rękoma opuszczonymi do boków pochylił się w przód, wyciągając szyję. Gilda również pochyliła potężny tułów, wystawiając głowę. Bezroga głowa zesłała się z głową rogatą, zetknęły się czoła, połączyły szleje. Po czym obie istoty dziarsko rozeszły się w przeciwne strony. Król opuścił Czyścćec drzwiami "Tylko dla ludzi".

Podniecenie przenikało mu łon. Jego Fagorza Gwardia sama się zaopatrzy' w strzelby. Jakże

wielka ich wierność! Jakie oddanie, głębsze niż w istotach ludzkich! Nie doszukiwał się żadnych innych znaczeń w słowach Chzarny. Przelotnie wspomniawszy szczęśliwe chwile, gdy nurzał swe ciało w rozkosznym cieple. Kuniej pisi, które to chwile beztroski i chuci odeszły bezpowrotnie. Teraz musi się, związać z tymi stworzeniami, które mu pomogą uwolnić Borlien od wrogów..

Chzarna i fagorzy żołnierze opuścili Czyściec w innym niż król nastroju. Nawet nie dałoby się o nich powiedzieć, że wychodzili podniesieni na duchu, Krew krąży w żyłach szybciej lub wolniej w zależności od oddechu – i tyle.

Ghht-Mlark Chzarn osobiście złożyła kzahhnowi Matrassylu, Ghht-YroD" zowi Tharlowi raport z rozmowy w Czyścicu. Kzahhn panował we wnętrzu góry, ukryty przed światem i królem. W tych złych czasach, gdy Freyr ze swym palącym oddechem coraz bliżej podchodził oktavami śródpowietrznymi, ancipici ulegli powszechnej rozpacz. Ichor wolniej krążył im w żyłach. Nizinne komponenty uległy ludziom, popadając w całkowitą zależność.

Lecz oto otrzymali znak i nadzieja drgnęła w ich łomach. Przed oblicze kzahhna Ghht-Yronza Tharla został doprowadzony godny uwagi Syn Freyra imieniem BhrI-Hzzh Rowpin, jeniec popadłego w niełaskę kanclerza. BhrI-Hzzh Rowpin przybywał z innego świata i wiedział o Katastrofie prawie tyle samo, co ancipici. Przed zebranymi we wnętrzu góry BhrI-Hzzh Rowpin wygłosił starożytne prawdy, odrzucone przez innych Synów Freyra. Mówił o rzeczach, na które nie zwrócili uwagi kanclerz i król, ale zwrócił na nie uwagę komponent Ghht-Yronza Tharla, i decyzja wykluła się w fagorzach szlejach. Albowiem mowa dziwnego Syna Freyra wzmocniła głosy z uwięzi, które czasami zdawały się cichnąć.

Synowie Freyra zostali marnie stworzeni, z lichym komponentem. Król nie stanowił wyjątku, jak meldował wierny agent Juli. Bo oto słaby król daje sposobność wzięcia teraz odwetu na odwiecznym wrogu. Pozornie ulegając woli króla, mogą ponieść swój ból i krzywdę przeciwko Hri-Drra Nhdo, starożytnemu Hrrm-Bhrrd Ydohk. Było to nienawistne miejsce, które dawno temu przeklął jeden z Wielkich, dziś już tylko keratynowa figurka, krucjaki Kzahhn Hrr-Brahł Yprt. Czerwony ichor popłynie tam jeszcze raz. Trzeba uzbroić się w męstwo. Odwagi. Rogi do góry.

Po ręczną broń palną wystarczyło pójść sprzyjającymi oktavami śródpowietrznymi. Fagory, gdzie mogły, stawały po stronie Nondadów, pomagając im bić Synów Freyra. Nondadowie walczyli przeciw Synom Freyra z rasy Uskutów. Uskuci – wstyd powiedzieć – pożerali ciała zabitych Nondadów, pozbawiając ich rozkoszy Osiemdziesięciu Mroków... Swymi zręcznymi palcami Nondadowie odbiorą Uskutom ręczną broń palną. A ręczna broń palna rzuci postrach na Synów Freyra.

Tak się też stało. Przed końcem następnego tennera król JandolAnganol miał już swoje sibornałskie rusznice – nie od sojuszników w Pannowalu i Oldorando, nie wykute przez własnych zbrojmistrzów, tylko różnymi drogami przemycone, w podarunku – rzec by można – od własnych wrogów. Tym sposobem lepsza metoda zabijania z wolna rozprzestrzeniła się na Helikonii.

Poniewczasie, po wielu awanturach, garbus Fard Fantii założył swą rusznikarnię pod Matrassylem. Świeżo zdobyte rusznice posłużyły za wzór. Nakiąwszy się co niemiara, garbus wyprodukował rodzime strzelby, które bez rozrywania się strzelały w miarę celnie. Do tego czasu sibornalscy rusznikarze zdążyli ulepszyć swoje konstrukcje i zastosować ulepszony zamek kołowy, w którym dawny zawodny lont ustąpił miejsca iskrze krzesanej z obracanego sprężyną koła prosto na panewkę.

Ufny w swoje nowe uzbrojenie król zapiął półpancerz, dosiadł Czajki i wyruszył na wojnę. Po raz drugi poprowadził nieczłowiecze wojsko przeciwko wrażej czerni drajackich plemion pod wodzą Darwiisza Trupiej Czaszki, łupiącego Kosgatt. Przeciwnicy spotkali się ledwie parę mil od pola

bitwy, w której JandolAnganol otrzymał ranę. Tym razem Orzeł Borlien był już nauczony doświadczeniem. Po całodniowym starciu odniósł zwycięstwo. Pierwsza Gwardia Fagorza szła za nim jak w dym. Drajatów rozgromiono, wybito, postrącano do wąwozów. Niedobitki rozpiezchły się wśród burchych wzgórz, wracając tam, skąd Drajaci przyszedli. Po raz ostatni sępy miały powód, by sławić imię Darwiisza.

Do stolicy powrócił król tryumfalnie, z głową Darwiisza zatknięą na długiej tycze. Głowa została przybita nad bramą matrassyjskiego pałacu, gdzie miała gnić tak długo, aż z Darwiisza faktycznie nie pozostanie nic oprócz trupiej czaszki.

Bilo Xiao Pin bynajmniej nie był jedynym na Avernusię mężczyzną, który marzył o królowej Myrdeminggali. Lecz nawet najbliżsi przyjaciele rzadko się sobie zwieriali z tych intymnych sekretów. Takie sprawy w owej społeczności pozorów wychodziły na jaw tylko pośrednio – na przykład w powszechnym potępieniu ostatnich postępów króla JandolAnganola. Widok głowy thribriackiego wodza na węgorze bramy JandolAnganolowej siedziby wystarczył, by frakcja marzycieli podniosła krzyk protestu. Jeden z jej rzeczników oświadczył: „Ten potwór posmakował krwi mordując myrdolatorów. Teraz gromadzi broń, za którą sprzedał królową królowych. Do czego to dojdzie? Bezsprzecznie winniśmy go powstrzymać teraz, nim pograży cały Kampaniat w wojnie”.

Jeśli w Borlien król cieszył się nareszcie odrobiną wymarzonej popularności, to na Avernusię budził niezwykłą nienawiść. Był oskarżany o te same zbrodnie, jakie w przeszłości zarzucano innym despotom. Łatwiej winić wodza niż wodzonych;

absurdalność takiego stanowiska rzadko bywa postrzegana. Niestalość warunków \ naturalnych, niedobry żywności oraz surowców, to wszystko sprawiało, że historia Helikonii stanowiła nieprzerwane pasmo walk o władzę, a zdobywający ją despoci zyskiwali poparcie tłumów. Pomysł, żeby Avernus wtrącił się i położył kres tej czy innej tyranii, wcale nie był nowy. Ani interwencja nie była li tylko częą pogroźką.

Kiedy w 3600 A.D. ziemski kolonizacyjny statek gwiezdny osiągnął układ Freyra-Bataliksy, została założona baza na Poganie, najbliższej Helikonii, wewnętrznej planecie układu. W pogańskiej bazie wylądowało pięciuset dwunastu kolonistów. Wszyscy wykluli się na pokładzie gwiezdного statku w końcowych latach podróży. Informacje zakodowane w DNA komórek zapłodnionych ludzkich, jaj były przechowywane w komputerach. Wprowadzono je do pięciuset dwunastu sztucznych macic. Powstałe dzieci – pierwsze żywe ludzkie istoty na pokładzie statku podczas tej trwającej półtora tysiąclecia podróży – zostały wyhodowane przez sztuczne matki w kilku wielkich rodzinach. Na Poganie lądowali młodzi ludzie w wieku od piętnastu do dwudziestu jeden ziemskich lat.

Trwała już budowa Avernusa. Rozpoczęły ją automaty, wykorzystując miejscowe surowce. Realizacja ambitnego projektu zajęła osiem lat, niejednokrotnie omal się wcześniej nie kończąc katastrofą. Pogan służył jako baza przez te ryzykowne lata. Po skończeniu budowy młodzi koloniści przenieśli się na pokład nowego domu. Statek gwiezdny opuścił układ. Mieszkańcy Avernusa pozostali samotni – tak samotni, jak nigdy nie byli samotni żadni inni ludzie przed nimi. Dziś, trzy tysiące dwieście sześćdziesiąt dziewięć ziemskich lat później, dawna baza stała się świątynią, od czasu do czasu odwiedzana przez mędrców. Legia u podstaw avernusańskiej mitologii.

Pogan miał złoza minerałów. Cóż przeszkadzało wrócić tam i zbudować z nich większą liczbę statków do wyprawy na Helikonię. Wrócić nic nie przeszkadzało. Ale nie było już kadry technicznej do budowy statków. Zapalone głowy, snujące takie plany, miały też przeciwko sobie cały etos Ziemskiej Stacji Obserwacyjnej, który sprowadzał się do zasady nieinterwencji. Ponadto zapalone głowy należały do mężczyzn. Miały przeciwko sobie całą żeńską połowę Avernusa, która uwielbiała

nieszczęsnego władcę. Kobiety patrzyły, jak JandolAnganol pobił Darwiisza. To było wielkie zwycięstwo. JandolAnganol był bohaterem, który okrutnie cierpiał dla dobra kraju, choć może zbyt krótkowzrocznie spoglądał w przyszłość. Był postacią tragiczną. Jedyne rozwiązanie, jaka marzyła się członkiniom żeńskiej frakcji, to wylądować w Borlien i przebywać u boku JandolAnganola, w dzień i w nocy.

A jak to przyjmie Ziemia, kiedy wreszcie dotrze do niej przekaz tych wydarzeń?

Tam pochylą czoła przed JandolAnganolem za mądry wybór części Dar-wliszowego ciała do wystawienia na pokaz. To nie stopy Darwiisza, które go nosiły z jednej potyczki w drugą. I nie członek, który spłodził chmurę bękartów na pohybel przyszłym dniom. Nie dłonie, które sprzątnęły jakże wielu wrogów. To głowa, która stanowiła zarzewie tych i wszelkich pozostałych nikczemności.

XIV. TAM, GDZIE ŻYJĄ FLAMBURY

Mleczne cienie zasnuły miasto Askitosz. Wśród szarych budynków zbijały się w tuman bieli. Przechodzień na mlecznej ulicy sam stawał się białą zjawą. To była osławiona uskucka jedwabica, cienki, lecz nieprzenikniony welon mroźnego suchego powietrza, które spływało z płaskowzgorz leżących za miastem.

Freyr żarzył się na niebie niczym olbrzymia iskra na pustkowiu. Panował sibornalski połdzień. Bataliksa miała ponownie wejść za niecałe dwie godziny. Na razie królowała samotnie większa z gwiazd. Bataliksa wschodziła i zachodziła przed zachodem Freyry, nigdy – tak wczesną wiosną – nie osiągała zenitu.

Otulony w nieprzemakalną pelerynę Sartoniirwrasz spoglądał, jak widmowe miasto ginie z oczu. Pograżyło się w jedwabicy, zmieniło w nagie kontury konturów i zniknęło bez siadu. „Złota Przyjaźń” nie była jednak zupełnie samotna we mgle. Owinięty w pelerynę obserwator dostrzegał przed dziobem szalupę z ancipitalnymi wiosłarzami, którzy co sił w ramionach holowali wojenny okręt do wyjścia z portu. Opodal majaczyły inne okręty, widma i obwisłe albo klapiące jak sztywne skóry żagle uskuckiej floty, wychodzącej na wyprawę wojenną.

Płynęli zamglonym kanałem, gdy smuga na horyzoncie zasygnalizowała wschód Bataliksi. Zbudził się wiatr. Wydał i napiął pasiaste żagle. Marynarze z lekkim sercem wyruszali w daleki rejs, gdyż znaki były pomyślne dla wyprawy. Sartoniirwrasz za siebie miał sobie sibornalskie ominą. Wzruszył ramionami i zszedł pod pokład. Na zejściowce dogonił go lo Paszaratid, eks-ambasador w Borlien.

– Wszystko pójdzie dobrze – powiedział, z powagą kiwając głową – Wychodzimy w morze o właściwym czasie i znaki spełniają się zgodnie z wyrocznią.

– Znakomicie – Sartoniirwrasz ziewnął.

– Kapłan-wojownicy askitoskiej żeglugi wielkiej skrzyknęli wszystkich astrologów, astromantów, astrografów, hieromantów, meteorologów, metem-piryków i hierofantów, jacy tylko byli pod ręką, każąc im wyznaczyć najpomyślniejszy tenner, tydzień, dzień, najpomyślniejszą godzinę i minutę, w której „Złota Przyjaźń” powinna odbić od przystani. Wzięto pod uwagę znaki zodiaku członków załogi i gatunek drewna w stępcie. Lecz najbardziej przekonujący znak widniał na niebie, gdzie Kometka YarapRombry, szybująca wysoko na północnym nieboskłonie, miała wejść w zodiakalny znak Złotego Okrętu o godzinie szóstej minut jednaście i dziewięć sekund, właśnie tego ranka. I dokładnie w owej dziewiątej sekundzie puszczone cumy, a wiosłarze pociągnęli wiosłami.

Za wcześnie, gdyby zapytać Sartoniirwrasza. On się wcale nie palił do tej długiej i ryzykownej podróży. Mdlilo go. Czuł wstręt do narzuconej mu roli. A na domiar złego był tu lo Paszaratid, który łąził po statku podejrzanie przyjazny, jak gdyby nigdy nie popadł był w niełaskę. Nawet nie wiadomo, jak rozmawiać z takim człowiekiem.

Wyglądało na to, że dla Dieny Paszaratid nie ma rzeczy niemożliwych. Sprytnie wciągnąwszy eks-kanclerza JandolAnganola do swych machinacji i do planów rady wojennej, być może ocalała małżonka od więzienia. Zapewne uznając długą podróż morską na dziewięćsetdziesięcotonowej karace za tak samo nieprzyjemną, jak odsiadka w więzieniu, nawet odsiadka w Wielkim Kole Kharnabharu, władze przyszłego imperium mianowały lo Paszaratida kapitanem strzelców „Złotej Przyjaźni”. A chociaż uniknął kary o włos, Paszaratid był butniej szy niż zwykle. Chełpił się przed Sartoniirwraszem, że zanim dopłyną do Ottassolu, będzie dowodził wojskiem, ma zatem wszelkie widoki na objęcie dowództwa nad ottassolskim garnizonem.

Sartoniirwrasz legł na koi i zapalił trędowniczkę. Natychmiast chwycił go atak choroby morskiej.

Nie doświadczył jej w drodze do Askitoszu. Teraz nadrabiała stracony czas. Przez trzy dni ekskanclerz nie przyjmował pożywienia. Czwartego dnia obudził się zdrów jak nowo narodzony i wyszedł na pokład.

Widzialność była dobra. Freyr spoglądał znad dalekiej rubieży wód, nisko wisząc na północno-północnym wschodzie, mniej więcej w tej stronie, z której płynęła „Złota Przyjaźń”. Cień okrętu ślizgał się po kobaltowych emaliach fal. Powietrze było przesycone światłem i cudowną świeżością. Sartoriirwrasz przeciągnął się w ramionach i odetchnął pełną piersią.

Łądu ani śladu. Bataliksa jeszcze nie weszła. Ze statków, które im towarzyszyły jako honorowa eskorta przy wyjściu z portu, pozostał tylko jeden – siedł powiewając flagami w odległości dwóch mil na zawietrznej. Flotylla kog śledziowych prawie zniknęła w lazurowej dali.

Stojąc o własnych siłach i świetnie się czując był tak uszczęśliwiony i tak zasłuchany w głośny śpiew wantów i żagli, że nie usłyszał skierowanych do niego słów powitania. Musiały zostać powtórzone, nim się obrócił twarzą do Dieny i lo Paszaratidów.

– Chorował pan – rzekła Diena. – Współczuję. Niestety, Borlieńczycy nie są najlepszymi żeglarzami, nieprawdaż?

– Za to teraz ma się pan wspaniale – szybko wtrącił lo. -- Nic tak nie służy zdrowiu jak dobry długi rejs. Trasa liczy około tysiąca trzystu mil, więc przy sprzyjających wiatrach dopłyniemy tam w dwa tennery i trzy tygodnie; to znaczy, do Ottassolu.

Przez następne dni Paszaratid cierpliwie oprowadzał Sartoriirwrasza po okręcie, objaśniając tajniki żeglugi po najdrobniejsze szczegóły Sartoriirwraisz notował trochę ciekawostek, żałując w swym borlieńskim sercu, że jego kraj nie posiadał takiej znajomości spraw morza. Gildie i cechy Uskutów oraz pozostałych narodów Sibornalu w zasadzie niczym się nie różniły od gildii i cechów cywilizowanych krajów Kamp[^]nniatu; jednak sibornalskie gildie morskie i militarne były wszystkie inne liczebnością i fachowością i zwyczajem trwająprzetrwają (jako że był to czas wieczny warunkowy w trybie łączącym) Zimozimę. Zima, jak tłumaczył Paszaratid, była wyjątkowo sroga na północy. Przez najzimniejsze stulecia Freyr nigdy nie wychodził ponad widnokrąg. Zima zawsze gościła w sibornalskich sercach.

– Wierzę – z przekonaniem powiedział Sartoriirwrasz. Zimozimą życie ludzi skazanych na lód jeszcze bardziej niż Wielkim Latem zależało od mór. Dlatego prywatne statki w Sibornalu można policzyć na palcach jednej ręki. Wszystkie okręty należały do Gildii Kapłanów-Żeglarzy. Symbole tej gildii zdobiły żagle "Złotej Przyjaźni", przydając piękna ich funkcjonalności. Na grotżaglu widniał sibornalski wynalazek: dwa koncentryczne koła połączone parą falistych szprych. Okręt miał fokmaszt, grotmaszt i bezan-maszt. Żagiel nadbuzszprytowy stawiano na małym maszcie w końcu bukszpryłu jedynie przy pomyślnych wiatrach dla zwiększenia prędkości. I o Paszaratid określił dokładnie, w stopach kwadratowych, powierzchnię wszystkich żagli.

Sartoriirwrasz bez większego oporu pozwalał się zanudzać taką ilością faktów. Większą część żywota strawił na próbach odsiewania faktów od spekulacji, toteż w nieprzerwanym strumieniu tych pierwszych odkrywał nawet swoisty urok. Niemniej łamał sobie głowę, dlaczego lo na każdym kroku okazuje mu tyle serdeczności, która nie była przecież dominującą cechą charakteru Sibornalczyka. Nie przejawiał jej w Matrassylu.

– Uważaj, bo zanudzisz Sartoriirwrasza na śmierć tyloma faktami, kochanie – powiedziała Diena szóstego dnia podróży.

Zostawiła ich tam, gdzie stali, w najwyższej części rufówki, wciśniętych w kąt za kojcem kóz aranga. Pokład był wykorzystany do ostatniej piędzi – pod liny, zapasy, żywy inwentarz, działa. A dwie zaokrętowane kompanie wojska musiały spędzać większość dnia na pokładzie, w deszczu czy

w słońcu, płacząc się pod nogami gildyjskich żeglarzy.

– Musisz tęsknić za Matrassylem – rzucił Paszaratid na wiatr.

– Tęsknię do spokoju mej pracowni, to prawda.

– I do innych rzeczy także, jak przypuszczam. W przeciwieństwie do mych uskuckich ziomków, ja z przyjemnością wspominam pobyt w Matrassylu. Dużo egzotyki. Zbyt gorąco, rzecz jasna, ale mnie to nie przeszkadzało. Poznałem tam wspaniałych ludzi.

Sartoriirwrasz patrzył, jak arangi usiłują się obrócić w kojcu. Dostarczały oficerom mleka. Wiedział, że Paszaratid wreszcie zmierza do sedna.

– Królowa Myrdeminggala jest wspaniałą damą. To wstyd, żeby król skazał ją na wygnanie, nie sądzisz?

Więc o to chodziło. Zwlekał z odpowiedzią.

– Król uznał, że ma obowiązek służyć krajowi...

– Musisz żywić urazę za to, jak cię potraktował. Musisz go nienawidzić.

Nie doczekawszy się odpowiedzi rzekł, a raczej wybuchnął hamowanym krzykiem prosto w ucho Sartoriirwrasza:

– Jak on mógł zrezygnować z kobiety tak cudownej, jak królowa?! Nie otrzymał odpowiedzi.

– Twoi rodacy mówią o niej "królowa królowych", nie mylę się?

– Nie mylisz się.

– W życiu nie widziałem tak pięknej kobiety.

– Jej brat, JeferalOboral był moim dobrym przyjacielem. Ta uwaga zamknęła usta Paszaratidowi.

Już się zdawało, że Sibornalczyk utnie rozmowę, ale on wybuchnął z pasją:

– Sama obecność królowej Myrdeminggali... Sam jej widok... wystarczy, aby mężczyzna... działa na mężczyznę jak... Nie dokończył zdania.

Pogodę mieli zmienną. Skomplikowane układy obszarów wysokiego i niskiego ciśnienia zsyłały mgły, gorące bure deszcze, takie, jakie napotkali w drodze do Sibornalu – "prawdziwe uskuckie ciuciubabki" – i okresy przejaśnienia, kiedy to płaskie brzegi Loradzy chwilami majaczyły po prawej burcie. Wszelako rozwijali niezłą prędkość ze stałymi wiatrami: z ciepłym południowo-zachodnim lub zimnym zachodnim, lub północno-zachodnim.

Uciekając od nudy Sartoriirwrasz zapoznał się z okrętem od pokładu do stępki. Widział, jak ludzie z braku miejsca śpią na pokładzie, na zwojach lin, albo na skrzyniach pod pokładem, oparłszy pięty wysoko na grodziach. Nie było ani piędzi wolnego miejsca. Z każdym dniem okręt śmierdział coraz bardziej. Żeby oddać stolec, marynarze ze spuszczoneymi spodniami musieli się wysuwać na wytkniętym za burtę drzewcu, dla zachowania równowagi ściskając w jednej garści linę zwieszoną z noka rei. Urynę oddawali przez reling na zawietrznej i po licznych zakamarkach, o czym informował organ powonienia. Niewiele lepiej mieli oficerowie. Większym odosobnieniem cieszyły się kobiety.

Po blisko trzech tygodniach żeglugi zmieniono kurs z zachodniego na zachodni do północnego zachodu, i „Złota Przyjaźń” z towarzyszącym jej okrętem wpłynęła do Zatoki Krzywd. Tę ogromną ponurą zatokę tworzyło szerokie na tysiąc mil zakole wybrzeża Loradzy, wcinające się na pięćset mil w głąb lądu. Morze usnęło, gdy wchodzili do zatoki, wiatr słabł z dnia na dzień i spadała temperatura. Niebawem płynęli w perłowej mgiełce i w ciszy, pizerywanej jedynie okrzykiwaniem głębokości przez sondującego marynarza. Żeglowali stosując zliczenie nawigacyjne.

Sartoniirwrasz stracił cierpliwość. Zamknawszy się w norze swej kajuty palił i czytał. Nawet i w tych zajęciach nie znajdował przyjemności, gdyż żołądek wył mu z głodu jak bezpański pies. Racje okrętowe sprawiły, że on, chudy za swych najlepszych dni, musiał jeszcze zacisnąć pasa.

Na racje marynarskie składały się solone ryby, cebula, oliwa lub tran i chleb każdego ranka, zupa

w środku dnia i powtórka śniadania na kolację, zamianą ryb na twarde ser. Dwa razy w tygodniu każdy dostawał kubek figowego wina lub jodałki. Marynarze uzupełniali jadłospis świeżymi rybami łowionymi z burty. Oficerom wiodło się tylko o tyle lepiej, że co jakiś czas przysługiwała im racja arangowego mleka o ostrej woni, z dodatkiem pędzonej z wina wódki dla pełniących wachtę. Przywykli do takiej diety Sibornalczyki narzekali na jedzenie jakby od niechcenia.

Z prędkością pięciu węzłów minęli trzydziesty piąty stopień szerokości północnej, przechodząc z tropiku do wąskiej umiarkowanej strefy klimatycznej tego samego dnia. Pi/eraziwy łoskot dobiegł przez zasłony mgieł i olbrzymie fale zakolysały okręt. Po czym nastąpiła cisza. Sartoriirwrasz wystawił głowę z kajuty i pierwszego przechodzącego marynarza spytał, co to było.

– Brzeg – odparł marynarz. I w przypływie gadatliwości dodał drugie słowo – Lodowce.

Sartoriirwrasz z zadowoleniem kiwnął głową. Wrócił do swych zapisków, które, z braku lepszego zajęcia, rozwinął w dziennik podróży.

„Nawet jeśli są niecywilizowani, Uskuci wzbogacają naszą wiedzę o świecie. Jak uczonym doskonale wiadomo, nasz glob tkwi w dwóch wielkich obręczach lodu. Na samej północy i na samym południu lądy składają się wyłącznie z lodu i śniegu. Biedny kontynent sibornalski aż się ugina pod tym kłopotliwym brzemieniem, co być może tłumaczy chłód serc Sibornalczyków. Zdaje się, że obecnie sterują do jego brzegów, jak gdyby przyciągani magnesem, miast pozegłować na cieplejsze morza. Jaki może mieć cel to zboczenie z kursu, me będę pytał – nie chcę ryzykować dalszych wykładów ze strony mego osobistego demona Paszaratida. Znosi się przynajmniej na to, że rzucę okiem na ów straszny obszar, stanowiący początek i kres świata.”

Nocą zerwała się gwałtowna wichura, uderzając w nich bez ostrzeżenia. "Złota Przyjaźń" mogła jedynie sztormować na wiatr do ustania nawałnicy. Wielkie fale rozbijały się o kadłub strzelając bryzgami wysoko między drzewce. Słychać było złowróżbne dudnienie idące echem przez cały okręt, jak gdyby jakiś olbrzym z głębin prosił o wpuszczenie na pokład – myślał uczepiony swej koi przerażony eks-kanclerz Borlien. Zgodnie z rozkazami zgasił pojedynczą lampkę tranową w kajucie. Leżał w zgiełkowej ciemności, na przemian to klnąc JandolAnganola, to modląc się do Wszechmocnego. Olbrzym z głębin, ująwszy tymczasem okręt mocno w obie garście, huśtał nim tak, jak wariat by huśtał kołyską, gdyby chciał wygruzić z niej dzieciaka. Ku swemu późniejszemu zdumieniu Sartoriirwrasz zasnął w kulminacyjnym punkcie tej przewalanki.

Gdy się obudził, na okręcie znów było cicho, a kołysanie ledwo dawało się odczuć. Za bulajem zgęstniała mgła, rozjaśniona wątlm światłem. W drodze do zejściówki, mijając uspiionych żołnierzy, spojrział w niebo. Błady srebrnik wisiał zaplątany w takielunku. Sartoriirwrasz patrzył w oko Freyra. Przypomniała mu się bajka, którą w obecności królowej królowych lubił czytywać Tatraman-Adali – bajka o srebrnym oku i jego bezpowrotnej ucieczce.

Wachtowy okrzykiwał głębokość mierzoną za pomocą sondy. Na morzu unosiły się duże kry o dziwacznych kształtach. Niektóre przypominały karłowate drzewa czy też grzyby-olbrzymy, jakby bóg lodu bawił się w karykaturowanie kształtów żywej przyrody. To one kołataniem w kadłub oznajmiły swe przybycie w środku sztormu, i należało dziękować bogu, że jedynie kilka bloków miało wielkość połowy okrętu. Niby tajemnicze zjawy wyłaniały się z mgieł i we mgłach przepadały. Sartoriirwrasz podniósł naraz wzrok, jakby coś przyciągnęło jego uwagę.

Za wąziutkim pasem toni sterczały dwa fagorze łby. Wlepiały w siebie oczy, ślepe na przepływający okręt... Oto długi pysk z nienawistną ludzom paszczą, kostne łuki nad oczyma, dwa do przodu wygięte rogi. A jednak nie. Ledwo rozpoznał te stworzenia, już wiedział, że się pomylił. To nie były fagory. Oglądał pojedynkę pary dzikich zwierząt.

Pęd okrętu zawirował mgłą, odsłaniając wysepkę, właściwie okruch lądu pośród toni, z niziutkim

stromym urwiskiem od strony „Złotej Przyjaźni”. Na gołym szczycie wysepki stały dwa czworonogi, pokryte brązową sierścią. Gdyby nie ta barwa i czworonożność, można by je z powodzeniem wziąć za ancypitów. Podobieństwo zniknęło z bliższej odległości. Oba zwierzęta, choć stanęły na udeptanej ziemi, nie miały w sobie nic z niezłomnej, nieposkromionej natury fagorzej. Sartoniirwrasza w pierwszej chwili zmyliła para rogów.

Jedno zwierzę obróciło łeb, aby zerknąć na okręt. Wykorzystując ten moment, drugi zwierzę pochylił czoło i uderzył przeciwnika z potężnym wyrzutem barków. Odgłos uderzenia doleciał do statku. Chociaż atakujący nie przesunął się więcej niż trzy stopy, cały ciężar jego ciała od zadnich nóg wszedł w to trykniecie. Przeciwnik zachwiał się. Spróbował wrócić do poprzedniej pozycji. Nim spuścił łeb, otrzymał drugi cios. Pośliznął się na zadnich nogach. Mimo rozpaczliwych wysiłków runął w tył. Spadł do wody, wzbijając olbrzymią fontannę. „Złota Przyjaźń” odeszła z wiatrem. Scena walki zniknęła we mgle.

– Przepuszczam, że je rozpoznajecie – rzekł głos za uchem eks-kancle-rza. – To flambury z rodziny bydłowatych.

W trakcie podróży Kapłanka-Wojowmczka Admirał Odi Jeseratabhar rzadko odzywała się do Sartoniirwraszy. On jednak nie przepuścił żadnej okazji, aby obserwować ją podczas służby. Miała kształtną główkę i zgrabne ruchy. Pomimo surowych rysów twarzy była żywa jak iskra, a marynarze ochoczo spełniali jej polecenia. Ton głosu i mundur świadczyły, że to wielka pani, ale w obejściu ujmowała swobodą i przebłyskami dziecięcego entuzjazmu. Lubił ją.

– Cóż za ponure brzegi, proszę pani.

– Znam gorsze. W pierwotnych czasach Uskutoszk wysadzał tu skazańców, pozostawiając ich własnemu losowi.

Z uśmiechem wzruszyła ramionami, jak gdyby kwitując tym niegdysiejsze szaleństwa. Blond warkoczyki wymykały się spod jej płaskiej żeglarskiej czapki.

– Czy skazańcy wyżyli?

– Jasne. Wielu wżeniło się w miejscową ludność, Loradyjczyków. Za godzinę schodzimy małą gromadką na brzeg, aby wynagrodzić naszą dotychczasową nieuprzejmość i brak uwagi, zapraszam teraz pana, jako mego gościa, na wspaniałą wycieczkę. Obejrzymy sobie Krzywdy z bliska.

– Z wielką przyjemnością.

Mówiąc to, uświadomił sobie, jak bardzo marzy o wyrwaniu się choć na chwilę z okrętu.

„Złota Przyjaźń”, a tuż za nią „Zgoda” pomaleńku sunęły przez spokojne wody Mgła Pierzchła, ukazując skalne urwisko nadbrzeżne, posępne i bezbarwne. W pewnym miejscu klif uległ erozji i łagodnie schodził ku morzu. Tam powoli zmierzały okręty, lawirując wśród wielu małych wysepek, zgoła stert głazów. Drogę zagradzały też zwirowe mierzaje. Z jednej sterczały wręgi starego wraku. Ale w końcu „Przyjaźń” opuściła kotwicę, a po mej szalupę. Okrzyki marynarzy głucho pobrzmiwały na tym pustkowiu.

Odi Jeseratabhar szarmancko pomogła Sartoniirwraszowi zejść po trapie, za nimi zeszedli Paszaratidowie, a na końcu sześciu żołnierzy uzbrojonych w ciężkie rusznice z zamkami kołowymi. Fagory wzięły się do wiosła i szalupa pomknęła przesmykiem między mierzajami w kierunku szczątków pomostu.

Łąd należał do fagoropodobnych flamburów. Dwa wielkie samce szepiły rogi w boju na kamienistej plaży, z trzaskiem gruchocząc muszle pod kopytami. Gdyby me krótkie grzywy, byłoby trudno odróżnić samce od samic. Jak u innych hehkońskich gatunków, tak i u nich dymorfizm płciowy był słaby w wyniku znacznie silniejszych dymorfizmów sezonowych. Sierść zarówno samców jak samic była barwy od czarnej po rdzawą, biała na podbrzuszu. W kłębie flambury mierzyły ponad

cztery stopy. Wszystkie miały gładkie, do góry wygięte rogi. I rozmaite plamy na pyskach.

– To ich pora godowa – powiedziała Kapłanka-Wojowniczką Admirala. – Jedyne szał rui pcha zwierzaki w lodowatą wodę.

Szalupa dobiła do pomostu, pasażerowie wysiedli.

Grunt był pokryty ostrymi kamieniami. Z dali dochodził huk pękającego lodowca i lodów walących się w morze. Niebo było ołowianoszare. Fagorzy wiosłarze pozostali w łodzi skuleni, zamarli, kurczowo ściskając wiosła. Horda krabów obiegnęła podróżnych ze wszystkich stron, groźnie wznosząc swe asymetryczne szczypce. Strzelcy utłukli kilka sztuk kolbami, a krabia horda, dorwawszy się do utłuczonych braci, rozbierała ich na kawałeczki. Ledwo kraby przystąpiły do uczty, zapomniawszy o bożym świecie, a już użębione ryby zaczęły wyskakiwać z płytkiej wody i znikać w niej z pochwyconymi skorupiakami w zębach.

Strzelcy zręcznie zajęli pozycje w tym sielskim zakątku, po dwóch przy rusznicy, jeden mierzył, drugi podtrzymywał wylot lufy. Ich celem były flamgorze samice, które snuły się po brzegu w odległości kilku jardów, nie zwracając uwagi na przybyszów ze „Złotej Przyjaźni”. Huknęły strzały. Dwie krowy padły wierzgając nogami. Strzelcy zmienili pozycje i strzelby. Następne trzy strzały. Tym razem trzy krowy wyciągnęły kopyta. Reszta pierzchła.

Teraz ludzie i fagory, nawołując się, ruszyli z chlupotem przez płycizny i mierzeje, zagrzewani okrzykami z okrętów, gdzie załogi wyległy do relingów, by obejrzeć polowanie. Dwie Hamgorzyce żyły. Jeszcze usiłowały podźwignąć się na nogi i uciec, gdy krótki nóż któregoś ze strzelców przecinał im rdzeń kręgowy. Wtedy nadleciały wielkie białe ptaki i, zawisłszy w prądzie wstępującym nad ludźmi, kręciły głowami na wszystkie strony, wyczuwając śmierć. Nagle runęły na ludzi bijąc ich skrzydłami, a strzelca-rzeźnika przeorały długie ptasie szpony. Wiosłarze zajęli się odpędzaniem krabów i ptaków, a strzelec z nożem swoją robotą. Długim cięciem otworzył ubitym zwierzętom brzuchy. Wypatroszył je, odrzucając dymiące jelita i wątroby. Szybкими cięciami oddzielił zadnie udźce od tułowi. Całe ramię unurzał w złocistej posoce. W górze wrzeszczały ptaki. Fagory odniosły udźce i tusze do łodzi. Powtórzono polowanie.

Tymczasem Paszaratidowie wyładowali z łodzi sanki. Cztery krzepkie fagory, chwyciwszy za postronki, wyciągnęły sanki na brzeg. Sartoriirwrasz został zaproszony do kompanii.

– Zabierzemy pana na krótką wycieczkę po okolicy – powiedziała Jeseratabhar z powściągliwym uśmiechem.

Pomyślał sobie, że nie tylko on marzył o wyrwaniu się na chwilę z okrętu. Zrównał z nią krok. W powietrzu śmierzdzało oborą. Flamgory hasały dokoła jak gdyby nigd^ nic, białe ptaki walczyły o wnętrzności.

Mozolnie posuwali się saniami ku szczytowi stoku. Dostrzegli inne zwierzęta podobne do flamgorów, lecz prawie szarej maści, bardziej kudłate i o zakręconych rogach. To były jajaki. Diena Paszaratid z przyganą w głosie zauważyła, że zamiast flamgorów należało ustrzelić jajaki. Czerwone mięso było smaczniejsze od żółtego. Uwaga przeszła bez echa. Sartoriirwrasz zerknął na Paszaratida. I miał twarz nieprzeniknioną. Jakby nieobecny. Może myślał o królowej?

Pięli się wśród olbrzymich głazów pozostałych po stopniałym lodowcu. Gdzieniedzie widniały na wpół zatarte imiona i daty, wydrapane przez dawnych skazańców ku pamięci potomnych. Wreszcie dotarli na krawędź płaskowyżu. Łapiąc oddech patrzyli na otwierającą się przed nimi panoramę. Dwa okręty stały na skraju czarnych wód, ku którym schodziły czarne mielizny niebios. Tu i ówdzie bieleły niewielkie góry lodowe; kilka unoszonych prądem chyżo sunęło w kierunku mrocznej dali i można by je wziąć za żagle okrętów. Ale nie dostrzegli śladów obecności innych ludzi.

Po drugiej stronie leżał łąd Loradzy, sięgający Okolic Okołobiegunowych. Mgły wciąż rzedniały, odsłaniając monotonną równinę. Jej pustka miała w sobie coś majestatycznego. Ziemia bez żdźbła trawy była stratowana tysiącami tysięcy kopyt, odcisniętych jedne na drugich.

– Te równiny należą do flamgora, jajaka i jajaka olbrzymiego – oznajmiła Diena Paszaratid. – I nie tylko równiny, lecz cały łąd.

– Tu nie ma miejsca dla mężczyzn i kobiet – rzekł lo Paszaratid.

– Flamgor i jajak są podobne z wyglądu, ale różnią się anatomią – powiedziała Odi Jeseratabhar. – Jajaki są nekrorodne. Potomstwo rodzi się w zwłokach matki i żywi jej ścierwem zamiast mlekiem. Flamgor jest żyworodny.

Sartoriirwrasz nic nie mówił. Był jeszcze wstrząśnięty rzezią na brzegu. Rusznice wciąż grzmiały. Okręty zawinęły do Zatoki Krzywd tylko w jednym celu – aby zdobyć świeże mięso.

Teraz czwórka fagorów pociągnęła czwórkę ludzi na sankach. Okazało się, że równina jest podmokła, pełna wodnych i muskegowych bajorek. Na północy ciągnęły się niskie bure pagórki porośnięte odpornymi na mróz drzewami, wśród których przeważały karłowate świerki. Gorzej się wiodło drzewom na równinie, gdzie ich gałęzie ledwo wytrzymały ciężar ptasich gniazd, byle jak skleconych z patyków i wyrzuconych przez fale badyli. Liście tych drzew były białe od ptasich odchodów.

Okręty i morze zniknęły im z oczu. W chłodnym powietrzu zanikła morska bryza. Odór grzejących się zwierząt wisiał nad ziemią. Odgłosy wystrzałów ucichły w oddali. Niemal przez godzinę podróżowali w milczeniu, urzeczeni bezkresem równiny. Kapłanka-Wojowniczką Admirala poleciła stanąć przy narzutowym głazie w żółtawobrunatne prążki. Wyszli z sań, aby rozprostować nogi i ramiona. Wielki głaz górował nad nimi. Z dźwięków docierały tu jedynie głosy ptaków i szelest wiatru, aż do chwili, gdy posłyszeli odległe dudnienie.

Sartoriirwrasz wziął dudnienie po prostu za odgłosy pęknięcia dalekiego lodowca. Nie zaprzętał sobie tym głowy, uradowany, że znów czuje ziemię pod nogami. Natomiast kobiety wymieniły zafrasowane spojrzenia i bez słowa wspięły się na szczyt głazu. Ogarnawszy wzrokiem krajobraz, krzyknęły na trwogę.

– Hej, zwierzaki, wciągnijcie sanki za głaz, pod samą ścianę – Odi Jeseratabhar krzyknęła w hurdu na fagory.

Dudnienie przeszło w grzmot. Grzmot przetaczał się po całej ziemi. Coś się działo z niskimi stokami na zachodzie. Stoki ruszały się. Z przerażeniem kogoś, kto napotyka zjawisko przyrody przechodzące ludzkie wyobrażenie, Sartoriirwrasz rzucił się do wspinaczki na skałę. lo Paszaratid pomógł mu wleźć na szczyt, gdzie znaleźli miejsce wszyscy czworo. Fagory przywarły do podnóża głazu, omiatając mleciami nozdrza.

– Tu przeczekamy, aż przejdą – powiedziała Odi Jeseratabhar. Drżał jej głos.

– Co to jest? – spytał Sartoriirwrasz.

W leciutkiej mgielece rolował się dywan dali i toczył prosto na nich. Pozostało im tylko stać i patrzeć. Dywan przedzierzgnął się w lawinę flamburów sunącą szerokim frontem. Sartoriirwrasz spróbował je zliczyć. Dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto – daremny trud. Czoło pochodu było szerokie na milę, dwie, pięć mil; zwierzęta szły ławą, stado przy stadzie. Szeregi jajaków i flamburów bez końca spływały na równinę, ku miejscu, gdzie stał głaz narzutowy. Ziemia, głaz, powietrze – wszystko drżało. Sunęły stada, zwierzęta, wyciągnięte szyje, wytrzeszczone ślepia, otwarte pyski, z których kapała ślina. Żywe strumienie, opłynawszy głaz, łączyły się i płynęły dalej. Górą podążały nad nimi białe kraki, szybując niemal bez uderzania skrzydłami.

Cztery istoty ludzkie w podnieceniu wyciągnęły ręce, wymachując, wrzeszcząc, wiwatując

radośnie. U swych stóp mieli ocean kopytnego życia, sięgający po i poza widnokrąg. Ani jedno zwierzę nie podniosło oczu na gestykujących;

każde miało świadomość, że jedno potknięcie to pewna śmierć.

Radość ludzi niebawem przygasła. Przysiedli jedno przy drugim. Rozglądali się z coraz większą apatią. Stado sunęło nadal. Bataliksa wzeszła, Bataliksa zaszła w aureolach blasku. Nadal nie było widać kresu stada. Zwierzęta wciąż szły całymi tysiącami. Niektóre flambury odłączały się od pochodu i błdziły nad zatoką. Inne parły prosto w morze. Jeszcze inne w transie galopu rzucały się z klifów na złamanie karku. Główne siły stada z łoskotem zeszły po pochyłości i weszły na przeciwległy stok, zmierzając na północny wschód. Mijały godziny. Monotonne dudnienie zwierzęcych kopyt nie ustawało. Przepyszne zorze rozpostarły się na niebie, rozjarzyły, sięgnęły zenitu. Ale ludzie podupadali na duchu – życie, które wcześniej sprawiało im radość, teraz przygnębiało. Zbili się ciasno na swej grzędzie. Cztery fagory przywarły do skalnej ściany, zastawiwszy się samami. Freyr chylił się pomalutku ku horyzontowi.

Zaczął kropić deszcz, najpierw drobny. Przybrał na sile, wygaszając światłości niebios, przeinaczając grunt i zmieniając odgłos dudnienia kopyt. Lodowaty deszcz padał wiele godzin. Raz rozpadawszy się na dobre, zalewał wszystko, tak jak stada, z taką samą, niezmienną jednostajnością.

Ciemności i szum nieco oddzieliły Sartoriirwrasza i Odi Jeseratabhar od reszty. Oboje do siebie przylgnęli dla osłony. Bębnienie kopyt i deszczu przenikało eks-kanclerza. Skulił się, przywarłszy czołem do admiralskiego boku, czekając na śmierć, rozpamiętując swoje życie. To wszystko przez samotność – myślał. Samotność z wyboru, przez całe życie. Odsunąłem od siebie braci. Zanieczywałem żonę. Bo byłem takim samotnikiem. Mój głód wiedzy miał źródło w uczuciu straszliwej samotności – zdobywając wiedzę odsuwałem się jeszcze dalej od ludzi. Dlaczego? Co mnie opętało? A dlaczego znosiłem JandolAnganola przez tak długi czas? Czyżbym w nim dojrzał udrękę pokrewną własnej? Ale do gardła mi skoczył jak zwykły zbój. Tego nie mogę mu wybaczyć, ani tego, że z premedytacją, rozmyślnie spalił, przeklął, moje księgi. Spalił mych obrońców. Spaliłby cały świat, gdyby mógł... Teraz jestem inny. Odcięty od samotności. I będę inny, jeśli ujdziemy cało. Lubię tę kobietę. Lubię Odi. Okażę to. I gdzieś na tych upiornych bezdrożach życia znajdę jakiś sposób na upokorzenie JandolAnganola. Przez tyle lat puszczałem obelgi mimo uszu, puszczałem urazy płazem. Teraz... już jestem za stary... dopilnuję dla dobra wszystkich, by został upokorzony. On mnie upokorzył. Ja upokorzę jego. To nieszlachetnie, ale moja szlachetność się skończyła. Szlachetność jest dobra dla tłuszczy.

Poczuł ziąb przenikający jego wyszczerzone w uśmiechu przednie zęby. Spostrzegł, że Odi Jeseratabhar płacze, pewnie już od dłuższego czasu. Kawalek po kawaleczku przesunawszy się wzdłuż skalnej grzędy śmiało przygarnął Odi do siebie i przytulił szorstki policzek do jej policzka. Na każdym milimetrze tej drogi towarzyszyło mu nie milknące bębnienie kopyt w ciemnej pustce. Wyszepał niemal pierwsze lepsze słowo pocieszenia. Obrócił głowę i prawie się zetknęli wargami.

– To wszystko moja wina... Winnam była przewidzieć, że to się może zdarzyć...

Powiedziała jeszcze coś, ale zabrał to wiatr. Pocałował ją. Był to chyba już ostatni świadomy odruch, na jaki mógł się zdobyć. Przynajmniej w sercu poczuł błogie ciepło. Odejdźcie od JandolAnganola odmieniło Sartoriirwrasza. Pocałował ją jeszcze raz. Oddała pocałunek. Podali sobie deszcz na wargach.

Mimo niewygód zmorzył ludzi sen, głęboki jak chorobliwa śpiączka. Kiedy się obudzili, zamiast ulewy siąpiła już tylko drobna mżawka. Stado wciąż przechodziło u podnóża głazu. Wciąż sięgało hen od jednego krańca horyzontu po drugi. Żeby się wysikać, musieli kucać na skalnej krawędzi. Zniknęły fagory, zmiecione razem z saniami. Nic nie zostało. A obudziła śpiących inwazja

zarłocznych much przybyłych ze stadem. I tak jak w stadzie były zwierzęta więcej niż jednego gatunku, tak i w chmurze skrzydlatej szarańczy były stworzenia więcej niż jednego gatunku, ale wszystkie umiały ssać krew. Tysiącami obsiadły ludzi, zmuszając ich do zwinięcia się w ciasne kłębki i otulenia w płaszcze i keedranty. Najmniejszy odsłonięty skrawek skóry padał ofiarą insektów i spływał krwią. Leżeli cierpiąc duchotę, a wielki głaz narzutowy drżał pod nimi, jak gdyby wciąż niesiony przez lodowiec, który go tu zostawił na równinie.

Minął następny dzień. Następny półdzień, następna noc. Bataliksa ponownie weszła nad pejzażem z deszczu i mgły. Wreszcie szeregi zwierząt stopniały. Przeszło główne stado Jeszcze ciągnęli maruderzy, najczęściej krowy z rocz-niakami. Przerzedziła się chmara skrzydlatych dręczycieli. Na północnym wschodzie jeszcze dudniły kopyta uchodzących tabunów. Mnóstwo flamburów wałęsało się wzdłuż wybrzeży.

Odrętwieli i rozdygotani ludzie bardziej spadli, niż zleźli na ziemię. Nie pozostało im nic innego, jak tylko wracać na piechotę do wybrzeża. Szli potykając się i dławiąc zwierzęcym fetorem, napastowani przez gzy na każdym kroku. Nikt się nie odezwał ani słowem.

Okręt podniósł żagle. Wypłynęli z Zatoki Krzywł. Czwórka rozbitków, którzy na głazie przetrwali zwierzęcy potop, leżała pod pokładem w malignie, spowodowanej przemarznięciem i ukąszeniami gzów. W rozgorączkowanej głowie Sartoriirwrasza stado płynęło wciąż jak rzeka, zalewając cały świat. Wizja była tak realna, że nie mógł jej przegnać. Nawiedzała go jeszcze długo po wyzdrowieniu.

Gdy tylko poczuł się jako tako na siłach, bez żenady zaszedł do Odi Jeseratabhar na pogawędkę. Sprawił jej przyjemność swą wizytą. Powitała go przyjaźnie, nawet podając dłoń, którą uściśnął. Z jasnymi włosami rozpuszczonymi do ramion usiadła na koi, okryta jedynie czerwonym prześcieradłem. Bez munduru wyglądała szczuplej niż zwykle, lecz i przystępniej.

– Wszystkie okręty wychodzące w dalekie trasy zawijają do Zatoki Krzywł – rzekła. – Zaopatrują się w prowiant, głównie mięso. W Gildii Kapłanów--Żeglarzy niewiele jest jaroszy. Ryby. Foki. Kraby. Widywałam już pochody flamburów. Powinnam bardziej uważać. One mnie urzekają. Co pan o nich sądzi?

Zauważył u niej ten nawyk już przedtem. Snując wokół siebie magiczną przędzę siboryjskich czasów gramatycznych, niespodziewanym pytaniem zbijała słuchacza z tropu.

– Nie miałem pojęcia, że tyle jest zwierząt na świecie...

– Jest ich więcej, mż można sobie wyobrazić Więcej, mż ktokolwiek możebyłmogłby sobie wyobrazić Żyją wszędzie na obrzeżach wielkiej lodowej czapy, w niegościnnych Krainach Około biegunowych Są ich miliony Miliony milionów

Uśmiechnęła się, podekscytowana Taką ją lubił Kiedy się uśmiechała, uprzytomniał sobie swą samotność

– Sądzę, że odbywają migrację

– O ile wiem, to me to Ciągną nad wodę, lecz me zostają Wędrują o każdej porze przez okrągły rok, me tylko wiosną Może są po prostu gnane rozpaczą Mają tylko jednego wroga

– W liki ^

– Nie wilki – Błysnęła wilczym uśmiechem z radości, że zapędziła go w kozi log – Gzy Zwłaszcza jeden Duży jak ten górny paliczek mego kciuka Ma żółte prążki, me sposób go pomylić z innymi Składa jaja w skórce nieszczęsnych pustorogich Larwy po wykluciu przebijają się przez skórę do krwiobiegu, a wreszcie osiadają w gniazdach pod skórą na grzbiecie Tam czerwce rosną w cystach do rozmiarów wielkiego owocu, by w końcu wypaść z tych gniazd na ziemię i rozpocząć życiowy cykl od nowa Prawie każdy upolowany przez nas flambur ma takiego pasożyta, często kilka sztuk

Widziałam, jak pojedyncze zwierzęta pędziły w udreće, aż padły, albo rzucały się z wysokich klifów, by UJŚĆ przed tym gzem w żółte prążki

Utkwiła w mm łaskawe spojrzenie, jak gdyby ta relacja sprawiała jej jakąś wewnętrzną satysfakcję

– Byłem wstrząśnięty, proszę pani gdy wasi ludzie zastrzelili kilka krów na plaży Teraz widzę, że to mc me znaczy Nic a mc Kiwnęła głową

– Flambury są)ak siły przyrody Nieśmiertelne Wieczne Przy nich ludzkość wydaje się niczym Szacunkowa liczba ludności Sibornalu wynosi dwadzieścia pięć milionów Pogłowie flamburow na kontynencie jest wiele razy – może tysiąc razy – większe Tyle ich, ile drzew Ja wierzę, że kiedyś cała Helikoma to były tylko owe gzy i bydło w nieskończonym pochodzie tam i z powrotem przez kontynenty, bydło cierpiące nieustanne katusze, od których nieustannie próbowało uciec

Zamilkli oboje, przytłoczeni taką wizją Sartoniirwrasz wrócił do swej kajuty Lecz kilka godzin później zapukała tam Odi Jeseratabhar

– Czy pana przygnębiła moja opowieść o nieprzehczonosci flamgorow9 W Jej pytaniu kryła się jawna kokieteria

– Wręcz przeciwnie Wielka to dla mnie radość spotkać taką osobę, jak pani, zainteresowaną procesami tego świata Chciałbym, żeby ludzie rozumieli je lepiej

– Sibornalczyki rozumieją je lepiej niż mm – rzekła, po czym, pragnąc złagodzić przechwałkę, dodała: – Może dlatego, że mamy odczuwalniejszą zmianę pór roku niż wy, w Kampanniacie. Wy, Borlieńczycy, możecie sobie Latem zapomnieć o Wielkiej Zimie. W samotności człowiek bywajest w strachu, że jeśli następna Zimozima będzie ledwie o parę stopni zimniejsza, to nie przeżyje nikt z ludzi. Tylko fagory i krocie bezrozumnych flamburów. Może rodzaj ludzki jest... chwilowym wybrykiem natury.

Sartoniirwrasz przypatrywał się jej z uwagą. Rozczesane włosy luźno rozpuściła do ramion.

– Mnie też to chodziło po głowie. Nie znoszę fagorów, lecz one są trwalsze od nas. Cóż, los ludzi jest przynajmniej lepszy od losu pędzących bez spoczynku flamburów. Chociaż nie da się ukryć, że mamy własny ekwiwalent gza w złote paski...

Umilkł, pragnąc usłyszeć od niej coś więcej, sprawdzić jej inteligencję i wrażliwość.

– Kiedy po raz pierwszy ujrzałem flambury, przyszło mi na myśl, że bardzo przypominają ancipitów.

– Bardzo, pod wieloma względami. No dobrze, przyjacielu, uchodzisz za uczonego. Co sądzisz o tym podobieństwie?

Wystawiła go na próbę, o czym świadczył ton figlarniej zaczepki. Jednocześnie przysiedli obok siebie na jego koi.

– Madisi są podobni do nas. Nondadowie i Inni też, aczkolwiek słabiej. Nie wydaje się, by istniała więź rodzinna między ludźmi a Madisami, chociaż skojarzone madisko-ludzkie pary czasami płodzą potomstwo. Księżniczka Simo-da Tal jest takim dziwolągiem. Nigdy nie słyszałem, by fagory kojarzyły się z flamburami.

Skwitował gorzkim śmiechem swą niewiedzę.

– A gdyby się okazało, że rodzicielskie bóstwa, które nas ukształtowały, stworzyły tę, jak ją nazywasz, więź rodzinną pomiędzy rodzajem ludzkim a rodzajem madiskim? Czy wtedy uznałbyś powinowactwo flamburów z fa-gorami?

– O tym musiałby rozstrzygnąć eksperyment. Był bliski opisanie swych hodowlanych eksperymentów w Matrassyłu, jednak zdecydował się poruszyć ten temat innym razem.

– Pochodzeniowe powinowactwo oznacza podobieństwo zewnętrzne. Fagory i flambury mają

złocistą krew jako ochronę przed zimnem...

– Istnieje dowód bez eksperymentu. Ja nie wierzę, w przeciwieństwie do większości ludzi, że Bóg Azoikaksis stworzył każdy gatunek oddzielnie. – Mówiąc to ściszyła głos. – Wierzę, że przedziały zacierają się z czasem, że przedział między człowiekiem a Madisem zatrze się bardziej, kiedy wasz JandolAnganol poślubi Simodę Tal. Widzisz, do czego zmierzam?

Czyżby potajemnie była ateistką, tak jak on? Ku swemu zdumieniu dostał erekcji na tę myś

– Zamieniam się w słuch

– Nie słyszałam, by fagory kojarzyły się z flamburami, to fakt Niemniej mam podstawy do przypuszczenia, że kiedyś na naszym świecie żyły tylko gzy i flambury – niezliczone i nierozumne miliony jednych i drugich Za sprawą dziedzicznych przemian z flamburow wyrodzili się anciDici Jak sądzisz? Czy to możliwe?

Spróbował podważyć logikę jej wyводу

– Podobieństw może być sporo, ale na ogół powierzchownych, poza barwą krwi Równie dobrze można by stwierdzić że ludzie i fagory są do siebie podobni bo oba gatunki mówią Fagory chodzą w pionowej postawie, tak jak my Mają SWÓJ własny rodzaj inteligencji Nic takiego me mają flambury, chyba że inteligentnie jest galopować tam i nazad przez kontynent, na złamanie karku

– Umiejętność chodu w pionowej postawie i zdolność posługiwania się mową zdobyły fdgory po oddzieleniu się ich linii rozwojowej od flamburow Wyobraźmy sobie, że fagory powstały ze stadka flamburow, które które znalazły inne rozwiązanie problemu gzów mz nieustanna ucieczka

Patrzyli na siebie w podnieceniu Miał wielką ochotę opowiedzieć Odi o swym odkryciu dotyczącym mustangów Jakie rozwiązanie?

– Schować się w jaskini, na przykład Zejść pod ziemię Uwolnwszy się od gzów rozwinęły inteligencję Stanąwszy w pozycji pionowej by dalej widzieć uwolniły przednie odnóża do posługiwania się narzędziami W ciemnościach wykształciły mowę zastępującą wzrok Kiedyś pokażę ci moją rozprawkę na ten temat Nikomu jej me pokazywałam

Ze śmiechem wyobraził sobie flambury popisujące się takimi sztuczkami

– Nie przez jedno pokolenie drogi przvja< elu Przez niezliczone pokolenia Ingelintniejsze wygrywały Nie śmieć się – Poklepała go po dłoni – Jeżeli nic takiego me zdarzyło się w pradawna ch czasach to pozwól ze o jedno cię zapytam Co powiesz na to, że ciąża u gild trwa jeden okrągły rok Batahksy a okres ciąży u krowy flambura jest dokładnie tak samo długi7 Czy to nie dowodzi dziedzicznego pokrewieństwa)

Dwa okręty mijały leżące JUŻ w tropiku porty najdalej na południe wysuniętego wybrzeża Loradzy Z portu w Idziwibirze wyszła szesciusettonowa karawela o nazwie "Dobra Nowina", która dołączyła do Złotej Przyjaźni' i , Zgody' Wspaniale wyglądała pod żaglami malowanymi w pionowe pasy Okręt flagowy powitał ją wystrzałem z działa d marynarze wiwatami W pustkowiach morza trzy okręty to dużo więcej mz dwa

Drugą podobną uroczystość obchodzono po osiągnięciu dwudziestego dziewiątego stopnia długości wschodniej, najdalszej zachodniej pozycji kursu. Była godzina za dziesięć minut dwudziesta piąta. Schowany za horyzontem Freyr ciągnął po niebie włók morelowej poświaty. Zdawało się, że poświata promieniuje z mglistej toni, rozmywając linię widnokręgu. Znacząc grób, z którego wielkie słońce niebawem zmartwychwstanie. Zatopiona gdzieś w tej poświacie leżała święta kraina Sziwenink; gdzieś w Sziwenink, wysoko w górach, ciągnących się na całej długości od morza po Biegun Północny, było Wielkie Koło Kharnabharu.

Róg obwieścił "wszyscy na pokład!" Trzy okręty zmniejszyły odstęp między sobą. Zarządzono modły, zagrała muzyka, wszyscy stali i mówili pacierze, położywszy palec na czoło. Z morelowej

poświaty wyłonił się żagiel. Za sprawą gry światła i toni to pojawiał się, to znikał jak zjawa. Ptaki wrzeszczały nad jego masztami ostrzegając, że pora wracać na ląd. Okręt był cały w bieli: z białymi żaglami, ze świeżo bielonym kadłubem. Kiedy się zbliżył, oddawszy salut wystrzałem z działa, wszyscy na pokładach pozostałych okrętów ujrzeli karawelę nie większą od „Dobrej Nowiny”; na jej grotżaglu widniał wielki hierogram przedstawiający samo Koło, wewnętrzny i zewnętrzny krąg z łączącymi je falistymi liniami. Była to "Modlitwa Yadżabharu", nazwana tak na cześć głównego portu Sziweninku.

Cztery okręty zhalsowały blisko siebie, jak gołębie siadające na jednej gałęzi. Padły komendy z ust Kapłanki-Wojowniczkii Admirala we własnej osobie. Bukszpryty obróciły się, takielunki zaskrzypiały, żagle nadbukszprytowe wypełniły się wiatrem.

Toń przybrała ciemniejsze, granatowe barwy. Okręty opuszczały Morze Pannowalskie i wchodziły na północne rubieże Oceanu Bezkresnego. Z miejsca natknęły się na burzliwą pogodę. Żeglowały z trudem, pokonując wielkie fale i groźne szkwały, podczas których były bombardowane olbrzymimi kulami gradowymi. Przez całe dni nie widziano żadnego ze słońc.

Kiedy wreszcie wypłynęli na spokojniejsze wody, Freyr stał w zenicie niżej, a Bataliksa nieco wyżej niż przedtem. Po lewej burcie wznosił swe wysokie klify Przylądek Jaskółczy Ogon, najdalej na zachód wysunięta reduta Kampanniatu. Zaraz po obejściu Jaskółczego Ogona pożeglowali do najbliższej dogodnej przystani u wybrzeży tropikalnego kontynentu, gdzie kotwiczyli przez dwa dni. Cieśle zajęli się naprawą uszkodzeń wyrządzonych przez sztorm, a towarzysze Gildii Kapłanów-Zeglarzy – szyciem żagli lub kąpielami w ciepłej lagunie. Mężczyźni i kobiety swawolili nago w wodzie – pruderyjni Sibornalczycy wykazywali tutaj niezwykły brak pruderii – tworząc tak przyjemny widok, że nawet Sartoriirwrasz w jedwabnych majtkach wlaźł do wody. Później, leżąc na plaży, osłonięty od żaru obojga słońc, obserwował, jak pływacy wychodzą pojedynczo na brzeg. W załodze „Dobrej Nowiny” było wiele kobiet, i to dobrze zbudowanych. Zatęsknił za swą młodością. Tuż przy nim klapnął na piasek lo Paszaratid.

– Gdyby tak jeszcze owa piękna królowa królowych była tutaj, co nie? – powiedział cichym głosem.

– To co?

Nie odrywał spojrzenia od wody mając nadzieję, że Odi naga wynurzy się z fal.

– To co, pytasz? To wtedy ten pozorny raj byłby prawdziwym rajem.

– Sądzisz, że ta wasza armada ma szansę podbić Borlien?

– Na pewno, jeśli szczęście wojenne nam dopisze. Organizacją i uzbrojeniem bijemy wojska JandolAnganola na głowę.

– No cóż, wtedy królowa znajdzie się w twoich rękach.

– Nie uszło to mej uwagi. Myślisz, że niby skąd we mnie ten nagły zapał do wojaczki? Ja nie chcę Ottassolu, stary capie. Ja chcę królowej Myrdeminggali. I zamierzam ją zdobyć.

XV. WIĘŹNIOWIE KAMIENIOŁOMU

Samotny żołnierz niósł sakwę na ramieniu. Mundur wisiał na nim w strzępach. Dwa słońca zalewały go żarem. Pod bluzą spływał strużkami potu. Kroczył na oślepie, rzadko podnosząc wzrok. Szedł przez tereny strawionej pożarem dżungli Górnego Chwartu we wschodnim Randonanie. Wokół czerniały osmalone i spękane kikuty drzew, wiele jeszcze niewygasłych. Od czasu do czasu rozglądając się po okolicy, jak okiem sięgnąć widział jedynie trakt i okopcony krajobraz. Dał ginęła w szarych całunach dymu. Być może przyczyną pożaru był tropikalny upał. A być może iskra z lontowego zamka spopieliała miliony drzew. Przez wiele tennerów staczano bitwy na tym obszarze. Ludzie ze strzelbami już odeszli, odszedł też las.

W postawie żołnierza wszystko świadczyło o znużeniu i porażce. Jednak szedł naprzód. Raz przystanął, gdy jeden z jego cieni zbladł i zniknął. Czarna chmura przesłoniła Freyra. Kilka minut później połknęła również Bataliksę. Po czym lunęła deszczem. Żołnierz szedł dalej, spuściwszy głowę. Nie było dlań nigdzie schronienia, nic nie mógł uczynić, jak tylko ukorzyć się przed przyrodą. Deszcz lał, nagłymi falami przybierając na gwałtowności. Syczały pogorzelska. Coraz więcej niebieskich zasobów leciało z góry, niczym rezerwy rzucone do bitwy. Następną taktyką niebios było bombardowanie gradem. Kule gradowe zmusiły strudzonego żołnierza do ucieczki. Uciekł do jedynej dostępnej mu kryjówki we wnętrzu spróchniałego pniaka. Wcisnąwszy grzbiet w sypiące się próchno zburzył warownię kupolków. Pozbawione swej maleńkiej forteczki skorupiaki, wymachując maleńkimi czułkami, przeszły w bród istną Takisę płynnych popiołów, by poszukać sobie innej siedziby. Nieświadom tej katastrofy żołnierz spoglądał spod runda kapelusza prosto przed siebie, dysząc ciężko. Potykając się w pomroce przeszło kilka zgarbionych sylwetek. To były resztki jego armii, do niedawna świetnej Drugiej Armii Borlieńskiej. Jeden maruder niczym lunatyk minął wypróchniały pniak o parę piędzi, brocząc krwią ze straszliwej rany, na nowo otwartej od uderzeń gradu. Żołnierz w kryjówce zapłakał. Nie miał rany, pominawszy siniaki na skroni. Nie miał prawa cieszyć się życiem. Jak u piuitulonopo dziecka płacz ustąpił w nim miejsca zmęczeniu; mimo gradobicia zapadł w sen. Obudziły go straszne sny o kulach gradowych. Czuł ich użądlenia ad policzkach. gdy otworzył oczy i zobaczył bezchmurne niebo. Zerwał się na nogi. lecz kule dalej go cięły po twarzy i karku. Jedna wpadła mu do ust. kiedy sapnął ze złości. Wwpluwszy pocisk obrócił się z niedowierzaniem.

Koślawe miotlaste krzewiny nie opodał padły pastwą płomieni. Ogień utwardził okrywy nnsienne krzewin, zar przyspieszył dojrzewanie nasion. W ciep-'e nowego dnia odmykały się ich skorupy. Towarzyszyły temu ciche dźwięki, jak mlaśnięcia wargami Nasiona strzelały na wszystkie strony. Popielisko miało im zapewnić 2yzną glebę do kiełkowania

Żołnierz roześmiał się z nagłej uciechy. Choćby rodzaj ludzki zmierzał ku największemu szaleństwu, żadna sita nie zawróci przyrody? jej drogi. I jego żadna siła nie zawróci', z drogi. Zmacał miecz, poprawił kapelusz, zarzucił sakwę na ramię i ruszył na południowy wschód. Około południa zostawił pogorzelska za sobą. Trakt wił się między zaroślami prosiężki. Droga, którą wędrował żołnierz, w ciągu stuleci była kolejno rzeką, wyschniętym łożyskiem, trasą lodowca, szlakiem bydła oraz gościńcem. Ta niestałość niczym się nie zdradzała przed ludzkim okiem. Delikatne kwiaty kwitły na poboczach, niektóre wybijały z nasion roślin dojrzewających daleko stąd. Wysokie skarpy zamykały trakt z obu stron. Żołnierz mozolnie brnął przez zaspę żwiru pomiędzy nimi. Kiedy się wieszcie skończyły na grani, ujrzał chaty stojące wśród pól. Widok nie napawał otuchą. Pola od dawna leżały odłogiem. Chaty były opuszczone. Wiele dachów runęło i tylko szczytowe ściany jak

starcze pięści wznosiły się do nieba. Kurz z drogi przygniótł swym ciężarem żywoploty na poboczach. Zasypał przydrożne pola, chaty i budynki gospodarcze, i porzucony dobytek, walający się na każdym kroku. Wszystko było spowite szarym całunem, jakby stworzone z jednej materii. Tyle kurzu mógł wzbąć tylko przemarsz jakiejś wielkiej armii – pomyślał żołnierz. Jego armii. Drugiej Armii, podówczas maszerującej do walki. Teraz on jeden wracał bez hałasu, pobity...

Zwolnwszy kroku generał Hanra TolramKetinet szedł krętą drogą. Kilka fagorów o drugich pyskach bez wyrazu, jak maski, ukradkiem mu się przyglądało spośród ruin. Nie pamiętał tej wioski, jeszcze jednej z wielu, przez którą przemaszerowali w skwarze jeszcze jednego dnia. Dotarłszy do końca drogi i do świętej kolumny znaczącej miejscową oktawę śródziemną zauważył klinowaty zagajnik, który wydał mu się znajomy; jego zwiadowcy przeczesywali go w poszukiwaniu wroga. Jeśli się nie mylił, to w tym sporym domostwie za zagajnikiem nocował przez kilka godzin.

Domostwo stało nietknięte. Ogień uszkodził tylko budynki gospodarcze obejścia. TolramKetinet stanął przed furką. Podwórko i dom tonęły w ciszy przerywanej jedynie brzęczeniem much. Dobył miecza i wkroczył na podwórze.

Dwa zasieczone musłangi leżały w otwartej zagrodzie, czarne od much. Zaleciał go smród.

Freyr stał wysoko, Bataliksa już zachodziła. Kolidujące cienie rozmywały barwy i kształty domostwa, do którego się zbliżał. Kurz przyciemnił okna. Mieszkała tu kobieta, wieśniaczka z czworgiem małych dzieci – przypomniał sobie. Bez męża. Teraz mieszkała tu dzwoniąca w uszach cisza. Złożywszy sakwę przy schodkach otworzył drzwi kopniakiem.

– Jest tu kto?

Miał nadzieję, że może jacyś jego żołnierze wypoczywają w izbach. Nikt nie odpowiedział. Jednak wyczulone zmysły mówiły mu, że w budynku jest żywa istota. Przystanął w kamiennej sieni. Wysoki wahadłowy zegar o dwudziestu pięciu iluminowanych cyfrach stał milczący pod ścianą. Poza zegarem wszystko sprawiało wrażenie nędzy powszechnej na terenach długotrwałych działań wojennych. Za sienią czaiła się ciemność. Zdecydowanym krokiem wmaszerował w korytarz i do nisko sklepionej kuchni.

W kuchni było sześć fagorów. Stały nieruchomo, jak gdyby czekając na niego. Ciemnoróżowe oczy lyskały z cienia. Pod oknem za plecami fagorów rosła kępa jaskrawożółtych kwiatów; złociła się w słońcu, rozmazując fagorze sylwetki. Złoty odbłask padał na ich ramiona, na długie kości policzkowe. Jeden uchował swe rogi.

Fagory ruszyły na człowieka, lecz TolramKetinet był przygotowany. Wyczuł ich woń już w sieni. Miały włócznie, ale trafiły na wytrawnego szermierza. Były szybkie, lecz wchodziły sobie nawzajem w drogę. TolramKetinet uderzał z dołu do góry sztychem pod żebra, gdzie jak wiedział, kryła się fagorza łon. Tylko raz któryś z ancipitów zdążył wyprowadzić pchnięcie włócznią. Generał jednym cięciem niemal odrąbał mu przedramię. Mdlący zaduch fagorzyczych oddechów dławił w izbie. Wszystkie skonały, poza tym sapaniem nie wydawszy żadnego dźwięku. Na trupach rozpoznał gwiazdki zaufanych gwardzistów swojej własnej przybocznej straży. Widząc Synów Freyra w rozsypce, skorzystali z okazji i poszli za głosem natury. Mniej ostrożny żołnierz wpadłby w zasadzkę. W rzeczy samej, jeden dał się niedawno zaskoczyć. Rozciągnięty na stole w głębi kuchni leżał borlieński kapral z wygryzionym do czysta gardłem.

TolramKetinet wrócił na podwórko i oparł się o wygrzaną ścianę domu. Mdłości przeszły po krótkiej chwili. Stał oddychając skwarnym powietrzem, dopóki fetor pobliskiej padliny nie wygonił go z obejścia. Nie mógł się tu zatrzymać. Chwilkę odpocząwszy, dźwignął sakwę i podjął swój milczący marsz w kierunku wybrzeża. Ku morzu i szumiącym falom.

Zapucił się w las. Południowy trakt prowadził wśród drzew podwoi, o podwójnych pniach

skręconych w spiralne kolumny. TolramKetinet kroczył taką podwojową aleją. Nie musiał się przedzierać przez gęste i splecione zarośla. Dno lasu było skąpo porośnięte, bo i słońce skąpiło tu swych promieni.

Wędrował pośród filarów o przedziwnych kształtach, jak gdyby wewnątrz wyniosłej budowli. Wyżej rozpościerały się kolejne piętra lasu, dzielącego Borlien od Randonanu. Podszyt, niekiedy z trzaskiem łamany przez wielkie zwierzęta. Dolna warstwa drzewostanu, w której huśtali się i nawoływali Inni, czasami schodząc na dół po upatrzonego grzyba i czym prędzej wracając na bezpieczne konary. Okap, prawdziwe sklepienie drzewostanu, pełne kwiatów, których TolramKetinet nie mógł zobaczyć, i ptaków, których mógł tylko słuchać. Ponad okap wystrzelały najwyższe samotne drzewa, a na nich zasiadały drapieżne ptaki. patrząc, nie śpiewając.

Tropikalny las tchnął takim majestatem, że w oczach tych, którzy się weń zapuścili, wyglądał na coś trwalszego niż sawanny, niż nawet pustynie. Co nie było prawdą. Z tysiąca ośmiuset dwudziestu pięciu helikońskich małych lat, składających się na jeden Wielki Rok, ów wielce skomplikowany leśny organizm był w stanie istnieć przez mniej niż połowę tego okresu. A tak naprawdę, to cały ten kunsztowny gmach, cudowniejszy nad wszelkie dzieła rąk ludzkich, powstał jako odpowiedź na wezwanie żywiołów zaledwie kilka pokoleń temu, wyskakując z posiewu nasion niby diabełek z pudełka. Panujący w hierarchii roślin idealny ład wywierał tylko na nieświadomym obserwatorze wrażenie przypadkowości. Zwierzę, owad czy roślina, każde miało w nim swoje miejsce, swoje własne królestwo, zwykle w postaci poziomej strefy.

Rzadki wyjątek od tej reguły stanowili Inni. W lesie ukrywały się fagory, przeważnie zamieszkujące szałas stawiane pośród załomów szkarpowych korzeni drzew, a Innych ciągnęło do fagorzej kompanii i do nieokreślonej roli ni to trzymany dla przyjemności oswojonych zwierząt, ni to niewolników. Nierzadko u podnóża wielkiego drzewa powstawało siedlisko kilkunastu i więcej fagorów, nie licząc miodek. TolramKetinet omijał takie miejsca szerokim łukiem. Chorobliwie nie ufał fagorom i obawiał się napaści fagorzyc Innych, którzy z kijami zabiegali drogę wszelkim intruzom, pilnując osady jak podwórzowe psy. W tych osadach niekiedy kryli się ludzie. Szalasy ludzi i ancipitów zgodnie stały jeden przy drugim, niczym się prawie nie różniąc między sobą. Ludzie ci, niemal nadzy, najwyraźniej zostali przez fagorów uznani za dużych Innych. Wyglądało na to, że porośnięci ciemnym włosem Inni swoim przymierzem z fagorami otworzyli przed ludźmi furtkę do tej wspólnoty klepania życiowej biedy. Z owej furtki skorzystali przeważnie dezercerzy z oddziałów Drugiej Armii. TolramKetinet namawiał ich, by poszli za nim. Jednych namówił. Od drugich oberwał kijami. Wielu z namówionych przyznawało, że nienawidzą wojny, a za swym dawnym dowódcą idą tylko dlatego, że mają dosyć dżungli, jej tajemniczych hałasów i skąpego jadła. Po dniu marszu przez kruchty tropikalnej puszczy znów się poczuli starymi żołnierzami i z niejaką ulgą powitali stary dryl komendy.

Sam TolramKetinet też uległ przemianie. Przedtem wyglądał na marudera z pobitej armii. Teraz wyprostował się w ramionach, odzyskując co nieco ze swej dawnej junackiej postawy. Czoło mu się wygładziło, a twarz znów była twarzą młodego mężczyzny. Im więcej ludzi miał pod swymi rozkazami, tym łatwiej wydawał rozkazy i tym mądrzej one brzmiały. Z charakterystyczną dla natury ludzkiej zmiennością stał się tym, kim był w oczach podwładnych żołnierzy.

Taką to maleńką armią dotarli do rzeki Kacol. Natchnieni nowym duchem bojowym uderzyli i zaskakującym szturmem opanowali lichą miejscinę Ordeleję. To zwycięstwo całkowicie uwolniło ich od poczucia klęski.

Pośród statków na Kacolu cumował lodownik pod banderą Lordrardryjskiej Kompanii Handlu Lodem. W chwili napaści na miasto ów statek, "Polarna Pinda", usiłował umknąć w dół rzeki, lecz

został opanowany przez Tolram-Ketinetą z garścią ludzi. Wystraszony kapitan protestował, powołując się na swą neutralność oraz dyplomatyczny przywilej nietykalności osobistej. Do Ordelei przywiózł nie tylko łód, ale i list dla generała Hanry TolramKetinetę.

– Wiesz, gdzie się obraca ten generał? – zapytał TolramKetinet.

– Gdzieś w dżungli, przegrywa wojnę w imieniu króla. Ze sztychem na gardle kapitan wyznał, że wyprawił płatnego posłańca, który miał doręczyć list; na tym jego zobowiązania się kończyły. Spełnił polecenie kapitana Krillia Muntrasa.

– Co było w tym liście? – spytał TolramKetinet.

Żeglarz przysięgał, że nie wie. Skórzany portfel z pismem był zapieczętowany pieczęcią królowej królowych, Myrdeminggali. Gdzieżby on śmiał otwierać pismo królowej.

– Nie byłbyś sobą, gdybyś nie sprawdził, co w nim napisała. Gadaj, łotrze! Szyper potrzebował zachęty. Przyduszony do podłogi stołem wyśpiewał, że pieczęć się sama odkleiła od portfela. Przypadkiem wyczytał, całkiem niechcący, że król JandolAnganol zsyła królową na wygnanie do miejsca na pomocnym wybrzeżu Morza Orłów, zwanego Grawabagalinien; że królowa lęka się o swoje życie, lecz żywi nadzieję na spotkanie ze swym dobrym przyjacielem pewnego dnia w Grawabagalinien, z dala od okropności wojny. Modli się do Akhanaby, by zachował generała od wszelkich nieszczęść.

Usłyszawszy to generał zbladł jak chusta. Odstąpił na stronę, kryjąc twarz przed własnymi żołnierzami, tonąc spojrzeniem w mrocznym nurcie rzeki za burtą okrętu. Nadzieje, obawy, pragnienia ożyły w jego sercu. Wzniósł modlitwę o większe szczęście w miłości niż na wojnie. Kazał wysadzić poturbowanego szypra „Pindy” na ląd, rekwirując statek. Zabawili dzień w mieście, wyładowali "Pindę" prowiantami i odpłynęli ku dalekim oceanom.

Wysoko nad dżunglami szybował Avernus na swej orbicie. W stacji obserwacyjnej szybowali ci, którzy, skołowani różnaitością sztuk wojennych uprawianych na planecie pod nimi, zachodzili w głowę, jakież to hufce mogły pobić Diugą Armie Borlieńską Daremnie wypatrywano zastępów dzielnych randonańskich junaków gromiących najeźdźców w obronie ojczystej ziemi Żadne takie hufce nie istniały

Plemiona randonańskich półdzikusów żyły na łonie natury Część plemion uprawiała poletka zbóż Wszystkie bytowały pospołu z psami i świniami, których prosięta były dopuszczane do piersi karmiących randonańskich matek Ran-donańscy zabijali, by mieć strawę, nie zabawę Wiele plemion oddawało Innym cześć boską, co im nie przeszkadzało upolować sobie boga, zdybanego na huśtaniu się w gałęziach wielkiego leśnego domu Jako dzieci natury Randonan-czycy przeważnie oddawali cześć rybom, drzewom, menstruacjom, duchom i rannym zorzom W swej pokorze godzili się z obecnością grup fagorow, na ogół spokojnych wędrownych traperów i zbieraczy Z kolei fagory rzadko napastowały ludzi, chociaż i tu powtarzano obiegowe historyjki o kobietach zamęczonych przez by kuny Fagory warzyły własny trunek – fuzelkę Na szczególne okazje warzyły mną miksturę, którą randonanskie plemiona zwały vulumunulu-lum, podejrzewając, że jest pędzona z soku drzewa vulu i jakichś grzybów Nie potrafiąc same przyzdądzić vulumunululum, zdobywały ją w drodze wymiany z fagorami Wówczas świętowano do późnej nocy Wtedy też Wielki Duch często wstępował w Randonan-czyków Nakazywał im pójść i zabawić się na Pustym Przywiązawszy swych bogów, Innych, do bambusowych noszy, Randonanczycy brali ich na ramiona i taszczyli przez dżunglę Szło całe plemię, dzieci świnie, papugi, raje, koty, wszyscy Przeprawiwszy się w bród pizez Kacol, wkraczali w oficjalne granice Borlien Nachodzili bogate tereny rolnicze środkowej równiny borlieńskiej Randonanczycy zwali ją Pustynią Leżała pod otwartym niebem, zalewana żarem słońca

Nie było tu ani wysokich drzew, ani gęstych zarośli, ani kryjówek, ani odyńców, ani Innych Na tej wyzutej z bogów ziemi, tęgo pieiwe) popiwszy vulumunululum i nabrawszy ochoty do zabawy, brali się do plądrowania albo palenia zbiorów

Borlieńską równinę zamieszkiwał ciemnoskóry krzepki lud Nienawidził bladych padalców nagle wyskakujących znikąd, jak duchy Kto żyw wybiegał z małych wiosek i co miał pod ręką, chwycił i bił intruzów Niejeden przy tym płacił życiem, dzikusy bowiem miały w rękach dmuchawki wyrzucające zatrute kolce z pierzastymi lotkami Roz]uszem wieśniacy zostawiali swe domostwa i szli palić las

I tak w końcu doszło do wojny Borlien z Randonanem Napad, obrona, atak, kontratak Różnice między tymi działaniami pozacierwały ^ię w krzywym zwierciadle ludzkich umysłów, które stale zmieniają wszelkie rzeczy w ich przeciwieństwa Zanim Druga Armia rozwinęła swe plutona w pokrytych dżunglą górach Randonanu, garstki dzikusów urosły w oczach przeciwników do rozmiarów potężnej siły zbrojnej Ale to me od oręza obrońców poległa wyprawa TolramKetmeta Leśni ludzie bronili się rejteradą w głąb dżungli i miotaniem wrzaskliwych i wulgarnych obelg w środku nocy, przejąwszy tę taktykę od Innych. Tak jak Inni zmykali na drzewa, by z góry puszczać deszcz zatrutych strzał albo uryny na generalskich żołnierzy. Nie umieli przyzwoicie toczyć wojny. Dżungla robiła to za nich. Była rozsadnikiem chorób, na które borlieńskie wojska nie miały odporności. Owoce dżungli sprowadzały gwałtowne dyzenterie, rozlewiska – zimnicę, dni – gorączkę, a insekty – horde plugawych pasożytów, przeżerających ludzi do lub od środka. Ani z tym wszystkim uczciwie powalczyć, ani przed tym wszystkim uciec. Pojedynczo lub gromadnie marli borlieńscy żołnierze w dżungli. Z nimi marły nadzieje króla JandolAnganola na zwycięstwo w Wojnach Zachodnich.

Co się tyczy króla, to z dala od Randonanu i swej topniejącej armii szukał wyjścia z pułapki chyba równie skomplikowanej, jak sidła dżungli. Starsza niż dżungla biurokracja pannowalska miała więcej czasu na wypuszczenie i splątanie macek. Stolica JandolAnganola od wielu tygodni była bez królowej, a dyspensa rozwodowa wciąż nie nadchodziła ze stolicy Świętego Imperium. W miarę jak wzmagał się upał, Pannowal nasilał halali przeciwko ancipitalnej rasie żyjącej na pannowalskiej ziemi. Ratujące się ucieczką plemiona fagorów znajdowały schronienie w Borlien, wbrew życzeniom ludu, który i bał się, i nienawidził kudłaczy.

Król nie podzielał tych uczuć. W mowie do skritiny serdecznie zaprosił uciekinierów, obiecując im ziemię pod osadnictwo w Kosgattie, w zamian za służbę w wojsku i obronę granic Borlien. Dzięki temu Kosgatt, już wolny od groźnego cienia Darwhsza, nie leżałby odłogiem, a przybysze szczęśliwie by zniknęli Borlieńczykom z oczu. To wyciągnięcie ludzkiej ręki do fagorów nie wzbudziło zadowolenia ani w Pannowalu, ani w Oldorando, toteż ponownie odroczone rozwodową dyspensę. Ale JandolAnganol był z siebie zadowolony. Starczało mu cierpienia, by uspokoić sumienie. Wdziawszy jaskrawy kaftan poszedł zobaczyć się z ojcem. Znowu przemaszerował krętymi korytarzami pałacu i na dół przez strzeżone drzwi do lochów, gdzie więził starca. Więzienne piwnice sprawiały wrażenie wilgotniejszych niż zwykle. JandolAnganol przystanął w pierwszej, kiedyś służącej za kostnicę i izbę tortur. Spowił go mrok. Ucichły głosy zewnętrznego świata.

– Ojcze! – zawołał. Własny głos brzmiał obco w uszach króla.

Podążył przez drugą izbę do trzeciej, rozjaśnionej bladym światłem. Polana tliły się jak zwykle. Starzec, otulony w swój nieodłączny koc, siedział przed kominkiem, jak zwykle opuściwszy brodę na piersi. Tu w dole od wielu lat nic się nie zmieniło. Jediną obecnie zmianą było to, że YarpalAnganol nie żył. Przez chwilę król stał, trzymając dłoń na ramieniu ojca. Niby tak kruche ciało, a jakże meporuszone. JandolAnganol zbliżył się do zakratowanego okienka pod sklepieniem. Zawołał ojca. Głowa z kosmykiem włosów ani drgnęła. Zawołał po raz drugi, głośniejsz. Żadnego ruchu.

– Umarłeś, nieprawdaż? – powiedział JandolAnganol pogardliwym tonem. – Jeszcze jedna zdrada... Na Patrzycielkę, czy nie dość już byłem nieszczęśliwy?

Trup milczał.

– Zmarłeś sobie, co nie? Odszedłeś mi na złość, stary gęgaczu... Daskoczył do paleniska i rozrzuciwszy kopniakiem polana wypełnił całą izbę dymem. W szale wywalił fotel z ojcem; kruche ciało upadło na kamienie, nie zmieniając swej skurczonej pozycji. Król pochylił się nad ową drobną kukielką, jak gdyby oglądał węża, po czym gwałtownie runął na kolana, ale nie pogrążył się w modlitwie, tylko schwywszy trupa za zasuszone gardło bluznął potokiem złorzeczeń, oskarżając tę martwą istotę o to, że dawno temu obróciła matkę przeciwko niemu, okradła go z matczynej miłości, co powtarzał po wielokroć i z nienawistnym sykiem tak długo rzucał przykład za przykładem, aż wyczerpał zasób słów i zamilkł pochylony nad trupem wśród gęstych kłębow dymu. Jeszcze chwilę tłukł pięścią w kamienne płyty, nim znieruchomiał na klęczkach. Wilgoć gasiła rozrzucone po posadzce polana, jedno po drugim. W końcu król z przekrwionymi oczyma opuścił pogrążoną w mroku piwnicę prędkim krokiem, jakby przed kimś uciekał, śpiesząc na górę, do słoneczniej szych miejsc.

Chociaż od dziecka nie zachodził do kwater pałacowej służby, bez błędzenia trafił teraz w ubogie progi sędziwej piastunki, która już prawie nie ruszała się z łóżka. Wystraszył ją tak, że starowinka wyskoczyła z pościeli i przywarła do słupka łóżkowego baldachimu. Porażona widokiem króla zasłaniała sobie oczy włosami.

– Nie żyje twój król i kochanek – powiedział JandolAnganol bez emocji. – Zajmij się przygotowaniem go do pochówku.

Nazajutrz ogłoszono tydzień żałoby, a Królewska Pierwsza Gwardia Fago-rza przeaparadowała ulicami miasta. Prości ludzie, przez biedę pozbawieni rozrywek, gorliwie studiowali nastroje króla na podstawie wiadomości z drugiej, a w razie potrzeby nawet z trzeciej ręki. Powiązania z pałacem mieli bliskie, choć raczej podziemne. Każdy znał kogoś, kto zna kogoś, kto pracuje w pałacu;

wszyscy wyczuli huśtawę nastrojów JandolAnganola, od radości do rozpacz. Z gołymi głowami tłoczyli się w promieniach słońca na poświęconej ziemi, gdzie YarpalAnganol miał z należną królom ceremonią spocząć we właściwej oktawie śródziemnej. Obrządku dokonywał BranzaBaginut, Arcykapłan Domu Nadziei. Obecni byli członkowie skritiny, zebrani na wzniesionym z tej okazji podwyższeniu, przybranym proporcami rodu Anganolów. Posępne oblicza dostojników wyrażały więcej potępienia dla żywego króla niż żalu za zmarłym; niemniej zjawili się wszyscy ze strachu przed skutkami swej nieobecności, a ich małżonki towarzyszyły im z tego samego powodu.

JandolAnganol stał osamotniony nad otwartym grobem. Od czasu do czasu wodził dokoła prędkim spojrzeniem, jak gdyby się spodziewał, że zobaczy Robaydaya. Te nerwowe spojrzenia zrobiły się częstsze, gdy owinięte w złotogłów ciało ojca legło na boku w wykopanym dole. Niczego więcej nie włożono nieboszczykowi do grobu. Wszyscy obecni wiedzieli, co go czeka na dole, w świecie mamików, gdzie materialne dobra były już niepotrzebne. Jedyne hołd wielkiemu nieboszczykowi oddało dwanaście dam dworu, podchodząc i rzucając kwiaty na martwe ciało. Arcykapłan BranzaBaginut przymknął oczy i zaintonował:

– Pory roku płyną unosząc nas w dal ku ostatecznym oktawom naszym. Jak dwa są słońca, mniejsze i większe, tak i dwie są strony istnienia, mniejsza i większa, życie i śmierć. Oto wielki król opuszcza nas, przechodząc na drugą, większą stronę istnienia. Ten, który poznał światło, zstępuje w ciemność...

Wysoki głos arcykapłana uciszył szemranie gapiów, którzy wyciągali szyje równie gorliwie, jak psy obecne na pogrzebie wyciągały nosy w kierunku grobu, gdzie właśnie sypano pierwsze garście

ziemi. W owej ciszy zabrzmiał głos króla.

– Ten łotr zniszczył mojej matki i moje życie. Dlaczego się modlisz za takiego łotra?

Król wielkim susem przesadził otwarty dół, odepchnął arcykapłana i wciąż coś wykrzykując pognął w stronę pałacowych murów na szczycie wzgórza. Z dala od oczu gapiów ani myślał się zatrzymać, tylko biegł dalej, do samych stajni, skąd już na grzbiecie swego mustanga popędził na oślepie w las, hen za sobą zostawiając lamentującego młodka.

Niechlubny ten postępek, ta obraza panującej religii przez religijnego władcę zachwycała prostych Matrassylczyków. Postępek króla omawiano, wyśmiewano, chwalono lub ganiono w najuboższej chałupie. "Kawalarz z tego Jandola" – taka niezachwiana opinia najczęściej zamykała długie wieczorne popijawy w tawernach, gdzie śmierć nie cieszyła się wielkimi względami. Za to kawalarz cieszył się coraz większą sławą, na złość jego wrogom w skritinie. I na złość nie tylko wrogom kawalarza, ale również szczupłemu młokosowi o spalonej na brąz skórze, który w przebraniu z łachmanów uczestniczył w pogrzebie i oglądał ucieczkę króla. Robayday nie bawił daleko, zamieszkując rybacką wysepkę na porośniętych trzcinami wodach jeziora, gdy postłyszał wieść o śmierci dziadka. Do stolicy wrócił z czujnością jelenia, który postanowił obejrzeć lwa z bliska. Widząc odwrót kawalarza ośmielił się podążyć za nim w trop – wskoczył na mustanga i ruszył ścieżką znaną sobie od dziecka. Wcale nie zamierzał spotkać się z ojcem i w ogóle nie miał pojęcia, co mu chodzi po głowie.

Kawalarzowi chodziło po głowie wszystko, tylko nie kawały, kiedy wjeżdżał na ścieżkę, z której nie korzystał od wygnania Sartoriirwrasza. Wiodła do kamieniołomów ukrytych w zagajniku delikatnych woskowych pni młodych radżabab; młode drzewka, rosące od setek lat, były ledwie zawiązkiem groźnych drzewnych fortec, jakimi się staną, gdy lato Wielkiego Roku jeszcze raz ustąpi zimie. Ochłonawszy z gorączki król uwiązał Czajkę do młodego drzewka. Wsparł dłoń na gładkiej korze, na dłoni głowę. Powrócił pamięcią do ciała królowej i muzyki, która kiedyś rozpałała ich miłość. Docenił te cuda dopiero wtedy, gdy je utracił. Po chwili zadumy powiódł Czajkę koło matecznej radżababy, czarnej jak wygasły wulkan. Drogę zagradzała drewniana palisada broniąca wstępu do kamieniołomu. Nie było straży. Pchnął furtę. Zapuszczony przeddziedziniec. Wybijałe chwasty. Kordegarda do remontu; chwilowe zaniedbanie wiodące ku trwałej ruinie. Staruch ze zmierzwioną siwą brodą wyszedł z kordegardy i złożył niski ukłon Jego Królewskiej Mości.

– Gdzie straż? Dlaczego nie zamykacie bramy?

Lekceważenie wyzierało z tych oskarżeń, które rzucił przez ramię, maszerując prosto do klatek. Przywykły do królewskich humorów staruch, za mądry, by pozwolić sobie na podobnie lekceważące zachowanie, pośpieszył z długim wyjaśnieniem, jak to wszystkich prócz niego odwołano z kamieniołomu, gdy tylko kanclerz popadł w niełaskę. Jak to pozostał tylko on jeden, nadal doglądając więźniów w nadziei, że sprawi tym radość swemu królowi. Bynajmniej nie okazawszy radości król z ponurą miną założył ręce do tyłu.

Pod urwiskiem kamieniołomu wybudowano cztery olbrzymie klatki, w każdej wydzielając różne pomieszczenia ku większej wygodzie więźniów. Jandol-Anganol obrzucił te klatki ponurym spojrzeniem. W pierwszej siedzieli Inni. Dla zabicia czasu huścili się na rękach, nogach lub ogonach; nieświadomi rangi gościa podchodzącego do ich więzienia zeskoczyli na ziemię, podbiegli do prętów i powy stawiali swoje rękokształtne dłonie.

Lokatorzy drugiej klatki odsunęli się jak najdalej od intruza. Większość, smyrgnawszy do swych bud, zniknęła z oczu. Klatkę postawiono im na skale, żeby nie mogli ryc w ziemi. Dwoje z nich zbliżyło się do samych prętów, spoglądając JandolAnganolowi w oczy. To też byli pragnostycy, drobni, płochliwi Nondadowie, często myleni z Innymi. Wzrostem sięgali człowiekowi do pasa, a

sterczące pyszczki upodobniały ich do Innych. Ciała mieli porośnięte rudawym włosem, pokryte skąpymi przepaskami na genitaliach. Para Nondadów, która wystąpiła naprzód, zagadła do króla, wierząc się niespokojnie. Na ich mowę składała się przedziwna mieszanina świstów, mlasków i prychnięć.

Z mieszaniną pogardy i litości obejrzawszy sobie Nondadów, król przeszedł do trzeciej klatki. Tu siedzieli Madisi, najwyżej rozwinięty gatunek pragno-styków. W przeciwieństwie do mieszkańców dwóch pierwszych klatek nie drgnęli na widok króla. Ograbieni z własnej tułaczey drogi życia, za nic mieli wszelkie inne drogi, czy to słońce na niebie, czy królów na ziemi. Kryli przed wzrokiem JandolAnganola twarze pod pachami.

Do budowy czwartej klatki użyto nie obrobionych ciosów z kamieniołomu, na cześć większej siły woli lokatorów, którymi byli ludzie – mężczyźni i kobiety, głównie z Mordriatu i plemion thribriackich. Kobiety czmychnęły do ciemnych kątów. Mężczyźni cisnęli się do prętów, zanosząc do króla wymowne błagania o wolność, w najgorszym razie o zakaz dalszych eksperymentów na ich osobach. A cóż innego mógłbym zrobić – pomyślał król, krążąc tam i z powrotem, równie gorączkowe, jak więźniowie.

– Panie, jak wielkie spotykały nas upokorzenia...

Na ziemi wciąż leżała warstwa rudyjonnikowych popiołów, z których sterczały chwasty, lecz erupcja wulkanu ustała tak samo niespodziewanie, jak się zaczęła. Kroci orodził w popiele, wzbijając maleńkie kur/awy spod butów. Był zbyt niespokojny, by ustać w miejscu, ale najczęściej wracał do Madisów, oglądając ich ze wszystkich stron, niekiedy przykucając, by lepiej widzieć. Madiscy mężczyźni wywlekli jedną ze swych kobiet i gołą ofiarowali królowi w zamian za wolność. JandolAnganol uciekł z grymasem odrazy na twarzy. Wyskakując z kamiennej klatki, z cienia na słońce, spotkał się oko w oko z RobaydayAnganolem. Obaj zeszywnieli jak koty, dopóki Roba nie zaczął gestykulować, rozkładając ręce i rozcapierzając palce. Za nim podążał stary siwowłosy dozorca, powłócząc nogami i narzekając.

– Zamknęci w trosce o ich zdrowie psychiczne, potężny królu – rzekł Roba.

A JandolAnganol zbliżył się błyskawicznie, objął syna ramieniem za szyję i ucałował w usta, jak gdyby już jakiś czas temu umyślił sobie takie powitanie.

– Gdzie byłeś, synu? Po co się tak dziczyć?

– Czy chłopak nie może smucić się z liśćmi, tylko musi to robić na królewskim dworze?

Jego słowa brzmiały niewyraźnie, gdyż cofając się przed ojcem wycierał usta wierzchem dłoni. Wpadłszy tyłem na trzecią klatkę wsunął drugą rękę za plecy, zęby się podeprzeć. Któryś z Madisów natychmiast pochwycił go za przedramię. Ofiarowywana uprzednio królowi Madiska zajadła wbiła zęby w kciuk Roby. Chłopak wrzasnął z bólu. Król z dobytym mieczem w mgnieniu oka znalazł się pod klatką. Madisi pierzchli, puszczając Robę.

– Są tak żądni królewskiej krwi jak Simoda Tal – rzekł Roba podskakując! z dłońmi wciśniętymi między uda. – Widziałeś, jak mnie ugryzła w kuśkę! Potraktowała mnie prawdziwie po macoszemu.

Król ze śmieciem wsunął miecz do pochwy.

– Widzisz, jak to jest, kiedy się wtyka palec w cudze sprawy.

– Oni są bardzo złośliwi, Panie, i przekonani o swej krzywdzie – z bezpiecznej odległości wtrącił stary dozorca.

– Twoja natura ciągnie do niewoli jak żaba do kałuży – wciąż podskakując powiedział Roba do ojca. – Ale uwolnij te nieszczęsne istot)! Były szaleństwem Ruszwena, nie twoim – ty masz większe szaleństwa przed sobą.

– Ja, synu, mam fagorzego młodka, którego lubię i który mnie lubi, być może. On za mną gania z

miłości. Dlaczego ty za mną ganasz z nienawiści? Skończ z tym i zacznij normalne życie u mego boku. Nie uczynię ci krzywdy. Jeśli cię zranił, to żałuję, tym bardziej że od dawna dostarczasz mi powodów do żalu. Uwierz w moje słowa.

– Chłopców wyjątkowo trudno wychować. Panie – zauważył dozorca. Ojciec i syn trzymali się na dystans, nie spuszczać z siebie oczu.

JandolAnganol złagodził swe orle spojrzenie i wyglądał na uspokojonego.

W twarzy Roby tliła się wściekłość.

– Potrzebny ci jeszcze jeden miodek do ganiań za tobą? Nie dość ci niewolników w tym kamieniołomie hańby? Po co tu przylazłeś, żeby się napawać ich widokiem?

– Nie żeby się napawać. Żeby się dowiedzieć. Winienem był wypytać Ruszw^na. Muszę się dowiedzieć, co Madisi robią... Widzę, chłopcze, że przeraża cię ojcowska miłość. Przeraża cię odpowiedzialność. Zawsze przerażała. Być królem to jedna wielka odpowiedzialność...

– Być motylem to odpowiedzialność motyla.

Poirytowany tą uwagą król znów zaczął spacerować przed klatkami.

– Całą odpowiedzialność za to tutaj ponosił Sartoriirwrasz. Może i był okrutny. Zmuszał mieszkańców tych czterech klatek do parzenia się ze sobą w określonych kombinacjach, aby zobaczyć, co z tego wyniknie. Wszystko to zapisał, swoim zwyczajem. Ja to wszystko spaliłem – moim zwyczajem, pewnie dodałbyś. No i dobrze. Dzięki swym eksperymentom odkrył prawo, które nazwał gradientem geograficznym. Dowiódł, że Inni mogą niekiedy mieć potomstwo z Nondadami. Bezpłodne potomstwo. Nie, bezpłodne było potomstwo zrodzone z Nondadów i Madisów. Dokładnie nie pamiętam. Madisom rodzili się potomkowie poczęci z ludźmi. Część tych potomków jest płodna. Ruszwen ciągnął swoje eksperymenty przez wiele lat. Wymuszona kopulacja Innych z Madisami nie dawała przychówku. Spółkowanie ludzi i Nondadów nie dawało przychówku. Istnieje gradacja, gradient geograficzny. To są ustalone fakty. Ruszwen był człowiekiem łagodnym. Uczynił to, co uczynił, w imię wiedzy. Ty go pewnie potępiasz, jak potępiasz wszystkich, prócz siebie. Ruszwen jednak zapłacił za swą wiedzę. Pewnego dnia dwa lata temu – byłeś nieobecny, bawiłeś jak zwykle na pustkowiach --jego żona przyszła do kamieniołomu nakarmić jeńców, a wtedy Inni wydostali się z klatki. Rozdarli ją na strzępy. Ten oto stary strażnik może ci opowiedzieć...

– Jej lewą rękę znalazłem najpierw. Panie – rzekł strażnik zadowolony, że o nim mowa. – Lewą rękę, jeśli idzie o szczegóły. Panie.

– Ruszwen z pewnością zapłacił za swą wiedzę. Ja zapłaciłem za moją, Roba. Przyjdzie czas, że i ty dostaniesz rachunek do zapłacenia. Lato nie trwa wiecznie.

Roba przykładał sobie do zranionej dłoni liście, które zrywał z taką zaciekłością, jakby chciał ogołocić cały krzew. Dozorca pospieszył mu z pomocą, lecz Roba odpędził starego, wierzgając bosą nogą.

– Obrzydliwe... To miejsce... Te klatki... Pałac... Zapiski z małych sprośnych trykanek... Kiedyś – posłuchajcie – kiedyś, przed narodzinami królów, świat był wielką białą kulą w czarnej bani. I nadszedł wielki kzahhn wszystkich ancipitów, i sparzył się z królową wszystkich ludzi, rozszczepił ją za pomocą swej wielgachnej kuśki i wypełnił złotą pianą po brzegi. Świat się tak trząsł od tego fiki-miki, że otrząsnął się ze swej zimowej oziębłości i sprawił, że pory roku... – Skręciwszy się ze śmiechu nie dokończył zdania.

Stary dozorca wyglądał na oburzonego, zwracając się do króla:

– Mogę zapewnić was. Panie, że kanclerz nigdy nie przeprowadził tutaj eksperymentu tego rodzaju, jak mi wiadomo.

Król z błyskiem pogardy w oku stał niczym posąg, nie drgnąwszy, dopóki synowi nie minął atak

śmiechu. Obrócił się wtedy do niego tyłem, nim przemówił.

– Nic tu po nas i nic nam po kłótni, zwłaszcza w chwili żałoby. Wracajmy razem do pałacu.

Możesz dosiąść za mną Czajki, jeśli chcesz.

Roba klęknął, chowając twarz w dłoniach. Dźwięki, które wydawał, bynajmniej nie były szlochaniem.

– Może on jest głodny – zauważył dozorca.

– Wynoś się, dziadygo, bo cię skrócę o głowę. Dozorca cofnął się.

– Wciąż sumiennie ich karmię każdego dnia, Wasza Królewska Mość. Wszystką żywność przynoszę aż z pałacu, a nie jestem już taki młody, jak kiedyś. JandolAnganol zwrócił twarz ku klęczącemu synowi.

– Wiesz, że twój dziadek odszedł już do mamików?

– Znudziło mu się tutaj. Widziałem jego ziewający grób.

– Staram się, Panie, jak mogę, ale naprawdę potrzebny mi niewolnik do pomocy...

– Zmarł we śnie; lekka śmierć, jak na jego grzechy.

– Mówiłem, że mu się znudziło. Sobie szaleństwo, matce okrucieństwo, dziadkowi męczeństwo – oto trzy ciosy, które już zadałeś. Co dalej? Król założył ręce, wsuwając dłonie pod pachy.

– Trzy ciosy! Dzieciaku – toż to moja jedyna rana. Co mi tu zatruwasz życie bzdurami? Zostań i bądź mi pociechą. Zostań, skoro nie nadajesz się do poślubienia nawet Madiski.

Podparłszy się dłońmi Roba pomalutku wstawał z kolan. Dozorca skorzystał ze sposobności, by rzec:

– Oni już nie kopulują. Panie. Tylko między swoimi z jednej klatki, dla zabicia czasu.

– Zostać z tobą, ojczy? Zostać z tobą, tak jak został dziadek, w pałacowych lochach? O nie, ja wracam do...

W tej chwili dozorca, zbliżający się kroczyk po kroczyku, stanął w unížonej pozycji między JandolAnganolem a synem. Król palnął go z taką siłą, że stary poleciał na miękkich nogach w krzaki. Więźniowie podnieśli wielką wrzawę i załomotali w pręty klatek. Król uśmiechnął się, a przynajmniej pokazał zęby, próbując podejść do syna. Roba cofał się.

– Nigdy nie zrozumiesz, co mi uczynił twój dziadek. Nigdy nie zrozumiesz, jaką miał władzę nade mną... wtedy... teraz... pewnie na zawsze... bo ja nie mam władzy nad tobą. Do niczego bym nie doszedł bez osadzenia go w lochu.

– Więzienia niczym lodowce płyną w twojej krwi. Ja sobie będę Madisem albo żabą. Nie chcę być człowiekiem dopóty, dopóki ty rościsz sobie prawo do tego miana.

– Nie bądź taki okrutny, Rób. Opamiętaj się. Ja... mam właśnie... muszę... wkrótce poślubić Madiskę. Dlatego przyszedłem tutaj popatrzeć na Madisów. Proszę, nie opuszczaj mnie.

– Wytryktracz swoją madiską niewolnicę! Porachuj przychówek! Zmierz, zważ, zapisz! Spisz na straty, cierp, zamykaj płodnych w wieży i nigdy nie zapominaj, że po Helikonii hasa jeden, który cię może wtrącić do wieczystej ciemnicy... – Mówił to i cofał się, muskając końcami palców ziemię. Wtem obrócił się i skoczył w krzaki. Jeszcze mignął królowi, wślaząc na urwisko kamieniołomu. I zniknął. Król podszedł do drzewa, oparł się o pień i przymknął oczy. Ożywiły go dopiero jęki dozorczy. Podążył tam, skąd dobiegały, i pomógł rozciągniętemu na ziemi starcowi stanąć na nogi.

– Przepraszam, Panie, ale może by tak jakiś niewolny chłopczyzna, teraz, kiedy to zaczęło przekraczać moje siły...

— Potrafisz mi chyba odpowiedzieć na kilka pytań, ochluj – Jandol-Anganol otarł czoło znużonym ruchem. – Powiedz mi, proszę, od której strony Madiski wolą kopulację? Od tyłu, jak zwierzęta, czy od przodu, jak ludzie? Ruszwen by wiedział.

Dozorca ze śmiechem wytarł dłonie w bluzę.

– Och, od przodu i od tyłu, Panie, wedle tego, co widziałem, a napatrzyłem się niemało, pracując tu bez pomocnika. Ale przeważnie wypinają się tyłem, jak Inne. Różnie słyszałem, a to, że one kochają się w pary na całe życie, a to, że dają każdemu, jednak życie w klatce zmienia wszystko.

– Czy Madisi przeciwnej płci całują się w usta jak ludzie?

– Nie, Panie, tego nie zauważyłem. Tylko u ludzi.

– Czy sobie liżą genitalia przed spółkowaniem?

– To, Panie, jest powszechne we wszystkich klatkach. Wielkie lizanie. Liżą i ssą na okrągło, że tak powiem, straszne świntuchy.

– Dziękuję ci. Możesz teraz uwolnić więźniów. Spełnili swą rolę. Wypuść ich na wolność.

Wyjechał z kamieniołomu stępa, z jedną dłonią na rękojeści miecza, a drugą przyciśniętą do czoła. Radżababy na drodze do pałacu lizały go miękkimi językami cieni. Freyr chylił się ku zachodowi. Niebo miało barwę żółtka. Powstałe od drobin wulkanicznego pyłu brązowe i pomarańczowe mgliste pierścienie okoliły Freyra. Leżał na horyzoncie jak perła w gnijącej ostrydze.

– Nie mogę mu ufać – mówił król do Czajki. – Jest szalony, zupełnie jak ja kiedyś. Kocham chłopaka, lecz roztropniej byłoby go zabić. Jeśli mu starczy rozumu, by wspólnie z matką zorganizować opozycję w skritinie, to koniec ze mną... Kocham ją, lecz roztropniej byłoby ją też zabić...

Mustang milczał. Stąpał w kierunku zachodzącego słońca gnany tylko jedną tęsknotą – za stajnią. Król uprzytomnił sobie nikczemność własnych myśli. Podniósłszy spojrzenie na rozpalone niebiosy ujrzał w nich zło, które widzieć tam nauczyła go religia.

– Muszę się wychłostać – rzekł. – Dopomóż mi, o Wszechmocny!

Dźgnął ostrogą bok Czajki. Pójdzie odwiedzić Pierwszą Gwardię Fagorzą. Fagory nie podnoszą trudnych kwestii moralnych. Z nimi czuł się spokojny.

Brązowe aureole wzięły górę nad pomarańczowymi. Ze zniknięciem Freyra ostryga poczęła od obrzeży ku środkowi szarzeć z minuty na minutę, zmieniając się w promieniach Bataliksy. Obrona z urody pozostała tylko formacją obłoków w morzu chmur, wśród których Bataliksa odchodziła na zachód. Jak gdyby Akhanaba bez owijania w bawełnę oznajmiał, że cały złożony układ rzeczy właśnie dobiega końca.

Wróciwszy do cichego pałacu JandolAnganol zastał posła Świętego Cesarstwa Pannowalu. Cały w skowronkach, Alam Esomberr wyczekiwał swych rozkoszy. Wreszcie nadeszła dyspensacja rozwodowa. Królowi pozostało tylko przedłożyć ją królowej królowych, by bez przeszkód poślubić madiską księżniczkę.

XVI. PAN NA LODOWCU

Lato małego roku na południowej półkuli ustąpiło miejsca jesieni. Przy wybrzeżach Hespagoratu zbierały się monsuny. Królowa Myrdeminggala z delfinią świętą zażywała kąpieli w lazurowej toni u pięknych północnych brzegów Morza Orłów, podczas gdy na jego posępnym brzegu południowym, tam gdzie łączyło swoje wody z wodami Morza Bułackiego, umierał awernusjański wybraniec losu, Bilo Xiao Pin.

Port Lordrardry od otwartych wód dzieliły Lordrary, dwa tuziny wysepek i wysp, z których kilka stanowiło bazy wielorybników. Zarówno na wyspach, jak i na płaskich plażach Hespagoratu żyły olbrzymie kolonie morskich legwanów. Te łuskokóre, grzebieniowate, kolczaste i łagodne zwierzęta, osiągające do dwudziestu stóp długości, czasami spotykano nawet na otwartym morzu. Bilo ujrzał je dopływając "Polarną Panią" kapitana polarnego do Dimariam. Na lądzie legwany mrowiły się po skałach, moczarach i po sobie samych. Ich powolny chód i raptowne smyrgnięcia budziły dziwne podejrzenie, że zwierzęta są w zмовie z wilgotną pogodą, jaka o tej porze małego roku nawiedzała dimariamskie wybrzeża, gdzie mroźny podmuch znad polarnej czapy lodowej idąc na północ napotykał ciepłe powietrze znad oceanów, a powstałe mgły kładły się na wszystko wilgotnym całunem.

Mała portowa Lordrardra liczyła jedenaście tysięcy mieszkańców. Jej byt niemal całkowicie zależał od przedsiębiorstwa rodziny Muntrasów. Jedną z godnych uwagi cech Lordrardry było jej położenie geograficzne na 36,5 stopniu szerokości południowej, półtora stopnia poza szeroką strefą tropików. Za ledwie osiemnaście i pół stopnia dalej na południe przechodziło koło podbiegunowe. Za podbiegunowe koło, do królestwa wiecznego lodu, Freyr nigdy nie zaglądał przez długie stulecia lata. Ponownie się zjawiał na czas Wielkiej Zimy, by przez wiele ludzkich pokoleń królować nad podbiegunowym pustkowiem.

Bilo usłyszał o tym wszystkim jadąc tradycyjnymi saniami do domostwa kapitana. Krillio Muntras z dumą przytaczał tego rodzaju fakty, wszelako bliskość domu odebrała mu mowę. Wniesiono Bila do białej izby. Miała białe firanki w oknie. Za oknem, przez gałęzie drzew, ponad dachami miasta, złożony niemocą Bilo widział przestwór białej mgły. W bieli niekiedy majaczyły maszty. Bilo wiedział, że wkrótce przyjdzie mu się zaokrętować na inny rejs w nieznaną. Do odejścia swego okrętu przebywał pod opieką cichej i skromnej Ajwii, żony Muntrasy, oraz ich budzącej posłuch córki, Immai. Immaja, jak mu powiedziano, cieszyła się wśród ludzi wielkim szacunkiem jako uzdrowicielka. Albo posługi Ajwii i Immai odniosły skutek, albo nastąpiła remisja choroby, gdyż Bilo na drugi dzień poczuł się lepiej. Postępujące sztywnienie częściowo zanikło. Immaja otuliła Bila kocami i posadziła na sanie. Zaprzęgnięto cztery rogate psy, olbrzymie asokiny, i rodzina Muntrasów zawiozła Bila w głąb lądu, aby zobaczyć sławny Lodowiec Lordrardror.

Lodowiec Lordrardror wyłobił sobie koryto między dwoma wzgórzami. Czoło lodowca opadało w wody jeziora uchodzące do morza. Bilo dostrzegł ledwo uchwytną zmianę zachowania się Muntrasy w obecności córki. Oboje byli przywiązani do siebie, jednak szacunek kapitana dla Immai chyba przewyższał szacunek, jakim córka darzyła ojca – tak przynajmniej wydawało się Bitowi, nie tylko gdy słuchał, jak rozmawiają ze sobą, ale również gdy patrzył, jak Muntras prostuje przy córce plecy i wciąga swój szeroki brzuch, jak gdyby odczuwał potrzebę wzięcia się w garść, ilekroć obróciła na niego swe bystre spojrzenie.

Muntras opisywał pracę przy dobywaniu lodu z czoła lodowca. Kiedy Immaja skromnie podpowiedziała mu liczbę zatrudnionych tam robotników, bez urazy poprosił ją, by sama zdała

relację. Co też uczyniła. Diw stał za plecami ojca i siostry, patrząc spode łba; to on jako syn miał odziedziczyć lodową kompanię, jednak nie miał nic do dodania od siebie i wkrótce wyniósł się chyłkiem.

Immaja była nie tylko naczelnym lekarzem Lordrardry: była także żoną naczelnego jurysty w mieście założonym przez klan Muntrasów. Jej małżonek, w obecności Bila zawsze nazywany Jurystą, jak gdyby mu dano takie imię przy urodzinach, pełnił rolę rzecznika i obrońcy Lordrardry przed zakusami Giszatu, stolicy leżącej na zachodzie, przy granicy Dimariamu z Iskahandem. Oiszat spoglądał zawistnym okiem na rozkwit nowej Lordrardry i podejmował próby zagarnięcia części jej bogactw, wymyślając coraz to inne podatki, do których wprowadzenia Jurysta nigdy nie dopuszczał. Jurysta nie dopuszczał również do wprowadzenia miejscowych rozporządzeń kapitana, doraźnie mających przysporzyć korzyści rodzinie Muntrasów kosztem jej robotników. Toteż Krilliem targały sprzeczne uczucia do zięcia. Małżonka Krillia była najwyraźniej innego zdania. Nie dała złego słowa powiedzieć ani na córkę, ani na Jurystę. Tej potulnej niewieście brakowało natomiast cierpliwości do Diwa, który pod wpływem matczynej niechęci zgburowaciał w domu do reszty.

– Przemyśl to sobie jeszcze raz – po jakimś nowym wyczynie Diwa rzekła pewnego dnia Muntrasowi, stojąc z nim przy łóżku Bila. – Oddaj kompanię Immai i Juryście, a będziesz mógł spać spokojnie. Diw doprowadzi wszystko do ruiny w ciągu trzech lat. Dziewczyna dobrze wie, jak trawa rośnie.

Immaja z pewnością wiedziała, jak trawa rośnie w Hespagoracie. Mimo licznych po temu okazji mgd^ się ta córa Hespagoratu nie wypuściła poza granice rodzinnej ziemi, jak gdyby nie potrafiła żyć bez chmary łuskowatych stróży dimariamskich plaż i progów jej domostwa. Jednak serce Immai pełne było wyimaginowanych map, historii i kompasowych namiarów południowego kontynentu. Immaja Muntrasówna miała dobrą, szczerą i niepokorną twarz o rysach podobnych do ojcowskich, twarz, którą mogła śmiało pokazywać lodowcom. Niby opoka stanąwszy przed czołem lodowca szczegółowo i z wielką dumą prawiała o rodzinnym przedsiębiorstwie.

Znajdowali się dość daleko od morza, w miejscu już wolnym od przybrzeżnej mgły. Promienie słońca dobywały ognie z olbrzymiej ściany lodu, któremu Muntras zawdzięczał swój majątek. Bataliksa przemieniała załomy dalszych partii lodowca w szmaragdowe groty. Nawet odbicie lodowca w jeziorze u jego stóp rzucało brylantowe blaski. Powietrze było kryształowe, rześkie i ożywcze. Ptaki w locie muskały lustro jeziora. Tam gdzie czysta toń przechodziła w błonia błękitnych kwiatów, roiły się owady. Na trzyekranowym zegarku przysiadł Bilowi motyl wielki jak kciuk dorosłego mężczyzny. Bilo gapił się na motyla spłoszonym spojrzeniem, usiłując dociec zamiarów skrzydlatej istoty. W górze huczało coś, nie wiadomo co. Nie bardzo mógł podnieść wzrok. Miał wirusy w podwzgórzcu, w pniu mózgowym. Mnożyły się niepoohamowanie; żadne okłady nie mogły tego powstrzymać. Wkrótce stężeje, jak fagorzy przodek w uwięzi. Niczego nie żałował. A jeśli już, to żałował tylko motyla, że odleciał, że opuścił jego rękę. Życie prawdziwym życiem, o jakim guru nigdy nie będzie miał pojęcia, takie życie wymagało ofiar. Przelotnie widział królową królowych. Kochał się z piękną Abathą. Jeszcze w tej chwili, już do niczego niezdolny, spoglądał na odległe nawy lodowca, gdzie światło wyczarowywało błękitny nieba i błyskawic, przeistaczając materię lodu w barwę życia. Otarł się o doskonałość natury. Rzecz jasna, miało to swoją cenę.

A Immaja opowiadała o wielkich blokach lodu, dudniących ponad nimi. Ludzie pracowali na wysokich rusztowaniach, wycinając piłami i siekierami lód z czoła lodowca. Prawdziwi lordrardryjscy górnicy lodowi. Wycięte bloki zjeżdżały odkrytym szybem, a z szybu na zsuwnię. Drewnianej zsuwni nadano taki spadek, by bloki nie stanęły w miejscu. Wielkie nagrobne kamienie z lodu majestatycznie sunęły w dół po zsuwni, dudniąc na drewnianych podporach, które kolejno

przejmowały brzemień. Lodowe nagrobki wędrowały zsuwnią dwie mile do pirsów Lordrardry. Na nabrzeżu cięto nagrobki na mniejsze bloki i układano w izolowanych trzecią ładowniach okrętów kompanijnej floty. Tak oto śniegi sypiące niegdyś w polarnych regionach na południe od pięćdziesiątego piątego stopnia szerokości geograficznej, powoli zbite i sprasowane przy niewielkich wahaniach temperatury, teraz były z pożytkiem wykorzystywane dla ochłody mieszkańców dalekich tropików. W tym miejscu natura kończyła swą działalność, a pałeczkę przejmował kapitan Krillio Muntras.

– Proszę, zabierzcie mnie do domu – powiedział Bilo. Przerwał potok liczb, którymi Immaja sypała jak z rękawa. Opowieść o tonażach, długościach rozmaitych rejsów, o związkach cen, kosztów i popytu, o wszystkim, co stanowiło podwaliny maleńkiego imperium Muntrasów, ta jej opowieść ucichła. Westchnąwszy Immaja rzekła coś do ojca, lecz słowa utonęły w huku kolejnego bloku lodu nad ich głowami. Wnet się rozpozgodziła i uśmiech zagościł na jej twarzy.

– Lepiej zabierzmy Bila do domu – rzekła.

– Widziałem – wymamrotał Bilo. – Widziałem.

A kiedy minęło prawie pół wielkiego Roku, gdy Helikonია i jej siostrzane planety odbiegły daleko od Freyra i raz jeszcze stawiały czoło furiom kolejnej zimy, miliony ludzi na odległej Ziemi zobaczyły staroświeckie drewniane sanie i skuloną w nich postać Bila. Jego obecność na Helikonii stanowiła pogwałcenie ziemskich nakazów. Owe nakazy głosiły, że żadna ludzka istota nie może wylądować na powierzchni planety i naruszyć tkanki helikońskich kultur. Nakazy sformułowano ponad trzy tysiące lat wcześniej. W kategoriach historii kultury trzy tysiące lat to długi okres. Przez te lata pogłębiło się jej zrozumienie – w dużej mierze dzięki intensywnym badaniom Helikonii podjętym przez ludzi. O wiele głębsza była świadomość jedności – a zatem i siły – biosfer planetarnych. Bilo wkroczył do planetarnej biosfery, stając się jej częścią. Ziemianie nie widzieli tu konfliktu. Pierwiastki Bila zawierały atomy martwej materii międzygwiazdnej, nie różniące się od pierwiastków tworzących Muntrasa czy Myrdeminggale. Śmierć Bila miała odzwierciedlać ostateczne zespolenie z planetą, zatrąę bez zaniku. Bilo był śmiertelny. Atomy, z których się składał, były niezniszczalne.

Zapanować miał cichy smutek po kolejnej zgasłej iskiecce świadomości ludzkiej, po kolejnej straconej osobowości, niepowtarzalnej, nie do zastąpienia, lecz na Ziemi był to zbyt błahy powód do łez. Łzy dużo wcześniej ronili Avernusjanie. Bilo stanowił ich tragedię, ich dowód, że istnienie istnieje, że oni sami są obdarzeni mocą biologicznych organizmów do reagowania na bodźce środowiska. Łzy smutku i radości były na porządku dnia. Zwłaszcza Finowie otrząsnęli się ze zwykłej im bierności, rozpętując małą klanową zawieruchę. Róża Yi Pin, na przemian to roześmiana, to zapłakana, królowała na tym balu namiętności. Bawiła się cudownie. Guru stał w kącie.

Rześkie powietrze wdzierало się do wnętrza Bila obmywając mu płuca Pozwalało mu dostrzegać każdy szczegół migotliwej rzeczywistości Lecz jej jasność, Jej odgłosy – tego było JUŻ za wiele Bilo zamknął oczy Kiedy zdołał ponownie unieść powieki, asokiny szły szparko, sanie podrygiwały na wybojach, a przybrzeżne biele JUŻ mgliły krajobraz

Wetując sobie wcześniejsze upokorzenie Diw Muntras uparł się powozie Lewą dłonią chwycił za pałak sań, przerzucił lejce pizez prawe ramię i wcisnął ich końce pod lewą pachę W prawej dłoni dzierzył bicz, strzelając zeń nad grzbietami asokmow

– Diw, wolniej, chłopcze – warknął Muntras

Ledwo to rzekł, gdy sanie wywróciły się na zwale sztywnej trawy Jechali pod zsuwnią, gdzie grunt był podmokły Muntras wylądował na czworakach Złapał lejce i ponuro spojrzawszy na syna, mc me rzekł Immaja z ustami zaciśniętymi w poziomą linię podniosła sanie i wsadziła do nich Bila Jej

milczenie było wymowniejsze od słów

– To me moja wina – powiedział Diw, udając, że skręcił sobie nadgarstek

Ojciec przejął lejce i bez słowa wskazał synowi miejsce na tylnych samcach Po czym JUŻ bez pośpiechu pojechali dalej do domu

Zbudowane bez planu domostwo Muntrasa miał tylko parter Ze względu na skaliste podłoże był to parter na wielu poziomach połączonych schodkami i krótkimi biegami schodów Za izbą, w której Muntras z Immają umieścili Bila, na znajdującym się tam dziedzińcu Muntras co tenner płacił swoim robotnikom Dziedziniec ozdabiała gładkie głązy narzutowe wyrwane z polarnych gór, nigdy nie oglądanych przez człowieka, i na plecach lodowców dostarczone na wybrzeże W słojach każdego głązu kryła się pradawna historia chtoniczna, której nikt z nazbyt zajętych Lordrardryjczyków nie próbował odcyfrować, a której nie przeoczyły elektroniczne oczy Ayernusa Przy każdym głązie rosły wysokie drzewa o pniach rozwidlonych przy samej ziemi Bilo z łóżka widział te drzewa

Ajwia, żona Muntrasa, krzątała się przy chorym, tak jak przedtem się krzątała przy małżonku, powitawszy ich w progu domu Bilo był rad, gdy odeszła i został sam wśród gołych drewnianych ścian, spoglądając na gołe korony drzew za oknem Z wolna obłąd ogarniał ciało Bila poruszając mu członki i wykręcając ramiona, dopóki wyciągnięte nad głową nie zeszywniały jak drewniane gałęzie za oknami

Wszedł Diw Wkradł się ostrożnie, zamknął za sobą drzwi i szybko zbliżył się do łóżka Szeroko otwarte oczy wybałuszył na stężałą postać Jej lewa dłoń przegięła się w nadgarstku tak bardzo, że niemal dotykała kłykciami przedramienia, a zegarek był wbity w skórę

– Zdejmę ci zegarek – rzekł Diw Niezdarnie odpiął i położył zegarek na stole, poza zasięgiem wzroku Bila

– Drzewa – powiedział Bilo przez zaciśnięte zęby – Chcę z tobą pogadać – groźnie rzekł Diw, zaciskając pięści. – Pamiętasz Abathę, dziewczynę z "Polarnej Panny"? Tę Matrassylkę? – zapytał ściszym głosem, usiadłszy tuż przy nim i stale zerkając w stronę drzwi. – Tę piękność o wspaniałych kasztanowych włosach i wielkich piersiach?

– Drzewa.

– Tak, drzewa... to są drzewa morelowe. Ojciec pędził swój egzagerat z owoców tych drzew. Bilosz, ta dziewczyna, Abatha, przypominasz sobie Abathę?

– One umierają.

– Bilosz, to ty umierasz. Dlatego chcę porozmawiać z tobą. Pamiętasz, jak ojciec mnie upokorzył posługując się tą dziewczyną? On dał ją tobie, Bilosz, bodajś szczęś. Zrobił to, żeby mnie upokorzyć, bo on zawsze robi wszystko, żeby mnie upokorzyć. Rozumiesz? Dokąd mój ojciec wywiózł Abathę? Jeśli wiesz, powiedz mi. Powiedz mi, Bilosz. Ja ci nigdy nie zrobiłem nic złego.

Bilowi zatrzeszczało w łokciach.

– Abatha. Lato w pełni.

– Nie mam ci jej za złe, bo jesteś wariat znikąd. Słuchaj uważnie. Chcę wiedzieć, gdzie jest Abatha. Kocham ją. Nie powinienem tu wracać, bo niby po co? Żeby cierpieć upokorzenie ze strony ojca i tej mojej siostrzyczki? Ona mi nigdy nie da objąć kompanii po ojcu. Posłuchaj, Bilosz. Ja odchodzę. Dam sobie radę o własnych siłach – mam głowę na karku. Znajdę Abathę, założę własny interes. Pytam cię, Bilosz – gdzie ojciec ją ukrył? Szybko, człowieku, zanim ktoś przyjdzie.

– Tak. – Nagie drzewa gestykulowały w oknie, usiłując wymówić jakieś słowo. – Astrolog.

Pochyliwszy się Diw uniósł Bila, ciągnąc za powęzłone ramiona.

– KaraBansita? Wywiózł Abathę do KaraBansity?

Umierający potwierdził szeptem. Diw puścił go, jakby rzucał kawałek deski na łóżko. Stał

pstrykając palcami i mamrocząc coś do siebie. Usłyszawszy hałas w korytarzu pobiegł do okna. Przez chwilę balansował na parapecie. Po czym skoczył i zniknął.

Weszła Ajwia Muntrasowa z miską. Nakarmiła Bila delikatnym białym mięsem. Przymuszała i namawiała do jedzenia; jadł żarłocznie. W świetle chorych Ajwia czuła się jak ryba w wodzie. Gąbką obmyła mu twarz i czoło. Zaciągnęła gazowe firanki na okno, aby przyciemnić izbę. Drzewa przez gazę wyglądały jak widma drzew.

– Jestem głodny – powiedział zjadłszy wszystko do ostatniego kawałeczka.

– Zaraz ci przyniosę jeszcze trochę legwana, biedaku. Prawda, że smaczny? Specjalnie gotowany w mleku.

– Jestem głodny! – wrzasnął.

Odeszła wyraźnie zafrasowana. Słyszał, że rozmawia z ludźmi. Z przekrzywioną szyją, w której wyszły żyły niczym postronki, próbował słuchem dosięgnąć i jak harpunem przyszpilić treść rozmowy. Słowa nie miały dla niego sensu. Leżał jakoś na opak i zdania wchodziły mu do ucha na opak. Przekręcił się i nagle zaczął wszystko słyszeć doskonale. Bezstronnie brzmiący głos Immai powiedział:

– Niemądra jesteś, mamó. Te domowe driakwie nie wyleczą Bilosza. On ma rzadką chorobę, o której prawie nic nie wiemy, poza tym, co mówią stare księgi. To albo gorączka kości, albo tłusta śmierć. Objawy są niejasne, pewnie dlatego, że on, jak sam twierdzi, pochodzi z innego świata, więc jego budowa komórkowa może w jakiś sposób odbiegać od naszej.

– Nie znam się na tym, kochanie. Po prostu myślę, że jeszcze odrobina mięsa mu nie zaszkodzi. Może miałby ochotę na gwing-gwinke...

– Może mu grozić chorobliwa żarłoczność połączona z nadmierną ruchliwością. Byłyby to objawy tłustej śmierci. W takim przypadku musielibyśmy przywiązać go do łóżka.

– Chyba to nie będzie konieczne, co, kochanie? On jest taki łagodny.

– To nie jest kwestia jego usposobienia, mamó, tylko choroby. Ten głos był męski, pełen na wpół skrywanej pogardy, jak gdyby wyjaśniał istotę rzeczy małemu dziecku. Należał do Jurysty, męża Immai.

– No już dobrze, ja naprawdę nie znam się na tym. Mam tylko nadzieję, że to nie zaraźliwe.

– Sądzimy, że ani tłusta śmierć, ani gorączka kości nie są zakaźne o tej porze Wielkiego Roku – rzekł głos Immai. – Uważamy, że Bilosz musiał się zetknąć z fagorami, z którymi powszechnie są kojarzone te dwie choroby.

Rozmowa potrwała jeszcze chwilę, a potem Immaja i Jurysta stanęli w izbie, patrząc na Bila z góry.

– Może wyzdrowiejesz – powiedziała Immaja, lekko zgiąwszy się w talii przed wypowiedzeniem tych słów i wypowiadając każde z osobna. – Zaopiekujemy się tobą. Może będzie trzeba cię związać, jeśli wpadniesz w szal.

– Umieram. Nieodwołalnie. – Z ogromnym wysiłkiem udawał, że nie jest drzewem. – Gorączka kości i tłusta śmierć... mogę wyjaśnić. Tylko jeden wirus. Mikrob. Inne skutki. Inna pora. Wielkiego Roku. Naprawdę.

Dalszy trud przekraczał jego siły. Zapadł w sztywność. Lecz przez moment pamiętał wszystko. Wprawdzie się nim nie zajmował, jednak wirus helikoidalny był przedmiotem legendy na Averнусie, legendy powoli umierającej i ograniczonej do wideotekstów, jako że ostatni wybuch wirusowej pandemii nastąpił kilka pokoleń przed obecnym pokoleniem stacji. Ci, którzy teraz bezsilnie patrzyli z nieba na Bila, bywali świadkami powrotu starej legendy do życia jedynie w formie finału Helikońskiej Loterii. Wirusowe plagi niosły ogrom cierpienia, ale na szczęście tylko dwa razy w

Wielkim Roku: sześć miejscowych stuleci po najzimniejszym okresie Wielkiego Roku, gdy warunki planetarne uległy poprawie, oraz późną jesienią, po długim okresie upału, w jaki Helikonia właśnie wkroczyła, W pierwszej porze wirus ujawniał się jako gorączka kości, w drugiej jako tłusta śmierć. Prawie nikt nie uchorzył tym plagom. Współczynnik umieralności w każdej sięgał pięćdziesięciu procent. Ci, co przeżyli, byli odpowiednio pięćdziesiąt procent lżejsi albo pięćdziesiąt procent ciężsi i dzięki tej nowej wadze ciała lepiej przygotowani do stawienia czoła gorętszym bądź zimniejszym okresom roku. Wirus stanowił mechanizm dostosowujący ludzki metabolizm do bezmiernych zmian klimatycznych. Taka przemiana zachodziła w Bilu.

Immaja w milczeniu stała nad chorym. Założyła ręce na imponującej piersi.

– Nie pojmuje cię. Skąd wiesz o takich rzeczach? Nie jesteś bogiem, bóg by nie był chory...

Nawet brzmienie głosów wtrącało go głębiej w bebecchy drzewa. Przemógł się jeszcze raz.

– Jedna choroba. Dwa... przeciwstawne syndromy. Jako doktor, ty rozumiesz.

Rozumiała. Znow się zamyśliła.

– Gdyby tak było... a przecież... dlaczego nie? Istnieją dwie botaniki. Drzewa, co kwitną i wydają nasiona tylko raz na tysiąc osiemset dwadzieścia pięć małych lat, inne drzewa, co kwitną i wydają nasiona każdego małego roku. Rzeczy niezgodne, a zarazem zgodne... – Mocno zacisnęła usta, jak gdyby ze strachu przed wyjawieniem tajemnicy, świadoma, że stoi przed nieznanym, które przekracza jej zrozumienie.

Sprawa wirusa helikoidalnego nie była bliźniaczo podobna do sprawy binarnej botaniki Helikonii. Jednak Immaja trafnie wychwyciła rozbieżności w życiu roślinnej gromady. W okresie pojmania Bataliksy przez Freyra, jakieś osiem milionów lat temu, planety Bataliksy kąpały się w radiacji prowadzącej do genetycznego zróżnicowania mnogich gatunków roślin. Podczas gdy pewne drzewa dalej kwitły i owocowały jak dawniej – a więc usiłując wydawać nasiona tysiąc osiemset dwadzieścia pięć razy w ciągu Wielkiego Roku, bez względu na warunki klimatyczne – inne zmieniły metabolizm na lepiej dostosowany do nowych porządków i rozmnażały się jedynie raz na tysiąc osiemset dwadzieścia pięć małych lat. Takie były radżababy. Drzewa morelowe za oknem Bila nie uległy adaptacji i tak się złożyło, że właśnie ginęły od wyjątkowych upałów.

Bruzdy powstałe wokół jej ust wskazywały, że Immaja próbuje przemyśleć te ważne zagadnienia; powróciła jednak myślami do słów Bila. Bystry rozum podpowiadał kobiecie, że jeśli by Bil mówił prawdę, będzie ona miała ogromne znaczenie – może nie natychmiast, lecz za parę stuleci, kiedy to, jak przewidywano na podstawie skąpych wzmianek historycznych, nadejdzie pandemia tłustej śmierci. Wybieganie myślą tak daleko w przyszłość nie leżało w miejscowym zwyczaju. Immaja kiwnęła głową.

– Pomyślę o tym, Bilosz – powiedziała – i przedstawię twoje spostrzeżenia na najbliższym spotkaniu naszego towarzystwa medycznego. Jeśli poznamy prawdziwą naturę tej choroby, może znajdziemy lekarstwo.

– Nie. Choroba konieczna do przeżycia... – Pojął, że ona nigdy nie uchwyci, a on już nigdy nie wyjaśni sensu tych słów. Znalazł wyjście pośrednie. – Powiedziałem twojemu ojcu – wydusił z siebie.

Ta uwaga odwróciła jej zainteresowanie od medycznych kwestii. Uciekły od niego wzrokiem zamknęła się w milczeniu i pozornie zamknęła się w sobie. Kiedy w końcu przemówiła, głos jej brzmiał grubiej i chrapliwiej, jak gdyby ona również musiała przemawiać z więziennej studni.

– Co jeszcze robiłeś z moim ojcem w Borlien. Czy on był pijany? Chcę się dowiedzieć... czy miał młodą kobietę na okręcie w drodze z Matrassylu? Czy miał z nią stosunek płciowy? Musisz mi wyznać. – Nachyliwszy się chwyciła go tak, jak to zrobił jej brat. – On teraz pije. Była z wami

kobieta, prawda? Pytam cię dla dobra mojej matki.

Bilo wystraszony gwałtownością, z jaką wyrzucała te słowa, próbował się zapaść głębiej w drzewo, poczuć pancerz chropawej kory na łoni. W gardle mu bulgotało. Potrząsnęła nim.

– Czy miał stosunek płciowy? Gadaj. Umieraj, jeśli chcesz, ale wpierw gadaj. Spróbował kiwnąć głową. Gdzieś w jego wykrzywionych rysach znalazła potwierdzenie swych domysłów. Wyraz mściwej satysfakcji zagościł na jej twarzy.

– Mężczyźni! Oto jak wykorzystujecie kobiety. Ten rozpustnik od lat zdradzał moją nieszczęsną matkę, niczego nieświadome biedactwo. Dawno to odkryłam. To był dla mnie okropny szok. My, Dimariamczycy, jesteśmy porządnymi ludźmi w przeciwieństwie do dzikusów z Barbarzyńskiego Kontynentu, gdzie, mam nadzieję, noga moja nigdy nie postanie...

Gdy umilkł jej głos, Bilo pokusił się o nieartykułowany protest. Tylko dołał oliwy do ognia.

– A co z krzywdą tej biednej niewinnej dziewczyny? I jej niewinnej matki? Dawno temu zmusiłam tego mojego braciszka, tę zakałę mojego życia, by mi donosił o wszystkim, co robi mój ojciec... Mężczyźni to świny, opanowani żądzą, niezdolni dochować wierności...

– Dziewczyna.

Lecz imię Abathy zaplątało się w suple jego krtani.

Zmierzch spowił Lordrardrę. Freyr przepadł na zachodzie. Przerzedził się chór ptaków. Nisko nad widnokrąg wyszła Bataliksa, zza morza sięgając promieniami łuskowatych stworzeń zalegających plaże.

"Złota Przyjaźń" podeszła tak blisko, że Hanra TolramKetinet rozróżniał twarze strzelców nad jej nadburciem. Widział, jak strzelcy biorą go na cel. Godła na żaglach już zdradziły, że to okręty sibornalskie, dziwnie daleko od macierzystych portów. Zastanawiał się, czy jego król oportunistą zawarł z Sibornalem układ o pomocy w Wojnach Zachodnich. Nie miał podstaw uważać Sibornalczyków za wrogów – dopóki nie wymierzili broni. "Przyjaźń" prawie się obróciła burta, aby zapewnić strzelcom najdogodniejszą linię ognia. Oceniał, że głębokość zanurzenia nie pozwoli "Przyjaźni" podejść bliżej. Wyprzedziwszy swój okręt flagowy "Zgoda" dokonywała zwrotu z lewej strony TolramKetineta, niepokojąco zbliżając się do wschodniej plaży Ostrowia Kiwazji. Słyszał niesione po wodzie głośnie komendy, gdy na „Zgodzie” zwijano żagle grota i stermasztu. Dwa mniejsze okręty bliżej randonańskich brzegów zachodziły z prawa. "Dobra Nowina" wciąż walczyła z szerokim brunatnym nurtem zachodniej odnogi Kacolu, biała „Modlitwa Yadżabharu” już ją minęła – właściwie rzecz można by, że już go zaszła od tyłu, chociaż jeszcze w pewnej odległości. Na wszystkich tych okrętach dostrzegał lśnienie wymierzonych w siebie luf. Usłyszał, jak kapitan strzelców każe dać ognia. TolramKetinet cisnął flagę, obrócił się, dał nura w fale i zaczął płynąć co tchu w kierunku piaszczystej łachy.

GortorLanstatet już osłaniał pływaka ogniem. Położył swych ludzi za łupkowym grzbietem, kierując połowę siły ognia na okręt flagowy, połowę na białą karawelę „Modlitwę Yadżabharu”. Białe okręty wciąż zbliżały się jak na skrzydłach, prosto na ich pozycję. Porucznik miał w oddziale dobrego kusznika;

przydzielił mu żołnierza do pomocy i polecił przygotować smolne pociski zapalające. Ołowiane kule pluskały w wodzie wokół generała. Płynął pod wodą, jak mógł najrzadziej wynurzając się dla zaczerpnięcia powietrza. Czuł, że płynie w gęstwie delfinów, które schodzą mu z drogi. Nagle kanonada ucichła. Wynurzył się i obejrzał. Biała karawela z hierogramem Wielkiego Koła na żaglach nierozważnie wpłynęła między niego a "Złotą Przyjaźń". Żołnierze sziwenińscy, stłoczeni na najwyższym pokładzie, zamierzali zasypać kulami obrońców cypla.

Fale bryzgały na wszystkie strony. Brzeg był nadspodziewanie urwisty. TolramKetinet uczeplił się

korzenia i wpełznąwszy parę stóp w zarośla leżał pod ich osłoną. Leżał twarzą na brunatnym piasku, ciężko dysząc. Nie był ranny. Oczyma duszy ujrzał piękne oblicze królowej Myrdeminggali. Słyszał powagę w jej słowach. Widział ruchy jej warg. Pozostał przy życiu. Miał dla kogo zwyciężyć. Tak, nie jest mądry. Nie powinien zostać generałem. Nie miał wrodzonych zdolności przywódczych Lanstateta. Ale co tam. Od kiedy w Ordelei otrzymał od królowej królowych wiadomość – po raz pierwszy przeznaczoną dla niego i tak osobistą, choć z drugiej ręki – wciąż myślał o tym, że król postanowił wziąć rozwód z królową. Bał się króla. Koronie był posłuszny, ale nie oddany. Wprawdzie rozumiał dynastyczną konieczność postępu Jandol.

– Nie spisz, Bilosz^ Widziałeś Drwa9 Odpowiedziało mu gulgotanie

– Biedny chłopak, w rzeczy samej me nadaje się do tej roboty, to fakt – Stęknął, ponownie siadając na ławce Podniósł i opróżnił szklankę Jaka szkoda, że Bilosz me lubi egzageratu

Światło zmętniało jeszcze bardziej W albiku furkotały szarowkowe émy W uśpionym domostwie za plecami Muntrasa skrzypiały deski

– Gdzieś musi być lepszy świat – rzekł Muntras, przysypiając z wygasłą trędowmczką w ustach

Gwar głosów Muntras otworzył oczy Zobaczył swoich ludzi schodzących się na podwórku po wypłatę Był dzień Panował martwy spokój Muntras wstał i przeciągnął się Spojrzał przez okno na skręconą postać Bilosza znieruchomiłego na łóżku

– Dziś mamy dzień assatassow, Bilosz, przez ciebie zapomniałem Wysoka woda monsunowa Powinieneś to zobaczyć Wielkie miejscowe święto Wieczorem huczna zabawa, na cztery fajerki

Od łóżka dobiegło jedno słowo wydarte z zaciśniętych szczęk

– Święto

Lodowi górnicy, szorstcy ludzie w szorstkich ubraniach roboczych, me odrywali wzroku od wydeptanych kamieni brukowych, bo a nuż szef poczułby się urażony, że został przyłapany na drzemce Ale to me tkwiło w naturze Muntrasa

– Chodźcie, chłopcy Już niedługo tego mojego płacenia Nadchodzą rządy kapitana Diwa Załatwmy to migiem i bierzmy się za przygotowania do uroczystości Gdzie mój płatnik?

Mały człowieczek w wysokim kołnierzu i o włosach zaczesanych w stronę przeciwną, niż to było ogólnie przyjęte, pospieszył naprzód Pod pacha niósł księgę, a idący za mm bykun dźwigał kasetę Płatnik z nadętą miną przepychał się między górnikiem Kroczył nie spuszczając spojrzenia ze swego pracodawcy i poruszając wargami, jak gdyby już rachował każdemu należną wypłatę Przybycie płatnika wywołało poruszenie wśród robotników, którzy stawali w kolejce po swoje skromne wynagrodzenie W niezwykłym świetle ich rysy były bez życia

– Weźmiecie, chłopcy, pensje i oddacie jej żonom albo swoim zwyczajem zalejecie pały – powiedział Muntras Zwrócił się do najbliższych stojących, widząc samych fizycznych pracowników najemnych, a żadnego ze swych mistrzów rzemieślników Raptownie owładnięty oburzeniem i zarazem litością, podniósł głos, by usłyszeli wszyscy

– Życie wam ucieka Tkwiecie tu na mieliznie Nigdzie nie podróżujecie Znacie legendy Pegowinu, ale czy kiedykolwiek byliście w Pegowinie? Kto tam hyl? Kto był w Pegowinie?

Oparci plecami o wielkie otoczaki mruźli coś pod nosem.

– Ja byłem wszędzie, ja widziałem cały świat. Byłem w Uskutoszku, zwiedziłem Wielkie Koło Kharnabharu. Widziałem ruiny starych miast i handlowałem rupieciami na bazarach Pannowalu i Oldorando. Rozmawiałem z królami i królowymi pięknymi jak kwiaty. To wszystko tam jest i czeka na śmiałka. Wszędzie przyjaciele. I przyjaciółki. Cudowny świat. Kochałem każdą jego chwilę. Jest większy, niż sobie możecie wyobrazić, tkwiąc tu w Lordrardzie. W mej ostatniej podróży spotkałem człowieka, który przybył z innej planety. Świat nie kończy się na jednej Helikonii. Nad nami krąży

drugi – – Avernus. I jeszcze inne światy do zwiedzania. Na przykład Ziemia.

W trakcie całej tej przemowy maleńki płatnik rozłożył swoje manatki na stole pod jednym z gołych drzew morelowych i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni klucz do kasety. Fagor ustawił kasetę na podporządku, strzepując uchem. A górnicy podsuwając się do brzegu stołu i stając bliżej siebie utworzyli wyraźniejszą kolejkę. Spóźnialscy stawali na końcu, mierząc szefa podejrzliwymi spojrzzeniami. I utarty porządek rzeczy był utrzymywany pod fioletem obłoków.

– Powiadam wam, że istnieją inne światy. Odwołajcie się do swej wyobraźni. – Muntras walnął w stół. – Nigdy was nie kuszą dalekie światy? Mnie kusily, powiadam wam, kiedy byłem młody. Mam nawet w tej chwili pod swoim dachem młodzieńca z jednego z tych innych światów. Gdyby nie był chory, wyszedłby i przemówił do was. On opowiada o cudach i dziwach dziejących się tak daleko, że życia nic starczy, by tam dotrzeć.

– Czy on pije egzagerat?

Głos dobiegł z kolejki górników. Muntrasa zatkało w największym ferworze. Poczzerwieniały na twarzy przeszedł tam i z powrotem wzdłuż szeregu ludzi. Nikt nie spojrzał mu w oczy.

– Pokażę wam, że mówię prawdę – wrzasnął Muntras. – Zaraz mi będziecie musieli uwierzyć.

Ciężkim krokiem wmaszerował do domu. Jedynie płatnik okazał lekkie zniecierpliwienie, bębniąc małutkimi palcami w blat stołu, rozglądając się, pocierając ostry nos i patrząc w zaciągnięte chmurami niebo. Muntras wpadł tam, gdzie Bilo straszliwie powykręcany leżał bez ruchu. Chwyciwszy Bila za zeszywniały nadgarstek stwierdził, że nie ma zegarka.

– Bilosz – rzekł.

Zaszedł z drugiej strony, przyjrzał się choremu, łagodniej wymawiając jego imię. Dotknął zimnej skóry, pomacał skręcone ciało.

– Bilosz – powtórzył, ale to było już zwykłym stwierdzeniem faktu. Wiedział, że Bilosz nie żyje – i wiedział, kto ukradł zegarek, ów trójwskaźnikowy chronometr, który JandolAnganol miał raz w ręku. Tylko jedna osoba mogła zrobić coś takiego.

– Teraz, Bilosz, nawet nie zauważysz, że skradziono ci zegarek – głośno powiedział Muntras. Ukrył twarz w olbrzymiej dłoni i wygłosił ni to modlitwę, ni bluźnierstwo. Jeszcze przez chwilę kapitan polarny z otwartymi ustami stał w izbie, gapiąc się w sufit. Nagle przypomniawszy sobie o obowiązkach podszedł do okna i dał znak płatnikowi, by zaczął wypłacać ludziom pieniądze.

Do izby weszły Immaja i Ajwia z zabandażowanym ramieniem.

– Umarł nam Bilosz – oznajmił Muntras bezbarwnym głosem.

– Ojejku, i to w święto assatassów... – powiedziała Ajwia. – Chyba się po nas nie spodziewasz żałoby.

– Dopilnuję przeniesienia zwłok do lodowni, a jutro go pochowamy, po uroczystościach – rzekła Immaja, podchodząc i oglądając powykręcane ciało. – Przed śmiercią wyznał mi coś, co może się przyczynić do rozwoju medycyny.

– Zdolna z ciebie dziewczyna, zajmij się nim – rzekł Muntras. – Jak mówisz, możemy go pochować jutro. Urządzimy przyzwoity pogrzeb. Tymczasem pójdę sprawdzić sieci. Prawdę powiedziawszy, paskudnie się czuję, jakby to kogoś obchodziło.

Nie słysząc i nie widząc paplających kobiet, które wieszały sieci na rzędach słupów, kapitan polarny szedł skrajem wody. Miał wysokie buty z grubej skóry;

ręce trzymał w kieszeniach. Niekiedy któryś z czarnych legwanów skakał nań niczym rozbawiony psiak. Muntras machinalnie odrzucał zwierzaka kolanem.

Legwany brodziły w kłębowisku grubych girland morszczyku na płyciznach, co jakiś czas uwalniając wierzgnięciem nogę z owej płataniny. Gdzieniegdzie wylegiwały się w gromadach, jeden

na drugim, obojętne na otoczenie. Melancholijną rezygnację w legwaniej postawie powiększał współbiedujący z nimi włochoaty dwunastonogi krab, który milionowymi hordami uwijał się pośród stworzeń dozorujących fale przyboju. Kraby zjadały każdy okruch pożywienia, każdy kawałek foki lub wodorostu, jaki wypadł gadowi z pyska, bez wstępu pożerały też maleńkie legwany. Charakterystycznym odgłosem na dimariamskiej plaży był chrzęst i chrobot chitynowych odnóży o łuski skóry;

rytuał życia rozgrywał się przy akompaniamencie chrupaniny równie nieśmiertelnej, jak szum fal.

Kapitan polarny nie zaszczycił choćby spojrzeniem tych ponurych mieszkańców plaży, kierując wzrok za wielorybniczą wyspę Lordradę, na pełne morze. Dowiedział się w porcie, że nocą została skradziona jednomasztowa mała łódź żaglowa. A więc jego syn uciekł, zabrawszy magiczny zegarek jako talizman lub na handel. Odpłynął bez słowa pożegnania.

– Dlaczego to zrobiłeś? – półgłosem zapytał Muntras, błędząc oczyma po sinym morzu, na którym panowała martwa cisza. – Z przyczyn, dla których mężczyzna zwykle opuszcza dom, jak sądzę. Albo nie mogłeś już wytrzymać ze swoją rodziną, albo zamarzyły ci się przygody – niezwykle kraje, cuda, niezwykle kobiety. Cóż, niech ci szczęście sprzyja, chłopcze. Z ciebie nigdy by nie był wielki handlarz lodem, to pewne. Miejmy nadzieję, że nie skończysz na sprzedawaniu kradzionych pierścionków, aby zarobić na życie.

Kobiety, proste żony górników, wołały nań, by przed przyływem wrócił za linię sieci. Pomachał im ręką, zawracając od kłębowiska legwanich ciał.

Immaja i Jurysta będą musieli przejąć kompanię. Nie przepadał za nimi, lecz był pewien, że poprowadzą firmę lepiej niż on za swoich najlepszych dni. Trzeba się liczyć z faktami. Nie ma co się dręczyć. Chociaż zawsze się czuł nieswojo w towarzystwie córki, przyznawał, że dobra z niej kobieta. On za to nie opuści przyjaciela i dopilnuje, aby Bilosz miał należyty pogrzeb. Nie dlatego, że któryś z nich wierzył w jakichś bogów. Ale przez wzgląd na nich obu, i tyle.

Poczłapał w kierunku bezpiecznej linii sieci, gdzie stały kobiety.

– Fajny był z ciebie gość, Bilosz – mruknął na głos. – Wiedziałeś, co robisz.

Avernus miał towarzystwo na orbicie. Leciał wśród eskadr pomocniczych satelitów. Głównym ich zadaniem była obserwacja tych sektorów globu, których sam Avernus nie obserwował. Los zrządził, że Avernus, lecąc w kierunku północnym, na swej okolopolarnej orbicie znalazł się nad samą Lordradą w dniu pogrzebu Bila.

Pogrzeb to miła uroczystość. Za sprawą słabości natury ludzkiej śmierć innych ludzi nie jest znowu aż tak nieprzyjemna. Sam smutek należy do najradośniejszych emocji. Patrzyli niemal wszyscy z pokładu Avernusa – nawet Róża Yi Pin, aczkolwiek ona oglądała ten spektakl z łóżka nowego kochanka. Guru Bila bez jednej Izy wyrecytował sto wierszowanych słów kazania o cnocie pogodzenia się z własnym losem. To epitafium posłużyło też za epitafium dla akcji protestacyjnych. Z pewną ulgą buntownicy zapomnieli o trudnych reformatorskich ideach i powrócili do swych codziennych zajęć. Jeden z nich napisał smutną balladę o Bilu pogrzebanym z dala od rodzinnego klanu. W helikońskiej ziemi leżało już całkiem sporo Avernusjan – wszyscy co do jednego zdobywcy głównej wygranej w Helikońskiej Loterii Wczasowej. Na pokładzie ziemskiej stacji obserwacyjnej często zadawano sobie pytanie, jaki to ma wpływ na masę planety. Na Ziemi, gdzie pogrzeb Bila wzbudził mniejsze zainteresowanie, obiektywniej podchodzono do tego wydarzenia. Każda żywa istota powstaje z martwej materii międzygwiazdnej. Każda żywa istota musi przebyć swą samotną wspinaczkę na szczyt, od poziomu cząsteczki do autonomii narodzin, wspinaczkę, która w przypadku ludzi trwa trzy czwarte roku. Byt wyższej formy życia wymaga złożoności struktury organicznej, złożoności, której nie da się zatrzymać na wieki. W końcu następuje powrót do struktury

nieorganicznej. Puszczają chemiczne wiązania. To właśnie spotkało Bila. Nieśmiertelne w Bilu były jedynie atomy, z których się składał. One przetrwały. Inie było nic niezwykłego w pochówku człowieka ziemskiego rodu na planecie odległej o tysiąc lat świetlnych. Ziemia i Helikonia, jak dwie bliźniaczki, składały się z tych samych, dawno umarłych gwiazd.

W jednej sprawie mylił się ów nieomylny człowiek, Bitowy guru. Mówił o Bilu udającym się na wieczny spoczynek. Lecz cały ten organiczny dramat, w którym ludzkość stanowiła jedną odsłonę, został wystawiony w kręgu wielkiej nieprzerwanej eksplozji wszechświata. Z kosmicznego punktu widzenia nigdzie nie było spoczynku, żadnej stałości, poza stałą aktywnością cząsteczek i energii.

XVII. ŚMIERTELNY GON

Generał Hanra TolramKetinet nosił szerokoskrzydły kapelusz i stare spodnie. końcami nogawek wetknięte w cholewy wysokich do kolan wojskowych butów Przez naga pierś przewiesił sobie na rzemieniu wspaniałą nowiusieńką rusznicę z zamkiem lontowym. Nad głową powiewał borlieńską flagą. Brodził w morzu na spotkanie nadpływających okrętów. Za nim jego maleńki oddziałek wznosił radosne okrzyki. Żołnierzy było dwunastu, pod dowództwem zdolnego porucznika GortorLanstateta. Stali na piaszczystym cyplu; za ich plecami była dżungla i mroczne ujście rzeki Kacol. Podróż z Ordelei – z miejsc kłęski – na południe dobiegła kresu; przepłynęli "Polarną Pindą", zarówno bystrza, jak odcinki rzeki, gdzie prąd był tak słaby, że z głębin wyłaziły bulwiaste porośla jak kłęby lęgnących się węgorzy w boju o dostęp do powierzchni toni, aby rozlewać woń padliny i gniłki. Ta woń stanowiła przekleństwo dżungli.

Na obu brzegach Kacolu las skręcał się w węzły, węże i zwoje nie mniej złowrogie od macek wyłazących z rzecznej głębi. Gąszcz wyglądał na prawdziwie nieprzebyte; takich szerokich naw, jakimi pół tenera temu generał wędrował z największą swobodą, nie było tu widać, rzeka bowiem wywabiła na skraj dżungli mrowie chciwych słońca pńczy. Sama dżungla też skarłała w swej formacji, przechodząc z dżungli właściwej w las monsunowy o gęstych koronach w okapie nisko zwieszonym nad głowami borlieńskich żołnierzy. U ujścia, gdzie rzeka w końcu wlewała swoje wody do morza, smrodliwe mgły poranne wstawały z lasu i pochylniami stoków wtaczały się na grzbiet za grzbietem wzgórz ukoronowanych masywem randonańskim. Mgła poniekąd stanowiła motyw przewodni ich podróży, zapowiedziany już w chwili, gdy – bezspornie przejąwszy "Pindę" na własność w Ordelei – wyważyli luki, z których na powitanie buchnęły gęste opary topniejącego w okrętowych ładowniach lodu. Po wyrzuceniu lodu za burtę, myszkujący nowi właściciele znaleźli ukryte schowki pełne sibornalskich rusznic zawiniętych w gałgany dla ochrony przed wilgocią – prywatny tajny handelek, jakim kapitan "Pindy" wynagradzał sobie niebezpieczeństwa rejsów podejmowanych w imieniu Lordrardryjskiej Kompanii Handlu Lodem. Świeżo uzbrojeni Borlieńczycy wypłynęli na oleiste wody, niknąc w wilgotnych oparach tak charakterystycznych dla Kacolu.

Teraz stali na piaszczystym progu rzeczonym, niby ostroga odchodzącym od Ostrowia Kiwazji, małej skalistej i zalesionej wysepki, leżącej między rzeką a morzem, i patrzyli, jak ich generał brodzi w kierunku okrętów. Mroczny zielony tunel, fetor, ciszę pełną dokuczliwych insektów, mgły, to wszystko zostawili za sobą. Przed nimi otwierało się morze. Wyglądali ratunku patrząc w morze i osłaniając oczy od blasku wyjaskrawionego mgiełką porannych obłoków.

Ratunek chyba nie mógł przyjść bardziej w porę. Wczoraj po zachodzie Freyra i tuż przed zachodem Bataliksy, gdy dżungla zmieniła się w labirynt nieokreślonych konturów, próbowali zacumować wśród olbrzymich, czerwonych jak wnętrzości korzeni; z gałęzi nad nimi nagle spadł supeł z sześciu węży, każdy wąż długości co najmniej siedmiu stóp. To były stadne węże o zaczątkach inteligencji, zawsze polujące w gromadzie. Bardziej już nic nie mogło przerazić załogi. Ujrzawszy, jak straszne stworzenia lądują tuż przy nim i błyskawicznie się rozsypują z wściekłym sykiem, żołnierz za kołem sterowym niewiele myśląc wyskoczył za burtę, gdzie wnet go porwał grybak, który chwilę przedtem wyglądał na przegniłą kłodę. Stadne węże zostały w końcu zabite. Do tego czasu okręt obrócił się burtą do nurtu i szorował o randonański brzeg. Przy próbie powrotu na kurs uderzyli o podwodną zawadę i złamali ster. Chwycono za drągi, lecz rzeka stawała się coraz szersza i głębsza, więc drągi nie zdały się na nic. Kiedy z mroku przed nimi wychynął Ostrów

Kiwazji, nie byli władni skrócić ani w odnogę borlieńską, po lewej burcie, ani w odnogę randonańską, po prawej. "Pindę" nieubłaganie zniosło na skały u północnego cypła wyspy; z wgniecioną burtą osiadła na płyciźnie. Prąd targał kadłubem grożąc porwaniem na głębiny. Wzięli trochę sprzętu i wyskoczyli na brzeg. Zapadł mrok. Stali nasłuchując huku przyboju, który powtarzał się jak odgłos dalekiej kanonady. Z wielkiej obawy przed obcym wojskiem TolramKetinet postanowił obozować na miejscu przez krótką noc, wiedząc, że stąd już blisko do Kiwazji. Ustalono warty. Otaczająca ich noc upodobała sobie podchody i gwałtowną śmierć. Małe insekty łaziły z oczami jak wielkie latarnie, straszne ślepe ślepia łyskały na skrzydłach ciem, źrenice drapieźców płonęły jak rozżarzone węgle; a rzeka przez cały ten czas toczyła swoje dwa nurty i przeciwpłydy poświaty, i mozół wód wdzierał się skargą do snów ludzi.

Freyr wszedł za chmurami. Tu i tam powstawali skłuci przez komary żołnierze, drapiąc się po całym ciele. TolramKetinet z GortorLanstatetem powiedli swych ludzi na wspinaczkę. Weszli na skalny grzbiet wyspy, skąd było widać otwarte morze i borlieński brzeg po drugiej stronie wschodniej odnogi rzeki. Osłonięty zielonym klifem od morza leżał tam port Kiwazji, najdalej na zachód wysuniętej osady ich ojczystej ziemi Borlien, niegdyś siedziba legendarnego mędrca YarapRombry. Fioletowawy odcień światła na mgnienie oka przesłonił im prawdę; spoglądali na zawalone dachy i osmalone ściany przez dłuższą chwilę, zanim wyrwał im się niemal jednogłośnie okrzyk:

– Miasto zniszczone!

Pagórze gromady osiadłe w monsunowym lesie prehandlowały randonańskim plemionom większą ilość vulumunululum. Wielki duch wstąpił w plemiona. Randonańczycy nałowili Innych w koronach drzew, poprzywiązywali ich do bambusowych lektyk i pociągnęli pochodem przez dżunglę, aby spalić port. Nic nie ocalało z pożogi. Nie było śladu życia, z wyjątkiem kilku smętnych ptaków. Wojna toczyła się dalej; ludzie nie mogli uniknąć podwójnej roli agresora i ofiary.

W milczeniu dotarli Borlieńczycy na południowy brzeg wyspy i zeszli na piaszczysty cypel, byle dalej od ciernistych zarośli, pokrywających środek tego skrawka lądu. Przed sobą mieli morze, brunatne zrazu u ujścia Kacolu, dalej już lazurowe. Długie fale przybojowe kładły się na stromej pochyłości plaży, łyskając bielą. W kierunku zachodnim widniała Ubogata, duża wyspa, niczym boja znakowa dzieląca Morze Orłów od Morza Narmozety. Zza Ubogatej wyszły cztery okręty, dwie karaki i dwie karawele. Chwyciwszy borlieńską flagę, uprzednio spoczywającą wśród najrozmaitszych flag w schowku "Pindy", TolramKetinet wkroczył w spienione fale, idąc na spotkanie okrętom.

Diena Paszaratid pełniła wachtę na „Złotej Przyjaźni”, żeglującej na czele flotylli do bezpiecznej przystani w ujściu Kacolu. Diena zacisnęła dłonie na relingu; poza tym nic nie zdradzało uniesienia, jakie przeżywała widząc, jak Wyspa Ubogata zostaje w tyle, a wybrzeże Borlien wyłania się z porannych mgieł. Sześć tysięcy mil morskich dzieliło okręty od przyjemnego kotwicowiska u przylądka Findowel. W tym czasie Diena wiele obcowała z Bogiem Azoikak-sisem: bezmierne przestworza oceanu jak nigdy przedtem zbliżyły ją do boskiej istoty. Powiedziała sobie, że związek z małżonkiem osiągnął swój kres. Przeniosła go na „Zgodę”, aby go więcej nie oglądać na oczy. Uczyniła to z zimnym sibornalskim wyrachowaniem, nie okazawszy złości. Znów mogła cieszyć się życiem i Bogiem. Wszystko było piękne – wiatr, niebo, morze – czemu więc szukając radości znajdowała smutek? Powodem nie mogła być jej zazdrość o związki wyrosłe – jak chwasty, pomyślała, jak chwasty – pomiędzy jej Kapłanką-Wojowniczką Admiralem a borlieńskim ekskanclerzem. Ani nie mogła być powodem ta szczypta uczucia, jakim darzyła go. "Pomyśl o zimie" – powtórzyła w myśli uskuckie porzekadło, znaczące tyle, co "porzuć wszelką nadzieję". Nawet

nierozerwalna duchowa więź z Azoikaksisem okazała się duchową zadrą. Wyglądało na to, że Azoikaksis nie miał dla Dieny Paszaratid miejsca na swym łonie. Mimo jej cnót pozostawał obojętny. Pozostawał obojętny mimo jej właściwego postępowania, jej rozsądku. Przynajmniej pod tym jednym względem i okator j Pan Kościoła Krwawego Pokoju okazywał się przeraźliwie podobny do samego lo Paszaratida. I właśnie ta myśl, miast koić, dręczyła ją przez mile morskich pustkowi. Każde urozmaicenie tej monotonii było jej miłe. Toteż gdy ukazały się brzegi Borlien, żywo obróciła się od steru, polecając trębaczowi zagrać "dobre wieści". Wkrótce przy relingach czterech okrętów cisnęli się żołnierze, spragnieni widoku lądu, który zamierzali napaść i podbić. Jednym z ostatnich wśród wyległych na pokład pasażerów był Sartoritrwrasz. Przez chwilę stał w podmuchu bryzy, dopinając odzież i oddychając pełną piersią, aby się pozbyć fagorzej woni. Fagorki już nie było, ale pozostał jej ostry zapach – zapach i okruch wiedzy.

Opuściwszy Findowel "Złota Przyjaźń" wzięła kurs na południowy wschód, żeglując po wodach Zatoki Ponipot, obok starożytnych krain i przez cieśnię Kadmem, największy obszar wody pomiędzy Kampanniatem a Hespagoratem. O lądach tych mówiły legendy -jedne, że tu powstały istoty ludzkie, inne, że tu powstał pierwszy język. Tu leżał Ponipot, owa Pontpanduma z bajek małej Tatry, ziemia zwrócona w kierunku zachodzących słońc, niemal bezludna, o wymierających miastach, których nazwy jeszcze wciąż przyprawiały ludzkie serca o drzenie – Powaczet, Prowasz. Gal-Dandar nad lodowatą rzeką Azą. Za Pompotem utknęli w ciszy u skalistych brzegów Radado, południowego krańca Barrier, pustynnej wyżyny zamieszkiwanej, jak powiadano, przez niecały milion ludzi – w przeciwieństwie do trzech i ćwierci miliona w sąsiednim Randonanie – a z pewnością zamieszkiwanej przez mniej ludzi niż fagorów, Radado bowiem stanowiła zachodni kres wielkiej przecinającej cały Kampanniat ancipitalnej trasy migracyjnej, stanowiła granicę świata, do której te stworzenia docierały każdego lata Wielkiego Roku, w Radado oddając się swym niepojętym rytuałom albo po prostu nieruchomo przesiadując nad brzegami Kadmeru i spoglądając przez cieśnię w stronę Hespagoratu. w kierunku miejsc przeznaczenia nie znanych innym żywym istotom.

W owych długich upalnych dniach na okręcie czy to unieruchomionym przez ciszę, czy to pod żaglami Sartoriirwrasz był zadowolony. Wyrwał się ze swej pracowni w szeroki świat. Radość spławiały mu długie, półdniowe, uczone dysputy z panią Kapłanką-Wojowniczką Admiralem, Odi Jeseratabhar. Oboje zbliżyli się do siebie. Potoczniejsza mowa wyparła pierwotne kunsztowności języka Odi Jeseratabhar. Narzucone ciasnotą kajut mimowolne zbliżenia zaczęły im być drogie, upragnione. Potajemnie zostali kochankami. I opływanie wokół Barbarzyńskiego Kontynentu stało się również opływaniem wokół dusz.

Siedząc na pokładzie podczas tamtej zaczarowanej ciszy, podstarzali kochankowie, Borlieńczyk i Uskutka, bładzili wzrokiem po prawie nieruchomym morzu. Stały ląd Radado mgliście majaczył w dali. Bliżej, tuż, tuż, z lewej burty leżała wyspa Radosza. Dalej po lewej burcie trzy inne wyspy, szczyty zatopionych gór, zdawały się unosić na łonie wód. Odi Jeseratabhar wskazała w kierunku prawej burty.

– Prawie mogę sobie wyobrazić, że rozpoznaję linię brzegową Hespagora-tu, krainy zwanej Throssą, ściśle mówiąc. Wszystko wokół nas dowodzi, że Hespagorat i Kampanniat kiedyś były połączone przesmykiem lądu, który został zniszczony przez jakieś trzęsienie ziemi. Jak myślisz, Sartori?

Sartoriirwrasz przyglądał się wyspie Radoszy.

– Jeśli wierzyć legendom, ancipici wywodzą się z odległego zakątka Hespagoratu, z Pegowinu, gdzie żyją czarne fagory. Może fagory kampanulackie migrują do Radado, bo wciąż mają nadzieję na odnalezienie starożytnego przesmyku do ojczyzny?

– Czy kiedykolwiek widziałeś czarnego fagora w Borlien?

– Raz w niewoli. – Zaciągnął się trędowniczką. – Kontynenty żywią odrębne gatunki zwierząt.

Gdyby kiedyś istniał lądowy przesmyk, to moglibyśmy oczekiwać spotkania z hespagorackimi legwanami w Radado. Są w Radado legwany, Odi?

Tknięta nagłą myślą odparła:

– Myślę, że nie ma pewnie dlatego, że ludzie je wytrzebili. Radado to ziemia jałowa, tam je się wszystko, co jadalne. Ale co z Radoszą? Unieruchomieni w tej ciszy mamy dużo wolnego czasu, w którym możemy dorzucić coś do skarbnicy ludzkiej wiedzy. Zrobimy sobie wypad barkasem i przekonamy się na własne oczy.

– Możemy to zrobić?

– Jeśli tylko rozkażę.

– Pamiętasz, że nasz wypad nad Zatokę Krzywd omal nie zakończył się nieszczęściem?

– Wtedy uważałeś mnie za wariatkę.

– Teraz uważam cię za wariatkę.

Ujął jej dłoń i oboje parsknęli śmiechem.

Admirał wezwała bosmana. Bosman pogał niewolników do roboty. Spuścili barkas na wodę. Odi Jeseratabhar i Sartoriirwrasz zeszli do barkasa. Wioślarze przewieźli ich na wyspę, przez dwie mile gładkiej jak lustro toni. Popłynęło z nimi kilkunastu żołnierzy, zachwyconych okazją do wyrwania się ze zniechęconej ciasnoty okrętu. Wyspa Radoszą miała pięć mil szerokości. Okrętowy barkas wciągnięto na piaszczystą plażę u południowo-wschodniego brzegu wyspy. Zostawiwszy wartownika przy łodzi reszta uczestników wyprawy ruszyła w nieznane.

Na kamieniach wygrzewały się legwany. Nie czuły strachu przed ludźmi, więc kilka zakłuto, by – jako pożądane urozmaicenie wikt – zabrać tusze na pokład. Były drobne w porównaniu z czarnymi olbrzymami Hespagoratu. Wyspiarskie legwany rzadko przekraczały długość pięciu stóp. Mieniły się wszystkimi odcieniami brązu. Miejscowe kraby, też drobniejsze od hespagorackich, miały tylko osiem odnóży.

Atak na przybyszów nastąpił w chwili, gdy Sartoriirwrasz z Odi Jeseratabhar szukali legwanich jaj wśród kamieni. Cztery fagory wypadły z ukrycia, z dzidami w dłoniach rzucając się na ludzi. Fagory były wynędzniałe, futra miały w strzępach i sterczące żebra. Wykorzystując przewagę zaskoczenia zabiły dwóch żołnierzy, impetem swej szarży zwaliwszy ich do wody. Jednak pozostali żołnierze stawili opór. Legwany się rozbiegły, mewy wzbiły się z wrzaskiem, nastąpiła krótka gonitwa między skałami i szybki kres potyczki. Fagory legły martwe – z wyjątkiem gildy, której Odi Jeseratabhar darowała życie. Gilda była roślejsza od swych towarzyszy i pokryta gęstym czarnym futrem. Została wzięta do niewoli i ze związanymi z tyłu rękami przewieziona łodzią na "Złotą Przyjaźń". Odi z Sartońm uściskali się w kajucie, gratulując sobie potwierdzenia prawdy, zawartej w starej legendzie, o przesmyku lądu. I ujęcia z życiem.

Następnego dnia powiał monsun i flotylla znów żeglowała na wschód. Z lewej burty mijali teraz wybrzeża Randonanu w całej ich krasie, lecz Sartoriirwrasz spędzał większość czasu pod pokładem, przesłuchując pojmaną gildę, którą nazwał Radoszą. Radosza mówiła jedynie ancipickim archaikiem, a i to w dialekcie. Nie znając archaiku ani nawet hurdhu, Sartoriirwrasz musiał korzystać z pomocy tłumacza. Odi zeszła do przepełnionej ciemnej ładowni, a widząc, co on wyprawia, wybuchnęła śmiechem.

– Jak możesz zawracać sobie głowę takim cuchnącym stworzeniem? Udowodniliśmy nasz punkt widzenia, że Radado i Throssa były kiedyś połączone. Bóg Azoikaksis pogłaskał nas po głowie. Legwany z niewielkiej odosobnionej kolonii na wyspie Radoszy to pośledniejsza rasa, odcięta od

głównej hordy legwanów na południowym kontynencie. Ta czarna owca wśród białych fagorów pewnie jest jakimś przeżytkiem hespagoracko-pegowińskiej czarnej rasy. One z pewnością wymierają na takiej małej wysepce.

Pokręcił głową. Podziwiając bystrość jej umysłu czuł, że zbyt pochopnie wyciąga wnioski.

– Gilda twierdzi, że ze swą gromadką była na okręcie, który w poprzednim monsunie rozbił się u brzegów Radoszy.

– Kłamię w żywe oczy. Fagory nie są żeglarzami. Nienawidzą wody.

– Powiada, że były galernikami na throssańskiej galerze. Odi poklepała go po ramieniu.

– Słuchaj, Sartori, aby wykazać istnienie dawnego połączenia obu kontynentów, wystarczy, moim zdaniem, rzut oka na stare mapy w kabinie nawigacyjnej. Na brzegu Radado widać Purporin, a na throssańskim jest port zwany Popewin. "Poop" oznacza "most" w wysokim ołonecie, a "pup" albo "pu" to samo w niskim ołonecie. Przeszłość cumuje w języku, jeśli się wie, jak ją wypatrzeć.

Drażnił go jej wyniosły sibornalski ton, chociaż osłodzony uśmiechem.

– Jeśli nie możesz wytrzymać smrodu, moja droga, lepiej wracaj na pokład.

– Niebawem dopływamy do Kiwazji. Takie nadbrzeżne miasto. Jak wiesz, "ass" albo "aż" w wysokim ołonecie znaczy "morze" – równoznacznym słowem ponipockim jest "asz".

Z tą racą wiedzy i z uśmiechem odeszła, jak wytrawny żeglarz wspinając się po schodkach na pokład rufowy.

Nazajutrz ze zdumieniem spostrzegł, że Radosza jest ranna. Na deskach wokół leżącej zebrała się złota kałuża krwi. Zapytał ją o to za pośrednictwem tłumacza. Mimo że bacznie obserwował gildę, nie zauważył u niej najmniejszego śladu emocji podczas odpowiedzi.

– Nie, nie jest ranna. Mówi, że dostaje rui. Właśnie przeszła okres menstruacji.

Tłumacz wyraził swój wstręt spojrzeniem, jednak zamilczał, jako niższy rangą. Z powodu wielkiej nienawiści do fagorów – zdał sobie sprawę, że już minionej, jak wiele rzeczy z dawnego życia – Sartoriirwrasz nie zajmował się ich dziejami i podobnie ani myślał nauczyć się ich języka. Takie sprawy zostawiał JandolAnganolowi, który darzył fagory maniakalnym zaufaniem. Ale seksualne obyczaje fagorów to był znany temat sprośnych żartów najgorszych uliczników z matrassyjskich zaułków; Sartoriirwrasz przypomniał sobie, że ancipitka, ani człowiek, ani zwierzę, przechodzi coś na podobieństwo jednodniowej menstruacji, która jest zapowiedzią cyklu rujowego. Być może przez pamięć starych plotek zaczął sobie wyobrażać, że branka wydziela ostrzejszy zapach z powodu rui. Podrapał się w policzek.

– Jak ona nazwała menstruację? Jakim słowem w archaiku?

– "Tennhrr". Czy mam ją zlać wodą?

– Zapytaj ją, jak często przechodzi ruję.

Dopiero pod wpływem szturchnięć gilda, wciąż w powrozach, udzieliła odpowiedzi. Długim różowawym mleczem omiotła nozdrza. W końcu przyznała się do dziesięciu menstruacji w małym roku. Kiwnąwszy głową Sartoriirwrasz wyszedł na pokład odetchnąć świeżym powietrzem. Biedne stworzenie – myślał – szkoda, że wszyscy nie możemy żyć w pokoju. Ludzko-ancipitalny dylemat.

Piątej nocy dopadła ich gwałtowna wichura, niemal kładąc karakę na boku. Wszystkie ostrokrzewy i pomarańczowe drzewka ze śródokręcia zmiotło za burtę, i obawiano się, że okręt pójdzie na dno. Jak zawsze przesądni marynarze obścapił kapitana żądając wyrzucenia fagorzej branki z okrętu, albowiem wiadomo było, że ancipita na pokładzie przynosi nieszczęście. Kapitan ustąpił. Próbował już niemal wszystkiego. Sartoriirwrasz nie spał, mimo późnej pory. Nie mógł zasnąć podczas sztormu. Sprzeciwił się decyzji kapitana. Nikt jednak nie miał nastroju do wysłuchiwanie jego argumentów; on sam był obcy i zagrożony wyrzuceniem za burtę. Odszedł, aby nie widzieć, jak

marynarze wloką Radoszę z jej cuchnącej ładowni i ciskają w odmęty.

W ciągu godziny najgorsza wichura minęła. Gdy na niebie pojawiło się światło zodiakalne, a z przodu zamajaczyła Ubogata, wiał już słabszy, świeży wiatr. O świcie dostrzeżono trzy pozostałe okręty, cudem nie uszkodzone i w niewielkiej odległości – Bóg Azoikaksis był łaskawy. W sinawych przybrzeżnych mgłach niebawem dało się zauważyć ujście Kacolu, w którym leżała Kiwazja. Nienaturalny mrok wisiał na obrzeżach widnokręgu. Morze wokół sibornalskich okrętów roiło się od delfinów śmigających tuż pod powierzchnią toni. Morskie i lądowe ptaki w wielotysięcznych stadach krążyły nad masztami. Nie wydawały głosu, lecz łopot tysięcy skrzydeł brzmiał jak ulewa bez kropli deszczu. Ptasich stad nie spłoszył sygnał „dobrej wieści” idący od okrętu w stronę lądu.

Po przejściu wichury liny takielunku zwisły i biły o maszty. Cztery okręty zwały szyk, zbliżając się do brzegu. Podniósłszy krótką lunetę do oka Diena spoglądała na spłachetek wyspy pośród fal przybojowych. Dostrzegła i naliczyła dwunastu ludzi stojących na spłachetku. Jeden kroczył naprzód.

Przez parę monsunowych dni okręty opłynęły wybrzeża Randonanu; w tym miejscu zaczynało się wraże terytorium Borlien. Było ważne, aby wieść o nadpływającej flocie nie dotarła do Ottassolu; zaskoczenie wiele tu znaczyło, jak zresztą w większości wojennych przedsięwzięć. Rozwidniało się z minuty na minutę. "Złota Przyjaźń" wymieniła sygnały ze "Zgodą", "Dobrą Nowiną" i z białą karawelą "Modlitwa Yadżabharu", ostrzegając je przed niebezpieczeństwem.

Człowiek w szerokoskrzydłym kapeluszu wchodził w spienione fale. Za nim, w ujściu rzeki, Diena wypatrzyła na wpół ukryty kadłub statku. Nie mogła wykluczyć i takiej ewentualności, że wpływają w zasadzkę, że wpłynąwszy za daleko stracą wiatr i znajdą się w pułapce. W napięciu stanęła przy relingu na pokładzie rufówki; przez chwilę żałowała, że jej niewierny lo nie stoi przy niej – zawsze był prędko w podejmowaniu decyzji. Mężczyzna w kipieli rozwinął flagę. Ukazały się pasy Borlien. Diena wezwała strzelców do obsadzenia relingu od strony lądu. Okręt zmniejszył odległość do brzegu. Mężczyzna przystanął po pas w kipieli. Powiewał flagą z wielką pewnością siebie. Szalony Borlieńczyk...

Rzuciła rozkaz kapitanowi strzelców. Kapitan zasalutował i po schodkach zejściówki wrócił, aby objąć komendę nad swymi żołnierzami. Każdą rusznicę obsługiwała para żołnierzy, jeden przy zamku kołowym, drugi trzymał lufę przy wylocie.

– Ognia! – krzyknął kapitan strzelców.

Chwila ciszy – i salwa. Tak rozpoczęła się bitwa o kiwazyjską mierzeję.

"Złota Przyjaźń" podeszła tak blisko, że Hanra TolramKetinet rozróżniał twarze strzelców nad jej nadburciem. Widział, jak strzelcy biorą go na cel. Godła na żaglach już zdradziły, że to okręty sibornalskie, dziwnie daleko od macierzystych portów. Zastanawiał się, czy jego król oportunistą zawarł z Sibornalem układ o pomocy w Wojnach Zachodnich. Nie miał podstaw uważać Sibornalczyków za wrogów – dopóki nie wymierzili broni. "Przyjaźń" prawie się obróciła burcią, aby zapewnić strzelcom najdogodniejszą linię ognia. Oceniał, że głębokość zanurzenia nie pozwoli "Przyjaźni" podejść bliżej. Wyprzedziwszy swój okręt flagowy "Zgoda" dokonywała zwrotu z lewej strony TolramKetineta, niepokojąco zbliżając się do wschodniej plaży Ostrowia Kiwazji. Słyszał niesione po wodzie głośnie komendy, gdy na „Zgodzie” zwijano żagle grota i stermasztu. Dwa mniejsze okręty bliżej randonańskich brzegów zachodziły z prawa. "Dobra Nowina" wciąż walczyła z szerokim brunatnym nurtem zachodniej odnogi Kacolu, biała "Modlitwa Yadżabharu" już ją minęła – właściwie rzecz można by, że już go zaszła od tyłu, chociaż jeszcze w pewnej odległości. Na wszystkich tych okrętach dostrzegał lśnienie wymierzonych w siebie luf. Usłyszał, jak kapitan strzelców każe dać ognia. TolramKetinet cisnął flagę, obrócił się, dał nura w fale i zaczął płynąć co tchu w kierunku piaszczystej łachy.

GortorLanstatet już osłaniał pływaka ogniem. Położył swych ludzi za łupkowym grzbietem, kierując połowę siły ognia na okręt flagowy, połowę na białą karawelę "Modlitwę Yadżabharu". Białe okręty wciąż zbliżały się jak na skrzydłach, prosto na ich pozycję. Porucznik miał w oddziale dobrego kusznika;

przydzielił mu żołnierza do pomocy i polecił przygotować smolne pociski zapalające. Ołowiane kule pluskały w wodzie wokół generała. Płynął pod wodą, jak mógł najrzadziej wynurzając się dla zaczerpnięcia powietrza. Czuł, że płynie w gęstwie delfinów, które schodzą mu z drogi. Nagle kanonada ucichła. Wynurzył się i obejrzał. Biała karawela z hierogramem Wielkiego Koła na żaglach nierozważnie wpłynęła między niego a „Złotą Przyjaźń”. Żołnierze sziwenińscy, stłoczeni na najwyższym pokładzie, zamierzali zasypać kulami obrońców cypla.

Fale bryzgały na wszystkie strony. Brzeg był nadspodziewanie urwisty. TolramKinet uczeplił się korzenia i wpełznąwszy parę stóp w zarośla legł pod ich osłoną. Leżał twarzą na brunatnym piasku, ciężko dysząc. Nie był ranny. Oczy i duszy ujrzał piękne oblicze królowej Myrdeminggali. Słyszał powagę w jej słowach. Widział ruchy jej warg. Pozostał przy życiu. Miał dla kogo zwyciężać. Tak, nie jest mądry. Nie powinien zostać generałem. Nie miał wrodzonych zdolności przywódczych Lanstateta. Ale co tam. Od kiedy w Ordelei otrzymał od królowej królowych wiadomość – po raz pierwszy przeznaczoną dla niego i tak osobistą, choć z drugiej ręki – wciąż myślał o tym, że król postanowił wziąć rozwód z królową. Bał się króla. Koronie był posłuszny, ale nie oddany. Wprawdzie rozumiał dynastyczną konieczność postępu Jandol-Anganola, lecz ta królewska decyzja wpłynęła na zmianę postawy Tolram-Kineta. Dotąd wmawiał sobie, że pociąg do królowej równa się zdradzie stanu. Jednak królowa na wygnaniu to już co innego; zdrada już nie wchodziła w grę. Ani wierność królowi, który z zazdrości wysłał go na śmierć do randonańskiej dżungli. Ponownie dźwignął się na nogi i pobiegł do oblężonej łachy Gortor-Lanstateta.

Borlieńscy żołnierze powitali TolramKinetę okrzykiem radości. Ściskając się z nimi spoglądał ponad zwirowym przedpiersiem na morze. W krótkiej chwili sytuacja dramatycznie zmieniła się pod wieloma względami. "Złota Przyjaźń" zwinęła żagle i rzuciła kotwicę z dziobu i z rufy. Kotwiczyła jakieś dwieście jardów od brzegu. Celny bełt zapalający z kuszy spowodował pożar masztu na bukszprycie i części dziobowej. Marynarze walczyli z płomieniami, a dwa barkasy pełne wojska odbijały od okrętu: jednym z barkasów – chociaż ta informacja byłaby dla TolramKineta bez znaczenia – dowodziła Admirał Odi Jesera-tabhar, która stała wyprostowana na rufie; Sartoriirwrasz uparłszy się, by jej towarzyszyć, siedział raczej sromotnie skulony u admirałskich stóp.

Nie opodal z lewej strony "Zgoda", prawie siadłszy na mieliźnie, wysadzała zbrojne oddziały wprost do płytkiej wody; żołnierze zapamiętale brnęli przez płycizny ku małej wyspie. Nieco bliżej była "Modlitwa Yadżabharu" z luźno zwieszonymi żaglami, unieruchomiona wśród płycizn, oraz barkas pełen żołnierzy niezdarnie wiosłujących w stronę wysepki. Ten barkas jako najbliższy cel ściągnął na siebie ogień borlieńskich rusznic, powodujący pewne straty wśród Yadżabharczyków. Pozycji nie zmieniła jedynie "Dobra Nowina". Z postawionymi wszystkimi żaglami ugrzęzła w bystrzach Kacolu, bukszprytem celując w Ostrów Kiwazji, nie biorąc udziału w walce.

– Im się chyba zdaje, że przeciwko sobie mają cały kiwazyjski garnizon – rzekł GortorLanstatet.

– Nie da się ukryć, że nam, biedakom, brakuje tego garnizonu. Jeśli tu zostaniemy, wybiją nas do nogi.

Trzynastu lichy uzbrojonych ludzi nie miało żadnej szansy obrony wobec czterech okrętów żołnierzy zbrojnych w rusznice z zamkiem kołowym. I wtedy to podniosło się morze, otwarło i rzygnęło assatassami.

Jak Morze Orłów długie i szerokie, assatassy niczym belty kusz śmigwały z wody na brzeg. Będący z morzem za pan brat rybacki ludek uroczyście obchodził w tym i następnym dniu święto obfitości. Takie święto zdarzało się tylko raz na początku każdego małego lata, w Wielkim Lecie, podczas wysokiej wody. W Lordrardrze przygotowano sieci. W Ottassolu rozpostarto brezentowe płachty. W Grawabagalinien wodni wasale królowej ostrzegli ją, by się trzymała z dala od śmiertelnych plaż. Co było świętem obfitości dla wtajemniczonych, stało się deszczem śmierci dla profanów.

Hen z otwartego oceanu ławice assatassów płynęły w stronę lądu. W porze Wielkiego Lata wędrówki obejmowały cały glob. Żerowiska assatassów mieściły się w odległych bezmiarach wód Morza Gorejącego, gdzie nie dotarł żaden człowiek. Osiągnąwszy dojrzałość assatassy rozpoczynały ławicami długi spływ na wschód, na przekór oceanicznym prądom. Płynęły przez Ocean Bezkresny i przez wąskie wrota Cieśniny Kadmem. To przewężenie bardzo skupiło ławice. Wymuszone sąsiedztwo pospołu z początkiem pory monsunowej na Morzu Narmozety wprowadziło odmienny wzorzec zachowania. Dotychczasowy długi powolny spływ bez wyraźnego celu przerodził się w gonitwę, której kresem miał być śmiertelny gon. Jednakże ów rzeczywisty śmiertelny gon, owa upragniona śmierć na tysiącach mil wybrzeża wymagała jeszcze jednego czynnika. Odpowiedniej fali pływu.

Przez stulecia zimy morza Helikonii nie miały żadnych pływów. Po apastronie i najmroczniejszych latach znów dawał się odczuwać wpływ Freyra. Jego olbrzymia masa nie tylko przyciągała planetę do światła, ale także poruszała morza. Obecnie, ledwie sto osiemnaście ziemskich lat od periastronu, na powłokę wód oceanicznych działała spora siła. W małym roku nastawa! taki dzień, gdy siły pływotwórcze Bataliksy i Freyra ulegały zsumowaniu. Efektem tego był sześćdziesięcioprocentowy przyrost wysokości pływu w porównaniu z wysokością zimową. Wąskość mórza między Hespagoratem a Kampannłatem i potężny zachodni prąd morski rodziły wyższą wysoką wodę i nagłe łamanie się spiętrzonych fal przyptywowych o ogromnej mocy. Z tą niezwykłą sunącą ku brzegom ławą wody zabierały się assatassy.

Okrętom sibornalskiej flotylli najpierw wyssało wodę spod stępek, a po chwili uderzyła w nie fala przyptywowa, wstająca stromo i bez ostrzeżenia z morskiej toni. Zanim załogi zdążyli sobie sprawę, co w nie gruchnęło, leciały już assatassy. Trwał śmiertelny gon.

Assatassa jest nekrorodną rybą, a właściwie rybojaszczurką. W stadium dojrzałości osiąga długość osiemnastu cali, ma parę złożonych oczu o wielobocznych ściankach, lecz tym, co ją najbardziej wyróżnia, jest prosty kościany dziób osadzony na kościanej czaszce. W swym śmiertelnym gonie assatassa osiąga wystarczająco dużą prędkość, by ów dziób przebił serce człowieka na wylot.

Pod Kiwazją assatassy wystrzeliły z toni na sto jardów przed "Złotą Przyjaźnią". Tak przepelniły powietrze, że i te w niskim locie muskające wodę, i te na wysokości pięćdziesięciu stóp utworzyły jednolite ciało pędzącej jak strzała rybojaszczurki. Powietrze stało się ostrzem miecza.

Assatassy przeczesaly okręt flagowy od stewy do stewy. Raziły każdego, kto stał na pokładzie. Od strony morza pokryły burzę, zawisnąwszy na wbitych w nią dziobach. To samo spotkało trzy pozostałe okręty. Ale to barkasy, pełne wody po przejściu fali przyptywowej, ucierpiały najbardziej. Tu wszyscy byli ranni. wselu zabitych. Burty wgniecione. Wszystkie cztery barkasy zaczęły tonąć. Rozległy się okrzyki bólu i przerażenia, zagłuszone wrzaskiem ptaków, które nurkowały, chwytając żer w powietrzu.

Przelot pierwszej fali assatassów trwał dwie minuty. Jedynie ludzie Tolram-Ketineta wyszli bez szwanku. Fala pływu przelała się prosto po nich i na wpół utopieni przeleżeli plackiem pod nawałą assatassów. Kiedy z ustaniem bombardowania popodnosili głowy, ich oczom ukazało się istne

pobojowisko. Sibornal-scy żołnierze miotali się w wodzie, osaczeni przez wielkie drapieżne ryby. "Dobra Nowina" ze złamanym grotmasztem zdawała się bezradnie dryfować na morze. Nieopanowany ogień trawił omasztowanie "Złotej Przyjaźni". Roztrzaskane nibyryby oblepiły skały i drzewa. Wiele assatassów utkwilo dziobami wysoko w gałęziach lub pniach drzew lub wpadło w niedostępne zakamarki skał. Śmiertelny gon rzucił całe ich mrowie daleko w głąb lądu. Mroczny gąszcz porastający ujście Kacolu był teraz naszpikowany rybojaszczurkami, z których do zachodu Bataliksi miały pozostać gnijące ścierwa.

Postępowanie assatassów, bynajmniej nie będąc wybrykiem natury, świadczyło o bogactwie sposobów zachowania ciągłości gatunków. Podobnie jak skądinąd odmienne bijajaki, jajaki i gunnadu, wypełniające lodowe równiny Kampanniatu podczas zimy, tak i nekrogenne assatassy tylko w śmierci dawały życie potomstwu. Były hermafrodytyczne. Obdarzone zbyt prymitywną budową, by pomieścić w sobie normalny układ rozrodczy, powiązały rozmnażanie z unicestwieniem. Zarodki rozwijały się w rodzicielskim jelicie, przybierając postać nitkowatych larw. W swej bezpiecznej kryjówce larwy nie ginęły w zawierusze śmiertelnego gonu, lecz żyły karmiąc się dostarczonym w ten sposób ścierwem. Wyżerały sobie drogę na świat. Tu ulegały metamorfozie do stadium czwórnożnej larwy, bardzo przypominającej miniaturkę legwana. Jesienią małego roku te miniaturowe legwany, dotychczas przypisane do lądu, przedzierały się z powrotem do wielkiej macierzystej głębiny morza, znikając w niej, zapadając się w toni bez śladu, jak ziarenka piasku, i dopełniały cykl życia assatassy.

Nagły obrót wydarzeń był tak zaskakujący, że I oIramKetinet z Lanstatetem stanęli na swym cypelku wyprostowani i rozglądali się dokoła. Wielka fala, która zalała całe podwodzie, stanowiła tbi pocztę przyływu, który przysporzył trudności brodzącym do brzegu Sibornalczykom. Tamta pierwsza fala pognęła w górę Kacolu. Jej rozlane wody powracały teraz niosąc czarny muł i plamiąc morze czarnymi wirami. Po lewej ręce TolramKetineta bardziej złowieszcza procesja trupów sunęła z ujścia rzeki podtopionym korowodem w asyście rozwrzeszczonych morskich ptaków. Generał zgadywał, że to trupy pomordowanych Kiwazjan ciągną na miejsce spoczynku.

Fala przyływu wywróciła barkas "Złotej Przyjaźni". Ci, którzy nie pozostali dostatecznie długo pod wodą, stawili czoło rybojaszczurzej nawałnicy. Szamocząc się w wodzie między rannymi Sartoriirwrasz dostrzegł wśród nich Odi Jeseratabhar. Miała rozcięty policzek, a v/ jej karku tkwiła rybojaszczurka. Wielu rannych atakowały drapieżne mewy. Sartoriirwrasz sam był nietknięty. Przedarłszy się do Odi wziął ją na ręce i pobrał w stronę lądu. ^r'oda wciąż przybierała. Brnął z twarzą tuż przy wbitej w kark Odi assatassie, z okiem tuż przy jej wielkim kościanym oku, z którego jeszcze nie uciekła resztką życia. Jak, u licha, ludzie mogą wznosić wały chroniące przed przyrodą, skoro ona stale zalewa jak potop, obojętna na to, co ze sobą porywa? – pomyślał. – Tyle twojego, ty g^gaczu Akhanabo!

Wszystko, na co było go stać, to utrzymywanie głowy omdlałej Odi nad powierzchnią wody. Do cypla lądu miał zaledwie parę jardów, jednak woda wciąż wzbierała. Krzyknął z przerażenia – i nagle zobaczył na cyplu człowieka, który wyglądał jak nienawistny JandolAnganolowi generał TolramKetinet.

TolramKetinet i GortorLanstatet bacznie obserwowali sibornalski okręt "Modlitwę Yadżabharu", stojący z prawej strony w bardzo małej odległości. Przyływowa fala rzuciła „Modlitwę” na brzeg, lecz odbojowe wiry wód Kacolu ponownie ściągnęły ją na głębiny. Pominawszy naszpikowaną assatassami prawą burzę, okręt był w dobrym stanie. Doszczętnie zdemoralizowana załoga uciekała na ląd i kryła się po krzakach.

– Zdobycz sama się pcha w ręce, Gortor. Co ty na to?

– Nie jestem żeglarzem, ale bryza dmucha od lądu. Generał obrócił się do swej dwunastki.

– Dzielni z was towarzysze. Nikomu nie brak odwagi. Gdyby choć jednemu zabrakło tylko na chwilę odwagi, wszyscy byśmy zginęli. Zanim będziemy bezpieczni, musimy wykonać ostatnie zadanie. Nie otrzymamy pomocy z Kiwazji, więc musimy pożeglować wzdłuż wybrzeża. Pożyczymy sobie tę białą karawelę. To dar losu – chociaż o ten dar może trzeba będzie powalczyć. Miecze w dłoń. Za mną!

Biegnąc brzegiem na czele oddziału omal nie wpadł na ociekającego wodą człowieka, który z kobietą w ramionach usiłował wyleźć na ląd. Człowiek zawołał generała po imieniu.

– Hanra! Ratuj!

Ze zdumieniem rozpoznał kanclerza Borlien i przemknęła mu przez głowę myśl: To chyba jeszcze jeden oszukany przez JandolAnganola... Zatrzymał swój oddziałek. Lanstatet wyciągnął Sartoriirwrasza z toni, dwaj żołnierze podtrzymali kobietę z dwóch stron. Jęczała, odzyskując przytomność. Pośpieszyli do „Modlitwy Vadżabharu”

Marynarze i żołnierze sziwenińskiej karaweli ponieśli straty w ludziach. Część zginęła; większość zranionych przez assatassy zesła na ląd. Ptaki śmigają wokół okrętu, wyjadając uwięzione w takielunku rybojaszczurki. Do walki pozostała garść żołnierzy z oficerami. Drużyna TolramKetineta uderzyła na nich, wspiąwszy się po burcie od strony morza. Przeciwnicy nie mieli już serca do boju. Po markowanej potyczce złożyli broń i zostali zmuszeni do skakania na brzeg. GortorLanstatet z trzema ludźmi zszedł na pokład tropiąc i wyrzucając z okrętu wszystkich dekowników. W siedem minut od abordażu byli gotowi do odpłynięcia. Ośmiu żołnierzy pchało karawelę. Pomalutku obróciła się, chwytając wiatr w podziurawione żagle.

– Hej raz! Hej raz! – pokrzykiwał TolramKinet z mostka.

– Nie cierpię okrętów – powiedział GortorLanstatet. Uklękawszy z wzniesionymi do góry rękoma odmawiał modlitwę. Rozległ się huk i bryzgi wody zmoczyły obu od stóp do głów. Na „Złotej Przyjaźni” dostrzeżono piractwo. Biło do nich jedno działo z odległości dwustu jardów. „Modlitwa”, wypychana krok za krokiem spod osłony leśnej gęstwiny, złapała silniejszą bryzę. Dwóch kanonierów spośród Borlieńczyków bez rozkazu wyrzuciło jedno z dział na pokładzie działowym. Oddali z niego strzał do „Złotej Przyjaźni”, po czym kąt pomiędzy dwoma okrętami stał się tak ostry, że nie można było obrócić wylotu lufy w prostokątnej ambrazurze na tyle, by wycelować w okręt flagowy. Obsługa działa na okręcie flagowym borykała się z tym samym kłopotem. Jeszcze jedna kula, przeleciawszy górą, spadła w zarośla na wyspie, i zaległa cisza. Ośmiu żołnierzy z wody wspięło się po siatce przeciwbordażowej na pokład, wiwatując na cześć nabierającej szybkości „Modlitwy”. Za jej lewą burtą przesuwiał się zarośnięty brzeg wyspy. Ścierwojady obiegły drzewa pożerając wbite assatassy i płosząc szerszenie i pszczoły, które z wściekłym brzęczeniem krążyły wokół ptaków. „Modlitwa” zbliżyła się do uskuckiej „Zgody”, nadal unieruchomionej z dziobem na piasku.

– Możecie ją rozwalić przy mijaniu? – krzyknął GortorLanstatet w stronę pokładu działowego.

Kanonierzy rzucili się do lewej bruty, odsunęli zasuwę ambrazury, zaczęli ładować prymitywne działo. Jednak zbyt szybko płynęli i zabrakło czasu na oddanie strzału.

Zdegradowany lo Paszaratid znalazł się wśród marynarzy i żołnierzy „Zgody”, którzy opuścili okręt szukając w dżungli schronienia przed śmiertelnym gonem. lo zwiął pierwszy. Do ucieczki bardziej skłoniło go wyrachowanie niż strach. Spośród Sibornalczyków z całej floty tylko on jeden kiedyś bawił w Kiwazji, jako ambasador na borlieńskim dworze służbowo podróżując po kraju. Co prawda nie zachwyił się miastem, ale przyszło mu do głowy, że mógłby tu zdobyć jakieś zapasy żywności, by sobie powetować monotonię okrętowej kuchni. Liczył, że w ogólnym zamieszaniu nikt

nie zauważy jego zniknięcia na dwie godziny. Widok wypalonych ruin miasta zniweczył te plany. Wrócił na pole walki w samą porę, aby na własne oczy oglądać, jak tuż obok "Zgody" przepływa "Modlitwa Yadżabharu" ze stojącym na jej pokładzie rufowym TolramKetinetem, faworytem królowej królowych.

Io Paszaratid nie kierował się wyłącznie prywatą, jednak w owej chwili zazdrość miała niemały wpływ na jego postępowanie. Puścił się biegiem, skrzykując pochowanych w krzakach żołnierzy, zaganiając ich z powrotem na pokład „Zgody”. Fala pływowa osadziła okręt w nienaruszonym stanie na skrawku plaży. Wykonawszy parę manewrów za pomocą wiosel i przyływu ściągnięto karakę z mielizny. Strymowano żagle i powoli dziób karaki obrócił się w kierunku otwartego morza. Podniesiono flagi sygnałowe z wiadomością, że "Zgoda" rusza w pościg za piratem. Sygnał był przeznaczony dla oczu Dieny Paszaratid na "Złotej Przyjaźni"; lecz Diena nie mogła już odebrać żadnych sygnałów. Jej śmierć była jedną z pierwszych ludzkich śmierci spowodowanych śmiertelnym gonem assatassów.

Dopiero po wyjściu z zatoki, gdy zachodni świeży wiatr z wolna pchał ich pod dominujący prąd oceaniczny, TolramKetinet i Sartoriirwrasz skorzystali z okazji, by się uściskać. A gdy już wysłuchali wzajemnych relacji o swych przygodach, TolramKetinet zauważył:

– Nie mam się czym szczycić. Jestem żołnierzem i bez gadania idę tam, gdzie mi każą. Moje generałowanie sprowadziło się do tego, że straciłem armię bez możliwości stoczenia choćby jednej bitwy. Tę hańbę będę dźwigał przez całe życie. Randonan połyka ludzi bez śladu.

Eks-kanclerz milczał.

– Ja – rzekł po chwili – cieszę się z moich podróży, równie nie zamierzonych jak twoje. Sibornalczyki wykorzystali mnie, ale te przejścia dały mi rzecz cenną. Bardziej niż cenną. – Wskazał na Odi Jeseratabhar, której opatrzone rany i która z zamkniętymi oczami siedziała na pokładzie, przysłuchując się rozmowie. – Jestem coraz starszy, a miłości starszych zawsze śmiesz takich młokosów jak ty, Hanra. Nie, nie zaprzeczaj. – Roześmiał się. – I jeszcze coś. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jakie szczęście mają nasze pokolenia, żyjąc w tej porze Wielkiego Roku, kiedy panuje upał. Jakim cudem nasi przodkowie przeżyli zimę? A koło się obróci i znowu przyjdzie zima. Cóż za złośliwość losu dorastać pod umierającym Freyrem i nie poznać nic innego. W pewnych regionach Sibornalu ludzie w ogóle nie widują Freyra przez stulecia zimy.

TolramKetinet wzruszył ramionami.

– Taki los.

– Ale jak olbrzymia rozpiętość skali rozwoju i upadku... Może nam się tylko wydaje, że nie należymy do świata przyrody. No cóż, dajmy spokój tym domysłom, które, jak wiemy, nigdy cię nie pociągały. Jedno rzec muszę. Znalazłem, jak sądzę, rozwiązanie pewnej kwestii, wywracając do góry nogami cały porządek rzeczy... – Umilkł, gładząc przemoczone bokobrody. Tolram-Ketinet z uśmiechem zachęcił go, by mówił dalej.

– Sądzę, że domyślam się czegoś, czego nigdy nikt się nie domyślił. Muszę pojechać do Oldorando lub Pannowalu, aby przedstawić mój domysł władzom Świętego Cesarstwa. Mój wywód, powinienem rzec. Tam mnie niechybnie wynagrodzą i będziemy sobie żyli dostatnio, ja i Odi.

– Zapłata za domysły! Muszą być drogocenne – powiedział Tolram-Ketinet, badawczo przyglądając się ozdobionej bokobrodami twarzy kanclerza.

Zawsze wiedziałem, że to dureń – pomyślał eks-kanclerz, ale nie potrafił przepuścić okazji do wyjaśnień.

– Bo widzisz – zaczął zniżając głos tak, że ledwo się przebijał przez łopot żaglowego płótna ponad nimi – jazawsze nie cierpiałem rasy ancipitalnej, odwrotnie niż mój władca. Stanowiło to

kość niezgody między nami. Mój domysł, mój wywód jest bardzo ciężkim oskarżeniem ancipitów. Dlatego zostanie wynagrodzony zgodnie z Deklaracją Pannowalską.

Odi Jeseratabhar wstała z leżaka i wzięwszy Sartoriirwrasza pod rękę zwróciła się do generała i Lanstateta, który do nich dołączył.

– Pewnie nie wiecie, że król JandolAnganol zniszczył dzieło życia kanclerza, jego Abecadło historii naturalnej. To zbrodnia nie do wybaczenia. Ten – jak kanclerz skromnie nazywa – wywód będzie jego zemstą na JandolAnganolu i może pozwoli nam obojgu wspólnie pracować nad ponownym złożeniem Abecadła.

– Jesteś, pani, śmiertelnym wrogiem naszego kraju – ostro rzekł Lan-statet. – Winnaś siedzieć w kajdanach pod pokładem.

– To już przeszłość – z powagą odparł Sartoriirwrasz. – Teraz jesteśmy po prostu parą wędrownych uczonych... i bezdomnych zarazem.

"Wędrowni uczeni"... Tego już było za wiele dla generała, więc zapytał rzeczowo:

– jak się dostaniecie do Pannowalu?

– Odpowiada mi Oldorando, jest bliżej, i jeśli nie ma tam jeszcze króla, to mam nadzieję go wyprzedzić i sprawić mu jak największe kłopoty, zanim poślubi madiską księżniczkę. Ty też nie darzysz króla miłością, Hanra. Doskonale się nadajesz, żeby mnie tam zabrać.

– Ja płynę do Grawabagalinien – twardo rzekł TolramKetinet – jeśli tylko ta krypa nas tam dowiezie, a wrogowie nie dościgną.

Wszyscy obejrżeli się za siebie. "Modlitwa Yadżabharu" była już na pełnym morzu, ciężko pracując na fali i wzdłuż wybrzeża podążając na wschód. "Zgoda" wyszła z Zatoki Kiwazyjskiej, ale żeglowała daleko w tyle. Na razie nie groziło im doścignięcie.

– W Grawabagalinien spotkasz swą siostrę Meję – powiedział Sartori-Irwrasz7.

Generał uśmiechnął się bez słowa.

Później zauważyli, że do pościgu dołączyła "Dobra Nowina" z awaryjnym ożaglowaniem grotmasztu. Oba idące za nimi okręty zniknęły w mgiełce, kiedy na zachodnim widnokregu wyrosły burzowe chmury o krawędziach poczerwieniałych jak miedź. Błyskawice bezgłośnie dziergały podstawy chmur. Druga fala assatassów niczym rozwinięte skrzydło podniosła się z morza i spadła na ląd. "Modlitwa" szła zbyt daleko od brzegu, by doznać uszczerbku. Ledwie kilka rybojaszczurek śmignęło obok okrętu. Ludzie spokojnie patrzyli na to, co rankiem wprawiło ich w osłupienie. Zapadł mrok i gromy dudniły nad pełznącym w kierunku Grawabagalinien okrętem, a ogniki światła rozblęły na brzegu, gdzie tubylcy raczyli się posiłkiem ze śniętych gości.

• I jeszcze coś podążało do miejsca, gdzie w drewnianym pałacu rezydowała królowa królowych, coś bez tożsamości – trup człowieka.

RobaydayAnganol odbył podróż bez pieniędzy w dół rzeki z Matrassyłu do Ottassolu, wyprzedzając ojca. Gdziekolwiek szedł teraz, szedł wyjątkowo spiesznym krokiem, na wpeł oglądając się za siebie; gdyby tylko wiedział, jak bardzo tym wizerunkiem człowieka prześladowanego przypomina ojca. Sam uważał się za prześladowcę. Myślał jedynie o wzięciu pomsty na własnym ojcu.

W Ottassolu, miast do podziemi pałacu, w którym król miał się zatrzymać, poszedł do domu, w którym mieszkał astrolog i anatom Bardol KaraBansita, stary przyjaciel Sartoriirwrasza. KaraBansita nie darzył króla ani jego syna dziwaka wielką sympatią. Gościł u siebie towarzystwo astrologów z Yaligos. Zaofiarował Robaydayowi swój domek w porcie, razem z dziewczyną – jak się wyraził – do wszystkiego.

Robayday rzadko interesował się kobietami. Z miejsca jednak mu się spodobała mieszkanka

portowego domu KaraBansity, dziewczyna o długich kasztanowych włosach i z miną zagadkowej wyższości, jak gdyby posiadała nikomu nie znaną tajemnicę. Oznajmiła, że ma na imię Metta, a wtedy ją sobie przypomniał. To była dziewczyna, z którą się zabawiał w Matrassyłu. Jej matka przyszła z pomocą jego ojcu, rannemu w Bitwie Kosgatckiej. W istocie na imię jej było Abatha. Nie poznała Roby. Takie panienki z pewnością nie liczą kochanków. Zrazu chłopak nie przypomniał się dziewczynie. Poczekał, aż sama przyszła. Aby zrobić na nim wrażenie, mówiła o kompromitującej znajomości z sibornal-skimi dostojnikami w Matrassyłu; słuchał nie spuszczać wzroku z twarzy dziewczyny i myśląc o jej jakże odmiennym spojrzeniu na świat pełen sekretnych zabiegów.

– Nie poznajesz mnie, bo mnie trudno poznać, a przecież był taki dzień, gdy nosiłaś mniej kohiu na rzęsach i gdy byliśmy bliżej siebie niż język i zęby.

Na to zawołała nań po imieniu i z wielką radością wzięła go w objęcia.

Potem stwierdziła, że nie bez powodu jest wdzięczna swojej matce i regularnie posyła jej pieniądze za to, że nauczyła córkę, jak ma się obchodzić z mężczyznami. Żywi upodobanie do wysoko urodzonych i możnych; została haniebnie uwiedziona – stwierdziła – przez KaraBansitę, ale teraz liczy na coś lepszego. Pocałowała Robę. Podkasawszy czarfral odsłoniła białe uda. Wszędzie widzący okrucieństwo Robayday ujrzał tylko pułapkę pajęczycy. Wszedł w nią ochoczo. Potem leżeli i całowali się, i dziewczyna ślicznie się śmiała. Kochał ją i nienawidził. Całe jego jestestwo wyrywało się do Oldorando, a mimo to został przy niej na drugi dzień. Nienawidził i kochał. Drugi wieczór w jej domu. Miał wrażenie, że wymaże przeszłość, jeśli zostanie na zawsze. Ponownie rozpuściła swe piękne włosy i zadarła suknię, ponownie wlała z nim do łóżka. Padli sobie w objęcia. Kochali się. Była krynicą rozkoszy. Gdy ją go rozbierać do dłuższych pieszczot, załomotano w drzwi. Oboje usiedli w popłochu. Łomotnęło jeszcze gwałtowniej. Przez wyważone drzwi wtoczył się krępy chłopak cudacznie odziany na dimariamską modłę. Diw Muntras, byczą szarżą wieńczący poszukiwania bogdanki.

– Abathol! – ryknął.

Podniosła wrzask w odpowiedzi.

Samotnie dopłynawszy do Ottassolu wpadł na jej trop dzięki skrzętnym poszukiwaniom. Sprzedał wszystko, co posiadał, zatrzymując jedynie zegarkowy amulet skradziony Biloszowi i głęboko schowany w kieszonce u pasa. Wreszcie odnalazł tę, która nie schodziła mu z myśli od chwili zmysłowych igraszek z jego ojcem na pokładzie „Polarnej Panny”, i oto zastaje ją na tryktraczeniu się z innym mężczyzną. Rysy mu się wykrzywiły w maskę wściekłości. Wzniósł pięści. Z rykiem ruszył naprzód.

Robayday poderwał się i plecami do ściany stanął na łóżku. Twarz miał pociemniałą od gniewu na intruza. Żeby ktoś ryczał na królewskiego syna – i to w takim momencie! Opanowała go żądza mordy. Za pasem nosił puginał o ostrej dwusiecznej głównej z rogu fagora. Dobył puginału.

Widok broni jeszcze bardziej rozjuszył Diwa. Zaraz się załatwi z tym chudzielcem, z tym nieproszonym gościem. Abatha krzyknęła na niego, ale jej nie słuchał. Przycisnąwszy obie dłonie do ślicznych ust stała z oczami szeroko rozwartymi z przerażenia. To uradowało Diwa. Dziewczyna miała być następna. Rzucił się na przeciwnika, jednym susem wskakując na łóżko. Koniec rogu trafił go tuż pod najniższe zebro. Wszedł, chrobotnąwszy, na kości. Impet Diwa sprawił, że róg wszedł po rękoność, przebijając śledzionę i żołądek, i ułamując się u nasady rękoności, która została przeciwnikowi w ręku. Diw wydał długi głuchy jęk. Poleciał na ścianę i osunął się na podłogę, rozbryzgując krew po murze. Zły jak osa Robayday zostawił dziewczynę z jej łzami. Sprowadził dwóch ludzi, którzy usunęli zwłoki, wrzucając je do Takissy. Robayday zbiegł z miasta, jakby mu po piętach deptały wściekłe psy. Nawet nie zajrzał do izby ani do dziewczyny.

Miał wyznaczone spotkanie, o którym nie wolno mu było zapomnieć – spotkanie w Oldorando. Przez całą drogę płakał i przeklinał na przemian.

Niesiony i obracany prądem rzeki trup Diwa Muntrasa przepłynął wśród statków i łodzi do ujścia Takissy. Nikt nie zauważył, jak przepływa, albowiem większość ludzi, nawet niewolników, świata nie widziała spoza stert smażonych assatassów. Dostrzegły za to trupa i już nie odstępowały ryby, a morze, przejąwszy rozmokłe ciało, dołączyło je do wód sunących na zachód, ku Grawabagalinien.

Tego wieczoru po zachodzie słońca prości ludzie wyszli na plaże i przylądki wybrzeża Borlien. Przybywali na obchody święta dziękczynienia. We wszystkich okalających morskie przesmyki krainach, w Randonanie, Thribriacie, Iskahandi, Dimariamie, Throssie, miały się zbierać podobne tłumy. Oto dobiegało kresu wielkie święto assatassy. Oto nadeszła pora, by wstać od biesiadnych stołów i głosić chwałę ducha wód za jego błogosławione dary.

Kobiety śpiewały i tańczyły na piasku, podczas gdy ich mężowie z małymi łódeczkami w ręku wchodzili w morze. Łódeczki były z liści, a na każdym liściu płonął ogarek świecy, roztańczając upojną woń. Z nastaniem zmroku na każdej plaży wodowano całe armady liścianych łódeczek. Z nikłym płomykiem unosiły się na falach długo po zapadnięciu nocy, tworząc obrazy przypominające zabobonny świat mamików i mamunów zawieszonych w wiekuistej ciemności. Niektóre wyniosło daleko w morze, nim pogasły Ich wątłe płomyki.

XVIII. GOŚCIE Z OTCHŁANI

Każdy, kto zbliżał się do Grawabagalimen, już z daleka widział drewniany pałac będący schronieniem królowej królowych. Pałac odcinał się od otoczenia jak zabawka porzucona na plaży. Legenda głosiła, że Grawabagalinen jest nawiedzone. Że kiedyś w jakiejś odległej przeszłości na miejscu lichego pałacu wznosiły się mury warowni. Że warownia została doszczętnie zburzona w wielkiej bitwie. Ale nikt nie wiedział, kto z kim wojował ani o co. Wiedziano tylko tyle, że ludzie zginęli i zostali pochowani w płytkich grobach tam, gdzie padli. Z dala od swoich oktaf śródziemnych ich cienie miały rzekomo wciąż nawiedzać to miejsce.

Na tej starej, nie poświęconej ziemi niewątpliwie rozgrywała się współczesna tragedia. Oto bowiem wybiła godzina, w której król JandolAnganol w dwa okręty przyплыł wraz ze swymi ludźmi i fagorami, razem z Rsomberrem i KaraBansitą, aby się rozwieść z królową.

A królowa Myrdeminggala zeszła po schodach i odbyła się rozwodowa ceremonia. Podano wino i dopuszczono się wielu niegodziwości. Alam Esomberr, poseł C" Sarra, zakradł się do komnaty eks-królowej za ledwie w parę godzin po przeprowadzeniu jej rozwodu. Wtedy to pizysła wiadomość, że Simodę lał zamordowano w Oldorando. Bolesna nowina została przekazana królowi z chwilą, gdy pierwsze promienie wschodzącej Bataliksy ozłociły złuszczone zewnętrzne ściany pałacu. Można już było zauważyć nieuchronność losów ludzkich i fagorzyc, jako że bieg wypadków zbliżał się do momentu kulminacyjnego, kiedy to bezradni główni bohaterowie zosianą porwani i niczym komety ciśnięci w mrok. Rwać włosy z brody JandolAnganol cichym od rozpaczyc głosem zanosił wołania do Akhanaby.

– Oto pada sługa twój przed tobą, o Przena] większy. Tyżeś zesłał mi rozpacz. Tyżeś zesłał upadek i klęskę moich armii. Tyżeś spowodował, że mój syn wyparł się ojca. Tyżeś sprawił mój rozwód z moją ukochaną królową Myrdeminggala. Tyżeś sprawił zabójstwo mojej przyszłej panny młodej... Ile muszę jeszcze przecierpieć dla Ciebie? Nie zsyłaj cierpień na mój lud. Moje cierpienie, o Wielki Panie, przyjmij jako dostateczną ofiarę za moich poddanych.

Wstał i zakładając koszulę słucał, co mówi bladolicy AbstrogAthenat.

– To prawda, że armia straciła Randonan. Ale wszystkie cywilizowane kraje są otoczone ziemiami barbarzyńców i ponoszą klęski, ilekroć wyślą tam swoje armie. Trzeba nam iść nie z mieczem, lecz ze słowem bożym.

— Krucjaty to zabawa dla Pannowalu, nie dla naszego biednego królestwa, wikariuszu.

Poprawiając koszulę na swych bliznach zmacał w kieszeni trójczasowy chronometr odebrany KaraBansicie w Ottassolu. Teraz jak i wtedy czuł, że to złowrózby przedmiot. AbstrogAthenat pokłonił się, trzymając bicz za plecami.

– Moglibyśmy przynajmniej uradować Wszechmocnego większą dbałością o nasze człowieczeństwo i odrzuceniem wszystkiego, co nieczłowiecze.

W nagłej złości JandolAnganol na odlew trzasnął wikariusza wierzchem dłoni w gębę.

– Pilnuj spraw boskich, a ziemskie pozostaw mnie.

Wiedział, co wikariusz miał na myśli. Była to aluzja do oczyszczenia Borlien z fagorów. Nie zapinając koszuli i czując, jak tkanina osusza krew z niedawnego biczowania, JandolAnganol wyszedł z piwnicznej kaplicy na przyziemie drewnianego pałacu. Juli przyskoczył na powitanie. Królowi pulsowało w skroniach, jakby miał oślepnąć. Pogłaskał fagorka, nurzając palce w gęstej sierści. Na dworze jeszcze leżały długie cienie. Nie bardzo wiedział, co począć z nowym dniem – nie dalej jak wczoraj przybył do Grawabagalinen i przed posłem Świętego CSarra, Alammem

Esomberrem wziął rozwód ze swą piękną królową. Pałacowe okiennice były na głucho zaparte, tak jak wczoraj. Zmorzeni pijackim snem ludzie jeszcze pokotem leżeli po komnatach. Słoneczny blask wrzynał się w ciemność gmatwaną promieni i król miał wrażenie, że kroczy do wyjścia we wnętrzu wiklinowego kosza. Otworzył drzwi na nieruchome szeregi długich pysków i rogów pełniącej wartę Pierwszej Królewskiej Gwardii Fagorzej. Tak czy owak, radują oczy – powiedział sobie, usiłując odegnąć czarne myśli. Wyszedł na przechadzkę, nim skwar da się we znaki. Patrzył na morze nie widząc i chłonał swdeżość bryzy, nic nie czując.

Przed świtem, kiedy wciąż był pogrążony w głębokim śnie z przepicia, przyszedł doń Esomberr. Obok Esomberra stał nowy kanclerz króla, Bardol KaraBansita. Przynieśli mu wiadomość, że madiska księżniczka, którą zamierza poślubić, nie żyje, zamordowana przez skrytobójcę. Wszystko utracił. I po co zadał sobie tyle trudu, by wziąć rozwód z kochającą żoną? Co go opętało? Są rozstania, których nie wytrzymują najmocniejsi. Pragnął z nią porozmawiać. Przez delikatność nie wyprawił posłańca do jej komnaty na piętrze. Wiedział, że ona tam zamknęła się z małą księżniczką Tatrą i czeka, aż on odpłynie i zabierze swoich żołnierzy. Pewnie słyszała wiadomość przyniesioną w środku nocy.

Pewnie sama się lęka skrytobójczej śmierci. Pewnie go nienawidzi. Obrócił się ze zwykłą mu gwałtownością ruchów, jak gdyby chciał nakryć na czymś sam siebie.

Nowy kanclerz nadchodził zdecydowanym i tak ciężkim krokiem, że aż trzęsły mu się policzki. JandolAnganol zmierzył KaraBansitę spojrzeniem, po czym odwrócił się plecami. KaraBansita musiał obchodzić króla i Juliego, nim złożył niezgrabny ukłon. Król utkwiał w kanclerzu bazylijskowe oczy. Obaj milczeli. KaraBansita spuścił ponury wzrok.

– Zastajesz mnie w złym humorze.

– Ja także nie spałem, Panie. Głęboko boleję nad tym nowym nieszczęściem, jakie 'Was spotkało.

– Mój zły humor nie dotyczy tylko Wszechmocnego, lecz i ciebie, osobę o mniejszej mocy.

– Czym ci się naraziłem, Panie?

Orzeł ściągnął brwi, świdrując go prawdziwie orlim spojrzeniem.

– Wiem, że po cichu jesteś przeciwko mnie. Słyszysz z chytryści. Na twojej twarzy dostrzegłem radość, której nie potrafiłeś ukryć, przychodząc z wiadomością o śmierci... no wiesz czyjej.

– Madiskiej księżniczki? Skoro mi tak nie ufasz. Panie, nie powinieneś mnie zatrudniać jako kanclerza.

JandolAnganol znów pokazał plecy i żółty batyst koszuli w krwawe wzory, niczym starożytną chorągiew. KaraBansita bił się z myślami. Z roztargnieniem spoglądał na pałac, na mszczącą się biel farby. Odczuł, co to znaczy być człowiekiem z ludu, a co to znaczy być królem. Cieszył się życiem. Miał wielu znajomych i był potrzebny ludziom. Kochał swoją żonę. Dobrze mu się powodziło. Aż tu pojawił się król i porwał astrologa wbrew jego woli, jak niewolnika. KaraBansita przyjął wyznaczoną mu rolę, a jako człowiek z charakterem usiłował jej sprostać. A teraz ten pan i władca ma czelność mu oświadczyć, że on po cichu jest przeciwko królowi. Królewska bezczelność nie zna granic – a jak dotąd nie widział sposobu, by się wykręcić od towarzyszenia królowi w drodze do samego Oldorando. Stracił całe współczucie dla królewskich kłopotów.

– Chciałem powiedzieć, Wasza Królewska Mość – zaczął zdecydowanym głosem, lecz nagle wystraszył się własnej śmiałości, patrząc na zakrwawione plecy. – Właściwie to głupstwo, ale przed wypłynięciem z Ottassolu zabraliście mi ów ciekawy czasomierz z potrójnym cyferblatem. Czy przypadkiem macie go nadal?

Król nie obrócił się ani nie drgnął.

– Mam go przy sobie w kieszeni – rzekł.

KaraBansita odetchnął głęboko, po czym spytał pokorniej niż zamierzał:

– Czy mógłbym prosić o zwrot zegarka. Wasza Królewska Mość?

– Nie pora prosić mnie o podarki, gdy zagrożona jest pozycja Borlien w Świętym Cesarstwie.

Tak przemawiał Orzeł. Obaj stali przyglądając się, jak Juli buszuje w krzakach pod pałacem.

Stworzenie sikało do tyłu zwyczajem swoich ziomków. Król równym krokiem ruszył w stronę morza. Nie jestem lepszy od przekłętego niewolnika – pomyślał KaraBansita. Podążył za królem. Z rozbrykanym miódkiem u boku król mówił i szedł coraz szybciej, aż tęgi astrolog musiał zdrowo wyciągać nogi. Już nie wrócił do sprawy zegarka.

– Łaskawy Akhanaba zasadził wiele owoców na drodze mego życia. A w każdym odkrywałem dodatkowy posmak obietnicy, że dostanę więcej – jutro i pojutrze, i popojutrze. Czego tylko zapragnąłem, tego mogłem mieć więcej. To prawda, że ponosiłem niepowodzenia i klęski, ale nad każdą unosił się duch obietnicy. Nie przejmowałem się nimi zbyt długo. Moja osobista porażka w Kosgacie... cóż, wyciągnąłem z niej naukę, a samą porażkę puściłem w niepamięć i w końcu odniosłem tam wielkie zwycięstwo.

Mijali rząd gwing-gwinkowych drzew. Zerwawszy gwing-gwinkę król wbił w nią zęby po pestki, ciągnąc swą przemowę i nie zważając na sok ciekący mu po brodzie.

– Dziś widzę moje życie w nowym świetle. Być może wszystko, co było mi obiecane, już otrzymałem... Ostatecznie mam już ponad dwadzieścia pięć lat. – Mówił jakby pod przymusem. – Być może to jest moja pełnia lata, a gdy w przyszłości potrząsnę gałęzią, nie spadnie ani jeden owoc... Czy mogę wciąż liczyć na obfitość? Czy nasza religia nie ostrzega, że musimy się liczyć z porą głodu? Ha! Akhanaba jest jak Sibornalczyk, zawsze opętany myślą o mającej nadejść zimie.

Szli wzdłuż niskich klifów dzielących ląd od plaży, gdzie zwykła się kąpać królowa.

– Powiedz mi – rzucił król niedbale – skoro jako ateista nie masz religijnego podejścia do sprawy, jak się zapatrujesz na moje kłopoty?

KaraBansita milczał, zwróciwszy nalane, poczerwieniałe oblicze ku ziemi, jak gdyby chroniąc je przed kłującym spojrzeniem króla. Weź się na odwagę – pomyślał.

– No więc? Dalej, mów, co chcesz. Ja straciłem ducha! Wychłostał go mój bladolicy wikariusz...

KaraBansita przystanął; król również.

– Ostatnio, Panie, aby wyświadczyć przyjacielowi przysługę, wziąłem pod swój dach pewną młodą damę. W naszym domu gościmy z żoną wielu ludzi, żywych i martwych, również zwierzęta do dysekcji, oraz fagory, czy to do dysekcji, czy jako domowych strażników. Nikt nie sprawił tyle kłopotów, co ta młoda dama. Kocham i zawsze będę kochał moją żonę. Ale pożądałem tej młodej damy. Gardziłem nią, a pożądałem jej. Gardziłem sobą i pożądałem jej.

– I posiadłeś ją?

KaraBansita roześmiał się i twarz mu się rozjaśniła po raz pierwszy w towarzystwie króla.

– Posiadłem ją, Panie, tak samo jak wy posiadacie tę gwing-gwinkę, owoc jak najbardziej półdniowy. Aż pociekły soki. Panie... Ale to nie była miłość, tylko khmir, a gdy khmir ostygł – choć był to niewątpliwie pewien proces... był to proces pełni lata, Panie – gdy tylko ostygł, poczułem wstręt i do siebie, i do niej. Umieściłem ją poza domem i zakazałem wstępu w moje progi. Odtąd to, jak się dowiaduję, powróciła do profesji swej matki i spowodowała śmierć przynajmniej jednego mężczyzny.

– Co to ma wspólnego ze mną? – spytał król z wyniosłą miną.

– Wydaje mi się, Panie, że siłą sprawczą Waszego życia jest pożądanie, a nie miłość. Patrząc z religijnego punktu widzenia, mówicie, że Akhanaba zasadził wiele owoców swej łaski na Waszej drodze życia. Z mojego punktu widzenia, bierzecie to, na co macie ochotę, robicie to, na co macie

ochotę, i pragniecie tak żyć dalej. Łaskami darzycie ancipitów, wykorzystując ich do własnych celów, nie bacząc, że w rzeczywistości fagory nigdy nie są uległe. Doprawdy żadna siła nie zagrozi Warn drogi – oprócz królowej królowych. Ona może zagrozić Warn drogę, bo ona jedna w świecie budzi Waszą miłość i, być może, pewien szacunek. Właśnie dlatego nienawidzicie ją, że ją kochacie. Ona jedna stoi między Wami a khmirem. Tylko ona może ogarnąć tę Waszą... dwoistość. Was, mnie, chyba każdego mężczyznę rozdierają te dwie siły – jednak Wasze rozdarcie jest tak wielkie, jak królewska władza. Skoro wolicie widzieć w tym palce Akhanaby, to spójrzcie na owe niby-niepowodzenia jako na ostrzeżenie, że zaczynacie źle kierować swoim życiem. Pokierujcie nim lepiej, dopóki istnieje szansa.

Stali na klifie, twarzą w twarz, spięci, głusi na przytłumiony huk morza. Król wysłuchał kanclerza nie uczyniwszy najmniejszego ruchu i tylko Juli tarzał się w ostrej trawie.

– Niby jak mam według ciebie lepiej pokierować moim życiem? Człowiek mniej pewny siebie niż KaraBansita przeraziłby się królewskiego tonu.

– Oto moja rada, Wasza Królewska Mość. Nie idźcie do Oldorando. Simoda Tal nie żyje. Nie macie już powodu do odwiedzin wrażej stolicy. Jako astrolog ostrzegam przed tą wizytą. – Spod siwych brwi KaraBansita bacznie śledził wrażenie, jakie jego słowa wywierały na JandolAnganolu. – Wasze miejsce jest w Waszym królestwie, tym bardziej teraz, kiedy Wasi wrogowie nie zapomnieli Masakry Myrdolatorów. Wracajcie do Matrassylu. Tu jest Wasza prawowita królowa. Padnijcie przed nią na kolana i proście o przebaczenie. Podrzyjcie dokument Esomberra na jej oczach. Z powrotem odbierzcie to, co kochacie najbardziej. W niej Wasze zdrowie psychiczne. Nie idźcie aa lep Pannowalu.

Orzeł utkwiał wzrok w morskiej dali, raptownie mrugając powiekami.

– Życie normalniej szym życiem, Wasza Królewska Mość. Odzyskajcie syna. Pluńcie na Pannowal, pluńcie na fagorzę gwardię, życie normalnym życiem z Waszą królową. Pluńcie na fałszywego Akhanabę, który Was przywiódł do...

Ale posunął się za daleko. Król wpadł w niepohamowaną wściekłość. Opętany szałem, stał się uosobieniem szału. We własnej królewskiej osobie skoczył na KaraBansitę. Cofając się przed aż tak niepojętą furią KaraBansita upadł o ułamek sekundy wcześniej, niż król skoczył. Klękawszy na rozciągniętym astrologu władca dobył miecza. KaraBansita krzyknął:

– Daruj życie. Wasza Królewska Mość! Tej nocy obroniłem Waszą królową przed ohydny gwałtem.

JandolAnganol zeszywniał, a po chwili wstał, nie odejmując sztychu miecza od drżącej postaci rozplaszczonej u jego stóp.

– Któż by śmiał tknąć królową w mojej obecności? Gadaj!

– Wasza Królewska Mość... – Głos lekko dygotał, wargi, z których się dobywał, były niemal wciśnięte w ziemię, jednak słowa brzmiały wyraźnie. – Byliście pijani. A poseł Esomberr poszedł do jej sypialni, aby ją zgwałcić.

Król odetchnął głęboko. Wsunął miecz do pochwy. Stał jak posąg.

– Ty mały człowieczku! Cóż ty możesz wiedzieć o życiu króla? Ja nie wracam z raz przebytej drogi. Ty możesz sobie posiadać życie, które zresztą zależy od mego widzimisie, ale ja mam przeznaczenie i winienem iść tam, gdzie prowadzi Wszechmocny. Odpełnij, gdzie twoje miejsce. Nie nadajesz się na mego doradcę. Nie wchodź mi w drogę!

Jednak wciąż stał nad rozplaszczonym anatomem. Dopiero gdy nadbiegł zasapany Juli, król gwałtownie obrócił się i szybkim krokiem odszedł do drewnianego pałacu. Krzykiem postawił strażę na nogi. Za godzinę mieli opuścić Grawabagalimen. Maszerują do Oldorando, zgodnie z planem.

Jego głos i tłumiona furia wywołały w pałacu poruszenie niczym w siedlisku kupolków po odwaleniu znad nich kłody. Słysząc było, jak wikariusze Esomberra nawołują się na korytarzach cienkimi głosami. Rozgardiasz dosięgnął królowej. Stała pośrodku sypialnianej oazy, nasłuchując. Przyboczny strażnik pilnował drzwi. Mej a TolramKetinet z dwiema pokojówkami siedziała w anty kamerze trzymając Tatrę na kolanach. Okna zaciągnięto grubymi kotarami. Myrdeminggala była w długiej cienkiej sukni. Twarz miała bladą jak cień kraka na śniegu. Zastygła nieruchomo, tylko jej płuca wciągały i wypuszczały gorące powietrze, a uszy łowiły z dołu głosy ludzi i mustangów, przekleństw i rozkazów. Raz podeszła do kotar; po czym jak gdyby z pogardą dla własnej słabości cofnęła już uniesioną dłoń i wróciła na poprzednie miejsce. Od gorąca kropelki potu perliły się na jej czole. Głos Jana wyraźnie ją doleciał jeden raz, nie więcej.

Co się tyczy KaraBansity, to wstał z ziemi po odejściu króla. Aby ukoić nerwy, zszedł nad zatokę, gdzie nikt go nie mógł wypatrzeć. Po jakimś czasie zaczął podśpiewywać. Odzyskał wolność, choć stracił zegarek.

Pogrążony w bóle król udał się do małej izdebki w jednej z rozchwianych wież i zaparł drzwi za sobą. Smugi złotego blasku wpadały przez okratowanie, a wirujący kurz nadawał im złudnej cielesności. W izdebce pachniało pierzem, pleśnią i starą słomą. Król legł na deskach podłogi, nie zważając na to, że były upstrzone gołębimi odchodami, i siłą woli zapadł w pauk.

Spokój zagościł w duszy po opuszczeniu ciała. Jak opadające skrzydło ómy zatoneła w aksamitnej nocy. Nie było nic, była noc. Dusza jak okręt bez steru dryfowała w ciemności, której paradoks polegał na tym, że była bez początku i bez końca, a jednocześnie tak zamknięta i bliska, jak ciemność pod kocem.

Dusza nie ma śmiertelnych oczu. Widzi innym wzrokiem. Poprzez obsydian widziała ómę bladych świetlików, nieruchomych, choć w miarę opadania duszy w głąb zdających się poruszać względem siebie. Każdy świetlik był kiedyś żywą istotą. Teraz przyciągał je wszystkie potężny pierwiastek macierzyński. Pierwsza Patrzycielka, mająca istnieć nawet wówczas, gdy świat już umrze, pierwiastek potężniejszy – a przynajmniej niezależny – od takich bogów, jak Akhanaba. A dusza podążała prosto ku jednemu wabiącemu ją świetlikowi, ku mamikowi ojca.

Ognik będący dawniej, ni mniej, ni więcej, jak YarpalAnganol, królem Borrien, teraz z ledwie zaznaczonymi żebrami i miednicą przypominał nikły zarys niewyraźnej plamy słonecznej na rozwalonym murze. Po koronowanej głowie pozostało jedynie coś na kształt kamienia z węglkami przywodzącymi na myśl oczodoły. Poniżej tej kruchej skorupki, widzialne przez nią, wisiały mamuny jak smugi kurzu.

– Ojcze, staję przed tobą, ja, twój syn niegodny, by błagać o przebaczenie za wyrządzone ci krzywdy. – Tak rzekła dusza JandolAnganola, zawisnąwszy w bezpowietrzu.

– Drogi mój synu, jesteś tu miłym gościem, zawsze miłym, ilekroć tylko znajdziesz czas, by odwiedzić ojca w rzeszy umarłych. Nie mam ci nic do zarzucenia. Dla mnie ty zawsze byłeś ukochanym synem.

– Ojcze, nie rozgniewają mnie twoje wymówki. Przeciwnie, z radością wysłucham najostrzejszych słów, bo zdaję sobie sprawę, jak wielka jest moja wina wobec ciebie.

Cisza ich milczenia była bezmierna, gdyż nie przerywał jej niczyj oddech.

– Sza, synu, nie mówi się o winie w tym towarzystwie. Byłeś kochającym synem, i tyle. Nie ma o czym mówić. Nie martw się.

Kiedy wypadało przemówić, natenczas kurzowy płomień, sam kopeć płomyka świecy, dobywał się z ust, których już nie było. Jak dym szedł w górę klatką żebrów i kominem gardła.

– Ojcze – podjęła dusza – proszę, wylej na mnie swój gniew za wszystko, co cię w życiu spotkało

złego z mej ręki, i za to, że przywiodłem cię do śmierci. Zbyt ciężko mi dźwigać jej brzemię.

– Jesteś niewinny, synu mój, niewinny jak fala, która pluska na plaży. Nie poczuwaj się do winy za to szczęście, które wniosłem w moje życie. W tych ostatkach życia nie mam o co gniewać się na ciebie.

– Ojczy, dziesięć lat więziłem cię w lochu. Jak mogę zasłużyć na przebaczenie za ten czyn?

Kopeć strzelił w górę, wylatując iskierkami.

– Te lata odeszły w niepamięć, synu. Prawie nie pamiętam pobytu w lochu, albowiem ty zawsze tam zachodziłeś porozmawiać ze mną. Drogie memu sercu były te spotkania, gdyż prosiłeś o rady, których też i z całego serca udzielałem w miarę moich możliwości.

– Miejsce było ponure.

– Miałem czas na przemyślenie pomyłek własnego życia, na przygotowanie się do tego, co nieuchronne.

– Ojczy, jakże boli mnie twoje przebaczenie!

– Zbliź się, mój chłopczy, pozwól się pocieszyć.

Jednak żywym nie wolno dotykać zmarłych w królestwie Pierwszej Patrzycielki. Pogwałcenie tej ostatecznej dwoistości unicestwiało jednych i drugich. Dusza leciuteńko odpłynęła od mary zawieszanej przed nią w otchłani.

– Pociesz mnie dalszymi radami.

– Mów.

– Przede wszystkim powiedz mi, czy ten mój udręczony syn przystał do was. Martwię się o jego niepewne jutro.

– Serdecznie przyjmę chłopca, gdy przybędzie, nie martw się, ale jak dotąd on nadal chadza po świecie światła.

– Ojczy – podjęła po chwili dusza – masz świadomość mej pozycji wśród żywych. Doradź mi, dokąd mam iść. Czy mam zawrócić do Matrassyłu? Czy zostać w Grawabagalinien? Czy też dalej zmierzać do Oldorando? Gdzie czeka mnie najkorzystniejsza przyszłość?

– W każdym z tych miejsc są ci, którzy czekają na ciebie. Lecz w Oldorando czeka na ciebie ktoś, o kim nie wiesz. Ten ktoś trzyma twoje przeznaczenie. Idź do Oldorando.

– Uczynię, jak radzisz.

Dusza wzleciała ponad zastępy martwych ogników, zrazu powoli, a potem w wielkim pędzie. Gdzieś dudnił bęben. Świetliki, opadające ku Pierwszej Patrzycielce, zniknęły w dole.

Nieruchome tkanki na podłodze wieżycy z wolna wracały do życia. Członki drgnęły. Całość usiadła. Otworzyły się oczy w martwej twarzy. Jedyłą żywą istotą odwzajemniającą ich spojrzenie był Juli, który podczołgał się bliżej i rzekł:

– Mój biedny król w uwięzi.

JandolAnganol bez słowa zwichrzył sierść młodka, pozwalając mu przytulić się do siebie.

– Och, Juli, jakże dziwne jest życie. – Po chwili klepnął ancypitę w plecy. – Dobry chłopak. Nie skrzywdzi muchy.

Czując, że coś go uwiera w bok, do którego przylgnął Juli, król wyciągnął z kieszeni trójczasowy zegarek odebrany KaraBansicie. Ilekroć spoglądał na zegarek, opadały go niespokojne myśli, ale nie potrafił się zdobyć na wyrzucenie cacka. Kiedyś należało do Bila, istoty utrzymującej, że pochodzi ze świata, którym nie rządzi Akhanaba. Musiał za wszelką cenę wyrzucić Bila ze świadomości (jak wyrzucił z niej myśl o przeklętych myrdolatorach), ponieważ Bilo stanowił wyzwanie dla całej złożonej konfiguracji wiary, przy której stało Święte Cesarstwo Pannowalu– Niekiedy ogarniał króla strach, że może utracić swą religijną wiarę, tak jak utracił tyle innych rzeczy. Pozostała mu tylko

wiara i ta potulna nieczłowiecza maskotka. Jęknął. Z wielkim trudem podniósł się na nogi.

Za niecałą godzinę król JandolAnganol jechał na czele orszaku, siedząc na Czajce i mając posła Esomberra u boku. Za nimi jechali królewscy dowódcy, dalej świta Esomberra, a pochód zamykały szeregi Królewskiej Pierwszej Gwardii Fagorzej, która strzepując uszami i utkwivszy purpurowe oczy w dali. maszerowała na miasto Oldorando śladem niegdysiejszych fagorzyczych komponentów sprzed wielu stuleci.

Wyjazd króla z drewnianego pałacu i cały kryjący się H' tym podskórny niepokój wywar f odpowiednio wrażenie na obserwatorach z Avernusa. Z ulgą oderwali uwagę od widoku króla w pauk. Nawet zagorzałe wielbicielki JandolAn-ganola czufy się nieswojo patrząc, jak z duszą bujającą poza ciałem Jego Królewska Mość leży twarzą do podłogi. Helikońskim ludziom pauk, czyli pocieszanie przodków, przychodzi tak łatwo, jak splunięcie. Pauk nie miał jakiegoś religijnego znaczenia, ale często współistniał z wiarą. Jak kobiety stają się brzemiennie przyszłymi żywotami, tak ludzie byli brzemienni żywotami tych, którzy odeszli przed nimi. Na Avernusi tajemnicza lielikońska praktyka pauk uchodziła za akt religijnej wiary, z grubsza odpowiadający modlitwie. Jako taki pauk wprawiał sześć rodów w zakłopotanie. Rody nie miały żadnych zahamowań w sprawach seksu – stały podgląd rozstrzygnął to dawno temu; miłość i uczucia wyższe, programowo lekceważone na każdym kroku, były dla rodów efektem ubocznym powszednich czynności, i tylko religia uchodziła za wyjątkowo twardy orzech do zgryzienia. Rody uważały religię za atawistyczne opętanie, rodzaj choroby, opium dla tych, co nie potrafią jasno myśleć Wda:: się łudziły, że Sartoriirwrasz i jemu podobni tchną więcej bojowosci w swój ateizm, unicestwią Akhunahę i zaprowadzą szczęśliwszy ład na świecie. Avernusjanie nic lubili ani nie rozumieli pauk. Pragnęli, żeby H' ogóle nie istniał.

iVfl Ziemi przeważały inne opinie Życie i śmierć dają się postrzegać jako niepodzielna całość: strach przed śmiercią znika tam. gdzie żyje się pełnią życia. Ziemianie : najwyższym ~aciekawieniem patrzyli na helikońskie praktyki pauk. W pierwszych laffich łączności r Helikonią uważali ten stan transu za rodzaj astralnej projekcji helikońskie) duszy, dość podobny do stanu medytacji. Z czasem wyrobili sobie mniej prymitywny pogląd, doszedłszy do wniosku, że Helikończycy posiadają szczególne zdolności przekraczania w obie strony granicy ustanowionej pomiędzy śmiercią a życiem. Ten rodzaj/ ciągłości otrzymali tytułem odszkodowania za brak ciągłości ich Wielkiego Roku. Pauk miał walory ewolucyjne i był stanem zespolenia Helikonczyków z ich niestałą planetą. Z tego powodu pauk budził wyjątkowe zainteresowanie Ziemian. W owym okresie Ziemianie odkryli swoją jedność z własną planetą, wykorzystując to odkrycie w coraz silniejszej empatii z Helikonią.

Następne dni przyniosły królowej królowych depresję i załamanie. Straciła najpiękniej pachnące kwiaty z bukietu dotychczasowego życia. Po burzy kwiaty ju/ nigdy nie podnoszą swych głów zbyt wysoko. Głębokiemu poczuciu winy, że tak czy inaczej zawiodła króla, towarzyszył zawzięty gniew na małżonka. Jeśli zawiodła, to na pewno nie przez brak starań, a lata miłości okazywanej mu niemal z każdym oddechem poszły na marne. Jednak miłość tliła się w niej pod gniewem. I to raniło najokrutniej. Jak nikt inny pojmowała niepewność siebie JandolAnganola. Nie potrafiła zerwać więzów, jakie ich kiedyś połączyły. Codziennie po modlitwie zapadała w pauk, by rozmawiać z mamicią swej matki. Wyczerpana transami, pamiętając, że Sartoriirwrasz ostro potępiał wszelkie pocieszanie przodków jako zabobon. Myrdeminggala w ogniu wątpliwości zadawała sobie pytanie, czy rzeczywiście spotyka się z matką, czy też zjawą powstaje w iej własnej głowie, czy ktokolwiek może żyć po śmierci inaczej niż tylko we wspomnieniach tych. któr/y mają tę mroczną przeprawę jeszcze przed sobą. Nie była pewna. Pauk jednak przynosił królowej podobne ukojenie jak morze. Albowiem jej brat. JeferalOboral już dołączył do mamików, i pławiła się w braterskiej miłości,

nurkując ku Pierwszej Patrzycielce. Podświadome obawy królowej, że brat został zamordowany przez JandolAnganola okazały się bezpodstawne. Mogła już wskazać prawdziwego winowajcę. Spadł jej kamień z serca. Ale pozostał żal, że zniknął dodatkowy powód nienawiści do króla.

Pływała w morzu ze swymi wodnymi przyjaciółmi. Spokój ducha opuszczał ją przy każdym wyjściu na brzeg. Pagóry odnosiły ją w lektyce z powrotem do pałacu; im bliżej była pałacowych bram, tym większą czuła złość. Dni mijały, od czego nawet królowa nie staje się młodsza. Prawie przestała rozmawiać z Meją. Wbiegła na górę do swych pełnych skrzywienia komnat i ukryła twarz w dłoniach.

– Skoro ci tak źle, pogoń za królem do Oldorando i poproś tamtejszych przedstawicieli C" Sarra o unieważnienie rozvodu – rzekła Meja poirytowanym głosem.

– Chciałabyś pogonić za królem? – spytała Myrdeminggala. – Ja nie. Paliły ją wspomnienia, jak ta kobieta, jej przyboczna dama dworu, bywała obalana na królewskie łoże i jak król sprawiał rozkosz im obu jednocześnie, niczym tanim kurwom. Żadna z nich słowa nie rzekła o tych igraszkach, lecz zadra tkwiła pomiędzy nimi wielka niby miecz. Potrzebując kogoś, z kim by mogła pogadać, królowa nakłoniła KaraBansitę do pozostania w pałacu na kilka dni, potem na jeszcze jeden i znów na jeszcze jeden dzień. Zaklinał się, że musi wracać do żony, do domu, do Matrassyłu. Zaklinała go, aby został jeszcze trochę. Prosił o zwolnienie, lecz choć tak chytry był z niego mężczyzna, nie potrafił odmówić królowej. Codziennie spacerowali brzegiem morza, od czasu do czasu spotykając stado jeleni. Meja ponuro wlokła się za nimi.

W tydzień i dwa dni po tym, jak JandolAnganol, Esomberr i ich orszak opuścili Grawabagalinen, królowa siedziała markotna w komnacie, ze swej ciasnej klatki wyglądając w kierunku lądu. Przez gwałtownie otwarte drzwi wbiegła z radosnym okrzykiem TatramanAdala. Dziewczynka przebyła połowę drogi od drzwi do siedzącej pod oknem matki. A matka podniosła głowę i spod zwichrzonych włosów spojrzała z taką nienawiścią, że Tatra przystanęła.

– Mamo! Pobawimy się?

Matka dostrzegła rysy rodu ojca w dziecięcej buzi córki. Horoskopowe bóstwa mogły układać dalsze tragedie. Królowa wrzasnęła na Tatwę.

– Precz mi z oczu, ty mała wiedźmo!

Buzia dziecka wyrażała na przemian osłupienie, urazę, gniew, strach. Stała w pąsach, zalała się łzami, zaniósła łkaniem. Królowa królowych skoczyła na boscie nogi i podbiegła do małej. Okręciwszy i wypchnąwszy dziewczynkę z komnaty, zatrzasnęła za nią drzwi. Po czym z ramionami uniesionymi nad głową przyłgnęła do ściany i też się zaniósła łkaniem.

Lepszy humor powrócił jej w środku dnia. Odnalazła córkę, obsypała ją przesadnymi czułościami. Depresja ustąpiła miejsca uniesieniu. Włożyła długą satarę i zeszła na dół. Zażądała złoczonej lektyki w kształcie tronu, mimo że skwar środka dnia dławił Grawabagalinen. Posłuszne bezrogie fagory przyniosły tron. Przybył majordom SkufBar i księżniczka Tatra z piastunką, i służąca piastunki z naręczem książeczek dla dzieci i zabawek. Po uformowaniu się małego pochodu Myrdeminggala zasiadła na tronie i ruszono w drogę ku plaży. O tej porze nie towarzyszyli im inni dworacy. Freyr spoglądał z niska tuż nad grzbietem klifu, Bataiiksa świeciła prawie w zenicie. Leniwe fale lśniły jak w dniu narodzin świata, przychodząc i załamując się, i na chwilę odkrywając swe szmaragdowe serca. U stóp Skwały Linien woda gruchała kusząco. Po niedawnych assatassach nie było i miało nie być śladu do przyszłego roku.

Przez jakiś czas Myrdeminggala stała na piasku. Fagory jak posągi zastygły przy jej tronie. Księżniczka kręciła się jak fryga, wydając dworkom ostatnie rozkazy przed przystąpieniem do budowy najpotężniejszej na świecie warowni z piasku i niczym najniższy wódz najwyższy

przygotowując się do przyszłej życiowej roli. Zew morza był nie do odparcia. Śmiałym ruchem ręki królowa uwolniła się z sukni i zsunęła podpaszkę spod piersi. Nasycone wonnościami ciało padło łupem słonecznych promieni.

– Nie odchodź, mamó! – krzyknęła Tara.

– Zaraz wracam – odparła matka i pobiegła po piasku, by zanurkować w przyzywającej toni.

Dwunożna istota pod powierzchnią wody przeistoczyła się w rybę, równie gibką i niemal tak chyżą, jak sama ryba. Płynąc co sił minęła ciemny kształt Skały Linien, by wynurzyć się dopiero hen na środku zatoki. Tutaj wschodni przyłodek skręcał i zbliżał się do opoki samotnej skały, tworząc wąską cieśninę. Królowa królowych przyzwała delfiny. W mig otoczyli ją wodni wasale, jak o nich mówiła. Przybywali, o czym wiedziała, w hierarchicznym ordynku. Wystarczyło jej popuścić trochę moczu do wody, a już się srebrzyli przy niej, krążąc, zataczając coraz ciaśniej sze koła, coraz bliżej, aż mogła wesprzeć ramiona na dwóch karkach tak pewnie, jak na poręczach własnego tronu. Tylko uprzywilejowani dotykali królowej. Było ich dwudziestu jeden. Po nich szedł w hierarchii dwór niski, nie mniej niż sześćdziesięciu czterech. Niekiedy osobnik z tego dworu niskiego był dopuszczany do dworu wysokiego. Po dworze niskim szedł poczet, którego liczebność Myrdeminggala знаła jedynie w przybliżeniu. Prawdopodobnie liczył tysiąc trzysta czterdziestu czterech towarzyszy. W skład pocztu wchodziła większość matek, dzieci i starców należących do ławicy czy też ludu, za jaki uchodzili w oczach królowej. Niżej pocztu był legion, nieustannie na baczności przed wrogami. Rzadko jej się udawało zdybać osobnika z legionu i nie ułatwiano jej takich spotkań, ale wiedziała, że legion na pewno liczy przynajmniej tylu towarzyszy, co poczet. Wiedziała również, że w głębinach są potwory, których lękają się delfiny. Legion miał właśnie obowiązek obrony pocztu i obu dworów i ostrzegania wszystkich przed niebezpieczeństwem. Myrdeminggala darzyła wodnych wasali większym zaufaniem niż swoich ludzi, a mimo to, jak w każdym związku żywych istot, coś pozostawało w ukryciu. Tak jak ona nie mogła współżyć z nimi na lądzie, tak one kryły coś przed nią w głębinach, jakąś mroczną wiedzę, której nie mogły z nią dzielić. Ponieważ było to coś nieznanego, poza jej zrozumieniem, pobrzmiwały w tym złowrogie nuty.

Dwór wysoki przemawiał do niej głosami o wielkiej skali dźwiękowej. Piski przy jej uchu brzmiały kornie i słodko – zaiste uznawano ją za królową tak pod wodą, jak i na lądzie. W oddali, a bliżej otwartego morza grały przedłużone łańcuchowe tryle barytonowe, współbrzmiać z postękiwaniami głębokich basów w powikłanej harmonii.

– O co chodzi, moi śliczni, moi złoci?

Zadzierając roześmiane pyski całowali ją po plecach. Wszystkich dworzan wysokich znała z widzenia i z imion, jakimi ich sama obdarzyła. Byli czymś zaniepokojeni. Zatraciła się we wspólnej z nimi świadomości, wszechrochodzącej się, jak jej mocz, w morskiej toni. Płynęła z nimi w głąb, ku chłodniejszej wodzie. Dworzanie zataczali spirale wokół królowej, od czasu do czasu delikatnie muskając ją swymi ciałami. Zawsze miała cichą nadzieję, że w przelocie wypatrzy potwory oceanu. Zbyt krótko bawiła na wygnaniu w Grawabagalinien, by nadzieja się ziściła. Tym razem odniosła wrażenie, że wodni przyjaciele ostrzegają przed idącą z zachodu biedą. Tak jak ostrzegli ją przed śmiertelnym gonem assatassów. Mieli odmienne poczucie czasu, jednak powoli uświadomiła sobie, że cokolwiek idzie, idzie niespiesznie, lecz nieubłagane i wkrótce zawita. Przeszedł ją dziwny dreszcz. Dziwny dreszcz przeszedł delfiny. Swoją muzyką wyrażały każdą najlżejszą wibrację jej ciała. Współświadome trawiącej to ciało ciekawości, znów powiodły naprzód. Myrdeminggala oglądała wszystko przez kobaltowe szyby morza. Delfiny wyprowadziły ją na płytki próg szelfu pełen wodorostów leżących w przemożnym prądzie. Przebili się przez wodorosty. Za progiem była piaszczysta niecka. Tu zapadła rzesza towarzyszy pocztowych, szereg za szeregiem, wszystkie

zwrócone frontem ku zachodowi. Jeszcze dalej, z czujnością przednich straży, pływał legion, niemal głowa przy głowie, w zwartej formacji, od której morze przybrało ciemny kolor i która ciągnęła się dalej, niż wzrok sięgał. Pierwszy raz królowa mogła podziwiać z tak bliska całą ławicę, pierwszy raz zobaczyła, jak ogromna jest delfinia gromada, jak wiele liczy osobników. Odpowiadając mnogości zebranych stworzeń, lo^obrzmiewały akordy potężnej wielogłosowej symfonii, daleko przekraczającej słyszalność ludzkiego ucha.

Królowa wypłynęła na powierzchnię, pociągając dwór za sobą. Mogła przebywać pod wodą przez trzy lub cztery minuty, równie długo jak delfiny. Obróciła spojrzenie w stronę brzegu. Jakże odległy. Pewnego dnia – myślała – te piękne istoty, które mogą darzyć miłością i zaufaniem, zabiorą mnie daleko od widoku ludzi. Zostanę odmieniona.

Nie była pewna, czy ogarnia ją tęsknota za śmiercią czy życiem. Ludziki podskakiwały na dalekiej plaży. Jeden wymachiwał szmatą. W pierwszym odruchu ogarnęło ją oburzenie, że do tej zabawy wzięto jej suknię. Wtem uprzytomniła sobie, że dają jej znaki. Mogły zwiastować tylko jakieś kłopoty. Nieczyste sumienie skierowało jej myśli ku małej księżniczce. Usprawiedliwiwszy się przed wysokim dworem, zawróciła do brzegu. Wodni wasale popłynęli za i przed nią w klinowym szyku, wytwarzając nośną falę, która zwiększyła szybkość pływaczki.

Suknia leżała nietknięta na tronie pod strażą fagorów, przygarbionych i bez najmniejszych objawów podniecenia. W odruchu rozpaczony jedna z dworek zdarła własną suknię do powiewania. Już włożyła ją, nie mając ochoty, by po wyjściu Myrdeminggali z wody ktokolwiek porównywał nagość jej i królowej.

– Okręt płynie! – krzyknęła Tara, pragnąc pierwsza podzielić się nowiną. – Płynie do nas okręt!

Królowa obejrzała z przyłodka okręt przez krótką lunetę, otrzymaną od SkufBara. Posłano po KaraBansitę. Zanim przybył na miejsce, dostrzeżono dwa dalsze żagle, zaledwie plamki na mrocznym zachodnim horyzoncie. Przecierając wielką dłonią oczy KaraBansita oddał lunetę SkufBarowi.

– Na mój rozum, Jaśnie Pani, ten pierwszy to nie jest okręt borlieński.

– A jaki?

– Za pół godziny wyraźniej zobaczymy godła.

– Uparciuch z ciebie. Co to za okręt? Nie rozpoznajesz godła na żaglu?

– Gdybym uwierzył własnym oczom, musiałbym je wziąć za Wielkie Koło Kharnabharu, a to bzdura, boby oznaczało, że jakiś sibornalski okręt znalazł się bardzo daleko od macierzystego portu.

Chwyciła lunetę.

– To jest sibornalski okręt... sporych rozmiarów. Cóż on mógłby robić na tych wodach?

Astrolog założył ręce, posępniejac.

– Nie zapewniono wam tutaj żadnej ochrony. Miejmy nadzieję, że w dobrych zamiarach płynie do Ottassolu.

– Moi wodni przyjaciele ostrzegli mnie przed tym – ponuro powiedziała królowa.

Dzień się dłużył. Okręt zbliżał się ospale. W pałacu panowało wielkie ożywienie. Wytaczano beczki dziegciu na wysoki brzeg zatoczki, do której, jak przewidywano, zawinąć musiałby okręt, jeśli to Grawabagalinien było jego celem podróży. Gdyby załoga przejawiała wrogie zamiary, można by ją potraktować przynajmniej płonącym dziegciem. Pod wieczór zrobiło się duszno i parno. Zniknęły wątpliwości co do hierogramu na żaglu. Bataliksa zaszła w koncentrycznych kołach blasku. Ludzie chodzili w tę i w tę po pałacu. Freyr omglał się takimi samymi aureolami jak jego towarzyszka i zapadł za horyzont. Zmierzch gęstniał, żagiel łyskał na morzu; okręt teraz halsował, trzymając się wiatru. Z nastaniem ciemności wzeszły gwiazdy na niebie. Wij Nocy świecił jasno, tuż obok bladej Turni Królowej. Nikt nie spał. Małeńki dwór żył strachem i nadzieją, świadomy, że sama się nie

obroni. Królowa siedziała za zapartymi okiennicami w pałacowej sieni. Obok królowej migotały wysokie tranowe świece na stole. Podany przez niewolnicę kryształowy puchar pełen wina z dodatkiem lordrardryjskiego lodu stał nietknięty, rzucając karmazynowe plamy na płytę stołu. Królowa wyczekiwała ze wzrokiem utkwionym w przeciwległej ścianie, jak gdyby mogła tam wyczytać własną przyszłość. Z ukłonem wszedł dowódca straży.

– Jaśnie Pani, słychać brzęk łańcuchów. Rzucają kotwicę. Wezwawszy KaraBansitę pośpieszyli nad zatokę. Skrzyknięto paru ludzi i fagorów, by w razie potrzeby zapalić beczki z dziegciem. Płonęła tylko jedna pochodnia. Królowa wzięła pochodnię i weszła z nią w mroczną toń. Nie zważała, że przemoczy suknię. Uniósłszy pochodnię ponad głowę szła na spotkanie zbliżającym się ku niej światłom. Natychmiast poczuła na nogach gładkie całusy wodnych przyjaciół.

Z hukiem przyboju mieszało się skrzywienie wioseł. Drewniany kadłub okrętu ze zwiniętymi żaglami ledwo majaczył plamą czerni. Szalupa była już spuszczone. Królowa dostrzegła gołe plecy marynarzy ciężko pracujących wiosłami. W szalupie stali dwaj mężczyźni z twarzami w kręgu światła lampy trzymanej przez jednego z nich.

– Kto śmie przybijać do tej ziemi?! – krzyknęła królowa. Z łodzi odpowiedział męski, odrobinę piskliwy głos:

– Czy to Myrdeminggala, królowa królowych?

– Kto przybywa? – powtórzyła pytanie. Ale poznała ten głos chwilę wcześniej, nim z kurczącej się odległości między nimi dobiegła odpowiedź.

– Twój generał, Pani, Hanra TolramKetinet.

Generał wyskoczył z łodzi i brodził do brzegu. Królowa dała pochodnią znak, by oddziałek na brzegowej skarpie nie zapalał beczek. Klękawszy przed królową na jedno kolano, generał ujął jej dłoń, na której połyskiwał pierścień z błękitnym kamieniem. Dla złapania równowagi królowa oparła drugą dłoń na głowie generała. W ciemności majaczyły posępne pyski jej fagorzej straży, stojącej przy nich półkolem. Z pewnym zdumieniem KaraBansita postąpił naprzód, by powitać osobnika towarzyszącego generałowi w barkasie.

– Miałem powody przypuszczać, że ukrywasz się w Dimariamie – rzekł, biorąc Sartoriirwrasza w niedźwiedzie objęcia. – Przynajmniej raz się pomyliłem.

– Rzadko się mylisz, lecz tym razem pomyliłeś się aż o cały kontynent – powiedział Sartoriirwrasz. – Ja zostałem obieżyświatem, a ty co tu robisz?

– Zostałem po odejściu króla. Na jakiś czas JandolAnganol przypisał mnie do twojej dawnej posady i za to o włos nie zabił. Zostałem ze względu na eks-królową. Jest nieutulona w żalu, biedaczka. – Obaj zerknęli na Myrdeming-galę i TolramKetineta, lecz ani w niej, ani w nim jakoś nie dostrzegli żalu.

– Co z jej synem, Robą? – spytał Sartoriirwrasz. – Masz o nim wiadomości?

– Mam i nie mam. – KaraBansita zachmurzył się, marszcząc czoło. – Będzie już kilka tygodni temu, jak zastukał do mych drzwi w Ottassolu, tuż po śmiertelnym gonie assatassów. Chłopak jest szalony i narobi kłopotów. Przenocowałem go u siebie. – Miał powiedzieć coś więcej, lecz ugryzł się w język. – Nie mów o Robię przy królowej.

Podczas gdy stali na piasku pogrążeni w rozmowie, barkas jeszcze raz obrócił między „Modlitwą” a brzegiem, wysadzając Odi Jeseratabhar i Lans-tateta na ląd. Wioślarze wyciągnęli łódź dobrze poza linię wysokiej wody i całe towarzystwo w ślad za królową i TolramKetinetem poszło przez plażę do pałacu. W paru pałacowych oknach paliły się światła. Sartoriirwrasz w gorących słowach przedstawił Odi Jeseratabhar KaraBansicie. KaraBansita dostrzegalnie ochłódł;

wyraźnie dał do zrozumienia, że sibornalski admirał nie jest miłym gościem na borlieńskiej ziemi.

– Ja pana rozumiem – cicho rzekła Odi do KaraBansity. Błada i wymyżniona, miała potargane włosy i zbielełe wargi.

Nakryto dla niespodziewanych gości do stołu, a generał spotkał i uściskał swą siostrę Meję. Meja uderzyła w płacz.

– Och, Hanra, co z nami wszystkimi będzie? – spytała. – Zabierz mnie z powrotem do Matrassyłu.

– Już wszystko będzie dobrze – zapewnił ją brat.

Popatrzyła z niedowierzaniem. Pragnęła się uwolnić od królowej, a nie zyskać szwagierkę w jej osobie.

Jedli ryby, po rybach sarninę w sosie z gwing-gwinek. Pili takie wino, jakie zostało po najeździe królewskiej watahy, chłodzone najlepszym lodem z Lordrar-dry. Przy stole TolramKinet opowiadał co nieco o strasznych przejściach Drugiej Armii w dżungli, od czasu do czasu prosząc, by siedzący przy jego siostrze Lanstatet potwierdził jakiś szczegół. Królowa ledwie zdawała się słuchać jednym uchem, choć dla niej snuł swą opowieść. Mało jadła, a jej przesłonięte długimi rękami oczy rzadko odrywały się od stołu. Po posiłku chwyciła cynowy lichtarz ze świecą i zwróciła się do gości:

– Noc ucieka. Wskażę wam kwatery. Jesteście tu widziani milej niż moi poprzedni goście.

Lanstateta z żołnierzami zaprowadzono do izb na tyłach pałacu. Sartori-Irwrasz i Odi Jeseratabhar otrzymali komnatę na piętrze królowej oraz niewolnicę do posług i opatrzenia ran Odi. Po rozlokowaniu wszystkich Myrdeming-gala i TolramKinet zostali sami w pustym westybulu.

– Obawiam się, żeś zmęczona, Pani – powiedział cichym głosem, wchodząc za nią po schodach.

Nic nie odrzekła. Wspinając się przed nim nie zdradzała zmęczenia, lecz tłumiony wigor. W korytarzu na piętrze klepkowe okiennice stukały o otwarte okna na powitanie rannej zorzy. Wczesny ptak odezwał się z wieży. Myrdem-Inggala obejrzała się na generała z ukosa.

– Ja nie mam męża, ty nie masz żony. Już nie jestem królową, choć nadal tak mnie tytułują. I nie bardzo też jestem kobietą, od kiedy tu przybyłam. Kim jestem, przekonasz się, nim noc dobiegnie końca.

Z zapraszającym gestem szeroko otworzyła drzwi swej sypialni. Przystanął niepewnie.

– Na Patrzycielkę...

– Patrzycielka niech patrzy, na co chce patrzeć. Moja wiara spadła ze mnie tak, jak opadnie ta oto suknia.

Gdy przestępował próg, chwyciła za brzeg sukni pod szyją i jednym szarpnięciem otwierając gors pokazała mu kształtne piersi z sutkami w dużych ciemnych obwódkach. Zamknął za sobą drzwi, wymawiając jej imię. Oddała mu się, przełamawszy wewnętrzny opór. Nie spali przez resztę nocy. Jej nagość była w ramionach TolramKineteta, jego ciało w jej ciele. W końcu doczekała się odpowiedzi na list powierzony kapitanowi polarnemu,

Ranek przyniósł kłopoty, o których zapomnieli podczas zespoleń minionej nocy. "Zgoda" i "Dobra Nowina" nadpływały do bezbronnej zatoki. Nadpływał Paszaratid. Mimo krytycznej sytuacji Mej a uparła się, by mieć brata przez pół godziny dla siebie; podczas jej wykładu o mizeriach życia w Grawabagalinien generał zapadł w sen. Chlusnęła nań szklankę wody. Zły i na niepewnych nogach doczłapał z pałacu do plaży, do królowej. Stała w towarzystwie KaraBansity i jednej ze swych staruch, spoglądając na morze.

Słońca świeciły w różnych połowach nieba, oba świeciły tym jaśniej, że nieboskłonami podchodziły do nich czarne burzowe chmury. Żagle dwóch okrętów lśniły w aktywności. "Zgoda" była tuż-tuż, "Dobra Nowina" nie dalej niż o godzinę drogi w tyle; hierogramy na jej rozpostartych żaglach widniały jak na dłoni. Na "Zgodzie" zwinięto żagle bukszprytowe, aby dać się doścignąć maruderce. Lanstatet już pracował ze swymi ludźmi, wyładowując ekwipunek z

"Modlitwy".

– Płyną tu, niech Akhanaba ma nas w opiece! – krzyknął do TolramKetineta.

– Co robi ta baba? – spytał TolramKetineta.

Staruszka, służebnica królowej, wieloletnia rządczyni drewnianego pałacu, pomagała żołnierzom Lanstateta w rozładunku "Modlitwy", na swój sposób okazując przywiązanie do królowej. Żołnierz nad nią wytaczał beczułki prochu z pokładu na kładkę. Staruszka kierowała je dalej w dół stoku, uwolniwszy drugiego żołnierza do innych zajęć.

– Pomaga wam, a cóżeś myślał? – odkrzyknęła generałowi. Rozproszył jej uwagę. Kolejna beczułka turlając się z kładki uderzyła w ramię i przewróciła staruszkę twarzą w gruby żwir. Bezsilną, mimo jej protestów, złożono kobietę na piasku przy skrzyni. Broczyła krwią z poranionej twarzy. Myrdeminggala zbiegła ze skarpy, by ją pocieszyć. Kiedy uklękła przy swej starej służebnicy, TolramKetineta, stanąwszy nad królową, położył jej dłoń na ramieniu.

– Swoim przybyciem sprowadziłem na ciebie kłopoty, o Pani. Nie miałem takich intencji. I daremnie próbuję żałować, że nie pożeglowałem wprost do Ottassolu.

Nie odpowiadając królowa złożyła głowę służącej na swym podołku. Staruszka miała zamknięte oczy, ale regularny oddech.

– Jak powiedziałem, o Pani, mam nadzieję, że i ty nie żałujesz, że nie pożeglowałem wprost do Ottassolu. Podniosła zgnębioną twarz.

– Hanra, ja nie żałuję tej naszej wspólnej nocy. Sama tego chciałam. Liczyłam, że się uwolnię od Jana. Ale się przeliczyłam. Za to ja ponoszę winę, nie ty.

– Jesteś wolna od niego. Wziął z tobą rozwód, nieprawdaż? O czym ty mówisz? – Wyglądał na rozzłoszczonego. – Wiem, że generał ze mnie nie najlepszy, ale...

– Och, przestań! – straciła cierpliwość. – To nie ma z tobą nic wspólnego. Co mnie obchodzi, że straciłeś swoją zakichaną armię? Ja mówię o więzi, o świętości uczucia, jakie łączyło dwoje ludzi przez długi czas... Pewne sprawy nie kończą się na nasze zawołanie. Jan i ja... to tak, jakby nie można się było obudzić... och, nie ma na to słów...

– Jesteś zmęczona – rzekł wyraźnie poirytowany. – Wiem, że kobiety zawsze sobie znajdują jakieś zmartwienia. Porozmawiamy później. Najpierw zajmijmy się tym, co nam grozi. – Wskazawszy na morze przybrał rzeczowy ton. – Wnosząc z nieobecności "Złotej Przyjaźni", odniosła zbyt wielkie uszkodzenia, aby odpłynąć. Admirał Jeseratabhar mówi, że "Przyjaźnią" dowodziła Diena Paszaratid. Być może została zabita, a w takim razie lo Paszaratid na pokładzie "Zgody" pała żądzą zemsty.

– Boję się tego człowieka – powiedziała Myrdeminggala. – I to nie bez powodu. – Pochyliła głowę nad starą kobietą. Generał popatrzył na królową z ukosa.

– Jestem tu po to, aby cię bronić przed nim, tak czy nie?

– Chyba tak – rzekła bez przekonania. – Przynajmniej twój porucznik robi coś w tej sprawie.

JandolAnganol dopilnował, żeby drewniany pałac nie mógł stawiać oporu. Lecz wysunięte w morze rafy Skały Linien zmuszały każdy większy statek, zwłaszcza okręt wielkości "Zgody", do przechodzenia cieśniną pomiędzy przylądkiem a Skałą, co stwarzało jakąś szansę obrońcom. GortorLanstatet wzmocnił na plaży swój roboczy oddział fagorami. Zwindowane na brzeg dwa ciężkie działa z rufowego pokładu "Modlitwy Yadżabharu" przeciągano teraz na szczyt przylądka, skąd panowałyby nad zatoką. SkufBar z drugim służącym przybył z noszami, by odnieść raną staruszkę z powrotem pod dach pałacu i przyłożyć lodowe bandażę do jej rany. Pozostawiwszy królową, TolramKetineta pobiegł dopomóc w wytaczaniu dział na pozycje. Rozumiał grozę położenia. Oprócz fagorów i garstki nie uzbrojonych sług siły obrony Grawabagalinien składały się jedynie z drużyny jego trzynastu żołnierzy, których sam przywiódł z Ordelei. Dwa podchodzące już do zatoki

sibornalskie okręty wiozły zapewne po pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych i wyszkolonych żołnierzach. "Zgoda" Paszarati-da zmieniła kurs, ustawiając się burtą na całej długości do lądu. Ludzie i fagory ciągnęli za liny, usiłując wytoczyć drugie działo na pozycję. KaraBansita z założonymi rękami stanął przed królową.

– Jaśnie Pani, udzieliłem królowi dobrej rady, którą źle przyjął. Pozwólcie, że teraz wam zaaplikuję podobną gorzką pigułkę z nadzieją, że ją lepiej przełkniecie. Wy i wasze damy powinnyście dosiąść musłangów i nie zwlekając odjechać w głąb lądu.

Smutny uśmiech rozjaśnił twarz królowej.

– Miło mi, Bardol, że troszczysz się o mnie. Ty jedź. Wracaj do żony. To miejsce stało się moim domem. Wiem, że Grawabagalinien uchodzi za siedlisko starożytnych duchów tych, co polegli niegdyś w bitwie. Wolę przystać do cieni, niż odejść stąd.

Skinął głową.

– Bywa i tak. W takim razie ja też zostaję, Jaśnie Pani.

Z miny królowej wyczytał, że sprawił jej radość swoją odpowiedzią.

– Co sądzisz o tym mezaliansie naszego przyjaciela Ruszwena i uskuckiej damy-admirała, ni mniej, ni więcej? – spytała znieczeka.

– Ona zachowuje się spokojnie, ale to mnie wcale nie uspokaja. Chyba bezpieczniej byłoby odprawić tę parę. Sibornalczyk i z próżnego zawsze coś naleje. Cała nasza nadzieja w chytrości, Jaśnie Pani, poza nią dość niewiele nam pozostało.

– Kobieta sprawia wrażenie szczerze oddanej memu eks-kanclerzowi.

– Jeśli tak, to zdradziła sibornalską rację stanu, Jaśnie Pani. A to może dać temu łotrowi Paszaratidowi jeszcze jeden powód do wylądowania. Odprawcie ją dla bezpieczeństwa nas wszystkich.

Na morzu kłęby dymu spowiły całą "Zgodę" z wyjątkiem żagli. W chwilę później usłyszano huk. Kule uderzyły w wodę u stóp niskiego klifu. Przy drugiej salwie celowniczości postarają się być dokładniejsi. Najwyraźniej obserwator wypatrzył manewry z działem na brzegu. Okazało się jednak, że to były tylko strzały ostrzegawcze. "Zgoda" skręciła w lewo i szła prosto ku małej zatoczce.

Królowa stała osamotniona, a jej długie włosy, wciąż rozpuszczone z nocy, powiewały na wietrze. Jej gotowość na śmierć miała pewien sens. W śmierci mogła znaleźć najlepsze lekarstwo na swoje kłopoty. Nie była – ku swemu przerażeniu – gotowa zaakceptować TolramKetineta, mężczyznę uczciwego, lecz gruboskórnego. Zła była sama na siebie za uczuciowy dług zaciągnięty wobec generała. Prawdę powiedziawszy, jego ciało, jego pieczyoty tej nocy jedynie rozbudziły w niej głęboką tęsknotę za Janem. Poczuli się jeszcze bardziej osamotniona niż przedtem. Ponadto z melancholijną bezstronnością wróżyła Janowi samotność. Mogła była ją ukoić, gdyby się wykazała większą dojrzałością.

Monsunowy deszcz podzielił morze na zatoki ciemności i ukośne słupy światła. Pierwsze strugi ulewy kosiły toń. Chmury zeszły jeszcze niżej. "Dobra Nowina" niemal zniknęła w pomroce. A samo morze – spojrzawszy na nie Myrdeminggala zobaczyła, że morze zmarszczyło się od jej wodnych przyjaciół. To, co brała za zbitą falę, było kłębowiskiem ich ciał. Lecąca jak na skrzydłach ulewa sieknęła królową kroplami po twarzy. Za chwilę wszyscy przebijali się przez potoki deszczu. Działo ugrzęzło kółkami w błocie. Jakiś żołnierz klnąc padł przy nim na kolana. Wszyscy klęli i pokrzykiwali. Gdyby miało lać dłużej, przemókłby lont w dziurkowanym cylindrze ochraniacza. Zgasła nadzieja na ustawienie działa do skutecznego strzału. Wiatr zmienił kierunek ze sztormem. Pchał "Zgodę" do zatoki.

Okręt znalazł się na wysokości Skały Linien, gdy do akcji przystąpiły delfiny. Ruszyły w zwartym

szyku, razem poczet i legion. Zablokowały przesmyk własnymi ciałami. Na wpółoślepieni ulewą marynarze ze "Zgody" wrzeszczeli, pokazując sobie mrowie grzbietów wokół burt okrętu. Wyglądało to tak, jak gdyby żeglowali po czarnym połyskliwym bruku. Delfiny ławą wparły się mocno w drewniany kadłub. "Zgoda" trzeszczała, zwalniając. Krzyknąwszy z podniecenia, niepomma wszelkich smutków, Myrdeminggala wbiegła w morze. Klaszcząc w dłonie i krzycząc zagrzewała swych obrońców do walki. Piasek i sól cięży ją po łydkach, wdzierając się pod suknię. Królowa dała nura w powrotny prąd przyboju. Nawet TolramKetinet nie śmiał pójść w jej ślady. Nad nią majaczył kształt okrętu i deszcz smagał fale. Jeden z wodnych wasali podniósł się z wód i chwycił ją zębami za rąbek sukni, jak gdyby oczekiwał tu królowej. Poznając starszego rangą członka wysokiego dworu, zawołała nań po imieniu. W lawinie delfinich tonów złowiła wiadomość: ma się trzymać z daleka, bo ją porwą jakieś ogromności – nie mogła ustalić natury swych porywaczy. Coś w najgłębszych czeluściach otchłani już chwyciło jej woń. Nawet królowa królowych poczuła strach na tę wiadomość. Popłynęła do plaży, przez całą drogę eskortowana przez wodnego przyjaciela. Zniknął w kipieli, gdy już stała na piasku, kurczowo przytrzymując zmoczoną suknię.

"Zgoda" na dobre uwięzła ledwie o kilka długości okrętu od królowej i jej świty na brzegu. Karakę od plaży dzieliły delfiny, oba dwory i legion, głowa przy głowie. W strumieniach szalejącej ulewy królowa rozpoznała wyniosłą sylwetkę lo Paszaratida – a on rozpoznał królową. Stał wysoki i groźny na zalanym pokładzie, czarnobrody, w kurcie z żaglowego płótna rozpiętej mimo deszczu i w czapce nasuniętej na czoło. Spojrzał na królową i przystąpił do działania. W garści trzymał harpun. Wspiąwszy się na poręcz nadburcia, chwycił drugą ręką za wantę i tak wychylony kłuf wodę raz za razem. Przy każdym dźgnięciu grot harpuna spływał czerwienią. Morze zagotowało się pianą. Paszaratid dziobał i dziobał bez opamiętania.

Przesądni marynarze uważają delfina za święte stworzenie. Ten zausznik duchów toni, zdaniem żeglarzy, nie czyni krzywdy nikomu. Ale kto skrzywdzi delfina, ten naraża własne życie na śmiertelne niebezpieczeństwo. Paszaratida otoczyli rozjuszeni żeglarze. Wyrwali mu z ręki i precz cisnęli harpun. Świadkowie z brzegu widzieli, jak Paszaratid, zajadle walcząc, został powalony na pokład i jak żołnierze nadbiegli i wydarli go z łap marynarzy. Bójka trwała przez jakiś czas. Wodni wasale królowej z powodzeniem zagrodzili wejście do Grawabagalinien.

Szkwał był u szczytu. Wysokie grzywacze z furią roztrzaskiwały się na plaży. Tryumfalnie krzycząca królowa z rozwianymi włosami i potarganą suknią wyglądała jak niegdyś jej matka. Szalona Szannana, aż TolramKetinet odciągnął Myrdeminggale w obawie, by znów nie skoczyła w fale. Piorun prześwieciliwszy błyskawicą trzewia burzy uderzył, poprzedzając grzmot. Chmura niczym płachta niesiona wiatrem odkryła sylwetkę "Dobrej Nowiny" wśród nagle wysrebrzonych wód. Z zatoki wypłynął sznur delfinów, wyraźnie zmierzając pod "Dobrą Nowinę", jak gdyby coś je tam przyzywało. Odmęty kipiwały. Kotłowała się toń wokół loradżańskiej karaweli. Zebrani na brzegu przysięgali później, że się gotowała. Coś ubijało morze na pianę, przelotnie migając w kotłowisku.

Wtem jakieś cielsko wyrosło z wód, strząsając fale z głowy i wciąż rosnąc i rosnąc, dopóki nie zawisło ponad masztami "Dobrej Nowiny". Miało ślepie. Miało ogromną progeniczną mordę i wąsy jak wijące się węgorze. Z fal wyłaziły wciąż nowe grube łuskowate sploty tego czegoś, grubsze niż tułów człowieka. Nawałnica była temu żywiołem. Splotów przybywało. Wychynał drugi potwór, rozjuszony, sądząc po prędkich wymachach głowy. Uniósłszy się na kształt olbrzymiego węża nagle uderzył w fale i skrył łeb pod wodą, a pozostawione na powierzchni długie sploty połyskiwały w deszczu. Ponownie wynurzając łeb rozhuśtał "Dobrą Nowinę". Oba potwory rozpoczęły wspólne harce. Na nic nie bacząc w swych ohydnych igraszkach, wiły się na wodzie. Smgnięcie ogona trafiło burtę karaweli, gruchocząc klepki poszycia i grube dybie. Po czym obie bestie zniknęły tak samo

nagle, jak przybyły. Toń zamknęła się nad nimi. Na chwilę usłuchały wezwań delfinów, a teraz odeszły w swoje głębiny oceanu.

Te wielkie stworzenia, rzadko jawiące się ludzkim oczom, współtworzyły cykl rozwojowy żywych istot, przystosowany do wielkich pór Wielkiego Roku Helikonii. W swej obecnej postaci olbrzymie węże morskie były bezpłciowe. Okres ich szalonej pasji rozrodczej dawno przeminął. Jako skrzydlate smoki spędziły wówczas stulecia na głodowych godach, żywiąc się jeno prokreacją. Niczym ogromne ważki igrały w gromadzie pobratymców ponad dwoma samotnymi biegunami planety, nie mając ani wrogów, ani chociażby świadków. Z nadejściem Wielkiego Lata powietrzne istoty migrowały nad południowe morza, a zwłaszcza nad Morze Orłów, gdzie widok ich musiał natchnąć jakichś niezbyt mocnych w ornitologii i od dawna już nieżyjących wilków morskich do nadania tej nazwy bezimiennemu oceanowi. Na dalekich wyspach, takich jak Ubogata i Lordrary, stworzenia zrzuciły skrzydła. Na brzuchach wpełzły do słonej toni, w której wydały na świat młode. Lato upływało olbrzymom w morzach. W końcu wielkie cielska miały ulec rozkładowi, stając się żerem assatassów i innych mieszkańców mórz. Żarłoczne młode znano pod nazwą rybosmoczków. W ogóle rybami nie były. Pierwsze chłody długiej zimy pobudzały rybosmoczeki do wyjścia na ląd i przybrania jeszcze innej postaci, znanej pod jakże nienawistnym imieniem wiją Wutry.

Para morskich węży w ich dzisiejszym aseksualnym stadium przystąpiła do godowych harców pod wpływem wspomnienia odległej przeszłości. Delfiny podsunęły im to wspomnienie w postaci śladów woni pozostałej po kąpieli królowej królowych podczas menstruacji. W bałamutnej gorączce potwory oplatały się ciałami, lecz żadna moc nie mogła przywrócić tego, co odeszło bezpowrotnie. Upiorne zjawy zabiły wszelką ochotę do walki w sercach ludzi na pokładach „Zgody” i „Dobrej Nowiny”. Grawabagalinien było nawiedzone. Napastnicy nie mieli już żadnych wątpliwości. Oba okręty postawiły wszystkie posiadane żagle i uciekły ze szkwalem na wschód. Odeszły delfiny. Tylko fale szalały, łamiąc wysokie czoła na Skale Linien, a ich huk niósł się po całej plaży. Człowieczy obrońcy Grawabagalinien w strugach deszczu wrócili do drewnianego pałacu.

Pałacowe komnaty dudniły niczym bębny pod nawałnicą monsunowej ulewy. Tony stale się zmieniały, w miarę jak ulewa to słabła, to znów przybierała na sile. W wielkim westybulu odbywała się narada wojenna pod przewodnictwem królowej.

– Po pierwsze, powinniśmy mieć jasność, z jakim człowiekiem się potykamy – rzekł TolramKetinet. – Kanclerzu Sartoriirwrasz, powiedz nam, co wiesz o lo Paszaratidzie, tylko proszę mówić na temat.

Przyglądziwszy łysinę Sartoriirwrasz wstał, kłaniając się Jej Królewskiej Mości. Zaiste niewiele miał do powiedzenia, a to, co miał, było mało przyjemne. Przepraszył za rozdrapywanie starych ran, lecz przyszłość zawsze się łączyła z przeszłością w sposób niemożliwy do przewidzenia nawet dla najmędrszych spośród mądrych. Mógłby podać jako przykład... Pochwyciwszy spojrzenie Odi Jeseratabhar przystąpił do tematu, garbiąc się, jak gdyby brał na plecy ciężkie brzemię. W matrasylskich latach do obowiązków kanclerza należała znajomość sekretów dworu. Brat królowej, nieodżałowanej pamięci JeferalOboral, przed śmiercią odkrył, że Paszaratid, natenczas ambasador swego kraju, cieszy się względami młodej panienki, dziewczyny z ludu, której matka prowadzi dom schadzek. Sam kanclerz dowiedział się od YarpalAnganola, że Paszaratid znalazł sposób na podglądanie gołej królowej. Ten człowiek to łajdak, chutliwy i zuchwały, i tylko żona trzymała go w ryzach, ale żony przypuszczalnie już nie ma wśród żywych. Ponadto kanclerz pragnął powtórzyć pogłoskę – być może więcej niż pogłoskę – zasłyszaną od przewodnika zwanego Marszruterem, z którym się zaprzyjaźnił w czasie podróży przez pustynię Sibornalu, pogłoskę, że to lo Paszaratid zamordował brata królowej.

– Wiem, że tak było – powiedziała Myrdeminggala, ucinając sprawę. – Mamy wszelkie powody, by uważać lo Paszaratida za niebezpiecznego człowieka.

Wstał TolramKetinet. Przybierał wojskowe pozy i mówił z kwiecistymi ozdobnikami, zerkając na królową i sprawdzając, jak odbiera jego wystąpienie. Powiedział, że obecnie mają jasność, że Paszaratida należy się bardzo obawiać. Należało przyjąć logiczne założenie, że łotr dowodzi "Zgodą" i że dzięki swym stosunkom może zmusić kapitana "Dobrej Nowiny" do posłuszeństwa. On, TolramKetinet, dokonał oceny militarnej sytuacji z punktu widzenia przeciwnika i przewiduje, że Paszaratid podejmie następujące kroki. Po pierwsze...

– Proszę się streszczać, bo ten gość zaskoczy nas tu przy stole – przerwał KaraBansita. – Nie wątpimy, że jest pan równie wielkim oratorem, jak generałem.

Z niezadowoloną miną TolramKetinet oznajmił, że Paszaratid nie zdecyduje się na zdobywanie Ottassolu w dwa okręty. Najlepszym dlań wyjściem będzie pojmanie królowej i w ten sposób zmuszenie Ottassolu do kapitulacji. Należy przyjąć, że Paszaratid wylądjuje gdzieś na wschód od Grawabagalinien, gdziekolwiek znajdzie dostęp do brzegu. Wówczas poprowadzi swoje wojsko na Grawabagalinien. On, TolramKetinet (mówiąc to, wałnął się w pierś), oświadcza, że muszą natychmiast przygotować się do obrony przeciwko temu spodziewanemu atakowi od strony lądu. Osobie królowej nic nie grozi pod jego opieką.

Po ogólnej dyskusji królowa wydała polecenia. Przy pierwszych jej słowach zaczęło kapać z sufitu na stół.

– Skoro woda jest mym życiołem, nie mogę się uskarżać na przecieki w dachu – zauważyła królowa.

Myrdeminggala orzekła, że należy wznieść umocnienia na obwodzie pałacowego terenu i że generał winien sporządzić inwentarz wszelkiej dostępnej broni i środków obronnych, nie zapominając o uzbrojeniu "Modlitwy Yadzabharu". Zwróciwszy się do Sartoriirwrasza, nakazała jemu i Odi Jeseratabhar natychmiast opuścić pałac. Mogli wziąć trzy mustangi ze stajni.

– Jesteś łaskawa, o Pani – rzekł Sartoriirwrasz, aczkolwiek jego mysie oblicze mówiło coś przeciwnego. – Ale czy możesz nam darować?

– Mogę, jeśli twoja towarzyszka utrzyma się w siodle.

– Nie sądzę, by się utrzymała.

– Ruszwen, mogę ci darować tak, jak darował ci Jan. Tyś mu doradził plan rozwodu, nieprawdaż? Jeśli chodzi o twoją nową małżonkę, to o ile wiem, ona jest czy też była bliską przyjaciółką tego nikkzemnika lo Paszaratida.

Zapomniał języka w gębie.

– Jaśnie Pani, wiele było kłopotów... Wiele spraw natury politycznej wchodziło w grę. Brałem pieniądze za popieranie króla.

– Zwykłeś być twierdzić, że popierasz prawdę. Machinalnie grzebał w swym czarfralu, jak gdyby szukał trędowniczki, w końcu powrócił do gładzenia bokobrodów.

– Te dwie role czasami się pokrywają. Wiem, że Wy i król z dobroci serca byliście orędownikami fagorów w naszym królestwie. A fagory są główną przyczyną wszystkich ludzkich kłopotów. Mamy okazję pozbyć się ancipitów latem, kiedy jest ich mało. A my latem swarzymy się między sobą i jesteśmy jak najdalej od uznania ich za największego wroga człowieka. Zapewniam was. Pani, ja zgłębiłem takie księgi, jak Thribriatadę Braksta, i dowiedziałem się...

Patrzyła na niego nie bez przychylności, ale w tej chwili podniosła dłoń.

– Dość, Ruszwen! Byliśmy przyjaciółmi, lecz nasze życie się zmieniło. Odejdź w pokoju.

Nieoczekiwanie obiegnął stół i chwycił jej dłoń.

– Odejdziemy, odejdziemy! W końcu przywykłem do okrutnego traktowania. Ale spełnij jedną prośbę przed naszym odejściem... Z pomocą Odi odkryłem coś o żywotnym znaczeniu dla nas wszystkich. Pójdziemy daleko, aż do Oldorando, i przedstawimy nasze odkrycie Świętemu CSarrowi w nadziei, że zasłużymy tym na nagrodę. Może ucieszy to Pani uszy, że tym samym zdyskredytujemy Waszego eks-małżonka...

– Jaką masz prośbę? – przerwała ze złością. – Ostatnią, dobrze? Mamy ważniejsze sprawy.

– Prośba wiąże się z odkryciem, Jaśnie Pani. Za naszych wspólnych szczęśliwych czasów w matrassyjskim pałacu miałem zwyczaj czytania Waszej małej córce. Było, minęło. Pamiętam jedną uroczą książeczkę Tatry. Czy pozwolisz mi zabrać tę książeczkę ze sobą do Oldorando?

Myrdeminggala zdusiła coś pomiędzy śmiechem a krzykiem.

– My tutaj staramy się przygotować do obrony przed atakiem z lądu, a ty pragniesz sobie poczytać dziecienną bajeczkę! Proszę bardzo, możesz zabrać książkę, jeśli o mnie chodzi – a potem wynoś się z pałacu, zabierając ze sobą ten twój bez przerwy mielący język.

Ucałował jej dłoń. Wycofując się do drzwi, rzekł z szelmowskim uśmieszkiem do Odi u swego boku:

– Deszcz przechodzi. Nie bój się, wkrótce będziemy daleko od tych niegościnnych progów.

Królowa cisnęła za nim lichtarzem.

Do jednej ściany pałacu przylegał rozległy ogród, w którym rosły zioła i owocowe krzewy. Była tam też zagroda dla świń, kóz, kur i gęsi. Za zagrodą stał szereg koślawych drzew. Niskie, porośnięte trawą szańce biegingy za drzewami skrajem bagnistych gruntów na wschodzie – w stronie, z której nadejdzie Paszaratid ze swym oddziałem, jeśli nadejdzie.

Dokładnie zbadawszy teren TolramKetinet i Lanstatet doszli do wniosku, że muszą wykorzystać tę starą linię umocnień. Rozważali ewakuację Grawabagali-nien na pokładzie okrętu. Ale "Modlitwę" niefachowo zakotwiczyli. Podczas sztormu uległa uszkodzeniu i nie bardzo była zdatna do żeglugi. Z okrętu wyładowano wszystko, co nadawało się do użytku. Dłuższe belki poszły na budowę pomostu-czatowni w koronie największego z drzew. Kiedy ziemia obeschła po ulewie, część fagorów zatrudniono przy sypaniu obronnych przed-piersi na szczycie szańców. Pozostałe zagnano do kopania fos. Na tę pełną ruchu scenę natknęli się Sartoriirwrasz i Odi Jeseralabhar po opuszczeniu pałacu. Jechali na musłangach gęsiego, trzeci, ostatni mustang dźwigał ich bagaże. Dostrzegłszy KaraBansitę, który nadzorował kopanie fos, Sartoriirwrasz ściągnął wodze.

– Muszę się pożegnać z moim starym przyjacielem – powiedział zsiadając.

– Wracaj szybko – ostrzegła Odi. – Przeze mnie nie masz tu żadnych przyjaciół.

Kiwnął głową i prostując ramiona podszedł do astrologa. KaraBansita zajmował się skrawkiem bagnistej ziemi i paroma ryjącymi w niej fagorami. Podniósł wzrok, a widząc Sartoriirwrasza zrazu sposepniał na nalanej twarzy, lecz po chwili, jak gdyby nie wytrzymując wewnętrznego podniecenia, uśmiechnął się szeroko. Zaprosił przyjaciela gestem.

– Tutaj jest przeszłość... te szańce są częścią starożytnych fortyfikacji. Fagory odsłaniają zręby legendy, która staje się ciałem...

Poprowadził Sartoriirwrasza do świeżo wykopanej jamy. Przyklęknął na skraju dołu, nic sobie nie robiąc z bulgotliwego błota. Spod darni na głębokości ramienia wyzierało z torfu coś, co Sartoriirwrasz początkowo wziął za podeptany stary czarny worek. Zobaczył: że to jest, a raczej że to kiedyś było człowiekiem. Trup leżał wyciągnięty na lewym boku. Krótki skórzany kaftan i buty wskazywały, że to trup dawnego żołnierza. Spod rozplaszczonych zwłok wystawał kawałek rękojeści miecza. Ciężar mszaru wycisnął makabryczny uśmiech w profilu twarzy o ustach zniekształconych przez wybicie zębów. Ciało było barwy głębokiego połyskliwego brązu. Odkrywano dalsze zwłoki.

Fagory bez oznak zainteresowania odgarniały torf palcami. Wyłonił się drugi zmumifikowany żołnierz ze straszliwą raną w piersi. Rysy twarzy miał ostre, jak gdyby wyrysowane ołówkiem. Wgniecione gałki oczu nadawały im wyraz melancholijnej rezygnacji. Piwniczna woń ziemi przyprawiała Sartoriirwrasza o mdłości.

– Zachowali się w borowinie – powiedział. – To pewnie żołnierze polegli podczas bitwy albo jakiejś burdy. Mogą mieć ze sto lat.

– O wiele więcej – rzekł KaraBansita, wskakując do wykopu. Z szeregu przedmiotów, które Sartoriirwraszowi wyglądały na kamienie, astrolog wybrał i podniósł jeden do oczu.

– Oto co prawdopodobnie uśmierciło przyjaciela z wybitymi zębami. To nasiono drzewa radżababy, twarde jak żelazo. Może zostało wypalone i dlatego nigdy nie wzeszło. Ponad sześć stuleci minęło od wiosny, kiedy radżababy wydawało swoje nasiona. Napastnicy użyli nasion jako pocisków do dział. Tu właśnie stoczono legendarną bitwę pod Grawabagalinien. Natrafiliśmy na to pobojuwisko, bo akurat znów nam potrzebne pole bitwy.

– – Nieszczęśnicy!

– Oni? Czy my?

Odszedł w drugi koniec rowu. Przy trupie człowieka z raną piersi leżał częściowo odkopany fagor. Pysk miał szerny, sierść tak skołtunioną i zrudziałą od bagiennej wody, że wyglądała na sprasowany torf.

– Widzisz, jak nawet wówczas ludzie i fagory walczyli i umierali ramię w ramię.

Sartoriirwrasz prychnął ze wstrętem.

– Równie dobrze mogli walczyć ze sobą. Nie masz dowodu ani na jedno, ani na drugie.

– Jedno jest pewne, że to zły omen. Nie chciałbym, aby królowa ich zobaczyła. Ani TolramKetinet. On sam jest rzadki, niczym to gówno. Lepiej będzie, jak przysypimy trupy.

Sartoriirwrasz zabrał się do odejścia.

– Nie wszyscy ukrywamy nasze odkrycia, przyjacielu. Posiadana przeze mnie informacja, kiedy ją odkryję przed władzami Pannowalu, wznieci Świętą Wojnę przeciwko ancipitalnej rasie jak Kampaniat długi i szeroki.

KaraBansita utkwiał w nim domyślne spojrzenie swych ponurych, krwią nabiegłych oczu.

– I dostaniesz zapłatę za wzniecenie tej wojny, co? Żyj i daj życie innym, oto moja dewiza.

– Tak, twoja dewiza, Bardol, ale nie fagorów. Rozmnożą się i wybiją nas do nogi, jeśli nic nie zrobimy. Gdybyś na własne oczy widział stada flamburów...

– Nie unosz się gniewem. Gniew zawsze przysparza kłopotów... Czas mi wracać do roboty. Pewnie setki trupów leżą tu w ziemi. Sartoriirwrasz mocno zaplótł ramiona na piersi.

– Darzysz mnie niechęcią, jak królowa – rzekł. KaraBansita powoli wylazł z rowu.

– Jej Królewska Mość obdarzyła cię tym, o co poprosiłeś, książką i trzema musłangami. – Przygryzłszy kostkę palca zębami świdrował wzrokiem przyjaciela.

– Skąd w tobie tyle do mnie wrogości, Bardol? Zapomniałeś o dniach, gdy jako młodzieńcy obserwowaliśmy przez twoją lunetę fazy przelatującego nad nami Kaidawa? I na ich podstawie wywiedliśmy kosmiczne geometrie, w jakich żyjemy?

– Ja nie zapominam. Ty wszelako przybyłeś z sibornalskim admirałem, zawziętym wrogiem Borlien. Królowej grozi śmierć, a królestwu rozpad. Nie kocham JandolAnganola ani fagorów, jednak życzę im przetrwania, aby ludzie mogli dalej spoglądać przez lunety. Rozwal królestwo, co oboje, ty i ona, chcecie zrobić, a rozwalisz lunety. – Ze wzruszeniem ramion i z rozgorączoną miną spojrział pomiędzy drzewami w kierunku morza. – Widziałeś, jak Kiwazja, niegdyś znaczący ośrodek kultury, rodzinny dom wielkiego YrapRombry, została bezceremonialnie starta z powierzchni ziemi.

Stara niesprawiedliwość może służyć rozkwitowi kultury lepiej niż nowa. To wszystko, co mam do powiedzenia.

– To jest obrona twojego własnego trybu życia.

– Zawsze będę stawał w obronie mojego własnego trybu życia. Wierzę weń. Nawet gdyby to oznaczało stawanie z bronią w ręku. Jedź, zabieraj tę kobietę i pamiętaj, że Sibornalczyk i z próżnego zawsze coś należy.

– Dlaczego tak mnie traktujesz? Jestem ofiarą. Włóczęgą... wygnańcom. Dzieło mojego życia jest zniszczone. Mógłbym być YrapRombrem mej epoki... Jestem niewinny.

KaraBansita pokręcił wielką głową.

– W twoim wieku niewinność jest zbrodnią. Odejdź ze swą damą. Jedź i szerz swą truciznę.

Popatrzyli na siebie wyzywająco. Sartoriirwrasz westchnął, KaraBansita z powrotem włął do wykopu. Sartoriirwrasz wrócił do czekającej nań Odi Jeseratabhar i wierzchowców. Bez słowa, ze łzami w oczach, dosiadł mustanga. Odjechali na północ szlakiem wiodącym do Oldorando. JandolAnganol ze swoją świtą przemierzał ten szlak zaledwie parę dni temu, podążając do miasta zamordowanej, niedosłej oblubienicy królewskiej.

XIX. OLDORANDO

Oba słońca łały promienie z bezchmurnego nieba, topiąc stopy w jasności. Król JandolAnganol, Orzeł Borlien, znowu się radował pobytem na łonie natury. Radował się inaczej niż zwykły śmiertelnik. Swą radość wyrażał przede wszystkim w długich marszach i krótkich odpoczynkach. Nie był tym uradowany poseł CSarra, zniewieściały Alam Esomberr.

Król ze swą gwardią i orszakiem duchownych ciągnął na Oldorando od południa jedną z pradawnych Dróg Pielgrzymich, które przecinając miasto wiodły dalej do Świętego Pannowalu. Oldorando rozłożyło się na rozstajach Kampanniatu. Wędrowny szlak fagorzy i liczne ukty madiskie biegly na wschód i na zachód tuż obok miasta. Starożytny trakt solny wił się na północ od Ouzints i jeziora Dorzin. Na zachodzie leżało Kace – parszywe Kace, ojczyzna zbójów, rzemieślników, włóczykiów i łotrów; na południu leżało Borlien – przyjazne Borlien, ojczyzna następnej plejady łotrów.

JandolAnganol ciągnął krajem będącym – podobnie jak jego własny – w stanie wojny z barbarzyńcami. Wojna pomiędzy Oldorando a Kace wybuchła z powodu tak niedołęstwa króla Sayrena Stunda, jak i wredności Kaceńczyków. Wobec upadku Drugiej Armii JandolAnganol zawarł – przez wszystkich uważany za tchórzliwy – pokój z klanami kaceńskich górali, śląc im kosztowne dary w postaci zbóż i trędowniczki w celu przypieczętowania zawieszenia broni. Dla Kaceńczyków pokój był sprawą marginalną; od dawna przywykli do walk na śmierć i życie. Ale teraz każdy najzwyczajniej zawiesił swoją kuszę na drzwiach w chałupie i wszyscy wrócili do tradycyjnych zajęć. Obejmowały one myślistwo, krwawe wendety, garncarstwo – lepili doskonale garnki, które wymieniali z Madisami na kobierce – złodziejstwo, kopalnictwo szlachetnych kamieni i pędzenie własnych kościstych bab do roboty. Jednakże wojna z Borlien, aczkolwiek nieregularna, zaszczepiła w klanach nowe poczucie wspólnoty. Jakimś cudem poniechawszy waśni podczas hucznych obchodów zwycięstwa – kiedy to zbożowy haracz JandolAnganola został przetworzony w płynniejsze dobra – wszystkie najpotężniejsze kaceńskie klany jednogłośnie okrzyknęły olbrzymiego zabijakę Skrumppabowra kaceńskim suzerenem. W swoistym geście dobrej woli z okazji pomyślnej elekcji Skrumppabowr kazał wymordować, czyli "zakołkować" wedle miejscowego określenia, wszystkich Oldorandczyków żyjących na kaceńskiej ziemi. Następnym przedsięwzięciem suzerena była odbudowa sieci irygacyjnej i wiosek na południowym wschodzie, zniszczonych w wyniku działań wojennych. W tym celu namawiał ancipitów z Randonanu, Quain i Oldorando, by przybywali do Kace. Za pracę gwarantował im uwolnienie od halali srożących się w Oldorando. Jako poganie, Kaceńczycy nie widzieli żadnego powodu do prześladowania fagorów dopóty, dopóki zachowują się one przyzwoicie i nawet nie spoglądają na Kacenki.

JandolAnganol z zadowoleniem dowiadywał się o tych wydarzeniach. Utwierdziły go one w przekonaniu, że jest dobrym dyplomatą. Z mniejszym zadowoleniem dowiadywali się o nich poborcy. Poborcy byli rycerzami Świętego Cesarstwa Pannowalu, kastą o koligacjach w wysokich sferach pannowalskiej stolicy. Plotka głosiła, że sam Kilander IX za młodych lat był poborcą. Szwadron kawalerii poborców dokonał śmiałego wypadu z Miasta Oldorando, najeżdżając Akace, nędzną górską osadę, która służyła klanom za stolicę, i jednej nocy wyrzynając ponad tysiąc nowo przybyłych fagorów razem z garstką Kaceń-czyków. Okazało się, że od tego sukcesu bliżej do klęski niż do zwycięstwa. W drodze do domu poborcy, których czujność uspiły rezultaty rajdu, wpadli w zasadzkę klanów Lorda Skrumppabowra i sami z kolei zostali wyrżnięci, często z wyszukany okrucieństwem. Do Oldorando powrócił z wieścią tylko jeden poborca, bardziej martwy niż żywy.

Miał cienką bambusową żerdź wbity w odbyć; jej drugi zastrugany koniec sterczał mu zza obojczyka nad prawym ramieniem. Został zakołkowany.

Relacje o tym bestialstwie doszły króla Sayrena Stunda. Król ogłosił świętą wojnę z barbarzyńcami i wyznaczył cenę za głowę Skrumpabowra. Odtąd po obu stronach lała się krew, lecz więcej po stronie oldorandzkiej. Połowa armii Oldorando, w której nie mogły służyć fagory, trwonila obecnie siły na forsowne marsze daleko od domu, wśród gąszczy prosięńózki obficie porastającej stoki kaceńskich wzgórz. Król szybko stracił zainteresowanie walkami. Po zamordowaniu jego starszej córki, Simody Tal, zamknął się w murach pałacu i rzadko pokazywał ludziom na oczy. Ożywił się na wieść o pochodzie JandolAnganola, a i to jedynie pod wpływem wspólnych nalegań doradców, swej madiskiej królowej i pozostałej przy życiu córki, Milui Tal.

– Jak mamy zabawić tego wielkiego króla, Sayrenie mój najukochańszy? – spytała królowa Bathkaarnitka swym śpiewnym głosem. – Takie jestem niebożę, taki kwiat i taka kulawa. Kulejący kwiat. Czy chcesz, abym mu zaśpiewała moje piosnki o Podróży?

– Mnie osobiście nic nie obchodzi ten człowiek. Brak mu kultury – powiedział małżonek. – Jandol sprowadzi swoją fagorzę gwardię, bo nie stać go na żołd dla prawdziwych żołnierzy. Skoro mamy znosić te paskudy w naszej stolicy, to może one nas zabawią zwierzęcymi sztuczkami.

Klimat Oldorando był upalny i wyczerpujący siły. Rudyjonnik ocknął się z długiej drzemki. Siarkowy tuman często zasnuwał niebo. Flagi, które król kazał wywiesić na powitanie borlieńskiego kuzyna, martwo zwisały w nieruchomym powietrzu.

Królem Borlien tymczasem miotał gorączkowy niepokój. Większą część tennera pochłonał marsz z Grawabagalinien, początkowo przez lessowe pola uprawne, później przez bezludne okolice. Dla JandolAnganola nie było dość szybkiego tempa. Nie narzekała tylko Pierwsza Gwardia Fagorzą. Złe wieści wciąż docierały do marszowej kolumny. W całym królestwie szerzył się nieurodzaj i głód, widoczny na każdym kroku. Druga Armia nie została po prostu pobita – ona miała wcale nie wyjść z randonańskiej dżungli. Nieliczni niedobitkowie chyłkiem przemykali się do własnych domostw, poprzysięgłszy, że już nigdy nie zostaną żołnierzami. Ocalałe fagorze bataliony zniknęły w ostępach. Wieści ze stolicy nie były bardziej pocieszające. Zausznik JandolAnganola, arcykapłan BranzaBaginut, pisał, że Matrassyl jest w stanie wrzenia, a baronowie grożą rokoszem i rządami skritiny. Król winien czym prędzej podjąć zdecydowane kroki.

Orzeł upajał się marszem, lubił żyć tym, co upoluje po drodze, kochał wieczorne biwaki i nawet mu nie przeszkadzały dni oślepiające słonecznym blaskiem, z dala od przybrzeżnych monsunów. Jak gdyby czerpał przyjemność z duchowych rozterek. Twarz królowi wychudła, zrobiła się bardziej zacięta, wyraźniej nieobliczalna.

Alam Esomberr nie podzielał królewskiego entuzjazmu. Wychowany w ojcowskim domu, w podziemnych labiryntach Pannowalu, cierpiał pod gołym niebem i buntował się przeciwko forsownemu tempu marszu. Wymuskany poseł Świętego C'Sarra w końcu zarządził postój wiedząc, że może liczyć na poparcie swej utrudzonej świty. Był półdzień i mięsiste jaskrawe kwiaty otworzyły kielichy wśród spłowiałych traw, wabiąc półmroczne ćmy. Jakiś ptak piłował dwie nutki trełu. Lessowe pola pozostały w tyle, a wokół ciągnęły się nieuprawne torfowiska, na których biedowało ledwie kilka wiosek. Poselska świta znalazła ochłodę w cieniu olbrzymiej dennissony, pośród szeptów jej listowia na wietrze. Dennis-sona rozrosła się w mnóstwie pni, młodych i starych, wspartych niedbale – niczym sam Esomberr – na sękatych łokciach i płożących się na wszystkie strony.

– Co cię tak goni, Jandol? – spytał Esomberr. – Po co ten pośpiech, jeśli nie dla samej ohydy pośpiechu? Innymi słowy, coś lepszego czeka cię w Oldorando niż to, coś przekreślił w

Grawabagaliniem? – Wyciągnął nogi i podniósł rozbawiony wzrok na oblicze króla.

JandolAnganol przykucnął tuż obok, kiwając się na palcach stóp. Złowiwszy nikły aromat dymu rozglądał się, szukając źródła woni. Ciskał kamykami w ziemię. Gromadka królewskich dowódców, zbrojmistrz królewski i kapitanowie stali opodal wsparci na swych łaskach. Niektórzy palili trędowniczki; jeden drażnił się z Julim, poszturchując młodką łaską.

– Musimy jak najszybciej dotrzeć do Oldorando. – Ton króla ucinął wszelkie dyskusje, lecz Esomberr nie ustępował.

– Sam mam wielką ochotę zawitać do tej nieco obskurnej metropolii, choćby tylko po to, by za wszystkie czasy wymoczyć się w jednym z jej sławnych gorących źródeł. Co nie znaczy, że mam ochotę biec tam przez całą drogę. Inny z ciebie człowiek niż za naszych pannowalskich dni, Jandol... już nie taki figlarz, bez obrazy...

Król ciskał kamykami z większą siłą.

– Borlien potrzebuje przymierza z Sayrenem Stundem. Astrolog, który mi podarował trójczasowy zegarek, Bardol KaraBansita, powiedział, że nie mam po co leźć do Oldorando. Wtedy to ogarnęła mnie pewność, że muszę tam iść. Poparł mnie mój ojciec. Jego ostatnie słowa – kiedy konał w mych ramionach – brzmiały: "Idź do Oldorando". Od kiedy ten dureń TolramKetinet wytracił całą swą armię, pozostało mi już tylko przymierze z Oldorando. Losy Borlien i Oldorando zawsze były powiązane.

Ostatni kamyk rzucił z taką gwałtownością, jakby chciał złamać wszelki opór. Esomberr milczał. Uskubnął i gryzł źdźbło trawy, nagle onieśmielony spojrzeniem króla. Po chwili JandolAnganol zerwał się, stając na szeroko rozstawionych nogach.

– Oto i stoję. Depczę ziemię, a moce ziemi wypełniają moje ciało. Jam jest z borlieńskiej ziemi. Jam jest siłą przyrody. – Wzniósł ręce z rozczapierzonymi palcami.

Nie opodal przy swych rusznicach porozkładały się fagory niby niezgrabne woły zapatrzone w dal. Kilka myszkowało pod kamieniami, zjadając pędraki lub kupolki. Niektóre zamarły jak skamieniałe, czasami tylko ruchem głowy lub uchem opędzając się od much. W cieniu bzykały owady. Esomberr usiadł podenerwowany.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi, ale życzę dobrej zabawy. – Jego głos brzmiał oschle. Król błędził spojrzeniem po horyzoncie.

– Dam ci przykład – rzekł – abyś dobrze zrozumiał, jakim jestem człowiekiem. To, że mogłem pod dowolnym pretekstem odprawić moją królową Myrdeminggale, wcale nie oznacza, że ona przestała być moja. Gdybym odkrył, że ty, na przykład, śmiałeś wejść do jej sypialni i dobierać się do niej, kiedy bawiliśmy w Grawabagaliniem, wówczas nie zważając na naszą przyjaźń zabiłbym cię bez skrpułów i rozwiesił twą łon na tym tutaj drzewie.

Obaj ani drgnęli. Po chwili Esomberr podniósłszy się przyłgął plecami do jednego z pni dennissony. Szczupła przystojna twarz poblądła mu jak prześcieradło.

– Słuchaj, czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że te twoje przeklęte fagory uzbrojone po zęby w sibornalskie strzelby budzą strach w normalnym człowieku, takim jak ja? Że najprawdopodobniej zostaną źle przyjęte w Sayrenowej stolicy, gdzie trwa święte halali? Czy nigdy się nie obawiałeś, że mógłbyś... że tak powiem, sam trochę się upodobnić do fagora?

Król powoli odwrócił się z miną wyrażającą całkowity brak zainteresowania tym pytaniem.

– Uważaj.

Wykrzywił twarz ni to w grymasie, ni w uśmiechu, i sapnął przez nos. Wziął rozbieg, odbił się i lekko przeskoczył nad pniem drzewa, dobre cztery stopy od ziemi. Skok był idealny. Król wylądował, wykonał w tył zwrot i przeskoczył pień z drugiej strony, odbiwszy się z taką siłą, że

niemal wpadł na Esomberra. Był wyższy od posła o pół głowy. Esomberr w popłochu sięgnął do miecza, po czym zastygł w napięciu przed królem.

– Mam dwadzieścia pięć lat, jestem w świetnej formie i nie boję się ani człowieka, ani fagora. Mój sekret polega na tym, że zawsze płynę z prądem rzeki. Oldorando będzie moją rzeką. Ja czerpię siłę z prądu rzeki... Nie drażnij mnie, Alanie Esomberrze, ani nie zapominaj moich słów o świętości tego, co raz należało do mnie. Jam jest dla ciebie jedną z rzek, a nie na odwrót.

Posel odstąpił na bok, kaszlnął, znajdując pretekst, by przenieść dłoń z rękojeści do ust, i zdobył się na wąty uśmiech.

– Twoja sprawność jest niesamowita, to widać. Aż przerażająca. Na Patrzycielkę, ależ ja ci zazdroszczę. To prawdziwe nieszczęście, że ja i moja hałastra wikarych nie jesteśmy w takiej doskonałej kondycji. Zawsze uważałem, że mięśnie wiotczeją od modłów. Przeto muszę cię prosić, abyście podążyli przodem, ty ze swym orszakiem i swymi ulubionymi stworzeniami – gnacie na złamanie karku – a my sobie podrepczemy za wami naszym wolnym kroczeniem, zgoda?

JandolAnganol przyjrzał mu się z kamiennym obliczem.

– Zgoda. Okolice tu spokojne, ale uważajcie na siebie. Rabusie darzą wikarych niewielkim szacunkiem. Nie zapominaj, że niesiesz moją rozwodową dyspensę.

– Pędź naprzód, skoro chcesz. Ja dostarczę twą dyspensę C'Sarrowi na czas.

Uczył nieokreślony ruch ręką, zawieszając ją przed sobą w powietrzu. Król nie uściskał mu dłoni. Bez słowa odszedł, gwizdnawszy na Juliego. Dał znak dowodzącej gwardią gildzie, Ghht-Mlark Chzarn. Nieczłowiecze kolumny sformowały się w marszu, ludzie podążyli za nimi w luźniejszym szyku. Wnet stojący w milczeniu Alam Esomberr pozostał pod dennissoną jedynie ze swymi towarzyszami. Ich sylwetki wkrótce zniknęły JandolAnganolowi w cieniu drzewa. Niebawem samo olbrzymie drzewo rozpląnęło się w migotliwym skwarze równiny.

Dwa dni później król zatrzymał swój hufiec zaledwie kilka mil przed Oldorando. Smugi dymu snuły się nad falistym krajobrazem. Król stanął pod jednym z wiekowych kamiennych słupów, rozsianych po okolicy. Zniecierpliwiony czekaniem na tyły fagorzej kolumny JandolAnganol wodził palcem po węzowym wzorze w kamieniu, po znajomym rysunku dwóch koncentrycznych kół z falistymi promieniami biegnącymi od wewnętrznego koła do zewnętrznego. Przez moment zastanawiał się, co słup i rysunek na nim mogły oznaczać, lecz te zagadki zaprzętnęły myśli króla tylko na chwilę, przypuszczalnie nie mając rozwiązania, tak samo jak nie sądził, by ktoś mu zdradził imię władcy stawiającego owe kamienne słupy. Skupił uwagę na tym, co leżało przed nim.

Dotarli do okolic w istocie stanowiących przedpole stolicy, do której się zbliżali. Jeszcze nie było widać żadnych śladów miasta. Krajobraz tworzyły niskie faliste pagórki, podgórze podgórze Gór Quzint, biegnących przez kontynent niczym kolce na gadzim grzbiecie. W przedzie ścielił się ukt, odpływający na lewo i na prawo w dał. Ukt, bardziej tu brunatny niż zielony, składał się z niewielu wysokich drzew, a raczej z gęstwiny krzewów i cykasów spowitej w barwne runo kwiatów, których nasiona żuły wędrownie szczepy w pochodzie. Ukt był szerszy od najszerszego gościńca, i w przeciwieństwie do gościńca nie był drogą dla ludzi. Mimo spustoszeń czynionych przez arangi i fhlebihty stał się niedostępny. Nawet plemiona Madisów wędrowały samym skrajem uktu. Siejąc po drodze nasiona i odchody pragnostycy bezmyślnie poszerzali ukt. Z roku na rok rozrastał się, zmieniając w pasmo lasu. Było to nietypowe pasmo leśne. Pozaśrodkowe rośliny, jak prosiężka, przy-wleczone w postaci czepliwych nasion na sierści zwierząt, pieniały się, zarastając miejsca o korzystnych warunkach glebowych zbitym gąszczem. Madisi omijali nowe zarośla bądź przedzierali się przez nie, pozostawiając ścieżkę, która niebawem zniknęła pod kolejną falą roślinnych przybyszów. Co było przygodne, nabrało trwałości. Ukt wytyczył granicę. Motyle i drobne zwierzęta,

spotykane po jednej stronie, nie występowały po drugiej. Pewne gryzonie i ptaki, i śmiertelnie jadowite złociste węże trzymały się uktowej gęstwy, nigdy nie wychodząc poza jej pas. Kilka gatunków Innych spędzało swoje życie na igraszkach w ukcie. Ludzie również uznali istnienie uktu, widząc w nim naturalną granicę. Ten ukt wytyczał granicę pomiędzy północnym Borlien a terytorium Oldorando. I granica ta stała w ogniu. Lawa z niedawno obudzonego wulkanu wzniciła pożar. Ogień szedł uktem jak po sznurze lontu.

Przyrządy Avernusa rejestrowały dane o coraz większej aktywności wulkanicznej na zbliżającej się do periastronu planecie. Przekazane na Ziemię informacje o Rudyjonniku ujawniły, że erupcja wyrzuciła materiał wulkaniczny na wysokość pięćdziesięciu kilometrów. Niższe warstwy obłoku szybko płynęły na wschód, okrążając glob w piętnaście dni. Powyżej dwudziestu jeden kilometrów pył sunął na zachód z przeważającym prądem niższej stratosfery, okrążając glob w sześćdziesiąt dni. Podobne odczyty uzyskano dla innych erupcji. Chmury pyłów gęstniejące w stratosferze miały wkrótce podwoić albedo Helikonii, odbijając coraz silniejsze promieniowanie Freyra od jej powierzchni. W ten sposób elementy biosfery działały jak organizm czy układ sprzężony, chroniący procesy życia. Przez dekady największego zbliżenia z Freyrem warstwy salicznych pyłów miały osłaniać planetę przed najgorszym. Tej dramatycznej homeostazy nigdzie nie obserwowano ze zdumieniem i podziwem większym niż na Ziemi. Pożar lasu na Helikonii stanowił koniec świata dla wielu przerażonych istot. W obiektywniejszej ocenie stanowił przejaw determinacji planety, ratującej samą siebie i swój fracht życia organicznego.

Hufiec JandolAnganol czekał stłoczony w płytkiej kotlinie. Całun dymu na wschodzie zwiastował pochód ognia. Rzesze kudłatych świń i jeleni przebiegły uktem na zachód, uchodząc z życiem. Ich śladem podążyły stada wolniejszych fiehbihtów, gromadnie i głośno pobekując w drodze. Rodzinami przeszli Inni, na ludzką modłę dodając dzieciom odwagi. Mieli ciemną sierść i białe twarze. Niektóre gatunki były bez ogonów. Zwinnie przerzucając się z gałęzi na gałąź zniknęli ludziom z oczu.

JandolAnganol wstał i pochylony śledził przejście zwierząt. Mały miodek Juli w wesołych podskokach dołączył do króla. Fagory trwały w bawolim spoczynku, żującienne racje owsianki i suszonego mięsa. Od wschodu uciekali przed ogniem Madisi z trzodami. Podczas gdy część ich zwierząt wyrwała się na wolność albo w przerażeniu rozpierzchła w zaroślach, sami pragnostycy pozostali posłuszni zwyczajowi i szli uktem.

– Zwariowane durnie! – wykrzyknął JandolAnganol. W jego przytomnym umyśle zrodził się pewien pomysł. Przyzwawszy drużynę fagorzej gwardii, zastawił pułapkę. Przed czołem madiskiej gromady znienna poderwał się w powietrze sznur i uwieszone na nim girlandy kolczastych lian z uktowych zarośli. Madisi przystanęli w nieładzie, a owce, psy i asokiny splątały im się pod nogami. W madiskich twarzach była ta sama niewinność co w twarzach papug i kwiatów. Cofnięte czoła i brody oraz wypukłe oczy i nosy nadawały pragnostykom wyraz nieustannego zadziwienia światem. Mężczyznom wyrastały różki nad brwiami i na zuchwie. Włosy mieli wszyscy połyskliwie kasztanowe. Nawoływali się żalonym gołębiem gruchaniem.

Fagorza drużyna wypadła z ukrycia. Osaczyła przerażonych Madisów. Każdy fagor chwycił trzech lub czterech za ramiona spalone od słońca i okryte pyłem podróży. Ofiary nie stawiały oporu. Gilda przytrzymała przewodnika trzody, asokina z blaszanką uwiązaną zamiast dzwonka u szyi. Owce potulnie skupiły się przy asokinie. Niektórzy Madisi próbowali ucieczki. JandolAnganol pięścią powalił dwóch na ziemię. Leżeli, lamentując w pyle. Nowych, przez cały czas napływających z tym, król jednak puścił wolno. Królewska wyprawa ze zdobyczą przedarła się przez ukt. Fagorom w gęstych futrach niestraszne były żadne ciernie. Pędząc przed sobą brańców, wmaszerowali na ziemię

Oldorando. Kroczyli już po bezpiecznym gruncie, kiedy wstęga uktu przeszedł ogień, sunąc z prędkością dobrego piechura i pozostawiając za sobą zgłiszcza.

Wejście królewskiej wyprawy do miasta Oldorando bardziej przypominało powrót pastuchów z pola niż wjazd królewskiego orszaku. Gąszcz uktu podrapał i okrwawił pojmanych pragnostyków jak również wielu ludzi. Sam król był cały w kurzu. Oldorando poniekąd miało w sobie coś z teatru, być może dlatego, że środek miasta przybrał pozór krzykliwej sceny jarmarcznej, na której Akhanaba, Wszechmocny Wololicy, brylował w najjaśniejszym blasku wiary. Prawdziwa wiara jest sprawą prywatną; kiedy wierni zbiorą się do kupy, wystawiają swoim bogom szopki. Położone w parnym sercu Kampanniatu, przecięte rzeką Val-voral, łączącą je z Matrassylem i – ostatecznie – z morzem, było Oldorando stolicą podróżników. Najczęściej przybywali tu, aby się pomodlić, a jeśli nie pomodlić, to pohandlować. Długotrwałe współistnienie owych przeciwstawnych intencji odcisnęło piętno na fizycznej tkance miasta. Dzielnicą Świątoral przecinała je po przekątnej z południowego zachodu na południowy wschód, niby ornamentowane klify wyspy w morzu handlu. Świątoral obejmował Stare Miasto, pełne osobliwych siedmiokondygnacyjnych wież, zamieszkiwanych przez bractwa religijne. Tu była siedziba żeńskiego zakonu Akademiczek. Tu również byli pątnicy i żebracy, jak i boże męty, ci, którzy biją się w piersi bez serc. Tu były zaułki mroków i domy modlitwy głęboko zapadłe w ziemi. Tu stała także katedra w otoczeniu klasztorów oraz pałac króla Sayrena Stunda. W zgodnej opinii – przynajmniej w opinii mieszkańców Świątoralu – owa oaza świętości i oś obyczajności biegła przez bagno świeckiego występku. Lecz w świętoralskich paradnie ornamentowanych ścianach i murach obronnych były osadzone rozmaite drzwi. Jedne otwierane tylko od wielkiego dzwonu. Inne tylko dla wybrańców. Jeszcze inne tylko dla kobiet albo tylko dla mężczyzn (fagory nie mogły plugawić Świątoralu). I wreszcie te najczęściej używane, o każdej porze dnia i nocy stojące otworem nawet dla najmniej świętych osobników. Pomiędzy bezgrzesznymi a grzesznymi, jak pomiędzy żywymi a umarłymi, postawiono mur, który nie zatrzymywał nikogo. Grzeszni zamieszkiwali mniej wspaniałe dzielnice, aczkolwiek bogaci grzesznicy nawet i tam wznosili swe pałace przy szerszych alejach. Żli dobrze sobie radzili w życiu, dobrzy radzili sobie najlepiej, jak umieli. Z ośmiuset dziewięćdziesięciu tysięcy obecnych mieszkańców miasta blisko sto tysięcy należało do religijnych zakonów i służyło Akhanabie. Co najmniej taka sama była liczba niewolników, służących i wiernym, i niewiernym.

Jak przystało na rozmiłowane w ceremoniach Oldorando, u południowej bramy oczekiwał JandolAnganola powóz i dwaj heroldowie w błękitnych i złotych barwach. Król wszakże zrezygnował z powozu i zamiast odbyć tryumfalny przejazd Aleją Wożeńską, przedefilował na czele swej zakurzonej kompanii do Pauk. Była to niekrępująca, dość obskurna dzielnicą tawern i targowisk, i handlarzy kupujących zarówno zwierzęta jak pragnostyków.

– Madisi nisko stoją w Embruddocku – rzekł pewien szczywany kupiec, używając starej ludowej nazwy Oldorando. – Madisów mamy w bród, a podobnie jak Nondadowie, marni z nich robotnicy. Co innego wasze fagory, ale w tym mieście nie wolno mi handlować fagorami.

– Sprzedaję tylko Madisów, człeczce, Madisów i zwierzęta. Ile dajesz albo idę gdzie indziej.

Po dobieciu targu Madisi poszli w niewolę, a zwierzęta na rzeź. Wielce zadowolony król zarządził odwrót. Był teraz lepiej przygotowany do spotkania z Sayrenem Stundem. Przed transakcją nie miał złamanego roona przy duszy. Fagory wysłane po złoto do Matrassylu nie powróciły.

W wojskowym ordynku Pierwsza Gwardia Fagorza przeciągnęła Aleją Wożeńską, wywołując zbiegowisko. Gapie wiwatowali na część JandolAnganola, idącego z Julim u boku. JandolAnganol cieszył się popularnością wśród prostych ludzi, mimo iż był protektorem odgórnie wyklętych fagorów. Prości ludzie widzieli w tym żywiołowym mężczyźnie przyjemny kontrast z ich tłustym,

gnuśnym monarchą domowego chowu. Prości ludzie nie znali królowej królowych. Prości ludzie współczuli królowi, któremu okrutnie zamordowano narzeczoną – nawet jeśli owa niedoszła panna młoda była jedynie Madiską czy pół-Madiską. Wśród prostych ludzi kręcili się zakonnicy. Z transparentami wyszli mnisi. NIE ŻYJ W GRZECHU. KONIEC ŚWIATA BLISKO. ŻAŁUJ ZA GRZECHY, PÓKI CZAS. Tutaj, jak i w Borlien, Pannowalski Kościół grał na społecznych lękach, aby przytrzeć rogów wolnomyślicielom.

Maszerująca kolumna poniosła dalej swój kurz. Obok starożytnej Piramidy Króla Dennissa. Do końca Alei Wożeńskiej. Do rozległego placu Loyłbryden. Za strumień na skraju placu, przez Park Świszka. Prosto na ogromny Dom Nadziei i malowniczy pałac królewski po drugiej stronie placu. Przed złoty namiot, pod którym pośrodku placu zasiadał król Sayren Stund, by we własnej osobie powitać gościa. U boku króla siedziała królowa Bathkaarnetka, w szarej keedrancie zdobionej w czarne róże i w niewygodnej koronie na głowie. Na mniejszym tronie pomiędzy ich królewskimi mościami przysiadła pozostała przy życiu córka królewskiej pary, Milua Tal. Tych troje ze śmiesznym dostojęństwem rozsiadło się pod namiotem, gdy tymczasem reszta dworu spływała potem w słońcu. Upał był gęsty od brzęczenia much. Grali muzycanci. Nigdzie nie było widać żołnierzy, za to sporo podstarzałych oficerów defilowało w paradnych mundurach. Straż miejska utrzymywała tłum na obrzeżach placu. Dwór oldorandzki słynął ze sztywnej ceremonialności. Tym razem Sayren Stund uczynił, co mógł, aby złagodzić rygory dworskiej etykiety, ale i tak pozostało przy nim tylu doradców i kościelnych dostojników w powłóczyistych szatach liturgicznych, że ustawieni w szeregu wyrównanym jak pod sznurek tworzyli długą kolejkę tych, co mieli ucisnąć dłoń i ucałować policzek JandolAnganola.

Orzeł ze swymi kapitanami i garbatym zbrojmistrzem u boku przystanął, mierząc to wszystko wyzywającym spojrzeniem, sam jeszcze okryty od stóp do głów pyłem z długiej drogi.

– Ze swoją pompą byłbyś chlubą muzeum, kuzynie Sayrenie – rzekł. Sayren Stund, jak wszyscy jego dostojnicy, nosił prosty czarny czarfral na znak żałoby. Dźwignąwszy się z tronu podszedł z otwartymi ramionami do gościa. JandolAnganol złożył sztywny ukłon. O krok za JandolAnganolem stał Juli, zastygły w bezruchu, tylko mlecz mu latał od jednej dziurki w nosie do drugiej.

– Witamy w imię Wszechmocnego. Dwór Oldorando cieszy się z Waszej pokojowej i bratniej wizyty w naszej stolicy. Oby Akhanaba dał nam owocne spotkanie.

– Witam w imię Wszechmocnego. Dziękuję za bratnie przyjęcie. Przybywam, aby złożyć wyrazy współczucia i żalu z powodu śmierci Waszej córki Simody Tal, mej niedoszłej małżonki.

Mówiąc to JandolAnganol zerkał spode łba na wszystkie strony. Nie ufał gospodarzowi. Stund wiódł gościa wzdłuż szeregu dygnitarzy, a JandolAnganol cierpliwie znosił uściski dłoni i cmoknięcia w policzek. Z zachowania Sayrena Stunda wyczuwał, że król Oldorando żywi doń urazę. Świadomość tego była mu torturą. Wszędzie odkrywał nienawiść w ludzkich sercach. Zabójstwo Simody Tal pozostawiło na nim hańbiące piętno, z czym musiał się na razie pogodzić. Po powitalnej promenadzie do JandolAnganola podeszła królowa – kulejąc, wspierając się dłonią na ramieniu Milui Tal. Uroda Bathkaarnetki przekwitła, jednak coś w jej rysach, w sposobie trzymania głowy – pokornie, a bez pokory – urzekło króla Borlien. Przypomniawszy sobie zasłyszaną kiedyś wypowiedź Sayrena Stunda – dlaczego tak utkwiała mu w pamięci? – "Kto raz miał Madiskę, nie weźmie innej kobiety". Zarówno Bathkaarnetka, jak i jej córka miały czarujące ptasie twarzyczki madiskiej rasy. Chociaż w żyłach córki płynęła domieszka ludzkiej krwi, Milua Tal jawiła się jako egzotyczna, ciemnoskóra, olśniewająca pięknością o ogromnych promiennych oczach, przedzielonych orlim nosem. Kiedy ją przedstawiano, nie spuściła tych oczu, obdarzając Jandol-Anganola Przychylnym Spojrzeniem. Na chwilę wrócił pamięcią do rozplodowych eksperymentów Sartoriirwrasza; jeśli już

gdziekolwiek, to tutaj udała się płodna krzyżówka. Z przyjemnością patrząc na tę jedyną promienną buzię pośród tylu ponurych twarzy, rzekł do dziewczyny:

– Bardzo przypominasz swoją siostrę z przysłanego mi portretu. Prawdę mówiąc, jesteś jeszcze piękniejsza.

– Simoda i ja byliśmy bardzo podobne i bardzo różne, jak wszystkie siostry – odparła Milua Tal. Melodia jej głosu przywodziła mu na myśl wiele rzeczy – nocne ognie, gruchanie maleńkiej Tatry w chłodzie komnaty, gołębie w drewnianej wieży.

– Nasza biedna Milua jest załamana zabójstwem siostry, jak my wszyscy – wtrącił Stund z dźwiękiem łączącym najznamienniejsze cechy beknięcia i westchnienia. – Na wszystkie strony rozesłaliśmy ludzi w pościgu za zabójcą, łotrem, który w przebraniu Madisa wkradł się do pałacu.

– To był okrutny cios dla nas obu.

– Cóż – znowu owo beknięcie-westchnienie. – Święty Sobór zbierze się w przyszłym tygodniu na specjalne, poświęcone pamięci naszej zmarłej córki nabożeństwo, które Święty C'Sarr we własnej osobie pobłogosławi swoją obecnością. To nas podniesie na duchu. Zostań pod naszym dachem do tej uroczystości, kuzynie, i czuj się jak u siebie w domu. C'Sarr będzie zachwycony spotkaniem z tak szacownym członkiem naszego Zakonu, a przekonasz się, że i ty skorzystasz na tym spotkaniu. Czy poznałeś już Jego Świątobliwość?

– Znam jego posła Alama Esomberra.

– Ach. Tak. Hmm. Esomberr. Dowcipny człowiek.

– Ryzykant – rzekł JandolAnganol.

Zagrała orkiestra. Wszyscy ruszyli przez plac do pałacu, a Milua Tal znalazła się u boku JandolAnganola.

– Czy raczysz mi, pani, zdradzić swój wiek, jeśli zatrzymam to w tajemnicy – spytał ukradkiem.

– Och, to jedno z najczęściej zadawanych mi pytań – odparła wymijająco. – Na równi z "czy lubisz być księżniczką?" Ludzie uważają mnie za rozwiniętą nad wiek i chyba nie bez racji. Wzmógłony upał obecnej pory pobudza młodsze osoby, rozwija je pod każdym względem. Ja od ponad roku miewam dorosłe sny. Czy kiedykolwiek śniło ci się, że jesteś w potężnym, miażdżącym opór uścisku boga ognia?

Nachylił się do jej ucha.

– Zanim ci zdradzę, czy to ja właśnie jestem tym bogiem ognia – filuternie powiedział ognistym szeptem – muszę sobie odpowiedzieć na moje własne pytanie. Ja dałbym ci najwyżej dziewięć lat.

– Dziewięć lat i pięć tennerów – odrzekła – ale liczą się uczucia, a nie lata.

Pałac miał szeroką i na trzy piętra wysoką fasadę o wyraźnie wyodrębnionych poziomach kondygnacji, przez które pionowo biegły potężne kolumny z polerowanych pni radżababy. Na tym przysłupiu wznosił się strzelisty dach kryty błękitną dachówką, wypaloną w warsztatach kaceńskich garncarzy. W takiej postaci postawiono ten pałac ponad trzysta pięćdziesiąt małych lat temu, po napaści fagorów i częściowym zniszczeniu Oldorando; mimo że od tamtej pory zostały w nim wymienione niemal wszystkie drewniane bale, trzymano się pierwotnych założeń. W nie szklonych otworach okiennych widniały misternie wyrzynane, drewniane kraty. W podobne wzory wyrzeźbiono kratę bramy, jednak była ona wzmocniona deskami i srebrnym okuciem. Wewnątrz uderzył rurowy gong, otwarto bramę i Sayren Stund wprowadził gości do środka.

Nastąpiły dwa dni biesiadowania i rozmów o niczym. Gorące źródła, z których słyneło Oldorando, również nie narzekały na brak wyznawców. W Domu Nadziei zbierano się na dziękczynne modły, odprawiane przez wielu wysokich dostojników Kościoła. Śpiewy były wspaniałe, stroje imponujące, ciemności w olbrzymiej krypcie tak głębokie, że Akhanaba nie życzyłby sobie głębszych.

JandolAnganol modlił się, śpiewał, rozmawiał, przestrzegał etykiety i nie ufał nikomu. Nikt nie wiedział, co sądzić o tym dziwnym człowieku. Wszyscy mieli go na oku. A on miał oko na wszystkich. Nie na darmo niektórzy zwali go Orłem. Dołożył starań i dopilnował, aby Pierwsza Gwardia Fagorza dostała odpowiednie kwatery. Jak na miasto nienawidzące fagorów, na niczym im nie zbywało.

Po drugiej stronie placu leżał Park Świstka, obszar zieleni całkowicie odcięty przez rzekę Valvoral i jej dopływy. Tu rosły chronione drzewa brassimowe. Tu również znajdował się Świstek Czasu, sławny na całym kontynencie. Ten gejzer wybuchał z przeraźliwym gwizdem co godzina, punktualniej niż zegarek. Mijały dni, tygodnie, tennery, lata, stulecia – Świstek Czasu odgwisdywał wszystkie godziny. Niektórzy twierdzili, że sama godzina, jej długość i podział na czterdzieści minut zostały ustalone wedle tych gwizdów dobywających się z wnętrza ziemi. Prastara siedmiokondygnacyjna wieża stała w otoczeniu kilku nowych pawilonów na skraju parku. W pawilonach rozkwaterowano fagory. Cztery mosty łączące park z miastem były strzeżone przez fagory od strony parku i przez ludzi od strony miasta, aby nikt nie mógł przedostać się do parku i napastować ancipitów. Niebawem tłumy ludzi przychodziły pogapić się na ancipitalne wojsko po drugiej stronie rzeki. Te karne, z pozoru spokojne stworzenia zupełnie nie przypominały fagorów z popularnych wyobrażeń, tych fagorów, które równe bogom dosiadają ogromnych rudych rumaków i mkną z równą boskiej chyżo-ścią, niosąc ludziom śmierć. Owi jeźdźcy lodowatych wichrów niewiele mieli wspólnego ze stworzeniami smętnie snującymi się po parku.

Wracając od swoich kohort do Sayrena Stunda, JandolAnganol dostrzegł, że zostawia fagory trawione niepokojem. Odbił rozmowę z fagorzą regimentarką Chzarną, ale od Chzarny tyle tylko się wywiedział, że gwardia potrzebuje trochę czasu, by przywyknąć do nowych kwater. Uznał, że fagory są nieco podrażnione gwizdaniem Świstka Czasu. Powiedziawszy kilka słów otuchy odszedł z rozbrykanym miódkiem u boku. Za posrebrzonymi wrotami pałacu czekała nań Milua Tal. W ciągu tych dwóch ostatnich dni zdążył jeszcze bardziej polubić tę swawolną osóbkę i jej gołębie gruchanie.

– Przybyli twoi przyjaciele. Mówi się, że to święci, ale tutaj wszyscy udają świętych. Ich dowódca nie wygląda na świętego. Jest za przystojny, żeby być świętym. Wygląda mi na zepsutego. Czy lubisz zepsutych ludzi, królu Jan-dolu? – bo myślę, że jestem dość zepsuta.

Roześmiał się.

– Myślę, że jesteś zepsuta. Jak większość ludzi. W tym większość świętych.

– Zatem trzeba być wyjątkowo zepsutym, aby wyróżniać się z tłumu.

– Logiczny wniosek.

– Czy dlatego ty się wyróżniasz z tłumu? Zamknął dłoń na wsuniętej w nią małej rączce.

– Są jeszcze inne powody. Na przykład można być bogiem ognia.

– Dochodzę do wniosku, że większość ludzi okropnie mnie rozczarowuje. Czy wiesz, że kiedy znaleźliśmy moją zamordowaną siostrę, ona siedziała sobie wyprostowana w fotelu, kompletnie ubrana. Ani śladu krwi. To mnie rozczarowało. Wyobrażałam sobie kałuże krwi. Wyobrażałam sobie, że zabijani ludzie miotają się po całej izbie, nienawidząc tego, co ich spotyka.

– Jak ją zabito? – spytał twardym głosem.

– Zyganka! ciosem rogu fugasa prosto w serce. Ojciec mówi, że to był róg fugasa. Przebił ubranie i serce na wylot. – Podejrzliwie zerknęła na Juliego, lecz Juli miał spiłowane rogi.

– Bałaś się?

Zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem.

– Nigdy o tym nie pomyślałam. Ani trochę. To znaczy, chyba myślałam o tym, że ona siedzi wyprostowana. Jej martwe oczy wciąż były szeroko otwarte.

Weszli do obwieszanej gobelinami sali przyjąć. Milua Tal uprzedziła JandolAnganola o przybyciu Alama Esomberra i jego "hałustry wikarych", jak nazywał ich Esomberr. Nowi goście wsiąkli w tłumek oldorandzkich dostojników i gwar powitalnych uprzejmości. Orlim wzrokiem król wypatrzył w drugim końcu sali jeszcze jedną znajomą postać, którą pośpiesznie wyprowadzano tylnymi drzwiami w chwili wkroczenia JandolAnganola. Postać obejrzała się w progu sali i jej wzrok, mimo mrowia dzielących ich głów, spotkał się ze spojrzeniem króla. I zaraz postać zniknęła za zamkniętymi drzwiami. Widząc, kto się zjawiał, Esomberr dwornie przeprosił towarzystwo i podszedł do JandolAnganola z ukłonem i jednym ze swoich drwiących uśmiezków.

– No i jesteście, Jandol, jak widać na załączonym obrazku, jak i moja cokolwiek kościelna kompania. Jedna noga skręcona w kostce, jeden przypadek zatrucia pokarmowego, jeden poseł złakniony luksusów cywilizacji, a poza tym wszyscy cali i zdrowi. Brudni jak nieboskie stworzenia, rzecz jasna, po zwariowaniu długim pochodzie przez twoje włości...

Wymienili oficjalne uściski.

– Cieszy mnie, że wyszedłeś z tych opresji cało, Alam. Przekonasz się, że tutejsze luksusy są dość przygnębiające, przynajmniej na moje oko.

Esomberr utkwiał wzrok w królewskim miodku. Żartobliwie udając, że chce pogłaskać Juliego, nagle cofnął dłoń.

– Nie gryzie, czy gryzie zwierzaczek?

– Jezzzdem zywilizowany – rzekł Juli. Esomberr uniósł brew.

– Nie chcę być nieuprzejmy, Jandol, ale czy ten dość prowincjonalny tutejszy ludek, Sayren Stund i reszta, ścierpł w swym gronie nawet i cywilizowane sam wiesz co? Akurat trwa halali – dla uczczenia śmierci twojej narzeczonej, jak mi się zdaje...

– Jeszcze nie miałem kłopotów, ale wkrótce przybywa C'Sarr. Lepiej nachapaj się luksusów do tego czasu. A przy okazji, dopiero co widziałem mego eks-kanclerza Sartoriirwrasza. Wiesz coś o nim?

– Hmmm. Tak, tak, wiem, Panie. – Esomberr potarł koniuszek kształtnego nosa. – On i sibornalska dama dogonili mnie i moją hałastrę wikarych wkrótce po tym, jak Wy z fagorzą piechotą pokłusowaliście naprzód z właściwą Warn werwą i animuszem. Oboje, on i sibornalska dama, nadjechali na musłangach. Dalszą drogę odbyli z nami.

– Co go sprowadza do Oldorando?

– Może luksusy cywilizacji?

– Terefere. Co ci powiedział?

Alam Esomberr wlepił oczy w podłogę, jak gdyby usiłował wskrzesić jakieś ulotne wspomnienie.

– Zy ganka, podróż strasznie osłabia pamięć... hm. No nie, naprawdę nie umiem powiedzieć. Panie. Może najlepiej będzie, jak sami go zapytacie?

– Jechał z Grawabagalinien? Co on tam robił?

– Niewykluczone, Panie, że pragnął zobaczyć morze, co jak słyszałem, robi wielu ludzi przed śmiercią.

– W takim razie jego pragnienie mogło wynikać z przecucia – z ozywieniem powiedział JandolAnganol. – Niewielki dziś z ciebie pożytek, Alam.

– Wybacz mi. Nogi mam w takim stanie, że głowa też odmawia mi posłuszeństwa. Większy może być ze mnie pożytek, gdy się wykąpię i zjem obiad. Tymczasem zapewniam cię, że nie jest moim przyjacielem ten twój nieco śliski eks-kanclerz.

– Poza tym, że obaj oczyścilibyście świat z Pagórow.

– Jak większość ludzi, gdyby starczyło im śmiałości. Z fagorów i ojców. Zmierzyli się wzrokiem.

– Lepiej nie poruszajmy tematu śmiałości – rzucił JandolAnganol odchodząc w głąb sali. Wepchnąwszy się do grupki mężczyzn w przepysznie zdobionych czarfralach i egzotycznych fryzurach, którzy rozmawiali z królem Sayrenem Stundem, przerwał im bez ceregieli. Sayren Stund zrobił głupią minę i choć niechętnie, ale przeprosił swoich rozmówców. Wokół dwóch królów wytworzyła się pusta przestrzeń. Natychmiast wyrósł przy nich lokaj, podając na srebrnej tacy puchary wina z lodem. JandolAnganol obrócił się. Tylko na wpół z rozmysłem wytrącił mu tacę z ręki.

– Aj, aj, aj – powiedział Sayren Stund. – Nic nie szkodzi, to zwykły wypadek, sam widziałem. Wina nam nie zabraknie. Ani lodu, jeżeli o to chodzi, który teraz dostarcza nam pani kapitan Immaja Muntras. Musimy się przyzwyczaić do takich nowinek.

– Królu bracie, daruj sobie zabawę w słówka. Tu w swym pałacu ukrywasz człowieka, który był moim kanclerzem, którego odprawiłem i którego uważam za wroga, gdyż przeszedł na stronę sibornalską, człowieka imieniem Sartoriirwrasz. Czego on tu szuka? Czy przywiózł ci tajną wiadomość od mojej eks-królowej, jak się obawiam?

– Wspomniany przez ciebie człowiek przybył tu zaledwie dwadzieścia minut temu, w tak godnym zaufania towarzystwie, jak Alam Esomberr. Zgodziłem się udzielić mu schronienia. Przybył z damą. Zapewniam cię, że oni nie są przewidziani w charakterze gości pod tym dachem.

– Ona jest Sibornalką. Ja odprawiłem tego człowieka. Wnoszę, że on tu jest nie po to, aby mi się przysłużyć. Gdzie oni zamieszkają?

– Drogi bracie, sądzę, że to chyba ani mój, ani twój interes. Półmroczne ćmy muszą się trzymać półmroku, jak mówią u nas.

– Gdzie on się zatrzyma? Ochraniasz go? Powiedz szczerze.

Sayren Stund zasiadł na wysokim tronie. Dostojnie podniósłszy się, rzekł:

– Trochę tu już za gorąco. Chodźmy na przechadzkę po ogrodzie, zanim się zgrzejemy. – Dał znak żonie, aby została.

Przez salę przeszli szpalerem z ukłonów. Tylko młoddek Juli podążał za nimi. Ogrody były oświetlone płonącymi w niszach pochodniami. W powietrzu niemal tak nieruchomym, jak pałacowa duchota, pochodnie paliły się równym płomieniem. W równiutko przystrzyżonych alejkach zalegała woń siarki.

– Nie chcę cię denerwować, bracie Sayrenie – rzekł JandolAnganol – ale orientujesz się, że mam tutaj ukrytych wrogów. Samo spojrzenie Sartoriirwrasza, jego mina powiedziały mi, że on teraz przeszedł do obozu moich nieprzyjaciół, że przybył, aby narobić mi kłopotów. Zaprzeczysz temu?

Sayren Stund lepiej już panował nad sobą. Był gruby i sapał idąc.

– Zdajesz sobie sprawę – powiedział z flegmą – że w Oldorando czy też w Embruddocku, jak mówią niektórzy, woląc starą nazwę, prości ludzie uważają twoich krajanów za barbarzyńców, co wcale, jak wiesz, nie znaczy, że i ja tak myślę. Jednak nie udaje mi się wytrzebić tych uprzedzeń, mimo podkreślania naszej wspólnoty religijnej.

– Co to ma wspólnego z moim pytaniem?

– Aj, aj, brakuje mi tchu. Chyba mam uczulenie. Pozwól, że zapytam, czy tego fugasika, który depcze nam po piętach, trzymasz tylko po to, żeby obrażać mnie i moją królową? – Pogardliwym gestem wskazał na młodka.

Z kolei JandolAnganol nie wiedział, co odpowiedzieć.

– To tylko mój... taki domowy piesek. Nie odstępuję mnie na krok.

– Sprowadzenie tej pokraki na mój dwór obraża nas. Toto winno zostać na Wyspie Świstka razem z resztą zwierzaków.

– Mówię ci, że to tylko ulubiony psiak. W nocy śpi przed drzwiami mej sypialni i będzie szczekał, gdyby coś groziło.

Sayren Stund przystanął i założywszy ręce do tyłu z uwagą oglądał jakiś krzew.

– Nie powinniśmy się spierać, obaj mamy kłopoty, ja w Kace, ty w domu, w Matrassylu, jeśli ufać raportom, które dostają. Ale nie możesz przyprowadzać tego stworzenia na mój dwór – opinia dworu jest mu przeciwna, cokolwiek bym ja osobiście mógł powiedzieć.

– Dlaczego nie powiedziałeś tego, kiedy przybyłem dwa dni temu? Król Oldorando ciężko westchnął.

– Dostałeś dwa dni odpustu. Tak to potraktuj. Wiesz, że wkrótce zawita do nas Święty C'Sarr. Podejmowanie C'Sarra to wielki zaszczyt i wielka odpowiedzialność. On nie ścierpł widoku fagora. Jesteś zbyt kłopotliwym gościem, Jandol. Skoro nic cię tu już nie zatrzymuje, to może byś jutro wrócił do swej stolicy, razem ze swoją zwierzęcą trupą?

– Aż taki jestem niepożądany? Zaprosiłeś mnie, bym pozostał na czas wizyty C'Sarra. Jaką to truciznę Sartoriirwrasz wsączył ci do ucha?

– Uroczystości pobytu Świętego C'Sarra muszą przebiegać spokojnie. Być może przymierze z potężnym Pannowalem jest ważniejsze dla mnie niż dla ciebie, bo moje królestwo leży bliżej. Szczerze mówiąc, fugasy i miłośnicy fugasów nie cieszą się sympatią w tej części świata. Jeśli nie masz tu żadnego celu, to proponuję, abyśmy ci jutro życzyli szczęśliwej podróży.

– A jeśli mam cel? Sayren Stund odchrząknął.

– Jaki cel? Obaj jesteśmy religijnymi ludźmi, Jandol. Chodźmy teraz na wspólną modlitwę i biczowanie i rozstańmy się rano jak przyjaciele i sprzymierzeńcy. Czy to nie najlepsze wyjście? Wtedy będziemy miło wspominać twoją wizytę. Dam ci statek, którym chyżo jak ptak pozeglujesz w dół Valvoralu i ani się obejrzyysz, jak będziesz w domu. Czujesz zapach kwitnącej ospilni? Piękny, nieprawdaż?

– Rozumiem. – JandolAnganol założył ręce. – A więc dobrze, skoro dalej Wasza przyjaźń i religia już nie sięga, jutro opuścimy Waszą Mość.

– Wasz odjazd przepęlni nas smutkiem. Jak również naszą królową i córkę.

– Czynię zadość twej prośbie, ale wiem, co o niej myśleć. W zamian odpowiedz na moje pytanie. Gdzie jest Sartoriirwrasz?

W oldorandzkiego monarchę nagle wstąpił nowy duch.

– Nie masz prawa źle myśleć o mojej prośbie. Czyż moja córka byłaby dzisiaj martwa, gdybyś się z nią nie zaręczył? To był polityczny mord; biedaczka nie miała osobistych wrogów. Po czym zjawiasz się ze swymi śmierdzącymi fugasami i oczekujesz, że będziesz mile widziany.

– Sayren, z ręką na sercu, boleję nad śmiercią Simody Tal. Gdybym dostał zabójcę, już wiedziałbym, co z nim zrobić. Nie przysparzaj mi bólu obwinianiem o tę zbrodnię.

Sayren Stund ośmielił się położyć dłoń na ramieniu swego królewskiego brata.

– Nie martw się tym... tym człowiekiem, o którym mówisz, twoim eks-kanclerzem. Daliśmy mu izbę w jednej z klasztornych noclegowni na tyłach pałacu i Domu Nadziei. Nie będziesz musiał go widywać. I nie rozstaniemy się we wrogości. To się po nas nie okaże. – Wysiąkał nos. – Tylko koniecznie opuść jutro Oldorando.

Pokłonili się sobie. JandolAnganol powoli odszedł do swych kwater w pałacowej oficynie. Juli deptał mu po piętach.

Na ścianach oficyny wisiąły wyleniało kobierce, drewniana podłoga lepiała się od brudu. Król zastukał do drzwi regimentarza piechoty. Odpowiedziała mu cisza. Tknięty nagłą myślą poszedł dalej i zastukał do drzwi Farda Fentiia. Królewski zbrojmistrz odkrzyknął, że drzwi są otwarte. Garbus

siedział na łóżku, pucując buty; skoczył na równe nogi ujrawszy króla. Pod oknem stał nieruchomo fagorzy gwardzista z włócznią u nogi. Nie tracąc czasu, JandolAnganol od razu przystąpił do sedna sprawy.

– Ciebie mi właśnie potrzeba. To twoje rodzinne miasto i lepiej ode mnie znasz miejscowe zwyczaje. Jutro stąd wyjeżdżamy – tak, niespodziewanie, ale nie mamy wyboru. Żeglujemy do Matrassyłu.

– Kłopoty, Panie?

– Kłopoty.

– Kawał krętacza z tego króla.

– Chcę wziąć ze sobą Sartoriirwrasza, do niewoli. Jest tu w mieście. Chcę, abyś go odnalazł, obezwładnił, przesmugłował do naszych kwater. Nie możemy mu poderżnąć gardła – wybuchłaby zbyt wielka awantura. Ściągnij go tutaj po kryjomu.

Fard Fantii zaczął chodzić po izbie tam i z powrotem, skubiąc brew.

– Nie możemy zrobić czegoś takiego. To niemożliwe. To bezprawie. Co on uczynił?

JandolAnganol uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Znam sposób myślenia tego niebezpiecznego starego padalca. Wygrzebał jakiś zwariowany kawałek wiedzy, aby mnie skompromitować. Będzie to jakoś powiązane z fagorami. Zanim z tym wyskoczy, muszę mu zamknąć gębę, muszę go mieć pod kluczem. Jutro wywieziemy jeńca w zamkniętym kufrze. Nikt się nie dowie. On mieszka w którymś z domów noclegowych na tyłach pałacu. No więc polegam na tobie, Fardzie Fantiiu, gdyż uważam, że łebski z ciebie człowiek. Spisz się dobrze, a nagroda cię nie minie, masz moje słowo.

Zbrojmistrz wciąż się wahał.

– To bezprawie.

Zimnym jak stal głosem król rzekł:

– Widzę tu fagora na twoich pokojach. Kategorycznie tego zakazałem. Poza moim miastem wszyscy ancypici mieli zamieszkiwać w Parku Świstka. Za złamanie moich rozkazów zasługujesz na chłostę i degradację.

– To mój ordynans, Panie.

– Pojmiesz mi Sartoriirwrasza, jak proszę? Z ponurą miną Fard Fantii wyraził zgodę. Król rzucił sakiewkę złota na łóżko. Były to pieniądze uzyskane na targowisku dwa dni temu.

– Świetnie. Przebierz się za mnicha. Ruszaj natychmiast. Weź ze sobą swego ulubieńca.

Po wyjściu zbrojmistrza z fagorem JandolAnganol przez chwilę stał w ciemnej izbie rozmyślając. Przez okno widział kometę YrapRombry nisko na północnym nieboskłonie. Widok tej świetlistej smugi pośród nocy przypomniał mu ostatnie spotkanie z mamikiem ojca i przepowiednię spotkania w Oldorando kogoś, kto ma klucz do jego przeznaczenia. Byłażby to aluzja do Sartoriirwrasza? Przepatrzył myślami – niby rozbieganymi oczyma – inne możliwości. Uspokojony, że uczynił wszystko, co mógł być uczynić w obozie wroga, powrócił do siebie, gdzie Juli jak zwykle ułożył się przed drzwiami do snu. Wchodząc do sypialni król pogłaskał młodka. Na tacy przy łóżku stał dzbanek wina z lodem. Pewnie w ten sposób Sayren Stund okazywał swą wdzięczność odjeżdżającemu gościowi. JandolAnganol wypił pełną szklanicę słodkiego wina, po czym cisnął tacę i dzbanek w kąt. Zrzuciwszy ubranie wlaźł w stertę futer i natychmiast zapadł w sen. Zawsze twardo sypiał. Tym razem miał sen twardszy niż zazwyczaj.

Śniło mu się wiele przedziwnych rzeczy. Śniło mu się, że był najróżniejszymi rzeczami, a na koniec jako bóg ognia wiosłował przez złotą pożogę. Lecz pożoga nie tyle była płomienna, co płynna. Był morskim bogiem ognia, a Myrdem-Inggala uciekała przed nim na delfinie. Wyteżał wszystkie

siły. Morze go nie puszczało. Wreszcie ją dopadł. Objął mocno. Złoto napłynęło ze wszystkich stron. Lecz koszmar sunący za nim jak cień po obrzeżach snu doganiał ich gwałtownie. Myrdeminggala wydawała mu się jakaś odmieniona. Brzemienna ogromnym, niezdrowym ciężarem. Krzyczał i zmagął się z nią. Jej złoto zalewało mu gardło i oczy. W dotyku była jak...

Wyrwał się z kosmaru na jawę. Przez chwilę nie śmiał otworzyć powiek. Leżał w łóżku, w oldorandzkim pałacu. Kurczowo zaciskał na czymś ręce. Dygotał jak w febrze. Niemal wbrew jego woli otworzyły mu się oczy. Z sennych widziadeł pozostało tylko złoto. Złote plamy na futrach posłania i na jedwabiu poduszek. Złote plamy na nim samym. Usiadł z krzykiem, odrzucając skóry okrycia. Juli leżał przy nim. Miał odrąbaną głowę. Trup bez głowy. Zimny trup młodka. Rzeka złocistej krwi przestała płynąć, utworzywszy skręplą kałużę pod zwłokami i pod królem. Król padł na gołą posadzkę, twarzą do kamiennych płyt. Zapłakał. Gdzieś z najtajniejszych głębi płynący szloch wstrząsał całym okrytym złotymi plamami królewskim ciałem.

Zgodnie z panującym zwyczajem na oldorandzkim dworze każdego ranka o godzinie dziesiątej odprawiano nabożeństwo w królewskiej kaplicy położonej pod pałacem. Aby uhonorować gościa, Sayren Stund poprosił JandolAn-ganola o codzienne zastępstwo w czytaniu lekcji świętej z Testamentu RayniLayana.

Tego ranka mnóstwo szeptów i domysłów wypełniło kaplicę, w której zebrała się królewska kongregacja wiernych. Powszechnie wątpiono w przybycie króla Borlien.

Król schodził po schodach ze swych komnat. Był po wielokrotnej kąpieli i ubrany nie w czarfral, ale w długą do kolan koszulę, buty z cholewami i lekki płaszcz. Trupia bladość okrywała mu twarz. Dłonie drżały. Schodził powoli, stopień po stopniu, panując nad sobą. Na schodach dogonił go biegiem zbrojmistrz.

– Panie, stukałem wcześniej do Waszych drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Wybaczcie mi. Nasz człowiek jest u mnie związany w kufrze. Przypilnuję jeńca do gotowości statku. Powiedz mi tylko, kiedy mogę przesznuć go na pokład.

– Plany mogą ulec zmianie, Fardzie Fantiiu.

Zachowanie się króla na równi ze słowami zaniepokoiło zbrojmistrza.

– Nie jesteście chorzy. Panie? – Wzniósł nieprzyjemne spojrzenie do nieba.

– Wracaj do siebie.

Nie obejrzawszy się król podjął swój marsz na dół do przyziemia i dalej w dół do królewskiej kaplicy. Przybył jako ostatni. Kruty i bębenki grały hymn na wejście. Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego, gdy sztywno, niczym na szrudłach, szedł przez nawę i po schodkach do stalli Sayrena Stunda. Tylko Stund nie odwrócił szybko mrugających oczu od ołtarza, jak gdyby nic nie zaszło. Stalla królewska stała osobno przed całą kongregacją. Było to istne cacko o rzeźbionych bocznych ściankach, inkrustowanych srebrem. Do środka wiodło sześć krętych stopni. Tuż pod królewską znajdowała się skromniejsza, tylko na jeden schodek podwyższona stalla, w której zasiadała królowa Bathkaarnetka z córką. Nie patrząc na boki JandolAnganol zajął miejsce obok Stunda i rozpoczęło się nabożeństwo. Dopiero po długim hymnie chwały na cześć Akhanaby obrócił się Sayren Stund i, tak jak poprzedniego dnia, skinął głową, zapraszając tym JandolAnganola do odczytania lekcji z Testamentu. Wolnym krokiem JandolAnganol zszedł po sześciu stopniach i po czarnych i czerwonych płytach posadzki dotarł do pulpitu, stając naprzeciwko zgromadzenia. Zapadła grobowa cisza. Twarz króla była biała jak pergamin. Wzrok napotkał bezlitosne oczy gromady. Wyczytał w nich ciekawość, ukrytą drwinę, nienawiść. Nigdzie współczucia poza jedną jedyną twarzą dziewięcioletniej kobietki skulonej u boku matki. Skupiwszy na niej całą uwagę dostrzegł, że tak jak przy ich pierwszym spotkaniu mała krzyżuje z nim odwieczne Przychylne

Spojrzenie Madiski. Przemówił. Jego głos zabrzmiał niespodziewanie słabo, lecz po pierwszych słowach przybrał na sile.

– Chcę powiedzieć... to znaczy, Wasze Królewskie Wysokości, dostojni zebrani, chciałem powiedzieć... musicie mi wybaczyć, że zamiast czytać skorzystam ze sposobności, by zwrócić się wprost do was w tym świętym miejscu, gdzie Wszechmocny słyszy każde słowo i patrzy w każde serce. Wiem, że patrząc w wasze serca musi widzieć, jak bardzo dobrze mi życiecie. Tak samo, jak ja wam dobrze życzę. Moje królestwo jest potężne i bogate. Jednak wyprawilem się do was niemal w pojedynkę... niemal w pojedynkę. My wszyscy bierzemy udział w wyprawie po pokój dla naszych ludów. Dawno podjąłem tę wyprawę, a przede mną podjął ją mój ojciec. Moje życie jest wyprawą po pomyślność dla Borlien. Taką złożyłem przysięgę. Lecz niniejsza wyprawa ma też charakter bardziej osobisty. Nie posiadam czegoś, czego mężczyzna pożąda najbardziej, niekiedy przedkładając to nad służbę ojczyźnie. Nie posiadam królowej. Kamyk, który pół roku temu straciłem, wciąż się toczy. Pół roku temu postanowiłem poślubić córkę z rodu Stundów; dziś spełnię ten zamiar.

Umilkł, jak gdyby sam się przeląkł tego, co zaraz powie. Wszystkie oczy w kaplicy zawisły na twarzy króla, szperając w wypisanej tam historii jego życia.

– Przeto odpowiadając nie tylko na to, co Jego Królewska Wysokość, król Sayren Stund uczynił, niniejszym oświadczam tutaj, przed tronem Tego, który stoi nad wszelkimi ziemskimi mocami, że ja, król JandolAnganol z dynastii Anganolów, pragnę połączyć królestwa Borlien i Oldorando więzami krwi. Zamierzam możliwie jak najszybciej poślubić najdroższą i najukochańszą córkę Jego Królewskiej Mości, księżniczkę Miluę Tal Stund. Uroczystości ślubne odbędą się, jeśli Akhanaba dopuści, w mojej stolicy, jako że jestem zmuszony wyjechać dzisiaj do Matrassyłu.

Wielu obecnych zerwało się w ławkach na nogi, aby zobaczyć reakcję Sayrena Stunda na tę zdumiewającą nowinę. Kiedy JandolAnganol umilkł, zastygli jak posągi pod jego zimnym spojrzeniem i w kaplicy ponownie zapadła śmiertelna cisza. Sayren Stund pomalusięku zsuwał się ze swej ławy, aż całkiem zniknął z oczu. Martwą scenę ożywiła Milua Tal, która szybko ochłonawszy z początkowego zdumienia, podbiegła z piskiem do JandolAnganola i chwyciła go w objęcia.

– Jestem gotowa – rzekła – i jako ślubna żona spełnię wszystkie powinności.

XX. JAK TO ZE SPRAWIEDLIWOŚCIĄ BYŁO

Zapalano sztuczne ognie. Gromadziły się tłumy. Lał się bełtał. W co większych zakątkach miasta wznoszono modły. Mieszkańcy Oldorando radowali się na wieść o zaręczynach JandolAnganola z księżniczką Miluą Tal. Na zdrowy rozum nie mieli powodu do radości. Królewski dwór Stunda i związany z dworem Kościół żyły wystawnie na koszt mieszkańców miasta. Ale okazji do radości bywa niewiele i rozum kazał korzystać i każdej.

Królewska rodzina zyskała sobie powszechne współczucie po zabójstwie księżniczki Simody Tal. Takie straszne wydarzenia wzbogacają życie uczuciowe ludzi. A fakt, że teraz młodsza siostra została narzeczoną mężczyzny poprzednio zaręczonego z jej zmarłą starszą siostrą, sam w sobie stanowił radosną niespodziankę. Podczas sprośnych rozmów gubiono się w przypuszczeniach, kiedy to Milua Tal po raz pierwszy dostała menstruacji i z upodobaniem roztrząsano seksualne obyczaje Madisów.. Czy żyją w totalnej rozpuście, czy w ścisłej monogamii? Była to wiecznie nierozstrzygnięta kwestia, choć większość męskich głosów skłaniała się ku pierwszej z dwóch możliwości. Powszechnie wychwalano JandolAnganola. W oczach ogółu jawił się jako mężczyzna pełen ognia, ani nieprzyzwoicie młody, ani obrzydliwie stary. Ożenił się był i rozwiódł z jedną z najpiękniejszych kobiet w całym Kampanniacie. A co do przyczyny, dla której obecnie miał poślubić dziewczynę młodszą od swego syna... cóż, takie dynastyczne związki nie stanowiły rzadkości, chmary nieletnich prostytutek zaś w okolicy Wschodniej Bramy i Uidoku dostarczały prostej odpowiedzi na inne proste pytanie. Do fagorów lud miał stosunek obojętniejszy. niż przypuszczano w pałacu. Wszyscy, rzecz jasna, znali opowieści o własnych dziejach i owym sławnym dniu, kiedy fagorze hordy zniszczyły miasto. Ale to działo się dawno temu. Dziś nie grasowały żadne watahy fugasów. Fagor stanowił rzadki widok w Oldorando. Ludzie lubili przychodzić i oglądać je w Parku Świstka, podziwiając przez Valvoral żołnierzy Pierwszej Gwardii Fagorzej. W pewnym sensie polubili fagory.

Nie łagodziło to nic a nic zapiekłej nienawiści króla Sayrena Stunda. Jak zwykle niezdecydowany, przegapił moment, w którym mógł jeszcze nie dopuścić do małżeństwa. W duchu przeklinał samego siebie. Głośno przeklinał swoją królową. Bathkaarnetka pochwałała małżeństwo. Bathkaarnetka była prostą kobietą. Podobał jej się JandolAnganol. Jak to wyśpiewała w swej mowie, "on miał w sobie coś". Mimo że nie lubiła ancipitów, w nieustannym halali widziała rodzaj nietolerancji mogącej się łatwo obrócić przeciwko jej własnej rasie;

w rzeczy samej, Madisi nie byli mile widziani w Oldorando i często padali ofiarą gwałtów. Toteż sądziła, że mężczyzna broniący fagorów nie skrzywdziłby jej jedynej teraz córki, pół-Madiski. Bathkaarnetka wiedziała, że Sayren Stund od dawna nosi się z zamiarem wydania Milui Tal za Taynth Indredda, księcia Pannowalu, znacznie starszego i o ileż ohydniejszego od JandolAnganola. Nie podobał jej się Taynth Indredd. Nie podobała jej się myśl, że jej córka musiałaby spędzić życie w pannowskim mroku, żywcem pogrzebana pod górami Quzint. To nie był los godny Madiski czy nawet pół-Madiski. JandolAnganol i Matrassyl wyglądali na lepszy układ. Tak więc pokornie buntowała się przeciwko królowi. Król musiał znaleźć jakiś sposób wyładowania swej wściekłości. I znalazł, nie szukając daleko. Sayren Stund starał się zachować dobrą minę do złej gry. Nie mógł się przyznać do jakiegokolwiek odpowiedzialności za zabicie Juliego. A nawet zaprosił JandolAnganola na spotkanie w celu omówienia przygotowań do ślubu.

Przyjął gościa w komnacie, w której— pod sufitem kręciły się wiatraki, w donicach rosły vulusy, a barwne madiskie kobierce wisiały na ścianach w miejsce okien, na modłę pannowską. Sayrenowi

Stundowi towarzyszyła małżonka i wyświęcony kapłan doradca, wysoki ponurak o nie ogolonej, długiej i wąskiej twarzy i rysach ostrych jak siekiera, który siedział z boku, nic nie mówił i nie patrzył na nikogo. JandolAnganol stawiał się w galowym mundurze, w asyście jednego ze swych wojskowych dowódców, wojaka, który większość życia spędził w polu i wyglądał na zakłopotanego swoim nowym dyplomatycznym zadaniem. Sayren Stund nalał wina i podsunął puchar JandolAnganolowi. Ten odmówił.

– Wasze winnice słyną w całym świecie, ale przekonałem się, że wino z nich mnie usypia.

Nie zwracając uwagi na przytyk, Sayren Stund przeszedł do rzeczy.

– Jesteśmy zadowoleni, że pojmiecie księżniczkę Miluę Tal za małżonkę. Proszę sobie przypomnieć, że Waszym zamiarem było poślubienie mojej starszej córki tu w Oldorando. Przeto prosimy Was, aby i ta uroczystość odbyła się tutaj, po przybyciu Świętego CSarra, który osobiście udzieli Warn ślubu.

– O ile Was zrozumiałem, Panie, wyrażaliście gorące pragnienie, abym dzisiaj opuścił Oldorando.

– To było nieporozumienie. Doszło do naszej wiadomości, że ten Wasz oswojony zwierzak, stanowiący dla nas kamień obrazy, został usunięty. – Mówiąc to przesunął spojrzenie na swego ponurego doradcę, jak gdyby szukał wsparcia. – Zorganizujemy uroczystości w godnej Wasz oprawie, bądźcie pewni.

– Jesteście pewni, że CSarr będzie tu za trzy dni?

– Jego heroldowie już są tutaj. Nasi przedstawiciele są z nimi w kontakcie. Orszak minął już jezioro Dorzin. Innych gości, jak księcia Taynta Indreda z Pannowalu, spodziewamy się jutro. Wasze gody zyskają z tej okazji rangę doniosłego wydarzenia historycznego.

Pojąwszy, że Sayren Stund gra na zwłokę, aby zdobyć nad nim przewagę, JandolAnganol odszedł porozmawiać na stronie ze swoim kapitanem. Pragnął wyjechać natychmiast, zanim zostaną ukartowane dalsze intrygi. Ale do wyjazdu potrzebował statku, a statkiem dysponował Sayren Stund. Rozwiązania wymagał też – jak mu przypominał kapitan – drażliwy problem Sartorii wrasza, który skrepowany, zakneblowany i bliski uduszenia czekał w kufrze Farda Fantia. Król wrócił do Sayrena Stunda.

– Czy mamy podstawy do niezachwianej pewności, że Święty CSarr dokona dla nas tego obrzędu? Jest stary, nieprawdaż? Sayren Stund zasznurował usta.

– Wiekowy, z pewnością. Sędziwy. Na moje oko, nie powiedziałbym, że jest stary. Pewnie ze trzydzieści dziewięć lat i kilka tennerów. Ale mógłby, oczywiście, sprzeciwić się mariażowi z tej racji, że Borlien wciąż udziela fagorom azylu i odrzuca prośby o halali. Mnie samemu nie zależy na uznaniu akurat tej doktrynalnej kwestii za dogmat; naturalnie musimy przyjąć sąd z jego świątobliwych ust.

Plamy gniewu wykwitły na policzkach JandolAnganola.

– Istnieją powody, by przypuszczać – rzekł zdławionym głosem – że nasza umiłowana religia, do której nikt nie żywi przywiązania głębszego niż moje, zrodziła się z prymitywnej czci boskiej oddawanej fagorom. Było tak wówczas, gdy zarówno fagory, jak ludzie pędzili prymitywniejsze życie. Mimo że historiografia Kościoła stara się ukryć ten fakt, kiedyś Wszechmocny z postaci bardzo przypominał ancypitę. W nowszych stuleciach powszechne wizerunki zamazały to podobieństwo. Jednak ono istnieje. Nikt dzisiaj nie wyobraża sobie, że fagory są wszechmocne. Z własnego doświadczenia wiem, jak potrafią być łagodne, jeśli je trzymać twardą ręką. Niemniej one są osią koła naszej religii. Nie może zatem być usprawiedliwione ich prześladowanie z mocy edyktów Kościoła.

Sayren Stund obejrzał się, szukając pomocy u swego kapłańskiego doradcy. Czcigodny ów mąż

przemówił głuchym głosem, nie podnosząc wzroku.

– Taka opinia będzie bez znaczenia dla Jego Świątobliwości C'Sarra, który mógłby rzec, że borlieński król bluźni przeciwko wizerunkowi Akhanaby.

– No właśnie – rzekł Sayren Stund. – Taka opinia nie będzie miała znaczenia dla nikogo z nas, bracie. C'Sarr musi udzielić ci ślubu, a ty musisz zachować swoje opinie dla siebie.

Spotkanie szybko dobiegło końca. Sam na sam ze swą królową i ponurym doradcą, Sayren Stund zatarł pulchne dłonie.

– A więc poczeka sobie na C'Sarra. Mamy trzy dni na udaremnienie wesela. Potrzebujemy Sartoriirwrasza. Kwatery fagorów w Parku Świstka zostały przeszukane i tam go nie ma. Musi zatem być nadal w pałacu. Każemy przetrząsnąć komnaty króla – od deski do deski.

Posępny doradca odchrząknął.

– Pozostaje sprawa tej kobiety, Odi Jeseratabhar. Przybyła tu z Sartorilrw-raszem. Dziś rano szukała schronienia w rezydencji ambasadora sibornalskiego, wielce zrozpaczona, donosząc o zniknięciu jej przyjaciela. O ile wiem, ona jest admirałem. Moi agenci donoszą mi, że nie została dobrze przyjęta. Ambasador może ją uznać za zdrajczynię. Mimo to nie wyda jej, póki co przynajmniej.

Sayren Stund powachlował się i łyknął wina.

– Możemy się obejść bez niej.

– Jest jeszcze jeden szczegół na korzyść Waszej Królewskiej Mości, przedłożony przez moich kościelnych prawników – podjął duchowny doradca. – Rozwód króla JandolAnganola z Myrdeminggalą jest potwierdzony dyspensą, która jak dotąd znajduje się w posiadaniu Alama Esomberra. Aczkolwiek król podpisał ją i zdaje się uważać swój rozwód za uprawomocniony, wedle starożytnej zasady pannotalskiego prawa kanonicznego rozwód członków rodziny królewskiej nie jest prawomocny, dopóki dyspensą w swej rzeczonyj postaci nie przejdzie w posiadanie C'Sarra. Tę zasadę przyjęto w celu odraczenia pochopnych mariaży dynastycznych. Obecnie zatem król JandolAnganol posiada praktycznie orzeczenie tymczasowe.

– I wobec tego nie może się ożenić ponownie?

– Każde małżeństwo zawarte przed uprawomocnieniem się orzeczenia będzie bezprawne.

Sayren Stund ze śmiechem klasnął w dłonie.

– Znakomicie. Znakomicie. Zuchwalstwo nie ujdzie mu na sucho.

– Ale nam jest potrzebne przymierze z Borlien – nieśmiało wtrąciła królowa.

Małżonek nawet nie raczył na nią spojrzeć.

– Moja droga, wystarczy, że podkopiemy pozycję, okryjemy króla niesławą, a Matrassyl go odrzuci. Nasi szpiedzy meldują stamtąd o dalszych rozruchach. Ja sam mógłbym wtedy wkroczyć jako zbawca Borlien i władać w obu królestwach, tak jak w przeszłości Oldorando władało Borlien. Nie masz wycucia historii?

JandolAnganol doskonale zdawał sobie sprawę z trudności swego położenia. Ilekroć podupadał na duchu, podsycał w sobie gniew wspomnieniem nikczemności Sayrena Stunda. Kiedy po odkryciu bezgłowych zwłok Juliego ochłonął z wstrząsu na tyle, by wyjść z komnaty, natknął się na porzuconą w korytarzu głowę młodka. Kilka jardów dalej w korytarzu leżał człowiek, którego król postawił na warcie, zasztyletowany, z twarzą bestialsko porąbaną mieczem. JandolAnganol zwymiotował.

Nazajutrz wciąż targały nim nudności. Mimo upału chłód przenikał mu ciało. Po spotkaniu z Sayrenem Stundem przeszedł się do Parku Świstka, przed którym niewielki tłumek gapiów zgotował mu owację. Obcowanie z fagorzą gwardią uspokajało króla. Uważniej niż poprzednio dokonał przeglądu rejonu zakwaterowania. Fagorzą starszyzna ciągnęła za królem. Jeden z pawilonów został

zaprojektowany jako domek gościnny i miał przyjemny wystrój. Na pięterku znajdowała się kompletnie umeblowana izba.

- Tę izbę biorę dla siebie – rzekł JandolAnganol.
- Staje się twoim domem. Żadne osoby w Hrl-Drra Nhdo mieć wstęp tutaj.
- Ani fagory.
- Ani fagory.
- Trzymajcie strażę.
- Takie jest nasze zzzrozumienie.

Nie widział powodu, żeby się zaniepokoić użyciem przez dowódcę starożytnej fagorzej nazwy Oldorando, choć znał dawne, uchodzące za niezniszczalne, wspomnienia ancipitów. Zbyt przywykł do pradawności ancipitalnej mowy. Kiedy wracał przez park w asyście czterech fagorów, zadrżała ziemia. Wstrząsy były częstym zjawiskiem w Oldorando. Odczuł je po raz drugi od swego przybycia. Spojrzał na pałac po drugiej stronie placu Loyłbryden. Zatęsknił za trzęsieniem ziemi tak silnym, by zawalił się pałac, a jednocześnie zauważył, że drewniane słupy w pałacowej fasadzie zapewniają budowli jak największą stabilność. Gapie i łaziki zdawali się niczym nie przejmować. Sprzedawczyni placków handlowała w najlepsze. Z wewnętrznym drzeniem JandolAnganol zastanawiał się, czy nie nadchodzi koniec świata wbrew wszystkiemu, co twierdzili mędrycy. Niech wreszcie skończy się to wszystko – pomyślał sobie. A potem pomyślał o Milui Tal.

Pod zachód Bataliksy do pałacu przybiegli od Wschodniej Bramy gońcy z wieścią o wcześniejszym, niż oczekiwano, przybyciu Taynth Indredda, księcia Pannowalu. JandolAnganol otrzymał oficjalne zaproszenie do wzięcia udziału w powitalnej ceremonii na placu Loyłbryden, zaproszenie raczej nie do odrzucenia.

Obojętny na sprawy państwa i na gdzie indziej toczony wojny, Taynth Indredd bawił na łowach w górach Ouzints i przybywał obładowany trofeami łowieckimi – mnóstwem skór, piór i kłów. Jechał w palankinie na czele kolumny klatek ze schwytanymi zwierzętami. W jednej klatce około tuzina Innych to jazgotało na tłum, to popadało w osowiałe przygnębienie. Dwunastoosobowa orkiestra grała skoczne marsze, powiewały proporce. Wjazd był bardziej imponujący od wkroczenia JandolAnganola. Taynth Indredd nie musiał też zniżać się do groszowych targów na rynku.

W orszaku księcia był jeden z nielicznych przyjaciół JandolAnganola na pannowalskim dworze, Guaddl Ulbobeg. Ulbobeg wyglądał na wyczerpanego podróżą. Kiedy oficjalna uroczystość powitalna zaczęła się po trosze przeradzać w długą popijawę, JandolAnganol mógł wreszcie zamienić parę słów ze starym przyjacielem.

– Robię się za słaby na podejmowanie takich wypraw – rzekł Guaddl Ulbobeg. Zniżając głos dodał: – A tak między nami, Taynth Indredd z tennera na tenner robi się coraz bardziej nieznośny. Mam wielką ochotę zrezygnować z urzędu. Stuknęło mi trzydzieści sześć i ćwierć roku, jakkolwiek by liczył.

– Dlaczego nie zrezygnujesz?

Guaddl Ulbobeg położył dłoń na ramieniu JandolAnganola. Króla wzruszyła naturalna serdeczność tego gestu.

– Z urzędem wiąże się biskupstwo Turmy. Czyżbyś zapomniał, że jestem biskupem Świętego Cesarstwa Pannowalu, niech je Bóg ma w swej opiece? Gdybym zrezygnował przed przeniesieniem w stan spoczynku, straciłbym i urząd, i wszystko, co się z nim wiąże... Taynth Indredd, nawiasem mówiąc, nie darzy cię wielką miłością, więc ostrzegam przed nim.

JandolAnganol roześmiał się.

– Wygląda na to, że jestem ogólnie znieawidzony. Czym uraziłem Taynth Indredda?

– Och, to rzecz powszechnie wiadoma, że nasz nadęty przyjaciel Sayren Stund obiecał mi za żonę Miluę Tal, zanim wsadziłeś w to swój palec.

– Wiesz o tym?

– Ja wiem o wszystkim. Wiem również, że idę wziąć kąpiel, a potem do łóżka. Trunek mi nie służy w tym wieku.

– Porozmawiamy rano. Miłych snów.

Wczesną nocą znów dało o sobie znać trzęsienie ziemi. Tym razem wstrząsy były tak silne, że zatrwożyły ludzi. W biedniejszych dzielnicach miasta obluzowały się dachówki i balkony. Kobiety z krzykiem wybiegły na ulice. Niewolnicy roznieśli panikę po całym pałacu. Bardzo było to na rękę JandolAnganolowi. Wykorzystał zamieszanie do swoich celów. Jego kapitanowie zbadali teren na tyłach pałacu i – co było do przewidzenia w budynku, który z dawien dawna nie służył za fortecę – odkryli wiele wyjść dla wtajemniczonych. Niejedne były dziełem samej służby pałacowej dla jej własnej wygody. Mimo wart od frontu, każdy mógł wyjść od tyłu. Jak to uczynił JandolAnganol. Szybko się przekonał, że nie tylko on korzysta z zamieszania. W uliczkę biegnącą przy północno-zachodnim murze wjechał furgon zaprzężony w szóstkę mustangów. Czterech osiłków zszedło na ziemię. Jeden przytrzymał przodowego mustanga, gdy tymczasem pozostali trzej zabrali się do odsuwania drewnianych wrzeczadły bocznych drzwiczek. Otworzyli drzwiczki i krzyknęli na kogoś w czeluści furgonu. Nie otrzymawszy odpowiedzi, dwaj wleźli do budy i z pomocą razów i przekleństw wywlekli spętana postać na bruk. Więzień miał głowę okręconą szmatą. Jęknął zbyt głośno, za co oberwał po plecach. Trzech opryszków bez pośpiechu otworzyło żelazne drzwi i zniknęło wraz z więźniem we wnętrzu pałacowej dobudówki. Drzwi zatrzasnęły się za nimi.

JandolAnganol obserwował wydarzenie z głębi portyku. Przy nim stała drobniutka postać Milui Tal. Stąd, gdzie stali, przy samym murze, czuli upojną woń ospilni, na którą już wcześniej uwagę JandolAnganola zwrócił Sayren Stund. W Parku Świstka, w pawilonie nazwanym przez nich Białym Domkiem, założyli swą kryjówkę. Czuli się bezpiecznie pod osłoną Fagorzej Gwardii. Króla wciąż zaprzętało to, co niedawno widzieli w uliczce.

– Wydaje mi się, że twój ojciec zamierza mnie zabić, zanim umknę z Oldorando.

– Zabicie nie jest takim znowu nieszczęściem, lecz on postanowił w jakiś sposób okryć cię hańbą. Dowiem się jak, jeśli zdołam, bo on teraz tylko łypie na mnie ponurym okiem. Och, jak mogą królowie być tak okropni? Mam nadzieję, że ty nie będziesz taki okropny, kiedy uciekniemy do Matrassylu. Chciałabym zobaczyć Matrassyl i popłynąć z prądem Valvoralu. Statki idące z biegiem rzeki potrafią mknąć z niesamowitą szybkością, szybciej niż ptaki. Czy w Borlien trzyma się pikubiki? Chciałabym mieć kilka w mojej Komnacie, tak jak mama. Przynajmniej cztery pikubiki albo z pięć, jeśli cię stać na nie. Ojciec powiedział, że ty zamierzasz zamordować mnie z zemsty i odrąbać mi głowę, ale ja wybuchłam śmiechem i pokazałam język – czy zauważyłeś, jak daleko wystawiam język – i powiedziałam mu: "Z zemsty za co, ty stary królewski głuptasie?" – i to go strasznie rozwścieczyło. Myślałam, że dostanie apopleksji.

Paplała radośnie, rozglądając się po izbie. JandolAnganol niósł jedyną tu lampkę.

– Nie zamierzam cię skrzywdzić, Miluo – rzekł. – Możesz mi wierzyć. Każdy uważa mnie za łotra. Ja jestem w rękach Akhanaby, jak my wszyscy. Ja nie chcę zrobić krzywdy nawet twojemu ojcu.

Siadłszy na łóżku spoglądała w okno, a cienie podkreślały papuzią ostrość jej rysów.

– To właśnie mi powiedziałam czy coś w tym rodzaju. Był tak wściekły, że wygadał się z pewnej tajemnicy. Znasz Sartoriirwrasza?

– Aż za dobrze.

– Znów jest w rękach ojca. Ludzie ojca znaleźli go w izbie tego garbusa.

Pokręcił głową.

– Nie. On nadal jest związany i zakneblowany w kufrze. Moi kapitanowie mają go przenieść tutaj na przechowanie. Milua Tal zaśmiała się perliście.

– Ojciec oszukał cię, Jan. To inny człowiek, jakiś niewolnik wsadzony do ciemnej skrzyni. Oni znaleźli Sartoriirwrasza, kiedy wszyscy witali starego tłustego księcia Tayntha.

– Na Patrzycielkę! Ten człowiek napyta mi biedy, napyta biedy. Był moim kanclerzem. Co też on może wiedzieć?... Milua, cokolwiek się stanie, nie wolno mi ustąpić. Idzie o mój honor.

– Och, zyganka, "Idzie o mój honor"! Jakbym słyszała ojca, kiedy tak mówisz. Czy nie powinieneś powiedzieć, że szalejesz za moją dziecinną urodą lub coś w tym rodzaju?

Złapał ją za rękę.

– Może i szaleję, śliczna Miluo! Ale mnie chodzi o to, że ten rodzaj szaleństwa nie zda się na nic bez jakiegoś wsparcia. Muszę znieść hańbę, przeżyć ją, wyjść z niej bez skazy. Wówczas odzyskam honor. Wszyscy obdarzą mnie szacunkiem za wyjście z honorem. Wtedy powstanie szansa na zawarcie od dawna przeze mnie upragnionego przymierza między moim krajem a waszym, i zawrę je czy to z twoim ojcem, czy z kimkolwiek, kto po nim odziedziczy tron.

Klasnęła w dłonie.

– Ja dziedziczę po nim! Więc każde z nas będzie miało całe królestwo. Pomimo napiętych nerwów, pomimo przeczucia, że dalsze nieszczęścia lada chwila spadną mu na głowę, parsknął śmiechem i porwawszy Miluę w objęcia przycisnął do siebie jej drobne kształty. Ziemia znów zadrżała.

– Możemy spać tutaj ze sobą? – szepnęła.

– Nie, to byłoby brzydkie. Rano pójdziemy się zobaczyć z moim przyjacielem Esomberrem.

– Myślałam, że on nie jest twoim przyjacielem.

– Ale będzie. Jest pyszałkiem, lecz nie łotrem.

Podziemne wstrząsy minęły. Minęła noc. Freyr wstał niespożyty, jak zwykle schowany za żółtawą mgiełką, i jak zwykle wzrosła temperatura. W tym dniu niewiele ważnych osobistości pokazało się ludziom na oczy. Król Sayren Stund ogłosił, że nie udziela żadnych audiencji; nieszczęśnicy, którzy podczas wstrząsów utracili dom albo dziecko, na próżno lamentowali w dusznych przedpokojach, dopóki ich nie odprawiono. Nie widziano króla JandolAnganola. Ani młodej księżniczki.

Drugiego dnia oddział oldorandzkiej straży w sile ośmiu ludzi aresztował JandolAnganola. Pojmali króla na schodach, gdy wychodził ze swej sypialni.

Stawiał opór, lecz chwycili go za rękę i nogi i ponieśli do więzienia. Został kopniakami sprowadzony po krętych kamiennych schodach i wtrącony do lochu. Wiele minut przeleżał na podłodze, nie posiadając się z wściekłości.

– Juli, Juli – powtórzył parę razy. – Byłem tak przybity tym, co oni z tobą zrobili, że ani przez chwilę nie pomyślałem, w jakim sam jestem niebezpieczeństwie... Nie pomyślałem...

Po kilku minutach milczenia rzekł głośno:

– Byłem zbyt pewny siebie. Zawsze popełniam ten sam błąd. Zbyt ufałem, że potrafię płynąć z prądem...

Po dłuższym czasie podniósł się z podłogi i bezradnie rozejrzał po celi. Półka pod ścianą służyła za łóżko i ławkę. Światło sączyło się z okna pod samym sufitem. W kącie było koryto do celów sanitarnych. Osunął się na ławkę i zadumał nad długoletnim pobytem swego ojca w lochu. Kiedy jeszcze bardziej podupadł na duchu, pomyślał o Milui Tal. Sayrenie Stundzie, jeśli choć jeden włos spadnie jej z głowy, ty ochluję... – Cały się sprężył. W końcu siłą woli rozluźnił mięśnie i oparł plecy o wilgotny mur. Z rykiem skoczył na nogi i zaczął chodzić po celi tam i z powrotem, od drzwi

do ściany. Przystanął dopiero wtedy, gdy usłyszał szuranie butów na schodach. W zamkach zgrzytnęły klucze i do celi wkroczył czarno ubrany przedstawiciel miejscowej warstwy czarnooswieconej z dwójką uzbrojonych strażników po bokach. Gdy składał ledwo dostrzegalny ukłon, JandolAnganol rozpoznał siekierogębego doradcę Sayrena Stunda imieniem Krispan Mornu.

– Jakim to przewrotnym prawem więzicie królewskiego gościa z zaprzyjaźnionego kraju?

– Przychodzę was powiadomić, że jesteście oskarżeni o zabójstwo i jutro o wschodzie Bataliksy staniecie za tę zbrodnię przed królewskim sądem kościelnym. – Grobowy głos umilkł, by po chwili dorzucić: – Bądźcie gotowi.

JandolAnganol z furją ruszył naprzód.

– Zabójstwo? Zabójstwo, bando zbrodniarzy? Co to za nowe łajdactwo? O zabójstwo kogo jestem oskarżony?

Skrzyżowane piki zagroziły mu drogę.

– Jesteście oskarżeni o zabójstwo księżniczki Simody Tal, starszej córki króla Sayrena Stunda, władcy Oldorando. – Skłonił się po raz drugi i wyszedł.

Król stał w miejscu, gapiąc się na drzwi. Orle oczy świdrowały deski, ani mrugnawszy powieką, jak gdyby JandolAnganol poprzysiągł, że nigdy więcej nie mrugnie powieką, dopóki nie wyjdzie na wolność. Czekał tak niemal bez ruchu przez całą noc. Potężna wewnętrzna moc działania, również uwięziona, czekała w nim jak zwinięta sprężyna. Zachowując bojową gotowość przez godziny mroku, czekał, aby skoczyć do gardła każdemu, kto ośmieli się przestąpić próg lochu. Nikt nie przestąpił. Nie przyniesiono jedzenia ani wody. W nocy nastąpił odległy wstrząs – tak odległy, że na dobrą sprawę mógł to być wstrząs tętnicy, a nie ziemi – i deszcz zaprawowej mączki spłynął po kamiennych ścianach. Nic więcej. JandolAnganola nie odwiedził choćby sznur ze złamanym ogonem. Z pierwszym brzaskiem sączącym się do lochu król podszedł do kamiennego koryta. Wspiąwszy się na koryto i wczepiwszy palce w szparę między dwoma kamieniami, wydrapaną przez jego poprzedników, mógł wyrzeć przez nie oszklone okienko.

Loch był od frontu, blisko naroża pałacu, tuż przy Domu Nadziei, jak ocenił JandolAnganol. Miał przed sobą plac Loyłbryden. Stał jednak zbyt nisko, by zobaczyć cokolwiek poza samym placem i koronami parkowych drzew po jego drugiej stronie. Plac był opustoszały. Pomyślał, że czekając odpowiednio długo, może by się doczekał widoku Milui Tal – o ile też nie była więźniem własnego ojca. Spoglądał w kierunku zachodnim. Małeńki spłachetek niebios w jego polu widzenia był wolny od mgiełki. Bataliksa rzucała długie cienie na bruk. Cienie wyblakły, a potem się rozdzieliły po wzejściu Freyra. A potem zniknęły, gdy powróciła mgiełka i temperatura zaczęła się podnosić. Nadeszli robotnicy. Przynieśli ze sobą pomosty i drągi rusztowania. Z ich ruchów przebijała rezygnacja, jaką wszędzie można spotkać u robotników: byli gotowi do roboty, a nie do wyścigu. Po jakimś czasie postawili szafot. JandolAnganol odszedł od okienka i przysiadłszy na ławie wpił paznokcie w skronie. Przybyli po niego strażnicy. Stoczył z nimi z góry przegraną walkę. Zakuli go w łańcuchy. Warczał na nich. Obojętnie popychali go w górę kamiennych schodów.

Wszystko wypadło tak, jak król Sayren Stund mógł sobie tylko życzyć. W owej nieustannej enancjotropii, dotykającej wszystkie rzeczy i przeistaczającej je we własne przeciwieństwa, mógł teraz naigrawać się z człowieka, który jakże niedawno naigrawał się z niego. Podskakiwał z uciechy, wydawał radosne okrzyki, wyściskał Bathkaarnetkę, wesolutko rzucając złośliwe spojrzenia na zgnębną córkę.

– Widzisz, dziecino, ten łotr, któremu wieszalaś się rączkami na szyi, zostanie publicznie napiętnowany jako zbrodniarz. – Tańczył wokół niej rozradowany jak olbrzym ludożerca wokół ofiary. – Jeszcze tylko dzionek i damy ci jego zimne ciało do obściskiwania. Tak, jeszcze tylko

dwadzieścia pięć godzin, a twojemu dziewictwu nic już nie będzie groziło ze strony JandolAnganola.

– Dlaczego nie powiesić i mnie, ojcze, i mieć wszystkie córki z głowy? W pałacu była specjalna komnata służąca za salę rozpraw. Kościół wyświęcił ją na przybytek sprawiedliwości. Porozwieszano w niej gałązki trędowniczki, bikinki i górokrotki, ziół uznawanych za chłodzące, aby łagodziły duchotę upału i przepajały salę sądową swym balsamem. Licznie zebrani luminarze dworu i miasta mieli przyglądać się rozprawie, bynajmniej nie wszyscy tak zgodni ze swoim władcą, jak mu się wydawało. Trójkę głównych aktorów dramatu stanowili król, jego posepny doradca Krispan Mornu oraz sędzia imieniem Kimon Euras, piastujący w Kościele stanowisko duszpasterza archiwariusza. Kimon Euras był tak chudy, że aż się garbił, jak gdyby napięta skóra przygięła obleczony nią kręgosłup; był łysy, a ściślej mówiąc, nie widać było na nim ani jednego włoska, skórę zaś jego twarzy powlekała szarawa bladość, przypominająca weliny oddane w jego cienkie ręce. Kiedy w zwisającej mu do płatfusowatych stóp czarnej keedrancie osiadał na sędziowskiej ławie, pająkowata powierzchowność zdawała się gwarantować, że z łaską będzie u niego równie cienko. Gdy owi trzej imponujący dygnitarze zajęli miejsca, zabrzmiał gong i wybrani z najtęższych osiłków dwaj strażnicy przywlekli JandolAnganola. Ustawili króla na środku sali, aby go wszyscy widzieli.

Różnica między więźniem a wolnym człowiekiem jest wyraźna w każdym sędzie. Tu uwidoczniła się wyraźniej niż zazwyczaj. Krótki pobyt w lochu wystarczył, by z króla uczynić brudasa w wyszmelcowanej koszuli. Jednak głowę trzymał wysoko, rzucając swym orlim spojrzeniem po sali, bardziej jak drapieżny ptak, który wypatruje ofiary, niż jak człowiek, który wypatruje zmiłowania. W ruchach i sylwetce zachował nieskazitelną czystość.

Kimon Euras rozpoczął długą mowę miłąkim jak pył głosem. Wiekowe kurze z dokumentów, które miał w swojej pieczy, osiadły mu w krtani. Podświadomie podniósł głos, dochodząc do słów:

– ...bestialskie zabójstwo naszej ukochanej księżniczki Simody Tal, tu w tym pałacu zabitej ciosem ancipickiego rogu. JandolAnganolu, królu Borlien, jesteście oskarżeni jako inspirator tej zbrodni.

JandolAnganol z miejsca odpowiedział urągliwym okrzykiem. Strażnik rąbnął króla w plecy.

– Więźniowie nie mają prawa głosu w tym sądzie. Będziesz przerywał, to wylądujesz z powrotem w celi.

Krispan Mornu potrafił na rozprawę znaleźć sobie szatę barwy jeszcze czarniejszej niż na co dzień. Czerń przeglądała się w jego brodzie, policzkach, oczach i gardle – ilekroć otworzył usta.

– Zamierzamy udowodnić, że wina obecnego tu króla Borlien jest bezsporna i że przybył on tutaj wyłącznie w celu zgładzenia księżniczki Milui Tal, aby w ten sposób położyć kres dynastii Stundów. Przedstawimy kopię narzędzia, jakim pozbawiono życia księżniczkę Simodę Tal. Przedstawimy również faktycznego sprawcę tego czynu. Wykażemy, że wszystkie okoliczności bezspornie wskazują na więźnia jako inspiratora tej potwornej intrygi. Dać tu sztylet.

Niewolnik w te pędy przyniósł żądany przedmiot, wylażąc ze skóry, żeby pokazać, jak bardzo się spieszy. Nie zdoławszy się powstrzymać od bezpośredniego udziału w rozprawie, Sayren Stund wyciągnął rękę i złapał sztylet, wyprzedzając Krispana Mornu.

– To jest obosieczny róg fagorzej bestii. Ma dwie ostre krawędzie, przeto nie sposób go pomylić z rogiem innych zwierząt. Pasuje do kształtu rany w piersi świętej pamięci księżniczki. Kochane biedactwo. Nie usiłujemy tu stwarzać pozorów, że to właśnie tą bronią dokonano zabójstwa. Tamten róg zaginął. Ten jest po prostu identyczny, dopiero co wyrwany z łba fagora. Chciałbym też przypomnieć, a sąd już oceni, czy ten fakt wiąże się ze sprawą, czy nie, że oskarżony miał fagorzego młodka za ulubieńca. Temu miódkowi oskarżony bluźnierczo nadał imię po Julim, wielkim świętym wojowniku, patronie naszego kraju. Czy obraza była zamierzona, czy wynikała z ignorancji, to już nie nasza sprawa.

– Sayrenie Stundzie, słono zapłacisz za swą nikiemność – powiedział JandolAnganol, zdrowo obrywając za te słowa.

Kiedy rogowy sztylet przeszedł już przez wszystkie ręce, krzywa figurka Kimona Eurasa wyprostowała się na tyle, by zapytać:

– Czy oskarżyciel ma jeszcze jakieś dowody przeciwko oskarżonemu?

– Widzieliście broń, którą dokonano tego czynu – oznajmił czarny głos Krispana Mornu. – Teraz przedstawimy wam osobnika, który taką właśnie bronią zabił księżniczkę Simodę Tal.

Do sali sądowej na w pół wniesiono, na w pół wprowadzono wrywającego się chłopaka. Miał głowę owiniętą w szmatę i JandolAnganolowi natychmiast stanął w pamięci więzień wyciągnięty nocą z drewnianego furgonu. Zawleczono go teraz przed ławę sędziowską. Na komendę zerwano mu szmatę z głowy. To, co ujrano, zdawało się składać z burzy rozczochranych włosów, czerwieni oblicza i strzępów koszuli. Dopiero po mocnym ciosie, kiedy młokos, zamiast się miotać, zaczął pochlipywać, można było rozpoznać RobaydayAnganola.

– Roba! – wrzasnął król i rąbnięty po nerkach zgiął się z bólu we dwoje. Opadł na ławkę zdruzgotany tym widokiem: oto jego rodzony syn jako więzień, Roba, który zawsze tak bał się więzienia.

– Agenci Jego Królewskiej Mości – rzekł Krispan Mornu – aresztowali tego młodego człowieka w Ottassolu, borlieńskim porcie morskim. Trudno było wpaść na jego trop, gdyż udając Madisa, czasami żył i ubierał się jak Madis. Ale jest człowiekiem. Nazywa się RobaydayAnganol. Jest synem oskarżonego, a powszechnie się mówi o jego szaleństwie.

– Czy zamordowałaś świętej pamięci księżniczkę Simodę Tal? – zapytał sędzia głosem, jaki wydaje darty pergamin.

Robayday dostał ataku płaczu i wśród płaczu usłyszano, jak zapewnia, że nikogo nie zamordował, że nigdy przedtem nie był w Oldorando i że pragnie jedynie, aby mu dano spokój i pozwolono wieść marne, lecz własne życie.

– Czy nie dokonałeś zabójstwa z namowy ojca? – spytał Krispan Mornu, nadając każdemu słowu brzmienie podobne do stuknięcia siekiery.

– Ja nienawidzę ojca! Ja boję się ojca! Ja nigdy bym nie wykonał jego nakazu.

– Więc dlaczego zabiłeś księżniczkę Simodę Tal?

– Nie zabiłem jej. Nie zabiłem. Przysięgam, że jestem niewinny.

– A kogo zabiłeś?

– Nikogo nie zabiłem.

Jak gdyby na te trzy słowa czekał przez całe swoje życie, Krispan Mornu uniósł zylastą dłoń wysoko do góry i zadarł nos, aż światło mu na nim zabłysło jak na szlifowanym ostrzu.

– Słyszycie, jak ten młodzieniec twierdzi, że nikogo nie zabił. Wzywamy świadka, który udowodni mu kłamstwo. Wprowadzić świadka.

Na salę wkroczyła młoda dama, dobrowolnie, acz nerwowo stąpając między dwoma strażnikami. Wśród łakomych spojrzeń zebranych doprowadzono ją przed podwyższenie ławy sędziowskiej. Dama była młoda i urzekającej urody. Miała jaskrawo wymalowane policzki. Ciemne włosy, upięte w kunsztowną fryzurę. Niezwykle obcisły czagirak, którego kwiatowy wzór uwypuklał jej kształty. Stanąwszy z jedną ręką na biodrze, trochę wyzywająco, potrafiła sprawić wrażenie niewinnej i uwodzicielskiej zarazem. Sędzia Kimon Euras przygiął swą alabastrową czaszkę w przód i zapewne został wynagrodzony możliwością zapuszczenia żurawia za damską podpaskę, gdyż przemówił tonem bardziej ludzkim niż do tej pory.

– Jak ci na imię, panienko?

– AbathaYasidol, proszę pana – odparła nieśmiało – Abatha, jak zwykle nazywają mnie przyjaciele.

– Jestem pewny, że nie brakuje ci przyjaciół – rzekł sędzia. Niewzruszony tym dialogiem zabrał głos Krispan Mornu.

– Również ta dama została tutaj doprowadzona przez agentów Jego Królewskiej Mości. Przybyła nie jako więzień, lecz z własnej woli, a za pomoc w ustaleniu prawdy otrzyma nagrodę. Abatho, czy zechciałabyś nam opowiedzieć, kiedy po raz ostatni widziałas tego tutaj młodzieńca i w jakich okolicznościach?

Abatha oblizwała i tak już błyszczące wargi.

– Och, panie, byłam w mojej izbie, mojej małej izdebce w Ottassolu. Mój przyjaciel był ze mną, mój przyjaciel Diw. Siedzieliśmy na łóżku, wiadomo, rozmawiając. I nagle ten tutaj mężczyzna...

Umilkła.

– Mów dalej, dziewczyno.

– To zbyt straszne, panie...

Duszną cisza zaległa w sali sądowej, jak gdyby nawet chłodzące zioła dusiły w upale.

– No więc, panie, ten tutaj mężczyzna wpadł ze sztyletem. Chciał, żebym z nim poszła, a ja nie chciałam. Ja nie robię takich rzeczy. Diw ujął się za mną, a ten tutaj mężczyzna pchnął go swoim sztyletem – to znaczy, to był róg, wiadomo – i zabił Diwa. Pchnął Diwa prosto w brzuch, o tu.

Zgrabnie pokazała na własnym podbrzuszu, a sąd wyciągnął swą zbiorową szyję.

– I co się działo potem?

– No więc, panie, wiadomo, ten mężczyzna zabrał zwłoki i wrzucił je do morza.

– To wszystko kłamstwo, kłamliwa zmowa! – zawołał JandolAnganol. Dotknięta do żywego dziewczyna sama odpowiedziała królowi. Mniej już onieśmielał ją sąd i zaczęła się upajać swoją rolą.

– To nie jest kłamstwo. To prawda. Więzień zabrał trupa Diwa i wrzucił go do morza. I stała się rzecz niezwykła, gdyż parę dni później on wrócił, to znaczy trup, zapakowany w lodzie, do Ottassolu, bo widziałam go na własne oczy w domu mojego przyjaciela i opiekuna, Bardola KaraBansity, który miał później na krótko zostać królewskim kanclerzem.

JandolAnganol wydał zduszony śmiech i zwrócił się wprost do sędziego:

– Jak może ktokolwiek uwierzyć w taką nieprawdopodobną bajeczkę?

– Nie jest nieprawdopodobna i mogę to udowodnić – śmiało rzekła Abatha. – Diw miał niezwykły klejnot o trzech ruchomych tarczach, taki zegarek. Cyfry były żywe. Diw nosił zegarek w kieszonce pasa na brzuchu. – Wskazała miejsce, o które jej chodziło, na własnym ciele, i znów wyciągnęła się zbiorowa szyja. – Ten sam klejnot pojawił się u KaraBansity, a on podarował to Jego Królewskiej Mości, który pewnie ma klejnot w obecnej chwili.

Dramatycznie wyciągnęła rękę, wskazując JandolAnganola palcem. Król milczał, wyraźnie zaskoczony. Zegarek siedział zapomniany w kieszeni królewskiej koszuli. Teraz JandolAnganol przypomniał sobie, wszystko poniewczasie, że zawsze się obawiał zegarka jako rzeczy obcej, przedmiotu podejrzanej wiedzy. Kiedy BiloszUopin, człowiek, który twierdził, że pochodzi z innej planety, ofiarował królowi swój zegarek, JandolAnganol odrzucił mu podarunek z powrotem. W tajemniczy sposób zegarek wrócił do niego później za pośrednictwem astrologa. I mimo najlepszych chęci nigdy się cacka nie pozbył. A teraz ono go zdradziło. Zaniemówił. Padł nań zły urok – widział to jasno, ale nie umiał powiedzieć, kiedy to się zaczęło. Nawet bezgraniczne oddanie się Akhanabie nie uchroniło króla od uroku.

– No i co. Wasza Królewska Mość, no i co, bracie – rzekł rozradowany Sayren Stund – maszli ten

klejnot z żywymi cyferkami?

– Jest przeznaczony na ślubny podarunek dla księżniczki Milui Tal... – cicho powiedział JandolAnganol.

W sądzie powstało zamieszanie. Przebiegano z miejsca na miejsce, klerycy wołali o ciszę, Sayren Stund przesłonił twarz, aby ukryć tryumfującą minę. Po zaprowadzeniu porządku Krispan Mornu zadał Abacie kolejne pytanie.

– Jesteś pewna, że ten młody człowiek, RobaydayAnganol, syn króla, jest mężczyzną, który zabił twój przyjaciel Diwa? Czy kiedykolwiek go widziałaś po raz drugi?

– Panie, on mi się strasznie naprzykrzał. Nie chciał odejść. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby wasi żołnierze go nie zaarrestowali.

Na krótko w sądzie zapanowała cisza, w której każdy rozmyślał o tym, co by się mogło stać takiej pięknej młodej panience.

– Pozwolisz, że zadam ci ostatnie i dość osobiste pytanie – rzekł Krispan Mornu, świdrując Abathę swym trupim wzrokiem. – Jesteś w oczywisty sposób nisko urodzoną kobietą, a jednak zdajesz się mieć wysoko ustosunkowanych przyjaciół. Plotka łączy twoje imię z imieniem pewnego sibornalskiego ambasadora. Co ty na to?

– Hańba! – rozległ się głos z ław sądowych, lecz Abatha odparła z niezmaconym spokojem:

– Miałam przyjemność znać sibornalskiego arystokratę, panie. Lubię Sibornalczyków za ich dworne maniery.

– Dziękuję ci, Abatho, twoje zeznania okazały się nieocenione. – Krispan Mornu przybrał ton, jakim zapewne by przemówił uśmiechnięty sztylet. Obróciwszy się do ławy sędziowskiej umilkł czekając, aż dziewczyna opuści salę.

– Uważam – podjął – że dalsze dowody są zbędne. Ta młoda niewinna dziewczyna powiedziała wszystko, co trzeba nam wiedzieć. Na przekór swym kłamstwom syn króla Borlien okazał się zabójcą. Usłyszeliśmy, jak w Ottassolu, przypuszczalnie na polecenie ojca, zabił tylko po to, aby zdobyć i przynieść tutaj jakąś błahostkę. Ulubioną jego bronią był fagorzy róg; już wcześniej zamordował Simodę Tal, posłużył się tą samą bronią. A ojciec przybył tu i nadużywał naszej gościnności, aby zrealizować swe mordercze plany wobec drugiej pozostałej przy życiu córki Jego Królewskiej Mości. Odkrywamy tu tak czarny spisek, jakiego nie znała najczarniejsza historia. Nie waham się zażądać – w imieniu sądu i w imieniu naszego całego narodu – kary śmierci zarówno dla ojca, jak dla syna.

Pojawienie się AbathaYasidol na sali sądowej całkiem załamało Robayday-Anganola. Wyglądał teraz jak mały urwis przyłapany na kradzieży jabłka i głos mu ścichł do szeptu.

– Proszę, wypuśćcie mnie. Jestem stworzony do życia, nie do śmierci za jakąś szaloną znowę, w której hula wiatr. Nie jestem w żadnej szalonej znowie z moim ojcem – temu zaprzeczam, i wszystkim pozostałym oskarżeniom.

Teatralnym ruchem Krispan Mornu obrócił się, stając twarzą w twarz z młodzieńcem.

– Nadal nie przyznajesz się do zabójstwa Simody Tal? Robayday oblizwał wargi.

– Czy liść może zabić? Jam ledwie liściem, panie, porwanym przez wichurę świata.

– Jej Królewska Mość Bathkaarnetka jest gotowa rozpoznać cię jako gościa bawiącego w pałacu jakiś czas temu, kiedy to przybyłeś w przebraniu Madisa z wyraźnym zamiarem popełnienia tej zbrodni. Czy życzysz sobie, aby Jej Królewska Mość stanęła przed sądem w celu ustalenia twojej tożsamości?

Robayday zadygotał jak liść.

– Nie.

– A więc wina została udowodniona. Ten młodzieniec, książę, ni mniej, ni więcej, wkradł się do pałacu i – na rozkaz swego ojca – zamordował naszą wielce umiłowaną księżniczkę Simodę Tal.

Oczy wszystkich skierowały się na sędziego. Sędzia utkwiał spojrzenie w podłódze, nim ogłosił wyrok.

– Sąd wydaje wyrok. Ręka, która dokonała tego ohydneho mordu, należy do syna. Umysł, który kierował ręką zabójcy, należy do ojca. Komu zatem przypisać winę? Odpowiedź jest prosta...

Robayday krzyknął rozzwierając. Wyciągnął rękę, jak gdyby chciał zgnieść słowa Kimona Eurasa w garści.

– Kłamstwa! Kłamstwa! To jest sala kłamstw. Powiem prawdę, chociaż ona mnie zabije! Przyznaję się, że zrobiłem to coś Simodzie Tal. Zrobiłem to nie dlatego, że byłem w zмовie z ojcem. Och, nie, to niemożliwe. My jesteśmy jak dzień i noc. Ja mu zrobiłem na złość. Spójrzcie teraz na niego – stoi przed wami zwykły człowiek, nie król! Tak, zwykły człowiek, gdy tymczasem moja matka wciąż jest królową królowych. Ja z nim w zмовie? Ja dla niego nie zabiłbym nawet muchy, tak samo jak nie ożeniłbym się dla niego... Oświadczam, że łotr jest niewinny. Skoro mam umrzeć waszą brudną śmiercią, to oby nigdy nie mówiono, nawet tutaj, że ja byłem z nim w zмовie. Chciałbym, żeby istniała jakaś zмова między nami. Jak pomóc komuś, kto nigdy nie pomógł mnie?

Złapał się za głowę, jakby zamierzał wyrwać ją sobie z barków. Ciszę, jaka nastąpiła, przerwał zimny głos Krispana Momu.

– Bardziej byś ukarał ojca, nic nie mówiąc. Robayday zmierzył go trzeźwym spojrzeniem.

– Właśnie żywiołu zła boję się w ludziach, a dostrzegam ten żywioł bardziej rozpasany w tobie niż w tym nieszczęsnym człowieku, objuczonym koroną Borlien.

JandolAnganol wznosił spojrzenie do sufitu, jakby usiłując oderwać się od ziemskich spraw. Ale z oczu płynęły mu łzy. Sędzia odchrząknął, uwalniając drżący od zdenerwowania głos z gardła.

– W świetle zeznań syna ojciec okazuje się oczywiście bez winy. Historia jest pełna niewdzięcznych synów... Zgodnie zatem z tym, co dyktuje mi Akhanaba, ogłaszam, że ojciec ma być puszczony wolno, a syn zabrany stąd i powieszony przy najbliższej okazji dogodnej dla Jego Królewskiej Mości Sayrena Stunda.

– Ja umrę za niego, a on niech za mnie panuje. – Słowa wyszły z ust JandolAnganola, wypowiedziane pewnym głosem.

– Wyrok jest nieodwołałny. Zamykam posiedzenie. Nad szuranie nogami wznosił się głos Sayrena Stunda:

– Pamiętajcie, teraz się posilimy, a po południu nastąpi drugi akt widowiska, w którym wysłuchamy, co ma nam do powiedzenia Sartoriirwrasz, eks-kanclerz króla JandolAnganola.

XXI. ZABÓJSTWO AKHANABY

Na sądowy dramat i ponizenie JandolAnganola patrzyła widownia liczniejsza, niż król mógł sobie wyobrazić. Jednakże personel Ayernusa nie zajmował się wyłącznie historią, w której król grał główną rolę. Część uczonych studiowała wydarzenia zachodzące na innych scenach planety lub seriale, w których król grywał epizodyczne role. Na przykład pewne uczone panie klanu Tan za przedmiot badań miały źródła zadawnionych waśni. Śledziły rozmaite waśnie przez pokolenia, dociekając, jak zaczęły się spory, jak były podtrzymywane i ostatecznie rozstrzygnięte. Jeden z badanych przypadków dotyczył wioski w północnym Borlien, przez którą król przejeżdżał w drodze do Oldorando. Tamtejszy spór pierwotnie toczył się o to, czy świny dwóch sąsiadów mogą pić z tego samego strumyka. Strumyk zniknął i zniknęły świny, a stojące dziś na miejscu obu zagród dwie wioski trwały w tak zapiekłej nienawiści, że obie strony określały zabójstwo sąsiada mianem „świniobi-cia”. Król JandolAnganol przechodząc ze swymi/agorami przez jedną, a nie przez drugą z wiosek rozdrapał stare rany, i tegoż wieczora chłopakowi złamano palec w bójkę. O tym uczone panie Tan nic jeszcze nie wiedziały. Komputery automatycznie gromadziły w pamięci dane do przyszłych badań, podczas gdy same badaczki trudyły się obecnie nad epizodem z tejże waśni, jaki miał miejsce dwa stulecia temu, studiowały wideodyski z wypadku ekshibicjonizmu, za który to mężczyźni z jednej wioski dokonali samosądu na starcu z wioski drugiej. Po tym brudnym zajściu ktoś skomponował przepiękną pieśń żalobną na ten temat, po dziś dzień śpiewaną w trakcie wesołych zabaw. Dla uczonych pań Tan takie wypadki były nie mniej ważne niż proces króla – a znacznie ważniejsze od wszelkich przyziemności świata nieorganicznego. Inne zespoły badały rzeczy jeszcze bardziej ezoteryczne.

Ze szczególną uwagą kreślono linie f ogorzej genealogii. Na Avernusie już dość dobrze poznano zagadnienie fagorzyczych wędrowek, tak zagadkowych dla Helikoń-czyków. Ancipici mieli starodawne wzorce zachowania, od których niełatwo odstępowali, wzorce bardziej skomplikowane, niż sądzono. Spotykało się rodzaj „osiadłego” f agora, uznającego z równą gotowością władzę człowieka, jak władzę kzahhna; ale z dala od ludzkich oczu żył sobie jakże inny ancipita, który przez pory roku kroczył tak samo, jak to czynili jego przodkowie, biorąc to, na co miał ochotę, i idąc tam, gdzie nogi poniosły – wolna istota, z lekceważeniem spoglądająca na rodzaj ludzki.

Historia Oldorando jako całości również miała swych uczonych, najbardziej zainteresowanych ciągłością procesów. Ci postrzegali splecione losy pojedynczych ludzi jedynie w skali ogólnej. Kiedy oczy Avernusa po raz pierwszy skierowały się na Oldorando, czyli ówczesny Embruddock, na dobrą sprawę było to miejsce gorących źródeł w widłach dwóch rzek. Wokół źródeł stało parę niskich wież pośród bezkresnej lodowej pustyni. Nawet wtedy, w pierwszych latach avernusjańskich badań, nie ulegało wątpliwości, że to strategicznie położone miejsce kryje wielkie możliwości rozwoju w łagodniejszym klimacie. Spośród sześciu rodów nikt nigdy dotąd nie widział Oldorando większego i ludniejszego niż dziś. Jak każdy żywy organizm rosło w pomyślnym klimacie, zamierało w niepomyślnym. Lecz dla ludzi z Avernusa był to ledwie początek historii. Rejestrowali swoje informacje i przesyłali je nieprzerwanym strumieniem na Ziemię; należało się spodziewać, że obecne transmisje dotrą tam w roku siedem tysięcy osiemset siedemdziesiątym siódmym. Poznanie zawilgoci helikońskiej biosfery i jej reakcji na zmiany w ciągu całego Wielkiego Roku było możliwe dopiero po przebadaniu przynajmniej dwóch pełnych cykli. Uczni mogli ekstrapolować. Mogli snuć inteligentne hipotezy. Ale tak samo nie mogli przewidywać przyszłości, jak król JandolAnganol nie mógł przewidzieć wydarzeń mających nastąpić tego właśnie popołudnia.

Sayren Stund rzadko był w lepszym humorze, nawet za życia swej starszej córki. Przed popołudniową próbą pogrążenia JandolAnganola ze szczętem Sayren Stund zjadł lekki posiłek, na który mu podano guta z jeziora Dorzin, po czym zwołał zebranie w ścisłym gronie swej przybocznej rady, aby się przed nią popisać, jaki to był sprytny.

– Nie miałem, rzecz jasna, najmniejszego zamiaru wieszać JandolAnganola – jowialnie powiadomił doradców. – Groźba szubienicy miała tylko, jak ten jego syn Innych to ujął, sprowadzić króla do wymiarów zwykłego człowieka, nagiego i bezbronnego. Jemu się wydaje, że może robić, co mu się żywnie podoba. A tak nie jest.

Ledwie Stund skończył, wstał pierwszy minister z mową dziękczynną.

– My szczególnie wysoko cenimy upokorzenie przez Waszą Królewską Mość monarchy, który traktuje fagory przyjaźnie i – wstyd rzecz – tak, jakby były ludźmi. My w Oldorando nie możemy wątpić, nam nie wolno wątpić, że ancipici są zwierzętami, niczym więcej. Mają wszystkie zwierzęce cechy. Tyle że mówią. A mówić umieją też raje i papugi. W przeciwieństwie do papug, fagory są zawsze wrogo usposobione do ludzi. Nie wiemy, skąd się wzięły. Zdaje się, że przysły na świat w ostatniej Zimnej Epoce. Ale jedno wiemy – i właśnie tego nie wie JandolAnganol – że tych groźnych gości musimy się pozbyć, nasamprzód ze społeczności ludzkiej, potem z powierzchni ziemi. Nadal musimy znosić obrazliwą obecność JandolAnganolowych fagorzyc bestii w naszym parku. My wszyscy żywimy przekonanie, że po dzisiejszym popołudniowym widowisku będziemy mieli nową okazję do wyrażenia naszej wdzięczności królowi Sayrenowi Stundowi za uwolnienie nas raz na zawsze od tego stada bydła i od przodownika tego stada.

Wszyscy bili brawo. Bił brawo sam Sayren Stund. Każde słowo w przemówieniu ministra było echem jego własnych słów. Sayrena Stunda cieszyły takie pochlebstwa. Jednak nie był głupcem. Stund wciąż potrzebował przymierza z Borlien; pragnął tylko mieć pewność, że będzie w nim grał pierwsze skrzypce. Liczył również na to, że popołudniowe widowisko wywrze wrażenie na kraju, z którym już go łączyło krępujące przymierze – na Pannowalu. Zamyślał podważyć wyłączność praw C'Sarra do potęgi militarnej i religii; mógł to uczynić dostarczając filozoficznych podstaw pannowalskiej kampanii przeciwko an-cipitom. Porozmawiawszy z Sartoriirwraszem przewidywał, że uczony może przedstawić taką właśnie filozoficzną teorię. Ułożył się z Sartoriirwraszem. W zamian za popołudniowy występ i obalenie autorytetu JandolAnganola, mimo protestów Sibornalczyków zmusił sibornalską ambasadę do zwolnienia Odi Jeseratabhar. Obiecał Sartoriirwraszowi i Odi azyl na swoim dworze, gdzie mogliby zamieszkać i pracować w spokoju. Na układ wszystkie strony przystały z radością.

Poranny skwar zmógł wielu uczestników rozprawy sądowej; do pałacu docierały wieści o setkach ludzi umierających w mieście na sercowy udar. Toteż sceną popołudniowego spektaklu uczyniono królewskie ogrody, gdzie zdrojowe strumyczki igrały w liściach, a rozpięte na drzewach płachty gazy dawały miły cień. Kiedy zebrali się dostojnicy dworu i Kościoła, nadszedł Sayren Stund z królową wiszącą mu u ramienia i z córką, która szła z tym. Rozejrzał się spod przymrużonych powiek, wypatrując JandolAnganola. Milua Tal dostrzegła go pierwsza i na przełaj przez trawnik podbiegła do króla. Stał pod drzewem w towarzystwie królewskiego zbrojmistra i dwóch swoich kapitanów.

– Chłop ma śmiałość, trzeba mu przyznać – mruknął Sayren Stund. Wysmażył był do JandolAnganola kwieciste pismo, przeprasząc za omyłkowe uwięzienie i jednocześnie usprawiedliwiając je tym, że poszlaki tak wyraźnie świadczyły przeciwko oskarżonemu. Nie wiedział tylko, że Bathkaarnetka napisała skromniejszy liścik, w którym wyraziła swoje ubolewanie z powodu tej całej historii, nazywając małżonka "trzebicielem miłowania". Po usadowieniu się Jego Królewskiej Mości wygodnie na tronie uderzył gong i na ten znak wystąpił Krispan Mornu, jak

zwykle spowity w całun czerni. Poranne czynności najwyraźniej tak wyczerpały duszpasterza archiwariusza, Kimona Eurasa, że nie starczyło mu już sił na nic więcej. Wszystkim niepodzielnie dyrygował Krispan Mornu. Wstąpiwszy na podwyższenie ustawione pośrodku trawnika, złożył ukłon królowi i królowej, i przemówił głosem, który, jak to kiedyś zauważył dworski dowcipniś, miał w sobie tę samą słodycz, co życie seksualne miejskiego kata.

– Dziś czeka nas niezwykła uczta duchowa. Za chwilę będziemy świadkami przełomu w historii i filozofii naturalnej. My, współczesne pokolenie oświeconych ludów, w końcu pojęliśmy, dlaczego historia naszych cywilizacji była przerywana w największym rozkwicie. Sprawcą jest nasz Wielki Rok, liczący tysiąc osiemset dwadzieścia pięć małych lat, a nie wojny, jak twierdzili fałszywi prorocy. W Wielkim Roku występuje pora wielkich upałów i kilka stuleci wielkiego zimna. Wszechmocny karze nimi ludzkość za grzechy. Trudno zachować ciągłość cywilizacji pod tak długim panowaniem mrozu. Za chwilę wysłuchamy kogoś, kto przeniknął owe białe plamy, aby nam przynieść wieści o rzeczach odległych, a jakże dziś żywotnych dla nas wszystkich. W szczególności dotyczą one naszych stosunków z owymi bestiami, które Wszechmocny zesłał na nasze utrapienie – mówię o fagorach. Proszę was, dostojni zebrani, byście z uwagą wysłuchali uczonego mistrza Sartoriirwrasza.

Słabe grzecznościowe oklaski obieży trawnik. Na ogół ludzie przedkładali muzykę i sprośne facecje nad intelektualne zagadki. Sartoriirwrasz wystąpił po zamknięciu oklasków. Co prawda znajomym gestem gładził bokobrody i raczej chyłkiem rozglądał się na prawo i na lewo, ale nie wyglądał na zdenerwowanego. Towarzyszyła mu Odi Jeseratabhar w kwiecistym czagiraku. Rany po assatassach zagoiły się bez śladu i Odi znów była pełna animuszu. Nic nie straciła ze swej uskuckiej pychy w spojrzeniu, jakim lustrowała zebranych. Wyraz jej twarzy złagodniał, gdy podniosła wzrok na Sartoriirwrasza. Ten przykrył łysinę płóciennym kapeluszem. Pod pachą dźwigał kilka książek, które pieczołowicie złożył na stoliku, zanim zabrał głos. Mentorski spokój, z jakim przemówił, niczym nie zapowiadał popłochu, jaki miał wywołać.

– Jestem wdzięczny Jego Królewskiej Mości, królowi Sayrenowi Stundowi, za udzielenie mi azylu na oldorandzkim dworze. W moim długim życiu zaznałem wielu przeciwności losu i nawet tutaj, nawet tutaj wrogowie wiedzy rzucali mi kłody pod nogi. Los nazbyt często wyznacza wrogów nauki na jej mecenasów. Przez wiele lat byłem kanclerzem króla YarpalAnganola, a później jego syna, który śmiało pojawił się tu wśród nas, mimo swej porannej utarczki ze sprawiedliwością. On to mnie niesprawiedliwie zwolnił z urzędu. Za moich matrassylskich lat pracowałem nad kompendium wiedzy o naszym świecie, nad Abecadłem historii naturalnej, usiłując połączyć w nim prawdę i oddzielić fałsz mitu od rzeczywistości. I właśnie na ten temat będę teraz mówić. Odprawiając mnie, z największym barbarzyństwem ciśnięto wszystkie moje rękopisy w ogień i zniszczono dzieło mego życia. Wiedzy w mojej głowie nie można zniszczyć.

Dzięki niej, dzięki nowym doświadczeniom, a zwłaszcza dzięki pomocy stojącej tuż przy mnie damy, Odi Jeseratabhar, Kapłanki-Wojowniczkii, Admirala floty sibornalskiej, udało mi się uchylić rąbka wielu uprzednich tajemnic. W tym jednej najważniejszej tajemnicy. Tajemnicy kosmologicznej, bezpośrednio dotyczącej nas i naszego codziennego życia. Żeby nie nadużywać niczyjej cierpliwości w takim skwarze, będę mówił krótko, choć to podobno sprzeczne z moją naturą.

Uśmiechnął się i rozejrzał dokoła. Wszyscy słuchali z uwagą, prawdziwą bądź udawaną. Ośmielony tym przystąpił do swego wyводу.

– Mam nadzieję, że nikt nie poczuje się urażony moim wykładem. Przemawia przeze mnie wiara, że ludzie kochają prawdę nade wszystko. W nawale naszych drobnych ludzkich spraw rzadko dostrzegamy wokół nas wielkie sprawy naszej planety. Jest ona cudowniejsza, niż byśmy dali wiarę.

Przebogata w życie. Bez względu na porę roku, skrzydlate i różnonogie życie wypełnia ją wszędzie, od bieguna do bieguna. Bezczesne milionowe stada flamburów nieustannie przemierzają rozległy kontynent Sibornalu. Niezapomniany to widok. Skąd się wzięły? Od jak dawna tak wędrują? Nie znamy odpowiedzi na te pytania. Pozostaje nam stanąć z ustami otwartymi w oniemieniu. Można by wydrzeć starożytności jej sekrety, gdybyśmy jedynie zaprzestali wojen. Gdyby wszyscy królowie mieli mądrość Sayrena Stunda.

Złożył ukłon oldorandzkiemu monarsze, który mu odpowiedział uśmiechem, nieświadom tego, co miało nastąpić. Rozległy się rzadkie oklaski.

– Za spokojnych dni na matrassyjskim dworze miałem zaszczyt i przyjemność przebywania w towarzystwie Myrdeminggali, przez jej poddanych zwanej królową królowych – po prostu dlatego, że biedacy nie widzieli królowej Bathkaarnetki, rzecz jasna – oraz w towarzystwie jej córki TatromanAdali. Tatra miała zbiór bajek, które czytywałem małej na głos. Bajki Tatry nie zostały zniszczone, ocalały nawet wówczas, gdy okrutny ojciec wygnał ją z pałacu. Mamy tu egzemplarz bajek Tatry.

W tym momencie Odi uroczyście podniosła małą książeczkę, aby wszyscy mogli ją zobaczyć.

– W książeczce Tatry jest bajka zatytułowana Srebrne Oko. Czytałem tę bajkę wiele razy, nie uświadamiając sobie ukrytej w niej treści. Dopiero podczas mych podróży zdołałem pochwycić jej zwodniczą prawdę. Może dlatego, że stada flamburów silnie mi przypominały prymitywnych ancipitów.

Do tej chwili wystąpienie Sartoriirwrasza, pozbawione jego dawnego puszenia się własną uczonością, przyjmowano z uprzejmie skrywanym brakiem zainteresowania. Wylegujący się pod drzewami słuchacze żywili wrodzoną nienawiść do fagorów i uwielbienie dla nalali, toteż na wzmiankę o ancipitach bacznie nadstawiono uszu.

– W bajce o Srebrnym Oku występuje ancipita. Właściwie ancipitka. Gilda. Gilda jest doradcą króla mitycznej krainy Ponptu. Otóż nie tak znów mitycznej – Ponpt, dziś zwany Ponipotem, nadal leży na zachód od górskich łańcuchów Barrier. Gilda góruje mądrością nad królem i służy mu radami, dzięki którym król rządzi. Jest zależny od gildy jak syn od matki. Na końcu bajki król zabija gildę. Oko zaś to podobne słońcu ciało, tyle że srebrne i świeci tylko w nocy. Jak bliska gwiazda, bez dawania ciepła. Po zabiciu gildy Srebrne Oko odpływa w dal i znika na zawsze. Co to wszystko znaczy? – zadawałem sobie pytanie. Jaki jest sens tej bajki?

Pochylił się nad podium i nad słuchaczami, garbiąc ramiona, płonąć chęcią wyjawienia im tej tajemnicy.

– Klucz do zagadki wpadł mi w ręce podczas żeglugi na pokładzie uskuckiego okrętu. Cisza morską unieruchomiła nasz okręt w Cieśninie Kad-meru. Obecna tu pani Odi i ja dobiliśmy łodzią do wyspy Radoszy, gdzie udało nam się schwytać dziką gildę o czarnej sierści. U samic z gatunku ancipitów występuje jednodniowe krwawienie menstruacyjne z macicy, jako zapowiedź cyklu rujowego, jako początek rui. Z powodu mej niechęci do gatunku ancipitów nie znam archaiku ani nawet hurdhu, ale wtedy dowiedziałem się, że gilda nazywa swą menstruację "tenhrr". To był klucz! Przepraszam, jeśli temat wyda się komuś zbyt obrzydliwy do roztrząsania. W moich zapiskach – z kretesem zniszczonych przez wielkiego króla JandolAnganola – zanotowałem sobie, że nawet fagory zachowały parę legend. Trudno było się doszukiwać w nich jakiegoś sensu. Szczególnie żywa jest pewna legenda, mówiąca, że dawno temu Helikonია miała na niebie siostrzycę, krążącą wokół niej tak, jak Bataliksa krąży wokół Freyra. Ta siostrzyca odleciała, gdy nadciągnął Freyr i gdy narodzili się ludzie. Nazwa zaś owej uciekinierki w archaiku brzmi TSehn-Hrr. Dlaczego "tenhrr" i "TSehn-Hrr" miałyby właściwie być jednym i tym samym słowem? Takie sobie zadałem pytanie. Gilda

dostaje tennhrr dziesięć razy w małym roku, co sześć tygodni. Możemy więc założyć, że to niebieskie oko, czyli księżyc służył jako mechanizm wyznaczający czas menstruacji. Ale czy, przyjąwszy, że istniał, księżyc TSehn-Hrr obiegał Helikonię w czasie sześciu tygodni? Jak sprawdzić coś, co wydarzyło się tak dawno temu, że nie ma o tym żadnej wzmianki w historii ludzkości? Odpowiedź tkwi w bajce Tatry. Jej bajka mówi, że Srebrne Oko na niebie otwierało się i zamykało. Zapewne oznacza to, że powiększało się i malało odpowiednio do odległości, jak to czyni Freyr. Było otwarte szeroko, czyli w pełni, dziesięć razy w roku. O to chodziło. Znów dziesięć razy. Kawałki łamigłówek pasowały do siebie. Zdajecie sobie sprawę, do jakich nieuniknionych wniosków musiało to mnie doprowadzić?

Spoglądając na swoich słuchaczy Sartoriirwrasz zobaczył, że wielu z nich bynajmniej nie zdaje sobie sprawy. Czekali uprzejmie, aż on się wypowie. Usłyszał, jak własny głos podnosi mu się do krzyku.

– Ta nasza planeta miała kiedyś księżyc, srebrny księżyc, który zaginął w czasie jakichś zaburzeń w niebiosach. Do tej pory nie wiemy, jak odpłynął w dal. Ten nasz księżyc nazywał się TSehn-Hrr – a TSehn-Hrr to nazwa fagorza.

Widząc poruszenie wśród słuchaczy zajrzał do notatek i krótko naradził się z Odi. Podjął przemowę głosem, do którego wkradła się chrapliwa nuta.

– Niby dlaczego księżyc miał tylko ancipicką nazwę? Dlaczego nie ma żadnych ludzkich świadectw o tym zaginionym ciele niebieskim? Odpowiedź prowadzi nas w labirynt kłopotliwych starożytności. Bo oto rozejrzawszy się dokoła, odnalazłem zaginiony księżyc. Jaśniejący nie na niebie, lecz w naszej codziennej mowie. Albowiem jak dzieli się nasz kalendarz? Osiem dni w tygodniu, sześć tygodni w tennerze, dziesięć tennerów w roku liczącym czterysta osiemdziesiąt dni... Nigdy się nie zastanawialiśmy nad tym. Nigdy się nie zastanawialiśmy, dlaczego tenner nazywa się tenner, bo jest dziesięć tennerów w roku, a „tenn” w olonecie znaczy „dziesięć”. Ale to nie jest cała prawda. Nasze słowo „tenner” upamiętnia porę, w której Srebrne Oko było otwarte, a księżyc był w pełni. Upamiętnia to dlatego, że ludzkość przyswoiła sobie fagorze słowo „tenhrr”. „Tenner” znaczy „tenhrr” znaczy „TSehn-Hrr”.

Od słuchaczy dochodziły coraz głośniejsze pomruki. Sayren Stund wyraźnie siedział jak na szpilkach. Lecz Sartoriirwrasz podniósł książeczkę Tatry i poprosił o ciszę. Był tak zaabsorbowany, że przeoczył otwierającą się przed nim pułapkę.

– Wysłuchajcie końcowej konkluzji do końca, przyjaciele. Stoi wśród was król JandolAnganol i on również musi usłyszeć prawdę, on, który od tak dawna zachęcał szkodliwych nie ludzi do mnożenia się na jego ziemiach.

Obecnie nikt jednak nie był zainteresowany JandolAnganolem. To ku Sartoriirwraszowi obróciły się zagniewane oblicza.

— Konkluzja jest jasna, nieunikniona. Rasa ancipitalna, której możemy przypisać wiele naszych ludzkich kłopotów w ciągu wieków, nie jest rasą nowych najeźdźców, jak Drajaci. Nie. To jest starożytna rasa. To ona niegdyś zajmowała całą Helikonię, tak jak flambury zajmują Okołopolarne Okręgi. Fagory nie wyłoniły się z ostatniej Zimozimy, jak ją nazywają Sibornalczyki. Nie. Ta historyjka opiera się na niewiedzy. Rzeczywista historia, bajkowa historia, mówi prawdę: fagory były na świecie dużo wcześniej od ludzi. Były na Helikonii przed pojawieniem się Freyra – zapewne na długo przedtem. Ludzie przyszli później. Ludzie byli zależni od fagorów. Ludzie nauczyli się mowy od fagorów i nadal używają fagorzycich słów. „Khmir” oznacza w archaiku „ruję”. Sama „Helikonja” jest starą ancipicką nazwą.

JandolAnganol wreszcie odzyskał mowę. Wykład był tak zajadłą napaścią na jego najgłębsze

religijne przekonania, że jak w transie stał z rozdziawionymi ustami, podobny bardziej do ryby niż do orła.

– Kłamstwa, herezja, bluźnierstwo! – krzyknął.

Wołanie o bluźnierstwo podjęły inne głosy. Sayren Stund wcześniej rozkazał swej straży pilnować, aby JandolAnganol nie przerywał. Potężne osiłki ruszyły teraz na króla, natykając się na dobyte miecze kapitanów JandolAnganola. Wybuchła bijatyka. Sartoriirwrasz podniósł głos.

– To nie boska, to wasza chwała kurczy się w świetle prawdy. Fagory były przed ludźmi. Fagory były rasą panującą na naszej planecie i zapewne brały naszych przodków za zwierzęta, dopóki nie podnieśli oni buntu przeciwko fagorzej dominacji.

– Wysłuchajmy go. Kto śmie mówić, że ten człowiek nie ma racji? – pisnęła Bathkaarnetka.

Małżonek uderzył ją w usta. Zgiełk wśród słuchaczy narastał. Ludzie podnosili się z krzykiem albo klękali do modlitwy. Ku miejscu zamieszania biegli nowi strażnicy, podczas gdy część dam dworu próbowała uciekać. Wokół JandolAnganola rozgorzał bój. W stronę Sartoriirwrasza poleciał pierwszy kamień. Potrząsając pięścią, Sartoriirwrasz przemawiał dalej.

W owej dworskiej, a tera: ogarniętej szaleńcem pozostał przynajmniej /eden chłodny obserwator, poseł Alam Esomberr. W nosie miał tragedię ludzkości. Bynajmniej nie wzruszony zasłyszany rewelacjami, potrafił jedynie z rozbawieniem śledzić ich efekty.

Ludzie na Ziemi, odlegli w czasie i przestrzeni, oglądali sceny na trawniku króla Sayrena Stunda z większym zaangażowaniem. Wiedzieli, że Sartoriirwrasz, ogólnie biorąc, mówił prawdę, nawet jeśli czasami mylił się w szczegółach. Wiedzieli też, że ludzie nie kochają prawdy nade wszystko, jak on twierdził. O prawdę trzeba było nieustannie walczyć, albowiem gubiła się nieustannie. Prawda mogła odpłynąć w dal jak Srebrne Oko i tyle by ją widziano.

Kiedy T'Sehn-Hrr odpływał w dal, żadna ludzka istota nie widziała tego wydarzenia na własne oczy. Kosmologowie na Ayernusie i na Ziemi zrekonstruowali wydarzenia i uważali, że je zrozumieli. Podczas wielkich zaburzeń zachodzących w układzie osiem milionów ziemskich lat wcześniej, siła grawitacyjna gwiazdy obecnie zwanej Freyrem, o masie czternaście i osiem dziesiątych razy większej od masy Słońca, wyrwała T'Sehn-Hrra z pola grawitacyjnego Helikonii. Wyliczenia wskazywały, że długość promienia satelity wynosiła tysiąc dwieście pięćdziesiąt dwa kilometry, w porównaniu do siedmiu tysięcy siedmiuset dwudziestu trzech kilometrów promienia Helikonii. Nie było pewności, czy na T'Sehn-Hrr mogło istnieć życie. Pewne było tylko to, że wydarzenia tamtej epoki otarły się tak blisko o katastrofę, że pozostały wyryte w praarchaicznej pamięci fagorów. Żaden nie zapomniał, jak runęło niebo. Na ludzkich umysłach większe wrażenie wywarł sposób, w jaki życie na Helikonii przetrwało zarówno utratę księżyca, jak i kosmologiczne wypadki, które doprowadziły do tej straty.

– Tak, wiem To brzmi jak świętokradztwo, niestety' – krzyknął Sartoriirwrasz, podczas gdy Odi przysunęła się do mego. a zgiełk narastał – Prawdę trzeba powiedzieć – i wysłuchać Fagory były kiedyś rasą panującą i taką znowu będą, jeśli się im pozwoli żyć Przeprowadzone przeze mnie eksperymenty dowodzą, moim zdaniem, że my byliśmy kiedyś zwierzętami Bóstwa natakstycz-ne zrodziły rodzaj ludzki z Innych – tych Innych, których przed katastrofą ancipici trzymali w roli domowych piesków Rodzaj ludzki zrodził się z Innych. tak jak fagory narodziły się z flamburow Skoro lagory narodziły się z tlam-burów, to pewnego dnia mogą znów pokryć ziemię One wciąż czekają, dzikie, z kaidawami, hen w Wysokim Nktryhku. czekają na godzinę zemsty. Zetrą was z powierzchni ziemi Strzeżcie się zatem Trzeba więcej halali Z większym rozmachem Ancipitow trzeba wybić latem, kiedy ludzkość jest silna Kiedy przyjdzie zima, wróć dzikie kaidawy' Ostatnia moja rada nie wolno nam trwonić siły w bratobólczych walkach Powinniśmy walczyć z odwiecznymi

wrogami i z tymi ludźmi, którzy ich chromają

Ale ludzie JUŻ trwonili siły w bratobójczej walce Najpobożniejsi>i wśród słuchaczy byli często najzagorzalszymi zwolennikami halali jak Knspan Mornu. A tu jakaś przybłęda obraza ich najgłębsze religijne zasady, jednocześnie rozpalając najdziksze instynkty ludzkie Ten, kto pierwszy cisnął kamieniem, został zaatakowany przez sąsiada Kamienne pociski latały po całym ogrodzie Wkrótce pierwszy sztylet przebił pierwsze ciało Jakiś broczący krwią mężczyzna przebiegł po kwiatowych rabatach i runął na twarz Kobiety uderzyła w krzyk Bójka rozprzestrzeniła się, w miarę jak gniew i strach coraz bardziej rozpalały ludzkie głowy Zleciał gazowy dach. Alam Esomberr dyskretnie ulotnił się w chwili, gdy na pałacowych trawnikach odgrywano JUŻ skróconą historię sztuki wojennej.

Główny sprawca tej zawieruchy patrzył w osłupieniu Nie do wiary, jak wiedza wpływa na ludzi Święci idioci' Trafiony kamieniem w usta padł jak długi Odi Jeseratabhar z krzykiem nakryła sobą Sartonirwrasza, usiłując osłonić go przed lecącymi kamieniami Została odciągnięta przez drużynę młodych mnichów, którzy poczęstowali ją kułakami, po czym zajęli się biciem i kopaniem leżącego na ziemi eks-kanclerza Przynajmniej oni nie chcieli słyszeć, jak bezczeszczone jest imię Akhanaby W obawie, że sprawy zanadto wymykają się spod kontioli, Knspan Mornu wystąpił naprzód i uniósł ramiona, rozpościerając czarne skrzydła swej keedranty Zostały mu podcięte ostrzem miecza Odi rzuciła się do ucieczki, kobieca dłoń zatrzymała ją w biegu za suknię i w następnej sekundzie Odi JUŻ walczyła o życie, opadnięta przez kilkanaście rozjuszonych kobiet Rosnący tumult przed upływem godziny miał się przenieść do miasta Prawdę powiedziawszy, to sami mnisi przenieśli tumult Nie minęło wiele czasu, jak ich splamiona krwią procesja wyszła z obrębu pałacu, dzwigając nad głowami zmasakrowane zwłoki Sartonirwrasza i jego sibornalskiej przyjaciółki i krzycząc w pochodzie: "Bluźnierstwo nie żyje! Niech żyje Akhanaba!" Wywołało to masowy odwrót ludzi z ogrodowej bijatyki na ulice i nowe bójki uliczne, podczas gdy oba trupy przeniesiono pochodem przez Aleję Wożeńską, zanim w końcu zostały ciśnięte psom na pożarcie. Po czym zapanował straszliwy spokój. Nawet Pierwsza Fagorza w parku jakby się przyczała.

Plan Sayrena Stunda zawiódł okrutnie. Sartoriirwrasz zamierzał jedynie zemścić się na swoim byłym władcy i doprowadzić do wyrznięcia Fagorzej Gwardii. Takie miał świadome cele. Umiłowanie wiedzy dla samej wiedzy, nienawiść do własnych ziomeków przywiodły go do zguby. Żle zrozumiał swoich słuchaczy. W rezultacie spowodował niedopuszczalny kryzys wiary – i to w przeddzień wizyty Cesarza Świętego Pannowalu, wielkiego C'Sarra Kilande-ra IX, przybywającego pobłogosławić wiernych w imieniu Akhanaby.

Najżywotniejsze prawdy płyną od martwych męczenników. Mnisi mimo woli rozpropagowali herezje Sartoriirwrasza, które padły na podatny grunt. W ciągu paru dni sami mnisi mieli się znaleźć pod gradem kamieni.

Do takiego szału przywiodła ludzi wymowa objawień Sartoriirwrasza, z której sam ich objawiciel nie zdawał sobie sprawy. Jego słuchacze musieli prędzej czy później spojrzeć na to wszystko przez pryzmat swej wiary, do czego Sartoriirwrasz nie był zdolny, nigdy nie mając zrozumienia dla uczuć bliźnich. Nagle zobaczyli, jak od dawna tępiona przez Kościół pogłoska staje się nagą prawdą. Wszelka mądrość istniała od początku świata. Oni sami, a przed nimi ich ojcowie, spędzili życie na oddawaniu boskiej czci Akhanabie, który był fagorem. Zanosili modły do jednej z tych bestii, na które polowali. "Nie pytaj więc, czy jestem człowiekiem, czy zwierzęciem, czy kamieniem" – stało w Piśmie Świętym. Teraz tę wygodną enigmę zastąpiła trywialna rzeczywistość. Ich wychwalany bóg, bóg spajający polityczny system, był po prostu ancipitą. Co teraz ludzie winni odrzucić, aby ich życie stało się możliwe do zniesienia? Nieznośną prawdę? Czy religię nie do zniesienia? Nawet pałacowa

służba zaniebysła swoje obowiązki, zadając sobie pytanie: czy jesteśmy niewolnikami niewolników? Panowie przeżywali duchowe załamanie. Panowie, jak to panowie, przyjmowali za naturalny porządek rzeczy to, że są panami. Naraz planeta zmieniła się w inny świat – świat, gdzie panowie byli niemalże przybłędami, i to podejrzanej kondyty. Rozgorzały gorące dyskusje. Wielu wiernych całkowicie odrzucało hipotezę Sartoriirwrasza, przed samymi sobą udając, że nie przyjmują do wiadomości tego steku kłamstw. Lecz inni wierni, jak zwykle w takich sytuacjach, podpisywali się pod nią i dopisywali do niej, i nawet twierdzili, że prawda była im znana przez cały czas. Pogłębiały się duchowe męki.

Sayrena Stunda interesowała jedynie praktyczna strona religii. Wiara nie była dlań czymś żywym, jak dla JandolAnganola. Obchodziła Stunda tylko w roli oliwy do smarowania mechanizmu jego władzy. Niespodziewanie wszystko stanęło pod znakiem zapytania. Nieszczęsny król oldorandzki spędził resztę popołudnia zaszyty w komnacie królowej małżonki, gdzie raje szczebiotały mu nad głową. Co chwila wysyłał Bathkaarnetkę, by spróbowała się dowiedzieć, gdzie też może być Milua Tal, albo przyjmował gońców z wieściami o włamaniach do sklepów i walnej bitwie toczonyj w jednym z najstarszych klasztorów.

– Nie mamy żołnierzy – biadolili Sayren Stund.

– Ani wiary – rzekła królowa małżonka z niemalym zadowoleniem. – Potrzebujesz jednego i drugiego do utrzymania porządku w tym okropnym mieście.

– A JandolAnganol pewnie wziął i zwiął, ratując głowę. Powinien zaczekać na egzekucję syna.

Myśl o niej pocieszała króla do wieczora, do nadejścia Krispana Mornu. Wygląd doradcy świadczył o istnieniu w nim rezerw chudości, o jakie nikt by go nie podejrzewał.

– Wasza Królewska Mość – rzekł Mornu z ukłonem – jeśli się nie mylę w ocenie obecnej zagmatwanej sytuacji, to pręgiarz ominął JandolAnganola. Pod pręgiarzem znalazła się nasza wiara. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że popołudniowa oracja szybko pójdzie w niepamięć. Człowiek długo nie zdzierzy własnego mniemania o sobie, że jest czymś gorszym niż fagorze bydło. Pora chyba jest sposobna, aby się uwolnić od JandolAnganola na dobre. W świetle prawa kanonicznego on nie ma rozvodu, a dziś rano utarliśmy mu nosa. JandolAnganol to już przebrzmiała śpiewka. Przeto powinniśmy usunąć go z miasta, zanim zdoła się rozmówić ze Świętym C'Sarrem – sam czy też za pośrednictwem posła Esomberra albo Ulbobega. C'Sarr będzie miał szerszy problem na głowie, problem kryzysu wiary. A przy okazji możemy załatwić ślub waszej córki z jakimś odpowiednim kandydatem.

– Och, ja wiem, kogo masz na myśli, Mornu – zaśpiewała Bathkaarnetka. W aluzyjnej formie Mornu przypomniał Jego Królewskiej Mości, że Miluę Tal należy czym prędzej wydać za Tayntha Indredda, księcia Pannowalu; w ten sposób udałoby się nałożyć ciaśniejszy kaganiec religijny na Oldorando. Kńspan Mornu puścił uwagę królowej mimo uszu.

– Co Wasza Królewska Mość uczyni?

– Och, doprawdy, chyba wezmę kąpiel. Gdzieś z zakamarków swej czarnej szaty Krispan Mornu dobył kopertę.

– Matrassyłski raport z tego tygodnia zapowiada, że wkrótce wiele spraw może stanąć tam na ostrzu noża. Unndreid Młot, Plaga Mordriatu, zabił się spadając z musłanga podczas jakiejś utarczki. Dopóki zagrażał Borlien, w stolicy panowała jako taka zgoda. Teraz, gdy Unndreid jest martwy, a JandolAnganol daleko... – nie kończąc zdania uśmiechnął się, jakby pokazywał gołe ostrze. – Zaofiarujcie JandolAnganolowi szybki statek, Wasza Królewska Mość – dwa, jeśli trzeba – aby razem ze swoją Fagorzą Gwardią co rychlej popłynął sobie Valvorałem do domu. Może się zgodzić. Postraszcie go, że mamy tutaj trudną do opanowania sytuację i że jeśli nie zabierze stąd swych

bezcennych zwierząt, to będą z nich jatki. On się przechwala tym, że zawsze płynie z prądem rzeki. Dopilnujemy, aby rzeczywiście popłynął.

Sayren Stund otarł czoło, rozważając całą sprawę.

– Jandol Anganol nigdy nie przyjmie takiej dobrej rady ode mnie. Niech jego przyjaciele przedłożą mu tę propozycję.

– Jego przyjaciele?

– Tak, tak, jego pannywalscy przyjaciele. Alam Esomberr i ten niegodny uwagi Guaddl Ulbobeg. Weź ich sprowadź, a ja tymczasem wezmę sobie lubieżną kąpiel. – Zwracając się do małżonki spytał: – Czy chcesz przyjść i nacieszyć oczy lubieżnym widokiem, kochaneczko?

Tłum wkroczył do akcji. Z Avernusa można było śledzić gromady ludzi. W Oldorando roiło się od obiboków. Wychodzili z tawern, gdzie dotychczas oddawali się niewinnym zajęciom. Zamykali warsztaty, biorąc pały. Wychodzili z kościelnych krucht, odkładając żebraninę na potem. Złazili się z domów noclegowych, kwater i świętych przybytków. Byle tylko nie było nic o nich bez nich. Jakiś gęgacz rzeki, że oni są gorsi od fugasów. Za takie słowa bije się w gębę. Gdzie jest ten gęgacz? Może to ten ochluj, co stoi i gada po drugiej stronie ulicy...

Wielu avernusjańskich obserwatorów z pogardą patrzyło na burdy i na sam pretekst do burd. Wnikliwiej myślący dostrzegali drugą stronę medalu. Choć tak bzdurna, choć tak prymitywna była poruszona przez Sartoriirwrasza sprawa, miała ona swoje paralele na pokładzie Ziemskiej Stacji Obserwacyjnej – a tu żadne rozruchy nie mogły niczego rozstrzygnąć. „Wiara – niestałość”. Tak powiedziano w traktacie O trwaniu jednej helikońskiej pory roku nad jedno życie ludzkie. Wiara w postęp techniczny, ożywiająca budowę Avernuw, w ciągu pokoleń przerodziła się w pułapkę, tak jak w pułapkę przerodził się przyrost wydarzeń zwanych akhanabizmem. Pograżeni w introspekcyjnym kwietyzmie panowie Avernusa nie widzieli wyjścia ze swej pułapki. Drżeli z obawy przed zmianą, której najbardziej potrzebowali. Mogli mieć protekcyjny stosunek do motłochu rwącego ulicą Gęsią i Aleją Wozeńską, lecz motłoch miał nadzieję nie daną tym hen na górze. Rozgrzany trunkiem i bójką człowiek z ulicy Gęsiej mógł użyć pięści albo wykrzyknąć się przed katedrą. Mógł być skołowany, ale nie dręczyło go poczucie braku sensu, nękające wszystkich guru z sześciu klanów. Wiara – niestałość. To była prawda. Wiara prawie że umarła na Ayernusie, zostawiając po sobie rozpacz. Rozpaczają ludzie, nie tłumy. W chwili, gdy starsi klanów oglądali z góry i ze znużeniem retransmitowali na Ziemię sceny zamętu, który zdawał się odzwierciedlać ich własną jałowość, na stacji wyraźnie już rysowała się inna frakcja. Już przyjęła nazwę Pogańczyków. Pogańczycy byli młodzi i lekkomyślni. Wiedzieli, że nie ma dla nieb szansy powrotu na Ziemię ani życia na Helikonii, jak dowodnie wskazywał przykład Bila Xiao Pina. Lecz uwierzyli w swoją szansę na Paganie. Unikając wiecznie otwartych oczu obiektywów zgromadzili zaopatrzenie i wybrali prom, który zabierze ich na bezludną planetę. W sercach płonęła im nadzieja równie żywa, jak nadzieja na ulicy Gęsiej.

Wieczór przyniósł nieco chłodu. Kolejny wstrząs ziemi przeszedł nie zauważony wśród powszechnego zamieszania. Uspokojony i odświeżony po kąpielach, suto podjadłszy, król Sayren Stund był w dobrym humorze, gotów przyjąć Alama Esomberra z podstarzałym Guaddłem Ulbobegiem. Zasiadł wygodnie na łożu, sadowiąc sobie za plecami małżonkę jako piękną dekorację, po czym wezwał obu mężczyzn przed swoje oblicze. Wymieniono przepisowe uprzejmości, a niewolnica nakładła lodu z Lordrardry i naląła wina do kielichów. Guaddl Ulbobeg nosił liturgiczną stulę na cienkim czarfralu. Wszedł z ociąganiem, bynajmniej nie wyglądając na uszczęśliwionego widokiem K-rispana Mornu. Czuł, że stąpa po cieniutkiej linii, i okazywał to równie cienką miną. W porównaniu z nim Alam Esomberr był wesolutki jak ptaszek. Nieskazitelnie, jak zwykle, odziany,

zbliżył się do królewskiej łożnicy i ucałował dłonie obojga Ich Królewskich Mości z miną człowieka odpornego na zarazki.

– No cóż, w rzeczy samej. Panie, dziś po południu wyprawileś prawdziwe widowisko, zgodnie z obietnicą. Moje gratulacje. Z jakimże talentem przemawiał ten wasz stary gałgan ateista! Oczywiście, wątpliwości jedynie pogłębiają naszą wiarę. Niemniej cóż to za zabawny figiel losu, żeby ten nieznośny król JandolAnganol, wielbiciel fagorów, który jeszcze dziś rano stawał przed sądem jako kandydat do szubienicy, dziś wieczorem stał przed nami jako bohaterski obrońca bożej diatwy.

Z czarującym uśmiechem obrócił się, aby podzielić wesołość z Krispanem Mornu.

– To jest bluźnierstwo – rzekł Krispan Mornu swoim najczarniejszym głosem.

Roześmiany Esomberr kiwnął głową.

– Teraz, kiedy bóg ma nową definicję, to i bluźnierstwo chyba trochę inne? We wczorajszej herezji, mój panie, odnajdujemy dzisiejszy szlak prawdy, którym musimy kroczyć co sił w nogach...

– Nie rozumiem, co cię tak cieszy – uzalił się Sayren Stund. – Ale mam nadzieję, że skorzystam na twoim dobrym humorze. Chciałbym prosić was obu o przysługę. Dolej wina, kobieto.

– Cokolwiek Wasza Królewska Mość rozkaże – skwapliwie zapewnił Guaddl Ulbobeg, ścisnąwszy swój kieliszek w garści.

Król podniósł się z półleżącej pozycji i rzekł z odrobiną królewskiego majestatu:

– Udzielimy wam wszelkiej pomocy niezbędnej do nakłonienia króla JandolAnganola, aby natychmiast opuścił nasze królestwo, zanim skusi moją nieletnią córkę, biedaczkę Miluę Tal do małżeństwa.

Esomberr spojrzał na Guaddła Ulbobega. Guaddl Ulbobeg spojrzał na Esomberra.

– No więc? – rzekł król.

– Jaśnie Panie – powiedział Esomberr i zaczął skubać kosmyk włosów na karku, co zmusiło go do utkwienia wzroku w podłodze.

Guaddl Ulbobeg odchrząknął, a potem, jak gdyby po namyśle, odchrząknął po raz drugi.

– Ośmielę się zapytać, czy Wasza Królewska Mość widział ostatnio swą córkę?

– Co do mnie, Jaśnie Panie, ja jestem niemal całkowicie we władzy króla Borlien – dodał Esomberr, nadal nie zaniehbując kosmyka na karku. – Z powodu dawnej nieostrożności z mojej strony, Panie. Nieostrożności dotyczącej – w sposób wysoce niewybaczalny – królowej królowych. Więc kiedy król Borlien przyszedł do nas dziś po południu, szukając pomocy, czuliśmy się zobowiązani...

Jako że na tym urwał zdanie, pilnie studiując oblicze Sayrena Stunda, rozmowę podtrzymał Ulbobeg.

– Ja będąc nadwornym biskupem Świętego C'Sarra Pannowalu, Jaśnie Panie, a zatem – rzekł Guaddl Ulbobeg – będąc upoważniony do odprawiania w zastępstwie Jego Świątobliwości pewnych obrządków kościelnych...

– I ja – rzekł Esomberr – przez zaniedbanie wciąż przetrzymując w mojej pieczy podpisaną przez eks-królową Myrdeminggalę dispensę rozwodową, która powinna być przekazana C'Sarrowi lub jego nadwornemu biskupowi wiele tennerów temu – z przeproszeniem za to obecnie obraźliwe słowo...

– Więc my obaj w trosce o to – rzekł Guaddl Ulbobeg już z dużo większym zadowoleniem w głosie – aby nie przeciążać Jego Świątobliwości zbyt wieloma obowiązkami podczas tej wycieczki do bratniej stolicy...

– Kiedy to wystąpią bardziej dyskusyjne kwestie...

– ...Ani żadną miarą nie przysparzać Waszej Królewskiej Mości zbędnych...

– Dość! – wrzasnął Sayren Stund. – Do rzeczy, jeden z drugim. Dość gry na zwłokę!

– Dokładnie to samo my dwaj powiedzieliśmy sobie parę godzin temu – przytaknął Esomberr, obdarzając towarzystwo najpromienniejszym ze swych uśmiechów. – Dość gry na zwłokę – złote słowa. Wasza Królewska Mość... Toteż korzystając z uprawnień nadanych nam przez tych, co są nad nami wszystkimi, uświęciliśmy stan małżeński pomiędzy JandolAnganolem a waszą piękną córką, Miluą Tal. Była to skromna, lecz wzruszająca uroczystość, i żałujemy, że Waszych Królewskich Mości przy tym nie było.

Jego Królewska Mość spadł z łóżka, a pozbierawszy się ryknął:

– To oni brali ślub?

– Nie, Wasza Królewska Mość, oni wzięli ślub – powiedział Guaddl Ulbobeg. – Ja dokonałem obrządku i przyjąłem od nich przysięgi w zastępstwie Jego Świątobliwości.

– A ja byłem świadkiem i drużbą – rzekł Esomberr. – Obecni byli również kapitanowie króla Borlien. Ale żadnych fagorów. Przysięgam.

– Oni wzięli ślub? – powtórzył Sayren Stund, tocząc błędnym spojrzeniem. Upadł na wznak, w ramiona małżonki.

– My obaj składamy nasze gratulacje Waszym Królewskim Mościom – dwornie rzekł Esomberr. – Jesteśmy pewni, że młoda para będzie bardzo szczęśliwa.

Nastał wieczór dnia następnego. Mgiełka zniknęła przed zachodem słońca i na wschodzie zapłonęły gwiazdy. Zamarł wiatr. Powtarzały się wstrząsy ziemi. Jego Świątobliwość C'Sarr Kilander IX zawitał do Oldorando w środku dnia. W pałacu sędziwy starzec o długich siwych włosach udał się wprost z drogi na spoczynek, aby odzyskać siły po trudach podróży. Przeróżni dostojnicy, a w końcu i król Sayren Stund, z gorączkowymi wyjaśnieniami pielgrzymowali do łoża starca, znosząc mu wieści o religijnym zamęcie, w jakim zastaje królestwo Oldorando. Jego Świątobliwość wysłuchał wszystkich. W swojej mądrości ogłosił, że o zachodzie Freyra odprawi uroczyste nabożeństwo, nie w Domu Nadziei, tylko w podziemnej pałacowej kaplicy, gdzie przemówi i rozproszy wszystkie wątpliwości wiernych. Obnaży całkowity fałsz haniebnej pogłoski o starożytnym rodowodzie i wyższości ancipitalnej rasy. Głos ateistów nie zatryumfuje, dopóki choć odrobina siły pozostanie w jego starczym ciele.

Właśnie rozpoczęło się zapowiedziane nabożeństwo. Sędziwy C'Sarr przemówił nobliwym głosem. Dostojni wierni stawili się niemal w komplecie. Jedna para dezertarów wybrała pawilon w Parku Świstka. Król JandolAnganol, wychłostawszy się i pomodliwszy w akcie skruchy i wdzięczności, właśnie zmywał krew wodą z gorących źródeł, którą niewolnik lał mu z dzbanów na plecy.

– Jak mogłeś popełnić takie okrucieństwo, mój mężu?! – wykrzyknęła Milua Tal, wpadając z ożywieniem, bosa i w przejrzystej białej satarze. – Czyż nie jesteśmy z ciała? Czyżbyś wolał być z czegoś innego?

– Pomiędzy ciałem a duchem istnieje rozdział, o którym musimy przypominać jednemu i drugiemu. Nie będę żądał, abyś poddawała się tym samym rytuałom, jednak musisz tolerować moje religijne skłonności.

– Ale ja kocham twoje ciało. Teraz ono jest i moje i zabiję cię, jeśli je jeszcze raz skrzywdzisz. Kiedy zaśniesz, siądę ci pupą na twarzy i zaduszę cię na śmierć!

Objęła go i przytuliła się, przeinaczając sobie całą satarę. Odesławszy niewolnika, całował ją i pieścił.

– Też kocham twoje młode ciało, ale postanowiłem odłożyć nasze stosunki cielesne do twoich dziesiątych urodzin.

– Och, nie, Jan! Tak długo, jeszcze całe pięć tennerów! Nie jestem taka słaba malutka, zobaczysz, że pomieszczę cię bez trudu. Przytuliła do jego twarzy swoją kwiatową buzię.

– Pięć tennerów to niedługo, a czekanie nam nie zaszkodzi. Rzuciła się i zwała króla na łóżko, zmagając się i wijąc z szalonym śmiechem w jego ramionach.

– – Nie będę czekać, nie będę czekać! Dobrze wiem, do czego są żony i co mają robić, i będę twoją żoną bez żadnych najmniejszych wyjątków.

Pocałowali się gwałtownie. Po czym król odepchnął ją ze śmiechem.

– Ty żywa iskierko, mały skarbie, kwiatuszku. Poczekamy na stosowniejszą porę, aż zawrę jakiś rozejm z twoimi rodzicami.

– Ale teraz pora jest zawsze stosowna – podniosła lament. Chciał odwrócić jej uwagę.

– Posłuchaj – rzekł – mam dla ciebie maleńki prezent ślubny. To niemal wszystko, co tutaj posiadam. Obsypię cię prezentami, gdy wrócimy do mnie, do Matrassyłu.

Wyjął z kieszeni i podał jej zegarek o trzech tarczach. Tarcze wskazywały:

07:31:15 18:21:90 19:24:40

Milua Tal wzięła zegarek, ale wyglądała na dość rozczarowaną. Przymierzyła ozdobę na czole, jednak zapięcie nie schodziło się z tyłu głowy.

– Gdzie ja mam to nosić?

– Może jako bransoletkę?

– Może i tak. No więc, dzięki, Janie. Później to ponoszę. – Odrzuciła zegarek i nagle raptowym ruchem ściągnęła przemoczoną suknię. – Teraz ty możesz sobie obejrzeć mnie i sprawdzić, czy opłacała ci się skórka za wyprawkę.

Zaczął odmawiać modlitwę, ale nie mógł oderwać oczu od płasającej naguski. Z lubieżnym uśmiechem obserwowała, jak budzi się khmir w tych oczach. Podbiegł, porwał ją na ręce i zaniósł do łóżka.

– Niech ci będzie, śliczna Miluo Tal. Oto zaczynamy nasze małżeńskie życie.

Ponad godzinę później gwałtowny wstrząs ziemi wyrwał ich z uniesień. Wokół rozskrzypiały się belki, lampka spadła ze stolika. Trzeszczało łóżko. Nadzy skoczyli na równe nogi, na rozkołysaną podłogę.

– Wychodzimy? – spytała. – Park trochę się rozbrykał, nie sądzisz?

– Zaczekaj chwilę.

Wstrząsy długo nie zanikały. W mieście wyły psy. Wreszcie wszystko minęło i zapanowała głucha cisza. W owej ciszy myśli jak robaki toczyły świadomość króla. Pomyślał o ślubach, które składał – wszystkie złamane. O ludziach, których kochał – wszyscy zdradzeni. O nadziejach, które żywił – wszystkie martwe. W tej przygniatającej ciszy nigdzie nie znajdował pocieszenia, nawet w spoconym młodym ciele tulącym się do jego ciała. Ciężkie spojrzenie wlepił w przedmiot porzucony na podłogowej macie z sitowia. Zegarek BiloszUopina, wytwór nieznannej nauki, niczym cień podążający za królem przez długie tennery niepowodzeń. Z nagłym okrzykiem wściekłości JandolAnganol doskoczył i wyrzucił zegarek za wychodzące na północ okno. Stał w oknie goły, patrząc groźnie, jak gdyby tylko czekał, aż toto ośmieli się powrócić do ręki. Opanowawszy chwilowy strach Milua Tal stanęła przy nim, kładąc mu dłoń na ramieniu. W milczeniu wychylili się przez okno, oddychając chłodniejszym powietrzem. Na północy płonęło białe światło, ukazując kontury dalekich drzew i horyzontów. Bezgłośnie błyskawice tańczyły w samym środku łuny.

– Na Patrzycielkę, co się dzieje? – spytał JandolAnganol, objąwszy smukłe ramiona swej panny młodej.

– Nie trwóż się, Janie. To ognie ziemi, one szybko gasną. Często je widzujemy po silniejszych

wstrząsach. To coś w rodzaju nocnej tęczy.

– Prawda, jak cicho? – Uświadomił sobie, że w pobliżu nie słysząc kroków Pierwszej Fagorzej, i ogarnął go nagły niepokój.

– Ja coś słyszę. – Raptownie podbiegła do okna po drugiej stronie izby. – Jandol! Spójrz! Pałac! – krzyknęła.

Doskoczył do niej. Za placem Loyłbryden palił się pałac. Cała drewniana fasada była w płomieniach, a kłęby dymu szybowwały do gwiazd.

– Wstrząs musiał wzniecić pożar. Chodźmy, może coś poradzimy, szybko, szybko, moja biedna mama!

Jej gołębie gruchanie przeszło w pisk. Oboje ogarnięci przerażeniem ubrali się i wybiegli. W parku nie było fagorów, lecz ujrzeni je przebiegnawszy przez plac. Pierwsza Gwardia Fagorza stała pod bronią i patrzyła na płonący pałac, broniąc doń przystępu. Fagory bez miugnięcia okiem przyglądały się, jak płomienie buchają coraz wyżej. Mieszkańcy miasta stali w pewnej odległości i gapili się bezradnie, nie dopuszczani przez fagory. Jandol Anganol spróbował się przedrzeć przez fagorze szyki, lecz wysunięta włócznia zagroziła mu /drogę. Fagorza regimentarka Ghht Mlark Chzarn zasalutowała swemu władcy.

– Nie możesz uczynić przejścia do większej bliskości. Panie, z powodu niebezpieczeństwa. My uczyniliśmy sprowadzenie płomieni na wszystkich Synów Freyra w owym kościelnym miejscu pod ziemią. Wiedza doszła naszych szlei, że zły król i król kościelny sprowadzą zabicie wszystkich twoich sług z naszej Gwardii.

– Nie miałaś rozkazów. – Ledwo mógł mówić. – Zabiliście Akhanabę, boga stworzonego na wasze podobieństwo.

Stojąca przed nim istota o ciemnoszkarłatnych oczach przytknęła trójpalcą dłoń do swej czaszki.

– Rozkazy powstały w naszych szlejach. Uczyniły nadejście z dawnego czasu. Kiedyś to miejzce było starożytne Hrrm-Bhhrd Ydohk... Więcej powiedzenia...

– Zabiliście C'Sarra, Akhanabę... wszystko... wszystko... Prawie nie słyszał, co mówi ancipitka, gdyż Milua Tal uwiesiła się jego ręki i krzyczała na całe gardło.

– Moja mama, moja mama, moja biedna mama!

– Hrrm-Bhhrd Ydohk kiedyś starożytne miejzce ancipitów. Nie oddać Synom Freyra.

Nie zrozumiał. Naparł na włócznię, dobywając miecza.

– Albo mnie przepuścisz, albo zabiję cię, regimentarko Chzarn. Wiedział, jak daremne były pogrożki.

– Nie ma przechodzić, Panie – rzekła po prostu Chzarna.

– Jesteś bogiem ognia, Jan, każ mu zgasnąć!

Nie słyszał papuziego wrzasku żony ani nie czuł jej paznokci, które przeorały mu ciało. Chcąc koniecznie coś wyjaśnić Chzarna borykała się ze słowami, nim złożyła je w zdanie.

– Starożytne Hrrm-Bhhrd Ydohk dobre miejsce. Panie. Oktawy śród-powietrze czynią śpiew. Zanim Synowie Freyra ani jeden na Hrl-Ichor Yhar. W starożytnym czasie TSehn-Hrr.

– Mamy czas terazniejszy, terazniejszy! Żyjemy i umieramy w czasie terazniejszym, gildo!

Próbował zebrać się w sobie do zadania ciosu, jednak nie był do tego zdolny, mimo krzyków stojącej przy nim dziewczyny. Zawiodła wola. Płomienie tańczyły mu w źrenicach przymrużonych oczu. Fagorka z uporem ciągnęła swoje wyjaśnienia, jak automat.

– Ancipici tutaj, Panie, zanim Synowie Freyra. Zanim Freyr uczynił złe światło. Zanim odejście TSehn-Hrr, Panie. Stare winy, Panie.

A może powiedziała po prostu „stare nowiny”. Przy szalejącym ogniu mógł nie dosłyszeć. Część

pałacowego dachu runęła z łoskotem i słup ognia wystrzelił pod nocne niebo. Drewniane kolumny odpadały od fasady, roztrzaskując się na placu. Tłum krzyknął i odstąpił do tyłu. Wśród widzów stała Abatha Yasidol;

kurczowo uczepliła się ramienia urzędnika sibornalskiej ambasady, razem z wszystkimi ustępując przed żarem.

– Święty C'Sarr... wszystko zniszczone – z bólem zawołał Jandol Anganol. Milua Tal przycisnęła twarz do boku Jandol Anganola, szlochając.

– Wszystko zniszczone... wszystko zniszczone.

Nie próbował pocieszyć ani odtrącić dziewczyny. Nic go nie obchodziła. Płomienie strawiły mu duszę. W owym całopaleniu poszły z dymem jego marzenia – te same marzenia, które się właśnie spełniały w ogniu. Mógł być panem zarówno Oldorando jak i Borlien, lecz w tej nieustannej przemianie rzeczy w ich przeciwieństwa, w tej karzącej enancjotropii z boga czyniącej fagora, już nie pragnął władzy. Jego fagory dały mu zwycięstwo, w którym on widział swoją klęskę. Przyszła mu na myśl Myrdeminggala, ale ich wspólne lato dobiegło końca, to wielkie zaś ognisko z jego nieprzyjaciół było ogniskiem sygnałowym jesieni.

– Wszystko zniszczone – rzekł na głos. Lecz oto nadchodzi jakaś postać, zgrabnie wymijając szeregi Pierwszej Fagorzei, zbliżając się niemal spacerkiem i w samą porę, by rzec:

– Nie całkiem wszystko, miło mi zauważyć. – Mimo prób zachowania zwykłej sobie nonszalancji, Esomberr miał pobladłą twarz i drżał dostrzegalnie. – Ponieważ nigdy nie byłem zbyt gorliwym wyznawcą Wszechmocnego, czy to na obraz człowieka, czy też na obraz fagora, przeto postanowiłem darować sobie kazanie C'Sarra na ten temat. I miałem cholerne szczęście, jak się okazało. Niech będzie to nauką dla Was, Wasza Królewska Mość, aby w przyszłości rzadziej chodzić do kościoła.

Milua Tal zmierzyła go zagniewanym spojrzeniem.

– Odczep się. Tam są moi rodzice, obydwójce. Esomberr pogroził jej palcem.

– Musisz nauczyć się brać przykład ze świeżo poślubionego małżonka, który twierdzi, że potrafi płynąć z prądem rzeki. Jeśli twoi rodzice zginęli – a podejrzewam, że masz tu absolutną rację – to niech jako pierwszy pogratuluję ci, że zostałeś królową dwojga królestw, Borlien i Oldorando. Liczę na odrobinę poparcia z waszej strony, jako główny sprawca waszej sekretnej ceremonii ślubnej. Może nigdy nie zostanę C'Sarrem, ale oboje wiecie, że rady mam dobre. Jestem wesoły, nawet w chwilach nieszczęścia, jak to obecne.

Jandol Anganol pokręcił głową. Objąwszy Miluę Tal zaczął ją odciągać od pożogi.

– Nic nie możemy zrobić. Zabicie paru fagorów niczego nie załatwi. Zaczekamy do rana. W cynizmie Esomberra jest szczypta prawdy.

– Cynizm? – spokojnie powtórzył Esomberr. – Czyżby twoje zwierzaki nie powtórzyły jedynie tego, coś sam zrobił z myrdolatorami? Czy to nie cynizm, że korzystasz na tym wszystkim? Twoje zwierzęta koronowały cię na króla Oldorando.

W twarzy króla było coś, czego Esomberr wolałby nie oglądać.

– Skoro cały dwór stracił życie, to czy ja mam jakieś inne wyjście, niż tylko pozostać, spełnić mój obowiązek, dopilnować, aby następstwo prawnie przeszło na Miluę Tal? Czy takie zadanie może być powodem do radości, Esomberr?

– Popłyniesz z prądem rzeki, jak sędzę. Tak jak ja. Czymże jest radość? Szli przed siebie, podtrzymując księżniczkę, której nogi odmawiały posłuszeństwa. W końcu król rzekł:

– Inaczej zapanuje tu anarchia... albo wkroczy Pannowal. Czy powód to do radości, czy do płaczu, zdaje się, że rzeczywiście mamy okazję połączyć nasze dwa królestwa w jedno, niepokonane dla wrogów.

– Zawsze ci wrogowie! – poskarżyła się Milua Tal swemu niewydarzone-mu bogu.

Z wyrazem niekłamanego niedowierzania JandolAnganol zwrócił się do Esomberra.

– Sam C'Sarr pożegna się z życiem, C'Sarr we własnej osobie...

– Jeśli bóg nie kiwnie palcem, to ani chybi. Ale mam jedną pomyślniejszą wiadomość dla ciebie.

Król Sayren Stund może nie przejdzie do historii jako najmędrzy z monarchów, lecz zdobył się na wielkoduszny gest przed swoim odejściem. Pewnie pod wpływem matki twojej nowej królowej. Jego Królewska Mość nie bardzo mógł przełknąć powieszenie syna swego nowego szwagra i kazał chłopaka wypuścić jakąś godzinkę temu. Może jako swoisty prezent ślubny...

– Wypuścić Robaydaya?

Chmura w jednej chwili zniknęła królowi z czoła.

– Na własne oczy widziałem chłopaka już na wolności. Dziki jak zawsze. Dziwszy. Można by go porównać do strzały wypuszczonej z łuku. Z ust JandolAnganola wyrwał się jęk.

– Biedny chłopak, dlaczego nie przyszedł do mnie? Miałem nadzieję, że w końcu wygasła w nim nienawiść do ojca...

– W tej chwili pewnie już stoi w kolejce do całowania ran martwego Sartoriirwrasza – najniehigieniczny rodzaj rozrywki, jaki widziałem.

– Dlaczego Roba nie przyszedł do mnie...?

Odpowiedzi nie otrzymał, lecz mógł ją odgadnąć: ukrywał się z Miluą Tal w pawilonie. Niejeden tenner upłynie, zanim w pełni dadzą się odczuć następstwa tego dnia, z którymi przyjdzie mu żyć. Jak gdyby utraflając mu w myśl, Alam Esomberr rzekł:

– A czy mogę zapytać, co zamierzasz zrobić ze swoją sławną Fagorzą Gwardią, która popełniła te okropności?

Król rzucił mu twarde spojrzenie, bez zwalniania kroku oddalając się od pożogi.

– Może ty mi powiesz, co ludzkość ma w ogóle zrobić ze swoim fagorzym problemem? – powiedział król.

ENVOI

Żołnierze z "Dobrej Nowiny" i "Zgody" wylądowali na borlieńskim brzegu i pod dowództwem lo Paszaratida szli na zachód, na Grawabagalinien. Podczas pochodu swej kolumny Paszaratid chciwie łowił pogłoski o groźącym wybuchem wrzeniu w Matrassylu. Wieść o masakrze myldoratorów z wolna drażyła świadomość ludzi, by wreszcie wstrząsnąć sumieniami; niemiłe powitanie czekało króla, gdyby powrócił.

Plan w szlejach Paszaratida płonął z niezachwianą pewnością i Sibornalczyk czuł się tak, jakby już osiągnął cel. Zdobędzie królową królowych; Grawabagalinien wpadnie mu w ręce i ona też. Matrassyl ochoczo uzna ją za władczynię. On będzie panował u jej boku, jako małżonek; nie miał ambicji politycznych, zwłaszcza większych. Odcinał się od swej przeszłości pełnej podchodów, zawiedzionych nadziei i hańby. Jeszcze tylko jedna maleńka potyczka i będzie miał wszystko, o czym marzy.

Zwiadowcy donieśli mu o szańcach wokół drewnianego pałacu. Uderzył o wschodzie Bataliksy, kiedy mgła zasnuła ziemię. Pod osłoną pikinierów, dwójki strzelców natarły z gotowymi do strzału rusznicami. Nad szańcami powiała biała flaga. Na otwartą przestrzeń ostrożnie wystąpiła krępa postać. Paszaratid zatrzymał swych żołnierzy i samotnie ruszył naprzód. Miał przyjemną świadomość tego, jaki jest odważny, jaki wyprostowany. Czuł się zdobywcą w każdym calu.

Krępy mężczyzna wyszedł mu naprzeciw. Przystanęli nie dalej od siebie niż na długość włóczni. Bardol KaraBansita przemówił pierwszy. Zapytał, dlaczego żołnierze nacierają na niemal bezbrony pałac. Na co lo Paszaratid dumnie zapewnił, że jest człowiekiem honoru. Żąda jedynie wydania królowej Myrdem-Inggali, a pałac zostawi w spokoju. KaraBansita uczynił święty znak koła na czole i pociągnął nosem tak, że usłyszało to całe wojsko. Niestety – rzekł – królowa królowych nie żyje, przeszyta strzałą wystrzeloną przez wysłannika jej eks-małżonka JandolAnganola. Miast przekonać, rozwścieczył Paszaratida.

– Zobacz sam – rzekł KaraBansita. Wskazał na morze zmatowiałe w szarości świtu. Ludzie wodowali żałobny bark. Rzeczywiście Paszaratid mógł zobaczyć sam. Zostawiwszy swój oddział pobiegł w kierunku plaży.

Czterech ludzi ze spuszczoneymi głowami niosło na marach zwłoki wielokrotnie spowite w biały muślinowy całun. Rąbek całunu trzepotał w podmuchach wzmagającej się bryzy. Wieniec z kwiatów spoczywał na piersiach zmarłej. Przy skraju wody zawodziła starucha z porośłą włosami myszką na policzku. Czterej tragarze z czcią wnieśli mary na pokład białej karaweli, "Modlitwy Yadżabharu"; jej pogruhotane burty zostały naprawione dość porządnie, zważywszy, że nie zabierała w ten rejs żywej duszy. Tragarze złożyli mary pod masztem i zeszli na ląd. Ubrany na czarno SkufBar, stary majordom królowej, wkroczył z zapaloną pochodnią. Nisko pokłonił się okrytym całunem zwłokom. Następnie podłożył ogień pod wysoki stos chrustu. Płonąca karawela powoli wyszła z zatoki, pchana sprzyjającym wiatrem. Kłęby dymu kładły się na wodzie jak rozpuszczone włosy.

Cisnąwszy hełm w piasek Paszaratid dziko krzyknął do swoich ludzi:

– Na kolana, gęgacze! Na ziemię, modlić się do Azoikaiksisa za duszę tej pięknej kobiety. Królowa nie żyje, och, królowa królowych nie żyje.

Uśmiechając się od czasu do czasu pod nosem KaraBansita na brązowym musłangu wracał do Ottassolu, do swej żony. Był przebiegłym człowiekiem i udał mu się fortel; Paszaratid zaniechał pogoni. Na małym palcu prawej dłoni KaraBansity błyszczał otrzymany od królowej w darze pierścień ze szmaragdowym jak morze kamieniem.

Myrdeminggala opuściła Grawabagalinien zaledwie kilka godzin przed nadejściem Paszaratida. Z królową odjechali jej generał, siostra generała, księżniczka Tara i garstka służby. Podążyli na północ, przez żyzne ziemie Borlien, w kierunku Matrassylu. Gdziekolwiek się pojawili, wszędzie na ich widok chłopcy wybiegali z chat, wybiegali mężczyźni, kobiety i dzieci, błogosławiąc swą królową królowych. Najbiedniejszy lud spieszył z pożywieniem dla jej orszaku i z wszelką dla niej pomocą. Serce rosło Myrdeminggali. Ale było to już inne serce niż dawniej; ostygł żar jej uczuć. Może z czasem przekona się do TolramKineteta. Przyszłość pokaże. Najpierw musi odnaleźć i przycisnąć do serca swego syna. Potem będzie można zadecydować o przyszłości.

Paszaratid długo stał na piasku. Stado jeleni zeszło na plażę i żerowało wzdłuż linii najwyższej wody, nie zważając na jego obecność. Okręt żałobny dryfował na morze, uwożąc zwłoki służebnicy zmarłej od obrażeń odniesionych w wyniku upadku baryłki z prochem. Płomienie strzelały prosto w górę, dym siał się na falach. Trzask drewna dochodził uszu Paszaratida. Rozdarłszy koszulę zapłakał, myśląc o wszystkim, co nigdy się nie miało ziścić. Padł w piasek na kolana, oplakując śmierć, która miała dopiero nadejść.

Morskie stworzenia opłynęły płonący kadłub na pożegnanie. Porzuciły przybrzeżne wody, uchodząc hen na pełne morze. W legionowym ordynku popłynęły tam, gdzie jeszcze nie żeglował żaden człowiek, gdzie wtopiły się w płynne pustkowia Helikonii.

Mijały lata. Jeden po drugim odchodzili ludzie tego burzliwego pokolenia. Długo po tym, jak królowa zniknęła śmiertelnikom z oczu, prawie wszystko, co w niej było nieśmiertelne, pokonało bezmierne otchłanie przestrzeni i dotarło na Ziemię. Tam jej kształty i jej oblicze znów ożyły. Jej cierpienia, radości, wady i zalety – wszystko, jak żywe, raz jeszcze przywołano dla mieszkańców Ziemi. Na samej Helikonii wszelka pamięć o królowej wkrótce się rozplynęła, tak jak rozplywają się fale po plaży.

TSehn-Hrr świecił na niebie. Świecił niebieskim blaskiem. Światło było niebieskawe nawet za dnia, kiedy z chłodnych mgieł wyzierała Bataliksa. Temperatury były niskie. Wszystko idealnie odpowiadało ancipitom. Rogi nosili wysoko i nie widzieli powodu do pośpiechu. Żyli wśród tropikalnych gór i lasów Półwyspu Pegowin w Hespagoracie. Żyli w zgodnej gromadzie. W miarę jak miodki powoli wyrastały na czabanów, a potem wchodziły w wiek dojrzały, ich sierść stawała się gęsta i czarna. Kryła ciała obdarzone niesamowitą siłą. Fagor potrafił zabić prymitywnym oszczepem ciśniętym z odległości stu jardów. Taką bronią zabijał fagorów z obcych komponentów, naruszających jego terytorium. Ancipici posiadli również inne umiejętności. Obłaskawili i udomowili ogień. W podróży fagory dźwigały przytroczony do szerokich barków kamienny żarnik z żywym płomykiem, nie rozstając się z nim nawet podczas wspólnego połowu ryb nad brzegiem morza. Wyrób brązu nie stanowił dla nich tajemnicy. Z brązu sporządzali ozdoby; ciepły odblask tego metalu pojawiał się wokół dymiących ognisk w górskich jaskiniach fagorzyc. Opanowali sztukę garncarską na tyle, by bez pomocy koła garncarskiego modelować i wypalać naczynia, często o wyszukanej kształcie strąka owoców jadalnych. Proste okrycia ciała splatali z sitowia i pnączy. Mieli dar mowy. Bykuny i gildy wspólnie chodziły na łowy i wspólnie uprawiały niewielkie zagony warzyw na karczowiskach. Ancipickie komponenty oswoiły dzikie zwierzęta. Do fagorzej wspólnoty weszły asokiny, służące za psy myśliwskie na wyprawach łowieckich. Mniejszy był praktyczny pożytek z udomowienia Innych; Inni bawili fagorów swymi figlami, a fagory patrzyły przez palce na drobne kradzieże popełniane przez swych figlarzy. Kiedy zachodziła Bataliksa i światło odpływało z chłodnego świata, ogarniał ancipitów chłodny sen. Sypiali bez żadnych wygod, kładąc się gdzie popadło, jak było.

Gaśli. Żadne sny nie nawiedzały ich długich czaszek w ciągu cichych godzin nocy. Jedynie przy

pełni księżyca TSehn-Hrr parzyli się i polowali, zamiast spać.

To był ich czas. Zabijali każde napotkane zwierzę, ptaka, obcego ancipitę. Zabijanie nie wynikało z żadnych racji; zabijali, bo tacy już byli. Żyjące na południu komponenty za dnia polowały na flambury. Wielki południowy kontynent Hespagoratu zamieszkiwało milionowe pogłowie flamburów. Flam-burom towarzyszyły chmary much. Chmarom much towarzyszył żółty giez. Więc fagory sprawiały rzeź flamburom, wyrzynały pojedyncze sztuki i dziesiątki sztuk, zabijały przodowników stad, zabijały łanie, ciężarne i wszelkie inne, zabijały cielęta, usiłując zapełnić świat flamburzym ścierwem. Flambury nigdy nie ustały w pochodzie na północ przez niziny półwyspu Pegowin. Ancipici nigdy nie ustali w zabijaniu flamburów. Mijały lata, mijały stulecia, a olbrzymie stada wciąż szarżowały na niestrudzone oszczepy. Komponenty nie miały historii z wyjątkiem historii tej nieustannej rzezi.

Fagory parzyły się podczas pełni księżyca i również podczas pełni księżyca przychodziły na świat rok później. Młodki dorastały powoli. Wszystko toczyło się powoli, jak gdyby serca biły w spowolnionym rytmie, a niespieszne tempo wzrostu drzew było normą obowiązującą wszystkie stworzenia. Kiedy wielki biały krąg księżyca tonął w mgłach horyzontu, wszystko pozostawało takie, jakie było, kiedy wstawał z tychże samych mgieł. Księżycowy rytm rządził wtopionymi w ten powolny świat fagorami; czas nigdy nie przeniknął do bladych fagorzyczych szlei. Ich zwierzęta umierały. Kiedy umarł Inny, zwłoki niedbale porzucano lub wynoszono poza teren obozowiska sępom na żer. Wielkie czarne fagory nie znały śmierci – śmierć miała dla nich znaczenie nie większe niż czas. Starość spowolniała im ruchy. Stare fagory, nie zrywając słabych więzi ancipitalnej rodziny, coraz bardziej się od niej oddalały. Z roku na rok kurczyły się ich zdolności. Wcześniej ztracały mowę. W końcu zanikała zdolność ruchu. Wtedy komponent okazywał swoją troskliwość. Nie przejawiał jej wobec pojedynczych osobników. Fagory opiekowały się dziećmi, a poza dziećmi tylko ofiarami starości. Umieszczano je w bezpiecznej kryjówce, darzono czcią i wyjmowano jedynie przy jakichś uroczystych okazjach, na przykład przed zamierzoną napaścią na sąsiedni komponent. Ucieleśniając powolność czasu, stare fagory bez dostrzegalnej zmiany mijały strefę cienia dzielącą życie od innych stanów. Czas zestalał się w ich łoniach. Mały przez długie lata, zamieniając się w końcu w małe keratynowe posążki swoich poprzednich postaci. Ale nawet wówczas iskierki istnienia nie wygasały w nich na dobre. Jako starsi służyli radami, wciąż odgrywając rolę w życiu komponentu. Dopiero gdy się rozpadli, można było powiedzieć, że spotkali swój kres; z wieloma obchodzono się tak delikatnie, że przetrwali przez stulecia.

Długo wiedli ancipici ten swój zmierzchowy tryb życia. Lato i zima przynosiły niewielkie zmiany na półwyspie, który z kształtu przypominał maczugę i sięgał niemal do równika. Gdzie indziej mogły zimą zamarzać morza;

na półwyspie, w wysokich górach, w głębokich lesistych dolinach, letargiczny raj trwał w niezmaconym stanie przez wiele pełni księżyca i wiele stuleci wieczności. Rodzaj ancipicki słabo reagował na zmiany. Nieznana gwiazda – nie zapowiedziana i niespodziewana – była jasnym punktem w niebiosach na długo przedtem, nim komponenty ujęły ją w swoich rachubach. Pierwsze białowłose fagory komponent przyjął obojętnie. Coraz więcej białych fagorów osiągało wiek dojrzały. Płodziły białe potomstwo. Dopiero wtedy zostały przepędzone. Wygnańcy bytowali nad posępными brzegami morza Kowassy, karmiąc się leg-wanami. Inni podróżowali na ich plecach, dokarmiając wysuszonymi kawałkami wodorostów ogień w przenośnych żarnikach. O zmierzchu można było zobaczyć, jak sznureczek białych fagorów z Innymi, z płomykami i dymami na grzbietach, smętnie podąża plażą na wschód. Z roku na rok rosły szeregi białych fagorów i rozmiary masowej wędrówki na wschód. Wędrownie fagory znały swoją drogę kamiennymi słupami, może żywiąc

nadzieję, że pewnego dnia będą mogły wrócić do domu. Ten powrót nigdy miał nie nastąpić.

Tymczasem zła gwiazda świeciła coraz jaśniej na niebie, aż zaczęła, podobnie jak TSehn-Hrr, rzucać cień nocą. Wtedy to rodzaj ancipitalny, po wielu naradach ze starszymi w uwięzi, nadał swojej gwiazdzie imię Frehyr, co oznaczało strach. Każdemu pokoleniu wydawało się, że owa gwiazda strachu jest wciąż tej samej wielkości. Lecz ona rosła. Z pokolenia na pokolenie. I z pokolenia na pokolenie białe odmienne masowo ciągnęły wzdłuż wybrzeży Hespagoratu. Na zachód od półwyspu Pegowin zatrzymały ich ponure grzędzawiska krainy nazwanej później Dimariamem. Na wschodzie powoli przemierzyły górskie krainy Throssy, po przebyciu dwóch tysięcy mil docierając do przesmyku Kadmem. Wszystko to zostało dokonane z bezdusznym uporem charakterystycznym dla ancipitalnej rasy. Po lądowym moście weszły do Radado, rozkładając się po ziemiach o klimacie zbliżonym do klimatu Pegowinu. Część z nich osiadła tam na stałe; inne, przybywające później, wędrowały dalej. Wszędzie wznosiły po drodze swoje kamienne kolumny, znacząc zdrowe oktawy śródpowietrzne, które wskazywały powrotną drogę do ojczyzny przodków.

Nadszedł czas Katastrofy. Starzejąca się gwiazda Bataliksa z jej brzemieniem planet została pojmana przez gwiazdę strachu, młodą, gwałtowną, wypełniającą promieniowaniem całą przestrzeń wokół siebie. Gwiazda strachu miała słabszą towarzyszkę. W następnym kosmicznym przepychance słabsza towarzyszka zgubiła się przy ustalaniu nowych orbit. Umknęła zabrawszy ze sobą jedną z planet Bataliksy oraz księżyc TSehn-Hrr. Sama Bataliksa weszła na orbitę związaną z gwiazdą strachu. To była owa Katastrofa, na zawsze utrwalona w szlajach ancipitalnego rodzaju. Podczas wstrząsów, które w jej wyniku nawiedziły planetę, wściekłe wichry i fale zniszczyły starodawny most lądowy przez Cieśninę Kadmem. Zerwane zostało połączenie Hespagoratu z Kampanniatem.

W tej porze przemian zmienili się Inni. Byli słabsi od swoich opiekunów, ale zwinniejsi i o bardziej giętkich umysłach. Wędrowni z Pegowinu odmieniła rolę Innych w gromadzie fagorów – z bawidełek na próżniacze dni awansowali na furażerów i karmicieli komponentu. Rewolucja nastąpiła przypadkiem. Przypłył odciał grupy Innych zbierających żywność w zatoce u wybrzeży Radado. Przez jakiś czas niczym rozbitkowie siedzieli na wyspie, znalazłszy w lagunie obfitość tłuszczynek. Tłuszczynki stanowiły jeden z objawów zmian ekologicznych; tały się w morzach milionami. Inni siedzieli i zażerali się tłuszczynkami. Strata opiekunów zmusiła ich do podjęcia życia na własną rękę, a po jakimś czasie powędrowali na północny wschód do niemal niczyjej krainy, którą nazwali Ponptem. Tutaj założyli Dziesięć Plemion, czyli Olle Onet. W końcu ich bardzo zmieniona wersja ancipickiego archaiku, pod nazwą olonetu, rozprzestrzeniła się po całym Kampanniacie. Lecz zanim to nastąpiło, jeszcze niejedno stulecie musiało pobłogosławić rozwój dzikich gromad. Rozwój, który nie ominął Innych. Dziesięć plemion rozpadło się na liczne plemiona. Inni natychmiast dostosowywali się do nowych warunków, w jakich przyszło im żyć. Niektóre z plemion nigdzie nie osiadły na stałe, zasmakowawszy we włóczędze po obszarach nowego kontynentu. Wielkimi ich wrogami były fagory, które mimo to uważali za istoty boskie. Tego rodzaju złudzenie, tego rodzaju pragnienia stanowiły integralną część ich życiowych reakcji na świat odkrywany dla samych siebie. Weselili się, mnożyli, polowali w promieniach nowego słońca. Kiedy nastąpiła pierwsza Wielka Zima, kiedy pierwsze burzliwe lato utonęło w mrozie, a śnieg sypał nieprzerwanie przez całe miesiące, musiało to w praarchaicznych umysłach fagorów wyglądać na powrót do normalności. Dla podatnych na genetyczną obróbkę Dziesięciu Plemion był to okres najważniejszej próby: kształt ich przyszłych istnień zależał od tego, jak uda im się przetrwać stulecia apastronu, kiedy Bataliksa pełzła przez najpowolniejsze odcinki swej nowej orbity. Plemiona, które przystosowały się najlepiej, wkroczyły w nową wiosnę z nową pewnością siebie. Wkroczyły jako ludzkość. Mężczyźni i kobiety zachłysnęli się nowymi umiejętnościami. Czuli, że do nich należy świat i przyszłość. Bywały jednak chwile –

noce przy obozowym ognisku pod rozgwieżdżonym niebem – kiedy w ich życiu otwierała się pustka i mieli wrażenie, że zagląдают w otchłań, nad którą nie przerzucono żadnego mostu. Powracały wspomnienia z okresu, gdy większe istoty troszczyły się o gromadę i wymierzały niewyszukaną sprawiedliwość. Ludzie w milczeniu układali się do snu, składając bezgłośnie słowa na wargach. Potrzeba kultu i poddaństwa – i buntu przeciwko poddaństwu – nigdy ich nie opuściła, nawet wówczas, gdy Freyr ponownie ogłosił swą moc.

Nowy klimat o wysokich poziomach energetycznych nie odpowiadał białowłosym fagorom. Freyr na niebie symbolizował wszystkie nieszczęścia, jakie na nich spadły. Zaczęły więc wyrzynać apotropaiczne znaki na kamieniach swych śródpowietrznych oktaf: koło w kole, z promieniami jak szprychy łączącymi krąg wewnętrzny z zewnętrznym. Dla fagorzycy oczu był to przede wszystkim obraz przedstawiający odejście TSehn-Hrr od Hrl-Ichor Yhar. Z czasem zaczęły patrzeć na znak inaczej, jako na obraz Freyra, który zbliża się i miażdży promieniami Hrl-Ichor Yahar pod sobą. Kiedy pewne olonetojęzyczne gromady z pokolenia na pokolenie zmieniały się w zniechęconych Synów Freyra, fagory z wolna traciły swą kulturę. Zachowały wszakże dzielność i wysoko nosiły rogi. Albowiem nowy klimat nie był całkowicie po stronie Synów. Choć Freyr nigdy nie odszedł na dobre, istniały długie okresy, kiedy odchodził na taką odległość, że krył swą pajęczą gębę w mrowiu gwiazd. Wówczas to rodzaj ancipitalny mógł ponownie ujarzmić Synów Freyra. W najbliższym Czasie Zimna ancipici całkowicie usuną odwiecznych wrogów ze świata. Ten czas jeszcze nie nadszedł. Ale nadejdzie.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

Spis treści

<u>STRONA TYTUŁOWA..</u>	<u>1</u>
<u>I. WYBRZEŻE BORLIEN..</u>	<u>4</u>
<u>II. GOŚCIE W PAŁACU..</u>	<u>14</u>
<u>III. PRZEDWCZESNY ROZWÓD..</u>	<u>25</u>
<u>IV. KOSGATCKI WYNAŁAZEK..</u>	<u>32</u>
<u>V. MADISKIE DROGI.</u>	<u>42</u>
<u>VI. DYPLOMACI NIOSĄ DARY..</u>	<u>53</u>
<u>VII. KRÓLOWA ODWIEDZA ŻYWYCH I UMARŁYCH..</u>	<u>74</u>
<u>VIII. OKO W OKO Z MITOLOGIA..</u>	<u>83</u>
<u>IX. KANCLERSKIE KŁOPOTY..</u>	<u>92</u>
<u>X. BIŁO ZMIENIA ANIOŁA STRÓŻA..</u>	<u>105</u>
<u>XI. WYPRAWA NA PÓŁNOCNY KONTYNENT.</u>	<u>119</u>
<u>XII. PASAŻERSKI REJS Z PRĄDEM RZEKI.</u>	<u>132</u>
<u>XIII. ZA LEPSZYM OREŻEM...</u>	<u>146</u>
<u>XIV. TAM, GDZIE ŻYJĄ FLAMBURY..</u>	<u>157</u>
<u>XV. WIĘŹNIOWIE KAMIENIOŁOMU..</u>	<u>169</u>
<u>XVI. PAN NA LODOWCU..</u>	<u>180</u>
<u>XVII. ŚMIERTELNY GON..</u>	<u>190</u>
<u>XVIII. GOŚCIE Z OTCHŁANI.</u>	<u>203</u>
<u>XIX. OLDORANDO..</u>	<u>222</u>
<u>XX. JAK TO ZE SPRAWIEDLIWOŚCIĄ BYŁO..</u>	<u>236</u>
<u>XXI. ZABÓJSTWO AKHANABY..</u>	<u>248</u>
<u>ENVOI.</u>	<u>262</u>